

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 190.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1889.



Tom drugi.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—
1889.

4620 . 1889 . 2

II.



30.000,-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Марта 1889 г.

X-14294	09.26.190.
4620/ II	2.

/1889

Czém jest dziś inteligencya wiejska?

Przeobrażenie stosunków publicznych w kraju naszym, zmiany zaszczytne nie tylko w ustroju interesów ekonomicznych i obywatelskich, ale i w przekonaniach, odmienne układanie się warstw ludności, tworzącej naród—oto, co przyniosła nam ostatnia ćwierć wieku. Socyalne i ekonomiczne warunki bytu nie tylko na wsi, wskutek reform agrarnych, ale i w mieście, wskutek odmiennych stosunków szkolnych, administracyjnych, sądowniczych, wogóle urzędniczych, zupełnej zmianie uległy, a chociaż społeczeństwo zmianę tę odczuwa to znaczenia jej dostatecznie nie ocenia, gdyż nie widzimy do tej pory ustalenia się kierunku i wytknięcia programu, z nowego porządku rzeczy wynikającego. W tej chwili zatrzymamy pogląd nasz na te sprawy w granicach stosunków wiejskich.

Pogodziwszy się z faktami spełnionymi, nie uświadomiamy sobie jednak wszechstronnie potrzeby zmiany dotychczasowej działalności tych warstw narodu, które znajdują się dziś w zupełnie odmiennych warunkach bytu. Społeczeństwo nasze, zwłaszcza ta część, o której dziś mówić mamy, powszechnem mianem inteligencyi wiejskiej zwana,—robi wrażenie klasy jak gdyby do pewnego stopnia zahypnotyzowanej na punkcie działania społecznego. Przewrót, którego uczestnikami niedawno byliśmy, zdawałoby się, że powinien był pobudzić do wytknięcia nowych szlaków życia, do świadomej oceny środków, mogących zapewnić inteligencyi wiejskiej stanowisko, odpowiadające jej położeniu i obowiązkom, do starań w celu zdobycia moralnego wpływu, zastępującego poprzednią przewagę materialną przez panowanie rozumu, przez dzielność charakteru i przez zaszczytne spełnianie obowiązków obywatelskich. Prosta ta i jedyna droga, nie znajduje jednak dotychczas zwolenników, którzyby chętnie iść po niej chcieli; natomiast spostrzegamy pewien rodzaj obojętności na sprawy ogólne, skoncentrowanie starań ku utrzymaniu indywidualnego bytu, z pominięciem tych zewnętrznych objawów życia,

które wyniknąć powinny z podniesienia umysłowego poziomu inteligencji, z poważniejszych zasad i ze zrozumienia wyższych celów życia publicznego.

Poglądem tym nie kieruje znów tak skrajne uprzedzenie, by do pewnego stopnia nie uwzględniało przyczyn, tamujących te objawy dodatnie, które stawiamy na czele działalności społeczeństwa rozumnego. Przeciwnie, przyznajemy, że na owo przycichnięcie obywatelskości i zagubę prądów życia publicznego, oraz na zręczenie się stanowisk, zajmowanych przez ziemiaństwo w ustroju narodu, wpłynęły ciosy moralnej i materyalnej natury, dość silne, by choć w ilow o osłabić jego działalność, ale nie tak znów potężne, by usunąć na zawsze ziemiaństwo z szeregu pożytecznych czynników społecznych.

Trzeźwość poglądów, wykazana w innym kierunku działalności ziemiaństwa, mianowicie w zrozumieniu nowych idei cywilizacyjnych, w odczuciu konieczności kształcenia umysłu zgodnie z postępem wiedzy XIX stulecia, w przystosowaniu się do odmiennych warunków socjalnego bytu, o wiele słabięj się zaznacza. W charakterze ziemiaństwa istnieje bez wątpienia poczucie dążeń do zajęcia stanowisk, naturą rzeczy wskazanych; nie zamarły w nięm ideały, przyświecające przewodnikom narodu, lecz fałszywa ocena warunków otoczenia wytwarza przekonanie o niemożności służenia sprawie publicznej. Tymczasem odzyskanie wpływu, świecenie narodowi przykładem, nie mnięj praca z nim i dla niego, nie tylko nie są uniemożliwione, lecz do pewnego stopnia wskazane położeniem rzeczy, z któregobyśmy widzieli, że publiczna działalność dzisiejszego ziemiaństwa nie ma wspólnego z celami osobistemi, z dążeniem do uzyskania przywilejów kosztem innych warstw narodu.

W chwili, gdy inteligencya tak potężną jest siłą, gdy w obec rozpanoszonego kapitalizmu stanowi ona jedyny jego przeciwważnik, trzymający na wodzy wybryki plutokracji, w chwili, gdy panowanie arystokracji rozumu przyjsie swe zapowiada, ludzie, mogący rozporządzać środkami, zapewniającemi szacunek i uznanie w społeczeństwie, potrzebują mniejszego wysiłku energii, skoro tylko chcą pracować dla spraw krajowych. Nie zapominałmy przytęm, że skutkiem zasadniczego ustroju kraju, rolnictwo w znaczeniu przemysłowo-rolnęm jest podstawą i głównym jego czynnikiem, że jest węzłem, łączącym wszystkie przedsiębiorstwa, że zatęm rolnicy powinni tworzyć czoło społeczeństwa, uposażone w rozum, cnotę i całą sumę przymiotów, przywiązanych do miana obywateli. Z wyjątkiem nielicznej inteligencyi miast, nie zupełnie na miano to zasługującej, inteligencyi, której wpływ na sprawy krajowe jest prawie żaden, to przyznać musimy, że głównym reprezentantem cywilizacji, etycznych przymiotów i socyologicznych kierunków narodu jest ziemiaństwo, koncentrujące w swym ręku najpoważniejsze interesy kraju.

Jeśli do 1864 r. szlachta polska opierała swą potęgę przeważnie na własności ziemskiej, systematem pańszczyznianym podtrzymanej, to dziś sama własność ziemska nie może już być punktem oparcia dla ludzi pragnących być przewodnikami narodu. Nad upadkiem owych przywilejów przestaliśmy narzekać, bo system możliwy w czasach, gdy pojęcie własności i stanowy ustroj społeczny, czyniły poddaństwo formą przejściową, choć konieczną własności, dziś w obec postępu idei humanitarnych i socyologicznych w żadnym razie nie dałyby się utrzymać. Zmiany te wypadły na korzyść ziemiaństwa.

Dopóki stosunki pańszczyzniane i jurysdykcya patrymonialna pozorowo podtrzymywała panowanie większej własności, kryjąc w zarodzie najniebezpieczniejsze socyalne wywroty, dopóki inteligencya wiejska nie mogła być przewodnikiem narodu w rozumieniu jego zdrowej siły; było to bowiem prawo, możliwe do chwili, w której rozbudzająca się samowiedza bytu i poczucia prawa w masach, nie wywołałyby gwałtownej reakcyi. Szczęściem uniknęło nasze społeczeństwo takiego krwawego rozwiązania, a uwłaszczenie włościan zmieniło stosunki na lepsze nietylko dla ludu, lecz i dla inteligencyi wiejskiej.

Z chwilą, gdy usunięty antagonizm między dworem a chatą, daje nam sferę stosunków prawidłowych, nie zaciemnionych nienawiścią i upośledzeniem, kwestya agrarna traci swój ostry charakter i staje się polem harmonijnej pracy oraz kierunków wszystkich pracowników rolnictwa, czy nimi są kilcumorgowi posiadacze, czy wielcy właściciele ziemscy. Pożądliwość ludu, jeśli jej tylko nie rozdmuchują ludzie złej woli—ustępuje miejsca poszanowaniu praw własności; nad wspomnieniami możnowładczej roli góruje u ziemiaństwa, poczucie zadowolenia ze spełnionej ofiary i zrozumienie, że moralne przywileje przynieść mogą stokroć szacowniejsze dobrodziejstwa.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad stosunkiem inteligencyi do ludu, nie dla tego, by stanowić on miał jedyny przedmiot badań zajmującej nas kwestyi, lecz że sprawa ta powinna być jednym z głównych motorów działalności ludzi, zasadzających swe cele na zdobyciu najwyższego stanowiska moralnego. Wrócimy jeszcze do niej niebawem, poprzednio jednak musimy nakreślić charakterystykę ogółu spraw ziemskich, przedstawić sobie istotę położenia, ocenić w czem tkwi jego niebezpieczeństwo, w czem ratunek spoczywa.

Nie sięgając odległych epok, lecz zwracając się myślą ku reformie 1864 r., staniemy w obec inteligencyi wiejskiej, ukołysanej pewnym rodzajem bezpiecznego zadowolenia z przywilejów wiekowych. Pomimo, że od lat pięćdziesiątych obecnego wieku wszystko

zdawało się wskazywać radykalną zmianę stosunków agrarnych, zmysł przeczności wśród ziemiaństwa do tego stopnia był przytępiony, że możliwą zmianę poczytywano za przejście, nie grożące ruiną moralnym i materialnym stanowiskom większej własności, że nie zdawano sobie sprawy z gwałtownego wyrotu, który usamowolnienie włościan pociągnie za sobą. Nie mało przyczyniły się do tego ożywione dysputy w b. Towarzystwie rolniczym, bardzo zacnymi kierowane pobudkami, ale więcej w teoretycznym trzymanym duchu, a nade wszystko podtrzymujące pewność, że reforma ani gwałtownie, ani wbrew kardynalnym prawom własności przeprowadzoną nie będzie. Tymczasem były pełne znaczenia objawy, wskazujące, że państwo, dzierżące w swém ręku naczelną kierunek spraw społecznych, w danym razie w palatywa bawić się nie będzie, że gdy uzna chwilę za właściwą, jednorazowo i stanowczo sprawę przetnie.

Nie półsłówkami określał zapatrywania najwyższej władzy ukaz 1846 r., gdy we wstępie zarzucił właścicielom dóbr spoliatorstwo i bardzo wyraźnie zapowiedział dalsze zmiany w urzędzeniu włościan. Tylko umysły bardzo zaciemnione mogły się spodziewać zmiany nie wstrząsającej radykalnie stosunkami, tylko brak politycznego wyrobienia zrzucił apatyczne wyczekiwanie reformy, która musiała zachwiać bytem większej własności ziemskiej. Z dnia na dzień należało oczekiwać usamowolnienia włościan i stosownie do tego przemieńca istniejące stosunki gospodarcze. Przyszło ono poprzedzone wstrząśnieniami, do których ziemiaństwo nie przyłożyło ręki, przyszło w chwili, gdy następstwa ruchu, wbrew woli szlachty, całym szeregiem klęsk i trudów zwały się na najniewinniejszych. Błędy innego obozu miały pomnożyć bezmierne ciężary, które niebawem dotknęły własność ziemską, winną, że nie przewidziała reformy zupełnie zmieniającej dotychczasowe położenie.

Widocznie jednak, że *quem Jupiter perdere vult dementa t*, gdyż ukaz 1864 r., wywarł wpływ druzgocący na nieprzygotowaną większą własność nietylko w znaczeniu jej ekonomicznego położenia, lecz i na społeczne stanowisko ziemiaństwa. Nagle zmieniło się wszystko: wytwórczość pozbawioną została sił roboczych, ziemiaństwo straciło grunt pod nogami, ujrawszy obok siebie jakby z pod ziemi wyrosłą siłę, ku której zwróciła się opieka państwa, z usunięciem zupełnym przywilejów dotychczasowych właścicieli ziemi.

Pełne grozy położenie otrzeźwiło uspiionych. Dziś oceniając bezstronnie te chwile, nie chce się prawie wierzyć, że empiryczne rolnictwo potrafiło z taką siłą odeprzeć materialne ciosy, które na nie spadły. Pokazuje się, że tylko wielkie wstrząśnienia potrafią wydobyć przymioty w łonie ziemiaństwa ukryte. Jako rolnicy, szlachta spotężniała: jednej chwili znalazły się: praca, oszczędność, umiejętność, które zrzuciły, że z małymi wyjątkami, większa własność

nie straciła swych dawnych kierowników; lecz jednocześnie pod wpływem ciosów materyalnych, moralne czynniki zmalały, kraj stracił o bywateli.

Nie dziwić się chwilowemu zwrotowi, mającemu na celu ratunek bytu, wytlómaczyć łatwo jednostronny wysiłek ku zdobyciu podstaw materyalnych, z pominięciem celów szerszej natury. Był to kierunek na razie praktyczny i konieczny, pod warunkiem jednak, by nie trwał à la longue, by skoncentrowanie działalności jednostronne, nie tamowało objawów życia, posiadającego poza stroną utylitarną cele niemniej piękne i doniosłe. Ale pod tym względem nie umieliśmy utrzymać miary. Za daném hasłem zrzucono się do pracy żarliwie, ukrócono życie nad stan, przystosowano gospodarstwo do wymagań nowych warunków ekonomicznych i gruntowniejszej wiedzy, wzięto rozbrat z rozrzutnością—a rezultatem tych zacnych usiłowań są obecne stosunki, zapewne jeszcze nie świetne, lecz mające w sobie zaród żywotności i dalszego powodzenia. Jest to wielka, niespożyta zasługa ziemiaństwa, którą dopiero następne pokolenia należycie ocenić potrafią; ze spokojem bowiem zdadzą sobie sprawę z ogromu zwalczonych przeciwności, których pokolenia obecne w gorączce walki o byt dostatecznie nawet zrozumieć nie są w stanie.

Lecz oceniając z najwyższém uznaniem ten praktyczny kierunek pracy ziemiaństwa, nie powinniśmy zamykać oczów na ujemności, powstałe stąd w życiu inteligencji wiejskiej. *Zelantyzm źle zrozumianej „pracy organicznej”,* posunięty został za daleko. Kosztem utraty cnót towarzyskich i obywatelskich zdobywamy środki materyalne, w obecnym układzie socyologicznym być może dominujące; lecz najdroższe interesy narodu, inaczej odczuwają te kierunki. Prąd taki jest tém naganniejszy, że uznając dla niego wartość czysto utylitarnych dążeń, w ich znaczeniu ekonomiczném, nie powinniśmy i o tém zapominać, że należy także celom ogólnym nieco pracy poświęcić; a jeżeli w pierwszych chwilach przewrotu nie można było o czém inném tylko o czysto zawodowych wysiłkach myśleć, to teraz nadszedł moment, w którym porzucenie jednostronnej działalności, leży w programie dnia, stanowi pierwszorzędné zadanie ziemiaństwa.

Po tém teorytycznym określeniu, wejdźmy in medias res, a rozejrzawszy się w realnych stosunkach, łatwo nam będzie dowiedzieć, że poglądy wyżej zaznaczone, praktyka życia ściśle stwierdza. Posłużmy nam to do wykazania i tego, w czém złe leży oraz do wykazania środków jego usunięcia.

Rozpatrzmy obecne położenie inteligencji wiejskiej: a) ze stanowiska zawodowego; b) ze stanowiska towarzyskiego i wreszcie c) ze stanowiska społecznego. Zanim jednak zajmiemy się poszczególnym rozbiorem położenia w zastosowaniu do jego potrzeb specjalnych, winniśmy zaznaczyć tło, na którém urabiać się powinny

charaktery i umysły ludzi, powołanych do przewodnictwa społeczeństwu. Jeśli bowiem przyjdzie nam postawić ziemiaństwu zarzuty niedostatecznego wykształcenia specjalnego, nie rozgrzeszamy go jednak iz zaniedbania, które spostrzegać się daje w poziomie wiedzy ogólnej, w dążeniach do postawienia nauki na pierwszym planie działalności. Okazując za mało zamięlowania do studyów poważnych, inteligencja wiejska tęp samém przyzwyczajają się do tuzinkowego traktowania tych odłamów wiedzy, które na podstawie wyrobionej świadomości o znaczeniu nauki w ogóle, ułatwiać powinny pracę rolniczą. Jeduém słowem, niedostateczne wykształcenie ogólne i niedostateczne wykształcenie specjalne stanowią szkopuł nietylko w spełnianiu zadań fachowych, lecz paraliżują objawy działalności publicznej.

.....
 Położenie, w którym się znalazło ziemiaństwo po reformie agrarnej 1864 r., zaliczyć śmiało można do największych przejsć, którym gdziekolwiek i kiedykolwiek podległa własność ziemska.

Gospodarstwa, opierające swoje produkcją na sile roboczej darmej i obowiązkowej, w ciągu jednej doby znalazły się pozbawione tego czynnika i zmuszone były szukać sił nowych, zmienić cały system gospodarstwa i dopełniać reform, na których wykonanie zbrakło i kapitału i świadomości co w takiem położeniu robić. Zasoby inwentarzy pociągowych okazały się niedostateczne; należało je dopełnić, robotników po skasowaniu pańszczyzny, należało stwarzać. Zawilność położenia zwiększała jeszcze ta okoliczność, że rozbałamucony niespodziewanemi dobrodziejstwami lud sądził, że nadszedł dla niego dzień tryumfu, po którym nietylko ukazein wyznaczone przestrzenie, lecz i cała własność szlachecka w ręce jego przędzie. Tłumiona wielowiekowa nienawiść ludu mogła wprawdzie groźniejsze przybrać rozmiary, lecz dzięki wrodzonym jego przymiotom, ograniczyła się na pewnem znęcaniu się nad obalonym przeciwnikiem, na hardości i niechęci w oddawaniu dworowi pracy rąk roboczych. W ciemnych umysłach rozbudzone nadzieje wytwarzały przypuszczenie, że lada dzień nowe obdarowanie stanie się udziałem nawet najbiedniejszego i utrudniały wciągnięcie się ludności bezrolnej do pracy. Nie tylko brak robotnika i konieczność pomnożenia inwentarzy stanowiły szkopuł gospodarstw folwarcznych, bo górowała nad nimi pewność, że cały dotychczasowy system empiryczny rolnictwa należy zburzyć i dać miejsce metodom bardziej intensywnym w myśl najnowszych wskazówek wiedzy, powołać do życia gałęzie produkcji drugorzędnych i zupełnie zreformować wydatki osobiste.

Była to kompletna rewolucja zawodowa, tęp groźniejsza w następstwach, że zastała kierowników rolnictwa nieprzygotowanych nie tylko materyalnie, ale i intelektualnie. Jakiemi drogami szło odrodzenie przedsiębiorstwa, jako świadkowie i uczestnicy tych dziejów, przypo-

minać sobie nie potrzebujemy; dość powiedzieć, że na polu walki legło wielu słabszych wojowników, że zubożenie stało się cechą ogólną a obdłużenie majątków dosięgać zaczęło niepokojących rozmiarów.

Upadek materyalny nie byłby może nawet do tego stopnia dotknął ogółu ziemiaństwa, gdyby w pierwszych chwilach reformy nie oglądało się ono za ratunkiem fikcyjnym, za nadprzyrodzonymi jakimiś środkami, nie dowierając jeszcze, że stan, takim do niedawna faworem losu darzony, może runąć, pozbawiony jego opieki. Więc zamiast we własnej pracy, usilności i uniejętności szukać ratunku, czepiano się najłatwiejszego na razie a bardzo niebezpiecznego środka, mianowicie zaczęto poruszać źródła kredytu hipotecznego i osobistego, w nadziei, że lada chwila znajdzie się dobroczynna instytucja, która penaty szlacheckie na własne bary weźmie. Pamiętamy dobrze owe dzieje, w których programem dalszej działalności miał być kredyt i to kredyt nie lada. Pożyczki miały być tanio oprocentowane, długoterminowe, amortyzacyjne, miały stawać na każde zawołanie rolników. Publicyści i różnego rodzaju projektowicze prześcigali się w łudzeniu społeczeństwa planami dostarczania kapitałów i tworzenia instytucji melioracyjnych, parcelacyjnych, hipotecznych, wzajemnego kredytu i, Bóg nie wie już jakich nazw, nie pomni, że rolnictwo nigdy takiego idealnego kredytu uzyskać nie może, zwłaszcza w chwilach, gdy podstawy własności ziemskiej wielce były chwiejne. Takie obalamucenie ziemiaństwa wyrządziło na razie ogromne szkody przez to, że odsuwało myśl od reform możliwych, dostępnych, od wytwarzania kapitału wewnętrzną siłą gospodarstwa, od liczenia tylko na siebie a nie na pomoc obcą.

Nadeszła wreszcie chwila, w której bielmo z oczów schodzić nam zaczęło, a gorączka sztucznych źródeł kredytowych powoli usuwała się z organizmów, wycieńczonych próżnymi wysiłkami. Towarzyszył jój fakt wielce dodatniej natury: szereg lat urodzajnych, wysokie ceny zboża i niepraktykowane a sztuczne podniesienie się cen ziemi. W tym to momencie społeczność ziemiańska dała dowód znacznego wyrobienia, trzeźwości poglądów i wstrętu do tradycyjnych wad szlacheckich. Gdyby wyjątkowo pomyślne warunki ekonomiczne z lat siedmziesiątych obecnego stulecia, przypadły w udziale pokoleniowi z przed 1864 roku, można być pewnym, że naleciałości dawnój swobody szlacheckiej i hulaszczego życia z całą siłą odezwałyby się w ziemiaństwie. Mielibyśmy znów głośne objawy jarmarcznych skandali, rządzców w folwarkach dziesięciowlókowych, życie z dnia na dzień, jedném słowem cały akompaniament objawów z epoki Sasów!..

Jakże odmiennie zachowało się ziemiaństwo, otrzeźwione ciężką szkołą życia z lekkomyślności tradycyjnej. Oszczędność, rachunek, praca ani na chwilę nie zeszyły z programu działania, a korzy-

stne warunki ekonomiczne posłużyły do zablizniania ran; spadkobiercy wielkich cnót i wielkich błędów, umieli pierwsze utrzymać, drugie wykorzystać. Następstwem tak wysoce dzielnej działalności jest chwila obecna, w której z zadowoleniem możemy spojrzeć w okół siebie i stwierdzić, że ziemia, krwawicą przodków zdobyta, nie usunęła się nam z pod nóg, że szlachta polska nie zaprzedała obcym najdroższego skarbu narodu.

My niedostatecznie oceniamy doniosłość powyższego faktu. Apatyczni i zgorzkniali nie umiemy uczcić bojowników, którzy z niezaprzeczoną energią i dzielnością charakteru ocalili spuściznę ojców naszych od wywłaszczenia, umieli uszanować ich prochy i dalsze kierownictwo losami przedsiębiorstwa zapewнили żywiołom rdzennym. Cześć im za to — cześć, którą spotęguje potomność w rozmiarach, odpowiadających zasługom!

Schylając czoło przed faktem tak wielkiego ukochania ziemi rodzinnej, w imię szacunku i miłości dla stanu ziemiańskiego, nie wolno nam do tego stopnia w uznaniu dla niego się posuwać, byśmy mogli pominąć wady i błędy, będące wpływem fanatycznego prawie dążenia szlachty do utrzymania ziemi *malgré tout et contre tous*. Zaznaczyliśmy już wyżej, że hasła pracy organicznej fałszywie pojęte, zamknęły program działalności w zbyt jednostronnym kierunku: ratowaniu pozycji materialnej poświęcić wszystko, zerwać z ideałami, zamknąć się w sobie, usunąć od świata. I stoimy w obec dziwnego faktu... Szlachta, której niezaprzeczone zasługi wykazaliśmy powyżej, dokonała reformy przez zatracenie przymiotów, koniecznych również w zawodowym, jak i społecznym spełnianiu zadań obywatelskich. Fakt pozostanie faktem: własność ziemska, pomimo gwałtownych wstrząśnień ekonomicznej i socjalnej natury, utrzymała się w rękach dotychczasowych posiadaczy, lecz kosztem zmian, których dalsze trwanie poważnie może zagrozić z takim trudem zdobytemu odrodzeniu.

W usposobieniu ziemianstwa coraz bardziej zdaje się przeważać nie tyle egoizm ile pewien rodzaj życia osobniczego, zniechęcenie, usunięcie się od życia naukowego, jednym słowem, objawy, na których nie może się opierać cywilizacja i postęp narodu. Usprawiedliwić to można wpływem wyjątkowych okoliczności, w których znalazło się ziemianstwo, lecz społeczność zdrowa, umysły silne, rozumniejsze, mające szersze cele życia na oku, długo prądom tym ulegać nie mogą i przychodzi chwila, w której naród — czy część jego pewna, zrozumiałwszy niebezpieczeństwo błędnego kierunku, powiada: ani kroku dalej!

Jesteśmy właśnie w peryodzie, kończącym i tak za długie bytowanie indywidualne, czas przejść do życia publicznego, czas zerwać z życiem osobniczym i trwożliwym okopywaniem naszej działalności kopcami parafialnych programów. Z jednostkowych, dzielnych charakterów, powinien się wytworzyć stan zbiorowy, przodujący cnotami obywatelskimi, potęgą materialną, powagą inteligencji. Program

taki osiąga się nie przez odosobnioną pracę, nie przez sobkowstwo, lecz zapomocą w najszerszej mierze stosowanych stowarzyszeń rolniczych.

Zobaczmy niebawem, w jakim stopniu rozwój tych instytucyi wpłynąć może na spotęgowanie przymiotów towarzyskich i obywatelskich ziemiaństwa; lecz tutaj pragniemy wykazać ich praktyczność w kierunku czysto zawodowym.

Znamiennym rysem życia ekonomicznego obecnych społeczeństw, jest coraz większe koncentrowanie się kapitału, pracy i inteligencyi, trzech najważniejszych czynników ekonomicznych, dochodzące bardzo często do zmonopolizowania przedsiębiorstwa, do wyzysku słabszych i gorzej zorganizowanych produkcji. Takie skoncentrowanie sił wytwórczych, naganne ze względu na ogół socyalnych, etycznych i materyalnych potrzeb społecznych, ma jednak to za sobą, że stosowane w celach godziwych, skierowane do wzmożenia zdolności produkcyjnych, skutecznie zapobiega wstrząśnieniom produkcji, stawia ją w możności rywalizowania z mniej silną konkurencyą. Nie moglibyśmy zatem zalecać rolnictwu dążeń monopolizujących przemysł ten w rękach wielkiej własności, lecz środki prowadzące do udoskonalenia i wzmożenia jęj produkcji za godziwe i na czasie uznać musimy. Żadne pojedyncze wysiłki nie zapewnią tego powodzenia, co zjednoczone usiłowania ludzi jednego fachu, jednych i tych samych interesów. Natura wreszcie stosunków, szczególném zaufaniem darząca działalność zbiorową, przekonywa, że osiągnięcie najwyższej sumy zysków z rolnictwa, da się osiągnąć głównie na drodze stowarzyszeń.

Wprowadzenie melioracyi, ubezpieczeń na wzajemności opartych, kredyt, ułatwienia w handlu zbożowym, zwrócenie zysków do tej pory niepotrzebnie pośrednictwu oddawanych, zbiorowe nabywanie reproduktorów, produkcya na eksport artykułów mięsnych i nabiałowych, eksploatacyja bogactw kopalnych, jednem słowem wszystko, co ziemia dostarcza, a zwłaszcza możność wspólnego radzenia nad potrzebami i kierunkami przedsiębiorstwa, są niezaprzeczoną przywilejem zbiorowej organizacyi.

Do uświadomienia—a raczej do wprowadzenia w życie takiego programu—u nas jeszcze bardzo daleko... Jakby zmęczeni wysiłkiem lat poprzednich, czujemy wprawdzie korzyść spółek rolniczych, lecz ich zawiązywanie upozorowane trudnościami, niezależnemi od nas—na krok się nie posuwa. Trudności dla tego upozorowaniami nazywamy, że istota ich nie spoczywa w tém, czém naszą bezczynność osłaniamy, lecz w rozbięciu życia zbiorowego, w egoizmie jednostek, w nieufności wzajemnej. Władze i prawa upoważniają zawiązywanie spółek, do pewnej miary ułatwiają ich działalność, słusznie rozumiejąc, że wzmożenie umiejętne sił wytwórczych, podnosi olbrzymio stan ekonomiczny kraju, zapewnia korzyści skarbowi państwa, którzy w powiększonej sile podatkowej kontrybuentów, znajduje możność

dzielniejszego wypełniania celów ogólnopństwowych. Funkcjonuje już: spółka rybacka, towarzystwo rektyfikacji spirytusu, spółka owocowa, kółka asekuracyjne od ognia i gradu, stowarzyszenia zaliczkowo-wkładowe (aż dwa!), nieliczne spółki nabiałowe. Całe szeregi projektowanych stowarzyszeń dowodzą, że władze instytucjom legalnym i rozumnym racji bytu nie odmawiają, i że instytucje te w duchu swych ustaw sankcyonowanych z najzupełniejszą swobodą operować mogą.

Nie to jest przyczyną naszej beczynności. Dla celów bliższych poświęcamy dalsze a w trwożliwej obawie skąpcza, marnujemy bogactwa przyrodzone, tłumimy ich eksploatacją zyskową. Sobkostwo rozpanoszyło się na dobre. Pod hasłem ratowania i ochrony indywidualnych stanowisk, wytworzył się egoizm, nieufność, krótkowidztwo, nie pozwalające widzieć korzyści zbiorowej pracy, usuwające zjednoczenie myśli, serc i działania. „Niech się świat wali—byłem ja ocalał”—oto godło, pod którym walczą odosobnieni pionierowie wielkiego przedsięwzięcia, nie pomni, że wtedy tylko wielkiem ono będzie, gdy przystosowując się do obecnych warunków produkcji, nadać mu zdołają trwałość, odporność i umiejętność.

Jeśli uważnie przyjrzymy się naszemu rolnictwu, znajdziemy w nim odskok od cech, towarzyszących zwykle każdej pracy ludzkiej. Praca bowiem, choćby najcięższa, wtedy tylko nie staje się zwyczajnym rzemiosłem, dopóki umysł ludzki potrafi ją ożywić światłem wyższych przeznaczeń, dopóki w jej wykonaniu tkwi zrozumienie celów moralnych i społecznych. Inaczej najszczytniejszy zawód zamienia się w trud przymusowy, najszlachetniejsza praca dzieczeje. Jesteśmy właśnie świadkami w rolnictwie takiego zdziczenia; zawód, który należał do najpiękniejszych, który stawiał na pewnym wyróżniającym się stanowisku oddanych mu ludzi, dziś robi wrażenie rzemiosła niewdzięcznego, a kierownicy jego przypominają paryasów społecznych. Co wpływa na obniżenie poziomu stanowisk rolników i rolnictwa? Czy mniejsza intratność ziemi, czy połączone z jej posiadaniem trudy i zawody? Bynajmniej: ziemia jak była tak jest i pozostanie pewnym acz nie wysoko procentującym umieszczeniem kapitału i pracy, najobrotniejszy finansista, giełdowiec, gonący za wielkimi zyskami, zawsze w rezerwie zachowa sobie własność ziemską, jako kapitał na którym nigdy nie straci, powiększając go naturalnym przyrostem szacunku. Cokolwiekbyśmy zarzucać mogli własności ziemskiej, nic nie obali faktu niezaprzeczonego, że ziemia jest dobrą lokacją; mogą gospodarstwa mniejszą przynosić rentę skutkiem nadzwyczajnych klęsk losowych a najczęściej skutkiem nieumiejętności swych kierowników; będą to jednak przejawy chwilowe, po których dawne zaufanie do ziemi powrócić musi. Myśmy powinni już dawno nabrać wiary w niespożytą siłę przedsiębiorstwa rolniczego; przetrwało ono wielkie burze, ugięło się niejednokrotnie, lecz w końcu zwyciężało zawsze. Tak jest i obecnie, a jeśli ogół

falszywe wytworzył sobie pojęcie o popłatności przedsiębiorstwa, nie ziemia temu winna, lecz zdziczenie jej przedstawicieli. Zamiast z nadzieją w sercu, z pogodą myśli, z bratniem uczuciem snuć pracę, której Bóg błogosławi, jak niedźwiadki zakopaliśmy się w norach, a wieś jest dzisiaj miejscem pobytu odludków zgryźliwych, rozżalonych, nienfnych i żadnej łączności zawodowej między sobą nie podtrzymujących. Każdy dla siebie, nie pomny, że cywilizacyjne idee wtedy tylko zapewniają powodzenie w pracy, gdy jej człowiek nie kryje pod korcem, gdy zdobyczami doświadczenia dzieli się z innymi i od nich wskazówek zasięga.

Wskazaliśmy niezaprzeczone usługi, które ziemiaństwo przyniosło krajowi, ten ostatni ma zatem prawo żądać, by nie ustawało ono w dalszej pożytecznej działalności, lecz szło naprzód w imię ogólnych i osobistych interesów. Patrząc jednak na obecne postępowanie ziemian, zdawałoby się, że doszli oni do pewnego przesilenia, do wyczerpania sił, znużeni dotychczasową walką. W chwili, kiedy stan ten, utrwaliwszy do pewnego stopnia byt własny, dalsze programy opierać powinien na dążeniach wskazanych przez cywilizację i wiedzę, rolnicy tłumią światło i pracują... po chłopsku. Wybaczcie mi to nieco trywialne określenie, lecz widząc wstręt do badań specjalnych, bytowanie z dnia na dzień, zacieśniony poziom umysłowy i owo: „Co Bóg dać to i tak dać”, bardzo małą widzę różnicę między prymitywną i tylko instyktowną pracą chłopą, a nieujętą w racjonalny system działalnością ziemiaństwa. I jak ma być inaczej, skoro inteligencja wiejska nie tylko najmniejszego nie okazuje zamięlowania do b a d a ñ n a u k o w y c h; lecz systematycznie uniemożliwia dzieciom własnym, przyszłym następcom, sposobność kształcenia się fachowego.

Zarzut to ciężki, ale prawdziwy. Ubolewać nad brakiem specjalnego ukształcenia rolników, uważamy za rzecz do niczego nie prowadzącą; natomiast pojąć trudno, jakim sposobem ci kierownicy gospodarstwa którzy, odczuwając co chwila brak fachowej wiedzy, złorzeczając kierunkom, które popchnęły ich edukacją na drogi, nie z rolnictwem wspólnego nie mające, jak ci rolnicy mogą kształcić dzieci swoje, którym przekazują ziemię w spuściznie, przeważnie na inżynierów, doktorów, prawników lub filozofów. Lekceważenie to zawodu, jest ciężką krzywdą, którą wyrządzamy rolnictwu, uważanemu od wiek wieków i powsze wieki, za podstawę naszego bytu. I nie tylko ubóstwo teorii cechuje naszych rolników, lecz i praktyka godnych nie ma adeptów. Nie mówimy tu o praktyce, którą zdobywamy doświadczeniem a najczęściej uratą mienia, sił i energii, wywołaną nieumiejętnym borykaniem się z przedsiębiorstwem, lecz o praktyce, którą każdy młody człowiek zanim ośmieli się dotknąć pracy na własną rękę, we wzorowych gospodarstwach odbyć powinien. Świeżo oskrobany magister, niemający o rolnictwie najmniejszego pojęcia, wychowany w mieście, gdzie

zwłaszcza teraz potworne przekonania o rolnictwie i jego popłatności panują, obejmuje stanowisko, które tylko agronomom dźwżyć wolno, gubi siebie i ziemię przez swoją ignorancją, popełnia błąd na błędzie i najpiękniejszy zawód nurza w błoto. Najcieższym grzechem naszego ziemiaństwa jest to lekceważenie zawodu, przystępowanie doń bez przejęcia się apostołstwem rolnictwa, traktowanie go jak domu zajezdnego, zawodu, który jest świątynią naszej pracy i posłannictwa dziejowego. Zamiast dać ziemi pionierów postępu, ludzi świadomych celu przedsiębiorstwa i sposobów umiejętnej jego eksploatacyi, powierzamy ją rękóm dyblentantów, którzy konsekwentnie, nieodzwonnie stać się muszą jej dewastatorami!.. Nie stanie się to jako następstwo złej woli, próżniactwa lub marnotrawstwa, lecz skutkiem zasadniczych błędów systemu edukacyi młodzieży ziemiańskiej, która wszystkiego się powierzchownie uczy, byle nie tego, co jej ma dać chleb w przyszłości. A wszak szewc nawet zanim but szyć zacznie, w twardym terminie uczy się dratwę nawlekać.

Nie tyle tu winni ojcowie, ile matki rodzin ziemiańskich, które najcudowniejsze eksperymenta pedagogiczne wyprawiając ze swemi „cudownemi latoroślami,“ nie wszczępiając w umysł dziecka od młodości czci dla zawodu, który obowiązkowo stać się ma polem jego przyszłej działalności, a ze stanowiska naukowego należy do najtrudniejszych działalności, największej pracy umysłowej wymagających odłamów wiedzy. Dziecko ziemiańskie wychodzi do szkół już przygotowane do encyklopedycznego przyjmowania nauki, do powierzchownego zdobywania wiadomości i nie rozumie, że najnajważniejszem zadaniem kształcącego się umysłu jest osiąść w danym kierunku gruntowną wiedzę. I naturalnie tworzymy pseudo-artystów, pseudo-filozofów, pseudo-uczonych, brak nam zaś podstawowych kierowników głównej naszej pracy.

Tak pokierowani encyklopedyści uważają przedsiębiorstwo po prostu za rzemiosło, a przyzwyczajeni do lekkiej karmy duchowej, opychają swój umysł rozmaitemi nowinkami postronnego znaczenia, nie idą za najnowszymi kierownikami wiedzy rolniczej, nie umieją przystosować reform, wymagających pewnego uzdolnienia naukowego. Polityka „tęgich“ ma u nas przedstawicieli, kwestye socyalne roznamiętniają obrońców zasad konserwatywnych lub postępowych; po za tém wiadomości sensacyjne dnia i krwiożercze romanse główny kontyngens czytelników znajdują po wsiach; lecz najciekawszy wynalazek w rolnictwie nie wywoła zaciekawienia, komentarzy, krytyki. Naturalnie nie mam tu na myśli całego ziemiaństwa, ale znaczną część jego przeciętną. Ponieważ zaś zwykle nieświadomość pokrywa się zarozumieniem, rolnik, któremu zarzucimy obojętność w traktowaniu spraw narodowych, bije zapalenie w teorią i jej przedstawicieli, potępia w czambuł wszystkie pisma i dzieła rolnicze i utrzymuje, że nic się z nich nauczyć nie można. Jeśli tak jest rzeczywiście—przeciwko czemu jednak zaprotestować się godzi, to któż winien owemu zapuszczeniu nauki rolniczej, jeśli nie sami rolnicy? Kto

widząc brak poważnego popierania wiedzy, odważy się poświęcić studjom specjalnym. Wyświetlającym jej tajniki, kto weźmie pióro by uczyć, wskazywać i zachęcać? Tak to naganna obojętność dla zawodu, jako nauki, wytwarza cały szereg ujemnych następstw: sami mało umienny, siły przyszłe rolnictwa jeszcze gorzej się przedstawiają, a ktokolwiek odważy się zapalać pochodnie wiedzy rolniczej, co najwyżej na cementarz z nimi zajdzie.

W obec tych i innych zarzutów, przyjaciele (a dodajmy nie-poczciwi przyjaciele) ziemiaństwa, zarzucają nam przesadę, może nienawiść i na swój sposób wychwalać będą zasługi inteligencji wiejskiej, wyliczając, ilu to mamy ludzi rozumnych, doskonałych agronomów, dzielnych obywateli i t. p. Ilu? zapytam — a czy bierzecie pod uwagę liczebne zastępy inteligencji wiejskiej, czy wierzycie, że na 7,000 tysięcy tak zwanych przedstawicieli własności większej, palców u rąk wystarczy dla obliczenia ludzi inteligencji prawdziwej i większego poczucia obowiązków obywatelskich. Nie patrzcie na świeczniki o wyniosłym blasku, lecz na światełka z pod ziemi kopące, a w tedy przyznacie, że nam daleko jeszcze do ukończenia budowy gmachu, któryby nam jaśniał siłą swą i bezpieczeństwem. I dla tego niepoczciwymi przyjaciółmi ziemiaństwa nazywam czułościowych adoratorów inteligencji wiejskiej, nie wiem w jakich celach osłaniających nasze błędy i braki. Nie demokraci, nie wyznawcy idei pańszczytniczej powinni wywlekać błędy szlachetczyzmu, ale my sami, podnosząc to, co godne, wyszydzać i karcić mamy to, co jest jeszcze w nas złego. Będzie to prawdziwy dowód odwagi cywilnej, najwyższa zasługa, którą społeczeństwu, pragnącym się podnosić i uznać — przynieść można. Poznajmy samych siebie! bo wątpliwości nie ulega, że tłumimy tylko przez naszą aptykę te wrodzone przymioty charakteru, których odpowiednie spożytkowanie dałoby nam możliwość zajęcia stanowiska, wyznaczonego nam przez potrzeby kraju i przez ducha tradycyi całej przeszłości.

Reasumując zarzuty stawiane ziemiaństwu pod względem jego działalności zawodowej, główne złe widzimy: 1-sze w nagannem odosobnieniu pracy, nie pozwalającym na szerszą wytwórczość, odpowiedzialną obecnym warunkom produkcji, 2-ie w braku zmysłu i chęci do organizowania stowarzyszeń, stanowiących prawdziwą siłę obecnych czasów, 3-ie w fałszywym kierunku edukacji młodzieży ziemiańskiej, i 4-e w traktowaniu rolnictwa, jako rzemiosła tylko, co pomimo niezaprzeczonej pracy i zabiegliwości rolników, musi ujemnie oddziaływać na powodzenie przedsiębiorstwa, którego dziś nie można już prowadzić za pomocą empiryzmu i formułek z dnia na dzień zdobywanych, lecz za pomocą wszechstronnej znajomości jego naukowych zasad i baczego śledzenia faktów, zdobytych przez wiedzę i doświadczenie.

W życiu towarzyskim ziemiaństwa, w obyczajach dworów

wiejskich nastąpił również przełom tej doniosłości, że charakter tego życia w zupełnie odmienne przyoblekł się formy, przedstawiając pewne ujemne strony przez to, żeśmy zachować nie umieli miary w restrykcyach, że, usuwając rzeczy złe i naganne, porzuciliśmy z nimi razem przymioty, właściwe polakom i ten urok, jakim zawsze było otoczone życie dworów wiejskich.

Ciężkie położenie materyalne, w którym znalazły się rodziny obywatelskie po reformie 1864 r., przymusowo poniekąd kazało wziąć rozbrat z hulaszczem, niepomiarkowanym życiem przez zaprowadzenie bezwzględnej oszczędności w budżetach domowych. Bałe, wyjazdy za granicę, kult zielonego stolika, okazałe cugi, w ogóle komfort, przekraczający zwykle miarę dochodów szlachcica, ustąpił miejsca oszczędności, ograniczeniu potrzeb do rozmiarów najskromniejszych i wykorzenieniu owęj „fantazyi szlacheckiej“, która, mając wszelkie cechy lekomyślności, niezbyt pochlebną opinią wyrobiła nam w świecie.

Była to reforma konieczna, z tém jednak zastrzeżeniem, by nie doprowadzać jej do ostateczności i niezatracać obyczajów koniecznych w obcowaniu między sobą ludzi. Piękne strony dawnego życia dworów wiejskich posiadały urok i przymioty, których zatracać nam nie należało. Nieporównana gościnność, serdeczność a nadewszystko wytwarzająca się na podstawie życia towarzyskiego solidarność ziemiańska, powinny być zawsze głównem tłem naszych obyczajów i cechą charakteru obywateli wiejskich. Charakterystycznym znamieniem dawnych czasów było, że szlachta polska szła łąką, ręką w rękę broniąc usilnie własnych interesów i stanowisk, a chociaż tą drogą zdobyto przywileje z krzywdą innych stanów, chociaż zbyt bezwzględnie wyzyskiwano położenie na korzyść interesów szlacheckiego, to jednak pięknym był widok tych ludzi krew własną i mienie poświęcających w usługach współbraci, potężną była owa solidarność poczucia celów zawodowych i społecznych. Dziś, organizacya państwowa nie pozwoliłaby na nadmierne wyzyskiwanie położenia przez klasę silną materyalnie i inteligentnie, sami jej wreszcie przedstawiciele dążeń tych z pewnością by nie okazywali, natomiast poczucie obowiązków i praw wzajemnych na podstawie życia towarzyskiego, wyrobionego wśród ziemianstwa, stanowiłoby potężny czynnik powodzenia i poszanowania stanu rolniczego.

Niestety jednak istota obecnych stosunków na wsi nie każe się spodziewać, by serdeczne nawiązanie życia towarzyskiego pozwoliło z całego ziemianstwa wytworzyć jakby jedną rodzinę, sympatyzującą w dążeniach, poświęcającą się w usługach wzajemnych i dającą wzór zgody i miłości. Czasy się zmieniły, sympatye zastępyły a ponad braterskiem uczuciem góruje egoizm, wyradzający zupełny indyfortenizm na najbliższe nam sprawy. Usprawiedliwić do pewnego stopnia ten niepożądany nabytek można, bo czasy w których utrzymywać należało pozycye kosztem prawie zupełnego usu-

nięcia się od świata, wyrzeczeniem się najprzyjemniejszych i najdroższych stosunków, w czasach, gdzie brat bratu gotów był wydrzeć łyżkę stawy a walka o byt w całej jaskrawości wystąpiła, nie mogło być mowy o ideach szczytnej miłości i poświęcenia. Lecz z chwilą nastania względnej przynajmniej równowagi, warto byśmy powrócili do obyczajów niezrównany urok i moralne korzyści nadających życiu wiejskiemu. Pozorowo, tu i owdzie stosunki towarzyskie ziemiaństwa nie pozostawiają wiele do życzenia, są to jednak formy naciągnięte, w niczem nie przypominające dawniej serdeczności. Wyziębiliśmy serca, zbyt pozytywnie zapatrujemy się na ludzkości cele a serdeczność i szczerotę wzajemnego obcowania, zastępujemy sztywnym i etykietalnym spełnianiem form towarzyskich. Nie mam tu bynajmniej na myśli powrotu do hucznych i zbyt kownych uczt dawniej szlachty, ze wstrętem odwracam się od bachanalii węgrynowych, lecz w bardziej, aniżeli dziś, ożywionem życiu sąsiedzkim ziemiaństwa upatruję możność wytworzenia się uczuć, uszlachetniających życie i umilających znojną naszą pracę. Pessimizm, cechujący prawie całe ziemiaństwo obecnie, wypłynął nie tylko w skutek niepowodzeń materialnych; dał nam go smutek, okalający dziś życie wiejskie, obumarcie stosunków sąsiedzkich i zanik rozrywek szlacheckich, w braku których najtęższy umysł musi powoli pograżać się w zniechęceniu, w mizantropii szkodliwej i dla nas samych i dla ogólnych objawów życia. Pomimo znacznego obniżenia się zasobności materialnej ziemian, są oni jednak ludźmi dość zamożnymi, by na przyzwoite utrzymanie stosunków towarzyskich pozwolić sobie mogli. Wpływ, wywierany przez te stosunki na intelektualne i moralne przymioty rodzin, nie da się niczem zastąpić; na wsi zaś są one nieuknioną potrzebą człowieka cywilizowanego. Nie rozszerzając się zbyt nad tą kwestyą charakteru bardziej prywatnego a jednak ściśle związaną ze społecznymi sprawami ziemiaństwa, nadmieniamy tylko, że zawarcie stosunków towarzyskich na wsi w przeważnej części należy przypisać niewłaściwemu postępowaniu ziemianek, które jak zwykle kobiety, z przesadą stosują niektóre ograniczenia, a zbyt zajęte prądami emancypacyjnymi lub forsowaniem edukacji „cudownych dzieci,“ zapominają o posłannictwie kapłanek ogniska rodzinnego.

.....

Naszczicowawszy zawodowe i towarzyskie stanowisko inteligencji wiejskiej, przyjrzyjmy się jej działalności społecznej, naturalnie z zupełnym uwzględnieniem warunków, krępujących tę działalność w szerszym znaczeniu.

Przeszłość licznymi dowodami stwierdza, że polacy gorliwy brali udział w życiu publicznem. Czy uczestnictwo to dodatnie lub ujemne wywołało następstwa, rozstrząsać w tym miejscu nie będziemy; chodzi nam tylko o wykazanie tego znamionnego rysu charakteru naro-

wego, który z krwią odziedziczony, z pokolenia w pokolenie przechodzić powinien. A jednak jesteśmy świadkami wprost przeciwnego objawu, mianowicie, pewnej abstynencji w życiu publiczném, z wyjątkiem tylko skromnego udziału w samorządzie gminnym. Przyczynom tój ujemności bliżej przyjrzyć się należy.

Pierwszą z nich jest jednostronny pogląd i tradycyjne przekonanie o zakresie spraw publicznych, w których ziemiaństwo uczestniczyć powinno. Wspomnienia o działalności dawniej szlachty polskiej na polu spraw politycznych i ustawodawczych, o dominującej i żadnych przeszkód nie spotykającej roli, którą ziemiaństwo rzeczypospolitej odgrywało, wywołują reminiscencye choćby ograniczonej; lecz w zasadzie podobnej działalności. Reminiscencye te każą sądzić, że tam gdzie szranki wielkiej polityki są zamknięte, nie ma już pośrednich, mniejszego znaczenia dróg do wykonywania usług publicznych. A u t - a u t powiadamy sobie; albo dzierżenie stanowisk dominujących, bez opozycji i ograniczeń, niech będzie naszym udziałem, lub z dumą hidalgów, z poczuciem obrażonej godności własnej usuwamy się ze szranek świata, który wielkości naszej ocenić nie umie, nie trudzimy się z noszeniem drobnych cegiełek, choćby najokazalszy z nich z czasem gmach miał powstać... Taka wygórowana ambicya dobitnie świadczy, że rozum stanu i wyrobienie poczucia obowiązków obywatelskich w tój chwili nie mogą być zaliczone do właściwości naszego charakteru. Trudem tylko, poświęceniem, apostołowaniem nauki, korzystaniem z najdrobniejszych choćby ścieżek kroczenia ku celom ogólnym, zdobywać powinniśmy stanowiska dla zadowolenia własnych sumień i zyskania miana inteligencji prawdziwej. Spadkowe przywileje upadły bezpowrotnie, zdobywać nam je potrzeba własnym wysiłkiem.

Drugą z przyczyn, tamujących życie publiczne ziemiaństwa, jest życie osobnicze, któryśmy scharakteryzowali już poprzednio, jako jeden z najujemniejszych rysów tegoczesnej inteligencji wiejskiej. Obywatelem kraju nie zdoła być jednostka, której godłem własne ja; ona nie nagnie się do obowiązków, wymagających pewnego poświęcenia; człowiek, zamykający świat swój kołkami bramy folwarcznej i poza kopcami parafialnymi nie widzący innych horyzontów nie będzie nigdy pożytecznym obywatelem kraju. Tę brzydotę charakteru nie myśmy, co prawda, w sobie wytworzyli, lecz zbieramy owoce z nasienia, zasianego przez siewców szkoły pozytywnej, której dogmatów, głośno im nie wierząc, w duchu przyswoić ich sobie nie omieszkaliśmy. Zdruzgotawszy wszystkie nasze ideały, całą działalność społeczną zamykając w brutalnej walce o byt, wymyśliwszy jakieś hasła jednostronnej pracy organicznej, pozytywizm—choć temu zaprzeczamy—licznych znajduje prozelitów wśród inteligencji wiejskiej. Jestem pewny, że gdyby apostołowie praktycznego życia wystąpili ze swemi nowinkami w czasach względnej choćby

pomyślności ziemiaństwa, przyjętoby ich śmiechem i drwinami, ale idee materyalistyczne w właściwą porę padły na grunt szlachecki, trafiły właśnie na chwilę, gdy niesłychany pogrom własności ziemskiej kazał zapomnieć o ideałach cnoty, piękna i o społecznym posłanictwie. Zbieramy więc pełną garścią plon pozytywizmu—daj Boże! by świadomość i energia społeczna umiała jeszcze ten chwast wyplenić.

Dopełnieniem przyczyn apatii inteligencji wiejskiej jest najcięższa z chorób, dotykających organizm społeczny, t. j. *p e s s y m i z m*, zaaklimatyzowany już na dobre wśród ziemiaństwa i wyrządzający spustoszenia, z którymi żadne przesilenia, konkurencje i rewolucje agrarne mierzyć się nie mogą. Wali on obuchem w głowy szlacheckie, obezsila energią, mężów zamienia w płacziwe dzieci i z każdej strony, na każdym polu gangrenę wyradza. To bakteryja gorsza od laseczników cholerycznych, jad wszczepiający się tchnieniem powietrza i krążeniem swém obejmujący coraz szersze sfery. A tymczasem strasznej tej choroby nie można usunąć zapomocą przeciwdziałania jakiegóś nadnaturalnej wakcyny ochronnej. Tylko trzeźwości poglądów, tylko wzmocnienia charakterów upadłych! a zaraza z pierwszą mgłą się ulotni. Dwadzieścia pięć lat, na wzór płaczek grobowych wygłaszamy żale nad upadającym przedsiębiorstwem, dwadzieścia pięć lat prorokujemy z dnia na dzień, z godziny na godzinę koniec naszego dzieła, a rolnictwo żyje, trwa i z podniesionym sztandarem druzgocze przeciwności. Czegoż bielmo oczy nam zasłania? czemu nie otrząśniemy się z trwożliwości, widząc, że prawa przyrodzone ludzkości i ekonomiczne warunki produkcji nie dadzą nigdy upaść żywicielowi narodów. Czy jakikolwiek przemysł ludzki przechodził tak straszne wstrząśnienia jak rolnictwo nasze po reformach agrarnych z 1864 roku, czy którakolwiek wytwórczość znalazła się kiedy na raz pozbawioną pracy, kapitału, inteligencji. I potrafilismy zdobyć te czynniki i żyjemy—kto wie, czy nie silniejsi aniżeli przed laty? Więc mrok pesymizmu do tego stopnia zasłania nam widnokręgi, że nie widzimy jak pierwiastki chwilowo mocniejsze i zwyciężkie, niebawem giną zwalczone pracą człowieka, zgniecione potęgą geniuszu ludzkości? I zaiste, chcąc zwalczyć pesymizm nie potrzeba nam wyszukiwać środków nadnaturalnych, lecz potrzeba tylko trzeźwości poglądów, która sprowadziwszy do właściwej miary niebezpieczeństwo, pozwoli czerpać siłę do zniesienia jego resztek w przekonaniu o niezwalczonej potędze rozumu i pracy!

Zapoznaliśmy się z trójcą wampirów, ssących obecnie organizm szlachecki, a chociaż przyszło nam ją scharakteryzować w chwili, gdy mowa o wadach życia publicznego ziemian, trzy owe kwiaty zgniłe zatruwają zarówno działalność społeczną, jak towarzyską i zawodową inteligencji wiejskiej. Miejmy więc wciąż na uwadze błędy powyż-

sze, bo samo odczucie ich niepomiernej szkodliwości prostą drogą prowadzić musi do odrodzenia ziemiaństwa i zaszczepienia w jego organizm pierwiastków niespożytej siły.

Rzuciwszy anatema na nasze wady, słyszymy czytelnika, pytającego nas o radę ku wyjściu z fatalnego koła. Prawda — *la critique est aisée, mais l'art est difficile*; nie chcąc więc być posądzonym o ogólnikowe frazesowanie na temat obrany, krótko i treściwie postaram się w praktyczne ująć ramy program działalności inteligencji wiejskiej. Zastrzegam tylko, że nie zawsze i nie wszędzie o wszystkim mówić można i że samo poznanie zła już stanowi wskazówkę zapobieżenia jemu. I zamiast apostołowania nowych reform, zamiast bawienia się w hipotezy, weźmy w rachunek rzeczy praktyczne i wykonalne, kładąc główny nacisk na to, cośmy r o b i ć n i e p o w i n n i, bo w ten sposób poznamy, co nam r o b i ć n a l e ż y.

Sięgając myślą w najdrobniejsze i doniosłjsze objawy życia wieśniaka, jako przedsiębiorcy zawodowego, takiebyśmy radzili zaproponować zmiany:

Zamiast uważania rolnictwa za rzemiosło — a nie za naukę, za robotę — a nie za pracę, rozejrzyjmy się w położeniu, które nam objaśni, że przemysł rolny dawno już wyszedł z pieluch niemowlęcych, ale poddany badaniom wiedzy i doświadczeniom praktycznym, co chwila przynosi zdobycze, obalające wiele rzeczy, któreśmy za niewzruszone dotąd uznawali. Nie wystarcza więc już być oszczędnym, pracowitym, zbiegłym, lecz trzeba śledzić z wyteżoną uwagą za naukowymi objawami wiedzy, badać systemy rolnictwa postępowego, zapoznawać się z najnowszymi melioracyami technicznymi. Tą drogą ochronimy sobie wiele bezużytecznych wysiłków, produkować będziemy mogli taniej i więcej. Poczucie konieczności specjalnego uzdolnienia uchroni nas od zaprzepaszczania naszych dzieci, przyszłych rolników, w edukacji nie odpowiadającej potrzebom zawodu. Raz wybijmy sobie z głowy ową przezorność *en tout cas*, nakazującą synowi ziemiańskiemu prócz właściwego zawodu posiadać jakiś fach odrębny, który mu, po zdewastowaniu przezeń majątku, pozwoli — równie przypuszczamy umiejętnie — eksploatować inżynierię, czy medycynę; dawno już powinniśmy się byli przekonać, że młody człowiek u nas nie może rachować na kariery w innych zawodach. Wreszcie, pomijając nawet obowiązek inteligencji zasilania szeregów ziemiaństwa siłami specjalnie wyrobionymi, a nie dyletantami, widzimy z nauki historii, że warunki bytu ludzkości wyznaczają rolnictwu zawsze pierwsze stanowisko, nie ma więc obawy, by przedsiębiorstwo to kiedykolwiek zamarło lub niepopłatnym się stało. Zwracając się zaś do zadań chwili bieżącej, pytamy się: co jest lepij, czy, zabiwszy kółkami wrota folwarczne, pracować z wysiłkiem najwyższym, lecz bezskutecznie, czy też korzystać z usług, które społeczeństwu oddaje działalność zbiorowa? Mówiąc o spółkach rolniczych, staraliśmy się objaśnić korzyści, które one zapewniają stowarzyszeniom,

staraliśmy się udowodnić potrzebę przymusowej, koniecznej organizacyi, umożliwiającej produkcją na wielką skalę. Zamiast nieufności, jaką otaczamy sąsiadów, spróbujmy zawiązać z niemi niewielką spółkę w pewnym określonym kierunku operującą, a po pewnym czasie w zakres jej wciągnąć będziemy mogli i większą liczbę uczestników i znaczniejszą ilość interesów. Spotęguje to znacznie zasobność materyalną ziemiaństwa i pozwoli wytworzyć rolnęj utrzymać się na stanowisku pierwszorzędnego dostarczyciela artykułów pokarmowych. Nie sądzimy, by kiedykolwiek mała produkcya i mała własność były w stanie wytwarzać więcej po nad własne potrzeby; prowiantowanie milionowych ludności miast zawsze należyć będzie do wielkiej produkcyi i wielkiej własności, im zatem ta ostatnia silniej będzie zorganizowana, tćm tanićj i więcej produkować też będzie, tćm stosunki ekonomiczne korzystniej i dla rolnictwa i dla całych społeczeństw układać się muszą. Skoro zaś drogą stowarzyszeń najwłaściwiej cel ten osiągnąć, uważać je należy za wytyczny program tegoczesnego rolnictwa, nie zaś tak, jak jest obecnie, w błędnćm odosobnieniu, w jednostronnćj produkcyi marnować siły, którym tak szczytne wyznaczono zadanie. W przyczynach tu wymienionych spoczywa główna ujemność stosunków zawodowych ziemiaństwa, w nich trudność postawiona rolnictwa na stopie, odpowiadającćj wymaganiom, a zupełnie możliwej, jeśli tylko dolożymy usiłowań, by wykorzeńić owe błędy z a w o d o w e, co można przeprowadzić bez wysiłku, bez ryzyka, a jedynie dobrą wolą i poczuciem własnego dobra.

Jeśli praktyczność, a raczej materyalizm tak silnie zawładnął inteligencyą wiejską, dziwić się należy, dla czego życia towarzyskiego nie umiemy wyzyskać w utylitarnych celach? Należy bowiem wziąć pod rachunek co będzie korzystniejsze, czy oszczędności zyskane kosztem ograniczenia stosunków sąsiedzkich, czy suma zysków, które człowiek osiąga i pozostając w związku z ludźmi, których doświadczenie, wiadomości i opinie może na rzecz własną spożytkować. Wprawdzie korzyści pierwsze obliczają się na pieniądze, drugie są znaczenia moralnego, ale czy zyski z tych ostatnich osiągnięte nie podnoszą dobra materyalnego? Smutnćm jest, gdy etyczne i intelektualne nabytki oceniać trzeba według ich wartości pieniężnej, lecz umyślnie używamy tu tego porównania, by wykazać jak kruchemi są motywa, usprawiedliwiające zamarcie życia towarzyskiego na wsi, przez względy oszczędnościowe. Wystawmy sobie, że ziemiaństwo przeprowadza następującą reformę towarzyską: dawną banalność rautów parafialnych, winta panów i plotki pań, zastępujemy zebraniami, których pierwsze chwile gospodarze obracają na pogadanki o rolnictwie, komunikując sobie spostrzeżenia nad potrzebami chwili, rozpatrują najnowsze teorye rolnicze, a panie radzą nad kierunkiem edukacyi dzieci, mówiąc o szkołkach wiejskich i ochronach i obmyślają w jaki sposób podnieść eksploatacyą drugo-

rzędnych gałęzi gospodarstw wiejskich, będących w ich bezpośrednim zawiadywaniu. Następnie całe towarzystwo zgromadza się wspólnie, by się zająć zabawą artystyczną, muzyką, śpiewami i deklamacją, oraz sprawami, kształcącemi ducha, zaspokajającemi potrzeby istot myślących. Na zabawy mniej poważne, na właściwe bale i rozrywki, których nie należy kasować, bo wieś nie jest klasztorem, zawsze się zdarzy sposobność podczas uroczystości rodzinnych; a tęp one będą przyjemniejsze i swobodniejsze, że towarzystwo w nich uczestniczące już zna się dobrze, że go owiewa serdeczność i szczerść, nabyte podczas zebrzań o charakterze poważnym. Jakież wtedy korzyści osiągnąć może ta „gromadka“ serdecznymi związkami połączona, jak świetlany obraz przedstawi nam ten solidarny zastęp ludzi, ożywionych nietylko wspólnymic elami pracy, lecz i dążeniami duchowych potrzeb! A zawód sam, a rolnictwo ileż na tęp zyskają! Jakiępby nie było intelektualne wyrobienie pojedynczego rolnika, ze spostrzeżeń i uwag sąsiadów czerpać on może pożyteczne wskazówki, a wreszcie sam powinien dzielić się z braćmi wiedzą, którą posiada. Wreszcie zebrania sąsiedzkie dają pole do postanowień ogólnego znaczenia, pozwalają obmyśleć drogi postępowania z ludem i przyjścia mu z pomocą, wskazują w jaki sposób zaradzić potrzebom rolników, znajdujących się w cięższém położeniu i w ogóle przysposabiają grunt do wyrobienia społecznego, do działalności obywatelskiej, w braku których zeszlismy dziś do rzędu popychadeł, z którymi się nikt nie rachuje, zajęlismy stanowiska podrzędne, nie licujące ani z; moralném ani z materyalném zadaniem i obowiązkiem ziemiaństwa. W ten zatęp prosty sposób przeprowadzona reforma towarzyska życia wiejskiego, da nam możność, wykorzystnienia naszych błędów w t o w a r z y k i c h.

Gdy na myśl przychodzi przeszłość, pełna objawów gotowości ziemiaństwa do pracy publicznej, widzimy jak wielkim jest, pod tym względem, odskok przekonañ i działalności tegoczesnej inteligencji wiejskiej. Porównañ między dawniejszemi i teraźniejszymi szrankami życia publicznego, naturalnie robić nie można, natomiast, powoławszy się na fakty, zobaczymy, czy istnieją warunki, któreby obecnie pozwalały ziemiaństwu ujawniać potrzeby rolnictwa przy pomocy społecznych instytucji i w jakich rozmiarach rolnicy udział w nich przyjmują. Rachujemy się z tęp, co jest i nie mówimy o tęp, co być powinno. Przed kilkoma laty powstałe u nas Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, między innemi oddziałami utworzyło sekcją rolną. Nie przesądzając wpływu tęp instytucji na sprawy rolnictwa, przyznać należy, że na razie stanowiła ona jedyny organ publiczny pierwszorzędnego przedsiębiorstwa, z którego usług należało korzystać, w braku innych, w bardziej szerokiach rozmiarach działających instytucji. Tymczasęp sekcya od samego początku obojętnie przyjęta przez rolnictwo, dziś zamiera. Nadzwyczaj sła-

ba frekwencya uczestników, których sekcyja ta powinna posiadać najwięcej, uniemożliwia częstsze zebrania członków, a nadewszystko przebiegowi spraw omawianych nadaje charakter dysput, jakby z łaski i tylko dla formy prowadzonych. Innyby zupełnie sprawy obrót wzięły, gdyby sekcyja liczyła w swém gronie przedstawicieli większości rolników, gdyby uwzględniono ogólne potrzeby i zbiorowo w poparciu ich występowano. Kilku ludzi prawdziwie rozumnych i dzielnych, stanąwszy na czele sekcyi, nie jest w stanie podolać zadaniu, a wreszcie, wobec zupełnej obojętności rolników, nie widzą potrzeby tracenja czasu na zajęcia, które pożądanego rezultatu nie przynoszą. Być może, że ogół rolników znaczenie sekcyi wystawia sobie w rozmiarach o wiele skromniejszych, ale zaprzeczyć nie może, iż jako jedyna publiczna przedstawicielka interesów rolniczych, zasługuje na zajęcie się nią i poparcie, a w takim razie lekceważenie, jakie ją otacza, służy za dowód nadzwyczaj słabo rozwiniętej wśród ziemiaństwa chęci korzystania z usług instytucyi drugorzędnej, która jednak w obecném położeniu zastąpić powinna potężniejsze reprezentacye. Wreszcie, kruszymy w tój chwili kopią za sekcyą rolną w tym celu, by drobnym tym faktem dowieść, że kto zaniedbuje rzeczy mniejszego znaczenia, tem bardziej do stworzenia wielkich nie dorósł.

Jeśli by smutne dzieje wspomnianej instytucyi jeszcze niedostatecznie nas przekonały o panującej wśród ziemian apatyi, to zobaczymy w jaki to sposób korzystamy z dróg bezpośredniego odwoływania się do władz w chwilach, gdy pomoc ich staje się rzeczą konieczną. Gdy skutkiem ogromnego nagromadzenia zboża na stacyach kolei południowych w r. z. i niedostatecznego taboru przewozowego, groziły tamtęjszym rolnikom straty poważne, wysłali oni natychmiastowo deputacyą do ministeryum z prośbą, ażeby złemu zapobiegło. Po przychylném przyjęciu prośby, ministeryum bezwłocznie wysłało delegata z poleceniem usunięcia trudności i nakazało zarządowi kolei wypożyczyć potrzebną ilość wagonów od innych dróg. Gdy rolnicy środkowych gubernii Cesarstwa, odczuwając potrzebę podniesienia gospodarstw nabiałowych, nie mieli w tym celu ani kapitałów, ani uzdolnienia, odwołali się z prośbą o pomoc do władzy, która też niebawem sprowadziła majstrów, pobudowała fabryki i przedsiębiorstwa w ruch puściła. Podobnych przykładów zacytowaćbyśmy mogli wiele, lecz żaden z nich — niestety, z tutejszych stosunków zaczerpnąćby się nie dał, a śmieszny byłoby utrzymywać, że trudno nam mierzyć się ze szczęśliwymi i bardziej uprzywilejowanymi. Gdzie idzie o sprawy ekonomiczne tam dobrze zrozumiany interes skarbu każe mu uwzględniać potrzeby wszystkich stref państwa. Ta bezradność ziemian równie charakterystycznie się zaznacza w stosunkach do ludu wiejskiego, których konieczność w duchu harmonijnego działania uznajemy, lecz obracając się wciąż w teoretycznych poglądach, w żaden sposób nie możemy ująć do ładu z praktyką. Że taka bezradność obejmuje nawet najbystrzejsze umysły, dowodem ta okoliczność, że gdy piszący te słowa

przed niedawnym czasem umieścił w „Bibliotece Warszawskiej“ artykuł p. n. „Czém jest dziś lud wiejski,“ to bardzo wytrawny krytyk i poważny publicysta w jednym z dzienników, godząc się na poglądy autora, robi mu jednak zarzut w słowach: „a nam się zdaje, że kto potrzebę pracy nad ludem uznaje, powinien się starać w miarę możliwości wskazać konkretne wytyczne postępowania.“ Zaiste, forsowne to ciągnięcie za język, któryby rad wiele powiedzieć, a nie może i dla tego sądzimy, że na razie w danéj kwestyi wytyczne postępowania wskażą okoliczności, skoro ziemiaństwo program pracy zechce przenieść z frazesu teoretycznego w sferę wychowania praktycznego. Nie sądzimy, by tylko udział w samorządzie gminnym ziemiaństwa wyrabiał wpływ pożądany, to rzecz drugorzędne go znaczenia; ważniejszą jest stokroć praca w granicach własnej wsi i najbliższego otoczenia poczęta. Niech ziemianin zrozumie tylko potrzebę niesienia pomocy włościaninowi, niech pragnie go uspołecznic dla ogólnego i indywidualnego dobra, a w ciasnych na pozór sferach wioskowego życia znajdzie sposobność dojścia do celu. Włościanin nasz bardzo jest wrażliwy na rady i słowa książkowego człowieka, odczuwa i wdzięcznym być umie głęboko za dowody życzliwości i pomocy, a jeśli tylko nie z uprzedzeniem, lecz z pojęciami obywatelskimi zbliżymy się do ludu, zjednamy sobie jego szacunek, uznanie i wiarę. Wreszcie, sprawa stosunku inteligencji do ludu stanowi w niniejszej pracy jeden tylko z etapów podniesionej kwestyi, nie możemy jęj zatem szerzej rozwijać. Dołączając ją tylko do rysów niezadawalniającej działalności ziemiaństwa, zamykamy tém jednocześnie charakterystykę naszych błędów społecznych.

Pozostaje nam jeszcze przedstawić położenie ziemiaństwa pod względem jego zasobności materyalnej, dla dowiedzenia, że własność większa u nas, pomimo ciężkich przejść losowych zajmuje pierwszorzędne stanowisko ekonomiczne, że mamy się na czém oprzeć, chcąc po zreformowaniu obyczajów złożyć w ręce ziemian moralne kierownictwo spraw krajowych.

Cyfry pouczają, że z ogólniej przestrzeni ziemi, obejmującej 20,601,652 morgów, ¹⁾ własność większa t. z. prywatna posiada 9,943,955 m. ziemi, w czém 4,713,165 m. gruntów ornych czyli 47,40% przestrzeni, będących jęj własnością.

Na pojedyncze gubernie stosunek własności większej tak się rozkłada:

	morgów		morgów
gub. Lubelska .	1,249,854	gub. Kielecka .	562,288
„ Siedlecka .	918,762	„ Płocka . .	532,386
„ Warszawska	841,609	„ Łomżyńska	407,031
„ Kaliska . .	753,092	„ Radomska	397,264
„ Piotrkowska	660,509	„ Suwałkoska	286,906

¹⁾ W. Załęski. „Własność ziemska w Kr. Polskiem.“

Największe zatem przestrzenie należą do własności większej w gub. Lubelskiej, najmniejsze w gub. Suwałkoskiej.

Jeśli posiadłości, obejmujące od 100 morgów, zaliczymy do własności większej, pod względem ilości właścicieli i ilości posiadanych przez nich gruntów, to otrzymamy kategorye następujące:

	Ilość właścicieli	Ilość m. gruntu
Od 100 do 500 morgów.	2,908	791,959
„ 500 „ 1000 „	1,852	1,321,654
„ 1000 „ 5000 „	2,101	4,116,058
więcej niż 5000 „	201	1,981,478

Większych właścicieli ziemskich ze szlachty w Kr. Polskiem jest 7,062 i ci posiadają 90 $\frac{1}{2}$ % ogólnej przestrzeni rolniczej, należących do szlachty; średnio zaś posiadłość wielkiego właściciela wynosi 1,163 morgów.

Najwięcej własności większych pod względem przestrzeni przypada na kategorye od 1000 do 5000 morgów. Tej kategoryi posiadłości jest 4% sumy ogólnej, a należące do niej grunty stanowią 45% ogólnej przestrzeni własności szlachty.

Pod względem ilości własności cyfry powyższe rozdzielają się na gubernie w sposób następujący:

gub. Lubelska .	280	gub. Płocka .	218
„ Warszawska	265	„ Radomska	185
„ Kaliska .	263	„ Kielecka .	180
„ Piotrkowska	257	„ Łomżyńska	125
„ Siedlecka .	226	„ Suwałkoska	102

Posiadłości szlacheckich, mających więcej niż 5,000 morgów gruntu, jest 201, a należy do nich z ogólnej przestrzeni dóbr szlacheckich prawie 22%. Podług gubernii, powyższa ilość rozdziela się jak następuje:

gub. Lubelska .	42	gub. Piotrkowska	16
„ Siedlecka .	40	„ Łomżyńska	14
„ Warszawska	29	„ Płocka .	13
„ Kielecka .	18	„ Radomska	8
„ Kalińska .	16	„ Suwałkoska	5

Prócz powyższych przestrzeni wzięby należało w rachunek grunta należące do rządu, instytucji publicznych i stowarzyszeń, jako znajdujące się w czasowym posiadaniu inteligencji wiejskiej, dzierżawców, administratorów i t. p., które to grunta obejmują 2,087,564 morgów, w czem 522,059 m. gruntów ornych.

Widzimy tedy, że z wyjątkiem gubernii lubelskiej i suwałkoskiej, przedstawiających najwyższy i najniższy stosunek władania ziemią przez szlachtę, w innych guberniach stosunek ten z niewielkimi zmianami jest jednakowy a i ilość posiadłości mniej więcej równa.

Stosunek zaś procentowy własności większej do innych własności przedstawia się jak następuje:

własności prywatnej.	48,27%
gruntów włościańskich.	41,60%
własności skarbu, instytucyi etc.	10,13%
<u>razem 100</u>	

Choćbyśmy nawet od powyższej ilości odłączyli grunta cudzoziemców, mieszczan, kupców i innych stanów, obejmujące ogółem 872,327 m. czyli 4,24%, to jeszcze stosunek procentowy własności szlacheckiej (44,03%) zalicza te własności do kategorii największej. Ze zaś własność ta pod względem produkcji, zajmuje pierwsze stanowisko i nadaje krajowi jego właściwy charakter eksportera płodów rolniczych, czego o własności małej, wytwarzającej tylko na własne potrzeby powiedzieć się nie da, widocznym jest jak wielkie znaczenie przywiązywać należy do własności większej, o ile chodzić nam powinno o podtrzymanie jej sił eksploatacyjnych.

Co się tyczy wysokości produkcji gruntów dworskich, z czego wyprowadzićby można ocenę, o ile gospodarstwa te odpowiednio eksploatują ziemię, nie jesteśmy w możności podać cyfr ścisłych, gdyż statystyka nasza w ogóle uboga, pod tym względem zwłaszcza najbardziejnie daje obliczenia. Jeślibyśmy mieli wierzyć tym cyfrom, to średni urodzaj na gruntach dworskich dawałby 4,6 ziarn oziminy i 3,9 jarzyny, czyli plenność najgorszych gospodarstw rolnych, podczas gdy nierzadkie są wyjątki, że folwarki dworskie dobrze gospodarowane — a tych jest bardzo wiele — przeciętnie otrzymują 9 — 10 ziarn pszenicy, 6—7 ziarn żyta i 8—10 ziarn jarzyny. Faktem zaś jest tablicami wywozowemi stwierdzonym, że w ciągu lat dwudziestu pięciu eksport zboża z Królestwa, to jest eksport będący wytworem gospodarstw większych, podniósł się średnio rocznie o 22%, a w niektórych latach sięgał 30-tu procent. Najlepszy to dowód wzmagającej się intensywności gospodarstw folwarcznych, świadectwo rozumiejszych usiłowań rolników, które spotęgują się jeszcze z chwilą, gdy zdołamy zastosować systemy obniżające kosztą produkcji a skoncentrowawszy siły, zreformujemy wadliwość organizacyjną gospodarstwa.

I nie tylko w dziale produkcji zbożowej zrobiła własność większa u nas znaczne postępy; wszystkie bowiem gałęzie wytwórczości rolniczej o wiele umiejętniej są eksploatowane. Hodowla, drugorzędne przemysły wiejskie, jak sadownictwo, pszczelnictwo, rybołówstwo jakościowo i ilościowo się podniosły, a chociaż ziemianie utrzymują, że mimo to dochody z gospodarstw się nie zwiększają, jest to następstwem przesilenia wszechświatowego, które jako przejściowe, po pewnym czasie dopiero dozwoli rolnikom korzystać z owoców ich pracy umiejętniejszej.

Niepodobna nam rozszerzać się zbyt znacznie w nagromadzeniu

dowodów udoskonalen technicznych w folwarkach dworskich, sprawa to bowiem wymagająca miejsca wiele, zbyt wiele a przytem ogólnie znana; pragniemy natomiast zwrócić uwagę na okoliczność przece-nianą fałszywie, a wytwarzającą popłoch i zniechęcenie rolników do ziemi, oraz błędne przekonanie ogółu o zrujnowanem położeniu rol-nictwa. Mówimy tu o obdłużeniu większej własności, czego następ-stwem ma być upadek kredytu, deficyty budżetów gospodarczych, nie mogących pokryć zobowiązań względem wierzycieli i częste licytacje przymusowe majątków ziemskich. Nie zaprzeczamy znacznego ob-dłużenia hipotek ziemiańskich, które jednak jest rysem charaktery-stycznym własności większej w ogóle (Niemcy, Austro-Węgry, Fran-cya i i.), a przytem głównym wierzycielem naszej własności jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, to jest wierzyciel względny i pobie-rający procent, nie wyższy od zwykłej renty gruntowej dobrze prowa-dzonego majątku. Jeśli zaś wyczerpawszy kredyt hipoteczny (obciążający na 65—70% wartość majątków), ubolewamy nad niedostęp-nością kredytu osobistego, który zaufanie swe cofnął rolnikom, jest to największe dobrodziejstwo, które nas spotkać mogło; gdyż zmusza właścicieli ziemskich do wytwarzania kapitału obiegowego wewnątrz-nemi siłami gospodarstwa, uczy oszczędności i rachunku. Wreszcie powoływanie się na wysoki stosunek dóbr wystawianych na sprzedaż przymusową również nie jest uzasadnionem, przerażać nas bowiem może tylko ilość dóbr, sprzedanych rzeczywiście przez Towarzystwo, ale nigdy cyfra dóbr na sprzedaż wystawionych. Wiadomo, że za-ległości w ratach Towarzystwu należnych są pewnego rodzaju kombinacją finansową rolników, którzy wolą płacić Towarzystwu kary i procent, wynoszące w każdym razie mniej, aniżeli procent od pożyczki u lichwiarza zaciągniętej. Tylko więc ilość sprzedaży może być miarą położenia i tu dochodzimy do przekonania, że nie przenosi ona cyfry zwyczajnej w przeciętnych warunkach interesów. Z ostatniego sprawozdania Dyrekcyi Głównej Tow. Kr. Ziemskiego widzimy, że na ogólną ilość 8,549 dóbr stowa-rzyszonych, wystawiono na sprzedaż pierwszą dóbr 505, na drugą dóbr 43, razem dóbr 548, z których w terminie pierwszym i dru-gim sprzedano dóbr 72, to jest nie cały 1%. Skądże więc prawo do rozpaczliwych wniosków nad „upadającą własnością ziemską?“

W ogóle pesymistyczne zapatrywanie się na położenie mate-ryalne ziemianstwa, wypływać może tylko z braku krytycznej oce-ny natury stosunków rolniczych. Zdaje nam się, że to jest prze-mysł, mogący w ciągu jednego roku zdułbować kapitał, i dla tego wi-dzimy to ciągle niezadowolnienie z rezultatów pracy rolniczej. Ja-kaś dziwna gorączka nas opanowuje i radziłyśmy w jednej chwili krociove zyski z przedsiębiorstwa osiągać. Ależ spokoju nam trze-ba! Rolnictwo nie jest giełdą, która grą losową i szwindlem tworzy wielkie fortuny i wielkie upadki, lecz przedsiębiorstwem, powoli, lecz pewnie zapewniającem rentę od kapitału i wynagrodzenie za pracę, a przy tém nigdzie przyrost wartości nie jest tak pewnym i stałym.

Dziś, w porównaniu z owymi nienormalnemi i wygórowanemi cenami, które w dziesięcioleciu 1872—1882 r. płacono, możemy utrzymywać, że cena ziemi spadła,—nie będzie to jednak słuszną oceną, gdyż przeciętny szacunek włóki ziemi u nas wynosi obecnie 2,500 rs., podczas gdy przed 1864 rokiem szacunek ten nie dosięgał 1,500 rubli. Zwyżka więc taka jest naturalnym przyrostem kapitału-ziemi i on to właśnie stanowi ostateczny zysk rolnika.

Więc ziemia nie jest warsztatem niewdzięcznym, lecz polem pracy najszlachetniejszój, wolnem od burz i wstrząśnień, a fałszywe i szkodliwe są prądy, przedstawiające rolnictwo nasze jako rzecz nieopłatną i zawodną.

W szczerych słowach przedstawiliśmy położenie naszej inteligencji wiejskiej; przygotowani zaś na zarzuty ze strony ludzi powierchownie na rzeczy patrzących, mamy jednak to niezłomne przekonanie, że umysły głębsze, bezstronne i krytyczne przyznają słusność powyższym zapatrywaniom, zgodzą się na pogląd, przedstawiający działalność ziemiaństwa w niezbyt dodatniem świetle bez zaprzeczania mu zalet, które zachować potrafiło. O to też właśnie powinno nam chodzić; jeśli bowiem wypowiadając choćby najboleńszą, lecz szczerą prawdę, odważymy się rzucić w oczy społeczeństwu naganę i wykazać jego błędy, bądźmy przekonani, że podrażniona ambicya ustąpi po pewnym czasie miejsca zdrowemu zmysłowi a przyrodzone poczucie sprawiedliwości wywoła przyznanie win własnych i szczerą chęć reformy obyczajów.

Ani na chwilę wątpić się nie godzi o możności, przemiany na lepsze naszych stosunków wiejskich. Błędy, któreśmy wykazali objaśniają, że tylko wielkie kataklizmy mogły spowodować tak znaczne odmiany, ale z chwilą, gdy czas i praca, załagodziły następstwa kataklizmu, gdy z nieco swobodniejszą piersią odetchnąć możemy zdrowszóm powietrzem, wrodzone, choć dziś uspione przymioty charakteru ziemiaństwa, otrząsną się ze snu przykrego, by dać ujście czynom dzielnym, pracy łącznej i gorliwemu spełnianiu obowiązków obywatelskich na polu pracy rolniczój, na polu działalności na ukowój i literackiej—nie mniej i na polu życia społecznego, towarzyskiego w ogóle. Wtedy to ujrzymy odrodzone ziemiaństwo na stanowisku, odpowiadającém potrzebom nietylko socyalnym i ekonomicznym, ale i duchowym, na ukowym kraju; zerwawszy z przeszłością, opartą na przywilejach, ziemianie utworzą ciało inteligencji narodu, staną się jego moralnymi kierownikami nie z mocy praw spadkowych, lecz własną zasługą zdobytych!

KILKA SŁÓW O POLSKIM TOWARZYSTWIE NAUKOWYM „SFINX”

założoném w Warszawie 1810 r.

napisał

Mathias Bersohn.

Na początku bieżącego stulecia zaczęły się tworzyć szczególnie w Europie zachodniej różnorodne stowarzyszenia, już to o charakterze poważniejszym, z dążnością polityczną, naukową, lub filantropijną, już też mające wyłącznie na celu wspólne zabawy i rozrywki. W ślad za tém powstały i u nas podobne stowarzyszenia, a nawet nabyły w krótkce niejakiego rozgłosu nietylko w kraju, lecz i za granicą. Stopień zainteresowania się miejscowego ogółu daném towarzystwem, zależał przedewszystkiém od mniej lub więcej wybitnych osobistości, które w niem brały udział, od żywotności i wagi wytkniętego celu, lub wreszcie od kwestyi, któremi się stowarzyszeni zajmowali. O takiego rodzaju stowarzyszeniach w kraju naszym powstałych, jak również o ich działalności, wielu badaczów ojczystej oświaty pisało. Ciekawego pod tym względem czytelnika odsyłamy do K. Estreichera (Bibliografia Polska, Kraków rok 1878. Tom IV str. 519-522), Wisłockiego Władysława (Krótka wiadomość o Towarzystwie literatów w XVIII-ym wieku, Lwów r. 1869), Smoleńskiego Władysława (Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce w XVIII wieku, odbitka z Ateneum r. 1887), nie wspominając już o innych autorach monografii i rozpraw w tym przedmiocie.

W żadnej jednak z owych prac, nie znajdujemy opisu, ani nawet pobieżnej wzmianki o istnieniu towarzystwa naukowego „Sfinx,” chociaż rzeczywiście zawiązało się ono w Warszawie na po-

czątku bieżącego stulecia i na swój pieczęci posiadało odpowiadający jego nazwie wizerunek mitologicznego człowieka-zwierza. Trudno jest dziwić się temu pominięciu, czy też niewiadomości, gdyż i nam tylko szczęśliwym przypadkiem udało się odkryć ślad powstania rzeczonoego Towarzystwa; natomiast, bliższych szczegółów o jego działalności mimo niez mordowanych z naszej strony zabiegów i poszukiwań, zarówno po publicznych i prywatnych księgozbiorach, jak i w papierach, pozostałych po założycielach tegoż Towarzystwa, nie zdołaliśmy dotychczas odnaleźć. Nie ulega przecież wątpliwości, że skoro Towarzystwo, o którym mowa, powołane zostało do życia, to tém samém przez pewien choćby najkrótszy okres swego istnienia musiało ujawnić jakąś działalność w zakresłonym przez siebie kierunku i celu. Może więc niniejsza notatka, daleka od wyczerpania przedmiotu, zachęci innych badaczy do podjęcia poszukiwań odpowiednich, które pozwoliłyby uzupełnić podane niżej szczegóły.

Towarzystwo „Sfinx” założoném zostało w Warszawie dnia 12 grudnia 1810 roku, przez osobistości poważne i powszechnie ze swych zasług na różnych polach pracy społecznej znane.

W zbiorach naszych posiadamy w rękopiśmie oryginał ustawy rzeczonoego towarzystwa. Ciekawy ten zabytek poprzednio był w zachowaniu u Panczykowskiego, nieodżałowanego artysty dramatycznego, po którego śmierci przeszedł przed laty kilku, na naszą własność.

Ponieważ, o ile wiemy, wzmiankowana ustawa nigdy jeszcze nie była ogłoszoną drukiem, ani też, pomimo najskrzętniejszych poszukiwań, nie spotkaliśmy się nigdzie z jej kopią, za stosowne przeto poczytujemy, całkowitą jej treść zamieścić tutaj. Przedewszystkiém zaś podajemy opis samego rękopismu.

Oryginał ustawy oprawny jest w żółty, dobrze zachowany pergamin, na którego zewnętrznych stronach widnieją suche, w stylu renesansu wyciski. Treść spisana jest na sześciu arkuszach in folio i składa się ze 130 paragrafów, podzielonych na siedm części—każda z osobnym nagłówkiem. Papier żółkły pod wpływem czasu, charakter pisma czytelny, lecz nie kaligraficzny: rękopism poprzedzony jest próżnym arkuszem papieru, tegoż samego gatunku. Ustawa rozpoczyna się słowami: „Prawo dla Towarzystwa herbu Sfinx”, — a kończy się własnoręcznymi podpisami jedenastu (nie zaś dwunastu według § 3-go Ustawy) założycieli Towarzystwa, oraz czteremastu, później, o ile się zdaje przyjętych członków. Oto imiona i nazwiska, owych założycieli i członków:

„Ludwik Adam Dmuszowski, (Dyrektor Teatrów Warszawskich), Prezes. Jan Gumowski, Członek, Konstantyn Janta, Adam Józef Jeziorański, Czł. Juliusz Józef Kolnarski, Czł. Józef Królikowski, (profesor, literat, autor wielu cennych dzieł w języku polskim), Bonawentura Józef Kudlicz, (artysta dramatyczny), Sebastyan

Antoni Piechowski, Józef Wolski, (artysta dram), Józef Zdanowicz, (artysta dram.), Aloizy Fortunat Żółkowski, (artysta dram. autor „Momusa“), Nepomucen Zglinicki, Mateusz Lubowidzki, Roman Młodzianowski, (Referendarz Stanu), Cypryan Zablocki, Józef Lubowidzki, (Prezes Banku Polskiego), Teoder Guzowski, Marcin Wągrowski, (artysta dram), Jan Olbrycki, Marcin Janiszewski, Adam Markowski, Karol Kurpiński, (Dyrektor Opery Warsz. późniejszy (r. 1820) Reaktor Tygodnika Muzycznego), Damas Dzierożyński, Marcin Marszałkiewicz, (artysta malarz), Ignacy F . . . (?) (podpis nieczytelny).

Pod temi podpisami, znajduje się pieczęć, przytwierdzona do papieru za pomocą trzech jedwabnych wstążeczek: dwóch koloru jasno-żółtego i jednej jasno-niebieskiego.

Pieczęć ta składa się z trzech odmiennęj barwy warstw laku, mianowicie: pośrodku jęj na warstwie oliwkowęj wyciśnięto godło Towarzystwa t. j. wizerunek Sfinksa; otacza go wązki pasek laku ciomno-popielatego, na którym widnieje wąż, trzymający ogon w paszczy, wreszcie: na warstwie laku czerwonego przyległęj do okręgu pieczęci, zamieszczono naokół napis:—Towarzystwo herbu Sfinx.

Dosłowna treść ustawy Towarzystwa, z wiernęm zachowaniem jęj pisowni, brzmi jak następuje:

PRAWO;

dla Towarzystwa Herbu Sfinx.

Tytuł pierwszy.

Co iest Towarzystwo Herbu Sfinx? Cel iego i Skład.

§ 1. Towarzystwo Herbu Sfinx dla tego tak nazwane, iż pierwiastkowa iego zawiązka bierze swój początek od zabawy Sekretarza, w którey wszelkie zagadnienia rozwiązywano, powinno bydź Towarzystwem ludzi tylko moralnych, wesolych i (ile to bydź może) uczonych.

§ 2. Celem iego będzie zabawa niewinna, uczona, niejednostayna, i bez żadney przynuki.

§ 3. Składać się może z iaknawięcey osób, których wybór w osobnym Tytule rozporządzonym zostanie. Teraz składa się tylko z dwunastu członków, których nazwiska dla wiekopomney pamięci i dla mocy prawa ninieyszego, porządkiem alfabetu włącznornęcznie przez każdego członka kładą się.

§ 4. Towarzystwo to będzie miało swoich urzędników, których skład na bydź następujący: 1) Prezes, 2) Podskarbi, 3) Konserwator, 4) Protokółista, 5) Zastępcza jeneralny, 6) Kancelista, 7) Komisarz ekonomiczny. Tych obowiązki niżej w szczególnym Tytule opisanemi będą.

§ 5. Pieczęcią towarzystwa iest wyobrażenie Sfinxa z napisem „Towarzystwo Herbu Sfinx“ a w około napisu wąż ogon w pysku trzymający godło wiecznego związku.

Tytuł drugi.

Posiedzenia, ich przedmiot—Obowiązki członków.

§ 6. Posiedzenia tego towarzystwa są iedynie celem iego zabawy, która powiększey części składać się ma z poezyi w różnym rodzaju, czytania dzieł rzadkich, muzyki i tego wszystkiego co towarzystwo na każdym poprzedniczem posiedzeniu uchwali.

§ 7. Mieysce posiedzeń od wyboru całego towarzystwa zależy.

§ 8. Posiedzenia tego towarzystwa co Szroda regularnie odbywać się, i o siódmey godzinie wieczornej niezawodnie zaczynać się mają.—Trwać będą przynajmniey do dziesiątey godziny wieczorem.

§ 9. Odbywać się mają przy iednym stole, na którym przed każdym członkiem narzędzia do pisania a przed prezesem obszerne naczynie znaydować się mają.

§ 10. Pisma będą iedne w czasie trwającego posiedzenia, drugie w domu wypracowane, a to za uchwałą towarzystwa i oznaczeniem, które pisma w iakim czasie wygotowanemi być powinny, a tey uchwale każdy ulegać będzie musiał.

§ 11. Dla nienarażenia skromności, i niepoznaki sprawcy pisma mniej trafnego lub dowcipnego, wszyscy złożą swe pisma do naczynia przed prezesem postawionego.

§ 12. Nie wolno kraść cudzey poezyi, lub płodem cudzego rozumu i sztuki się szczycić. Nie będzie atoli zabronioném piękne kawałki pisarzy polskich prozą napisanych wierszem przekładać lub z obcych ięzyków tłumaczyć, byle piszący wyraził czyią pożyczyl materyą.

§ 13. Kto nieobdarzony sztuką gładkiego rymowania, wolno mu w każdym zdarzeniu piękną prozą pisać, lub takową z ucinkami wierszy mieszać.

§ 14. Wygotowane pisma złożą członki wszystkie w naczynie § 9 oznaczone, a prezes w głos ie przeczyta.

§ 15. Pisma tym sposobem przeczytane oddane będą natychmiast konserwatorowi do zachowania, te zaś, któreby coś nie przyzwoitego obeymowały, lub nie były warte zachowania, zostaną zaraz po ich przeczytaniu w obliczu całego zgromadzenia spalonemi, a prezes winien będzie zamilczeć autora, choćby znał rękę piszącego.

§ 16. Dzieło, które iednomyślnie za godne uwieńczenia osądzoném zostanie, będzie wciągnietém w protokół na ten koniec przeznaczony, autor zaś (ieżeli się przyznać zechce) odbierze pochwałę z podpisami wszystkich członków porządkiem alfabetycznym i wyćisnieniem pieczęci towarzystwa.

§ 17. Pochwała takowa nie ma być w innych, iak tylko w następujących wyrazach zawartą:

„Towarzystwo Herbu Sfinx, uznawszy dzieło pod tytułem N N przez pana N N wypracowane godném być

„pochwały, ninieyszém w nagrodę temuż swe ukontentowanie oświadczą.“

„Działo się w Warszawie na posiedzeniu dnia N N — żadne zaś przydatki miejsca nie znajdują.“

§ 18. Za nieprzyzwoite te tylko uważanemi być mogą, któreby wbrew ustawom policyjnym zawierały coś rząd wyszydzącego, lub miało za cel wyśmiewanie polityki Europy, albo Monarchów żyjących. Słowem co się sprzeciwia ustawom krajowym i dobrym obyczajom nie może być materyą do pisania w towarzystwie.

§ 19. Za sprzeciwiające się dobrym obyczajom nie mają być uważane pisma wesołe i wolne.

§ 20. Prezesa powinnością będzie (choćby znał rękę) każdego zamilczeć piszącego i niewydawać jego nazwiska ani w czasie posiedzenia ani kiedykolwiek.

§ 21. Najszczególniejszym obowiązkiem będzie każdego członka naszego towarzystwa kochać swego współczłonka, w każdym zdarzeniu dopomagać mu, w niczem mu nie szkodzić, nieobmawiać go, zgoła żyć iak z bratem.

§ 22. Kto o przestąpieniu przeciwko wyżey nadmienionemu przepisowi oskarżonym i przekonanym zostanie, za pierwszą razą jako występny członek większemi literami w protokole zapisanym zostanie.

§ 23. Oskarżenie takowe może być bezimienne, lecz takowe przez włożenie w naczynie pisma dowodzącego wsparciem być musi. Dla zatamowania zaś fałszywych oskarżeń, winien będzie każdy oskarżyciel imię swe i nazwisko, opieczętowawszy oneż również w naczynie wrzucić.

§ 24. Jeżeli się okaże, iż oskarżenie pochodziło z nienawiści lub złości i było fałszywem, natenczas skoro zarzuty przez oskarżyciela uczynione dowiedzionemi nie zostaną, tenże za fałszywego oskarżyciela uznany i za takiego w protokóle większemi literami zapisany będzie.

§ 25. Nikt nie może być wedle § 22 karany, iak tylko po roztrząśnieniu sprawy przez całe towarzystwo, i wydaniu wyroku przez sekretne kręski.

§ 26. Każdemu oskarżonemu wolno się bronić przed zapadnięciem wyroku, i takowy nie inaczey iak tylko po nastąpieney obronie lub zrzeczeniu się oneyże wyrzeczonym być będzie mógł.

§ 27. Ktoby przeciwko § 21 powtórnie wykroczył, za niegodnego w towarzystwie wspólnie się kochającym członka uznany, i z protokołu wygluzowanym zostanie, a skoro to nastąpi, nie tylko nie wolno mu się będzie na żadném posiedzeniu towarzystwa znajdować, ale nadto winni będą członki strzedz się z nim obcowania.

§ 28. Niezbędną powinnością jest każdego członka żadnego posiedzenia nie uchybić, i skoro się iuż na niém znajdować będzie, nie wolno mu go opuszczać bez zezwolenia zgromadzonego towarzystwa.

§ 29. Jeżeli komu zatrudnienia ważne nie pozwalają znajdować się na posiedzeniu, winien to dniem przed sessją, a najpóźniej pół godziny przed iey zaczęciem na piśmie oświadczyć, a nagradzając swą nieprzytomność, dzieło jakie na ręce konserwatora przesłać.

§ 30. Słabość zdrowia wymawia nieprzytomność, lecz i w tym przypadku towarzystwo przez konserwatora uwiadomioném będzie.

§ 31. Nie wolno być tak zatrudnionym, aby przez cztery po sobie idące posiedzenia być nieobecny.

§ 32. Ktoby się z Warszawy na nieiaki czas oddalał, winien to oznaymić towarzystwu z doniesieniem na iak długo, a towarzystwo winno mu będzie wydać pozwolenie, obeymujące czas nieobecności, podpisane przez wszystkich członków i pieczęcią opatrzone.

§ 33. Wyrabiający takie pozwolenie dla uchylenia się tylko od bywania na posiedzeniach, i zostający w Warszawie, zasłuży na karę §§ 22 i 27 przepisaną.

§ 34. Opuszczający na zawsze tę stolicę za uwiadomieniem o tém towarzystwa odbierze list pożegnania z wymienieniem iego zasług w towarzystwie. Gdyby zaś nie miał donieść o swoim odjeździe, imię jego z protokołu i niniejszey ustawy wymazane, a członek takowy za pogardzającego naszym towarzystwem uznanym będzie.

§ 35. Lubo towarzystwo przekonaném iest, że nikt z nieobyczajnych nie będzie się w niem znajdował, aby iednak prawo niniejsze nie było niedoskonałym, stanowi się, iż żaden członek, będąc piianym nie może się znajdować na posiedzeniu, skoro za takiego przez sekretne kreski uznanym zostanie, i w takim razie natychmiast oddalić się winien; czemu gdy się opierać będzie usiłował, staraniem Kommissarza ekonomicznego do tego zniewolonym zostanie.

§ 36. Spokojność i uszanowanie na każdym posiedzeniu niechay panują. W przypadku napoczętey kłótni, staraniem towarzystwa będzie pogodzić kłócących się, co gdy będzie nadaremny posiedzenie natychmiast się rozwiąże, i towarzystwo się rozeydzie.

§ 37. Do obowiązków każdego członka będzie także należało na utrzymanie porządku, wydatki na światło i narzędzia piśmienne co miesiąc po złotych polskich dwa do rąk i za kwitem Podskarbiego wypłacać.

§ 38. Jeżeli po upłynionym miesiącu okaże się, iż więcej było wydatków niżeli przychodu, brakującą więc ilość towarzystwo przez składkę zaspokoić winno.

§ 39. W przypadku potrzeby iakiego nadzwyczajnego znacznego wydatku, zrobiona będzie składka w równej przez każdego członka ilości.

§ 40. Posiedzenie nie może się z mniej iak sześciu członków składać, i ci nie mogą nic obowiązującego całe towarzystwo stanowić.

§ 41. Nic przeciwko nieprzytomnemu członkowi nie będzie się godziło zaocznie stanowić, chyba wtenczas, gdy przeciwko §§ 33 i 34 przewinił.

§ 42. Ktoby z przyczyny odmienienia stanu, ważnych zatrudnień lub innych sprawiedliwych przyczyn—nie mógł albo nie życzył sobie zostawać dłużej w naszym towarzystwie, winien podać prośbę na piśmie, przyczynami wspartą, o uwolnienie siebie.

§ 43. Skoro towarzystwo uzna za słuszne żądanie proszącego, wydanem mu zostanie pismo uwalniające z podpisami wszystkich członków porządkiem alfabetu i wyciśnięciem pieczęci.

Tytuł trzeci.

§ 44. Urzędnicy wszyscy są pedlegli ustawom w niniejszém prawie obiętym bez najmniejszego wyjątku i różnicy.

§ 45. Winni być wzorem obyczajności przywiązania i spokojności.

§ 46. Nie mają posiadać urzędów dożywotnie, lecz tylko przez rok jeden.

§ 47. Prezes zasiada pierwsze miejsce w czasie posiedzenia, zagaia sessyę, czyta wypracowane pisma, dostrzega porządku i spokojności, ma dwie kreski w przypadku głosowania i najpierwszy się podpisuje na każdém urzędowém piśmie, będąc wyiętym od porządku alfabetycznego.

§ 48. Podskarbi odbiera składki, z odebranych ma moc pokwitowania, dostarcza wszelkich potrzeb dla towarzystwa, utrzymuje kasę i rachunki, nie sprawia się ze swoich czynów nikomu tylko całemu towarzystwu, gdyż bez jego wiedzy nie przedsiębrać nie może. Przy nim zostawać ma pieczęć towarzystwa.

§ 49. Żaden wydatek przez Podskarbiego uczynionym nie będzie, póki na niego całe towarzystwo nie zezwoli.

§ 50. Każde zezwolenie na iaki wydatek zapisanem będzie w protokóle posiedzeń, tak dla kontroli Podskarbiego iak oraz i dla obrony jego.

§ 51. Na każdą wyexpensowaną tłość winien Podskarbi kwit uzyskać, i z takich kwitów formować będzie rachunki stan wydatku i stan kassy wykazujące.

§ 52. Podskarbi winien na każde zapytanie towarzystwa w każdym momencie zdać sprawę z stanu kassy.

§ 53. Co trzy miesiące wyznaczona będzie z grona towarzystwa deputacya z trzech członków składająca się, która przyczawszy rachunki podskarbiego, wyexaminowawszy czy nie zrobił iakiego wydatku bez zezwolenia towarzystwa, przyczawszy również stan gotowizny i znalazłszy wszystko w swym porządku i akuratności, zaświadczy rachunki podskarbiego, iż są zgodne z rzeczywistością.

§ 54. Podskarbi uzyskawszy raz takowe zaświadczenie swych rachunków, nie będzie mógł nigdy więcej być pociągany o ich niedostateczność.

§ 55. Jeżeli się okaże iaki brak w kassie, lub dowiedzionem

będzie że podskarbi jakimkolwiek sposobem najmniejszej krzywdy dla towarzystwa w iey kassie stał się przyczyną, w tenczas nie tylko od urzędu lecz i zaszczytu znaydowania się w naszém towarzystwie odsądzonym i wedle przepisu §§ 23, 24, 25, 26 z nim postąpiono będzie, zaś stosownie do § 27 haniebnie imię iego (gdziekolwiek się znaydowało) wymazaném zostanie.

§ 56. Krzywda nie z winy i złey woli podskarbiego, iedynie z przypadku nieprzewidzianego nastąpiona, za przestępstwo mu pocytaną nie będzie.

§ 57. Cokolwiek podskarbi bez zezwolenia towarzystwa przedsięwierze, za uszczerbek z tąd wynikły nie towarzystwo, lecz on zupełnie odpowiada.

§ 58. Podskarbi dostarcza wszelkich potrzeb piśmiennych Konserwatorowi, protokółście i kanceliście, lecz winien mieć od nich na to, co im dostarczył kwity, tak aby w każdym czasie nie tylko z pieniędzy, ale też z tego co za te pieniądze kupił, mógł zdać rachunek i usprawiedliwić, gdzie się co podziało.

§ 59. W przypadku słabości lub oddalenia się podskarbiego winien tenże kassę z rachunkami i kwitami zastępcy jeneralnemu złożyć, a ten wszelkie obowiązki podskarbiego z przywiązaną do tego urzędu odpowiedzialnością przez czas nieobecności pełnić ma.

§ 60. Słabość podskarbiego przez świadectwo lekarza usprawiedliwioną być musi.

§ 61. Konserwator winien wszelkie pisma (które zaraz po przeczytaniu przez prezesa oddane mu bydź winny) iaknayporządniey zachowywać, całości ich przestrzegać; chronić od zniekształcenia, tudzież porządne repertorium takowych utrzymywać.

§ 62. Wszelkie pisma, konserwatorowi do zachowania oddane, winne bydź przez niego w porządno Volumina wedle ich gatunku zszywane, gdyż inaczey za pomnożeniem się tychże, nieporządek i zatracenie ich nastąpićby mogło.

§ 63. W tym celu wyraźne prawo się stanowi, iż każdy gatunek pisma będzie miał swój szczególny format papieru, tak aby przy formowaniu Voluminów iednostayny kształt i porządek zachowanym był.

§ 64. Protokółista prowadzić będzie dziennik sessyi od zagaienia iey, aż do rozwiązania, bacząc na to, aby żaden szczegół opuszczonym nie był, i aby wszystko wiernie, dobrym stylem i czystą polszczyzną opisaném było.

§ 65. Dziennik poprzedzającym § wzmiankowany, będzie in folio porządnie oprawiony i po zapisaniu iego zupełném konserwatorowi do zachowania oddanym.

§ 66. Każde posiedzenie od czytania protokółu poprzedniczey sessyi zaczynać się ma.

§ 67. Obowiązkiem będzie protokółisty, dla zachowania kontroli pism, konserwatorowi do schowania poruczonych, zapisywać to w protokóle, co konserwatorowi oddaném zostało.

§ 68. Zastępca jeneralny w przypadku nieobecności prezesa, podskarbiego, konserwatora lub protokółisty, miejsce jednego z nich zastępuje i wszelkie właściwe im obowiązki, pod zastrzeżoną, prawem na nich włożoną odpowiedzialnością, na siebie przeymie.

§ 69. W celu, aby z konserwowanych pism nic uronionem być nie mogło, zastępca jeneralny żądać będzie od protokółisty wyciąg z protokołu pism, Konserwatorowi do zachowania oddanych i rzeczony wyciąg, przez protokółistę sporządzony co miesiąc z repertorium konserwatora konfrontować ma, a dla pewniejszego przekonania wolno mu każdego czasu archiwum niespodzianie przeglądać.

§ 70. Nie może zastępca jeneralny dwóch urzędników razem zastępować, w przypadku więc nieobecności dwóch lub więcej urzędników towarzystwo zastępców przez tajemne głosy obierze.

§ 71. Obrani tym sposobem zastępcy tej samej odpowiedzialności podpadają, co urzędnicy, których są zastępcami.

§ 72. Pisarz czyli kancellista przydany jest protokółistcie i konserwatorowi do pióra, i każdemu ich wezwaniu bez żadnej wynówki zadosyć uczynić winien.

§ 73. Kommissarz ekonomiczny nie koniecznie powinien być członkiem towarzystwa, gdyż jego obowiązkiem jest przestrzegać porządku co do lokalności towarzystwa, dostarczać żywności i napoju, za gotową z kieszeni każdego żądającego zapłatą. Powinnością jego będzie opatrywać towarzystwo jedzeniem i napojem w najlepszym gatunku a dla wiadomości każdego winien każdego wieczora posiedzenia wyszczególnienie potraw wraz z ich ceną w miejscu oznaczonym położyć.

§ 74. Wybór urzędników nieinaczej iak tylko za zgromadzeniem się całego towarzystwa tak aby ani jednego członka nie brakowało, przez tajemne głosy dzieie się.

§ 75. W czasie wyboru nowego prezesa, gdy się równość kresek okaże, dawny prezes większość rozstrzyga.

§ 76. Nikt nie może dwóch urzędów razem posiadać.

§ 77. Wybór iakiegokolwiek urzędnika usprawiedliwiać powinny przymioty i zalety urzędowi jego właściwe.

§ 78. Może być w czasie nowego wyboru dawny urzędnik na dalszy czas zatwierdzonym.

§ 79. Prezes wykraczający przeciwko 20 § traci urząd.

§ 80. Nie będzie w tenczas odpowiedzialnym, gdy przez większość głosów zadecydowane zostanie, aby wydał autora celem udzielenia mu zasłużonej pochwały.

§ 81. Nie będzie mógł prezes więcej wydać autorów, ani towarzystwo mocnym będzie żądania przyznania się więcej iak połowy tej liczby, iaka się na posiedzeniu obecną znajduie.

§ 82. Konserwator obowiązany jest również do sekretu, a w razie wydania go, winien być podobnież urzędu pozbawionym.

§ 83. Gdyby się miał okazać nieporządek w archiwum konserwator odbierze nagane i ta w protokóle wzmiankowaną będzie.

§ 84. Jeżeli się zaś brak iakiego pisma spostrzedz da, konserwator przez sekretne głosy utraci urząd.

§ 85. Nie wolno nikomu składać samowolnie urzędu, ani konferowanego mu nieprzyimować, chyba za zezwoleniem całego towarzystwa.

§ 86. Złożenie z urzędu za poprzedniczém tylko głosowaniem i (po) obronie lub zrzeczeniu się iey nastąpić może.

§ 87. Kto raz z urzędu złożonym został, nigdy więcej żadnym urzędnikiem obranym bydź nie może.

§ 88. Za pomnożeniem się towarzystwa gdy potrzeba wymagać będzie utworzenia nowego urzędu, stanie się to za zezwoleniem większości krések.

Tytuł czwarty.

Kto może bydź członkiem towarzystwa, a kto nie?

§ 89. Członkiem towarzystwa naszego ten tylko bydź może, kto

a) nienagannyh i żadnemu zarzutowi niepodległych iest obyczajów.

b) Kto ośmnasty rok wieku swego skończył.

c) Kto za spokojnego, wesołego i mogącego się przywiązać do naszego towarzystwa od czterech członków zgromadzenia naszego zaświadczonyn zostanie.

§ 90. Kto przymioty poprzedzającym § obięte posiada może bydź przyjętym za członka zgromadzenia naszego, lecz za zezwoleniem towarzystwa przez większość głosów.

§ 91. Gdyby się kto z towarzystwa znalazł, któryby przeciw nowo przyiętę się mającemu członkowi miał jakie zarzuty, winien będzie zamiast wrzucenia w naczynie swey kreski, zarzuty z ich udo wodnieniem do naczynia włożyć.

§ 92. Jeżeli się podobnych oskarżeń pięć znajdzie, głosowanie mieysca mieć nie będzie i nowo przedstawiony za członka się nie przyimie.

§ 93. Kto za członka przyjętym zostanie, będzie miał sobie przez konserwatora zbiór niniejszych ustaw przeczytanym, poczem się będzie winien publicznie oświadczyć czy prawom towarzystwa naszego dobrowolnie poddaie się? To gdy chętnie uczyni, winien będzie na znak podległości naszym prawom przy końcu ich własnoręcznie podpisać się.

§ 94. Nowo przyjęty winien będzie natychmiast zł. pol. 12 do rąk i za kwitem podskarbiego dla porządnego utrzymywania potrzeb towarzystwa wyliczyć.

§ 95. Nie będą mogły bydź do towarzystwa herbu Sfinx przyjętymi osoby te:

a) kobiety.

b) którzy nie posiadają wszystkich przymiotów, iakich § 89 wymaga.

c) nieumiejący czytać ani pisać.

d) ci, którzy, przed ich przedstawieniem publicznie szydzili z naszego towarzystwa.

e) ci, którzy będąc już dawniej członkami towarzystwa zaszczyt ten na mocy §§ 27, 33, 34, 55 utracili, nigdy więcej za członków towarzystwa poczytanemi byź nie będą mogli.

f) ludzie głupi i niespokoi.

g) smutnego i ponurego ułożenia.

§ 96. Krom tego, nie będzie mógł byź przyjętym za członka ten, którego przynajmniej czterech z naszego towarzystwa nie znają.

§ 97. Po przyjęciu każdego nowego członka będą dwóch członków naydawniejszych z grona towarzystwa naszego tajemnie obranych, którym polecone będzie baczenie zdaleka na obyczajność nowo przyjętego, i gdy ią znaydą byź naganną, członek nowoprijęty po nastąpioney obronie, przez głosy oddalonym zostanie.

§ 98. Każdy przedstawiający kogo na członka odpowiedzialnym jest za iego konduite.

Tytuł piąty.

O nieczłonkach.

§ 99. Kto nie jest członkiem towarzystwa naszego, nie wolno mu się znaydować na posiedzeniach, chyba że za zgłoszeniem się przez którego z członków zezwolenie na to sobie wyjedna.

§ 100. Zezwolenie takowe większością głosów nastąpić może, a to w tym celu, gdy cudzy w myśli zostania członkiem towarzystwa naszego, posiedzeniu iego przytomnym byź sobie życzy.

§ 101. Żaden cudzy więcej nad trzy razy na sessyi towarzystwa znaydować się nie może.

§ 102. Jeżeli się zdarzy że w czasie posiedzenia kto z obcych gwałtem się wciśnie na miejsce sessyi, w tym razie posiedzenie bez odwołki rozwiązaniem zostanie, póki się cudzy nie oddali.

§ 103. Wolno będzie nieczłonkom czytać w archiwum towarzystwa pod okiem konserwatora pisma, lecz za zezwoleniem iedynie na sessyi przez głosy wyrobionym.

§ 104. Zezwolenie to na piśmie wydanem będzie i obejmować ma tytuły pism do czytania pozwolonych.

§ 105. Konserwator jeżeli w brew dwóm poprzedzającym §§ komukolwiek czytania bez pozwolenia dopuści, utraci urząd.

§ 106. Członek któryby życzył sobie, aby pismo iego przez nikogo czytaniem nie było, winien przez wrzucenie proźby swey, w tey mierze wygotowaney, w naczynie—o to towarzystwa upraszać, które przez większość przychyli się do proźby lub ią oddali.

§ 107. W przypadku przychylenia się do takiej proźby, pismo

przez trzech wyznaczonych członków ich pieczęciami opieczętowane w archiwum złożoném i za zgromadzeniem się iedynie towarzystwa czytanie iego bydź powtórzoným będzie mogło.

§ 108. Który członek chce zataić, iż iest autorem iakiego pisma, winien takowe obcą ręką pisane złożyć, gdyż poznanie iego ręki nie obowiązue konserwatora do sekretu.

§ 109. Każde pismo może bydź, gdy autor tego żąda, pozwolone do przepisania obcą ręką. Przepisanie to dziać się będzie iedynie pod okiem konserwatora, ręką kancellisty. Oryginał musi bydź natychmiast przez konserwatora spalonym. Przy czém bacność ma bydź dana, aby prawdziwemu autorowi konserwator przepisywanie dozwolił. W tym zaś razie konserwator i kancellista pod utratą urzędu obowiązani są do sekretu.

§ 110. Nie będzie się godziło nikomu z członków ani nawet urzędników brać iakie pismo z archiwum do domu pod iakimkolwiek pozorem. Kto otrzymał pozwolenie czytania, pod okiem iedynie konserwatora czytać mu wolno.

§ 111. Za sprzeciwienie się temu przepisowi konserwator urząd na zawsze utraci.

§ 112. Jaknajmocniej zabrania się aby nic z archiwum kopiowaném nie było, czego gdy konserwator nie dopilnuje podług § 55 iak z podskarbin postąpiono z nim zostanie.

§ 113. Wolno będzie nieczłonkom przesyłać towarzystwu pisma piękne, lecz te przez autorów podpisane bydź winny.

§ 114. Pisma nawet obcych mają bydź tak konserwowane iak i towarzystwa. Wszakże skoro takowe godnemi pochwały bydź się okażą, wedle § 16 i 17, uwieńczonemi bydź mogą.

§ 115. Pisma obcych nieprzyzwoite lub nie podpisane, natychmiast spalonemi zostaną, pierwsze po przeczytaniu, drugie zaś nieczytając onychże.

Tytuł szósty.

O uroczystościach.

§ 116. Dzień dwudziesty ósmy listopada będzie w każdym roku dniem uroczystości obchodzonym z powodu utworzenia się w tym dniu towarzystwa naszego.

§ 117. Bez względu czy ten dzień we środę lub inny dzień przypadnie, uroczystość ta odkładaną być nie może, lecz jeżeli towarzystwo w tym dniu o godzinie siódmej wieczornej nie będzie się mogło zgromadzić, winno się o godzinie dziesiątej lub iedenastej w wieczór zeyść.

§ 118. Jakim sposobem i w którym czasie i miejscu uroczystość ta obchodzoną zostanie, winno będzie towarzystwo na poprzedzającej ten dzień sessyi programma wydać.

§ 119. W dniu tym pełnym radości wybór urzędników mimo nawet przeszkody § 74 nastąpi.

§ 120. Jeżeli dla przyzwoitego obchodzenia tej uroczystości składka nadzwyczajna potrzebną będzie, takowa z iey rozdysponowaniem udecydowana być powinna na poprzedzającej dzień 28 listopada sessyi.

§ 121. Każdy z członków przyłoży starania, aby uroczystość tę przez iakie dzieło, lub czyn znakomity uświetnić.

§ 122. Czy się wolno będzie nieczłonkom na tej uroczystości znajdować, i którym? towarzystwo przed tym dniem uroczystym uchwali.

Tytuł ostatni.

§ 123. Prawo niniejsze obowiązywać będzie od dnia 12 grudnia 1810 roku.

§ 124. Nikt się nie może wymawiać niewiadomością prawa, każdy więc obowiązany mieć kopią niniejszey ustawy.

§ 125. Każdy członek równy iest w obliczu towarzystwa, równych używa praw i korzyści z zabawy.

§ 126. Towarzystwo może w późniejszym czasie uczynić odmiany w swych ustawach jakie dobrzei być osądzi.

§ 127. Jeżeli dzieła w archiwum towarzystwa złożone drukowanemi być będą miały, to za uchwaleniem tylko nastąpić będzie mogło, a zysk z tąd wynikły na fundusz towarzystwa do rąk podskarbiego złożony, wedle przepisać się mających prawideł obróconym zostanie.

§ 128. W skutku poprzedzającego § na posiedzeniu całego towarzystwa uchwaloném zostało, aby za zaręczeniem czterech członków i zezwoleniem przez tajemne głosy, wolno było iakiey znakomitey osobie czytać pisma towarzystwa w swém mieszkaniu. Pismo takowe konserwator rzeczoney osobie odda, będzie przytomnym czytaniu, i po skończoném przeczytaniu odbierze.

§ 129. Członek twórca dzieła iakiego przestanie być właścicielem iego i nie wolno mu dawać kopiiów takiego dzieła nikomu ani nawet czytać.

§ 130. Acz § 8 przeznaczona śrzoda na posiedzenia towarzystwa, wszelako podług okoliczności ma prawo inny dzień wyznaczyć, tak aby w każdym tygodniu ieden dzień towarzystwo zasiadało. Wszakże nie będzie wzbronny (!) nadzwyczajnych sessyi składać.

Prawo niniejsze iednomyślnie przyjęte i stosownie do § 3 przez wszystkich członków podpisane zostało. Działo się w Warszawie na posiedzeniu Towarzystwa Herbu Sfinx dnia dwunastego grudnia tysiąc ósmset dziesiątego roku.

(Tu znajdujemy w oryginale ustawy, którą mamy przed sobą, własnoręczne podpisy Członków, wymienionych przez nas (na str. 28 i 29). w tym samym porządku, tylko każdy w osobnej linii i bez tych objaśnień, któreśmy w nawiasie wyżej dołączyli. Po lewej stronie od tych podpisów w umieszczona pieczęć, opisana dokładnie już wyżej na str. 29.

Z powyższego przekonujemy się, że zasadniczym celem Towarzystwa „Sfinx”, było obok niewinnej rozrywki krzewienie oświaty, rozbudzanie zamiłowania do literatury, odczytywanie na posiedzeniach utworów literackich. prozą, bądź wierszem, oryginalnych lub tłómaczonych. Że zaś posiedzenia odbywać się miały stale co środę—dla stowarzyszonych więc otwierało się szerokie pole do wzajemnych popisów i do zapoznawania się z najnowszymi pracami ówczesnych pisarzy.

Paragraf 21-y ustawy dowodzi, że Towarzystwo miało także na uwadze zadania i cele społeczne, nawet filantropijne. Nietykliwość honoru stowarzyszonych, miłość bratnia i wzajemna pomoc w potrzebie—były gorąco zalecane, za przekroczenia zaś pod tym względem, surowe wyznaczano kary.

Zakres działalności Towarzystwa był przeto, jak widzimy, bardzo obszerny i wywierać mógł jaknajlepszy wpływ na stowarzyszonych.

Liczba tych ostatnich, mniemaniem naszym, powinna była rychło się zwiększać, gdyż składka roczna, jako nader umiarkowana, dla nikogo chyba nie okazywała się uciążliwą i ułatwiała przystęp nawet dla najmniej zamożnych. (§§ 37 i 94).

Trudno zaiste dociec, o ile Towarzystwo zdołało urzeczywistnić swe zamiary i jak długo ono istniało. Ustawa wzmiankuje o archiwum, o gromadzeniu różnorodnych prac literackich nie tylko członków stowarzyszenia, ale i nieczłonków, o wynagradzaniu najlepszych płodów pióra, o korespondencyi, o prowadzeniu księgi protokularnej, lecz żadnego śladu różnorodnej tej działalności nie powiodło się nam dotychczas odnaleść. Nawet o samém istnieniu Towarzystwa nie napotkaliśmy żadnej wzmianki, ani w owoczesnych czasopismach, ani też w papierach ludzi, mogących mieć z nim związek jakikolwiek.

Czyżby więc wkrótce po zawiązaniu się Towarzystwo „Sfinx” miało upaść?

Być może, że fatalny rok 1812, szcęk broni i krwawo wtedy wojny, burząc powszechnie istniejący porządek rzeczy i niszcząc nie jedno pożyteczne przedsięwzięcie,—zadały cios śmiertelny również i owemu Towarzystwu. Bądź co bądź—rzeczą, nie pozbawioną ogólnego interesu,—byłoby dociec, jaki też los spotkał Towarzystwo rzeczzone. W celu wyjaśnienia tej kwestyi, upraszamy tych z czytelników, którzyby posiadali jakiegobądź bliższe szczegóły o istnieniu powyższego towarzystwa, aby raczyli udzielić nam ich bezpośrednio lub też ogłosili je w którémkolwiek z krajowych czasopism.

Wiadomości, podane w niniejszej notatce, ujawniliśmy poprzednio, w dniu 14 października 1888 r. na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu ¹⁾. W rozprawach nad tym przedmiotem kilku członków owego Towa-

¹⁾ Zob. wiadomość o tém w Bibliot. Warsz. r. 1888. zeszyt 563 str. 304.

rzystwa brało udział. Pomiędzy innemi zastanawiano się tamże nad pytaniem, czyby dalszym ciągiem stowarzyszenia „Sfinx“ nie było znane Towarzystwo teatralne „Iksów”, zawiazane w Warszawie roku 1814? Jednak, jeśli porównamy ściśle skład i charakter obu tych towarzystw, oraz ich cel i działalność, to trudno przypuścić, aby teatralne towarzystwo „Iksów“ uzupełniało lub było dalszym ciągiem stowarzyszenia „Sfinx.“ Pierwsze bowiem z nich, zawiazane zostało pod przewodnictwem Tadeusza Antoniego hr. Mostowskiego, ministra spraw wewnętrznych, za czasów Księstwa i Królestwa. Głównem zadaniem „Iksów“ był rozwój pomyślności teatru narodowego za pomocą wzorowej krytyki zarówno sztuk dramatycznych, jako i gry artystów teatralnych przez podawanie im przestroóg i rad, jak na estradzie występować mają.

Towarzystwo „Iksów“ składało się głównie z arystokracji ówczesnej, z ludzi uczonych i wysokie stanowisko w polityce i w społeczeństwie zajmujących. Czynny udział w pracach krytycznych towarzystwa, brały również i kobiety, z liczby których wymienimy tu: Maryą Annę z książąt Czartoryskich, księżnę Wirtemberską, siostrę księcia Adama Czartoryskiego, znaną w kraju literatkę,—Zofią z książąt Czartoryskich, ordyntową Zamoyską, żonę Stanisława Zamoyskiego,—Hrabinę Mostowską, żonę Tadeusza hr. Mostowskiego i wielu innych. Wspieranie uboższych członków Towarzystwa nie leżało wcale w zakresie działalności „Iksów.“

Natomiast stowarzyszenie „Sfinx“, którego Prezesem był Ludwik Adam Dmuszewski, Dyrektor teatrów Warszawskich, określiło sobie działalność na innem polu i w odmiennym kierunku. Tu szło głównie o zachętę członków do pracy literackiej, przez odczytywanie różnych utworów, wierszem i prozą, na posiedzeniach, dalej o wspomaganie biedniejszych Członków stowarzyszenia, a wreszcie o wspólną zabawę.

Założycielami Towarzystwa „Sfinx“ byli przeważnie artyści dramatyczni, którzy tém samém nie mogli siebie nawzajem krytykować. Nie widzimy również wzmianki w ustawie, aby czytanie i wybór dzieł dramatycznych, stanowiły główny cel towarzystwa, dalej ustawa Towarzystwa „Sfinx“ nie pozwala na przyjmowanie kobiet w poczet członków. (§ 95).

W obec więc powyższego wyjaśnienia, skoro zasady i dążności obydwóch tych Towarzystw, pod nazwą „Iksów“ i „Sfinx“ tak wielce między sobą się różniły, nie podobna twierdzić, aby kiedykolwiek owe Towarzystwa mogły w bliższej ze sobą zostawać styczności.

W każdym przecież razie, stanowcze rozstrzygnięcie rzeczonych kwestyi odłożyć chyba należy do czasu, gdy dalsze poszukiwania względem Stowarzyszenia „Sfinx“ doprowadzą do pomyślniejszego rezultatu, i ujawnią nam dokładnie okres istnienia i owoce działalności tegoż Towarzystwa.

ALBERT E. F. SCHÄFFLE *).

(Podług Gustawa Schmollera.)

Przedstawił B.

Pomiędzy uczonymi, którzy cichy żywot poświęcają wyłącznie pracy umysłowej, tak jak Monteskiusz, Adam Smith i Roscher, a pamphleciściami i agitatorami, dążącymi jedynie do wielkich praktycznych reform za pomocą działalności literackiej, jak większość fizyokratów i socjalistów, stoją owi urzędnicy i politycy jak Galiani, Turgot, Neckker, J. G. Hoffmann i Nebenius, którzy dojrzałe owoce życia, obfitego w doświadczenie, ujmują w formę teoretyczną. To, co oni nam przynoszą jest najdojrzalszym rezultatem badań, w zakresie spraw ekonomicznych i społecznych, ponieważ tylko dzielniejsze umysły umieją łączyć owoce teorii z praktyką życia własnego, które popolicie wyczerpuje się na drobiazgi; ponieważ niezmierną trudność podniesienia wszelkiej polityczno-naukowej teorii, opartej na codziennem doświadczeniu i zdarzeniach historycznych do typu ogólnego, a mimo to pozostania w zgodzie z życiem praktycznem oni daleko lepiej pokonali, aniżeli czyści teoretycy. Tacy nawet w abstrakcyjnych badaniach nie tracą pod nogami trwałego gruntu ziemskiego, gdy tymczasem teoretycy i agitatorzy wiszą w powietrzu.

Schäffle'go nie można zaliczyć do żadnej z tych trzech kategorii. Raz jest czystym teoretykiem, drugi raz praktycznym politykiem i agitatorem, a prócz tego znać w nim żyłkę męża stanu. Wynikło to z właściwego mu biegu życia. Jako syn nauczyciela wirtemberskiego, poświęcał się naprzód studjom historycznym i filozoficznym; następnie ogarnięty ruchem 1848 r. pośpieszył do Badenu i przyłączył się do obozu demokratów. W r. 1850 był współredaktorem

*) Dzieła Schäffle'go: Kapitalismus und Socialismus, 1870. Quintessenz d. Socialismus 1875 (i po polsku). Bau und Leben d. social. Körpers. 4 t. 1875 — 78. Die Aussichtslosigkeit d. Socialdemokratie 1885.

Szwabskiego Merkurego; wtedy to popłynął z prądem wielkiej, południowo-niemieckiej polityki, nienawistnej Prusom. Obok tego zamieszczał w niemieckim Kwartalniku swoje wyborne traktaty ekonomiczne, które w r. 1861 zapewniły mu katedrę ekonomii politycznej przy uniwersytecie w Tybindze. Między r. 1862 a 1865 został posłem i w duchu polityki austryjackiej zwalczał namiętnie i z ręcznie traktat handlowy francuzko-niemiecki. W r. 1868 wystąpił obok Maurycego Mohl'a w nienawistnym Prusom — parlamencie celnym, następnie udał się jako profesor do Wiednia, a w roku 1870 wszedł do kancerwatywno - federacyjnego ministerium Hohenwart'a, którego zasady zgadzały się z jego antycentralistycznymi, wielkoniemieckimi przekonaniem. Na tém wysokim, lecz krótkotrwałem stanowisku nie dał się poznać w zakresie praktycznej polityki. Po upadku ministerium osiadł jako skromny prywatny uczoney w Stuttgardzie, swojej ojczyźnie, obojętny na dary złotego cielca, którym nie wszyscy na podobnych stanowiskach w Austrii oprzeć się zdołali. W Stuttgardzie rozwinął niezmiernie rozległą działalność literacką; chwilowo zbliżył się ze swojemi projektami praktycznymi, socyalno-politycznej natury, do kanclerza niemieckiego. Niezmordowany w pracy pisze szereg artykułów w kwestyach bieżących, ekonomicznych do monachijskiej „Allgemeine Zeitung,“ redaguje wychodzące w Tybindze czasopismo, poświęcone, naukom państwowym, układa broszury, podręczniki naukowe i obszerne wielotomowe dzieła. Punktem kulminacyjnym jego prac naukowych, jest duże czterotomowe dzieło p. t. „Bau und Leben des socialen Körpers,“ („Ustrój i życie ciała społecznego“) któremu zamierzamy poświęcić nasze studyum. Przedtém jednak niech mi będzie wolno powiedzieć kilka słów o stosunku Schäfte'go do socyalizmu wogóle.

Od pierwszego wystąpienia Lassalle'a, Schäfte wiedział doskonale, że obyczajowe zadanie państwa nie polega tylko na obronie własności, i że zbyt wielkie różniczkowanie się klass społecznych rodzi niebezpieczeństwa, które w danych okolicznościach usprawiedliwiają interwencyą państwową. W dziele swoim p. t. „Theorie der ausschliessenden Absatzverhältnisse“ (1867), stara się usprawiedliwić wielkie zyski przedsiębiorstw, uważając je za słusne premia talentu. W odczytach swoich nadzwyczaj popularnych p. t. „Kapitalismus und Socialismus,“ uważanych za rzecz najlepszą, jaką Schäfte napisał, jest raczej krytykiem, aniżeli zwolennikiem socyalistycznych marzeń i napaści. Usiłuje zapomnianemu i umiarokowanemu Marlo oddać słusność w przeciwieństwie do Lassalle'a i Marx'a. A chociaż uważa dzisiejszą organizacyą ekonomiczną za przewagę kapitalizmu do pewnego stopnia, jednak widzi w tój przewadze wyłącznie zwycięztwo celów ekonomicznych. Według niego kapitalizm uczynił zależną regulacyą życia ekonomicznego od pobudek ekonomicznych, a następnie prawu gospodarności zapewnił samodzielne znaczenie. Dalej, korzyści jakie kapitalizmowi przypisywał, pole-

gają na usunięciu w ekonomii przeszkód prawnych i przestarzałych, na skutecznym podziale i zjednoczeniu środków produkcji, na wzrastającym podziale pracy, na świetnym wykształceniu techniki oraz rozbudzeniu w jednostkach swobody i odpowiedzialności osobistej, na podniesieniu rodziny do znaczenia gospodarczej czysto natury, i na racjonalnym wyrobieniu skarbowości. Korzyściom tym wprawdzie towarzyszą i ciemne strony poważnej natury, jak nierówność majątkowa, próżniacze rentierstwo i wyzuty ze wszystkiego stan robotniczy; jednak surowe prawodawstwo fabryczne, energiczna policja zdrowia i mieszkań, oraz zapożyczony od Marlo przymus ubezpieczania się, obok swobody stowarzyszeń i innych punktów reformy socjalnej, powinnyby zło usunąć. Schäffle żąda przytém trzech niemożliwych reform, t. j. zniesienia podatków pośrednich, pożyczek państwowych i wojsk stałych; są to ustępstwa na rzecz jego ówczesnych wielko-niemieckich, demokratycznych i federacyjnych pojęć. Mimo to jednak, nie może tu być mowy o właściwie socjalistycznym zabarwieniu; jakoż dzieło to zostało poczęte w celu zwalczania socjalizmu i w tym duchu zrozumiano je ogólnie. Schäffle napisał je, opierając się na podstawie praktycznych reform socjalnych, które podjął wkrótce Związek dla polityki socjalnej, a nieco później i kanclerz niemiecki. Do punktu widzenia, z którego książka została napisana, wrócił Schäffle w późniejszych latach.

Studjum p. t. „Kwintessencya socjalizmu“ ukazało się naprzód bezimiennie w dziennikach niemieckich nakładem Perthosa, następnie jako osobna bardzo popularna broszura. ¹⁾ Wyborny ten traktat objaśnia w sposób przychylny dla socjalizmu, możliwość organizacyi socjalistycznej kollektywnój; myśl swoją, tyczącą się tej organizacyi przeprowadza tak, że usiłuje oswobodzić ją od wszelkich niedorzeczności socjalistycznych. Nie przeczy wprawdzie możliwości urzeczywistnienia jej na przyszłość, kładzie jednak silny nacisk na przeszkody psychologiczne owój socjalistycznej produkcji i na niezmierną trudność słusznego podziału dóbr w przyszłym państwie socjalistycznym. Pisemko to w każdym razie skłania się więcej do socjalizmu, aniżeli powyższe dzieło z r. 1870. Czytając broszurę, doznajemy wrażenia, jakoby system dzisiejszej produkcji ekonomicznej, będący wynikiem 5000 letniej zachodnio-azyatycko-européjskiej kultury, był równoważny z systemem marzeń socjalistycznych; zdaje się, jakobyśmy między wierszami czytali, iż Schäffle uważa za prawdopodobne, że pewnego pięknego choć jeszcze odległego poranku, nastąpi zwrot od dzisiejszego sposobu produkcji, do zasad państwa socjalistycznego. W tej mierze, nie radzono się historii, która wie dobrze, że wszelkie doniosłe zmiany społeczne odbywają się drogą nieznaczących i powolnych przeobrażeń. Skutkiem tego, pewne

¹⁾ Po polsku tłumaczył i wydał tę broszurę H. Konitz. Warszawa 1882.

etyczne tendencje, służące za podstawę rozsądnemu socjalizmowi, choćby miały słuszność i zapewnioną nadzieję, że kiedyś przenikną i przeobrażą przysze stosunki, jednakże stosunki te będą prawdopodobnie bardziej się różniły od terażniejszych planów socjalistycznych, aniżeli od naszych realnych warunków.

Jeszcze dalej idzie Schäffle w trzecim tomie swojego dzieła: „Bau und Leben.“ Smutne jego doświadczenie w Austrii, pod względem korupcji prasy i parlamentu, jako też zwątpienie o możliwości takiego państwa, w którymby władza królewska mogła istnieć obok urzędów socjalistycznych, a to w skutku przewagi kapitalizmu, jak również czytanie dzieł Marx'a i filozofii materialistycznej wyrobiło w nim przekonanie, że wolna konkurencja jest tylko wodą na młyn oligarchicznych potentatów przemysłu, oraz, że wzrost kapitalizmu sprowadzi przejście do nowego i wyższego porządku społecznego. Zaślepiiony pesymizmem społecznym rządzi się zdaniem socjalistycznej filozofii młodo-Heglistów. Ażeby uniewinnić się niejako przed własnym sumieniem ekonomicznym, autor energicznie zaczyna bronić socjalizmu, co już w „Kwintessencji” daje się przedewszystkiem spostrzegać. Według zdania Schäffle'go, zwykłe zarzuty czynione socjalizmowi, nie mogą dotknąć jego istoty; niezmiernie skuteczny rozwój i zastosowanie środków produkcji, które miały być wynikiem kapitalizmu, przypisuje obecnie rozsądnemu socjalizmowi. Własność środków konsumpcji mogłaby nadal istnieć, a co się tyczy własności środków produkcji, nie należy jej tworzyć gwałtownie za pośrednictwem skupu, lecz za pomocą renty. Równość dochodu, jakiej żąda Ludwik Blanc, trzeba wyłączyć z socjalizmu, a natomiast utrzymać nierówność dochodu, swobodę konsumpcji i powołania. W takim stanie rzeczy, mniema autor, socjalizm przyczyni się nawet do podniesienia życia rodzinnego i małżeństwa a to w skutku zapewnionego dochodu. Socjalizm Schäffle'go polega na tym, iż żąda, aby regulacja produkcji odbywała się na mocy prawa publicznego, za pośrednictwem fachowych i miejscowych spółek, pod przewodnictwem dowolnie obranych dyrektorów. Wyróżniającą się dzielność pracownika należałoby wynagradzać premiami, a wszelką wypłatę uskutecznić za pomocą bonów na pracę, które byłyby awizacyami na część ogólną produkcji. Powyższa organizacja nie może ani zaraz, ani później zawładnąć wszystkimi gałęziami gospodarstwa; nie nadaje się bowiem do małego, lecz do wielkiego przemysłu. Początek tego widzimy w upaństwowieniu niektórych gałęzi wielkiego przemysłu. Co prawda, obok tego, najwybitniejszym rysem ideału Schäffle'go jest usunięcie z pod ciągłej opieki państwowej produkcji ekonomicznej, urządzonej w powyższy sposób. Organizacja polityczna i ekonomiczna powinny być od siebie odłączone, tak jak kościół od państwa. Jego dawne federacyjne i antycentralistyczne pojęcia oburzają się przeciwko despotyzmowi państwowemu w dziedzinie gospodarstwa społecznego. Według niego, spół-

ki zawodowe powinny być organami samodzielniemi i federacyjnemi, niezależniemi od państwa. Tradycyjne idee socjalistyczne, uważa Schäffle za komunizm państwowy, i zwalcza je bardzo energicznie; natomiast zaś utrzymuje, że naturalna arystokracja talentu, większa zapłata za wybitne usiłowania i wzrastające różniczkowanie zawodów pracy społecznej powinny być utrzymane. Myśl obyczajowa stoi na czele, mianowicie, że społeczną wymianę materji (gospodarstwem) powinna kierować raczej idea powołania, jak to się już dzieje obecnie w państwie i kościele, w wojsku i szkole, a nie ostroga bezwzględnygo zysku prywatnego.

Chociaż w socjalizmie Schäffle'go jest wiele rysów pociągających, pełnych ducha i zaczerpniętych z obyczajowego poglądu na świat; jednak chodzi on częstokroć drogami lekceważonego przezeń socjalizmu akademickiego, a obraz, jaki kreśli, jest utopią. Według niego bowiem, pożyczki i procenta należy zupełnie usunąć, pieniądze zaś metaliczne zastąpić bonami na pracę według pomysłu Rodbertus'a. Zamiast dzisiejszej ceny rzeczy, będącej dla całego gospodarstwa regulatorem, który jednak nie istniałby przy braku osobistego interesu kupców i przedsiębiorców, raz zyskujących, drugi raz tracących; należałoby ustanowić taksę, uwzględniającą kosztą i wartość użytkową. Taksa, podobnie jak dzisiejsza cena, powinna kierować produkcją i w pewnych miejscach ograniczać ją, a w innych podnosić. Czyto wszystko jest możebne?

Tym sposobem Schäffle przeszedł do obozu socjalistycznego, chociaż trzymał się zawsze zdala od wszelkiej agitacji socjalistycznej i od demokratów socjalnych, czemu nie oparłby się niejeden ambitny polityk. Właściwie chciał on tylko złożyć wyznanie wiary, oraz sformułować pojęcia, jakie w sobie wyrobił między r. 1875 a 1878. Broszury p. t. „Korporativer Hilfskassenzwang“ i „Inkorporation des Grundkredits“ są odroślami teoretycznych zasad, które wyłożył w trzecim tonie swojego wielkiego dzieła.

Schäffle nie jest demokratą socjalnym, za jakiego powszechnie go uważano; najlepszym tego dowodem pisemko p. t.: „Die Aussichtslosigkeit der Socialdemokratie“ (1885). Treść jego oględniejsza, chłodniejsza i bardziej obiektywna, trzymana jest zupełnie w innym tonie, aniżeli prace z r. 1875 i 1878. Stara się w niem dowieść niewykonalności i zgubności planów socjalistycznych, odwołuje częścią wprost nadzieje, które dawniej żywił i wraca znowu na stanowisko reformy socjalnej. Schäffle mówi: „Rozwiązanie kwestji społecznej nie może być dokonane ani mocą prawa publicznego (w duchu socjalistycznym), ani prywatnego (w duchu szkoły manchesterskiej). Zalecona przez Rodbertusa produkcja ogólna, czysto kolektywna, z podziałem dochodu według udziału pracy socjalnej, wyłącza się na zawsze, a cóż dopiero mówić o produkcji socjalno-demokratycznej. Reforma socjalna pozytywna przewyższa znacznie socjalizm, skutecznością i prostotą środków.” Czy autor za pośrednic-

twem tego dziełka chciał lub nie chciał, uczynić sobie dostępnem jakieś wyższe stanowisko w Austrii, to jego wartości ujmy nie przynosi. Smieszném jest zarzucać mu z téj racyi brak charakteru; również jest niegodziwém obrzucać go błotem za to, że wkrótce pod wpływem osobistych gorzkich doświadczeń, uważał reformę socyjalną za niemającą widoków powodzenia, a rewolucyą socyjalną za możliwą. Dowodem tego zwrot widoczny w autorze w r. 1885 do pojęć z r. 1870. Schäftele nie jest politykiem, który kieruje się ideałami, zaczerpniętymi z życia praktycznego; nie jest téż filozofem, który idzie własną drogą, obojętny na zmiany polityki codziennéj. Jest on raczéj przedstawicielem w najwyższej formie publicystyki umiejętnéj i dziennikarstwa, dla których pracuje pod wpływem chwilowych przekonań. Wykształcony ogólnie i filozoficznie, pełen niezwykłej siły spekulacyjnej, obdarzony mocną i ambitną wolą, stara się przynajmniej pracą literacką oddziałać na bieg wypadków historycznych. Schäftele stoi niejako na straży dyskusyi publicznej. Z szeregu wydarzeń codziennych robi obrachunek, kreśli programata polityki bieżącej, opartéj raz na zasadach spekulacyjno-teoretycznych, drugi raz uległej chwilowym stosunkom i prądom. Zasadnicze jego poglądy nie zmieniają się; są one jednak bardziej idealno-teoretycznej natury, niż praktycznej; obok tego posiada wielkie praktyczne wiadomości oraz wyrobiony instynkt pod względem tego, co w każdej chwili można osiągnąć w opinii publicznej. Tworzy programata, sięgające do najdrobniejszych szczegółów, którym jednak brakuje praktycznej wykonalności. Programata owe wymyślił dziennikarz w naukowym gabinecie, nie zaś praktyczny z powołania polityk, lub uczyony, który rozmaitym zagadnieniom pozwala dojrzewać w ciszy przez lat dziesiątki. Ztąd pochodzi zmiana w szczegółowych pojęciach Schäftele'go. Temu téż zawdzięczamy, że pióro jego niewyczerpane i zawsze gotowe, oprócz najrozmaitszych studyów socyjalno-politycznych i programatów, obdarzyło nas szeregiem postrzeżeń z innéj dziedziny, mających istotne znaczenie dla nauki. Na dowód wspomnę tylko o gruntownych jego roztrząsaniach, dotyczących różnej formy przedsiębiorstw. Dwa tomy zebranych artykułów, mogą przekonać każdego czytelnika, jak wysoko stoi Schäftele w swoich studyach publicystycznych.

II.

Jeżeli w tém, cośmy powiedzieli wyżej, osobistość Schäftele'go choć w części jest dokładnie odmalowaną, powinno być również jasnym, że uniwersalny, filozoficzny kierunek jego myśli, musiał go skłonić do pisania większych podręczników naukowych, zawierających zasady nauki. Niemniej jednak indywidualność jego jak i sposób roboty, oraz szybkie kreślenie obfitych w myśli planów, składają się na to, że nie jest autorem usposobnionym do pisania podręcz-

ników jasno ułożonych i właściwych dla szkół. „Ekonomia“ jego (1861) ukazała się szybko w drugim i trzecim wydaniu (jako *Gesellschaftliches-System der menschlichen Wirtschaft* 1873), nie nadawała się jednak do użytku młodzieży. A jakkolwiek dzieło to obfituje w pierwiastki, dążące do przekształcenia starych pojęć ekonomicznych na nowe, mimo to uczeń nie może znaleźć wyjścia z tego labiryntu podziałów i myśli błyskawicznych.

Nierównie wyżej stoi główne naukowe dzieło Schäfte'go „*Bau und Leben des socialen Körpers*“ („Ustrój i życie ciała społecznego“).

W Niemczech książka powyższa jest pierwszym usiłowaniem w celu ułożenia socyologii, czyli ogólnego zbioru naszych wiadomości z dziedziny polityki i nauk społecznych. Kiedy bowiem August Comte w swojej socyologii gubi się w marzeniach poetyzującej filozofii historii, a Herbert Spencer w swojej znówu bada fizyczny i psychiczny stan pierwotnego człowieka, jak niemniej dawne życie rodzinne, przeplatając to wszystkim uwagami o podziale pracy i przeciwnieństwie państw przemysłowych względem wojowniczych i kiedy dalej Ihering w swoim dziele p. t.: „*Zweck im Recht*“ wyklada nam zasady etyki utylitarno-socjalnej, która ma być podstawą życia społecznego; kiedy Gumplowicz w swój *Socyologii* (1885)¹⁾, powtarza znane już swoje przekonania o znaczeniu ras w życiu społecznym — Schäfte usiłuje istotnie naszą wiedzę społeczną ułożyć w pewien jednolity system naukowy z punktu widzenia walki o byt. Czy mu się to udało, nie chcemy sądzić; nie mniej jednak charakter dzieła odbija się w usiłowaniu powyższem: Schäfte, idealista i reformator socjalny, pod wpływem modnej walki o byt, złożył w dziele swoim, będącym rodzajem naturalnej empirycznej filozofii historii, niezmiernie bogactwo faktycznej wiedzy z zakresu najróżnorodniejszych nauk społecznych. Był to może raczej projekt, który się nie mógł udać. Bądź co bądź, pomysł taki leżał w powietrzu i stykał się z licznymi podobnymi usiłowaniami. Wielostronność i umysłowa potęga, jak niemniej skłonność Schäfte'go, ażeby chwytać dążenia chwili i umijętności, stanowiły naturalne wstępne warunki do takiego przedsięwzięcia. Przejrzyjmy naprzód treść czterech tomów.

Pierwszy, wydany w r. 1875, mówi we wstępie o granicach wiedzy socyologicznej, dalej o jedności, podobieństwie i różnicy w zjawiskach socjalnych, organicznych i nieorganicznych, a wreszcie o związkach społecznych (*Gebilde*) i funkcyjach, poczem dają nam w sześciu głównych oddziałach analizę ciała społecznego w ogólnych zarysach. W tomie drugim kreśli obraz rozwoju historycznego tegoż ciała społecznego, według pewnych zasad; w trzecim zaś i czwartym mówi o historycznym rozwoju pojedynczych organów społecznych.

¹⁾ „*Socyologia*“ Gumplowicza wyszła po polsku jako „*System Socyologii*.“ Warszawa, 1888. Zob. Biblioteka Warsz. 1888. Zesz na mies. Wrzesień str. 441.

W pierwszym oddziale tomu pierwszego bierze pod uwagę składowe części ciała społecznego: otoczenie (str. 77-82), majątek narodowy (str. 82-96) i (co najważniejsza) człowieka i zaludnienie (str. 96-212). Jest to w krótkości streszczona antropologia i psychologia; obok tego rozważa metafizykę, estetykę, etykę, religią, rasy, temperament, wiek, płeć, wolność i równość. Do zaludnienia zaś, jako zjawiska mass, jeszcze nie przystępuje. Drugi oddział traktuje (str. 213-270) o rodzinie jako najprostszym życiowym czynniku, czyli komórce w ciele społeczném. Schäffle mówi o rodzinie ze względu na jój majątek, skład osobisty, pojedyncze urządzenia życia rodzinnego (dom, gospodarstwo i technika domowa), dalej analizuje funkcyę rodziny (rozmnażanie się, środki utrzymania) a w końcu mówi o zakłóceniach i zwyrodnieniu życia rodzinnego. W trzecim oddziale bierze sobie za zadanie (str. 270-391) histologią społeczną t. j. zasadnicze urządzenia czyli tkanki w ciele społeczném. Schäffle ustanawia różnicę między tkankami a organami. Według niego, organ społeczny jest instytucją złożoną, z majątku i osób, mającą na celu spełnienie zadań życia społecznego. Tkanka społeczna jest pewnego rodzaju działalnością, opartą na związku dóbr i osób w celach społecznych. Autor nazywa tkanki także związkami. Co prawda, mógłby je nazwać lepiej, w przeciwieństwie do organów, środkami zjednoczenia. Schäffle odróżnia pięć takich tkanek, do których zalicza: osiedlanie się, budownictwo, komunikacyę, instytucyę, przeznaczone do obrony osób i mienia oraz gospodarstwo domowe (społeczna przemiana materyi), technikę i zakłady w celach zbiorowej pracy umysłowej. Przedtém zaś mówił o bezkształtnych związkach mass, niby tkankach łącznych (Bindegewebe) jak np. o jednościi plemienia, o ciasniejszej ojczyźnie, o świadomości klasowej i stanowej, o przyjaźni, o stronnictwach, o jednościi wiary i języka. Dopiero czwarty i piąty oddział rozbierają ogólniejsze zjawiska ducha narodowego, mianowicie psychologią społeczną (str. 392-466), wiedzę społeczną, objawy działania i woli (str. 467-730). W obu tych oddziałach tkwi punkt ciężkości pierwszego tomu.

Oddawna już wszelkie usiłowania reformatorskie kierują się do tego, ażeby socyologią oprzeć na odpowiedniej podstawie psychicznej, to jest na psychologii społecznych mass; Schäffle wiąże się pod tym względem z Herbartem, Lazarusem, Fechnerem, Lotzem i innymi autorami. Roztrząsa więc w czwartym oddziale: podział i łączność pracy duchowej, psycho-fizyczne podstawy (t. j. zewnętrzne środki, przez które objawia się psycha społeczna jak język, prasa i t. p.), ograniczoność, wyczerpywanie się, koncentrowanie i podzielność społecznej, psycho-fizycznej siły ogółu, zbiorowa świadomość i jój granice (die Schwelle), rozbieżność społecznej świadomości, prawo kontrastu w zjawiskach społeczno-psychologicznych,

analogie między indywidualnością a społeczną psychologią; mówi dalej o duchu narodowym, a zwłaszcza o kierownictwie mass i oddziaływaniu tychże na kierowników, nareszcie o patologicznych objawach ducha narodowego. W następnym (t. j. piątym) oddziale mówi o szczegółowych kierunkach duchowej pracy zbiorowej, dalej, o wykonawczej i obserwacyjnej działalności społecznej (rząd, dyrekcyja), następnie o pracy umysłowej zbiorowej (język, literatura, szkoła), i o przejawianiu się jej w zasadach, podstawach, doświadczeniu i dogmatach, które przechowuje tradycya, jak również o walce szkół i pojęć. Z kolei traktuje o uczuciach w ciele społeczném, czyli o estetycznym życiu narodu, które znajduje swój wyraz w poczuciu honoru, dziełach sztuki i literatury, jak i w opinii moralnej i politycznej. Nakoniec mówi o działaniu woli społecznej, a głównie o prawie i moralności, jako podstawach czynów społecznych. Oddział ten (będący streszczeniem etyki i filozofii prawie sam jeden obejmuje 124 stronicie. Z tém łączą się uwagi nad idealizmem, jako potęgą społeczną, t. j. autor rozważa życie kościelno-religijne narodu i kończy rzecz społeczno-psychologicznym wnioskiem ogólnej natury. W szóstym i ostatnim oddziale pierwszego tomu, roztrząsa organa społeczne, przy czém kładzie główny nacisk na rodzinę, związki prywatne (stowarzyszenia, spółki) i korporacye (państwo, gmina), dalej mówi o dostarczaniu osobistych usług i dóbr dla powyższych instytucyi, których działalność rozważa stosownie do odróżnianych gatunków tkanek. Pod koniec tego tomu przeprowadza Schäffle porównanie ciała społecznego ze zwierzęciem.

Tom drugi rozpoczyna się siódmym oddziałem, zatytułowanym „Prawo rozwoju społecznego.“ Schäffle widzi to prawo w doborze społecznym. Sprawia ono doskonalenie się życia ekonomicznego, towarzyskiego i politycznego. Prawo i obyczaj wskazują granice, pośród których toczy się bój z naturą, walka jednostek, instytucyi i sił zbiorowych. Następnie pokazuje nam autor samą tę walkę, zapal walczących stron, interesa sporne i wyroki, które znowu odróżnia wedle tego, czy je los, czy gra, wojna lub pokojowy układ zdecydowały. Przyczyny wywołujące walkę są następujące: przedludnienie, współbieganie się o lepszy kąsek i dążenia idealne do ulepszeń; obok tego rozważa szczegółowo walkę z naturą, wojnę wewnętrzną i zewnętrzną oraz konkurencyą ekonomiczną. Schäffle widzi postęp przedewszystkiém w tém, żeby barbarzyńskie wyroki wojny były zastąpione szlachotniejszymi formami, żeby zamiast zniszczenia wroga starano się go dopasować do nowych warunków; dalej, żeby zwycięstwa siły materialnej stawały się coraz częściej zwycięstwami ducha, obyczajów i prawa, które mogłyby wytworzyć lepszą organizacyą społeczną. W zwycięstwie tej myśli widzi Schäffle pogodzenie teoryi rozwoju z estetycznym na świat poglądem, któremu poświęca ostatni oddział, poprzedziwszy go innym,

w którym mówi ze swojego punktu widzenia o pewnych znanych problematach historyczno-filozoficznych (stopień i wysokość rozwoju okresy cywilizacji).

Następne dwa tomy poświęca autor szczegółowej socjologii, rozwijając oddzielnie systemy organów społecznych. Tom trzeci, w sześciu rozdziałach (od 8-go do 139-go), zawiera historią rozwoju rodziny (str. 1-50), zaludnienia (str. 51-102) mówi o społeczeństwie, w przestrzeni i czasie (str. 105-220), o społecznych instytucjach bezpieczeństwa (str. 221-223), o gospodarstwie narodowym (str. 234-458) i nareszcie o technice (str. 549-566). Co się tyczy rozmiaru, jaki autor poświęca pojedynczym oddziałom, jest on podobnie różny jak i sam sposób traktowania. O momentach historycznego rozwoju raz mówi wyczerpująco, drugi raz pobieżnie. W tym tomie wywody ekonomiczne są najbardziej godne uwagi; wywody te zresztą nie wdają się w zbytne szczegóły, będące przedmiotem wykładu w podręcznikach; częstokroć odsyła autor czytelnika do trzeciego wydania swojego dzieła „Das gesell. System der menschlichen Wirthschaft“. Pod względem zewnętrznym jak i wewnętrznym na pierwszym planie stoją trzy rozdziały o tworzeniu się wartości, o zasadach organizacji gospodarstwa narodowego i o historycznym rozwoju tychże. W tych to rozdziałach, a mianowicie w trzecim, rozważa kwestyę przyszłości życia ekonomicznego, według teorii socjalistycznej, czego jużesmy wyżej dotknęli, a zatém więcej mówić o niej nie będziemy.

Tom czwarty zawiera dalszych siedem oddziałów (od 14-go—20-go). Schäffle zatytułował je jak następuje: rozwój psycho-fizycznego systemu organów t. j. języka, pisma, pojęć osobistych i ducha narodowego (str. 1--72); edukacja narodu t. j. wychowanie, nauczanie i tychże rozwój (str. 73-93); życie towarzyskie i umysłowe, rozrywki narodu oraz ich rozwój (str. 94-102) i rozwój szczegółowych kierunków duchowego życia narodu, uczuciowe życie społeczeństwa (str. 103-195), objawy centralnej woli w gminie (str. 196-216) i państwie (217-430); pogląd na narody żyjące w stanie natury i historyczne (431-479). Dodatek (480-508) zawiera uwagi nad nauką społeczną i jej metodami. Wykaz rzeczy i osób do wszystkich czterech tomów kończy dzieło. Wszystkie oddziały czwartego tomu ustępują pod względem zakresu i wykończenia jednemu z nich: mianowicie temu, który zawiera naukę o państwie; inne bowiem traktuje Schäffle aforystycznie i urywkowo, w tym jednym tylko wyczerpująco o systemie organów państwowych, o jego głównych funkcjach, o formach rządu, a wreszcie o tworzeniu się państwa z punktu teorii rozwoju etc.

Po tym krótkim przeglądzie przejdźmy do krytyki. Muszę wyznać przedewszystkiem, że przy niejednokrotném czytaniu i dokładnych wyciągach, jakie robiłem z ważniejszych ustępów dzieła

Schäffle'go, nieraz bywałem pobudzony do głębszego myślenia; że jednak obok tego, czułem się często w niezgodzie z autorem co do jego sposobu traktowania rzeczy. Chciałbym w tém miejscu dać słuszną ocenę, któraby wyjaśniła dla czego Schäffle był przez pewne umysły, różniące się między sobą pod względem duchowej organizacji i wykształcenia, raz formalnie uwielbiany, drugi raz zaś napastowany, a nawet nieraz formalnie lekceważony.

Przedewszystkiēm należy przyznać, że dzieło postępuje drogą, którą powinny chodzić nauki społeczne, a chociaż brak mu ścisłego opracowania w szczegółach, nie mniēj jednak zebranie odłamów nauki społecznej, jakie mamy do dziś dnia, w jednosc, było bardzo na czasie. Autor usiłował dojść do takiego uogólnienia, opierając się na jednolitym poglądzie na świat, to jest, na teorii rozwoju, która uważa życie społeczne jako dalszy ciąg i wyższe rozwinięcie życia organicznego, jako szereg walk, które sprowadzają postęp przez nieustanne dopasowywanie się, dobór i dziedziczność. W osiągnięciu tego celu przychodzą Schäffle'mu w pomoc i rozległe czytanie filozoficzne, długoletnie studia ekonomiczne, oraz doświadczenie polityka na wielką skalę. Studyowanie dzieł przyrodniczych i biologicznych pobudza go do porównań i analogii, które w części nie są bez pożytku; ale w gruncie zaprowadziły autora na manowce, tak, że mamy przed sobą zamiast rzeczywistości, możliwość, a zamiast ścisłego badania, obrazowanie. Nadto, Schäffle do takiej pracy posiada pewne naukowe uzdolnienie i to w wysokim stopniu: pogląd rozległy, intuicyą, przypominającą jego wielkiego ziomka Schelling'a, fantazyą bogatą, produkcyjną, łatwo kształtującą obrazy, szczególną wrażliwość, niezmordowaną dążność do postępu, dzięki której poddaje nanowo krytyce dawniejsze swoje twierdzenia. Pod niejednym z wymienionych względów przewyższa społecznym sobie uczonym, pracujących w tym samym zawodzie. Za to, brak mu innych przymiotów, niezbędnych dla dokładnego rozwiązania problemu, jaki sam sobie postawił. Karyerę swoją rozpoczął jako samouk i dziennikarz; na katedrze był raczej politykiem, niż profesorem, następnie został ministrem.

Schäffle jest raczej praktycznym politykiem, niż fachowym uczonym, umysłem bardziej spekulacyjnym, aniżeli badaczem. Należy on do szczęśliwych dzieci, którym zawsze coś niepospolitego do głowy przychodzi; wszakże jego literacka produkcya polega głównie na darze intuicyi. Nie powiem, żeby zupełnie był niezdolny, ale raczej, że mało jest usposobiony do zgłębiania jednego i tego samego problemu przez lata i lat dziesiątki, do przemyślenia go w ostatecznych następstwach, do wyraźnego formułowania swoich myśli, do wyczerpującego zbierania naukowych szczegółów, ażeby, obrobivszy je na nowo, stworzyć samodzielne dzieło. Ostrożny badacz strawiłby na napisanie tych 4-ch tomów całe życie; Schäffle wytrzymał je, że tak powiem, z rękawa, w przeciągu lat kilku.

Schäffle nazywa dzieło swoje skromnie „Zarysem;“ w pewnym sensie mógłby zastosować do siebie dumne słowa Monteskiusza: *prolem sine matre creatum*. Wstępując na nowe zupełnie tory, trudno utworzyć coś doskonałego; godząc się na powyższe zastrzeżenie, byłoby i tak niejedno do zarzucenia temu „Zarysowi.“ Socjalny idealizm Schäffle’go jak również i Darwinizm nie doszły w autorze do wewnętrznej jedności i zgody. Analogiom, czerpanym ze zjawisk biologicznych, Schäffle przypisuje nadmierne znaczenie; brak mu odpowiednich studyów przygotowawczych z zakresu historii i kultury, a pod względem formy, brak dziełu jego obrobienia i wykończenia. Specyalne studia Schäffle’go z dziedziny obyczajów, prawa, ekonomii i historii kultury w ogóle nie o wiele przewyższają wiadomości (jak to widać z jego cytat) uczonego średniej miary. Przyrodnicze i biologiczne studia, którym oddawał się przez lat kilka, nie mogą zastąpić specyalnych wiadomości, właściwych zawodowi socjologa. Jest rzeczą naturalną, że Schäffle’go spotkało uznanie ze strony biologów; dalej, nie ulega wątpliwości, że zdobył sobie trwałą zasługę, usiłując zastosować do nauk społecznych sumę wiedzy przyrodniczo-biologicznej i nakoniec, że w tych swoich wywodach stanął wyżej po nad chaos nieprzetrawionych myśli, jakie niedawno jeszcze pewien szlachetny dyletant ogłosił p. t. „*Gedanken der Socialwissenschaft der Zukunft*.“ Jednakże system zamierzający torować nowe drogi naukowe społecznym, winien się oprzeć na możliwie doskonałym poznaniu materiału historycznego i społecznego, nie zaś tylko na wiedzy przyrodniczej. Brakom tym zaradza w części ta okoliczność, że autor jest fachowym znawcą ekonomii politycznej; ale i pod tym względem jest on raczej nowożytnym politykiem, niż uczonym badaczem tego, co wiemy o ekonomicznym życiu wszystkich ludów i wszystkich epok. To ostatnie byłoby nieodzownym warunkiem podobnego dzieła, jeżeliby miało zadowolnić czytelnika i w szczegółach swoich być wyrazem istotnego postępu. Pod tym względem Schäffle nie dorównywa Roscher’owi, Peschlowi i innym. Brakiem, o którym mowa, tłómaczymy sobie ten fakt, że chociaż autor, kreśląc historyczny rozwój ciała społecznego ze stanowiska walki o byt, niejedną ważną myśl wypowiedział, osobliwie w drugim tomie; jednakże nie widzimy tu ogniw pośrednich t. j. że o rozwoju historycznym oddzielnych organów instytucji, otrzymujemy zaledwie powierzchowne wiadomości. Historia rodziny, techniki, klas społecznych, wojskowości, księgarstwa i prasy tudzież historia handlu, kredytu jak i organizacji ekonomicznej, oraz wielu innych urządzeń, mogłaby być przy dzisiejszych środkach naukowych inaczéj zupełnie dokonana, aniżeli Schäffle uczynił. Taki fundament naukowy byłby nam pozwolił przyjrzyć się rozwojowi ciała społecznego w żywszym i różnorodniejszym świetle, niż wielki blask rzucony przez teorią doboru naturalnego i walki o byt, która sama jedna miała wszystkie kwestye wyjaśnić.

Co się tyczy formy i sposobu traktowania rzeczy, wspomnę przedewszystkiém o zewnętrznej stronie dzieła, a to już da nam niejakie pojęcie o sposobie, jakim Schäffle pracuje. Kiedy bowiem tom 1-szy, 3-ci, 4-ty figurują w tytule jako „tomy“, to 2-gi nazwany jest tylko częścią. Cytaty przytacza w wielu miejscach jakby wypadkiem i niedokładnie; zdarzają się też fałszywe imiona, zmiany w tytułach dzieł, o których wspomina, częstokroć mówi o uczonych bez przytoczenia ich dzieł, co dla znających rzecz jest zbyteczne a dla niezających nieużyteczne; wyciągi, które podaje z dzieł głównie filozoficznych i przyrodniczych są za długie. Tu i owdzie jak np. w dziele o Religiiach, całe stronnice wypisał dosłownie z Peschl'a bez cudzysłowu, jedynie wspominając o autorze. Taki tryb pisania dopuszczalny jest w notatkach akademickich przy pobieżném streszczaniu, ale w druku nie uchodzi. Metoda i sposób traktowania dzieła są tak niejednostajne jak można sobie tylko wyobrazić. Na przemianę spotykamy lotną wymowę, gdy autor rozwija temat ulubiony, to znów suche, czysto podręcznikowe notatki, luźne wzmianki i obszernie dowodzenia, wstępne artykuły polityczne o kwestyach bieżących, a po nich tuż wywody najbardziej abstrakcyjne. Tym sposobem, z jednej strony mamy ustępy, obfitujące w głębokie myśli; z drugiej zaś krótkie, jałowe wzmianki na wzór dawnych ekonomistów i polityków niemieckich. Drobiazgowa systematyka, której konieczności nie widzimy, sprawia, że autor często musi się powtarzać. Z mnóstwem pojęć abstrakcyjnych łączy przykłady brane z życia wszystkich epok i ludów. Częstokroć widoczny jest brak wyrazistości i jasności w opracowaniu szczegółów, oraz pokazania przyczynowego związku między faktami. Taki tryb wykładu prowadzi do tego, że u Schäffle'go spotykamy podobnie jak w starych podręcznikach ekonomii politycznej, drobiazgowę prawdę, których uszeregowanie w twarde schematyzm nie stanowi jeszcze nauki. Weźmy np. często powtarzaną uwagę, że organa podtrzymujące winny być zabezpieczone ochronnymi urządzeniami t. j. że nasze domy mają dachy, bądź też spostrzeżenia tego rodzaju, że drogi dzielą się na główne i poboczne, lub też, że stałe miejsca pracy (fabryki) służą głównie do stania, chodzenia i siedzenia niewiele zaś do leżenia. Podobne drobiazgi są zabytkami staroświeckiego traktowania rzeczy, ale nie przystoją ani stanowisku ani ukształcenia Schäffle'go. Również zaniżowanie w drobiazgowej klasyfikacji, przejął Schäffle ze starych podręczników; ciągle odróżnia urządzenia, będące niejako podporą, instytucye ochronne, technikę i inne, a obok tego wszystkiego dodaje, że taka klasyfikacya ma jeszcze przed sobą obszerne pole. Niedjednokrotnie zdaje się, jakoby właśnie to szeregowanie starego materiału w nowe schematyczne rubryki stanowiło jedyny cel autora.

Styl Schäffle'go jest jędrny, płynący z bogatej fantazyi; gdyby sam popracował nad sobą, lub słuchał rady innych, zostałby napewno jednym z celniejszych niemieckich pisarzy. Zbyt obfita produk-

cya literacka, wczesne powodzenie jak i niedokładne zassymilowanie się czynników jego ukształcenia, zepsuły mu styl i doprowadziły do coraz większego lekceważenia formy. Nadmiar wyrazów obcych lub dowolnie ukutych oraz inne wady stylowe wzrosły teraz tak dalece, że sam sobie psuje powodzenie, jakieby mu się należało ze względu na treść. Tak też się dzieje, że pojedyncze części dzieła są dobrze i zajmująco napisane, jak np. według mego zdania rozdziały 3-go tomu o Socyalizmie, i niektóre części 4-go o Formach państwa. Tutaj autor jest praktycznym politykiem, który w zapale dla swojego ideału przemawia od serca. Również niektóre historyczno-filozoficzne streszczenia, jak np. w 2-im tomie zwięzły pogląd na historią prawa niemieckiego ze stanowiska teorii rozwoju, udały mu się w zupełności. Niektóre części pierwszego tomu, głównie zaś obszernie wywody o psychologii narodów, za przykładem Herbart'a i Lazarus'a jak i streszczenia dawniejszych prac o formach przedsiębiorstw i organach społecznych, mieszczą trafne poszukiwania. Obok tego, nie brak w dziele śladów samodzielnego pojmowania rzeczy, które czytelnikowi nasuwa szereg problemów i teorii. Całość mimo swoich braków, przedstawia się jako wielki i wspaniały pomysł jednolitego ujęcia wszystkich nauk społecznych. W tym czasie ani literatura niemiecka, ani zagraniczna nic równego nie posiadały. Przez długie lata dzieło będzie służyło za podniętę w kołach ludzi poświęcających się socyologii.

Każdy człowiek popełnia błędy wprost przeciwne swoim cnocom. Wady Schäffle'go leżą w tém, że jako zdolny publicysta, chciał oprzeć socyologią na pojęciach i wrażeniach, które w części należą do nauki, w części do polityki bieżącej, częścią znowu brane są z wiadomości fachowych, lub też wkraczają w dziedzinę analogii biologicznych. Spotykamy u niego dość często zamiast wyczerpującego badania przyczyn, raczjć utwory natchnione ideał celowości; zapowiada nam socyalistyczną przyszłość, którą potém sam odwołuje. Zamiast wyjaśnić genezę rzeczy, pragnąłby społecznym ludziom wmówić, jak być powinno. Taki tryb wykładu nie jest obcy naukom państwowym. Jakoż i Herbert Spencer wciąga do swoich wywodów przyczynowych, rozmyślenia polityczne, spotykane w każdym radykalnym dzienniku angielskim. Należy tylko pamiętać, że to nie stanowi ściślej umiejętności, a tém mniej dokładnego badania, jakie podziwiamy w naukach przyrodniczych.

KOPALNIE KLUCZA SŁAWKOWSKIEGO.

(Ustęp z dzieła, poświęconego poszukiwaniom na polu historii przemysłu rolniczego w dawniej Polsce).

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

Dobra i posiadłości, będące niegdyś własnością biskupów krakowskich, wyróżniały się z pomiędzy innych duchownych i szlacheckich dóbr rzeczypopospolitęj przez to szczególnie, że położone były prawie wszystkie w okolicach przeważnie górniczych i kopalnych. Pierwszym od strony Szląska, słynącym kiedyś mnogością kuźnic i dynamek, był klucz Koziegłowski. Tuż za nim ku południowi było księstwo Siewierskie, tak samo obfitujące w rudę żelazną i kuźnice, położone prócz tego na skałach wapienia muszlowego i dolomitów kruszeośnych, w bardzo odległej przeszłości roiło się już mnóstwem górników, kopiących ołów i srebro. W dalszym ciągu owe nieprzeliczone zroby, idące po liniach wapieni muszlowych, mieszczących w sobie nadzwyczaj bogate żyły i gniazda błyszczu srebronośnego, przeważnie weszły w skład posiadłości klucza Sławkowskiego. Nie możemy przepomnieć i innych, znajdujących się w obrębie tego klucza, choć nieeksploatowanych wtedy, ale ogromnej ceny i wyjątkowej obfitości góroutworów, jak galman czyli ruda cynkowa, węgiel kamienny, glinki ogniotrwałe i t. d.

Jako dalsze ogniwa ciągnących się półkolem od granic Szląska przez Małopolskę aż pod Radom dóbr biskupich, były ogromnej wartości klucze, między którymi był i klucz Kielecki, słynący z marmurów i gór miedzianych, dalej Bodzentyn, Kunów i t. d.

Za przedmiot opowiadania naszego bierzemy na teraz klucz Sławkowski, dając mu pierwszeństwo przed innymi, gdyż oprócz tego, że stanowił jedną z najdawniejszych u nas posiadłości duchownych, że ślady robót górniczych, które się tu znajdują, sięgają czasów niesłychanie odległych, ale także ze względu na różnorodne

skarby górnicze, z powodu których żadna inna część dawniej Polski nie mogła się równać z tą krainą. Górował nad nią nieprzebraném i wyjątkowém bogactwem, ale tylko rud ołowianych i cynkowych, ostatni skrawek tego łańcucha kruszcorodnego u Olkusza, królewską już jednak własność stanowiący.

Najdawniejszy dokument, w którym jest mowa o kasztelanii sławkowskiej, już do biskupów krakowskich należącej, pomieszczony w Kodeksie dyplomatycznym katedry krakowskiej Piekosińskiego ¹⁾, wydany został przez Leszka Czarnego w r. 1286; ale Sławków znacznie dawniej był własnością biskupią, jak to widzimy choćby z tego, że w r. 1203 biskup krakowski Fulko, czyli Pelka fundować tu miał szpital dla górników. ²⁾

Klucz ten, zwiększany ciąglemi nabytkami, w XVI wieku a nawet i wcześniej — jak dowodzą tego stare akta — potężny szmat kraju już zajmował. Ostatecznie rozległość jego około 500 kilometrów kwadratowych wynosiła. W inwentarzu z r. 1668 wymieniono następujące wsie do niego należące: Ząbkowice, Tuczno-baba, Trzebiczna, Łosień, Łazy, Błędów, Okradzionów, Kuźnica Okradzionowska, Krzybawa, Bukówno, Luszowice, Góry Luszowskie, Jaworzno, Bycina, Długoszyn, Dąbrowa, Cieszkowice, Porąbka, Strzemieszyce Wielkie, Strzemieszyce Małe i Gołonóg. Nomenklatury te prawie wszystkie znane już były około r. 1550, znajdujemy je bowiem w aktach żupnictwa sławkowskiego, do którego różnemi czasy przyłączone zostały. Np. wsie Luszowice i Góry Luszowskie, Jaworzno, Długoszyn, Cieszkowice, w r. 1242 nabyte zostały przez biskupów. Stało się to wskutek zamiany z klasztorem pp. Benedyktynów w Staniątkach, fundowanym mało co przedtém przez komeśa Klemensa z Ruszczy, kasztelana krakowskiego, który między innymi i te wsie zapisał owemu klasztorowi. Podobnie dostała się biskupom krakowskim wieś Byczyna, w skutek zamiany z opatem tynieckim Albertem w r. 1287 ³⁾. Ważnym jest akt potwierdzenia zamiany z klasztorem w Staniątkach przez Konrada, księcia Mazowieckiego, tytułującego się wtedy księciem Krakowskim, przytoczony dosłownie w księdze beneficjów Długosza. ⁴⁾ Wymieniając między innymi wsie Luszowice, Długoszyn, Cieszkowice i Jaworzno, akt wydany w Krakowie r. 1242 opiewa, iż odstąpiono je biskupowi krakowskiemu ze wszystkimi pożytkami, z młynami „et cum plumbo.“ Więcej kopano około tych wsi ołów. Najprawdopodobniej

1) fol. 120. R. 1286 d. 30 Listopada Leszek Czarny darował wieś Dzierżnię Pawłowi biskupowi Krak. i przyłączył ją do kasztelanii sławkowskiej.

2) Baliński i Lipiński. Starożyt. Polska II, 103.

3) Długosza Liber Beneficiorum III, 217.

4) Vol. III, fol 298.

mogło to być pod Luszowicami i Długoszymem, które leżą na wapieniach muszlowych, jak to na kartach Römpera i Degenhardta zaznaczono. ¹⁾ W samej rzeczy, akta górne sławkowskie z XVI wieku, które mamy pod ręką, przechowały niezaprzeczone dowody o wielu kopalniach, położonych na wapieniach dolomitowych, ciągnących się z góry od Bytonia, w kierunku równoległym do takichże wapieni między Siewierzem a Olkuszem. Że około r. 1550 mieszkańcy Długoszyna kopali w górach okolicznych i że licencye czyli frysztą brali w Sławkowie, mamy na to dowody w tychże aktach. W roku 1551 we Wtorek po Niedzieli przewodniej, niejaki Maciej Zierny zeznał przed Janem Porębskim, Żupnikiem Sławkowskim, że ustąpił Maciejowi Wójcikowi z Długoszyna część swoją u góry Soboty w Długoszymie. Tenże Maciej Wójcik, górnik jak widać niestrudzony, w r. 1565 brał fryszt na góry spadłe w Długoszymie. ²⁾ Co do Luszowic powstała z czasem w bliskości tychże osobna osada: Góry Luszowickie ³⁾, nazwane od kopalni, t. j. od gór tamtejszych, a jakkolwiek z kądną o tychże górach nic nie wiemy, niemałego jednak w tym razie jest znaczenia zeznanie wniesione w r. 1554 do akt górniczych Sławkowskich, podług którego „Stanislaus Potżupek de montibus Lijssowskiję“ zadłużył się na 30 centnarów ołowiu Stanisławowi Mruczkowi z Chrzanowa. Był podżupek, więc były i góry, które w historyi górnictwa polskiego zaliczyć należy, równie jak i góry pod Długoszymem, do najstarszych. Jak z powyższego się okazuje, góry te były dłużej, aniżeli przez trzy wieki eksploatowane, co już zdawałoby się świadczyć o niepośledniem ich bogactwie.

Wykazaliśmy już dawniej ⁴⁾, że kopalnictwo nasze szło od strony Szlązka, krok w krok się posuwając po liniach wapieni muszlowych ku wschodowi; przypuszczać zatem trzeba, że dawniejszemi od gór Luszowskich były góry powyżej tychże położone, więc koło Jaworzna i Cieszkowic. Czy tam kiedy w istocie kopano, dowodów piśmiennych nie ma żadnych, ale jest wszelkie prawdopodobieństwo, że tak

¹⁾ A może i około Chrzanowa, gdzie — jak mi opowiadano — stare zroby (Zrob, zroby w górnictwie znaczy: zawałono doły, z których dawniej rudę kopano. *Red.*) na znacznych przestrzeniach zalegają kraj nasz. Kromer (*Descriptio Poloniae* I. 123—editio Miclera de Kolof) podaje, że ołów ze srebrem znajdować się ma pod Chrzanowem.

²⁾ W pomienionych aktach Sławkowskich zapisano: „Anno 1565 — Mathias Wojciech de Dlugoszijn licenciavit montes lapsos in Dlugos z i j n.“

³⁾ Nie ma o niej jeszcze wzmianki w powołanym powyżej akcie Konrada Mazowieckiego z r. 1242.

⁴⁾ *Wszehéwiat* z r. 1887 *N. N.* 18, 19 i 20. Odczyt o przemyśle górnictwym w dawnéj Polsce, „Najdawniejsze ślady górnictwa srebrno-ołowianego w Polsce.“

było; — jakkolwiek zaś nie mieliśmy sposobności tego sprawdzić, wszakże jesteście prawie pewni, że ślady dawnych robót w miejscowościach tych, jak i około Chrzanowa, znajdować się muszą niewątpliwie, tak jak się znajdują pod Trzebinią. Wreszcie nadmienić trzeba, że na tymże samym łańcuchu dolomitów, tuż obok kopalń klucza Sławkowskiego, poniżej tychże, prócz gór Olkuskich i około Trzebini, były także kopalnie „Nowogórskie,” na których przełożonym był żupnik miejscowy. W r. 1551 d. 14 września stawił się do urzędu górnego Sławkowskiego, jako powód poszukujący należności swój na ołowiu jednego z gwarków Sławkowskich „famatus dominus Foelix zupparius de Nowa-góra.” Ale oprócz tej jednej wzmianki, stwierdzającej zresztą podanie Kromera o ołowiu ze srebrem pod Nową górą, żadnej innej o górach tych nie mamy wiadomości.

Strony, o których opowiadamy, przedstawiają zawsze krainę o powierzchni w wielu miejscach jałowej, bądź usypanej wydiami ruchomych piasków, bądź zatechłej wilgocią od licznych trzęsawisk i moczarów. Ale te wzgórza piaskowe wśród pól rodzajnych lub torfowisk, przypominające nieraz morskie nasypy, te trzęsawiska i moczary, wypełniające różne kotliny i charakterystyczne zagłębienia, natura położyła tu, niewiadomo czy na straży, czy jako właśnie wskazówkę owych bogactw, w głębokościach ziemi się znajdujących.

Kiedy dzieje tych stron, z cieniów głębokiej przeszłości zaczęły się wychylać, ogromne bogactwa tych okolic były już dobrze znane, a poczęści — odnośnie do rudy ołowianej i do blyszczu, nawet już wyeksploatowane. Eksploatacya tu poszła od strony Szląska, gdzie i kiedy jednakże się zaczęła, jak długo trwała, jestto tajemnicą przeszłości zbyt odległej i całkiem już niewiadomej. Echem jej przecież jest jeden szczególnie niezbyt wykryty, że w r. 1136 kopano jeszcze na srebro pod Siewierzem, olbrzymie zaś zroby zalegające na całej długości owego łańcucha skał, pingi czyli spadliska po dawnych szybach, nieprzeliczona moc dukli, warpie i hałdy, składające się z nagromadzonych trzasek kamienia wapiennego i różnych pecyn, między którymi nierzadko znaleźć okazy blyszczu i innych rud, dowodzą aż nadto wymownie niezmierniej tu ruchliwości i silnie rozwiniętego przemysłu górniczego w czasach, o których żadnych już dzisiaj nie mamy wiadomości.

Po owej ruchliwej, a nieznaniej, przypuszczalnie zaś przez wieki trwającej przeszłości, góry Sławkowskie zaczęły coraz mniej produkować. Na samym początku wieku XIII, niektóre z nich około Ząbkowic — były już podobno opuszczone, na innych, około Sławkowa — eksploatacyą znacznie osłabła. Przecież, około r. 1203 i w ciągu całego w. XIII góry te, choć nie wszystkie, były jeszcze w eksploatacyi, a ludność górnicza, pracująca tutaj, musiała być dość

liczną, skoro biskup krakowski, Pełka, fundować miał w Sławkowie szpital dla górników ¹⁾). Długosz wszakże powiada, ²⁾ że szpital ten założył i licznymi opatrzył funduszami dopiero biskup Jan Muskata roku 1298 d. 10 lipca — i że oddał zarząd nad nim sprawdzonym przez siebie z Wiednia zakonnikom św. Ducha, zwanym de Saxia, których osadził przy nowo erygowanej przez siebie parafii wraz z kościołem św. Jana, dla której oddzielił połowę miasta od dawniejszej, zbyt pono obszerniej parafii św. Krzyżkiej. Sławków podług Długosza jeszcze się odznaczał wtedy wielką liczbą mieszkańców i bogactwem, słynął szeroko z powodu bardzo obfitych kopalń ołowiu, mnóstwo też w nim szukało przytułku ubogich ludzi, szczególnie spracowanych górników i kopaczy. Z biegiem czasu większa część kopalń sławkowskich wyczerpała się, miasto zatem upadło, a klasztor wraz ze szpitalem do miasta królewskiego Olkusza został przeniesiony. Tak opowiada Długosz, podając w dalszym ciągu, ³⁾ że za króla Kazimierza W-go góry sławkowskie wyczerpane, pustoszyć na dobre zaczynały, co dało powód królowi temu do starania się o podniesienie miasta Olkusza, gdy w górach olkuskich coraz pomyślniej pracowano, znajdując tam nowe, niewyczerpane bogactwo rud ołowianych. Uwydatnił się więc na ten raz w historii górnictwa polskiego ów ruch, który przed wiekami, wyszedłszy od Szląska, przeszedł po całej linii wapieni muszlowych między Siewierzem a Olkuszem.

Odkrycie nietkniętych przedtém i niezmiernie bogatych żył kruszcowych pod Olkuszem, było na czasie wypadkiem, który prawdopodobnie pociągnął ku sobie wielką liczbę górników i przemysłowców, ze szkodą rozumie się gór okolicznych mniej zasobnych. Wszystko bowiem podówczas zaczęło sprzyjać eksploatacji gór Olkuskich — i to na wielką skalę. Postęp cywilizacji i idące za tém nieustanne zwiększanie się stosunków międzynarodowych, handel, dochodzący rozmiarów kolosalnych, nowe potrzeby, wzrastający porządek i bezpieczeństwo wśród ówczesnych społeczeństw, nauki przychochzące do stanu kwitnącego, rozwój przemysłu, były to okoliczności wywołujące gwałtowną potrzebę pomnożenia środków zamiennych, jakim nie mogły wystarczyć skarby kopalne starego świata. W czasach więc poprzedzających wynalezienie drogi do Indyi Wschodnich oraz odkrycie Ameryki, nie wahamy się gór olkuskim, produkującym srebro, a niesłychanie bogatym w ołów, przyznać ważności bodaj międzynarodowej. Dobrze też rozumieli to znaczenie królowie polscy, bo począwszy od Kazimierza W-go i przez wieki następne, a szczególnie przez cały ciąg dynastyi Jagiellońskiej, nie przestawali gór olkuskich otaczać największą swoją

¹⁾ Baliński i Lipiński. — *Star. Polska* II, 103.

²⁾ *Libri Beneficiorum* III, 56.

³⁾ *Libri Beneficiorum* III, 472.

pieczołowitością. Ztąd powstał cały kodeks przywilejów, statutów, różnych mandatów i urzędzeń królewskich, dotyczących szczególnie gór olkuskich. To szczególne zajęcie i zaopiekowanie się niemi, nie mogło oczywiście być bez wpływu na cały przemysł srebrno-ołowiany dawniej Polski. Statuta królewskie, regulujące rozliczne stosunki kopalni olkuskich, stały się ogólnie obowiązującymi dla wszystkich innych gór. Wymieniamy tu przywilój królowej Elżbiety z roku 1374, służący np. co do olbory za punkt wyjścia dla wszystkich późniejszych, — bardzo ważny przywilój króla Władysława Jagielly z r. 1426, wyjaśniający znaczenie prawa górnego, oraz najważniejszy ze wszystkich statut króla Jana Alberta, ogłoszony przez Aleksandra w r. 1505, zawierający artykuły prawa górnego, podług którego kopalnie rządzić się miały.

Wprawdzie góry sławkowskie w innych znajdowały się warunkach jak olkuskie. Najpierw były one po większej części już wyeksploutowane, kiedy pod Olkuszem dopiero się krzątać zaczyna; — następnie były własnością potężnych biskupów krakowskich, posiadających tuż obok księstwo udzielne i rządzących się też w posiadłościach swych jak udzielni panowie. Prawa atoli i statuta królewskie, choć nicobowiązujące, wywierały jednak i tu swój wpływ zbawienny, przez to, że podtrzymywały i podnosiły w kraju kopalnictwo. Jakoż widzimy, że i w żupie sławkowskiej stosowano się do artykułów statutu królewskiego (Jana Alberta), wyraźnie na nie powołując. Liczne też zastępy gwarków i drobniejszych przemysłowców górniczych, o ile zrazu hurmem rzuciły się do nowoodkrytych pól, o tyle później, nie znajdując dla siebie miejsca pod Olkuszem, szukały szczęścia w innych, choćby i mniej zasobnych górach okolicznych. Tym sposobem wlokło się jeszcze górnictwo sławkowskie przez cały XIV wiek. W r. 1412 przywilój wydany dla miasta Sławkowa przez biskupa Piotra Wysza, zastrzegający jedenasty centnar olbory z kopalń miejscowych, jest dowodem, że jeszcze w nich wtedy pracowano. W roku 1446 biskup Zbigniew Oleśnicki, potwierdzając przywilój dla Sławkowa, o olborze z kopalń miejscowych nic nie wspomniał. Okoliczność tę podniósł Łabęcki (górnictwo w Polsce) jako dowód, że podówczas kopalnie sławkowskie musiały już być nieczynne. Uwaga ta wydaje nam się przecież mniej zasadną, ze względu bowiem na dawniejsze sposoby prowadzenia kopalnictwa, kiedy nie miano nawet pojęcia o potężnych i nader kosztownych środkach, jakimi się ono dziś posługuje i które mu też zapewniają niebывałą przedtém trwałość i przewagę w ciężkiej podziemnej walce z siłami natury, olbora nie stanowiła nigdy dochodu pewnego i naprzód obliczyć się dającego. Jednego roku olbora uczynić mogła bardzo dużo, drugiego, albo i przez cały szereg następnych lat całkiem nic. Zależało to nietylko od liczby gwarków, nietylko od ilości otwartych gór i szybów, ale przedewszystkiem od trudności, z którymi gwarkowie mu-

sieli w szybach walczyć — i dla których bardzo często trzeba było na całe szeregi lat zwalniać ich od olbory. Przeglądaliśmy np. inwentarze dóbr i prowentów biskupstwa krakowskiego z r. 1668 ¹⁾, a w szczególności inwentarz klucza sławkowskiego i żadnej nie znaleźliśmy w nim wzmianki o olborze, a przecież w tym samym inwentarzu mamy dowód zkadąd nie znany, że przemysł górniczy w tym kluczu ciągle kwitnął, że luty ołowiane przy Sławkowie puszczano w dzierżawę nie za darmo. Myliłby się więc, ktoby na zasadzie przemilczenia o olborze, wnioskował o upadku i zaniedbaniu kopalnictwa. Tak nie było w r. 1668, prawdopodobnie też i co do roku 1446 racya podana przez Łabęckiego jest niepewną. Jakkolwiek-bądź, trudno wiedzieć czy góry sławkowskie były wtedy istotnie porzucone, czy przeciwnie; gdy przecież żadna z owego czasu co do nich wiadomość nas nie dochodzi, można przypuszczać, że eksploatacja ich pozostawała w niejakiem zaniedbaniu.

Dopiero około połowy w. XVI znajdujemy wskazówki, że kopalnie sławkowskie przyszły i to od razu do nader znacznego ożywienia. Gdyby jednak prawdą było, że kopalnie te nie przynosiły przedtém korzyści odpowiednich i że przez cały XV wiek pozostawały w opuszczeniu, rzeczą jest do zastanowienia, czém mogły znieść ku sobie gwarków w wieku XVI, kiedy tuż obok znajdowało się tak bardzo obfite pole pod Olkuszem, którego bogactwo niesłychane nęciło ku sobie ludność nie tylko miejscową, ale także górników ze stron dalekich. Otóż nie co innego mogło do tego się przyczynić, tylko właśnie ów ruch ogromny, jaki zapanował na tuż obok leżących górach podolkuskich; świetne sukcessa olkuskich gwarków, rozbudziły w ogóle chęć do poszukiwań górniczych i dały nowy potężny impuls ówczesnemu naszemu kopalnictwu. Zastanawiając się nad tym szczególnym faktem ożywienia się gór sławkowskich, jeżeli spojrzymy na kartę geologiczną tych okolic, obaczymy, iż ten ponowny ruch, który wziął początek w stronie tak zwanéj „na Tłukience,“ obudził się najbliżej pól eksploатовanych pod Olkuszem. W samej rzeczy, jak to przekonywamy się następnie z akt żupniczych i akcyi sądowéj, przeprowadzonéj w r. 1574 między gwarkami sławkowskimi a olkuskimi, ci ostatni podeszli z robotami do samej granicy biskupiéj a nawet „spodkiem“ w nią wjechali. Pokazało się, że pole to na gruncie biskupim nie było jeszcze wyeksploatowane, owszem cała ta sciana od Bolesławia, wzdłuż granicy królewskiej była nietknięta a pełna kruszcu. Ale co najpomyślniej wpływać mogło na rozwój górnictwa Sławkowskiego, to znakomite dzieło, podjęte w tym czasie właśnie (około r. 1550) kosztem królewskim, t. j. wyprowadzenie dwóch sztolni odpływowych, Czartoryskiej i Starczynowskiej, osu-

¹⁾ Inwentarze te znajdują się w archiwum kapituły krakowskiej, a okazano nam zostały przez nieżyjącego już dziś nieodżałowanój panięci uczonego ks. kanonika Ignacego Polkowskiego.

szających przyległe im pola kopalniane. Wzmagający się od tego właśnie czasu ruch na kopalniach biskupich, jest niezbitym dowodem wielkiej użyteczności owych sztolni, osuszających w tej stronie nie tylko góry olkuskie, ale także i góry na gruncie biskupim położone. Tak więc w pierwszej połowie w. XVI zaznaczyć wypada na kopalniach sławkowskich fakt niebywałego przedtém ruchu, który jak się zdaje, początek wziął między r. 1530 a 1540. Olkusz stał się w tej chwili jego ogniskiem, tutaj zawrzało życie, które ogarnął przyległe pola, posuwało się w kierunku do poprzedniego wręcz przeciwnym. Gdy bowiem przedtém poszukiwania górnicze i otwieranie gór olownych szły od Szlązka i krok za krokiem schodziły po linii wapieni muszlowych aż pod Olkusz, obecnie zwróciły się one wstecz od Olkusza i sięgnęły aż po za Sławków do Strzemieszyc.

Zagrzani przykładem Olkuszan mieszczenie sławkowscy, podejmując na nowo około r. 1530 roboty górnicze, zwrócili się szczególnie w stronę od Bukowsza pod Ujków, do gór tak zwanych „na Tłukience,” gdzie był jeszcze zasób niewyekspluatowany rudy ołowianej większy aniżeli gdziekolwiekbądź na terytorjum klucza sławkowskiego. Tłumnie rzucono się do urzędu żupnego o fryszta, czyli licencye. Tylko że w stronie tej, położonej na stoku dość wyniosłego płaskowzgórza, napływ podziemnych wód był bardzo silny. Z przeszkodą tą potrzeba było walczyć siłami połączonemi. Przedewszystkiém niezbędny tu był oddzielny szyb, zwany wodnym. W szybie takim czyli w podszybiu, to jest niżej chodnika doń prowadzącego, jest rzap' czyli zbiornik dla wody do niego spływającej, zkąd jak w owe czasy, czerpakiem albo wiadrami na kołowrocie, windowało się wodę do góry i odprowadzało od szybu kanałami lub rynnami. Odpowiednio do sił technicznych, któremi ówczesni gwarkowie rozporządzali, tak zwane góry nie były tyle obszerne, by na nich obok szybów dobywalnych, dało się budować i szyby wodne, służące do osuszenia niejednej góry, ale także i gór opolnych. Było to tём bardziej niemożliwe, że na jednej górze nieraz po kilku gwarków miało swoje achtele czyli działki. W takim razie i skoro to była rzecz wszystkich pospołu obchodząca, nie pozostawało jak tylko udać się „ad dominium directum,” to jest jak w Sławkowie do księdza biskupa, by zechoiał okazać jakąś pomoc i przyjąć udział w kosztach, na które gwarkowie byli narażeni. W samój rzeczy, przywilejem wydanym w Krakowie d. 15 maja 1544 r. biskup Piotr Myszkowski pozwolił gwarkom kopiącym na Tłukience postawić w miejscu, któreby uważali za najdogodniejsze, kołowrót (rota) wraz z szopą, dla wyprowadzenia wód z kopalni, zastrzegając tylko, że gdyby we wnętrzu tak osuszoném gwarkowie znaleźli jaki kruszec, winni byli donieść o tём natychmiast biskupowi lub jego następcom. Ze względu na kosztą, darował biskup gwarkom jednoroczną olborę, wreszcie rozciągnął i na Tłukienkę prawo górne, na

innych górach obowiązujące, sam za siebie i za swoich następców przyrzekając stosować się do tego ¹⁾. Jest to więc niejako akt erekcyjny wskrzeszonych na nowo gór sławkowskich i który wywołał ogromny ruch w tychże górach, dopomogły zaś temu aktowi najskuteczniej, jakeśmy to już nadmienili, dwie sztolnie, Czaratoryjska i Starczynowska, w tej stronie kosztem królewskim wyprowadzone. Z czasów bezpośrednio po akcie tym idących, doszła nas właśnie księga w urzędzie żupnika sławkowskiego prowadzona, zawierająca akta górne, miejscowych kopalń dotyczące. Daje ona ciekawy obraz ówczesnego życia i rozlicznych stosunków na kopalniach, wprowadzając nas odrazu w cały wir tychże i wyjaśniając nie jeden szczegół, dla historii górnictwa naszego wielce ważny. Z tej księgi odtworzyliśmy w dalszym ciągu niniejszego opisu obraz przeszłości gór sławkowskich, w tych najdrobniejszych szczegółach, niby to mało znaczących, ale dla charakterystyki i kolorytu czasu, ludzi i miejsca niezmiernie ważnych tembardziej, że one pochodzą z pierwszej ręki, nader szczęśliwie od zniszczenia i zupełnej zagłady ochronione ²⁾.

Zaczął się przeto ten nowy ruch na Tłukience i niebawem poszedł po całym sławkowskim kluczu, gdzie już około r. 1550 kopano, i to dużo, po różnych miejscach, na Okradzionowskim, na Dąbkowskiej, na Niewierniej, na Krzykawie, na Krążku, na Cienkiej, na Strzemeskiem, na Stimbarku, na Staplowu, na Kukliniej górze, na Pinicach, na Chojnach, trochę na Koźle i na Warpiach, tak iż fryszta czyli licencye z owych lat, między 1550 a 1575 r., wyliczają szybów i szlamisk, w których robiono, przeszło 500, jakkolwiek księga, która nas doszła jest niekompletną, bez początku ni końca, a nadto kilka lat ze środka zupełnie nie dostaje. Wprawdzie nie we wszystkich tych szybach kopano równocześnie, w każdym razie liczba ta jest zdumiewającą ³⁾.

Ażeby sobie zdać sprawę z tego, jakimi drogami szedł i jakimi środkami rozporządzał ówczesny przemysł górnictwa u nas, zwłaszcza na kopalniach drugorzędного znaczenia, nie wyobrażajmy go sobie podług skali dzisiejszej na miarę dzisiejszych stosunków i nakładów. Dziś przemysł górnictwa popadł zupełnie w moc wielkich kapitałów, bez których nawet nie przypuszczamy, żeby się dało go prowadzić; ale całkiem było inaczej w czasach, o których tu opowiadamy. Nigdy i nigdzie może zasada wolnej konkurencji nie by-

¹⁾ Łabęckiego Górnictwo, II, 245 N. 39.

²⁾ Jest to prawdopodobnie księga, o której wzmiankowano w dziełku niedawno wyszłym, p. t.: „Lud rolniczo-górnictwa z okolic Sławkowa“ przez St. Ciszewskiego. Szczególnym trafom, ważny ten zażytek dostał się nareszcie w nasze ręce.

³⁾ Najliczniejsze szyby były na Tłukience i na Niewierniej, potem na Stimbarku i na Okradzionowskim, mniej na Krzykawie, na Cienkiej i na Staplowu; w innych miejscowościach po kilka tylko szybów się znajdowało.

ła tak stosowną, jak w dawném górnictwie, nie tylko w teoryi, ale i w praktyce. Chłop, szlachcic, duchowny, dygnitarz, nawet król, mężczyzna czy kobieta, wreszcie krajowiec czy obcy przybysz, każdy miał równe prawo otwierać góry, za fryszttem wprawdzie czyli icencyą, ale téj licencyi nie wolno było nikomu odmawiać i nie odmawiano.

W czasach więc bezwzględnej przewagi stanu szlacheckiego, przemysł górniczy żadnych przez długi czas nie znosił ograniczeń, bo szlachta wcale do niego się nie brała, pozostawiając go całkowicie dla gminu. Nie było też ograniczenia co do rozciągłości robót, a właściwie, jeżeli można uazwać ograniczeniem wymierzanie gór na łatry, to zakresiło ono granice dla pojedynczych gór maksymalne, 24 łatry w okół od pała, zatkniętego na erszyb, t. j. na główny szyb, a zato pozostawiało wszelką prawie swobodę w wymiarach minimalnych, skoro każda góra mogła być dzielona na działki i na działki, tak zwane achtele ($\frac{1}{8}$ część) i firachcentle ($\frac{4}{16}$ części). Ułatwiało to i czyniło dostęp do górnictwa zupełnie możliwym każdemu, kto tylko uprniał chciał kopalnictwo, bo jeżeli nie stać go było na więcej, zamiast pójść w otroki, zamiast się zaprządź do ciężkiej podziemnej pracy dla kogoś, za płatę dzienną, mógł chłopiek lub małomieszczanin przemyślny a pracowity, nabyć sobie u bogatego gwaraka achtel lub firachcentel i pracować w nim na własną korzyść i ryzyko. Zmówiwszy się nawet w kilku, taka chudzizna mogła równem prawem, jak każdy inny otrzymać fryszt na górę i podzielić się nią stosownie do możności.

Wszystko zresztą pod owe wieki skłaniało się ku owęj ruchliwości, jaką się polskie wyróżniać zaczęło kopalnictwo, — bo nietylko sprzyjały temu warunki techniczne, kiedy cała sztuka polegała na sile rąk, zaopatrzonych w narzędzia niewymyślne, co oczywiście nie pociągało za sobą kosztów nadzwyczajnych, do jakich jesteśmy dziś przywykli, ale nawet i co do tych fundszów, które były potrzebne do prowadzenia górnictwa w rozmiarach tak minimalnych, a tych dostarczał kredyt drobny a nader łatwy, bo zagwarantowany odpowiedzialnością rzeczową i osobistą dłużników, z prawem pierwszeństwa wierzycieli, dla których księga zapisów w urzędzie górnym prowadzona, stanowiła hypotekę, której inna własność wtedy nigdzie jeszcze nie miała.

Potrzebował ktokolwiek otworzyć górę, którą sobie upatrzył, szedł do urzędu górnego i oznajmiał to żupnikowi lub podżupkowi, który wysyłał z urzędu dla wymierzenia placu i wytknięcia starszybów czyli szlamisk, dwóch przysięgłych. Mierzono jedno pole na 24 łatry w kwadrat. Wytykano na końcach 4 lub 3 starszyby czyli szlamiska, podług upodobania, lub jeżeli w środku wytknięto erszyb,

to prowadzono od niego we cztery strony linie po 12 łatrów, tak iż pole zawsze miało 24 łatry w kwadrat. Po wymierzeniu i relacyi przysięgłych, fryszt wpisywano zaraz do akt górnych ¹⁾. Zapisanie frysztu było czynnością nadzwyczaj uproszczoną ²⁾. Według prawa górnego dla gór chęcińskich powiedziano, że ktokolwiek przyjdzie do urzędu górnego, bądź szlacheckiego stanu, bądź pospolitego i żąda frysztu, ma dać od tego groszy 6, t. j. podżupkowi 4 a pisarzowi 2,—przysiężnikom, co mają pole wymierzać owego firsztu, gr. 12, od relacyi owego wymiaru przysięgłych pisarzowi gr. 4 ³⁾. Kto więc zapłacić mógł tyle, t. j. razem groszy ówczesnych 22, ten się załatwił ze wszystkimi formalnościami prawnymi, innych bowiem nie było. Artykuł 3 Statutów Jana Alberta stanowi, że: Żupnik przez kogokolwiek wezwany o wydanie frysztu na góry, wydać takowy powinien bez żadnej przeszkody ⁴⁾. Mimo tego jednakże, a może właśnie dla tego, zachodziły z powodu frysztów niejednokrotnie spory, kłótnie, procesa o to, kto ma trzymać górę, do której zgłaszało się naraz kilku pretendentów, dowodzących jeden przez drugiego pierwszeństwa i lepszości swoich praw. Pochodziło to może niekiedy z niedbałości albo pomyłki pisarza, zapisującego na jedną górę fryszt na fryszt, ale najczęściej spory te wynikały ztąd, czy górę, którą już zafrysztowano, albo może w niej już i robiono, uważać należało za spadłą, t. j. opuszczoną, czy też nie? Prawo bowiem (art. 4 Statutu Jana Alberta) naznaczało nader krótki czas, bo tylko cztery tygodnie dla rozpoczęcia robót w górze zafrysztowanej, lub podjęcia na nowo robót przerwanych, po którym to czasie żupnik winien był upomnieć gwarka opieszalego, co jeżeli nie skutkowało, mógł wydać na jego górę fryszt innemu. Dopuszczano też przytém w wykonaniu niektórych uwzględnień, przedłużających ten czas do sześciu tygodni i dni trzech.

¹⁾ Porządek ten opisany jest w Ustawie górnej dla gór chęcińskich, przez Jana z Mstyczowa Płazę, żupnika tychże gór w r. 1608. Patrz Rubrycollę dyoccyji włocławskiej z r. 1887, dział „Monumenta historica dioeceseos Vladislavienis“

²⁾ Wystarczało zapisanie aktu téj treści: „Frist od Waléntego Kmiotka na tlukiencę wijlia swietci Barbari anno 1574 przisedsi przed mie żupnika M. K. fristował gorę i spadła mianowita bienia nikoinu nionapzeszkodzio“,—albo też: „Frist od Marcina Sboliesławia eodem die et anno przisedsi prze mie żupnika Marcin rzesznik sboliesławia ij fristował gori 3 spadłe na tlukiencę mianowite Jakubi Slaskowska Pietrkij opolie zmartwistałem opolie w Kalaszowką nikoinu nie na przeszkodzio“.

³⁾ Rubrycella Włocławska za r. 1887, dział „Monumenta historica dioec. Vladisl.“

⁴⁾ Łabęckiego Górnictwo w Polsce, II,—199.

Żeby utrzymać ściślejszą kontrolę pośród gwarków, żupnicy zarządzali od czasu do czasu przez obwoływanie odpowiednich wilkierzów po kościołach, poprawianiu fryszków, albo ozywaniu się gwarków w terminie naznaczonym, do części albo do gór, przez siebie posiadanych, pod straceniem tychże części i gór. Takie wilkierze ogłaszano też i w kluczu sławkowskim, jak to widzimy z akt w posiadaniu naszym będących. Miało to zapobiegać nieprawemu wdzieraniu się, albo przetrzymywaniu gór, ale i tak poswarki z tego powodu i procesa były nader liczne¹⁾. Tak np. pod r. 1574 znajdujemy zapisany w aktach cały przebieg procesu niejakiemu Jarosza Sławkowskiego z dwoma gwarkami, Stancelm i Bonką, którzy mu zajęli frysztem 6 szlamisk. Sławkowski, chociaż był pierwszym, który frysztował owe szlamiska, ale się zaniedbał w robocie i dopuścił się 4-tygodniowego opóźnienia, przyszli więc tamci i wzięli fryszt na jego górę, uważaną za spadłą, a jego reklamacye już nie pomogły, bo Stancel z Bonkiem otrzymali pozwolenie robienia w tychże szlamiskach²⁾. Artykuł czwarty Statutów chęcińskich przepisywał, że: „gdyby dawna góra stara stała pusto, a gdyby któ-

1) — „Wilkierz wivolanije uninionij, na gorij Niewierni, Roku 1563. Dnia swiote Floriana przy urzedzie żupnijezijm ij sprzisieglimij, iest urzednie wivolani Wilkierz s rozkazanija Je M. Pana Starostij ij u konsiula opowiedzanij, abij kazdij kto bi miał nesczij na gorach Niewiernij, tak spadlich iako ij stojaczich, a ich bij fristem nijepoprawial, ani sije urzedowij nijepowiadal, do wiszezia 4 niedziel, todij abij ije traczil“.

— „A. D. 1567 die 14 decembris. Wijkierz postanowionij i obwolani j według obieczajia w Kosczijele przez J. M. Plebana. Abi sie kazdij gwareh albo Budan do czesczj albo guoroziwal do czefroca (?) 4 niedziel pod utraczeniem czesczi u guor a tho na grunczie Je M. Xiendza Biskupa Crac. i Sławkowskim.“

2) — „odem die (w pierwszą sobotę po Św. Michale) et anno (1574) arest od Sławkowskiego. Stanąwszy oblicnie przed mię żupnika arestował szlamisk 6, które mu posiedli Stancel z dlonką... ze mi nieslusnie posiedli ze ia dowiodę xiegami, ze mi nie wiszedl frist po Bug prawa gornego do stor niedziel“.

— „Arest od Bonki z elkusza dzien swietego Franciska anno 1574 przisedzi przed mie żupnika arestował szlamisk 6 które mu arestował Jarosz Sławkowski do sprawi do xiang“.

— „odem die et ano tonze Bonka poprawil fristem tichze szlamisk mianowitich iak w pierwsim friscie stoj, które fristowali w soboto pierwsza po swietim macioiu.“

— „Anno 1574 pierwi poniedzialek po swietey yadwidze przisedzi przed mię żupnika stancel s bonka y opowiadali sie przedemna żupnikiem ze oni fristowali pierwszą soboto po swietim macioiu szlamisk 6 iako w pierwsim friscie stoi, drugi rasz poprawili dzien swietego franciska które gotowichmi dowiesc xiegami i prosiem iako urzedu zobi nam w. n. dozwoлил roboti ija iako sluga iego mosci niehcac abi dziedzina przesz pozitkau lezla dozwoлил im roboti podlug ich fristow co oni obadwa dali sobie zapiszac.“

ry gwarek chciał wziąć fryszt na nią na odnowienie, tedy ma iść do pisarza górnego i wyjąć minutę frysztu i relacją owego wymiaru— i dać obwieszczać przez cztery niedziele u kościoła, kędy bywają gwarkowie na każdą niedzielę przez sługę górnego; a jeśliby się nikt nie odezwał, ma iść do podżupka i prawa górnego i prosić o przysięgłe do uznania, jeśli jest ta góra godna do frysztowania, albo nie“,—poczém fryszt mógł otrzymać. Ale nawet mógł z rozpoczęciem roboty nie wyczekiwać tych czterech niedziel,—„mógł w tych czterech niedzielach robić zaraz po relacyi onych przysięgłych, tylko aby sługa górny na każdą niedzielę oznajmował gwarkom o tém.“¹⁾

Warunkiem dla pozyskania frysztu było wymierzenie góry przez dwu ławników przysięgłych. Ustawa dla gór chęcińskich powiada: „Frist ma być dany, albo wymierzony przez dwóch ławników przysięgłych z prawa górnego na 20 łatrów²⁾ i cztery jedno pole... na cztery starszyby albo słamiska, albo według upodobania na trzy starszyby, albo też we środku uczyniony starszyb na wsze strony mierzyć po 12 łatrów na jedno pole w kwadrat.³⁾ Miarę 24 łatry wyznaczał już Statut Jana Alberta,⁴⁾ niewiadomo tylko, czy od erszybu, czy przez całe pole. Najprawdopodobniej miary dla kopalń były rozmaite, co oczywiście zależało od konfiguracyi terenu, od zamożności gwarka, fryszt biorącego, od położenia względem kopalń opólnych, względem uprzywilejowanych sztolni odpływowych, lub względem kolnego szybu. Kiedy w górach chęcińskich wymierzano pola na 24 łatry w kwadrat, pod Olkuszem mierzono je wyciągnięciem sznura od kołu na erszyb, zatkniętego po 24 łatry w każdą stronę, co czyniło 48 łatrów w kwadrat, więc góry olkuskie mierzono na 4 razy większą miarę od chęcińskich. Łatr olkuski miał łokci olkuskich $3\frac{1}{4}$ czyli 78 cali,⁵⁾ zatem plac na kopalnię pod Chęciami zawierał 6084 łokci kwadratowych, a pod Olkuszem 24336 łokci kw. powierzhni. Co do gór sławkowskich, mierzono je rozmaicie, po większej części na 18 łatrów, niekiedy mniej, ale góry kolne czyli wodne mierzono stale „wedlie prawa wosserątnego: we czterech we

¹⁾ Tak też sobie i poczynali gwarkowie sławkowscy, podług aktu z r. 1582, który opiewa: „Stanawszy przed mie zupnika Adam Rackowski ij mienif iz dal obwoliwacz stiry razij przez w koszczele tij słamiska ktore fristował ultinia Januarih.“

²⁾ Łatr albo later, od niemieckiego „Klafter“, oznacza w górnictwie miarę czterech łokci. *Red.*

³⁾ Rubrycella Włocławska 1887 r. Mon. histor. dioec. Vladisl.

⁴⁾ Łabęckiego Górnictwo II, 199.

⁵⁾ Łabęckiego słownik górnicy, p. 136.

dwudziestu latrach. ¹⁾ Wobec tak różnych miar na różnych kopalniach nie trudno jest orzec, że za podstawę do podziału tychże na tak zwane achtele i firachcentle nie służył latr, tylko obszar kopalni, to jest, że achtel nie wynosił jakiegóś stałej miary, lecz tylko był ósmą częścią samój kopalni. W takim jednak razie, co innego znaczył achtel sławkowski a co innego olkuski, chęciński i t. d. Z akt sławkowskich, pokazuje się, że achtel nie odnosił się nawet ściśle do wymiarów kopalni, ale znaczył ogólnie ósmą część jakiegokolwiek ilości lub przestrzeni, którą to część wyrażano w aktach cyfrą $\frac{1}{\infty}$, zaś połówkę tegoż przez $\frac{1}{2\infty}$. Ośmiu np. gwarków zafrysztowali wspólnie 6 gór i podzielili się w ten sposób, że pięciu z nich wzięło po $\frac{1}{\infty}$, jeden $\frac{4}{\infty}$ a dwóch po $\frac{1}{2\infty}$. Oczywiście więc, że podział ten stosował się do całej przestrzeni tych sześciu gór, bez względu na ich wymiar. ²⁾ W drugim znowu podziale trzech gwarków podzieliło się górami, które zafrysztowali, jako to: Zgardwna, Boza nadzieja „et alijs“ w ten sposób, iż nie wyrażając, jaką przestrzeń zajmowały te ich góry, jeden wziął $\frac{1}{\infty}$ drugi $\frac{1}{\infty}$ i trzeci $\frac{1}{\infty}$ tego, co zafrysztowali. W innym znowu razie gwarkowie, odebrawszy jednemu z pomiędzy siebie, który zaległ w zamkostach (?) jego część, podzielili ją między innych pilniejszych w płaceniu, a to w ten sposób, iż jednemu dali jeden „phirarzctel“, drugiemu drugi, trzeciemu zaś dwa firachcentle. Nie można wie-

¹⁾ „Frist od ijana babky znikowa na stinbarku ano 1575 23 Octobris, przisedsy przed mie zupnicka y fristowal slamiska 7 mianowito... w o s m i n a s c i e l a t r o w“ etc.

„Frist od Sezoesnego brawky na tlukieneco ano 1575 — 4 die novembris przisedszij przed mye zupnika ij fristowal slamisko 1... w l a t r a c h 18.“

„Fristowanie Kolni gorij przez Gwarki roku 1563 Dnija s. Witha. Przisedszij obliczenie przed urzad zupniczij opatronij Jan Głowka ij Matisz Czigan ijako Wermanij gorij swij kolnij, stoiaczij na Nijewiornij, ij fristowalij urzednije tez gore swoije kolną ij inssich gor piecz, ktore gory są ij m vimierzono od tegoz kolnego szjbu wedlie prawa wosseratnego: wo czterzech wo dwudziestu latrach“ etc.

„Anno domini 1563 die XI septembris. Przisedszij przed urzad zupniczij Slawni Valentij Blonicki Stanislaw Zieglar ij inszij gwarczij ij zadalij urzednieprzi sieglicz ku swiateczeniu vimierzenija gorij Szolnij, którą zowije pan Bernok podrozna. Potim z urzedu są ij m danij przisiogli Stanislaw Czichij ij Piotr Madala, ktorzij mijrzilij viznali są pod swimi przisioganiij ijz ijodno dwadzieszcia latrow ij pultera od kolnego szjbes do gorij szosnij albo podroznij. A takze viznalij isz ta gora iest w kolnim poliju, bo njewiniosla mijara, to iest czterzech ij dwudziestu latrow wedlie prawa wosseratnego“ etc.

²⁾ Anno 1567 die 14 Julij. In presentiam officii voniens providus Venceslaus dictus Waczek. Licenciavit 6 fodinas in Okradzionowskie nuncupatas Lypic, Glogi, Olszo, Chlohna, Wawrzeńco, Zitna, Cultores horum montium Wenceslaus, Waczek $\frac{1}{\infty}$, Albertus król $\frac{1}{\infty}$, Mathais Muzek $\frac{1}{\infty}$, Joës Kmiotek $\frac{1}{\infty}$, Martinus Dziza $\frac{1}{\infty}$, Joës Stichuo Scultetus de Losion $\frac{1}{\infty}$, Pabiankowie de Slawkow $\frac{1}{\infty}$, Laurentius Maczuga $\frac{1}{2\infty}$, Jacobus M. $\frac{1}{2\infty}$ quod solidaverint.“

dzieć, wiele wynosiły te firachcentle. Mówiąc o wymierzaniu gór, należy wziąć jednocześnie na uwagę, co znaczyło tak zwane „dwojgie pole,” z którym w aktach górnych tak często się spotykamy. Jest to szczegół, z którym wszakże nie łatwo się dziś uporać. Gwarek, biorący fryszt na górę, jakkolwiek otwierał ją w polu kruszczorodném, nie miał przecież pewności, czy mu ta góra przyniesie korzyść albo stratę. Jeżeli zaś trafił na miejsce jałowe, albo zbyt trudne w robocie, które nie dawało pożytku odpowiedniego, albo które wymagało nakładów, przechodzących możliwość gwarka, porzucał swoją górę, która w takim razie uważała się jako spudła. Ale drudzy znowu, którzy znajdowali bogate żyły, albo gniazda, odnosili ztąd pożytek nietylko sami, bo dawali go także skarbowi królewskiemu, płacąc tak zwaną olborę, t. j. dziesiątą lub jedenastą część wydobywania. Takim to górcom zapisywane dwojgie pole, a działo się to w ten sposób. Posesor (jak go niekiedy w aktach nazywano) góry, wraz ze swoimi gwarkami stawał w urzędzie górnym i oświadczał, że w swojej górze znalazł obfitość kruszcu, upraszał więc o wyznaczenie ludzi przysięgłych, którzyby to jego odkrycie sprawdzili i poświadczili. Wyznaczeni z urzędu dwaj ławnicy, schodzili na miejsce i ukopawszy nieco kruszcu, przynosili go do urzędu i zeznawali, że „górzę tę kruszczem osuli” z oświadczeniem, że „góra ta godna dwojga pola na inne góry opolne.” Oświadczenie to, zgodnie z żądaniem stającego, do akt zaciągano. Zdarzało się jednak, że gwarek przychodził o dwojgie pole nie zaraz, ale dopiero w kilka lat, a tymczasem wydobywał i z wydobywania płacił olborę, czyli olborował. Służyło mu to również za tytuł do dwojga pola, co przecież nie uwalniało od formalności świadczenia przez dwóch przysięgłych. Przytaczamy zresztą poniżej kilka zapisów na dwojgie pola, ¹⁾ z których się okazuje, że: 1) Góry bogate

¹⁾ R. 1550 „Ista mons Brzoza habet duos campos ad alios montes penes se erectos et inchoatos.“

„Inscriptio dwoyga polia Stanoschow. Anno dni 1552 die 13 Martij Laurentius Stanosch p. testificavit se iuri p. Stan-liex (?) iuratum mineram se reperisse ab ea olboram dedisse in tuo monte dicto Sobotliuj ad omnes fodinas opolie iacentes“ etc.

„Inscriptio dwoyga polia Stan. Pietka A. D. 1552 die 13 Martij Stanislaus Pietka p. testificavit se viribus iuratis, quia tota communitas montana invenit, quod eius mons dictus dapki habet binum campum ad montem dictam Zamezyńska na thlokionczo“ etc.

„Protostatio nobilis Thadoi Phalbowski. Anno 1562 die foria quarta in crastino festorum Pontecostes coram me Joanne etc. Prziszedisj pan Dadzbog Phalbowski oblicznio ij swimi gwarkij Stanisławem Litwą ij s Piotrem Medaliją od gorij Bionlje na Tlokioncze ij uczynilij urzedne oświadczenie, iij tą gorą Bionje kopają kruszcza ij olbornija sniejod kilka liath, a ijszo gorij opolije sniją liczą w pokoiu, a nie robija w nich. Oni za ządanijm uzedu wedlije prawa dwojgja polia. Czo ijm urząd prziszadzil czo wedlic prawa naliczalo, czo ssobio dalij w księgij zapisacz et solidaverunt.

i które olborowały, miały lepsze prawo nad inne góry opolne—i tym też zapisywano dwojgie pole. 2) Ze zapisanie i wydzielenie dwojgo pola, następowało na skutek zanesionego żądania właściciela kopalni i po dopełnieniu przezeń formalności prawem wskazanych. 3) Ze oczywiście stanowiło to pożądaną przywilej, samo zaś nazwanie dwojga pola wskazuje, że chodziło o wydzielenie kopalni podwójnego obszaru, co potwierdzać się zdaje art III ustawy dla gór chęcińskich który stanowi, że: „Marsida ma być ostrożnie przestrzegana i wymierzona spodkiem,... od jednego pola 8 łatrów, a odedwu 16 łatrów“ etc. Wprawdzie w aktach nie znajdujemy śladu takiego powtórnego wydziału, ale przy niektórych zapisach dwojgo pola, tymże samym aktem objęte są rzeczywiście frysztu na nowe szyby. 1) Z drugiej strony jednak pozyskanie frysztu na kopalnię było tak łatwem i tak dla każdego dostępnem, iż trudno przypuścić, ażeby zwiększenie pola kopalnego stanowiło jakiś przywilej, nie każdemu dostępny. A gdyby nawet i tak było, to jak sobie wyobrazić zwiększenie pola dla kopalni zewsząd otoczonej górami opolnemi i które zajęć mogły cały obszar rozporządzalny? Są to pytania i wątpliwości, których akta górne nie objaśniają dziś dostatecznie. Być może, że w praktyce działo się inaczej, aniżeli w teorii przepisywano, dziś trudno wiedzieć. Ale ważnem dla wyrozumienia istoty dwojgo pola jest i to, że urząd

„Oswiatezenie Szoltiska. Ano D-ni 1568 d. prima Octobris przed mie Jana Kwasniowskiego zupnika Sławkowskiego, stanawssi oblicznie Piotr Soltissek znikowa z przisieglimi ludzmi z Szczesnim Brewka ij z Janem Pabijankiem, ktorimij iest oswiatczil i obwiodel kruszec, obsipani na solwarczie, a tho z stronij dwoiga polia dla gor ijnssich, które bi nije mijali liepszego prawa niz one.“

„Anno D-ni 1574 etc. Prziszedzi przed mie zupnika M. Klucowskiego natenecz bedacogo gwarcij mianowici to iest Jakub Broda, Stanislaw Popielarz, Chwitek Stanislaw, Carin Piotr i Cudnei Wrzeczek wziawszi przisiegle ludzi urzodnie, to iest Szczesnego Brewka ij Wojciecha Sprucha, oszwatecelij ij oszulij gore graniczna kruszczem, ktorisz ukopali przisieglj z teijze gori granicznej ij przinieslij do zupnika ij zoznali są, ze ta gora godna dwoyga polija, ktorisz gwarcij dali sobie zapiszac to zoznanie, bi im to slo iak zachowuie w gornim prawie.“

„R. 1575 dnia poczęcia panij Marij prziszed mie zupnika Wacław Jaloweik ij wziął ludzie przisiegle ij to iest Szczesnego Brewka ij Wojciecha Sprucha ij oswadcił dwojgie polie u gorij malikowskiej, która ij olborowała.“

1) R. Bożego 1563. Dnia we srode przed swietem 11 thisyacz dziewiec. Przed urząd zupniczj prziszedzij oblicznie urodzoni pan Szespan Oszowski woit sławkowski ij ze waistkimi ij .. swimij gwarki ij oswiatczil sije ijest iiz trafli kruszec na Niewiernij opolije spodrozną, ktorij gorze urząd zostawil dwoije polije quod solidavorit. Tegoż dnija fristowalij opolije stąz gorą trzi sliamijska et solidaverunt.“

mógł żądaniu o nie, jak się zdaje, całkiem odmówić, lub uwzględnić tylko częściowo, warując w takim razie dla pozostałej części wyraźnie miarę połowiczną. ¹⁾

Wielkiej wagi dla prawidłowego prowadzenia eksploatacyi, był stosunek gwarków z robotnikami. Tych podług zajęcia bardzo w kopalniach rozmaitego, rozmaite też były kategorye, ale mówiąc przedewszystkiēm o kopaczach, czyli właściwych górnikach, bierzemy na uwagę tych, którzy robili na dnie, czyli tak samo jak dziś mówimy na szychty, i których zwano zwyczajnie robotnikami, oraz drugich, płatnych nie za czas, ale od wydobycia, którzy się zwali lenszofnikami, co przekręcano czasem na ilsowników. Otóż w aktach sławkowskich znajdujemy ślady szczególnej dbałości o to, ażeby robotnicy i lenszofnicy byli zawsze regularnie i akuratnie płatni; i żeby nie mieli powodu do nieukontentowania i porzucania robót w górach. W takiēm bowiem zbiorowisku drobnych koncessyi górnych, gdzie bardzo wiele trzeba było wspólnemi dokonywać siłami, rzecz oczywista, że sąsiad, u którego mogła nastąpić z jakichbądź powodów przerwa w robotach, stawał się bardzo niewygodnym sąsiadem. Kłopot jednego dawał się we znaki wszystkim, a szczególnie gwarkom wspólnym, wypadek zaś nieszczęśliwy, klęska, ruina jakaby dotknęła jedną górę, spadała też mniej albo więcej na inne góry okoliczne. Jeżeli robotnik niezadowolony, któremu należą zatrzymanoby zapłatę, porzucał robotę, bezpieczeństwo kopalni stawało się przez to zagrożone. Obchodziło to więc wszystkich gwarków opolnych i dla tego stanowili oni wilkierze na takich, którzyby robotników swych nie płacili.

Zdarzało się, że właściciel kopalni, zadłużwszy się, przymuszony był bądź to sądownie, bądź dobrowolnie puścić wierzycielowi swoją górę. Wierzyciel brał zatem na pokrycie swęj należności kruszec, o ile go dobywano, ale powinien był przedewszystkiēm wypłacać robotników, a dopiero resztująca część szła dla niego. W akcie np. z r. 1551 powiedziano, że Jakub Piech dłużny Tadeuszowi Fałbowskiemu 4 floreny, puszcza mu górę swoją własną, w której robią Pabiankowie na lenszof, po 24 grosze od niecki. Fałbowski przeto zobowiązał się płacić tymże Pabiankom, od każdej niecki kruszcu, którą od nich odbierze, 24 grosze lenszofu, że zaś wartość niecki umawiający się stanowili na 1 floren, więc zbywające ponad lenszof gr. 6, miał Fałbowski zatrzymywać dla siebie, aż do pokrycia całej należności.

¹⁾ R. 1553d. 11 Marca Stanisław Grabowski posesor góry na Warpiu zażądał zapisania dla téjże góry dwojogo pola, dawał z niēj bowiem olborę, dużo dawniēj, niż inne góry. Przyznano więc wprawdzie onęj górze dwoje pole, ale „excepto monte in qua Bamba partes tenot, ubi in medium mensura dobet fore.“

W roku 1575 gwarcy uchwalili pomiędzy sobą taki wilkierz: „Stali są oblicznij i jedrisz Kierlin pisarz stolnij ij roczisch Bac-caliarcik Gwarcziz postanowili społecznij z sobą wijelkijerz takowije ktorichkolwiek gwarek w niedzielnim dniju po rachuuu robotnikom albo ijlownikom zankostow nije oddajje, tedi ten ijlownik bedzi miał wolno bracz na każdą nijeczke po 15 gr. A ten flegar ktorebi dal lensownikowi na wielekolwiek nijeczek w miareij, tedi jjnemu napirowi ma ijesz zaplatka kruszem. Czo szobie obje stronije dalij zapiszacz.“ Widzimy przeto, że robotnicy co do należności swoich byli całkiem zabezpieczeni, prawo ich było pierwsze i lepsze od każdego innego,—nawet bankructwo gwarka, u któregooby robili, nie mogło wstrzymywać wypłaty ich zarobków.

Surowo także przestrzegano uczciwego pod każdym względem wychodzenia z robotnikami, którym nie wolno było robić żadnego przymusu ani gwałtu. Nikt nie miał prawa domagać się więcej nad umowę, a tém bardziej uciekać się do przymusu. Pouczającą w tym razie jest sprawa z r. 1552 z miesiąca stycznia, wytoczona przed sąd gajony, przez niejakiego Kacpra Węgrzyna, karczmarza, najętego przez gwarka Stanisława Ziemnego do robót w kopalni. Kacper się skarżył, że ugodzony został tylko na sześć dni, tymczasowo Ziemny przetrzymywał go ponad termin, gwałt mu czyniąc. Musiało to tak być w samęj rzeczy, bo Ziemny podany został z wyroku żupnikowi do kary. Ale następnie i Kacper niepoczewie Ziemnego chciał przycisnąć, bo go znowu oskarżył, że kiedy razu pewnego płukał kruszec na swoim placu, tuż obok placu Ziemnego, kruszec ten został tajemnie mu zabrany, nie przez kogo innego tylko przez Ziemnego. Ten jednak zadając fałsz oskarżeniu, postawił zaraz na sądzie dwóch poręczycieli, a gdy we dwa tygodnie potem na przypadającym roku, Kacper zarzutu swego nie mógł świadkami udowodnić, sąd zwolnił Ziemnego z pod zarzutu i pociągnął oszczercę do odpowiedzialności. Kacper jednak uchylił się od tego wyroku i nie przyjął wyznaczonego mu terminu, a sprawę wniósł przed starostę.

Te drobne a tak gęsto usadowione i obłożone kopalnie, prowadzone przez gwarków, każdy na swoją rękę pracujących, nie mogły przecież utrzymać się bez robót, broniących je przed wspólnym wrogiem, jakim były wody podziemne, dla wyprowadzenia których potrzebne też były gromadne i nieustające usiłowania wszystkich. Nie dosyć było utworzyć kolną górę czyli szyb wodny, potrzeba było w kopalniach przeprowadzić kanały, czyli ścieki, do rzępa głównego, na wierzchu rozprowadzić rynny czyli „satze“, któremi woda wyprowadzona z szybu odpływała,—do kieratu, obracającego kołowrot z wiadrami, trzeba było zaprzęgać konie i stawiać robotników,—całe to urządzenie i cały rynsztunek utrzymać zawsze w porządku, więc koszt tego wszystkiego i starania

rozłożyć wypadało na wszystkich pożytek ztąd odnoszących. Bez tego żadna kopalnia utrzymać się nie mogła, to był warunek bytu. Ciężar taki, rozłożony na wszystkich, zwany z niemiecka „zankostami“, czyli kosztami wspólnymi, lub „sympolami“, należało opłacać tygodniowo, a gwarek, który się dopuścił 4-o tygodniowej zaległości, tracił prawo do góry, która innemu „dozorniejszemu“, jak nazywano, była puszczana (Art. VII, statutu dla gór chęcińskich). O owe to zankosty bywały też najczęstsze poswarki między gwardkami (Art. IX st. chęcińskich), czemu zapobiegając, ustawy dosyć szczegółowo określały wzajemne stosunki tychże gwarków, a jak widzimy z akt sławkowskich, w XVI wieku pilnowano bardzo w kopalniach tego prawa. Od czasu do czasu gwarkowie uchwalali między sobą wilkierze o zankostach, a starostowie pilnowali, ażeby wilkierze te miały należyty rygor w wykonaniu.

W r. 1559 die feria 2- ante festum proximum S. Katherinae—jak opiewa akt napisany „coram iudicio exposito banerito (!?) w Sławkowie“, Yego Miloscz pan Maczziej Pieczanowski nathen czas Starosta Sławkowski wezwawszj do sjejbiye gwarkij Sławkowskie., przikażal srodze, abij konijeczniye bijla zaprzez wtidzien po Nowijm lieczije, u kola na Tlokiencze, ijbzy kazdij gwarek mijal wczas gotowiju konije a to pod utratą czeszczij. Bo kto bij wczas nijebil gotow, sza ijuz ijnsij Gwarczij na tho miejjsze. Tho zapewne wieszczije.“

W górach na Niewiernój, r. 1568 d. 25 maja „Stala sije iest umowa ij postanowyenije przez wsistki gwarki, ijedną wolią, pan Joachim Ziromski starosta Sławkowski, p. Marczel, p. S. Ossowski, p. Jan Litwinek, p. S. Zamozni, Valenti Kmiotek, Szepek, p. Kozera, tim sposobem, ijb po Zielni Matcze bozi pierwsi tidzien maiją miec zaprzez pewną nicodwloczą, pod utraceniem czeszczij tych, którzybi z sznich na ten czas nie uczinil dossicz konimi albo czym ijnszim. Tedi gwarczj czeszczij będą wolnij wziazc ij rozdacz czinniej-sijm a pilniejsijm gwarkom ij tak sie wsiczi obowiazalij.“ Ciż sami gwarczy z gór na Niewiernój, wraz ze starostą, w r. następnym 1569 d. 14 maja postanowili „zaprzez pijersą sobotę po Swijatkach pot utraczenijem czeszczij ij kruszczow czo na wijerzchu są.“

Mimo takich uchwał i zastrzeżeń, trafiali się gwarkowie zalegający w zankostach. Nie zostawiano ich w spokoju, jak tego dowodzą liczne sprawy: protesta wniesione przeciwko nim do akt. Dnia 28 marca 1559 r. pięciu gwarków stawiło się przed urzędem żupniczym i protestowało przeciwko Andrzejowi Bartoszskowi, pozwanemu o niezapłacenie zankostów po raz czwarty. Urząd nakazał Bartoszskowi zapłacić zaległość w ciągu trzech dni pod karą starościńską. A gdyby nie płacił, miano postąpić podług statutu królewskiego: „*facore secundum statutum regalem*.“ Tak samo w r. 1560 gwarkowie z góry „Boże wspomóżenie“ protestowali przeciw czterem gwarkom, po raz czwarty zalegającym w zankostach.

Charakterystycznie zapisane są w aktach dwie sprawy, wyto-

czone w r. 1568 gwarkom, niepłacącym zamkostów w górach na Niewiernój: Dnia 26 marca 1568 r. odprawiony został sąd górny gajony, na którym zasiadali żupnik i 7-iu przysięgłych.—, „Przed toz prawo oblicznie przistapiwszy jednij Liexzik pisarz gwarczki od kolni Gorij na Niewiernij przipital sie na Anne Pasierbkową wdowe, chcząc ją widziecz przed prawem, która przywolana od prawa stanela oblicznie. Spital ij pissarz czemu bij swą nijedbalosczią nijeoplacila zamkostow do tiz goreij iako wissij, która powiedziala:

— Nijeoplaczam ijz nijemam czim.

Pisarz rzekł:

— Gdiz powiada ze niema czim oplaczacz, przypuszczam to na uznanie wiernego prawa waszego.

Prawo naliazło i skazalo:

— Iz tij panij Anno, yesli ossmij zamkostow nieoplacisz, tak iako pisarz kolon gwarczki powiada, do trzeciego dniya, tedij gwarczki twoje czesczi beda wolni pozescz ij trzeciego dniya miedzi sie wziacz ij obrociez, iako beda naliepi rozumiecz.

„Togoz roku a dnia 28 marcij, przed mije Jana Kwasniowskiego, zupnika Slawkowskiego, przisedzi tenze pissarz. . od kolon gorij (na Nie)wiernij... zapitac... na panią Annę Pasierbkową jako skazaną z sprawa wisij opisalego, która za(pozwana) stanela. Y przipital sie na nije tenze pissarz kolnij, ijz ti pani Anno mialas dzisz zaplaczicz i dossicz uczinicz zamkostow za czas za . . . ijakoz prawo skazalo (trzeci) dzien przed tém. Ona timze sposobem powiedziala ijako ij przed prawam rissi vmienionin:

— Yz ija niemam czim budowacz anij czesczi oplaczacz.

A tak gwarczki cziz kolni miedzi zije czesczi wzielij, iako ijm prawo ortiliem skazalo.“

Znowu tegoż samego r. 1568 d. 31 sierpnia stawił się przed żupnika oblicznie tenze sam „Jedrzej Liexik pissarz gwarkow kolnich gorij Niewiernój, opowiadając sie na Silwestra Zbitniego, gwarka tichze gor, tim sposobem, ijz on dossicz nieczinij wedlug pijerwsei umowi, która zssobą gwarczij pierwi bili postanowili. A tho z stronej niedbalosci koni do zaprzezy, gdzie ijnssij gwarczki szwoije konie urzednie osswiatczili, ze oni dossicz cziniją umowie swei pierwszej. On konij nijedal anij okazal na pierwssi, wthorij ij na trzeczi sichzie. A tak gwarczki wziauwssi czesczi dali gwarkom pilnieissijm ktorzi ssnini zamkostnią rowno konimij ij pieniądzmij.“

Owe zamkosty była to najsłabsza strona dawnego górnictwa polskiego. Nierównomierność środków, któremi rozporządzali dawni gwarkowie, gdy jedni bywali odpowiednio zasobni i uzdolnieni, drudzy zaś bez znajomości rzeczy, podniecani złudną często nadzieją łatwego z bogacenia się, upadali pod ciężarem wyzysku i lichwy. Otóż taka nierównomierność środków, przy jednakowej dla wszystkich łatwości i równym prawie brania fryszów, była powodem wie-

lorakich zawikłań, spraw, zawodów, nieprawidłowości w budowaniu gór, a wreszcie — jakto w dalszym ciągu będziemy widzieli — zupełnego upadku tychże. Jeszcze dopóki prawo górne, regulujące jakkolwiek te wszystkie stosunki, było w poszanowaniu, dopóki siła owego prawa zarówno wszystkich dotykała i była bezwzględnie stosowaną, dopóty w górach był ład i osiągnano — względnie biorąc — korzyści nader świetne. Ale z czasem wszystko się to popsulo i odmieniło.

Jeżeli w XVI wieku na kopalniach był rygor i poszanowanie prawa, które zapewniły kopalnictwu pewną prawidłowość prowadzącą do powodzenia i do zysków, to nie wahamy się twierdzić, że trwało to dopóty, dopóki owe zyski, które swojego czasu tyłu u nas ludzi przemysłnych, mieszczan, kupców, obcych przybyszów, wyprowadziły z niskiego stanu i podniosły do rzędu najpierwszych — bogactwy, oraz znaczeniem domów, nie zaczęły nęcić ku sobie w końcu i panów, zajmujących najwyższe w kraju dostojęstwa. Ci bowiem nie przynosząc za pożytki, jakie z górnictwa ciągnęli, nic, ani pracy, ani dbałości, odmawiając wszelkich nakładów, wyłączając się z pod wszelkich rygorów prawa górnego, musieli w końcu górnictwo, będące jednem z ważniejszych źródeł bogactwa krajowego, do zupełnego upadku doprowadzić. Dla historyka, któremu niezmiernie wiele zależy na poznaniu przeszłości we wszystkich jej kierunkach, dzieje górnictwa polskiego dostarczają i pod tym względem wskazówek wiele ważnych.

Ale wracając do rzeczy, t. j. do zamkostów, widzimy, że ten najtrudniejszy dla ludzi ubogich, jakimi byli ówczesni gwarkowie sławkowscy, szkopał, zniewalał ich do rozmaitych spekulacji.

Były zamkosty w naturze, t. j. w koniach, uprzęży i robotniku, były też i pieniężne. Co do uprzęży, przytoczyliśmy niektóre uchwały czyli wilkierze, któremi gwarcy sami wzajemnie się podniecali. Kto nie mógł podolać, kto się opóźniał, wnet tracił swoją część, ustępując miejsca drugiemu. A że nie wszyscy byli jednakowo zasobni, więc różnie układali się między sobą. O jednym z takich układów dowiadujemy się ze sprawy niejakiego Jakóba Fantella ze Stanisławem Jałowczykiem. Ów Fantell, jako bu d a r z (górnik) Jaworskich, przystawić miał do koła na szybie wodnym na Niewiernej pięć koni, które potrzeba było gonić. Ugodził się o to ze Stanisławem Jałowczykiem, któremu się zobowiązał płacić po gr. 36 tygodniowo od konia, a nadto zaliczył mu pieniędzmi fl. 5 gr. 6. Kwota miała być spłaconą Fantellowi w ratach tygodniowych, na poczet czego Jałowczyk miał sobie, jak powiedziano: „wirazacz 24 gr. na każdy tydzień.“ Układ ten, jak się zdaje, musiał dla Jałowczyka być niekorzystnym, bo się od niego chciał wywinąć, ale Fantell dopilnował swojego, zapozwał Jałowczyka i zyskał wyrok: „abi Stanislaw Jałowicz dosicz cziniel do zupełni umowioniej zaplati, a gdy

od gonij, aby według prawa do dwu niedziel gonil, a pan Jacob Fantell ma mu za tho dosicz uczinicz.“

Zamkosty pieniężne płacił niekiedy w zastępstwie jeden za drugiego, bogatszy za uboższego; pewność zwrotu zabezpieczała się wtedy wydobyciem. Kruszec ukopany nie mógł być podany do wagi, t. j. do „zwolenia,“ póki zamkosty nie zostały nakładcy czyli flegarowi powrócone. Niezaspokojony flegar za zamkosty mógł na wydobyciu położyć areoszt sądowy, z mocy pierwszeństwa jakie dla jego wierzytelności służyło nawet przed opłatą królewską czyli oborą, na równi z zarobkiem robotników „budarzy, kuszofników i szychciarzy“. Taki areoszt wniósł do akt górnych w roku 1552 d. 25 marca Jakub Bylina na kruszczu dobytym z góry „Pomagabóg,“ z której on w zastępstwie Marcina Kamyka zamkostował. Starali się też niektórzy gwarkowie ciężar ten dotkliwy i nigdy końca nie mający, zbywać z głowy różnemi sposobami, byle tylko nie płacić go najtrudniejszą na owe czasy gotowizną. R. 1575 Grzegorz Pabianek „puścił na Okradzionowskiem u góry Stanisławów w małym kółku pół góry Mikołajowi Gad współek z Główką, a to tym sposobem, że ci mieli opłacać za niego cały zamkost“. Tegoż roku d. 11 grudnia zapisany został akt następujący: „Stanowszj przed mije zupnika Jan Korat ij zeznal ze daroval czesczj achtel 1 na tlukijencze u góry brzosz ijanovij zakovij z bukovsza zamkost ma płacicz groszj 26 (ode) dnia dzisiejszego kt (orij) czesczj jemu aufarkowal nie zawiedzione aniej flegowane ij dal sobie zapisacz“. Płacono więc z niektórych gór po 26 groszy zamkostów co tydzień, kwota, jak widzimy na owe czasy nader znaczna. Z zasady, że flegar winien mieć słuszny pożytek ze swych pieniędzy, a może i zabiegając mogącym się dziać nadużyciom i wyzyskiwaniu gwarków uboższych, art. XVIII ustawy dla gór chęcińskich ujął prawem wysokość tych pożytków. Podług tego flegar miał prawo brać od gwarka kruszec tanięj nieką czteroma groszami nad targ, jeżeli spłacono jego należność kruszczem, a jeżeli pieniądźmi, to z nagrodą dobrą, 10 złotych odesta ¹⁾.

Jaki bywał „urobek“ co do ilości onego lub wartości, tego z akt sławkowskich, które mamy pod ręką dojść nie można. Właściwy urobek stanowił tu kruszec czyli ruda ołowiana. Uważamy to zaś jako szczegół dość dziwny, iż w aktach o srebrze, ani o glejcie mowy niema. Niepodobna przecież przypuścić, żeby jednego i drugiego wcale, choćby w małej ilości nie produkowano. Ale trzeba przyjąć za fakt, że kopano tu tylko na ołów. Zwykle na wiosnę, zaraz po zimie, miały miejsce pierwsze płoc zby czyli płoki, to jest płukano rudę, poczem przesiewano ją, prażono na rosztowiskach, a następnie brano do hut i ołów z nięj wytapiano. Miarą kruszczu

¹⁾ Rubrycelu Włocławska 1889 r. Monum. histor. dioccos. Vladisl.

była niecka (alveus), zawierająca 4 korce ¹⁾. Wartość niecki oznaczano bardzo rozmaicie, stosownie do umowy, a zapewne i podług gatunku. W stosunkach kredytowych między gwarkami a ich flegarami, ceniono nieckę rudy sławkowskiej na gr. 24 fl. 1, fl. 1 gr. 2 do fl. 1 gr. 5¹/₄. Olów rachowano na centnary ²⁾, niekiedy też na bochny (prustum). Podług przewagi, dokonanej raz na wadze sławkowskiej w r. 1559, w jednym bochnie ołowiu znaleziono 12 centnarów, w drugim 10 centnarów 5 achtelei, w trzecim 10 centn. 2 achtele. Waga bochnów była więc dowolna. Jak sama nazwa pokazuje, a był to kawał ołowiu w kręgu, albo raczej kształt jarmułki czyli odcinka kuli mającej ³⁾, jako bochen chleba. Wartość centnara dla flegarów ceniono na 1 markę 3 gr. lub 1 markę 6 gr. W handlu jednak cena i kruszcu i ołowiu były wyższe, centnar ołowiu przedstawiał wartość 2-ch florenów.

Jaka była wydajność gór sławkowskich, tego na pewne oznaczyć niepodobna, w przybliżeniu tylko wnosić można że była dość mierną. Nie mogła się ona już w tym czasie, t. j. w XVI wieku równać z bogactwem gór olkuskich, ani pod względem wydobywania, ani też kolosalnych wysiłków, do jakich doprowadziła eksploatacja gór olkuskich, przecież choć znacznie dawniej, bo już w niepamiętnej przeszłości wyeksploatowane góry sławkowskie zaznaczyły się i teraz jeszcze mrówczą prawdziwie ruchliwością i usiłowaniami choć drobnymi, ale na wszystkie strony dającymi jeszcze świadectwo żywotności. Ze wskazówek, powziętych z akt współczesnych, przychodzimy do wniosku, że góry sławkowskie w eksploatacji musiały być dużo łatwiejsze od olkuskich, skoro były dostępne lada jakiemu gwarkowi, nieraz prócz własnej pracy i drobnego kredytu na zamkoste, nie innego z sobą do tych gór nie przynoszącemu. Gwarkowie ci, nieraz bardzo ubodzya pomiędzy którymi, (liczono ich około 400) zaledwie kilku wyróżniło się jakimś trochę pokazniejszą cyframi kredytu i wydobywania, musieli poprzestawać na bardzo skromnych rezultatach swojej pracy i nakładów, dokonywanych kosztem niezmierniej lichwy, płaconej forlegarom. Krępowani swoją niezamożnością, całkiem zależni od flegarów, przecież rzucali się przez długie lata w wielkiej liczbie i nader ochoczo do otwierania nowych lub podejmowania spadłych gór. Oczywiście nie musiało to dla nich być bez korzyści. Ale jakkolwiek silną dla nich podniecią mogła być łatwość eksploatacji, której przecież nie podajemy tu za pewnik, to jednak z akt współczesnych nie możemy nic innego zaznaczyć, jak tylko fakt owęj szczegółniejszej i na małym poprzesta-

¹⁾ Niecek 24 stanowiło ruszt... tyle naraz rudy ołowinnej do prażenia sypano. Łabęckiego słownik górniczy p. 163—231.

²⁾ Dawny centnar zawierał 160 funtów i dzielił się na 5 kamieni po 32 funty. W Olkuszu dzielono go na 4 dwuachtele po 40 funtów, lub 8 achtlei po 20 funtów. Łabęckiego słownik górniczy p. 29.

³⁾ Łabęckiego słownik gór. p. 19.

jącej ruchliwości. Klucz sławkowski jak wiadomo, był wraz z księstwem Siewierskiem własnością prawie udzielną biskupów krakowskich,—jakkolwiek zaś obyczaj i prawo równie tutaj, jak na pobliskich, tuż górach olkuskich, były jedne, przecież opieka królów, przywileje, udzielane górnictwu olkuskowskiemu, względnie biorąc, pomagały górnictwu sławkowskiemu, ale z drugiej strony pozostawało ono jakby w zaczarowanym kole, z którego w żaden sposób wychylić się nie mogło. Kiedy pod Olkuszem eksploatacja ołowiu podejmowana była na większą skalę i prowadzona wszechstronnie, nie ograniczając się na samem wydobyciu, ale przetapiając dobytą rudę na ołów i srebro, ku czemu służyły niezmiernie liczne huty, prowadzone tak samo za licencyą jak kopalnie, na sławkowskiem polu przeciwnie, krzątano się w górach; ale tak zwany kruszec w części tylko wytapiano na miejscu. Nie ma w aktach sławkowskich wcale mowy o hutach. Na 300 blisko zapisów, zawierających licencye czyli fryszta, znaleźliśmy zaledwie pięć licencyj na rosztowiska czyli prazelnie, przygotowujące kruszec do hut, co do ostatnich zaś, zdaje się, że takich gwarkowie sławkowscy u siebie wcale nie prowadzili. Mieli wprowadzić hutę przetapiającą ich kruszec na ołów, ale ta, jak się zdaje, była własnością biskupią i rządził w niej starosta. Czy owa huta miała jaki monopol, nie wiadomo; ale w każdym razie nie wszyscy gwarkowie wytapiali w niej swoją rudę, poprzestając na sprzedaży samego tylko kruszczu; nawet zaczęli od niej stronić coraz bardziej, tak, iż w roku 1559 z hutą, która nie miała co wytapiać, zaczęło być coraz gorzej. Uderzony tém: „Jego miłoszecz pan Macziej Pieczanowski nathen czas starosta sławkowski, weswawszj do siebie gwarkij sławkowskie spital ijch: „Czemu szije tak wijelka skoda w huczije dzieije? kturnij powiedzielij: „Themu panije mijlij, starostho, że nam nijegi dziije thak ijako statuth nasz... (chce)

Uszkodzenie tego dokumentu nie dozwala doczytać się racyi danych staroście przez gwarków, z dalszego jednak ciągu dowiadujemy się, iż starosta usiłował wyrzucić na gwarków pewien nacisk i chciał zarazem rzecz załagodzić, modyfikując warunki — przedtém prawdopodobnie zbyt uciążliwe. Zakończył bowiem w ten sposób: „Tho wam rozkazujie ij... to mijedzj szobą mozecie zezwolicz. Abij robotniczj w huczje robilij od godzinij do godzinij sychte ijedne, oth ktoreij sichtij bedziecie powinowaczij placicz panu hutnemu sescz gr. pieniedzij. A hutnij powinien bedzie dacz Mijechij dobre, kami-jeny, glinij, kolo ij ijuszich rzeczij, czego ijedno do huteij ijesth potrzeba.“

To jest jedyny akt, który znamy, wyjaśniający cośkolwiek sprawę hutnictwa sławkowskiego. Wprowadzić pod Żąbkowicami, w sąsiedztwie olbrzymich złóż, pokrywających dziś lasem poroślą, zwaną „Bienia“, są ślady widoczne huty, po której pozostały liczne okazy żużla ołowianego oraz glejty, w łóżysku strumienia piaskiem głęboko zasypiane, ale zarówno jak samą eksploatacją owęj góry, tak też i ową hutę odnieść należy do owych czasów niepamiętnych, o których wyżej wspo-

minaliśmy, do czasów, kto wie, czy nie dawniejszych, jak samo wydzielenie klucza sławkowskiego na uposażenie biskupstwa krakowskiego. Ażeby zakończyć tę rzecz nie żadnemi przypuszczeniami, ale cyframi, które tam, gdzie się niemi można posłużyć, są najwymowniejsze, przytaczamy następującą tabelkę, objaśniającą stan górnictwa, a pośrednio i hutnictwa sławkowskiego, w epoce od r. 1550 do 1575, przypominając — o czém jużesmy powyżej wzmiankowali, że akta, które nas doszły z owego 25-lecia nie są wcale kompletne, są to resztki księgi, w której bardzo wiele nawet całych lat brakuje; dużo zaś jest wpisów takich, których z powodu zniszczenia odczytać niepodobna:

Frysztowanie w górach Sławkowskich.

Pod r. 1550 zapisano frysztów	7
1551 „ „	18
1556 „ „	1
1559 „ „	1
1562 „ „	3
1563 „ „	5
1565 „ „	4
1566 „ „	28
1567 „ „	33
1568 „ „	23
1569 „ „	6
1571 „ „	5
1572 „ „	2
1573 „ „	23
1574 „ „	60
1575 „ „	65
Razem wpisów 289, w czém frysztów:	
na nowe góry i szlamiska	613
na spadłe góry	57
poprawionych frysztów	65
na plan pod budynki	9
na rosztwiska	5

Oprócz tego wpisów na „dwojgie pole“ 31.

Długi zaciągnięte u flegarów na prowadzenie górnictwa w ciągu powyższych 25 lat, wynosiły:

w Kruszcu niecek 239,	po flor. 1	—	Flor.	239	
korcy 2	„	—	„		gr. 15
¹⁾ w Ołowiu centn. 710 ³ / ₈	po Mark. 1 gr. 6	„	1278		20
w gotowiznie flor. 368	gr. 20 ¹ / ₂	—	„	368	20 ¹ / ₂
Mark 38	—	„	60		24
Talarów 4 (po fi. 35)	—	„	140		

Razem florenów 2145 gr. 3¹/₂

¹⁾ Średnią wartość ołowiu w owym czasie Łubęcki oblicza na 60 gr. co na naszą monetę—jak utrzymuje—wynosiło około 1840 r. zł. 45.—(Górn., I. 214).

Wszystkie długi zaciągane były w gotowiznie, a tylko spłata ich umawiana była w urobku lub w pieniądzech.

Okazuje się z powyższego, że nie wszyscy gwarkowie przetapiali kruszec na ołów; poszczególne zaś akta dowodzą, że na kruszcu poprzestawali gwarkowie ubożsi, mało produkujący; mniej liczni zaś, lecz zamożniejsi, których produkcya dochodziła do pokaźniejszych cyfr, nietylko kopali kruszec, ale go i wytapiali na ołów.—Stosunek zaś jednych do drugich, wykazując pośrednio cyfry zadłużenia się u flegarów, ze spłatą w kruszcu lub ołowiu: pierwszych, t. j. kopiących tylko kruszec, w zadłużeniu było 41, — drugich, produkujących ołów 34. Z pomiędzy pierwszych zadłużenie się najmniejsze wynosiło $\frac{1}{2}$ niecki, wartości 18 gr. największe 14 niecek, wartości flor. 26, gr. 24, — drugich zadłużenie się najmniejsze wynosiło 4 centnary, wartości flor. 8, największe centn. 238 $\frac{5}{8}$, wartości flor. 467 gr. $7\frac{1}{2}$. Summa zaś zadłużenia się pierwszych, jakkolwiek liczniejszych, przez owe lat 25 wynosiła skromną cyfrę 239 niecek, wartości rzeczywiście flor. 286 gr. 24; gdy drudzy dosięgli w kredycie centnarów 710 $\frac{3}{4}$, wartujących flor. 1420 gr. $22\frac{1}{2}$. Dodać do tego potrzeba 29 gwarków zadłużonych na sumę flor. 569 gr. $14\frac{1}{2}$, ze spłatą w gotowiznie, — pomiędzy tymi dług najmniejszy wynosił gr. $25\frac{1}{2}$, największy florenów 140.

Jeżeli przypiszemy za Łabęckim (górnictwo I, 218) że 1 korzec albo kibel rudy, (=35 garcom), który ważył 2620 funtów, dawał $137\frac{1}{2}$ funtów ołowiu, zatem $710\frac{3}{4}$ centn. ołowiu odpowiadałoby $826\frac{3}{4}$ korcom rudy, czyli $206\frac{3}{4}$ nieckom. Co do zadłużenia się w gotowiznie, wynoszącego flor. 569 gr. $14\frac{1}{2}$, odpowiadało to $474\frac{1}{2}$ nieckom wydobywania, czyli, że powyższa tabelka przedstawia $920\frac{3}{4}$ niecek, czyli 3683 korce rudy wydobytej.

Była to jednak tylko część flegarska, rzeczywiste zaś wydobycie musiało być znacznie większe.

Gdybyśmy przyjęli, że gwarkowie zdołali wydobyć zaledwie drugie tyle, na ile się zadłużyli, wypadłoby na ich produkcyą 7366 korcy rudy. Ten sam stosunek przyjmując dla gwarków, prowadzących górnictwo własnymi tylko funduszami, przyszlibyśmy do następujących cyfr: na 400 gwarków sławkowskich, było 104 zadłużonych, zaś 296 takich, którzy nie potrzebowali lub nie chcieli używać pomocy flegarów. Ci ostatni mogli wydobyć 20965 korcy, — razem przeto ogólna produkcya przez owe lat 25 mogła wynieść około 28330 korcy, czyli niecek 7083. Z tego odpowiednio do powyższej proporcji, ilość przetopiona na ołów, t. j. korcy 3342, wydałyby ołowiu centnarów 2872, wartości florenów

5744

24988 korcy, czyli 6247 niecek rudy po flor. 1 gr. 6

7496

 razem florenów 13240

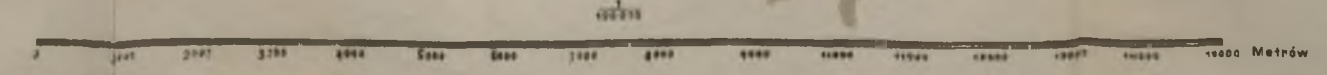
Taka mogła być podług powyższego rachunku minimalna produkcja gór sławkowskich przez lat 25, od 1550 do 1575 r. czyli rocznie po florenów około 530. Jest to jednak rachunek tylko przypuszczalny, przeciwko któremu nadmienić można, że jak z jednej strony produkcja mogła być znacznie wyższa, szczególnie w górach „nie flegowanych, nie zewiedzionych“, — tak znowu z drugiej, choć liczba gwarków była znaczna, nie wszyscy jednak biorący góry za frysztami, odnosili z nich pożytek, bo mogły być góry niepożyteczne, jałowe, nieodpowiadające włożonym w nie nakładom, albo też wymagające większej forszy aniżeli ta, na jaką zdobyć się mógł gwarek zbyt ubogi. Takie góry porzucano i uważały się jako spadłe — i albo całkiem je następnie pomijano, skoro się przekonano, że są puste, lub przychodził gwarek zamożniejszy, który brał nowy fryszt i dobijał się wreszcie kruszczu, którego poprzednik nie mógł znaleźć. W każdym razie rachunek ten zdaje się dość przybliżonym, a skromna cyfra, nie dochodząca 600 florenów produkcji rocznej, okazuje, że mimo całej ruchliwości, eksploatacja gór sławkowskich nigdy świetnych nie wydawała rezultatów. Winną temu była zapewne mała wydajność gór i idące za tém ubóstwo gwarków, nie mogących się zdobyć na urządzenie hut dla wytapiania ołowiu. Gdyby bowiem cała powyżej wykazana ilość dobytej rudy przetopioną została na ołów, wartość ogólna produkcji tak przerobionej, podniosłaby się odrazu do sumy o wiele wyższej, około 48692 florenów wynoszącej.

Tu należy wyjaśnić jeden z ważniejszych czynników ówczesnego przemysłu górniczego, tak zwane *flegarstwo* lub *ferelegarstwo*, z którym tak często spotykamy się w księdze zapisów górnych żupnictwa sławkowskiego. Nadmieniliśmy, że odpowiednio do warunków technicznych dawniejszego górnictwa, kiedy wszystko polegało na pracy rąk, bez innych kosztownych urządzeń, wymagających dzisiaj olbrzymich kapitałów, przemysł górniczy dostępny był ladajakiemu gwarkowi, mogącemu się zdobyć na zawarowane przez prawo opłaty wpisu i różnych innych przedwstępnych formalności, na zakup narzędzi nader pierwotnych, niekosztownych, wreszcie na najęcie potrzebnej ilości robotników. Prawo górne nie robiło żadnych ekscpepy ani utrudnień, każdemu, bez różnicy stanu i narodowości, żądającemu frysztu, żupnik obowiązany był go wydać, a nadto wymiar kopalń oraz ich podział na achtele i firachcentle, doprowadzony do działków minimalnych, ułatwiał wielce dostęp do górnictwa najdrobniejszemu nawet przedsiębiorcom. Nie kapitaliści też ani ludzie stanów uprzywilejowanych, ale najwyczajniejsza robocza czeru, wieśniacy, kumiecie, małomieszczanie, drobni procederzyści, chwyтали się u nas kopalnictwa, tak samo w polu podolkuskiem jak sławkowskiem. Jednakże owa gromadna, ruchliwa przedsiębiorczość, acz drobna, potrzebowała się przeciw oprzeć na jakimkolwiek kapitale, tak samo jak i dzi-

KOPALNIE KLUCZA SŁAWKOWSKIEGO

OBJAŚNIENIA

- Wapnienie dolomitowe kruszeorodno
- Góry będące niegdyś w eksploatacyj
- Znak górniczy oznaczający kopalnię
- „ oznaczający huty ołowne
- Przepuszczalna granica klucza Sławkowskiego Grubsze kreski podług Jnwentarza z r. 1668 cieńsze podług Długosza Liber Beneficiorum i NB. Nieistniejące dziś miejscowości wypisano niebiesko lata obok oznaczają datę od jakiej pierwsza o miejscowościach tych dochodzi nas wiadomość.



siejsze olbrzymie przedsiębiorstwa, podtrzymywane kolosalnemi funduszami. Kmieć, posiadający gospodarstwo, mieszczanin, mający dom, ogród, łąkę, kilkoro bydła, karczmarz, który się w miasteczku albo we wsi dorobił grosza, albo rzeźnik, prowadzący interes swój z korzyścią, ludzie względnie zamożni, wychodząc ze sfery dotychczasowych zajęć, szli na hazard, i znachodzili się nieraz w potrzebie użycia środków, przechodzących ich możność. Uciekali się więc do kredytu, który choć drogi, opłacany niezmierną lichwą, ale dla zyskownych przedsięwzięć jakim było górnictwo, był zawsze otwarty. Z drobnych kapitalistów, usiłujących ciągnąć ze swoich pieniędzy korzyści jak największe, wytworzyła się nawet specjalna klasa nakładców górnych, dostarczających gwarkom mniej zamożnym pieniędzy potrzebnych na prowadzenie kopalnictwa, szczególnie zaś na zamkosty. Ta klasa nakładców, zwanych z niemiecka *forlegerami* lub *flegarami*, potrafiła już w odległej przeszłości wyrobić sobie szczególne przywileje, zabezpieczające jej wiarygodności i zyski z nich, a źródło, z którego czerpiemy, daje nader obfity i ciekawy materiał do stwierdzenia odwiecznej kwestyi, tyle burzącej dzisiejsze społeczeństwa, bezwzględnej zawsze przewagi kapitału nad pracą.

Widzimy przeto, że w wieku XVI, w okolicach górniczych kraju naszego, przebywali po wsiach i miasteczkach różni drobni kapitaliści, kmiecie, karczmarze, rzeźnicy, obywatele miasteczkowi, którzy rozporządzali gotowym groszem, pożyczając go gwarkom, potrzebującym gotowizmy. Z akt sławkowskich dowiadujemy się, że ludzi pieniężnych w kraju było dosyć,—nietylko w miastach górniczych Olkuszu i Sławkowie, ale także i po wsiach, jako to w Gołonogu, Sikorce, Bolesławiu, Bukowinie i wielu innych miejscowościach bliższych i dalszych, jak w Chrzanowie etc. Nawet kupcy i obywatele krakowscy dawali pieniądze gwarkom sławkowskim na pożyczki,—ale bo też pożyczki te—jak to zaraz będziemy widzieli, stanowiły złoty interes dla kapitalistów. O ile jednak na tych stosunkach z gwarkami zyskiwali kapitaliści i nakładzcy, o tyle właśnie tracili gwarkowie, w skutek zaś nieumiarkowanej lichwy i wyzysku, których pod osłoną prawa górnego dopuszczali się owi kapitaliści, cierpiał przemysł górniczy—i to było między innymi jedną z przyczyn, dla których górnictwo sławkowskie nigdy naprawdę nie mogło się podźwignąć.

(*dok. nast.*)

Portret „pięknej pani.“

OPOWIADANIE STAREGO WARSZAWIANINA *).

SKREŚLIŁ

Wincenty hr. Łoś.

VI.

Udałem się więc do kapitana z postanowieniem zażądania od niego wprost i bez ogródek wyjaśnienia mi tajemnicy, jaka spowodowała poróżnienie się tyloletnie pani Olimpii z rodziną.

Mojój biednej babce, pragnącej przed śmiercią uściskać starszą siostrę, chciałem czempredzej donieść, aby przybywała do „starego dworu.“

Kapitanowi więc w rozezulających słowach, które mi wtedy same płynęły na język, przedstawiłem powody, dla których gorąco chciałem przekonać panią Olimpię o niewinności naszej rodziny w dramacie, który tak dawno temu się rozegrał, a którego i treści nie znałem.

Pan Wojda głęboko się zamyślił i podając mi cybuch naładowany tytoniem w tych słowach odpowiedź zaczął:

— Zapal waćpan i słuchaj, bo to historia nie krótka, ale i zawiła. Skoro ze szczerości twych słów wnioskuje, że sam nie nie wiesz i jesteś tylko powodowany gorącą chęcią uzyskania przebaczenia... hm... pani Olimpii, to ci i powiem, co mi wiadomo o tej sprawie.

Nie przerywałem kapitanowi, aby tylko go usposobić do jak-

*) Dokończenie.—Zob. zeszyt za mies. marzec r. b.

najdłuższego opowiadania, z którego spodziewałem się dowiedzieć tajemnicy „portretu pięknej pani.“

Pan Wojda usiadł w głębokim fotelu i pyknawszy kilka razy z fajki tak zaczął:

— Warszawa roła się od mundurów i wojskowych. Błyszczała od szlif i kirysów, a na ulicach od świtu do nocy pobrzękiwały, wypolerowane pałasze i złote ostrogi.

— W Warszawie wtedy żołnierz coś znaczył. Nikt tam się wtedy nie spojrzął na takiego, choćby jak waćpan młokosa, jeśli nie miał czaka na głowie, a szabli przy boku, jeśli nie brzękał ostrogą, a nie błyszczał kirysem. Na ulicach, w salonach myśmy rój wodzili, a po kątach stali panowie i magnaci, dygnitarze i książęta, jeśli nie umieli dosiąść konia, przypasać szabli i rąbać nią na prawo i lewo. Kobiety za nami przepadały, na nas tylko zerkały, z nami tylko mówić, z nami płaszać, w nas się kochać chciały. Książę czarował wszystkie, ale książę wszystkim wystarczyć nie mógł, więc też i byle mundur go zastępował. Było to wtedy widzieć bal pod Blachą, lub w Błękitnym pałacu lub też i pod karytydami, albo wreszcie i gdziekolwiek. Sto par stawało do mazura, sto mundurów jaśniało wszystkimi barwami, kaptało srebrem i złotem. Książę Józef na czele z śliczną Potocką lub Grabowską a za nim generałowie, pułkownicy, kapitanowie, oficerowie, szli jak w wojsku, według rangi w płasy. A cóż to były za kobiety te wszystkie polki, których piękność przy mundurze dopiero nabierała życia i blasku? Gdzież się one podziały? gdzież się podziały te oczy, co podbijały, te czary, co oszalały? A wiedz waćpan o tém, że żadna z nich nie byłaby się puściła w skoczno mazura z młodzieńcem, którego by ramion nie zdobiły złote szlify. Wstydyły się nasze damy tańczyć z fireykami we frakach i żabotach. Widziałem bardzo przystojnych mężczyzn, widziałem książąt i panów, ordynatów i magnatów, którzy ściany podpierali, podczas gdy byle oficerzyna upadał ze zmęczenia w obrotach mazura czy polki. Tak, mości panie, były to czasy szlif i ostróg! Szalały za nami najpiękniejsze kobiety. Bez nas nie było obiadu, nie było balu, nie było zabawy! Po dwie, potrzy kochało się w każdym z nas, bo mundurów zabrakło dla hoźych polek, które z całego kraju pościęgały na wieść o zabawach w stolicy. W kąś szli mężowie, w kąś partya, jak wy tam je dziś zowiecie, przed byle oficerem, co umiał podkręcić wąsa i umiał nosić śliczny mundur. Szalały za nami panny i mężatki, bo dobrze wyjść za mąż, nazywało się wyjść za tęgiego ulana, a warto rozkochać w sobie tylko oficera, co miał „virtuti militari,“ na piersiach i szramę od oka przez gębę do ucha.

Tu kapitan urwał, tchu mu już brakowało, zasapał się, a krew tak mu uderzyła do twarzy, że był jak pons czerwonny. Długo też milczał i odpoczywał, aż po dobrej przerwie na nowo zmienionym tonem zaczął.

— W owym czasie jednym z ulubionych księcia Józefa oficerów, był niejaki Feliks Szyło, litwin. Książę nie podniósł się rano z łóżka, póki nie nadszedł faworyt z raportem, co się działo i dzieje w pułku. A był to tęgi chłopak, piękny, jak się już teraz nie widzi, nieustraszony, hulaszczy, do tańca i do różańca, niezmordowany na polu ćwiczeń, niezmordowany i w salonie. Majątku nie miał, ani możnych krewnych, ani historycznego nazwiska, ale nikt nie miał piękniejszego od niego wąsika i nikt nie posiadał większych łask bohatera. To też, więcej znaczyło, niż tamto.

Kapitan znów urwał, popykał z fajki i zaczął tonem, który zdradzał sam przez się, iż zamierza przystąpić do głównej części opowiadania.

— Ten Szyło był kapitanem w czwartym pułku ułanów i zarazem chwilowym adjutantem księcia Józefa, a ja zaś zastępowałem go, będąc nadporucznikiem w tymże samym regimencie. Jak książę minister Szyłę, tak znów on mnie kochał i bezemnie obejść się nie mógł. Ja z pułku spieszyłem codziennie o godzinie ósmej rano do kapitana, a mieszkiał tuż przy pałacu „pod blachą,“ zdawałem mu raport, asystowałem jego toalecie, poczem on znów nakładał na głowę swe lśniące czako i biegł do księcia. Książę bez Szyły a Szyło bez Wojdy, żyć niemogli. W ten sposób wszyscy trzej prawie wciąż razem byliśmy, bo podczas ćwiczeń z obowiązku tak wypadalo, na balach i asambalach, to książę, gdy z piękną Julią stawał do mazura, wołał do swego adjutanta „Szyło za mną!“ a kapitan znów mnie dawał znaki, bym się opodal niego trzymał.

Pan Wojda urwał, jakby na dłużej, fajkę naładował świeżym tytoniem i pykając z niej, długo przed siebie patrzył, jakby przywoływał sobie na pamięć chwile dawno uleciałej przeszłości.

Nieprzerywałem milezenia, choć łaknąłem dalszego ciągu opowiadania, dotąd bowiem nie jeszcze się niedowiedziałem z tego, co mnie w owiej chwili jedynie prawdziwie obchodziło. A kapitan zwykle mało mówny, tym razem nie szczędził słów, które płynęły mu z ust, odtwarzając jego własnej wyobraźni rzeczy, do których myślą widocznie powracać lubiał.

Wreszcie na nowo się odezwał, i to znowu innym tonem, jakby przystępował do świeżego przedmiotu w swém opowiadaniu.

— Tak stały rzeczy, gdy pojawiła się w Warszawie młoda, śliczna, bogata księżna Izydorowa. Nikt nie może mieć pojęcia o uroku tej kobiety, kto jej nie widział w oświeconym salonie, tańcząc, z niewymowną gracyą niemieckiego waleca.

Ściągała na siebie wszystkich uwagę, bo miała czarne, jak kruk włosy, a niebieskie jak tureckie turkusy oczy. Piękności swęj przeważnie, choć była i posażną, zawdzięczała małżeństwo swe z księciem Izydorem, o którego ubiegały się najdostojniejsze panny kraju. Ale książę Izydor był, być może najzaczniejszym człowiekiem,

ale co do powierzchowności, co do dziarskości w sposobie bycia, daleko mu było do naszych młodzieńców, księcia Józefa otaczających. Nie będę panu długo tego opowiadał, bo i jak i co się stało dokładnie wiedzieć nie mogę. Czy mój kapitan zakochał się w księżnie, czy ta w nim, tego nikt nie zbadał. Prawdopodobnie miłość była zobopólną, bo łączyła najpiękniejszego mężczyznę z najbardziej uroczą kobietą. Pod koniec zimy r. 1811, rozeszła się wieść w salonach i w pułkach, że księżna Izydorowa rozwodzi się z mężem, aby wyjść za kapitana Szyłę. Wiary temu dać nie chciano, tém więcéj, że sam książę na rozwód nie przystawał, że rodzina księżnej jedna i druga, ogromny krzyk w całej Polsce podniosły. I nie dziwnego, bo piękna księżna poświęcała wysokie stanowisko, z którego dumną była rodzina, dla młodzika, tylko kapitana czwartego pułku. Ale kobiety wówczas! Mości panie! to był ogień i szal. A i czasy były inne. To téż mimo wszystkich intryg i przeszkód, sprawa rozwodowa szła naprzód, bo ją popierał książę minister, rad przydobać się księżnej i skory dogodzić ulubieńcowi.

Pan Wojda tym razem zakończył, jakby już na dobre, jakby już nie więcej do powiedzenia nie miał. Przeczekałszy chwilę, widząc, że się nie zanoszą na dalszy ciąg, zawołałem przerażony:

— Cóż dalej kapitanie?

— Dalej — odparł starszek — dalej? nie wiem co się stało.

— Jakto?

— No tak — obruszył się pan Wojda — z początku 1812 r. rozwodu jeszcze nie było. Szyło powrócić z księciem Józefem do Warszawy, a ja spocząłem dopiero w Toruniu.

Kapitan umilkł, ale już nie byłem panem siebie i zawołałem niecierpliwie.

— Ale cóż dalej?

— Cóż Waćpan chcesz, by dalej było?

— Księżna Izydorowa wyszła za Szyłę?

— Nie wiem!

— Jakto? jakże to być może?

— Jesteś Waćpan w gorącej wodzie kąpany — pochwycił

Wojda — co się stało w Warszawie nie wiem; po pierwszy raz ujrzałem kapitana przy boku księcia Józefa tylko przez dwie sekundy pod Lipskiem. Wiesz pan, co dalej się stało

Tu kapitanowi lzy w oczach stanęły i prawie płacząc, mówił:

— Zginał... utonął... patrzyłem na to, ale już wtedy Szyły przy nim nie widziałem.

— Cóż się z nim stało.

— Nie wiem!

Po długim milczeniu, podczas którego kapitan rozmyślał a w oczach mu wciąż lzy błyszczały, tonem błagającym zagadnąłem go jeszcze:

— Kapitanie!..

Ale on widocznie zrozumiał, o co mi chodzi, bo nie czekając na zapytanie, podchwycił:

— Nie nie wiem! żołnierskie słowo! Wróciłem do Warszawy po r. 31 i zastałem panią Olimpią, tu, w starym dworze, tak, jakby dzisiaj. Spytała mnie tylko, żądając odpowiedzi pod słowem hono-ru, czy nie wiem co się stało z Feliksem. Odparłem, że nie wiem. Spytała jeszcze, czy byłem przy śmierci księcia. Odparłem, że byłem...

— Cóż na to pani Olimpia!—zapytałem.

— Co? załała się łzami. Wtedy jeszcze o lzy łatwiej było, niż dzisiaj, bo to temu lat dwadzieścia i kilka, — i zawołała: „Więc żyje, więc mi go zabrali!“

— Cóż dalej?

— Dalej?—odpowiadał już z niechęcią kapitan—wyznaczyła mi utrzymanie i zażądała, bym tu zamieszkał. Przystałem, bo dobrze już byłem pokiereszowany. Ot i jak Waćpan widzisz, czekamy, czekamy i może wreszcie się zjawi...

— Kto?

— Toć kapitan! jesteś Waćpan dziwnie niepojętny!

VII.

A więc „on“ to był kapitan czwartego pułku ułanów za Księstwa, Feliks Szyło,—o którym ani pan Wojda, ani pani Olimpia nie wiedzieli, czy żyje.

Tyle się dowiedziałem po kilkotygodniowej bytności w Warszawie, prócz tego, co łatwem było do domyślenia się, a mianowicie że pani Olimpia posadzała swą rodzinę o przyłożenie palca do zniknięcia kapitana Szyły.

Czy tak, lub czy inaczej było, sam nie wiedziałem, jak też nie wiedziałem, w jaki sposób rozwiązała się miłość ta z r. 1811, czy księżna Izydorowa rozwód otrzymała, czy nie.

To wszystko pozostawało do rozwiązania, a tego wszystkiego nikt mi odkryć nie mógł, prócz samej pani Olimpi.

Jedynym faktem, stwierdzającym, że prawdopodobnie rzeczy nie poszły dalej, jak je mi opowiedział pan Wojda, była okoliczność, że stara pani, której zresztą nikt w „starym dworze“ nazwiska nie wymieniał, bo ją zwano właścicielką, lub panią Olimpią, zapisana była w księgach miejskich pod rodzinnem nazwiskiem.

Zniknięcie Szyły bez wieści było najjuźniej niewytłómaczoną zagadką.

Niejeden uważany za poległego, czy oddawna przepadłego, żył gdzieś na cbezyźnie i nagle się zjawiał. To samo mogło

mieć miejsce i z kapitanem, tém więcej jeśli dwie rodziny niteresowanemi były w zatarciu jego śladów.

Takie sobie wyrobiwszy przekonanie, pełne wątpliwości o tajemnicy „starego dworu“ i o portrecie „pięknej pani,“ coraz częściej bywałem u pani Olimpii, aby się postawić z nią na stopie, pozwalając mi dotknąć wprost tak delikatnej materji.

Raz wreszcie okoliczność przysłała mi w pomoc, i to w ostatniej chwili, bo babka moja się niecierpliwiła, jakby się bojąc końca swych dni.

Przyszedłem do staruszki i zastałem ją tylko samą, lepiej niż zwykle usposobioną i kapitan i panna Lewicka wyszli byli na miasto.

Korzystając z rzadko nadarżającej się sposobności, odrazu zacząłem od rzeczy i przedstawiłem jej gorące życzenie mej babki.

Nie pamiętam jak i co mówiłem. Dość że musiałem być wymownym, bo pani Olimpia, która na pierwsze wspomnienie o swjej siostrze się zachmurzyła, powoli zdawała się rozczulać, a gdym wszystkie argumenta wypowiedział, tak zaczęła:

— Jesteś młodym i nie tobie wchodzić w tak poważne rodzinne sprawy, które mają swoje ważne kozery. Ale jesteś mężczyzną, o ile zauważyłam o szlachetnych uczuciach i przypuszczam, że wszystkie infamie — mej względem mnie rodziny, są ci obce.

Uroczyście potwierdziłem słowa staruszki, która głęboko się zamysliła.

Siedzieliśmy w gabinecie, ona na kanapie przed kłębkim żółkłych nici, ja na krześle naprzeciw próżnego miejsca, przed którym leżały wojskowe rękawiczki.

Twarz pani Olimpii zwiędła i zboliała, pomarszczona i nosząca na sobie piętno strasznych cierpień, które uwydatniały jeszcze ślady jej piękności, młodniała, a okraszał ją dziwny, niebывały na niej, uśmiech błogiego wspomnienia.

Wreszcie tak zaczęła.

— Słuchaj! temu lat trzydzieści i kilka, tu przy tym stoliku siedziała młoda, dwudziestokilkoletnia kobieta, szczęśliwa nad wszystko. A tu — mówiła wskazując na próżne krzesło — siedział oficer od ulanów, ten!

Pani Olimpii twarz okrył tragiczny wyraz i wskazała na portret wojskowego, wiszący naprzeciw niej, na ścianie.

— On był narzeczonym tej kobiety, a ona poświęciła wszystko, aby z nim się połączyć, poświęciła świetne imię, oddała dużą fortunę, zerwała z rodziną, aby być tylko „jego.“ Ślub miał się odbyć za kilka tygodni, a na ten ślub z różnych powodów czekali lat trzy blisko, przecierpeli wiele, wiele... przeżyli straszne chwile rozłąki; ale wtedy zapomnieli o wszystkiem, wtedy byli szczęśliwi.

Pani Olimpia urwała i zadumała się, aby po kilku minutach, zacząć słabym i zcierpiałym głosem.

— Nieprzyjaciele, zawistni jej i jego szczęściu, wszystkich sposobów używali, aby ich rozłączyć... Ale oni... oni...

Niewiasta urwała znów i z uśmiechem, z jakim czasem starzy umierają, przymknęła oczy. Nagle ocknęła się i zawołała:

— Było to dnia 6-go lutego 1813 roku, ona siedziała tutaj i zwijała w kłębek nici, które trzymał na rękach „on!“ Zwijała je do tej oto roboty... do obozowej poduszki dla niego. On jej opowiadał, jak jest szczęśliwy, a ona go słuchała i nic nie mówiła, bo była zanadto... szczęśliwą. W tém!.. ah! straszna chwila! wpada żołnierz z pułku i woła „panie kapitanie, co tehu! pułk wymaszerowuje do Krakowa, w mieście alarm! księżę już na koniu!“ On zerwał się, przypasał tylko pałasz, zapomniał rękawiczek i wybiegł jak szalony, bo on był żołnierz, on życie księciu Józefowi uratował. W godzinę potem czwarty pułk i księżę Józef i on opuścili Warszawę... opuścili na zawsze...

— Zginął — szepnąłem. Te słowa zelektryzowały kobietę, która już opuściła głowę i dumiała.

— Gdyby zginął! — zawołała — ale nie, nie! nikt nie widział jego śmierci, nikt! nikt!

Oczy jej przybrały straszny wyraz rozpacz, trzęsąc się na całym ciele, powstała z kanapy i zawołała:

— Oni! oni! moja rodzina, rodzina księcia wie, gdzie jest, co się z nim stało. Oni go kryją, oni!

Wysilona, opuściła się nazad na sofę, a robiła w tej chwili straszne wrażenie swą młodą w tym wieku rozpacz.

Długie nastąpiło milczenie, po upływie którego przemówiłem, aby wytłómaczyć pani Olimpii, że moja babka nie o kapitanie Szyło nie wie.

Pani Olimpia słuchała mnie z uwagą i widziałem, że słowa moje ją coraz więcej przekonują, czułem, że sprawę mój starzej babki wygram.

Słuchała i nie mówiła, a ja wyszukując argumentów, wpadłem i na to wspomnienie z dzieciństwa; jak babka moja nieraz wyjmuje portret siostry ze szafy i długo mu się przygląda i lzy roni.

Gdym tylko wspomniał o portrecie, wyraz przygnębienia zniknął z twarzy pani Olimpii, a całe jej oblicze zadrgało niesłychaną ciekawością, graniczącą niemal z szałem.

Uchwyciła mnie za rękę i trzęsąc się, a nie pozwalając mi więcej mówić, konwulsyjnie dłoń moją ścisnęła, zachrypłym głosem pytając.

— Jaki to portret? jaki?

— To portret, zdaje mi się tego samego malarza, co ten, odparłem, wskazując na wizerunek kapitana.

— Jesteś tego pewny? — zapytała niewiasta, ale głosem tak strasznym swą trwogą i tak cichym, że m zadrżał. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że m jęj coś tym portretem odkrył, a co? nie wiedziałem.

— Pewny! — odparłem i opisałem portret, o ile go z dzieciństwa pamiętałem.

Stara pani nie odparła, tylko długo drżała i długo wytrzeszczała swój błędny wzrok.

Myslałem chwilami, że oszaleje, że jęj stare serce pęknie, tyle bólu, tyle namiętnych uczuć, oblicze jęj wyrażało.

Nie pojmowałem, a ona milczała, bynajmniej się nie uspokajając.

Trwało to z godzinę, która mi się wydała wiekiem, bo niepodobna opisać, com wycierpiał, przypatrując się temu dramatowi w jęj duszy, jaki oblicze pani Olimpii zdradzało.

— Cóż za nikczemność! — nagle z trudnością wykrzyknęła — więc mnie przeczucie nie myliło, więc on... on! może żyje, więc oni go... oni! ona! moja siostra!

Pani Olimpia była już zupełnie wycieńczoną. Długo siedziała na kanapie nieruchoma jakby zdrętwiała, tak długo, że chwilami zatrzymywałem oddech w piersi, aby słyszeć, czy jeszcze serce jęj bije, czy żyje.

Nagle obudziła się i podniosła głowę, odkrywając zmienioną starą twarz, którą dotąd odmładniały odnawiane wspomnienia.

— Dzieją się wypadki — rzekła cicho, bo siły ją opuszczały — ty jesteś niewinny, a ona? przeczucie mnie nie myliło...

Rzuciłem się do nóg pani Olimpii, aby rozbroić ją i zaręczyć za mają babką.

Ale ona boleśnie się wykrzywiła, niemogąc przywołać uśmiechu na usta i rzekła stłumionym głosem:

— Ten portret był jego, jak ten moja własnością.

VIII.

Napisałem do męj babki tegoż samego dnia jeszcze, aby czemprędzej przyjeżdżała do Warszawy. Uważałem bowiem, iż tylko pogodzenie i porozumienie za osobistem widzeniem się mogło nastąpić. Nie omieszkalem też jęj donieść o wypadku z portretem, który wszystko w ostatniej chwili popsuł. Sądziłem, że wytłomaczenie, jakim sposobem ten portret, który powinien był się znajdować u kapitana Szyły, znajdował się u męj babki, rozjaśni tajemnicę i urazy. Ale z drugiej strony, obawiałem się tego wyjaśnienia i nie wierzyłem w możliwość jego, bo jeśliby ten portret naturalną drogą dostał się męj babce, to dlaczegożby ona go ukrywała i dlaczegożby wreszcie mnie o wszystkiem nie objaśniła?

Na dnie wszystkiego coraz wyraźniej leżała tajemnica, mogąca być wyjaśnioną, lecz nie mogącą, jak sądziłem, doprowadzić do pożądaney ze wszech miar i z różnych względów zgody.

Chodziło o wykrycie kapitana. Wykryć go mogła moja babka, ale w takim razie, czyż mogłaby jęj przebaczyć pani Olimpia, czekająca na swego ukochanego lat tyle, czekająca z uczuciem graniczącem ze szaleń.

Wyrzuty nie dawały mi chwili spokoju. Uważałem się za przyczynę rozjątrzonego złego i nie mogłem sobie darować chwili, w której o portrecie się dowiedziałem, jako też i chwili, w której mi przyszła fatalna myśl wspomnienia o nim.

Wszak o tym portrecie babka mi nigdy nie napomknęła, wszak był on tajemnicą domową, którą w dzieciństwie wykradłem.

Jeśliby więc zgoda nie nastąpiła, nietylko że musiałbym się uważać za przyczynę nieszczęścia, lecz nadto spadłaby na mnie odpowiedzialność za wszystkie onegoż skutki.

Pani Olimpia, która dotąd nie miała pewności co do udziału swęj rodziny w przeszkodzeniu do małżeństwa jęj z kapitanem Szyło, dziś na podstawie portretu tylko ją mieć mogła.

Jeśli dawniej wyrzekła się swęj rodziny i wydziedziczyć ją postanowiła, cóż mogła postanowić wtedy?

Choćbym chciał pominąć kwestyą sercową męj pocziwęj babki, to tutaj stawała poważna kwestya dziedzictwa po pani Olimpii, która, umarłszy dla świata w r. 1814, okolicznością tą, jak mnie kapitan objaśnił, tylko majątek swęj znacznie powiększyła.

Wizyta moja w „starym dworze“ i rozinowa z panią Olimpią, po której tyle się spodziewałem, pogorszyła cały stan rzeczy. Tym myślom oddany byłem nazajutrz rano—i niemi na wszystkie sposoby dręczony, gdy wpadł do mnie formalnie—zwykle spokojny kapitan.

— Cóżes waćpanu wczoraj narobił na Boga? — zaraz zaczął przestraszonym tonem. Toż w tęj jednęj godzinie popsuleś to wszystko, nad czém lat dwadzieścia pracowałem.

— Co?—wybełkotałem przerażony.

— Toż dwadzieścia lat wmawiam, choć żadnej na to pewności nie mam, że Feliks Szyło zginął pod Lipskiem, aby tylko salwować rodzinę waćpana, a tu waszcę wyjechałeś wczoraj z jakąś tajemnicą, która jak... właścicielka mówi, jasno wykazuje, że wy jedni wiecie, co się z moim kapitanem stało.

Chciałem przerwać panu Wojdzie werwę, z jaką mówił, ale ten nie pozwolił na to, tylko dalej krzyczał tonem wzburzonym i rozdrażnionym.

— Wszystko przepadło! wszystko!

Wyciągnął ku mnie swą dłoń i uderzając w nią palcami ręki drugięj, mówił z naciskiem na każdém słowie.

— Jeżeli czarne na białem nie udowodnicie, zkąd do was przyszedł portret, na który przysięgać mogę, że m go widział jesz-

eze w obozie pod Dreznem, jeśli czarne na białem nie udowodnicie, żeście się w niczem nie przyczynili do zerwania upragnionego związku pani Olimpii, jeśli nam kapitana nie oddacie!.

Tu kapitan, który wpadł w formalną furię, zasapał się, ale kończył:

— To nigdy nikt z waszój rodziny progę nie przestąpi „starego dworu.“ Jak mnie wasan tutaj widzisz, ja sam będę w tém, aby właścicielka swoje krocie oddała na dziadów, abyście tylko złamanego szeląga nie widzieli.

Pan Wojda nieco się uspokoił, ale nie dając mi przyjść do słowa, załamał ręce i rozrzewnionym głosem ciągnął:

— Toż trzeba być ludźmi z kamienia, aby trzydzieści i trzy lat, trzydzieści i trzy lat pozostawiać w niepokoju i trwodze, w szaleństwie tę biedną kobietę, którą strata zagryzła i codzien gryzie...

Kapitan opuścił ręce i ciszej dodał:

— I wy jeszcze chcecie po tój zamordowanej kobiecie dziecięczyć? I babka waćpana pisywała do mnie, bym jój wyrobił przebaczanie? I przysłano waćpana?

Mileżałem pod wrażeniem słów kapitana jak zbrodniarz jaki. Niepodobnym było odmówić mu słuszności. Rodzina moja popełniała zbrodnię, sam przyznawałem i myślałem tylko, jakim sposobem aż do niej się posunęła. Tyłomaczyła ją wprawdzie okoliczność, że nikt z niej w „starym dworze“ nigdy nie był i nie widział tego grobowca, w którym pani Olimpia tyle lat czekała śmierci. Musiałem wyglądać bardzo zgnębiony, bo aż ulitował się nademną pan Wojda.

— Waćpan nie niewinieneś! — zawołał — wygadałeś się z tajemnicy, którój ci nie powierzono, ale pomyśl sam, co robić. Jak Boga kocham, pragnałem, by majątek do was wrócił, ale dziś! dziś!.. Czy wiesz waćpan, że pani Olimpia może nie przeżyje wczorajszej rozmowy. Czy wiesz waćpan, że mi już dziś powiedziała: „mój kapitanie, pomyśl też, co zrobić z fortuną i jaknajlepiej ją przez pamięć „jego“ rozdysponować. Dawniej to zwykle w takim razie odpowiadałem: „Jeszcze czas Dobrodziójko, jeszcze czas! jeszcze może sam kapitan co poradzi“ ale dziś, dziś? co jój odpowiedzieć? Przepadło wszystko i lepiejby dla was było, gdyby nikt z was za życia jój, do starego dworu nie zajrzał. Możeby się było przewlokło i możeby właścicielka sobie była zasnęła w Bogu bez testamentu. Ale dziś... pójdzie wszystko na dziadów!

Kapitan upadł na krzeszło i myślał tak długo, aż się nie odezwał.

— Co robić?

— Tu nie do roboty nie ma! — zawołał — ale! zapomniałem po co przyszedłem. Jejmość kazała mi waćpanowi powiedzieć, abyś wiczej do niej nie zaglądał...

— Jakto? nigdy?

— Tak — podchwycił z widoczną przykrością pan Wojda — chyba, że... ale co o tém mówić...

— Chyba? co?

— Chyba — powtórzył kapitan — że przyjdiesz waćpan z czarnem na białem, z czarnem na białem, z kąd portret u babki jego.

— To powiedziawszy, pożegnał się ze mną kapitan, jak gdyby mnie już nigdy zobaczyć nie miał, ze łzami prawie w oczach.

Od drzwi powrócił jeszcze do mnie i dodał.

— Polubiłem waćpana, jesteś żołnierskie serce. Będę pamiętał, może się co da jeszcze zrobić. Byle teraz nieszczęście nie przyszło, bo teraz nie! Pani Olimpia chora... bardzo chora... Żebyś mi był choć kiedy wspomniał o tym portrecie... bodaj cię...

Poszedł ku drzwiom i jeszcze mówił:

— Waćpan nie przychodź do starego dworu — mówił — chyba, że przysłaż po niego Jakóba; ale ja, może jeszcze zajrzę tutaj... zajrzę! bo mi będzie tęskno bez waćpana, zajrzę, choć w wielkim sekrecie przed jejmością.

To powiedziawszy wyszedł, zostawiając mnie w rozpacz.

IX.

Tydzień cały czekałem na odpowiedź z domu. Ta nie nadechdziła i sam trawiony byłem największym niepokojem, tém więcj, że i kapitan znaku życia nie dawał. A zwłoka mogła być zgubną. Chciałem już wybrać się z powrotem do rodziny i sam uzyskać dowody, potrzebne mi do dokończenia zaczętego dzieła, jeśliby ono było możliwem.

Po głębszej rozwadze bowiem, na którą dość czasu miałem, odrzuciłem przypuszczenie jakiegokolwiek winy mój babki w zaginięciu Szyły. Po tygodniu daremnych wyczekiwań, gdy już traciłem wszelkie nadzieje naprawienia popełnionego błędu, drzwi się uchylily od pokoju i stanęła w nich moja babka.

Tak byłem w owęj chwili przejęty wypadkami, w których odgrywałem rolę, tak spragniony wyświecenia téj tajemnicy i wygrania sprawy, że nie pozwalając babce przyjść do słowa, pytałem ją gorączkowo, czy ma dowody posiadania portretu, dowody, zmywające z nięj wszelkie podejrzenie.

— Mam! — odparła babka.

Dopiero ochłonęłem i przywitałem się z ukochaną niewiastą. A dziwnie wyglądała ozywiona podróżą, czy nadzieją ujżenia siostry, domu rodzicielskiego, osób i kątów, których nie widziała blisko lat czterdziestu.

Nacieszywszy się nią, zapytałem dopiero, jakie są te dowody; babka na to tak odpowiedziała:

— Dowody są niezbite, ale i teraz, jeśliby tylko mogło się obejść bez ich pokazywania, to tak wolę. Pomyśl tylko, jeśli biedactwo w niepewności co do losu swego narzeczonego, tyle lat w takim strapieniu, w waryactwie prawie żyło, cóż to będzie, gdy się dowie?..

— Więc kapitan nie żyje?—zawołałem. Babka nic nie odpowiedziała, tylko wstała i mówiąc:

— Chodźmy! chodźmy do starego dworu!

Ruszyliśmy, a podczas kiedyśmy szli przez ulice, prowadzące do odległej realności pani Olimpii, babka dziwnie ożywiona, jak dziecko rozmarzona, wciąż szczebiotała.

— Mój drogi, więc teraz pałac nazywają starym dworem. Pomyśl! ja lat dwadzieścia nie byłam w Warszawie, nie mogąc przecierpieć niewidzenia ję w tem mieście. Czy uwierzysz? ja raz, będzie temu dwadzieścia i kilka lat, ja byłam w starym dworze, to mnie Olimpka nie wpuściła do pokoju... Cóż miałam robić? wolałam to, niż ję wyjawić prawdę... gdyby była zupełnie zwaryowała, gdyby... a tak czekała... Czy myślisz, że dzisiaj?

— Myślę, że woli dziś wiedzieć prawdę.

— Tak myślisz. Bógby dał, a może się obejdzie po tylu latach. Gdy się dowie, że jestem, że raz drugi przybyłam... może... Bo pomyśl, gdyby ona, dowiedziawszy się zwaryowała, lub gdyby... nie przeżyła... ale co robić? ja muszę ją widzieć, ja muszę... Tu chodzi o was, o ciebie, o tyle wnuków... ona zawsze była tak dobra. I mówisz, że Olimpka nie zawsze dziwaczy, że tylko te nici i te rękawiczki? A ja myślałam, że to gorzję. I nie nie wiesz, co się od tygodnia stało, nie? mój Boże, żeby tylko...

Tak wciąż gwarzyła, nie czekając, ani nie żądając mojej odpowiedzi, aż doszliśmy do starego dworu.

— Jakże się to zmieniło. Dawniej tu było podwórze—mówiła babka, nie rozglądając się nawet, bo ję tak pilno było i tak spieszno, że słyszałem uderzenia ję starego serca—jakże się to zmieniło, a jest ogród z tyłu? a gdzież okna Olimpki?

— Od ogrodu!

— Dopiero babka ustała, gdyśmy się znaleźli na schodach. Tak była rozrzuwnioną, że już słowa wymówić nie mogła, a kilka razy przystając odpoczywała, bo ję nogi, jak dziecięciu drżały.

— Tu się nie nie zmieniło—szepnęła tylko w połowie schodów: dawniej to uchodziło za tak ładne, a dziś tak smutne...

Na odgłos dzwonka wybiegł z apartamentu kapitan i poznawszy ją babkę, której się domyślił, stanął jak wryty.

— Nie bój się kapitan!—zawołałem—przychodzimy z dowodami.

— Jeśli potrzeba, jeśli potrzeba...—dodała moja babka.

Obejrzałem się, ale już kapitana nie było. Uciekł na dół, do siebie i nie dziwiłem się temu, tak bowiem obecność méj babki go przeraziła.

Zostawiając ją w dużym zawsze pustym salonie, udałem się

sam do gabinetu pani Olimpii. Zastałem ją siedzącą na kanapie, osłabioną i zmienioną. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i od razu twarz ję łagodna, przybrała ostry wyraz.

— Co kawaler masz za śmiałość?..

— Moja babka jest tutaj—podechwyciłem cicho, wskazując na drzwi, któremi wszedłem.

Kto? zawołała pani Olimpia, wstając i prostując się—kto? ona? ona tutaj?—mówiła tonem, w którym drgała straszna uraza, latami nie złagodzona.

— Tak — szepnąłem przerażony, bo tak imponującą była w swym gniewie pani Olimpia—ona sama... z dowodami.

— Z dowodami! — zawołała niewiasta—te dowody proszę; te dowody! Inaczej nie! nie!

To mówiąc wskazała mi drzwi.

Wybiegłem niemi, moją babkę zastałem siedzącą na krześle przy drzwiach, zestraszona, bo dosłyszała słów swęj siostry, która mówiła donośnym głosem. Wyjęła była też z torebki jakiś papier, zwinęty w formie listu i podawała mi go. Bezmyślnie uchwyciłem tenże i pobiegłem z nim do pani Olimpii. Ta nerwowym ruchem wyrwała mi list, za nim zdołałem go ję wręczyć.

— To pismo jego! — zawołała i czytała. Czytała uważnie, a w miarę posuwania się w lekturze, oblicze ję młodziło, choć łzy sączyły się, jedna po drugiej z ocz i spadały kroplami, jak grochy na papier.

Sledziłem ję twarz dziwnie zmienioną i zdawało mi się, że list ten ją napełniał radością. Niezrozumiałem nie zgola z tęg metamorfozy, która się odbijała w wyrazie twarzy niewiasty, i bałem się, czy nie sprawdzą się obawy mojęj babki, czy ję siostry zmysły się nie pomieszają.

Ale nie. Gdy skończyła, upuściła pismo na ziemię, i zawołała wśród łez:

— A więc zginął! zginął!

Rzuciła się ku drzwiom, prowadzącym do salonu, ale opromieniona szczęściem, choć płakała rzewnymi łzami, jak młoda.

Uchwyciłem pismo i czytałem.

„Paryż dnia 3 marca 1814.

Pani! Wolą księcia Józefa było nie opuszczać cesarza Napoleona jak w powodzeniach tak i w nieszczęściu. To też po bitwie pod Lipskiem, po utonięciu księcia w rz. Elster, abyspełnić jego ostatnią wolę, choć serce mnie ciągnęło nazad do Polski, poszedłem z tymi, którzy dali się porwać wymową największego bohatera i zostawiając Ren za sobą, opuszczali dom, rodzinę, kraj, wszystko!—Chciałem się wsławić, aby więcęj być godnym tęg, która na mnie w Polsce czekała, chciałem ję powrócić okryty bliznami, ale i sławą, któreby ona umiała ocenić. Wszelmochny inaczej chciał. W strasz-

néj bitwie pod Paryżem, kula armatnia urwała mi nogę i dziś ze szpitala, mając tylko kilka dni, a może kilka godzin do życia, szlę te kilka słów przez pewnego człowieka, który pani odda także wraz z tym listem portret „jéj“, najdroższy skarb. jaki posiadam i który mnie do śmierci nie opuścił. Wiem, jakie uczucie z dołądem obudzić w sercu jéj siostry, i dlatego na pani ręce składam tę drogą mi pamiatkę, przekonany, że postarasz się pani, aby zniosła ona cios ten tak mężnie, jak ja dziś znoszę myśl, że już nigdy nie zobaczę téj, która była gwiazdą najszcześniejszych chwil mego życia...

Daléj nie czytałem, tylko wybiegłem z gabinetu ku drzwiom od salonu.

W komnacie obie siostry stały, trzymając się zobopólnie w objęciach i szlochając głośno z rozrzewnienia.

X.

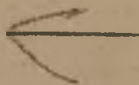
Obie siostry żyły jeszcze dość długo i już się nie opuściły. Wybrały się one nawet do Paryża, dla odszukania grobu kapitana czwartego pułku ułanów, Feliksa Szyły.

I odnalazły go.

Ktoby nie chciał wierzyć mojej opowieści, niech odszuka na ulicy miejsce „starego dworu“, niech spyta kogokolwiek ze starszych mieszkańców, czy nie pamięta właścicielki téj dziś zabudowanej realności.

Odpowie mu tenże, iż pamięta doskonale dwie stare panie, nadzwyczaj typowe uosabiające czasy Księstwa, jak co dzień o 8-méj rano wychodziły ze „starego dworu“ i dażyły na mszę do św. Krzyża. Opowie mu daléj, iż jedna z tych pań nosiła wieczną żałobę po narzeczonym, który zginął pod Lipskiem, a którego śmierci długo nikt stwierdzić nie mógł. Opowie mu, że te dwie panie znane były przez ubogich całej dużej ulicy i opowie mu, że na obliczu jednéj z nich czytało się całą tajemnicę tragicznój historii.

Jedną z nich była moja babka, a drugą pani Olimpia, której portret jest u mnie.



KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Zbiór instrukcyi, dawanych ambasadorom francuzkim w Polsce od traktatu westfalskiego do końca XVIII wieku.“ Wstęp historyczny Ludwika Forges.—Publikacye z powodu stulecia rewolucyi francuzkiéj.—„Upadek narodu,“ rozprawa p. Poincard. Konferencye Juliusza Simon o negrach afrykańskich. Dwie uroczystości akademickie. Przyjęcie admirała Jurion de la Gravière i p. Clarotie. Mowa Renana. Stan dzisiejszy powieściopisarstwa i dramatu we Francyi, przez profesora Darmestottera. Wspomnienie pani Chateaubriand. „Walka o byt“ Daudota. Pomnik J. J. Rousseau na placu panteońskim. Zmarły malarz Aleksander Cabanel.

Pod kontrolą komissyi archiwów dyplomatycznych, wydawca Alean ogłasza wielkie dzieło pod tytułem: *Zbiór instrukcyi, dawanych ambasadorom i ministrom francuzkim, od traktatu westfalskiego, do rewolucyi francuzkiéj*. Wyszło dotąd z druku pięć wielkich tomów, poświęconych stosunkom dyplomatycznym z Austryą, Szwecyą, Portugalią i Polską. Na samą Polskę przypało dwa tomy, gdy inne państwa obejmują po jednym. Każdy dział poprzedzony obszerną rozprawą historyczną o stosunkach Francyi z daném państwem. Do działu polskiego Ludwik Forges napisał obszerny wstęp, obejmujący ośmdziesiąt dwie strony. Zaczyna autor od geografii, daje poznać miejscowość: „Ziemia i klimat, mówi, utworzyły plemię. Sprzeczność pomiędzy zimą ostrą i wietrzną a latem skwarném i burzliwém, odbiła się w charakterze mieszkańców, przy ubóstwie chęć zbytków i marnotrawstwo.“ W ten sposób tłumaczy autor wszystkie objawy w życiu naszego społeczeństwa, nie widzi innych wpływów. Taka to dzisiejsza metoda znanéj szkoły. Zapoznanie wpływów religijnych i moralnych panuje w całym systemie autora i maći jego pogląd. Mówiąc na przykład o poselstwach naszych do Francyi, widzi tylko przepych i zbytki, a pomija świadectwa ówczesnych francuzów, którzy po-

dziwiali w przedstawicielach społeczeństwa naszego wysokie światło i różnostronną naukę. P. Forges określa trzy panujące stany: „król, senat i rycerstwo, to skład rzplt.“ Owo rycerstwo, jak mówi, nie mogło rekrutować się ani odradzać w warstwach niższych. A przecież autor cytuje niekiedy Lelewela, nie doczytał, jak widać, w dziełach naszego historyka-demokraty, że szlachta polska nie była kastą tak wyłączną jak angielska i francuska, ale odradzała się bezustannie napływem roboczego ludu. Kiedy w ósmnastym wieku Francya na dwadzieścia kilka milionów ludności, liczyła zaledwie 150,000 szlachty, rzeczpospolita polska widziała już w szesnastym wieku pod Lwowem 100,000 stanu rycerskiego. Lelewel, pisząc około 1840 roku, liczy do trzech milionów rozrodzonych potomków tego rycerstwa.

Po bardzo niedbałym zarysie kraju i instytucyi, przystępuje autor do określenia stosunków Francyi z Polską. Zaczyna od czasów najdawniejszych, przytacza podanie o wodzu Franków Samonie, który wspierał Wendów w zapasach z Awarami i ogłoszony był królem. Wspomina też legendę o Kazimierzu I-ym, jakoby przebywającym w Kluniaku, podczas zawichrzeń w Polsce, po zgonie Mieczysława II-go. Dziwimy się tylko, że obok tych bajek przemilczał o prawdziwym fakcie, o Benedyktynach, sprowadzonych z Kluniaku przez Bolesława Chrobrego a osadzonych w Tyńcu i o pierwszych biskupach, powołanych z Francyi, aby uniknąć walk z duchowieństwem niemieckim. W ciągu średnich wieków przypomina autor zapasy krzyżowe z pogaństwem pruskiem i litewskiem, w których rycerstwo francuskie brało udział. Mówi też o uniwersytecie krakowskim, założonym na wzór paryskiego; wszechnica bowiem paryzka była wzorem dla Jagellońskiej i pierwszych dostarczyła jój mistrzów.

W szesnastym wieku dopiero rozpoczęły się stałe związki polityczne pomiędzy Francją a Polską. Dwa prądy wstrząsały naówczas — jak dowodzi autor, polityką ludów europejskich. Z jednej strony panowała jeszcze stara idea średniowieczna, idea krucyat, to jest republiki chrześcijańskiej, zjednoczonej ściśle pod kierunkiem papieżstwa, gotowej przepomnieć wzajemnych zatargów w celu wyparcia Turków z obrębu Europy, z drugiej strony powstała idea nowożytna, idea równowagi europejskiej, uważająca Turka jako potęgę nową, którą należało posługiwać się na własną korzyść. Ludwik XII, trzymał się jeszcze dawnego systemu, kiedy w roku 1500 zawarł przymierze zaczepne i odporne przeciw Porcie, z królem polskim, Janem Olbrachtem i królem węgierskim, Władysławem. Franciszek I-szy przyjął nowy systemat, gdy w roku 1519 wysłał Antoniego Lameth i Jana de Langeac w poselstwie do Zygmunta I-go. Missya tych dyplomatów miała cel

podwójny: król francuzki występował jako kandydat do cesarstwa; szło tu o zjednanie króla Zygmunta, który rozporządzał głosem na elekcji, jako opiekun małoletniego bratanka, króla Czech, Ludwika II-go. Oprócz tego ze strony Francji proponowano dwa małżeństwa: naprzód księcia Orleanu, później Henryka II-go, z córką Zygmunta, Jadwigą, powtóre małoletniego Zygmunta Augusta z córką Franciszka I-go. Chętnym okiem poglądał król Zygmunt na te związki, jakoż wyprawił Hieronima Łaskiego, w poselstwie do Francji. W krótkce jednak klęska pod Pawią zatrzymała rozpoczęte układy. Jakkolwiek bądź dwa kraje poznały się nawzajem. Brat Hieronima, Stanisław Łaski, walczył obok króla w Pawii i został z nim razem ujęty.

Epoka to nadzwyczaj ważna w historii stosunków Europy z Azyą. Najniesłuszniej p. Forges utrzymuje z innymi historykami francuzkimi, jakoby już w szesnastym wieku powstać miał w Europie ów kierunek anti-chrześcijański, bo takim byłby niezawodnie związek polityczny i wojskowy chrześcian z groźnym podówczas muzułmanizmem. Tu równowagi być nie mogło. Była to polityka wyłącznie francuzka, kierowana samolubną myślą zapewnienia przewagi w Europie na rzecz Francji, chociażby nawet ze szkodą chrześcijaństwa. Takie zerwanie z tyłowiekową tradycją, która we Francji nie była tylko dogmatem, ale wrosła do szpiku kości i stała się podstawą wszystkich instytucji, musiała wydać najsmutniejsze następstwa. Dwa ostatnie wieki w dziejach Francji i Europy, pokazują to najlepiej.

W drugiej połowie szesnastego wieku, zatargi religijne we Francji i w Polsce, jak niemniej zabiegi ostatniego z Jagiellonów o utwierdzenie unii, przerwały chwilowo stosunki pomiędzy dwoma państwami. Powrócono do nich w schyłku życia Zygmunta Augusta. Król ten schodził ze świata bezpotomnie; tron Jagiellonów miał zająć monarcha, obrany wolą narodu. Francya pragnęła, aby ten wybór padł na księcia z domu Walezyuszów, na wypadek wojny pożytecznie byłoby dla niej zapanować w kraju, który mógł podać rękę Turcyi przez Węgry i Siedmiogród. Wojna ta zdawała się niezbędną. W roku 1570 katolicy i hugonoci francuzcy poczęli już łączyć się z sobą przeciw cesarstwu. Coligny skłonił już Karola IX-go do popierania prowincyi zjednoczonych i zbrojnego zajęcia Niderlandów. Ale ze zgrozą patrzyli na to żarliwsi katolicy francuzcy, na których czele stał brat królewski, Henryk. Potrzeba było usunąć go czém prędzej. Gdyby ten książę został królem polskim, gorące stronnictwo katolickie straciłoby przewodnika, a koalicja przeciw domowi rakuzkiemu, zyskałaby przeważną pomoc. Projekt ten powstał w roku 1571, gdy gasnące siły Zygmunta Augusta wróżyły rychły koniec. Wysłano do Polski Jana de Balagny w celu zjednania

stronników Henrykowi. Skoro wieść o śmierci króla doszła do Francji, wyprawiono natychmiast Jana de Montluc z zaleceniem księcia na kandydata do korony. Poseł wielkie napotkał trudności. Udział Henryka w świeżych a krwawych wypadkach nocy ś-o Bartłomieja, zrażał ku niemu szlachtę polską. Ale zręczny i wymowny Montluc ułagodził umysły i doprowadził do skutku elekcyą. Natychmiast po obiorze, poselstwo polskie pospieszyło z wieścią do Paryża. Henryk zaprzysiągł *Pacta Conventa* i niebawem zajął tron Jagiellonów.

Nie będziemy powtarzać za autorem znanych powszechnie wypadków. Po ucieczce Henryka i obiorze Batorego, przerwały się bezpośrednie stosunki Francji z Polską. Dziwna rzecz, iż autor, pokazując łańcuch zdarzeń historycznych, pominął całkiem projekt Henryka IV i ministra Sullego połączenia wszystkich państw europejskich w federacyjnny związek, zabezpieczający im stały pokój: wielki ten pomysł, zapowiadał powrót do tradycyjnej polityki chrześcijańskiej, przerwany za Franciszka I-o, w epoce, tak zwanego odrodzenia. Snać p. Forges, gorliwy zwolennik oportunistu, lekceważył tradycyą, nie sięga wzrokiem w przyszłość, pochwała tylko samolubną politykę, zastosowaną do potrzeb danej chwili.

Za Batorego przy huku działań bojowych, nie było czasu na polityczne układy; Francja powraca do nich pod panowaniem Wazów. Jeśli za Zygmunta III nie podobna jój skłócić króla z domem rakuskim, usiłuje przynajmniej pogodzić Polskę ze Szwecyą podczas krwawej wojny trzydziestoletniej.

Ze wstąpieniem na tron Władysława IV-o Richelieu postanawia bądź co bądź, pomieścić księżniczkę francuzką na tronie Jagiellonów. Ajenci kardynała Avaux i Avangour jedną panów polskich na rzecz Maryi Ludwiki, księżniczki mantuańskiej. Darremne zabiegi, król poślubia Cecylią Renatę, córkę cesarza Ferdynanda. Zawiedziony w nadziejach kardynał, okazuje widoczną niechęć, dowodem tego uwięzienie Jana Kazimierza w przejeździe przez Francyą.

Smieć królowej Cecylii, zmienia po latach siedmiu postać rzeczy. Następca Richelieu'go Mazarini podejmuje myśl poprzednika. Marya Gonzaga zasiada na tronie obok Władysława, wpływ Francji na Polskę zda się być utwierdzony. Ale Marya Ludwika, poślubiwszy króla, poślubiła też sprawę przybranego narodu. Mazarini nie znalazł w tej dzielnej kobiecie ślepego narzędzia swój polityki. Zrozumiała królowa całe niebezpieczeństwo polityki francuzkiej, oparte na przymierzu ze światem muzułmańskim, tak wówczas groźnym Europie a przedewszystkiém Polsce. Wiadomo nawet, że kiedy król sposobił się do wojny przeciw Turkom, ońarowała na ten cel wielkie sumy z własnego posagu. Nigdy też wbrew nadziejom gabinetu francuzkiego, Marya Ludwika, czy to jako małżonka Władysława, czy też zaślubiona później

z Janem Kazimierzem, nie oddalała się od przymierza z domem rakuskim. Wówczas nawet kiedy u schyłku dni, po niezliczonych klęskach, widzimy ją jak usiłuje zapewnić następstwo polskiego tronu Konduszowi lub synowi jego, księciu d'Enghien, działa w tém zgodnie z wiedeńską polityką (!?). Na małżeństwie tego młodego księcia z siostrą cesarza, ¹⁾ zakłada nawet nadzieję przyszłej ligi polsko-francuzko-cesarskiej przeciw Turkom.

Śmierć królowej a następnie abdykacya Jana Kazimierza, otwiera nowe pole intrygom francuzkim. Ajenci Ludwika XIV popierają gwałtownie kandydaturę Kondusza. Idzie tu bądź co bądź o zagrozenie drugi do tronu księciu Lotaryngii, związanemu ściśle z domem rakuskim. Szlachta polska, jak wiadomo, zniweczyła pod Gołębim (?) te zabiegi, wykrzykując jeduomyślnie królem Michała Wiśniowieckiego. Małżeństwo króla z arcyksiężniczką Eleonorą tembardziej upokarza Francją, lecz nie przerywa sieci intryg. Silne w Polsce stronnictwo francuzkie postanawia zrzucić z tronu słabego Michała, kiedy śmierć jego otwiera drogę do nowych matactw i nowego wyboru.

Biskup marsylski, Forbin Janson, przybywa do Warszawy. Głównym celem posła: nie dopuścić do tronu księcia Lotaryngii. Widząc, że nie złamie woli narodu, przeciwniej Konduszowi, biskup popiera całą siłą nowego kandydata, stronnika Francyi, wielkiego hetmana Sobieskiego.

Dwór wersalski omylony w nadziejach, nie oddał za wygraną. Skoro Kondusz nie został królem polskim, wypadało korzystać ze znaniej przychylności elekta, i ze związków jego z francuzką. Ludwik XIV uplątany w ościenną wojnę, potrzebował na północy silnego sprzymierzeńca; przekonany był, że go znajdzie w Sobieskim. Jakoż Forbin z polecenia dworu swego natychmiast po elekcyi wieszował nowemu królowi. W myśl otrzymanej instrukcyi, wskazywał interes łączący Polskę z Francją, ostrzegał przeciw niebezpieczeństwu ze strony domu rakuskiego, które można było zażegnać, jednocząc siły na szkodę wspólnych wrogów.

Zrazu Francya pewną była tryumfu; wkrótce jednak stosunki obu dworów widocznie się oziębiły. Autor przypisuje to intrygom Maryi Kazimiery, obrażonej na króla francuzkiego za odmówienie ojcu jej, Markizowi d'Arquin, tytułu księcia i para Francyi. Upatruje błahę powody, a nie widzi lub widzieć nie chce, polityki wielkiego Jana, któremu dano było ocalić zagrożone chrześcijaństwo i zwycięzko dokonać ostatniej krucjaty.

Z dziwną obojętnością autor przedstawia sprawę tak ważną w dziejach cywilizacyi. Powtarzamy tu jego słowa: „W dniu 10 grudnia 1681 roku, posłowie francuzcy proponowali Sobieskiemu

¹⁾ O takim projekcie M. Ludwika historya pierwszy raz słyszy od p. Forges.

szczerą przyjaźń, jedność i najściślejsze przymierze pomiędzy Ludwikiem XIV z jednej a królem polskim z drugiej strony; ale Polska mieniła się zagrożoną przez Turków, (nie byłaż nią rzeczywiście?) a Ludwik XIV odpowiedział krótko przedtem, gdy go wzywano do ligi przeciwko sułtanowi, że ta liga ułatwi tylko domowi rakuzkiemu środki do odnowienia wojny z Francją. Sobieski przechylił się na stronę Wiednia, 30 marca podpisał traktat z cesarzem.

„Taka niechęć, ze strony Polski, ciągnie autor, tak wroga jój postawa w obec Francyi, dały poznać Ludwikowi XIV, jak wiele zależy mu na zawarciu z nią najściślejszego przymierza. Po śmierci króla Jana, zrozumiał Ludwik XIV, że dopóty nie będzie panem dworu warszawskiego, dopóki książę francuzki nie zasiądzie na tronie Piastów.“

Ale potężny mocarz, nazwany we Francyi „królem słońcem“, mocarz, który w pysze swojej śmiał wyrzec: *l'Etat c'est moi*, nie zdołał złamać oporu szlachty polskiej. Conti nie otrzymał korony po Sobieskim, jak Kondesz nie otrzymał jój po Janie Kazimierzu.

Pod półwiekowém panowaniem dwóch Sasów, przerwaniem na krótko elekcją Stanisława Leszczyńskiego, widzimy nieprzerwaną sieć intryg, skierowanych wyłącznie do wciągnięcia Polski w przymierze z Turcją na zgubę cesarstwa. Trudno zrozumieć, dla czego autor, mówiąc obszernie o stosunkach z Agustem II-im, nie wspomina prawie wcale o bardzo ścisłych związkach, łączących elektora saskiego z Piotrem Wielkim. Związek ten przecież objawił się tak głośno w Rawie ruskiej, w r. 1698. Gdyby p. Forges zwrócił uwagę na fakt téj wielkiej doniosłości, który panuje w całym okresie saskim, nie miałby potrzeby oskarżać tak często króla Augusta o chwiejność w zdaniu; a nawet o zdradę względem Francyi.

Nigdy matactwa francuzkie nie objawiły się z takim cynizmem jak podczas bezkrólewia po śmierci Augusta III-go. Dowiadujemy się, że trzech agentów, na mocy otrzymanych instrukcyi, działało potajemnie w Warszawie. Każdy z nich odmienną prowadził politykę. Kiedy Paulmy popierał dynastją saską, Maunel skłaniał umysły na rzecz Poniatowskiego, Henin tymczasem obowiązany był podzegać jedną partyą przeciw drugiej, aby Ludwik XV mógł wybierać między kandydatami, stosownie do interesu Francyi, a mówiąc po prostu mógł łowić ryby w mętnej wodzie. ¹⁾

¹⁾ Aby nas nie pomawiano o przesadę lub pomyłkę, przytaczamy słowa z instrukcyi tajemnej, danéj p. Henin pod datą 18 września 1763 roku (tom II-gi str. 240).

„Vous suivrez aussi par rapport à l'élection, les idées que l'on a pour M-r le

Skutkiem téj chaniebnéj polityki po elekeyi Stanisława, Paulmy, publicznie znieważony na sejmie, opuścił Warszawę. Stosunki urzędowe z Francją stanowczo zerwane zostały, powrócono do nich po rewolucyi francuzkiéj.

W konkluzyi autor z najwyższém uznaniem zaznacza politykę konwencyi narodowéj. Komitet du Salut public, w instrukcyi danéj w r. 1794 ajentowi swemu w Polsce, obywatelowi Parendier, (str. XXIX) zaleca mu, aby wziął wyłącznie na uwagę, o ile insurrekcyja polska może się stać pożyteczną dla rewolucyi francuzkiéj,—politykę tę zowie p. Forges godną Richelieu'go i Mazarini'ego! „Że taka polityka, dodaje, naturalną była dla Francyi, że zabezpieczała jéj interesa, widoczna z tąd, iż w pasmie dwóch z górą wieków, Francya realizowała ją w rozmaitych formach z niezłomną wytrwałością“.

Jeśli oportunizm tak silnie przeważa dziś w polityce, w literaturze i w prasie francuzkiéj, my z obowiązku sprawozdawcy winniśmy dodać, że obok tego kierunku istnieje drugi wprost przeciwny. Henri Martin poświęcił osobne dzieło, aby dowieść jak szkodliwém było dla Francyi i dla Europy, zerwanie od czasów Franciszka I-go z ideą republiki chrześcijańskiéj, jaką realizowały państwa europejskie do w. XVI-go. Przytaczamy tu jego własne wyrazy:

„Europa, która w ciągu trzech ostatnich wieków tak wielkie uczyniła postępy w ekonomii społecznej, cofnęła się pod względem samopoznania, rozproszyła się w miarę ekonomicznego rozwoju. Dzisiejsze pojęcia chaotyczne sprawiły, że w dziewiętnastym wieku Europa pod tym względem niżej stoi, niż stała w średnich wiekach, to jest w epoce rzeczypospolitéj chrześcijańskiéj“.

W tych dniach właśnie wyszedł nowy tom „Instrukcyi dyplomatycznych, dotyczących stosunków Francyi z Rzymem“, dział ten obejmuje dwa tomy. Wstęp historyczny napisał deputowany Hanoteau. Cała rozprawa naciągnięta oportunistycznie do chwili obecnej, pokazuje ciągłą walkę gabinetu wersalskiego ze stolicą apostolską. Za Ludwika XIV rzeczy tak ostre przybrały charakter, że król zagroził kościołowi schizmą, nie ma w tém nic dziwnego, politycy, którzy tak silnie trzymali z mużulmanizmem w XVI i XVII wieku, musieli być w walce z papieżem, a ich manifestacye dla kościoła katolickiego były prostą obłudą.

grand Maréchal en premier lieu, et ensuite pour M. Oginski, de la manière dont on vous l'a dit, en tachant de susciter avec adresse parti contre parti, pour en empêcher un de prendre la prépondérance, et afin que sa Majesté, lors de l'évènement puisse se déclarer pour celui qui conviendra le plus à ses intérêts.

Smutno powiedzieć, że kosztowne wydawnictwo aktów dyplomatycznych gabinetu francuzkiego ze wszystkimi państwami, oszpecono przez tak niemoralną tendencyą. Rzecz godna uwagi, iż sami dyrektorowie, śmiało wypowiadają swoje cele, a tém samém ostrzegają tych, którzyby chcieli korzystać z ich publikacyi. Zapytać nawet można, czy dla potrzeb polityki dzisiejszej nie opuścili wielu dokumentów, pokazujących rzeczy z innéj strony. Co było przed stu laty? jakim tentnem biło serce Francyi w téj epoce, gdzie tliły te iskry, z których pożar wybuchnąć miał niebawem i pochłonać długą przeszłość dziejową, a na jéj gruzach zbudować nowy gmach społeczny? To pytanie zadają dziś wszyscy we Francyi, jedni z uczuciem pychy narodowej, podnosząc do przesady stuletnie nabytki, zebrane tak mozolnie, drudzy z żalem i trwogą, że z owych posiewów, hojnie podsycanych krwią, tak ubogie wyrosły dotąd plony.

Na pytanie co było przed stu laty, odpowiadają artyści i pisarze, Budowniczo wie odtworzyli Bastylią i całą połać przedmieścia S-go Antoniego, malarze Roll i Gervex przysposabiają olbrzymią panoramę, w której odtworzą pędzlem wszystkie postacie z końca zeszłego wieku. począwszy od Ludwika XVI i Maryi Antoniny, Lafayette'a i Mirabeau, Robespiera i Marata, do Napoleona i licznych koryfeuszów wielkiej armii. Historycy, jak Sorel, uczczony świeżo pierwszą akademicką nagrodą, wyjaśniają czém była wielka rewolucya francuzka i jak silnie oddziałała na polityczny ustrój wszystkich państw europejskich. Obok pomnikowej pracy Sorela pojawia się codziennie mnóstwo książek, broszur i dziennikarskich świstków, pokazujących stan rzeczy przed stu laty, w chwili pamiętnego przewrotu. Między innymi dziennik *Matin* otworzył w swych kolumnach osobny dział, w którym dzień po dzień daje treściwą kronikę wypadków zaszłych we Francyi w roku 1789.

Dziełobraci Goncourt, wydane poraz pierwszy w r. 1854 p.t. *Historya społeczeństwa francuzkiego pod czas rewolucyi*, ukazało się w nowych rozszerzonych ramach. Ten obraz nakreślony z erudycją, tryskający życiem, ale pełen scen skandalicznych, obudził trzydzieści lat temu, silną protestacyą publiczności, dziś niestety, ogół oswojony z tego rodzaju zarzysami, powitał je głośnym poklaskiem.

Dziwnyż to obraz tego społeczeństwa w przeddzień rewolucyi, społeczeństwa, wytraconego ze zwykłej kolei, nagle pchniętego w odmęt. Idylla ma się wkrótce zakończyć straszliwym dramatem. Sam początek r. 1789, prawdziwie idylliczny. Wszyscy marzą o złotym wieku, pragną usilnie reform, w przekonaniu, że te reformy odbiją się spokojnie, bez gwałtownych przewrotów. Zapal ogarnia umysły, w salonach rozprawiają o wolności sło-

wa na sposób angielski, o konstytucyi, o zwołaniu stanów jeneralnych, panie stroją się po rewolucyjnemu, rostrzasają systemata rządowe, panowie uczęszają do klubów. Trzy stany działają w jednej na pozór myśli, wszyscy gotowi poświęcić przywileje na pożytek państwa. Ale jedność nie potrwa długo! Ułuda znika, niezgoda powstaje w zgromadzeniu. Lud burzy się gwałtownie, zdobywa Bastylią i puszcza z dymem wspaniałe zamki. Rozpoczyna się emigracya; księżęta i wielcy panowie, gnani trwogą, uciekają poza granice kraju, wypadki tymczasem postępują gwałtownie. Ucieczka królewskiej rodziny zatrzymana w Varenne, doprowadza umysły do wściekłości, obala tron zachwiany już w posadach. Na gruzach tronu zapanował terrorizm. Stare społeczeństwo znika, zanurzone w potoku krwi, ale znika odważnie, z głową do góry podniesioną przekracza progi więzień, z uśmiechem i żartem na ustach wstępuje na rusztowanie lub też ukrywa się i milczy, nie dopatrzeć go z poza tłumów, tańczących na ulicy karnianole. Dyrektoryat dopiero po upadku jakobinów występuje nieśmiało i podejmuje wodze, które zwyczajki oręż w krótkce mu z rąk wytrąca.

Bracia Goncourt zebrali mnóstwo dokumentów, utworzyli z nich jaskrawy obraz. Publikacya ta, ozdobiona piękną ilustracyą, tém żywsze dziś budzi zajęcie, że odpowiada chwili obecnej, kiedy uwaga powszechna zwrócona tak silnie ku wypadkom zaszłym przed stoma laty.

Nie mniejsze powodzenie znalazła książka Wiktora du Bled p. t. *Les causeurs de la revolution*. Autor maluje tu wytworne społeczeństwo, rozprawiające po salonach, sadzące się na dowcip, podczas gdy czarna chmura wzbierała nad Paryżem i straszliwą groziła powodzią. „Były to, jak mówił Talleyrand, nieporównane czasy; kto nie żył na lat kilka przed rewolucyą, niewie jak słodko żyć na świecie“.

Tryb życia odmienny był całkiem od dzisiejszego. Obiad jadano zwykle o drugiej, wieczerzę o ósmej lub dziewiątej po powrocie z teatru. Wieczerza zakończyła dzień w najmilszy sposób. Grono nieliczne, lecz dobrane, zasiadało wygodnie w koło okrągłego stołu, rozmowa toczyła się ogólna. Młodzi przemawiali do starszych z wielkiem poszanowaniem, do kobiet z niesłychaną delikatnością. Większe okazywano względy ludziom znakomitej zasługi, niż tym co zajmowali najwyższe stanowiska w świecie. Mało mówiono o sprawach politycznych, więcej o literaturze; mieszano niekiedy grzeczne i zalotne słówka, lecz z wielką dyskretyą.

Pierwsza pani de Stael wprowadziła sztuczną wymowę do salonowych pogadanek. Ludzie uczeni wyrażali się stylem prostym, jakby z umysłu zaniedbanym. Szukano przedewszystkiém dowcipu. Nie jeden też wytworny młodzieniec, przez cały ranek smażył sobie głowę, aby zebrać zapas dowcipnych słówek i wy-

stąpić z niemi przy wieczerzy, nakręcając rozmowę do swego celu. Kto nie miał dostatecznej powagi, kładł obmyślane słówko na karb ludzi głośnych, jak Talleyrand lub poeta Boufflers, później dopominał się o swą własność.

Wieczery te ustępowały pomału, zostawiono je tylko kobietom i młodzieży. W miarę jak się widnokrąg zachmurzał, ludzie poważni zaczęli bliżej wglądać w publiczne sprawy. Młodzież tymczasem uśmiechała się do rewolucyi, przewidywała złoty wiek pod wpływem nowych idei filozoficznych.

Polityka wszystko poplątała. Kobiety pod jój wpływem straciły właściwy sobie urok. Rzuciły się do niej gorąco, jakby do nowój mody. Niedawno jeszcze, mówi autor, rozmilowane w papugach, później w Mongolfierach, upodobały sobie konstytucyą angielską; rozprawy o zgromadzeniu narodowém zapalały je aż do szału. Gracye niekły od tych rozpraw.

Hrabia de Segur, zacięty wróg rewolucyi, nie mógł przebaczyć jój, że tak smutno wpłynęła na zmianę obyczajów, przeklinał twórców konstytucyi: „Popsuli mi mój Paryż, powtarzał z gorzycą, rozkoszną stolicę przeistoczyli w arenę burzliwych kłótni i nieznośnych nudów!“

Anarchia panująca dziś we Francyi przeraża umysły tutejsze i przedstawia im przyszłość w najciemniejszych barwach. Ztąd wielu publicystów usiłuje zwrócić uwagę powszechną na podobny stan, zagnieżdżony w Polsce w osmnastym wieku i następstwa, jakie z niego wynikły. Na tym wątku osnuło już nie jedną konferencyą i nie jeden artykuł dziennikarski. Wspomniemy tu obszerną rozprawę, drukowaną obecnie w zbiorowój publikacyi „Science Sociale,“ nie zupełnie jeszcze dokończoną.

Jeśli pan Forges, jak widzieliśmy we wstępie do instrukcyi dyplomatycznych, określając charakterystykę umysłów polskich, przypisuje burzliwy ich stan, wpływom zawieruch śnieżnych podczas zimy i skwarom kanikularnym podczas lata, to pan Poincard w rozprawie pod tytułem: „La chute d'une nation,“ opiera się na prawach etnografii. Sięgając wgląd przedhistorycznych czasów, zbadał on i podaje za pewnik, jakoby na szeroką dolinę pomiędzy Wisłą, Sanem i Dniestrem, w epoce wielkich wędrówek przybyło pasterskie plemię Celtów, jakoby to plemię, osiadłszy na żyznej roli, z pasterzy przemieniło się, w rolników. Tak upłynęły wieki, celtowie przyrosli do gleby którą po dziś dzień uprawiają; włościanie nasi mają być rozrodzonym ich potomstwem.

Na ten pokład osiadłej ludności, przybył drugi w czwartym wieku ery chrześcijański. Ze stepów azyatyckich spadły chma-

ry konnych pasterzy, z gromadami bydła i owiec. Były to ludy słowiańskie. Silniejsze od celtyckich tubylców, podbiły ich, nie wydarły im ziemi, ale karmiły się ich pracą. Taki stan rzeczy utrzymał się przez długi szereg wieków; ta jedynie zaszcza w nim zmiana, że pasterze, utraciwszy trzody, dla braku paszy odpowiedniej, zamienili się w zbrojne drużyny, żyjące z łupiestw i rozbojów. Napróżno od czasu do czasu jakiś potężny wódz usiłował sprzedaż do sfory te rozhukane rzesze. Krakus zorganizował je, lecz tylko na czas krótki. Upadły zarówno zabiegi dwunastu wojewodów. Całe dzieje Polski, zdaniem pana Poincard, są dalszym rozwojem anarchii, zrodzonej w pierwszej dobie dziejowego jój bytu!

Trudno wytłómaczyć, dla czego autor zagraża Francyi podobnym rozprężeniem, do którego, jak mówi, bardzo się dziś przybliża. Jeśli, zdaniem jego, społeczeństwo polskie było prostą igraszką fatalizmu, jestże odpowiedzialnym za swój wiekowy bezrząd, a smutny jego przykład może być ostrzeżeniem dla Francyi?

Kilka tygodni temu w wielkim amfiteatrze Sorbony, Juliusz Simon poruszył do gruntu publiczność paryską. Słynny mówca podjął wielką myśl kardynała Lavigerie, arcybiskupa Algeru i Kartaginy, wzywał do nowój krucyaty, przeciw niewolnictwu w Afryce.

„Należę do tych, rzekł Simon, którzy w sześćdziesiąt lat po wielkiej rewolucyi, głosowali za zniesieniem niewoli w koloniach francuskich; Ameryka pozbyła się niewoli po krwawych zapasach północnych stanów z południowemi. Brazylia dopełniła tego w ostatnich czasach, z radością obchodziliśmy tę godę, kiedy głos kardynała Lavigerie odkrył przerażającą prawdę. Głos ten objawił nam, że ludzkość hańbi się jeszcze, że aby zwalczyć złe spiesznie potrzeba działać.

Planeta nasza, ciągnie mówca, zdeptana wzdłuż i w poprzecz, z wyjątkiem tajemniczój Afryki. Oddawna poznano Egipt i północne wybrzeża, kolonie angielskie i francuskie, ale środkowa część rozległego kontynentu grubym dotąd osłonięta była pomrokiem. Obowiązany dziś mówić w tym przedmiocie, poradziłem się dzieła Elizeusza Reclus, w którém ziemia tak dokładnie opisana. Tłómaczy on, że w Afryce połowa ludności ujarzmiona przez drugą połowę. Niewolnicy dziedziczni pogodzili się z losem: to fataliści przyzwyczajeni do barbarzyństwa nieludzkich panów swoich. Ci właściciele nie syci zysku, radziby posiadać coraz więcej. Nędza ogólna pomaga im do tego. Kiedy rodziny, przyciśnięte głodem znalazły przytułek, stają się własnością karmicieli, a co najmniej oddają im dzieci w zapłatę.

Po takiem określeniu rzeczy, dodaje Reclus, dziś sprawa niewoli skończona! I na dowód wykazuje cyframi, o ile zmniejsza się co rok liczba statków, przewożących murzynów do Ameryki, dzięki międzynarodowym strażom, czuwającym na brzegach oceanu.

I my, zawołał Simon, mówiliśmy niedawno: Sprawa niewoli skończona!“ a przecież jak daleko do tego. Jeśli ohydny handel ustaje, to jedynie na morzu, inaczéj dzieje się we wnętrzu Afryki. Tu prelegent maluje przerażający obraz: ukazuje spokojną wieś, otoczoną lasem albo wysoką trawą, wybujałą pod żarem afrykańskiego słońca, wszystko śpi, we wsi głęboka cisza, a oto nocą podkrada się zgraja muzułmańskich rabusiów, czyha ukryta w zaroślach. Nad rankiem, gdy robotnicy wyszli w pole, wybiega nagle z kryjowisk, rzuca się na wieś, pali chaty, morduje pozostałych w domu negrów, troczy w pęta kobiety i dzieci, pędzi ich ku wybrzeżom, gdzie czekają handlarze chewi łupu. I z onej wsi, co przed chwilą mieściła tysiąc pięćset mieszkańców, pozostają tylko stosy trupów i zasy popiołu. Trupy wnet znikną pod zębami hyjen i szakali, popiół uleci z wiatrem na dalekie przestrzenie. Tym to sposobem ogromny obszar, dwa razy większy od Belgii, który obejmował kilkaset wsi i osad—i liczył kilka milionów ludności, zamienił się w głuchą pustynię.

Te niesłychane gwałty, dodał Simon, małą stosunkowo przynoszą korzysć ohydnym tłuszczołom muzułmańskim: wykazał to cyframi. Ze wsi, liczącej tysiąc pięćset dusz, uprowadzają nie wielką garstkę niewolników, a i z tych trzy czwarte umiera w ciągu drogi. Nic okropniejszego jak obraz téj karawany, ciągnącej wolnym krokiem. Muzułmanie jadą skuleni na wielbłądach, niewolnicy obciążeni ciężarem, idą pieszo okuci w łańcuchy. Często kiedy murzyn, wyczerpany z sił, upada na ziemię, arab schodzi z wielbłąda, zabija niewolnika wystrzałem z pistoletu. Niekiedy upadnie kobieta z małym dzieckiem; aby iść dalej mogła, okrutnik zabija dziecko w objęciu biednej matki.

Jesli my, ucivilizowani, woła ze zgrozą Simon, nie znaliśmy dotąd tych zbrodni, świeżo przed nami odsłoniętych, znały je od dawna hyeny. Sledzą one pochod tych tragicznych karawan, idą trop w trop za niemi, pewne, że znajdą łup obfity. Po nad jeziorom Taganika, ciągnie się szerokie cmentarzysko, gdzie piraci arabscy rzucają ciała ofiar swoich. Te trupy tak zawałyły ziemię, że żarłoczne hyeny nie mogą im podołać. Ztąd odrażająca woni zatruwa całą przestrzeń.

Wszystko, com tu opowiedział, rzekł w końcu Simon, wiem to nie od poetów, nie od romansopisarzy. Pobożni ojcowie opowiadali mi po prostu gwałty spełniane pod ich okiem. Do tegożesmy przyszli, my ludzie cywilizacyi i filozofowie, którzy od lat tylu wierzymy w pracę podjętą dla postępu ludzkości. Ażaliż

Bóg nie wlał w pierś naszą tego gniewu, co pobudza do wielkich czynów? Będziemyż zawsze obojętni? Nie chcę, nie mogę przypuścić, aby Afryka, ta wielka nieznajoma, nie znalazła między nami nikogo do obrony!

Z głęboką czcią wspominał nakoniec Simon wielkie zasługi i ofiary kardynała Lavigerie. W sześćdziesiątym czwartym roku życia, rzekł, ten świątobliwy kapłan rozpoczął krucyatę przeciwko niewoli; wiemy wszyscy, jak żarliwie głosił ją między nami, wiemy, że w tym celu przebiegł Anglią, Belgią i Włochy.

Miejmy nadzieję: wielkie dzieło jego nie ograniczy się na samém obaleniu niewoli, nauczy może ludzi, jak mają nawzajem poznawać się, rozumieć, przepominać uraz, łączyć się w imię ludzkości i sprawiedliwości.

Towarzystwo zorganizowane w myśl kardynała Lavigerie, nowego Piotra Pustelnika, wydaje peryodyczny przegląd; zdamy z niego sprawę w przyszłej kronice naszej.

Od nowego roku, podwokroć już Akademia francuska witała nowych członków. W styczniu p. Mazade uroczystie przyjmował admirała Jurien de la Gravière, wybranego w miejsce hr. de Viel-Castel. Marynarz, przywykły żeglować po szerokich przestrzeniach, szczupłe znalazł pole do rozwinięcia sztuki oratorskiej. Poprzednik jego przeżył długie dni w mozolnej pracy, napisał szczegółową historią restauracyi od powrotu na tron Burbonów, do rewolucyi lipcowej; wydał ją w dwudziestu tomach, praca to benedyktyńska, godna miejsca w wielkich bibliotekach, ale nie popularna wcale, już to dla samych rozmiarów, już dla okresu, który przedstawia, tak bezbarwnego po świetnej epoce napoleońskiej. O ile ten tryumf Burbonów, przywróconych na tron obcym orężem, nie poruszał serca francuzom, świadczy o tém wyznanie samego p. Viel-Castel. Na wieść o wylądowaniu Napoleona z wyspy Elby, czuł on dziwny niepokój w sumieniu; aby je załagodzić, co wieczór modlił się za pomyślność monarchii, a tak wypłaciwszy dług burbonom, cieszył się, że tajemne pragnienia jego urzeczywistnione zostały.

P. Mazade obszerniejsze miał pole do wykazania zasług literackich admirała Jurien de la Gravière, ależ prace tego erudyty, poświęcone dziejom starożytnej i nowoczesnej marynarki, objęte w dwudziestu woluminach, dostępne samym tylko specjalistom, nie mogły zająć publiczności obecnej na zebraniu.

Z pomiędzy licznych dzieł admirała, dwa na szczególną zasługują uwagę; jedno pod tytułem: *Kawalerowie maltaniecy*, drugie: *Wojna cypryjska i Bitwa pod Lepantem*. Autor prostuje błędny sąd potomności, co do króla hiszpańskiego, Filipa II. Pokazuje w nim szczerego chrześcianina

i głębokiego polityka. Wielki ten mocarz, mówi historyk, potężną flotą wspierał wysilenia krzyżowców maltańskich, podczas, kiedy dwór francuzki w samolubnym celu, marzył już o przymierzu z Turkami. W drugim dziele admirał w jaskrawych barwach odmalował wyprawę Don-Juana na wybrzeża Grecyi i sławne zwycięstwo pod Lepantem, które zadało pierwszy cios potędze tureckiej, zaczem Jan III dopełnił ostatecznego tryumfu krzyża nad półksiężycem.

Historyk tych krucyat nie mógł zaciekawić ogółu publiczności paryskiej, silniejsze też wrażenie sprawiła druga uroczystość akademicka, gdy Renan przyjmował p. Claretie, znanego publicystę i romansopisarza, obecnie dyrektora teatru francuzkiego. Nowy akademik zajął miejsce po innym koryfeuszu prasy p. Cuvillier-Fleury, przemawiając pro domo sua, podniósł do ideału znaczenie dziennikarstwa, pokazał, czém być może i jakim być powinno.

„Są ludzie, rzekł, którzy uczynili dziennikarstwo prostym rzemiosłem, a przecież nic piękniejszego nad zawód publicysty, gdy spełniany uczciwie. W tych wielkich zapasach życia codziennego, w których ścierają się ludy, jeśli poeta wydzwania pobudkę bojową, jeśli uczone kieruje obrotami, dziennikarz jest prostym żołnierzem. On wygłasza opinią powszechną; w kilku szybkich, dorywczo rzuconych słowach streszcza wyrok sumienia publicznego. Niebezpieczeństwo samo stanowi ponętę rzemiosła, którego zadaniem gromić niesprawiedliwość, sprowadzać z błędnej drogi, objawiać tłumom nieznanne imiona, połyskujące przedświtem przyszłej sławy, ukazywać w prawdziwóm świetle dzieła sztuki, niesłusznie zapoznane. Jakaż to siła dziennikarzy w czasach, kiedy ogół przeczy wszelkim potęgom, oprócz tej, jaką zachował drukowany świstek papieru.“

Po tej apoteozie prasy idealnej, mówca pokazuje odwrotną stronę medalu, zaznacza burdy warcholów dziennikarskich, rzucone przez nich pociski i oszczerstwa. „Daremne trudy, woła, uwodzą siebie same. Nienawiść nic nie zbudowała, zniewaga niczego nie dowiodła! nic nie zburzyła potwarz! Dość rzucić okiem w koło. Ileż to złośliwych obelg rzucono wbrew tym, których naród uczcił pomnikiem z marmuru lub ze spiżu!“

P. Claretie ocenia w poprzedniku swoim wytrawnego publicystę, długoletniego współpracownika *Debatów*, pokazuje w nim znakomitego pedagoga. Cuvillier-Fleury, jak wiadomo, kierował przez lat dwanaście wychowaniem księcia d'Annale, którym dom książąt orleańskich słusznie dziś pochlubić się może.

P. Renan odpowiedział w właściwszy sobie sposób, igrając słowem jak biegły retor, to nastrajając je do filozoficznego dyapażonu, to zaprawiając sarkazmem i humorystyczną werwą. W ciągu mowy potrafił o kilka żywotnych zagadnień, po kilkakroć za-

przeczył sam sobie, i jak zwykle sztuczną dyalektyką otumanił słuchaczy.

Rozpoczął na ton żartobliwy. Przypomina, jak wiele lat temu, spotkał po raz pierwszy nowego kolegę, pod dachem Michele'ta; jak w oka mgnieniu obaj porozumieli się wzajem, jak obmawiali Akademię francuską. Ależ akademia, dodał, przebacza zawsze płoche słowa, wielkie zniewagi nie mogą jęj dosięgać; drobne zarzuty przyjmuje z pobłażaniem; dowód na to, że ci, co tak złośliwie z nięj sztydzili, strojni obaj w zielone palmy, stoją dziś wobec siebie...

Po krótkim ustępie, dotyczącym prac nowego akademika, Renan przebiega w kilku zarysach całą literaturę wieku dziewiętnastego. Jakiż wynik tego przeglądu? Oto, że z nięj nic nie zostanie dla przyszłości? „Francya literacka, rzekł, skutkiem obłędów estetycznych, straciła owoc ciężkich prac, zmarnotrawiła najpiękniejsze dary. Autorowie tych czasów wspominali, że ludzkość nosi piętno szlachectwa, że potrzeba przedstawiać ją ze szlachetnej strony. W ślad za nimi ogół zasmakował w społeczeństwie łotrów i oszustów; upodobał sobie brzydotę. Pozwólmy na odmalowanie kupy nawozu, ale pod warunkiem, że z niego wyrasta kwiat piękny, inaczęj nawóz będzie odrażającym. Realizm niestety napotykamy co krok, nie potrzeba stwierdzać go dowodami, znamy go nazbyt dobrze!

„Żadano bądź co bądź nowości; posypały się paradoksa. Poeci dotarli do najwyższych szczytów parnasu, do tych lodowisk, gdzie ustaje wszelkie życie, i dziwili się, że ogół nie szedł za nimi w ślady. Ogół, zrażony nietrwałością literackich reputacyi, przestał wierzyć literaturze; widział w nięj po prostu grę w karty, łamigłówkę, nie więcj.“

Ta słuszna chłosta, wymierzona przeciw literaturze dzisiejszej, nie mogła trafić do smaku nowęj szkole romansopisarzy i poetów. Bardziej jeszcze Renan zadrażnił fanatycznych apologistów rewolucyi.

„Stulecia, rzekł, niczyją nie są winą; któż wiekom zabroni liczyć na setki swoje lata. Złe jednak, że tak być musi. Nic szkodliwszego jak dostrajać życie do przeszłości, kiedy ta przeszłość była wyjątkową. Stulecia wywołują apoteozy, to za wiele! Absolucya uroczysta z panegirykiem, na tēm dosyć, nie więcj! Zabalsamowanie ciała, aby trup ściśle spowity nigdy już nie zmartwychwstał, lepięjby nam przystało. Porzućmy przynajmniej myśl, aby czyny młodzieńczęj nierozwagi miały się kiedykolwiek powtórzyć. Rewolucyą uważać potrzeba jako chorobę. Czasami bywa gorączka pożyteczną, gdy jest znakiem pracy wewnętrznej, ale złe, gdy trwa długo, złe, kiedy się powtarza, w takim razie sprowadza śmierć niechybną. To samo już nie jestże potępieniem rewolucyi, jeśli dowiedziono, że po stu latach trzeba ją na nowo rozpocząć,

szukać do niej dróg nowych, szamotać się bezustannie wśród sporów i bezrządu.“

Od tych złowrogich prorocत्व, Renan przechodzi nagle do pochwał, szczodrze zaprawnych ironią.

„Nie chciałbym, rzeczce, zamykać posiedzenia pod wpływem smutnych myśli; wiek nasz miał tę dobrą stronę, że pozwalał powtarzać się do woli, a co więcéj, życie słodko w niem upływało. Jeżeli koniec jego budzi w nas niejaką obawę, podnieśmy się do tych sfer pogodnych, gdzie możemy powiedzieć sobie: Bóg wszystko dobrze czyni. Te zresztą fotele akademickie dosyć są wygodne, aby na nich czekać spokojnie śmierci. Żyć tu przyjemnie, używajmy reszty dni pozostałych.“

„Ten słodki wiek żelazny, dodał, zwracając się do wybranego kolegi, okazał się dla nas łaskawym. Znalazł w nas obu to, co lubi: moje niektóre wady i twoje. Nie wiem czy w jakimkolwiek czasie, w jakimbądź kraju, moglibyśmy tak uwydatnić talenta, jakie padły nam udziałem. Biedna Francya! niekiedy zbyt ostro ją sądzimy, widoczny w tém dowód, o ile nam jest droga.“

Ileż to sprzeczności! Ten wiek, tonący w anarchii, z literatura zagrzęzłą w trzęsawisku, z poezją, ściętą mroczem na jałowych lodowcach Parnasu, ten wiek tyle ma uroku i słodyczy, życie w nim tak rozkosznie upływa.

W téj rozprawie akademickiej nie jedna połyska prawda. Chłosta na szkołę, przedstawiającą życie ze wstrętnej strony, wymierzona najsłuszniej, ale pytamy, czy ma prawo przypominać literatom, że ludzkość jest szlachetną, cynik, który do śmietników społecznych dorzucił pełną ręką tyle brzydot, że wspomnimy tylko bezecną księżnę z Juares.

Obie te mowy znalazły silny oddźwięk w dziennikarstwie tu-tejszém. Nie przebaczone Renanowi pocisków rzuconych na rewolucyą, a bardziej na stuletnią jój apoteozę, nazwano go pesymistą, duchem sprzecznym, gotowym występować zawsze wbrew opinii powszechnej. Claretie'mu przeciwnie, zarzucono optymizm, nie mniej szkodliwy, bo przedstawiający rzeczy w ułudném świetle. Zarzut ten czyni mu poważny krytyk James Darmestetter profesor literatury perskiej w kollegium francuzkiém. Sąd jego na szczególną zasługuje uwagę, pokazuje bowiem silną reakcyą przeciwko skażonej literaturze, popychającej społeczeństwo do zguby...

W jednym ustępie mowy swojej, Claretie rzekł z zapalem: „Francya nie upadnie, ona jest nieśmiertelną, nie ten naród wielkim jest, co rozsiewa postrach orężem; losy walki niepewne, wkrótce zmienić się mogą. Książka poety, odkrycie uczonego, świadcza dotąd w obec ludów o żywotności naszego geniuszu.

Koniec tego wieku zobaczy jeszcze pewne zwycięstwo Francyi, nie zapisane krwią, ale błyszczące promieniem przyszłej chwały. Nie czas nam siadać na popiele i szeptać: Finis Galliae, kiedy cudzoziemiec tłómaczy nasze dzieła, przyklaskuje teatrowi naszemu, naśladowuje utwory sztuki naszej“.

Zobaczmy, co na to odpowiada p. Darmestetter.

„Nie dlatego, żeśmy zwyciężeni, wypada nam sięść na popiele i pomrukiwać Finis Galliae. Smutny ten okrzyk nie dobiega z krwawego pola Reichshoffenu ani Sedanu, ani z Chataudun, zamienionego w kupę gruzów, ani z zatraconej Alzacyi, ani Lotaryngii, wybiega on z każdego wiersza tych przechwalonych romansopisarzy, tych dramaturgów, obsypywanych poklaskiem, tych pisarzy bez sumienia, którzy leją nam jad trujący i upajają ludy, chylące się samowolnie do upadku.

„Tak, zaprawdę, symptomatem śmierci nie są szarpiące się stronnictwa, ani obłądy rządów, ani samolubstwo warstw wyższych, ani oszołomienie biednego ludu. Wszystko to znane od dawna, nie mogłoby ustraszyć nas, gdybyśmy w świecie idei, w świecie, który tworzy opinią i obyczaje, czuli krzepkie zdrowie i siłę żywotną. Jeżeli zwątpienie ogarnia nas, to wobec tych zdobywczy tak wysławianych, wobec tych romansów, które cudzoziemiec tłómaczy, tego teatru, któremu przyklaskuje.

„I któż zawoła sursum corda, dopóki najpotężniejsza część społeczeństwa francuzkiego, ta, która powieścią i dramatem przemawia najgłośniej do narodu, ta, która chlebem intelektualnym karmi wszystkich, i kobiety i młodzież i dziewczęta, rozgrzebywać będzie zgniliznę moralną; dopóki cała literatura, ta przynajmniej, którą karmi się ogół, co porusza, co daje rozgłos, chwałę i dostatek, nie stanie się czémś inném, jak cuchnącą kałużą! Wszelki talent pochyła się ku tej stronie, bo tu łatwo zdobyć powodzenie i sławę; na tém polu wytworni stylisci walczą o palmę z brutalną gawiedzią karczemną.“

„Co chcecie? odpowiedzą nam, jesteście tém, czém nas wiek stworzył, odbiciem jego obyczajów; wszak my ich nie tworzymy.“ Zbyt wiele skromności, panowie! Czy to wyprzedzacie Francją w zepsuciu, dostrajacie ją do modły waszój, powtarzacie jej, że człowiek jest bydlęciem, że sumienie i powinność to prosty wymysł ludzki, że jedynym celem użycie, jedyném prawem siła.

Jeśli romanse i dramata nasze mają w obcych krajach tłómaczów i naśladowców, jeśli Zola przyemił naturalistycznych pisarzów w świecie całym, nie szukajmy w tém chluby. W owym chórze głosów rozlegających się po Europie, któryż głos ukoił, podniósł rozbolełą duszę Francyi. Do kraju ślepych mogliście przynieść światło, mogliście przynajmniej poszeptać słowa dobrej woli, wy, których głos wybiega tak daleko, wy, którzy przemawiacie do ubogich prostaczków i do potężnych świata, do robotnika przy

warsztacie, do wieśniaka, schylonego nad pługiem, do wielkiej pani w wytwornym buduarze, do ucznia i młodej panienci, mogliście wspomnieć coś o ideale, o świętym obowiązku, o miłosierdziu, o niewinnej miłości. Wy tymczasem szukacie powodzenia, zysku i czczej chwały, pogrążając kraj wasz w zepsuciu, braci waszych w bydlęctwie. Mielście dar słowa, starzaliście je w błocie. Wam, ludziom wyobraźni dano było podnieść wyobraźnią Francyi do tych sfer skąd serce powraca szlachetniejszym. Cożeście uczynili? Oto ludowi temu, który ubiegł za ledwie z burzy wojennej i pożarów komuny, prawie bezceństwa, jakie opowiadano Gomerze, zaczęła ją ziemia pochłonięła.“

Nie wiemy dotąd, co p. Claretie odpowie na tak gorzkie a słuszne zarzuty.

Gdyby nowy akademik, na dowód, że nie czas jeszcze Francyi zasiąść na popiele i powtarzać *Finis Gallia e*, pokazał był zamiast sponiewieranego teatru i bezecnych romansów inne prace, pełne siły żywotnej, słuszność byłaby przy nim. Dość było wspomnieć ten szereg poważnych dzieł, wieńczonych co rok na konkursach pięciu akademii, wymienić historyków jak Albert Sorel, krytyków, jak James Darmestetter, że pominiemy tylu genialnych pracowników na polu ściśle naukowym; dość było przytoczyć imiona tych szczodrobliwych fundatorów, którzy sypią hojnie garściami złota przez ręce instytutu francuzkiego, na zachętę dla młodych szermierzy, na chleb łaskawy dla weteranów pióra; dość było nakoniec przypomnieć te czyny miłosierdzia, których owocem było niezliczone instytucje, opisane w dwóch wielkich księgach Maksyma Du Camp, aby pokazać niepożyłą siłę narodu francuzkiego. Przemilczał o tych objawach nowy akademik. Aby dowieść, że Francya wyszła zwycięzko z nawału klęsk, jakie w nią ugodziły, ukazał błędne ogniki, świecące w noc czarną nad zgniłym trzęsawiskiem, roznoszące po świecie zatruty miazmat, owe romanse, tłumaczone na wszystkie europejskie języki, owe dramata i farsy, obasy pywane poklaskiem bezmyślnych tłumów.

Gdyby Francya nie miała nic innego, czasby jej zaprawdę sięść na popiele i zawołać żałośnie *Finis Gallia e*.

Wpadła nam w rękę, świeżo wydana a ciekawa pod względem psychicznym biografia żony słynnego Chateaubrianda. Ta kobieta, przyćmiona blaskiem męża, przeszła cichym krokiem przez życie, nikt nie zwracał na nią uwagi, i dziś dopiero, kiedy od lat czterdziestu wieko trumny zapadło nad nią, postać jej wybiegła z pomroku. Przyczynił się do tego odkryty niedawno własnoręczny jej dziennik, spisany różnemi czasami.

Biograf pani Chateaubriand, paleolog, słuszną czyni uwagę,

jak drogo przychodzi nieraz żonie opłacić aureolę sławy, wieńczącą czoło genialnego męża. Owe małżonki dzieli on na różne kategorie. Do najszcześliwszych liczy te, które nie wybiegając poza obręb domu a raczej kuchni, nie domyślały się nawet wielkiego znaczenia dozgonnych towarzyszków swoich. Taką była Krystyna Vulpius, żona Goethego, taką żona Henryka Heine. Każda z nich wiedziała, że mąż pracuje piórem, lecz co pisze było dla niej rzeczą zupełnie obojętną.

I my też mieliśmy przed oczyma podobny przykład. Żona znakomitego filologa, członka instytutu francuzkiego, rzekła raz do nas w obecności uczonego małżonka.

— Czy prawda, że pani przetłumaczyłaś literaturę ludów północnych męża mego. Co do mnie chciałam odczytać to dzieło; lecz nie mogłam, nudziło mnie najokropniej.

Inne kobiety, mówi autor, przytłoczone sławą mężów, jakby porwane wpływem magnetycznego czaru, zatracają zupełnie własną indywidualność. Taką była żona Lamartina, taką żona Carlylla, słynnego pisarza angielskiego — obie rodowite angielski. Inne znów obrażone w godności własnej, jak zaniedbana Lady Byron, wygłaszają przed światem skargi i skandale, domowe nim stargają małżeńskie węzły.

Do najmniejbezpieczniejszych żon liczy autor takie, które, jak wdowa po Michelecie, upojone wielkością męża, zbierają pozostałe świstki, kresłone bez ładu, układają z nich całość, dopełniają własnymi słowy i rzucają w świat coraz nowe pośmiertne dzieła, ubliżające pamięci zmarłych autorów.

Żadnej może kobiecie nie zaciążyła tak aureola męża jak biednej pani Chateaubriand. Młodziuchna Bretonka, Celestyna de la Vigne, sierota po ojcu i matce, urodziwa, posażna, wychowana starannie oddała rękę młodemu arystokracie, nad którego czołem wschodził już promień sławy. Chateaubriand tylko co wrócił z Ameryki, na pół zrujnowany podróżą, ulegając namowom siostr, pragnął ratować się bogatym ożenieniem. Było to w roku 1792, na krótko przed gwałtami konwencji narodowej. Po ślubie małżonkowie wyjechali do Paryża: tu Chateaubriand rozrzucił złoto pełną ręką, gra namiętnie w karty, zaciąga dług za długiem. Nagle wśród tego szalu dochodzi go wieść, że majątek jego skonfiskowany. Nie wiele myśląc wyprawia żonę do Bretanii, sam pośpiesza nad Ren do armii Kondusza.

Ledwie że młoda kobieta powróciła do domu, uwięziono ją jako żonę emigranta. Po upadku konwencji w roku 1794 odzyskała dopiero wolność.

Chateaubriand tymczasem, po rozbiciu armii Kondusza, schronił się do Anglii, tam przycisnięty biedą pochwycił za pióro, kilka lat pracował wytrwale. Kiedy w 1802 r. powrócił do Fran-

cy, dzieło jego „Geniusz Chrześcijaństwa“ dokonane było w wielkiej części, rękopis Atali przygotowany do druku.

Trzy lata przebywał Chateaubriand w Paryżu, kiedy przyszło mu na myśl odwiedzić żonę w Bretanii. Młoda kobieta żyła tam w ubóstwie i opuszczeniu; podczas, gdy mąż, otoczony aureolą sławy, zachwycał umysły i porywał serca paryżanek. Jedną z nich, pani de Beaumont, trzymała go w zaczarowanym kole.

W dziesięć lat po zawarciu małżeństwa, słynny już autor przypomina sobie, że ma żonę, spieszy do Bretanii, przebywa z nią dzień jeden, pilno mu do Rzymu, żona ma tam pospieszyć za nim. Szczęśliwa wybiera się w daleką podróż, kiedy dochodzi ją wieść, że pani de Beaumont już ją tam poprzedziła. Ta rozmarzona kobieta, trawiona piersiową chorobą, czując się bliską śmierci, pragnęła skonać obok tego, który urzeczywistniał najwyższy ideał jej na ziemi.

Po zgonie czarodziejki, Chateaubriand wraca do Paryża, powołuje tu żonę. Dwa lata przeżyli małżonkowie razem po dwunastoletniem rozłączeniu. Długo zaniedbana kobieta, przeniesiona z Bretanii w świat najwyższej inteligencji paryżkiej, umiała zająć godnie miejsce obok świetnego męża. Umysł jej rozwijał się z dniem każdym. Pełna pobłażliwości, gotowa przeprosić dawnych uraz, pierwszy raz w życiu uczuła się szczęśliwą.

Ale Chateaubriand nie mógł poprzestać na tém domowém szczęściu. Spragniony ciągle nowych wrażeń i nowych ideałów, aby w oczach nowego bożyszcza zajaśnić pełnym blaskiem, puszcza się w podróż na wschód, do Syryi i Palestyny. Żona towarzyszy mu do Wenecyi, powraca z głębokim żalem w sercu, osiada na wsi u przyjaciół. Unika Paryża, nie chce być przedmiotem politowania i próżnej ciekawości. Rok cały czeka na list, odbiera go nakoniec. Mąż zapowiada rychły powrót, zatrzyma się tylko w Grenadzie. Wieść to bolesna dla niej, ona wie, że w Hiszpanii przebywa księżna N. dla której zniewolenia poeta zbierał na wschodzie nowe promienie sławy.

W roku 1805 małżonkowie osiedli znów w Paryżu. Wkrótce potem Chateaubriand ściągnął na siebie gniew cesarza za paszkwil, w którym nazwał go Neronem. Skazany, jak mówi, na wygnanie, przebywa rok z żoną w domu wiejskim, o milę od stolicy. Tu razem sadzą drzewa, zasiewają kwiaty, ciche życie domowe zbliżyło ich, lecz nie na długo. Za powrotem do Paryża, sława literacka Chateaubrianda zaświeciła najwyższym blaskiem. Otoczony hołdami, upojony wonią kadzideł, przeżył lat kilka w zaczarowanym kole, pożerał serca sentymentalnych kobiet, przebiegał od zamku do zamku, żona nie istniała dla niego.

Po upadku cesarstwa i powrocie Burbonów, Chateaubriand pełnił obowiązki ambasadora przy dworze berlińskim a następnie

w Londynie. Żona zostaje w Paryżu, zajmuje się gorliwie domem przytułku dla kobiet zubożałych skutkiem rewolucyi. Tym usilnym zabiegom poświęca lat kilka. W roku 1829 dopiero towarzyszy mężowi, powołanemu na poselstwo do Rzymu.

Rewolucya lipcowa zmieniła nagle położenie Chateaubrianda. Ogromne summy, jakie zebrał za prace literackie, rostrwonil na podróże i fantastyczne zachcianki. Oszczędny rząd lipcowy nie myślał płacić jego długów, jak to podwakroć czynili panujący Burboni. Aby ratować się od niedostatku, zmuszony był sprzedać pozagrobowe pamiętniki, objęte w dwunastu tomach, z warunkiem, że po śmierci dopiero ogłoszone zostaną.

Do ostatnich dni zubożała, przyciśnięty wiekiem starzec uganiał dawne ułudy, szukał wciąż hołdów i poklasków. Z pochylą grzbietem, powłócząc nogami, lecz ubrany wytwornie, z różą w fraku ukazywał się co wieczór w salonie słynnej niegdyś pani Recamier, ostatniego swego ideału. Żona, powolna jak zawsze, towarzyszyła mu na te wieczorne zebrania. Ile ją to kosztowało, trudno odgadnąć. Nigdy skarga nie wybiegła ani z ust, ani z pod pióra téj kobiety. O rok biedna poprzedziła męża do grobu, umarła w roku 1847.

Pięćdziesiąt pięć lat pożycia małżeńskiego było dla pani Chateaubriand jednem pasmem boleści, upokorzeń i walk wewnętrznych, które pozostały tajemnicą pomiędzy nią a Bogiem. Żadne ogniwo nie łączyło tych dwóch serc i umysłów, pojęcia nawet ich religijne odrębny miały charakter. Jaskrawa wyobraźnia przemagała w autorze *Męczenników* i nieraz prowadziła go na bezdroża. Wiara żony prosta i szczerą wiodła ją do cichych ofiar i czynów miłosiernych. O ile Chateaubriand próżny był i marnotrawny, o tyle żona praktyczna i rzędna, o ile on pragnął wrażeń i hołdów, o tyle ona oddychała tylko swobodnie przy domowém ognisku.

Zapisał Chateaubriand w pamiętniku, że żona nie czytała nigdy jego utworów literackich, tak jednak być nie mogło. Jesli nie wspominała o nich, czyniła to z dwóch przyczyn, jak słusznie utrzymuje biograf. Umysł jój pełen prawdy i prostoty, nie podzielał zachwyty współczesnych, dla sztucznych uniesień autora Atali, a co więcej, zaniedbana małżonka, upokorzona w godności własnej, widziała w najświetniejszych dziełach męża, gloryfikacją nieprawych uczuć, których smutną była ofiarą.

Raz tylko Chateaubriand okazał się sprawiedliwym dla żony. W krótkim, ale wymownym ustępie pamiętników, oddał jój najchlubniejsze świadectwo. Słowami jego zakończamy pobieżne wspomnienie męczeńskiego życia téj kobiety.

„Azaliż, pyta on, miałem dla towarzyszki mojej uczucia odpowiednie do wielkich jój zasług a które z prawa jój należały?

Czyliż zakosztowała choć trochę szczęścia w zapłatę za nieprzerwane pasmo poświęceń?

I odpowiada na to. „Kiedy oboje staniemy przed sądem Bożym, ja słusznie będę obwiniony!”

W gorączkowym życiu paryżkiem, wrażenia znikają, istnie bańki na wodzie, potrącane napływem nowych wrażeń. Są jednakże wyjątki. Do tych należy głębokie oburzenie, wywołane znany paszkwilem Alfonsa Daudet'a na Akademią francuzką.

Żaden głos nie odezwał się z areopagu czterdziestu nieśmiertelnych, znaleźli oni przecież surowych rzeczników pomiędzy krytykami. Scigany przez nich Daudet nie złożył w pochwę oręza, ale coraz zażarlij pastwi się nad Akademią. Teatr *Gymnase*, zapowiedział właśnie jego sztukę pod tytułem: *Walka o byt*. W tej komedyi a raczej dramacie wystąpią osoby — znane z głośnej a tak skandalicznej powieści. Tym walczącym, *struglforlejferem*, jak go nazywa autor ma, być Paweł Astier, syn akademika—samobójcy. Jak wiadomo z powieści, zaślubił on podstarzałą księżnę, pochwyił w garsć jój miliony. W dramacie te miliony toną w wątpliwych spekulacyach. Zapaśnik walczący o byt, porwany szaleem, nie przebiera w środkach, posuwa się do zbrodni. Syn i wnuk nieśmiertelnego zakończy szermierkę pod przęgierzem.

W lutym odbyła się inauguracya pomnika J. J. Rousseau, umieszczonego przed Panteonem na wzgórzu św. Genowefy. Posąg, ulany ze spiżu, wykonał rzeźbiarz Berthet. Kilka tysięcy osób zebrało się w owym przybytku, gdzie przed kilku jeszcze laty patronka Paryża odbierała religijne holdy wiernych. W liczbie siedmiu mówców, którzy określali idee filozofa genewskiego, wystąpił Juliusz Simon, jako przedstawiciel Akademii francuzkiej. Oświadczył on, że ta instytucya wielbiła i wielbi w autorze Emila jedynie literata i świetnego stylistę, lecz nie podziela wcale jego zasad reformatorskich.

Z powodu tej uroczystości, przypominają tu jak przed stu laty, w czasach rozhukanego terroryzmu, w r. 1794, przenoszono zwłoki J. J. Rousseau do tegoż Panteonu, zwanego wówczas świątynią chwały. Ceremonia przedstawiała charakter komiczny a raczej najwinnie sielankowy. W koło zwłok szło grono pasterzy i pasterek, strojnych w różnobarwne wstęgi, wygrywających na fletniach i fujarach wesołe arye z opery *Devin du Village*, kompozycyi nieboszczyka.

Zwłoki prowadzono z Ermenouville, wioski położonej między Paryżem a Montmorency, gdzie Rousseau umarł w roku 1778.

Orszak pogrzebowy otwierali botanicy z koszami kwiatów w rękę, panienki w bieli rozsypywały róże. Cały obrzęd podobniejszy był do wesela niż do pogrzebu. Sielenkowy ten charakter dziwną stanowił sprzeczność, obok krwawych gwałtów tej straszliwej epoki.

Kilka tygodni temu umarł w Paryżu słynny malarz Aleksander Cabanel. Od lat trzydziestu obrazy jego historyczne i portrety, wystawione w salonie, były przedmiotem najsprzecznějších sądów. Podczas gdy jedni zachwycali się widokiem ślicznych postaci, odtworzonych wytwornym pędzlem, podniesionych sztuką do ideału, zwolennicy szkoły realistycznej z pogardą pomijali te płótna, zdaniem ich wymauierowane, bez życia i bez prawdy. Sąd bezstronny uznał przecieź Cabanela za jednego z pierwszych mistrzów szkoły francuskiej. Jeśli portrety, oddane jego pędzlem, mają częstokroć pozór bezkrwisty i chorobliwy, modele same główną tego przyczyną. Za portrety mistrza płacono po kilkadziesiąt tysięcy franków. Takiego zbytku pozwolić sobie mogły tylko arystokratyczne rodziny, lub też milionowi bogacze. W tych warstwach społecznych nie szukać typów krzepkich, tryskających życiem, jakie upodobali sobie realisci dzisiejsi. Cabanel malował wzory, jakie miał przed oczyma, patrząc na te eteryczne istoty — gotowiliśmy zapytać z wielkim poetą naszym:

Maryo, czyś ty nie chora, bo taką masz postać
Jak gdybyś do aniołów miała się już dostać.

W dwóch przecieź arcydziełach, wystawionych przed trzema laty, pokazał Cabanel całą potęgę geniuszu swego. Na jednym widzimy kapłana w ubogiej celi, przed stolikiem pełnym papierów, na ścianie rozwieszona mapa. To ojciec Lepaillieur, założyciel zgromadzenia siostrzyczek (petites soeurs), Drugi portret ukazuje przełożoną tegoż zgromadzenia, siostrę Maryą de la Compassions. Postać ta pełna energii i żelaznej woli, połączonej z wielką słodyczą. Odziana w ciemny habit, z głową przysłoniętą długim welonem, siedzi przy prostym biurku, przed wizerunkiem N. Panny, czyta listy, otrzymane z dalekich krajów, od sióstr które jak pszczołki wybiegłe ze wspólnej barci, pełnią pobożną służbę na całej kuli ziemskiej. Piękne te portrety, wykonane ręką sześćdziesięcioletniego mistrza, świadczą, że wiek nie zagasił w nim iskry twórczej, lecz wydobyl z niej nowy płomień.

Urodzony w Montpellier w roku 1823 Cabanel wczesnie rozpoczął artystyczny zawód. Już w roku 1844 zwrócił na siebie uwagę religijny jego obraz „Chrystus a w ogrodzie Oliwnym.“

W rok potem nowy obraz: „Jezus w pretoryum,“ zjednał mu pierwszą nagrodę, i stypendyum na kilkoletni pobyt w Rzymie. Liczne prace jego, równie religijne jak i historyczne, rozrzucone dziś po różnych muzeach, w krótkce ukażą się razem w Paryżu. Początkowe utwory przechowuje ze czcią miasto Montpellier. Z prac pomnikowych pozostawił Cabanel seryą obrazów z żywota św. Ludwika, na wewnętrznych ścianach Panteonu. W ostatnich czasach powierzono mu szereg scen do ozdoby nowego ratusza; rozpoczął już pracę, gdy śmierć wytrąciła mu pędzel z ręki.

Jako profesor — wielkie Cabanel położył zasługi; pod przewodnictwem jego wykształciły się dwa lub trzy pokolenia malarzy, którzy godnie przedstawiają sztukę francuską. Dostał on wszelkich zaszczytów, pozyskał wszystkie medale i nagrody, po Horacym Wernecie zajął miejsce w Instytucie francuskim, wśród uczniów pozostawił wdzięczną pamięć po sobie. Rodzinne miasto Montpellier sprowadziło zwłoki ukochanego mistrza i zamierza uczcić go wspaniałym pomnikiem.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Szkie historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od zawiązku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześcijańskiej. Ozdobiony przeszło 600 ilustracyami. Napisał Antoni Narkiewicz Jodko. Lwów i Warszawa 1889.

T. I, II, III.

Wśród powodzi utworów beletrystycznych, poważne naukowe dzieło z szerokim zakresem, jest u nas niezwykłym zjawiskiem. Każda też choćby najdrobniejsza praca, mająca na celu zahartowanie nas w ścisłości myślenia, powinna być przyjęta jak kropla ożywczej rosy przez podróżnika błędzącego się wśród tumanów pustyni.

Witamy też z radością pracę p. Antoniego Narkiewicza Jodki p. n. „Szkie historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości,“ której dotychczas wyszły z druku trzy tomy w formacie wielkiej ósemki, każdy zawierający przeszło 30 arkuszy druku, ilustrowanej przeszło 600 drzeworytami, odznaczającej się wytworną powierzchownością naszych zakordonowych wydawnictw.

Forma literacka dzieła pod względem czystości językowej i prostoty wykładu nie pozostawia wiele do życzenia. Jak już z samego tytułu wnosić można, autor podjął zadanie niezmiernie trudne, dotychczas częściowo przez Winckelmann'ów, Taine'ów i Carriere'ów rozwiązywane. Nawiązać nic cywilizacji z artystycznym rozwojem ludzkości, objaśnić ten rozwój stanem kultury danego społeczeństwa, jest trudem, na który złożyć się musi cała encyklopedia wiedzy, począwszy od geografii i politycznej historyi, aż do historyi sztuki i psychologii.

Lubo autor na samym wstępie ostrzega czytelnika, że nie dąży do wyprowadzania zbyt ogólnych, szerokich wniosków, ponieważ jednak za punkt wyjścia służy mu fakt stwierdzony, że człowiek po zaspokojeniu materialnych potrzeb zabezpieczenia się przed zmianami klimatycznymi i napadem dzikiego zwierzęcia, przez wrodzony mu instynkt zwraca się całą potęgą młodzieńczego ducha ku lepszemu, nadziemskiemu światu, w sztuce odźwierciadlanym, że w tym pośpiechu przejawia się w nas tlejąca nieśmiertelna iskra, że nareszcie objawy piękna są zależne od klimatu, otaczającej przyrody, formy rządu, ustroju społecznego i t. d., a zatem i naszym obowiązkiem

będzie z tego punktu widzenia rozpatrzeć pracę, którą mamy przed sobą.

Na samym wstępie autor klasyfikuje objawy piękna, dzieląc je na dwie wielkie grupy. Do pierwszej zalicza poezję, wymowę (co według nas jest estetycznym pleonazmem) i muzykę; nazywając te dwie czy też trzy sztuki idealnemi; do drugiej zaś grupy należy: architektura, rzeźba i malarstwo. Temu powszechnie przyjętemu podziałowi nic zgola zarzucić nie można, ale tłómaczenie istoty tej klasyfikacyi błędném nam się wydaje.

Dla czegoż bowiem poezję i muzykę uważa autor jedynie za idealne, przez co innym gałęziom sztuki odmawia przymiotu, który wszystkim objawom piękna towarzyszyć musi, jako mającym na celu ujawnienie na zewnątrz pewnej myśli, czyli idei, co zresztą w inném miejscu sam zdaje się przyznawać. Zdaniem autora, jedynie sztuki, drugą grupą, objęte t. j.: rzeźba, architektura i malarstwo, bezpośrednio podpadają pod zmysły, w nich bowiem tylko myśl (idea) objawia się w trwałej formie.

Przymiot „trwałości” lub „nietrwałości” z estetycznego punktu widzenia, zarówno stosuje się do wszystkich zjawisk piękna. Ustalony więc podział sztuk pięknych na dwie wielkie grupy na inną musi polegać zasadzie, a mianowicie na fizyologicznej różnicy zmysłów, przez które idea w kształt ujęta do umysłu przenika. Definiując swą autor popiera przykładem, mówiąc, że najwznioslejsza pieśń, muzyczna czy też poetycka, nieudolnie wypowiedziana, staje się parodią, co nie może być za dowód uważane, albowiem los podobny spotkać może arcydzieło dłuta i pędzla, nieumiejętną ręką reprodukowane.

Po tych ogólnych uwagach, autor przystępuje do właściwego wykładu, poprzedzając każdy rozdział swęj pracy nader zajmującym i pouczającym rzutem na historję i barwę etnograficzną rasy, czy też społeczeństwa, którego historja sztuki ma być rozpatrywana. Pozostawiając specjalistom etnografom i przyrodnikom sprawdzenie samych faktów, jak również naukowe stanowisko autora jako monogenisty, zastanowimy się nad tém co właściwie treść dzieła stanowi t. j. nad wykazaniem łączności pomiędzy ogólnym stanem kultury danego społeczeństwa, a jednym z jej objawów, mianowicie sztuki.

Wszystkim duchowym objawom człowieka: religii, mowie, a nawet wiedzy, zawsze towarzyszy sztuka i bez niej ostać się nie może. Pochód artystyczny ludzkości, podobnie jak flora i fauna, przechodzi rozmaite fazy: wiek niemowlecy, dojrzały i starczy. Zmiany te w świecie roślinnym i zwierzęcym są zależne od fizycznego środka, w świecie zaś artyzmu jego metamorfozy podlegają obok fizycznych, moralnym wpływom: religii, ustroju rządowego i społecznego temperamentu, co autor zdaje się nie zupełnie podzielać, kiedy mówi, że „myśl ludzka jedna w fantastycznym swym pochodzie, nie zawisa i niczém nie skrzepowana.” Owszem, my

byśmy sądzili, że twórczość nasza bardzo zawisła i skrepowana, i ta właśnie zawisłość, ta zależność od wpływów fizycznych i moralnych wytwarza to, co stanowi odrębności stylowe w ich historycznym rozwoju. Wprawdzie, istnieją pewne kształty, artystyczne onomotopeje, które nawet w ciągu wieków od troglodytów do naszych czasów żadnej zmianie nie podległy i ulecz nie mogą. Do tego rodzaju bezwzględnych i niezmiennych w świecie artyzmu znaków, należą przedmioty t. zw. przemysłu artystycznego jak np. kolczyki, dyademy i naszyjniki. Już w okresie magdaleńskim napotykamy przedmioty, które w zasadzie swego ukształtowania niczem nie różnią się od dzisiaj wyrabianych. Dalej, pomniki budownictwa świadczą o istnieniu pewnych ustalonych kształtów, naturalną drogą powstałych, niepodlegających przeobrażeniom w czasie i przestrzeni.

Najpierwszą duchową potrzebą człowieka jest zachowanie szczątek zmarłych i przekazanie ich następnym pokoleniom jako drogiej relikwii. Budowla więc która temu przeznaczeniu ma służyć, musi być przedewszystkiem trwałą. Ma ona przytém w odpowiednim kształcie wyrażać na zewnątrz moc, niespożytość i mały świat sam dla siebie skończony, mikrokosm stanowić. Wykopana z dołu grobowca ziemia, którą szczątki zmarłego przysypano, naturalnym prawem układa się w kształcie ostrokągu. Kształt taki zadość czyni nie tylko użytkowej potrzebie wzniesienia trwałej budowli, ale zarazem symbolizuje geometryczne zamknięcie, stał się naturalnym znakiem architektury grobowcowej. Z tego też powodu, od niepamiętnych czasów, kształt tumularny, zarówno wśród dzikich plemion, jak również w Egipcie, Helladzie, Rzymie i w naszej współczesnej architekturze, jest typem grobowca, który w rozmaitych stylach, tylko w szczegółach podlegał zmianom. Z podobieństwa więc tych budowli, nie można jeszcze wyprowadzać wniosków o jedności pochodzenia rozmaitych plemion np. w Meksyku i Stanach Zjednoczonych, jak to czyni autor. Pomniki w celach religijnych wznieszone, są niemniej silnym i przekonującym dowodem istnienia pewnego, wrodzonego nam poczucia niezmiennych kształtów, za pomocą których ujawniamy nasze ideały. Tak np. w kamieniach ustawionych w pewnym geometrycznym porządku, człowiek bezwiednie, instynktowo w porządku ich układu pojęcie pewnego prawa wyraża. Kromlechy, dolmeny, menhiry, są wyrazem prawa, które estetyka streszcza formułą: jedność w mnogości.

Obok tego estetycznego prawa, istnieje jeszcze inne również wrodzone człowiekowi. Pod wpływem gwałtownych uczuć jestestwem naszym wstrząsających, bezwiednie wnosimy wzrok ku górze, przez co utożsamiamy wzniosłe uczucia ze zmysłowemi wrażeniami, które powstają w nas na widok przedmiotów zwykłą miarę przerastających. To właśnie wrodzone nam poczucie jest pierwiastkiem kształtowania budowli mających wyższe, duchowe znaczenie, jak np. ołtarzów, świątyń i pomników, które przez wysokie podmurowanie, piedestały, nabierają właściwych swemu przeznaczeniu cech estetycznych

do tego stopnia ogólnych, że zarówno powtarzają się w architekturze świątyń helleńskich, jak wznoszonych przez dzikich na wyspie Fidzi. Piramidalna, równoległościenna, czy też stopniowana podstawa jest nieodłącznym atrybutem ołtarzów, świątyń i budowli na pamiątkę wiekopomnych zdarzeń czy też niepospolitym mężom wznoszonych. Nareszcie, uważny badacz dostrzeże w motywowaniu urn i waz z wieku brązowego, odnalezionych w Villanova, tendencją ornamentacyi podobną do motywów, jakie później na fryzach i naczyniach helleńskich widzimy. Poetyczne więc hipotezy, któremi niewtajemniczeni specjalnie w istotę architektonicznej sztuki, chcieliby genezę kształtów budownictwa objaśnić, mają tylko względną racją bytu, o ile powien kształt odpowiada wrodzonym nam estetycznym pojęciom. Ani więc kolumna dorycka nie jest naśladownictwem pnia drzewnego, ani też konary drzew nie dały wzoru sklepieniom, jak to utrzymuje autor. Takie więc kształty, jak np. tumularny grobowca, wysokie podmurowanie świątyni, jako niepodlegające przeobrażeniom w czasie i przestrzeni, nazywamy symbolami naturalnemi. Ale prócz tych niezmiennych, jak prawo ciężenia w przyrodzie, estetycznych znaków, kształtowanie podlega czynnikom zmiennym w czasie i przestrzeni, których badanie istoty stanowi przedmiot historii sztuki.

Do tego właśnie kierunku studyów dzieło p. N. Jodki, dostarcza nadzwyczaj bogatego materiału. Wielkiej też doniosłości są szczegóły, które autor przytacza, omawiając charakter, religiję, ustrój państwowy i t. p., każdej oddzielnej rasy. Zadanie historyka sztuki, redukuje się do wyjaśnienia za pomocą fizycznego i moralnego środka przewagi rozwoju jednej gałęzi sztuki nad drugą, i charakterystycznych cech stylowych, bez wdawania się w podnoszenie pewnych epok stylowych do apotezy, to znów innych redukowania do zera. Z faktów np. przytoczonych przez autora, a tyczących się charakterystyki Negra, którego nieokielzany temperament, wesołość, zmysłowość przekraczająca granice ludzkich instynktów, przyjmowanie wszystkiego z bezmyślnym śmiechem, spełnianie nawet okrucieństw z wybuchami radości, z tych wszystkich symptomatów, a priori wnosić można, że człowiek z takim temperamentem, nie będzie zdolny odczuć bardziej subtelnych rozkoszy piękna. Jeżeli zapragnie jednak dzieł sztuki, to na pewno twierdzić można, że skłoni się raczej ku plastycznej rzeźbie niż ku romantycznemu malarstwu.

Zdanie to popiera fakt przez autora przytoczony, że murzyn umie odróżnić na obrazie szczegół ubioru, ale nie zda sobie sprawy z obrazu przedstawiającego burzę lub wschód słońca, nie wie czy należy taki krajobraz zwrócić ku sobie dołem czy też górą. Piękno krajobrazowe, którego pierwiastkiem romantyzm, za subtelne dla krewkiego temperamentu Negra, tylko plastyczne, zmysłowe obrazy wywołać mogą sympatyczne drgania jego grubych nerwów. Poważ-

ne, a nawet poetyczne usposobienie autochtonów Kanady i Stanów Zjednoczonych, odzwierciedla się w artystycznych upodobaniach tych plemion. Pieśni Indyan, jako wyraz ich uczuć, nastrojone na smętną, romantyczną nutę. Nawet potoczna ich mowa obfituje w metafrazy i metafory; nadają sobie wzajemnie przydomki: wielkich węzów, przebiegłych wilków, krwawych rąk i t. d. Kobietom zaś: pączków różanych, czystych zdrojów, wierzb płaczących i gwiazd porannych!

Najbardziej jednak przekonywającym dowodem idealistycznego nastroju czerwono-skórych, jest wiara w Wielkiego Ducha. Te wszystkie cechy najzupełniej odpowiadają artystycznemu rozwojowi autochtonów Kanady i Stanów Zjednoczonych. Obok bowiem nieudolnych próbek dłuta, malarstwo u Indyan stoi względnie na wysokim stopniu rozwoju.

Prócz temperamentu społecznego, na istotę rzeźby wpływają w wysokim stopniu pojęcia religijne i rodzaj obrzędów. Tak np. bogini Teoyaoliqui, spłodzona z krwawego kultu autochtonów Meksyku, przedstawia postać kobiety z monstrialną trupią głową, olbrzymiemi, nieproporcjonalnemi do reszty ciała rękoma, które zdają się być wyciągnięte ku ofierze jej poświęconej. Inne znów bóstwo w postaci węża pożera ludzką ofiarę. „Sztuka świecka, mówi autor, gdzie artysta nie ulega wymaganiom starszych pojęć religijnych, daje dość wdzięczne postacie.“ Byłoby pożądanem, aby autor częściej dawał podobne uwagi, jako wyjaśniające nam istotę sztuki za pomocą stanu kultury.

Dwie narodowości: chińska i japońska, należące do jednój i téjże samój rasy, bardzo zbliżone do siebie cechami zewnętrznymi, pod wpływem odmiennych warunków topograficznych i klimatycznych a szczególniej ustroju państwowego, wytworzyły odrębne typy w dziedzinie artyzmu. Administracyjna centralizacya w cesarstwie chińskiem, doprowadzona do tego stopnia absurdu, o jakim dotąd nie marzył żaden z europejskich mężów stanu. Wspólnemi cechami zarówno ustroju państwowego, literatury, nauki i życia tak publicznego jak prywatnego w Chinach, jest drobiazgowość, formalistyka, nieskończona ilość skomplikowanych reguł pisowni, gra wyrazów, a wszystko to uwieńczone głęboko zakorzenionym, zapleśniałym konserwatyzmem. Wszystkie te odcienie narodowej barwy, jaskrawo załamując się w sferze chińskiego artyzmu, wyrzucają promienie które rażą Europejczyka, na wzorach greckich kształconego. Znaną jest wszystkim, choćby z obrazków, ekscentryczność chińskiej architektury, tego skryzalizowanego wstecznicstwa, bezmyślnego zamiłowania do wszystkiego co dawne, zapleśniałe.

Dziwaczna, wszelkim zasadam piękna i logiki przeciwna, wkleśła linija dachów chińskich, wszystkich w podziw wprowadza. Kształten jest par excellence wyrazem konserwatyzmu synów państwa nie, bieskiego. Chcą oni tym sposobem wyrazić starożytność budowli, którój pierwotna słomiana strzecha, pod wpływem czasu wkleśła,

w tym stanie zakonserwowana i reprodukowana w nowo wzniesionych gmachach.

Zamiatanie w znakach sztucznego symbolizmu, który zawsze poważną rolę odgrywa w każdym konserwatywnym społeczeństwie, sprawiło, że zazwyczaj dachy a szczególnie wieńczenia bram tryumfalnych w Chinach, bywają przyozdabiane wyobrażeniami mytycznych smoków, które „według ksiąg Szu-King, są słowa p. N. Jodki, ukazują się na ziemi w ważnych tylko chwilach, zwiastując urodzenie wielkich ludzi, początki wielkich panowań, i inne pomyślnie dla kraju zdarzenia.“

Pod strzechą więc takim symbolem zaopatrzonej, musi zakwitnąć szczęście i zdarzenia zaszczyt jej mieszkańcom przynoszące. Czy więc ekscentryczny kształt integralnego elementu architektonicznego dzieła, pokrycia budowli, jest naśladownictwem starego, pod wpływem czasu wykrzywionego kształtu, czy też reminiscencją namiotu kocujących plemion, lub ma wyobrażać parasol symboliczny drzewo Buddy, w każdym razie widocznym jest reminiscencja dawnych, pomroką czasu przyćmionych wieków, sztuczny symbolizm, który już w swój zasadzie jest wyrazem wsteczności.

Nie tylko jednak kształty podlegają despotycznej formalistycy. Wszystko przewidująca etykieta chińska, w swój przeczorności, oznacza ściśle barwę i rodzaj materiału, odpowiednio do charakteru budowli, co jednak nie wpływa z pewnych na logice opartych zasad estetyki lub konstrukcyi, lecz na przepisach tradycją uświęconych. Tak np. prawo budowlane, a raczej chińska estetyczna recepta, dozwala użycia białego marmuru wyłącznie do podmurowań i cokółców pałaców cesarskich, a przywilój na szkarłatną barwę Tscha-Pang, mają tylko rezydencye cesarskie i książąt z domu panującego. Żółtą zaś dachówkę użyć wolno tylko do pokrycia pałaców cesarskich; zieloną do rezydencyi mandarynów.

„Gdy budowano niedawno kościół w Pekinie i dwie jego wieże dosięgły pewnej wysokości, są słowa p. N. J., rząd chiński zaprotęstował przeciwko dalszemu prowadzeniu robót, dając powód, że z wierzchołka ich, natrętne spojrzenie mogłoby zagłębić się do wnętrza cesarskiego pałacu.“ Polityca budowlana w żadnym kraju nie jest tak czujna i dobrze zorganizowana jak w Chinach.

Stosując ogólne prawo towarzyszące rozwojowi tej lub owej gałęzi sztuki, i charakteru narodowego chińczyka, jego wierzeń i ustroju państwa niebieskiego, łatwo przewidzieć, że z dwu sztuk rysunkowych: malarstwa i rzeźby, pierwsza przewyższy drugą. Maniera i konwencjonalność jest wspólnym przymiotem tak życia jak dzieł sztuki chińczyka.

Nie można więc przypisywać wpływom misjonarzy pewne wspólne cechy pokrewieństwa rzeźby chińskiej ze stylem barokowym i rokoko w Europie. Albowiem nie chińczycy naśladowali kształty techniki europejskiej, lecz Europejscy artyści XVIII w., szukając

wszędzie ekscentryczności, sięgnęli do arcyzmu chińskiego, a sprowadzone do Meissen i Sèvres sprzęty chińskie, stały się wzorem dla społeczeństwa, spragnionego nowych, przedtęm nieznanymi wrażeń. W ogóle na dalekim Wschodzie zmysł kolorystyczny silniej rozwinięty niż poczucie kształtów. Chińczycy też są lepszymi malarzami niż rysownikami. Ztąd też malarstwo krajobrazowe, jeżeli mamy wierzyć podaniom, przewyższało rodzajowe i historyczne. Rzeźba o której pięknie stanowi wyłącznie poprawność rysunku, nigdy w Chinach nie dosięgła wyżyn prawdziwego arcyzmu.

W Chinach nie ma zwyczaju wystawiania posągów na widok publiczny; jakież to jaskrawy kontrast ze starożytną Helladą! Nie mniej pouczającym dla badaczy historii sztuki jest fakt, który za autorem powtarzamy. „Jeden z europejskich malarzy, który pracował w Chinach, powiada, że przyjazny mu artysta miejscowy zwrócił jego uwagę na wielką niedokładność, której się dopuścił w oddaniu jednego z kwiatów na pierwszym planie krajobrazu, a mianowicie, że liście jego miały po kilka żyłek i ząbków mniej, aniżeli powinny mieć w rzeczywistości.” Chiny więc są ojczyzną naturalizmu w sztuce!

Japończycy, pomimo długoletnich wpływów rządu szogunów, ciemieżców i uzurpatorów, nieprzebierających w środkach w polityce wynaradawiania, zachowali swą rodzimą barwę i sztukę. Chińczyk, jak wiadomo, jest nieruchliwym, ideały jego polityczne uosabia Syn Nieba, Wieczny-Samotnik. Japończyk zaś, przedsiębiorczy, śmiały, ciekawy, zamiłowany do dalekich podróży, dążył zawsze do samorządu i decentralizacyi. Podobnie jak w starożytniej Helladzie, każde miasto a nawet każde sioło japońskie ma swych bogów i bohaterów (h o t e k e) na cześć których bywają wznieszone świątynie.

Czy przyczyny tej charakterystycznej, odrębnej barwy narodowej nie należy szukać w topograficznem ukształceniu Japonii, rozrzucenój blisko na trzech tysiącach wysp, poprzerrywanych pasmami wysokich gór, i stanowiącém tak silny kontrast z wielką płaszczyzną absolutnej monarchii chińskiej, oddzieloną od reszty świata nie tylko murem z kamieni, co ustawami, mającemi na celu odgrodenie chińczyka od reszty ucywilizowanego społeczeństwa.

W Japonii napotykamy prawie wszystkie rodzaje klimatu i gleby. Wyspa Yezo zbliża się swym klimatem i florą do Norwegii, wyspa Nipo do Europy środkowej, nareszcie wyspa Kiu-siu należy już ze względu na klimat i roślinność do podzwrotnikowej sfery. Taka różnaitość klimatu, flory, fauny, układu topograficznego i rozwinięcia brzegowego, musiała wydać inną ludzką roślinę niż ta, która wzrosła pod cieniem rządowego chińskiego parawanu. Język japoński bardzo harmonijny, poezya wielce fantazyjna i barwna, odzwierca znakomicie i wiernie najdrobniejsze szczegóły. Najświetniej przedstawiają się jednak japońskie poematy heroiczne t. zw. m o n o g a t r i, w których bardowie opiewają wielkie czyny narodowych

bohaterów. Japonia miała nawet swego Homera, ślepego piewęcę Seobuta, który uwiecznił walkę dwóch książęcych domów: Taira i Miamoto. Pomimo rozwiniętego zmysłu estetycznego japończyka, w jego utworach artystycznych napotykamy dziwaczne sprzeczności. Obok utworów duża i pędzla niezaprzeczonej artystycznej wartości, o horrenda nie trudno. Sprzeczność tę łatwo wytlómaczyć hamulcem z góry na twórczość artystyczną nałożonym.

Rzeźba i malarstwo rodzajowe posiada w sobie wiele niepospolitych przymiotów prawdy i żywotności, malarstwo zaś historyczne, portretowe i religijne, konwencyjonalne, dyletanckie a nieraz nawet odstrasające. Pierwsi krzewiciele buddaizmu, Szo-toku-taiszi i Koto-daiszi, byli zarazem pierwszymi pionierami sztuki rzeźbiarskiej, co już nam wyświeśla jęj charakterystyczne cechy. Pierwotnym typem, z którego rozwinęła się sztuka rzeźbiarska jest posąg Buddy japońskiego Dai-butu, uosobienie żywój esencji, duszy ludzkiej, myśli pracującej, słowem wszelkich antytez ideałów, które wydały wzór plastyki — rzeźbę helleńską. Pojęć oderwanych buddaizmu rzeźba nie może wyrazić, przechodzi to zakres jęj estetycznego alfabetu; abstrakcyja, której konwencyjonalnym zewnętrznym znakiem symboliziu sztuczny, przeciwna samęj zasadzie plastyki i stanowi z nią jaskrawy kontrast.

Rzeźbiarz japoński wyraża za pomocą wielkich rozmiarów posągów, idee subtelne buddaizmu, np. w posągu bóstwa Daibusu w świątyni Nerea, wysokiego na 20 m. a ważącego 450,000 kilogr. Posąg ten w postaci stojącej miałby wysokości 42 m.

Chorobliwy wygląd postaci w posągach sztuk japońskiej przedstawionych, jest ich znamioną cechą. Czoło nadmiernie rozwinięte, wystające szczęki, nadzwyczajna indywidualność wyrazu fizjonomii, zamiłowanie w odtwarzaniu ułomności ciała, są cechami wpływającymi z nauki Buddy, który nakazuje umartwienie ciała, ascetyczne życie. Podobne przyczyny, podobne skutki wywołują. Rzeźba chrześcijańska w tych samych warunkach powstała, podobne też typy rzeźbiarskie stworzyła.

Tam gdzie rzeźbiarz japoński wolny od religijnego kanonu, tworząc swobodnie, wydaje dzieła niezaprzeczonej artystycznej wartości, jak to widzimy w rzeźbie rodzajowej. Też same wpływy zewnętrzne, które spaczają fantazyą japońskiego artysty, widzimy w jego dziełach malarskich. Sztywność i nienaturalność jest cechą stylową obrazów religijnej i historycznej treści, lub mających jakąkolwiek bądź łączność z rządem. Co się tłómaczy tém, że artyście nie wolno analizować ułomności osób zajmujących wybitne stanowiska, należących do sfer wpływowych lub też znakomitych rodów. Etykieta zastępuje estetykę, według której, oblicza znakomitości powinny być podciągnięte pod jeden szablon, co zresztą nie jest tak trudnym dla artysty zadaniem, bo bezmyślny, głupowaty wyraz fizjonomii, w Japonii należący do dobrego tonu. Ponieważ przepisy re-

ligijne nic nie mają wspólnego z poczuciem krajobrazowém, na tém przeto polu pozostawiono artyście zupełną swobodę. W tym też kierunku zmysł piękna rozwinął się w japończykach do wysokiego stopnia. „Niema, mówi p. N. J., jakiegokolwiekbądź klasy ludności nieczułej na piękno natury.”

Przedstawianie krajobrazów w sylwecie, jakby z zagęstėj mgły widzianych, jest znamieniem romantycznego kierunku malarstwa. Wysoki punkt widzenia, objaśnia autor topografią kraju górzystego, w którym artysta przyzwyczajony do obserwowania natury z pewnej wysokości, co tłumaczy charakter t. zw. lotu ptaka krajobrazów.

Dotąd rozpatrywane przez nas u rozmaitych plemion i narodów artystyczne objawy, wyznać należy, nie są jeszcze dotychczas ujęte w ścisłe naukowe ramy. Pomijając już barbarzyńskie plemiona Afryki i Ameryki, nawet Chiny i Japonia, nie mają dotąd systematycznie opracowanej historii sztuki, w związku z rozwojem cywilizacji. Przejdziemy teraz do tych narodów, których historia sztuki, dzięki pracom uczonych współczesnych, przedstawia się z zupełną jasnością. Zarówno autor traktatu o artystycznym rozwoju ludzkości, jak i sprawozdawca pracy jego, będzie miał ułatwione zadanie, szczególnież dzięki najnowszej w tym kierunku pracy Perrot'a i Chipiez'a.

Właściwie pozytywno badanie rozwoju cywilizacji a szczególnież sztuki, może być rozpoczęte tam, gdzie pulsa życia społecznego dadzą się jasno wytłómaczyć przyczynami klimatycznymi i topograficznymi.

Pewność bytu, spokój o przyszłość, zmieniają barbarzyńca na ucywilizowanego człowieka. Egipt też musi być uważany za prapradziada cywilizacji i sztuki. Uczony Mariette twierdzi, że społeczeństwo egipskie utworzyło się dopiero wtedy, gdy il naniesiony przez cudotwórczą rzekę w dostatecznej ilości, pustynię zmienił w urodzajną glebę. W kraju, w którym zjawisko przyrody, od którego byt społeczny zależy, wylew rzeki, nie jest bynajmniej przypadkowym, ale powtarza się w odstępach czasu z matematyczną ścisłością, ścisłość ta przechodzi w pulsa życia społecznego i artystycznego. Wpływ otaczającego krajobrazu, tej pierwszej estetycznej szkoły, reprodukcyjną wyobraźnię naszą w dzisiejszym stanie nauki wątpliwości, podlegać nie może.

Po nad brzegami Nilu ciągnące się łańcuchy gór, zakreślają na horyzoncie dwie równoległe w nieskończoności gubiące się linije.

Świątynia egipska rozwijając swe masy w kierunku osi długości, bez żadnej naprzód określonej zasady, jest tej nieskończoności daleką reminiscencją. Pilon i zagrody murowane następują jedno po drugich, podczas gdy w świątyni helleńskiej, pod wpływem innej natury krajobrazu, miara i proporcya z góry była określona. Z jednego odłamku, motywu helleńskiego, można oznaczyć ogólne wymiary budowli, podobnie jak naturalista z kości odtwarza całość przed

potopowego zwierzęcia. Świątynia zaś egipska rozwija się jak taśmieniec, którego długość trudno naprzód obliczyć. Pojęcia religijne szczególniej potężny wpływ wywarły na kształty architektoniczne powstałe w dolinie Nilu. Człowiek w pierwszych chwilach swego rozwoju mierzy według doczesnej modły wszechświat i byt pozagrobowy. Według pojęć egipcyanina ostatnie technienie konającego pozostawało na wieki, jest dwójnikiem człowieka, jego alterego, które według Mariette'a starożytni egipcyanie terminem *ka* oznaczali.

Dwójnik musiał być troskliwie ochraniały, i dla niego też wznoszono budowle, które swą trwałością do dziś urągają wiekom, politycznym burzom i łupiestwu podróżników. Tą samą niepożytością co architektura odznacza się rzeźba egipska, która również ma być wiecznie trwałą powłoką dla dwójnika, aby tym sposobem przekazać cię zmarłego następnym pokoleniom.

Pomimo wszelkich cech trwałości na liczne wieki obrachowanej, myliłby się ten ktoby sądził, że sztuki w starożytnym Egipcie nie podlegały żadnym zmianom; owszem, miały one swój styl archaiczny, rozkwit i upadek.

W rozwoju cywilizacji Chaldei i Assyrii, widzimy powtórzenie i stwierdzenie tego samego prawa, które rządziło kulturą Egiptu. Kolobką Chaldei podobnie jak Egiptu są grunta naniesione prądem Eufratu i Tygrysu. Cywilizacja rozwinęła się podobnie jak w Egipcie, posuwając się od ujścia do źródeł rzeki.

Jakkolwiek deszcze w Mezopotamii nie często padają, jednak nie są tak niezwyklej zjawiskami jak w bezdeszczowym Egipcie, burze zrywają się na krótką chwilę, ale z niezmierną gwałtownością. W takich warunkach klimatycznych i przy użyciu cegły jako jedynego prawie materiału budowlanego w jaki obfitowała Mezopotamia, należy jaknajstaranniej unikać pochyłych płaszczyzn, zastępując je pionowemi ścianami, mniej ulegającemi niszczącymu wpływom wód deszczowych. To nam tłómaczy zastąpienie pochyłych ścian egipskiej piramidy pionowemi, w podobnych budowlach architektury chaldeo-assyryjskiej. Po odjęciu bowiem wszystkich akcesoryów, chaldeo-assyryjska budowla da kształt prostokątnego równoległociąnu, który odpowiednio kombinowany i układany złoży wszystkie typy w mowie będącej architektury. Pałace i świątynie, w ogólnym charakterze płaskie, rozwijają się w kierunku osi poziomych, w czem odzwierciedla się poczucie estetyczne architektów, wśród nieskończonej płaszczyzny wykształcone. Pomimo to, w motywowaniu budowli widoczna jest chęć przerwania jednostajności architektonicznego układu. Ubóstwo w naturalny kamień budowlany, przy obfitości gliny zdanej do fabrykacji cegły, a przytem klimat wilgotny, te warunki wywołały świetny koloryt budowli Mezopotamii.

Cegła bowiem użyta w wilgotnym klimacie, jeżeli ma być trwałą, musi być powleczona szklwem, które przez domieszkę części metalicznych, dla jej utrwalenia potrzebnych, drogą naturalną staje się różnobarwną. Gleba więc, która dostarczyła materiału budo-

wlanego i klimat, są przyczynami indywidualnych cech, nie tylko architektury, lecz i chaldeo-asyryjskiego malarstwa.

Absolutyzm władców wycisnął swe piętno na dziełach pędzla i dłuta. Płaskorzeźby i malowidła zdobiące wnętrza pałaców, uwieczniają bohaterskie czyny monarchów; obrazy te zazwyczaj przedstawiają zdarzenie w następstwie faktów, co jest właściwością sztuki, nie wyzwolonej jeszcze z dziecięcej naiwności.

Dwa plemiona semickie: Fenicyanie i Hebrajczycy, nigdy nie wytworzyli samodzielnej sztuki, co wypływa z ich narodowego charakteru i kultury. Fenicyanie, społeczeństwo na wskroś kupieckie zmaterializowane, nieczułe na subtelne rozkosze których dzieło sztuki sprężyną. Kult ich mieszanina rozpusty i srogości, nie mógł przelać do duszy artysty obrazu spokoju, który w fantazji plastyka helleńskiego spłodził postaci boskiego olimpu. Nie sądzimy więc, aby samo geograficzne położenie Fenicyi, wzdłuż brzegów morskich ciągnącej się, miało być przyczyną zatarcia wszelkich śladów historycznych pamiątek.

Assyryjczycy, Egipcyanie i Grecy, t. j. narody z którymi Fenicyanie byli w stosunkach handlowych, pozostawiły ślady w sztuce kupieckiego społeczeństwa, czego barwnym dowodem patera w Palestynie odnaleziona. Szalasz drewniany, wśród ogrodzenia ustawiony, przed nim ołtarz z brązowym rusztem do składania ofiar, i basen miedziany do ablucyi kapłanów, oto pierwotny typ hebrajskiej świątyni. Przybytek przedzielany bogatą zasłoną na dwie części. W jednej z nich złotą blachą obity stół, przeznaczony na składanie ofiar w dzień sabatu, w drugiej zaś części, miejscu najświętszem, arka przymierza.

Salomon powziąwszy w roku 1017 zamiar wzniesienia przybytku, sprowadza architektów i rzeźbiarzy z Tyru i Fenicyi. Odtworzona według tekstu Ezechiela, przez architekta francuzkiego Chipiez'a świątynia Salomona, daje obraz mieszaniny stylów asyryjskiego i egipskiego, w którym ten ostatni przeważa. W każdym razie Izraelici nigdy samodzielnego stylu architektonicznego nie wytworzyli. Toż samo widzimy w ich rzeźbie. Dzieła dłuta rzeźbiarzy hebrajskich są tylko reminiscencyami sztuki sąsiednich narodów. Złoty cielec to reminiscencya Apisa. Kerabim, które podtrzymywały arkę przymierza, według badań de Sauley, to znów kopia assyryjskich skrzydlatych byków z ludzkimi głowami.

Z kolei śledząc bieg wykładu jakiego trzyma się p. N. Jodko, wypadłoby nam zastanowić się nad związkiem cywilizacyi ze sztuką Persów, Indów i Arabów.

Subtelne jednak pojęcia teogonii Indów, dalikatne różnice charakteru Arabów z innymi plemionami należącymi do rasy semickiej, nie dadzą zaznaczyć się w kilku ogólnych rysach, jak to uczyniliśmy omawiając inne objawy artystycznej twórczości człowieka. Wolimy więc pozostać miejscem ograniczone ramami ar-

tykułu, poświęcić tym objawom, które bliższy związek mają z europejską kulturą i sztuką. Z tego wychodząc założenia, wypadaloby bezpośrednio przystąpić do sztuki helleńskiej, po tém zaś do Etruryi i Rzymu. Autor jednak omawianej przez nas pracy, daje pierwszeństwo Etruryi, co usprawiedliwia tém że z Grecyą i Rzymem wchodzimy już w okres klasyczny. Nie wydaje się nam to dość silnym argumentem, zwłaszcza, że sztuka etruska z rzymską pod pewnym względem stoi w bezpośredniej styczności. Plemiona, które osiedliły się nad Tyreńskim morzem później przez Etrusków i Rzymian zawojowane, są potomkami owych zastępów tyreńskich Pelazgów przybyłych tu z Hellady podczas wielkiej wędrówki. Pod tym więc względem powątpiewania autora są już usunięte. Również wątpliwości podlegać nie może, że kolumna tokańska nie jest rodzinnym Etrusków pomysłem. Nietylko, że wszystkie organy architektoniczne z Hellady zapożyczono, ale nawet ich nazwy są greckie.

Przechodząc do rzeźby etruskiej p. N. J. tłumaczy jej ubóstwo pomimo obfitości materiału, którego dostarczały kamieniołomy w Carrarze i Massie, drewnianem po kryciu świątyń, do którego zatem kamienne posągi nie mogły być zastosowane. Przyczyna ta wydaje nam się drugorzędną. Charakter rzeźby, jej bogactwo czy też ubóstwo, wypływa przedewszystkiem z religijnych pojęć, których rzeźba jest najpierwszym widonym wyrazem. Dualizm wiara w istnienie abstrakcyjnego zła i dobra w postaci niepochwytanych i w plastyce nie dających się konkretnie wyrazić postaci, jest zarazem kantrastem mitologii helleńskiej a zatem i helleńskiej plastyki. Omawiając ceramikę etruską, szkoda, że autor nie podaje więcej szczegółów i rysunku wazy Klitasa i Ergotimososa, mającej tak ważne znaczenie w badaniu genezy kształtów architektonicznych. Zresztą jest to tylko drobny szczegół, z którego zarzutu autorowi czynić nie można.

Po obszernym programie, który autor sobie zakreślił, a osobliwie z podanych szczegółów dotyczących się rozwoju cywilizacji nawet plemion barbarzyńskich, można byłoby spodziewać się, że Hellada, ta, jak ją sam autor nazywa „inicytorka i karmicielka“ naszej cywilizacji i sztuki naszej, zajmie poważniejsze miejsce w dziele którego treścią jest przeważnie artystyczny rozwój ludzkości. Zaciekawiony czytelnik dozna tu niestety zawodu, nie ze względu na nieumiejętne lub błędne pojęcie przedmiotu, ale z powodu nie dość wyczerpującego rozwinięcia jego, stosunkowo do innych omawianych kwestyj, nie mających ani pod względem cywilizacyjnym ani artystycznym tak wielkiej doniosłości jak helleńska sztuka i kultura. Wprawdzie na samym wstępie rozdziału o Grecyi, autor przewidując zarzut usprawiedliwia się tém, że zakres pracy jego byłby za obszerny. W takim więc razie należało poświęcić wykład choćby wszystkich innych objawów cywilizacji i sztuki, dając pierwszeństwo kulturze i artyzmowi helleńskiemu. Kultura Hellady a szczególnie jej zasady plastyki na jej gruncie wyro-

słój, jest probierzem według którego oceniamy inne twory artysty, jest ona t \acute{e} m w badaniu objawów pi \acute{e} kna, cz \acute{e} m dwie osie kt \acute{o} re kreśli malarz i architekt dla oryentowania si \acute{e} w rozpocz \acute{e} t \acute{e} m dziele. Autor zaledwie kilka s $\acute{o$ w mimochodem po \acute{s} wieca rzeźbie i architekturze greckiej.

Pomimo t \acute{e} j nieproporcjonalności wzgl \acute{e} dnie do innych rozdział \acute{o} w, autor, posiłkując si \acute{e} najnowszymi wywodami badacz \acute{o} w francuzkich, bardzo trafnie i barwnie kreśli rzut og $\acute{o$ lnych warunk \acute{o} w w jakich powstała sztuka grecka.

Pomini \acute{e} cie milczeniem rzeźby i architektury helenickiej zast \acute{e} puje autor do \acute{s} c obszernym traktatem po $\acute{s$ wieconym ceramice i malarstwu. Omawia oddzielnie rozmaite rodzaje dzieł garncarza i malarza, dając przy t \acute{e} m systematyczny kurs ich historii. Obok tego systematycznego wykładu, czytelnik napotka nie jedno zdanie dowodzące że autorowi nie s \acute{a} obce gł \acute{e} bszy i og $\acute{o$ lne wywody, tak pożądan \acute{e} w wieku, kt $\acute{o$ ry przestał uważać czy to historią polityczną czy to historią sztuki za kronikarskie wyliczenie fakt \acute{o} w.

Dwoista barwa cywilizacyi Rzymu pod wplywem Etruzyi i Grecyi pozostawiła swe ślady szczeg $\acute{o$ lniej w architektonicznej sztuce. Szkielet budowli, konstrukcyja, jej treść właściwa jest pomysłem Etrusk \acute{o} w, od kt $\acute{o$ rych Rzymianie zapożyczili sklepienie. Zewn \acute{e} trzna zaś strona artystyczna szata jest zn \acute{o} w czysto pomysłem helenickim. Obok zupełn \acute{e} słusznych uwag autora, że w architekturze rzymskiej, organa jej pozbawione wszelakiego znaczenia i stanowią najcz \acute{e} ściej czc \acute{z} , nie mając \acute{a} zwi \acute{a} zku z budowl \acute{a} dekoracy \acute{a} , lub t \acute{e} ż obok bardzo umiejętnego określenia istoty t. zw. porz \acute{a} dku architektonicznego, napotykamy zdania, kt $\acute{o$ re byłyby dowodem bardzo powierzchownej znajomości przedmiotu jak np. że „Grecy nadawali pozor \acute{a} wielkość temu, co rzeczywiście jest małe“ i, że cały system a nawet dekoracyja świątyń rzymskich była etruska. Owszem świątynie helenickie wydają si \acute{e} nam mniejszymi ni \acute{z} s \acute{a} w istocie, jest to zupełnie zgodne z ich kultem, z postaci \acute{a} wyobrażanego b \acute{o} stwa do człowieka zbliżonego. Gdybyśmy budowlę równych wymiar \acute{o} w ze świątynią helenick \acute{a} umotywowali na wz \acute{o} r współczesnych budowli, niezawodnie w oczachby wzrosła; co zreszt \acute{a} łatwo zapomoc \acute{a} doświadczenia stwierdzić. Zdanie, że „ojczyzna Greków w życiu zwykłym kończyła si \acute{e} wraz z murami miasta“ przez por \acute{o} wnanie i antytezę kosmopolityzmu obywateli wiecznego grodu, możnaby rozwinąć bardzo szeroko, i wyprowadzić zt \acute{a} d wnioski wielkiej doniosłości. Albowiem ten separatyzm Helen \acute{o} w i kosmopolityzm Rzymian, jest jednym z najgł $\acute{o$ wniejszych znamion, wyjaśniających wytworzenie si \acute{e} właściwości stylowych sztuki greckiej i rzymskiej.

Sztuka w Rzymie nie wywierała tego czarodziejskiego uroku jak w Helladzie, gdzie była bardziej niezbędn \acute{a} , potrzeb \acute{a} ni \acute{z} nawet zadośuczynienie potrzebom materialnym codziennego życia. Rzymianin przejęty myślami zaborczeni, chciwy łupu, w swych upodobaniach parwenjusz, uważa sztukę za symbol bogactwa, kt $\acute{o$ rem

olśniewa klienta. Architektura i rzeźba rzymska jawnie to wyraża. Rzeźbiarz rzymski nie tworzy już idealnych postaci plastyki heleńskiej, ale zniża się do rzemiosła portrecisty, który z umysłu nawet odtwarza wszelkie ułomności ciała. Do tego stopnia prawdy rzeźbiarz heleński nie byłby się posunął. Kult rzymian również nie daje pola, na którym plastyka mogłaby się rozwinąć. Nawet nazwy bóstw oznaczane były niejasnymi ogólnikami i atrybutami, które tylko zapomocą sztuki poetyckiej mogą być wyrażone. Napisy objaśniające, komentując znaczenie posągu, zastępują brak przedmiotów plastyczności.

Charakterystyczna próżność dorobkowiec w połączeniu z despotyzmem ostatnich monarchów niweczy istotną wartość sztuki malarskiej. Hypoteza, którą autor przytacza, że posąg, przedstawiający trzy gracye, posłużył za wzór do obrazu, noszącego ten tytuł a odnalezionego w 1760 w Pompei, jest jeszcze jednemu więcej dowodem rzeźbiarskiego charakteru sztuki malarskiej w świecie klasycznym.

W niniejszym artykule ograniczyliśmy się jedynie na zestawieniu faktów, podanych w dziele p. N. Jodki, dopełniając je tu i owdzie w miarę potrzeby. Chcieliśmy tym sposobem udowodnić, że jakkolwiek autor nie zmierzał do wyprowadzania ogólnych poglądów na związek sztuki z cywilizacją, jednak uważny i odpowiednio przygotowany czytelnik, korzystając z nagromadzonego materiału, sam będzie umiał odpowiednie wyprowadzić wnioski. Szkoda tylko, że autor nigdzie nie cytuje źródeł, któremi się posiłkował. W każdym razie dzieło p. A. N. Jodki, jako mające na celu rozszerzenie nader szczupłego zakresu naszej artystycznej erudycji, jest cennym nabytkiem dla piśmiennictwa ubogiego w tego rodzaju prace. Z tych wszystkich względów autor „Rysu Historii,” który jak się dowiadujemy z przedmowy dzieła, jest ziemianinem, spełnił czyn prawdziwie obywatelski.

Kazimierz Kleczkowski.

Karol Dickens. — „Dawid Copperfield.“ Powieść, przełożyła i życiorysem autora poprzedziła Willa Zyndram Kościelkowska. Warszawa 1889 str. 711. „Biblioteka Najcenniejszych utworów literatury europejskiej.“ (Literatura Angielska).

Powódź tłumaczeń, która zalewa od dość długiego czasu nasze pisma peryodyczne, nasuwała mi często na myśl dwa pytania: 1) czy publiczność polska tak bardzo się interesuje literaturą obcą: hiszpańską, szwedzką, niemiecką, angielską, włoską, francuską, i. t. d. i 2) czy literatura i język polski dużo na tych książkach korzystają? Po głę-

szém zastanowieniu się nad tą kwestyą, przyszedł do przekonania, że odpowiedź na powyższe pytania zależy nie tyle od zainteresowania się ogółu publiczności postępem literatury powszechniej, ile od warunków ekonomiczno-społecznych, panujących w naszym kraju. Trudno nadzwyczaj u nas o pracę; wielu ludzi wykształconych i uzdolnionych szuka napróżno kawałka chleba, a cóż dopiero powiedzieć o tym licznie reprezentowanym zastępie kobiet również wykształconych, (może nie dosyć specjalnie); posiadających przeważnie znajomość kilku języków europejskich, a zmuszonych pracować na własne utrzymanie? Jeżeli nie znajdują zajęcia w stanie nauczycielskim, dla braku odpowiednich patentów lub pierwszeństwa cudzoziemek, a chcą przecież w jakiś korzystny sposób zużytkować nabytą (często dużym kosztem) znajomość języków obcych i poświęcają się z konieczności literaturze, a w szczególności tłumaczeniom. Tłumaczenia te, z powodu, że osób w ten sposób szukających zarobku jest bardzo wiele, są bardzo lichy płatne; chcąc tedy choć niewielką odnieść korzyść, trzeba w krótkim czasie dużo przetłumaczyć. Tym sposobem redakcyje zarzucono są tłumaczeniami przeważnie powieści, jako rodzaju u nas najpoczytniejszego. Powieści te niezawsze mają wartość literacką; w wielkiej ich liczbie trudno jest znaleźć utwór jeszcze nie tłumaczony, przekłada się zatem rzeczy najświeższe i najnowsze, często kreacye bardzo miernych autorów, których obecnie i zagranicą nie brakuje. Język w tych tłumaczeniach bywa ponajwiększej części zaniedbany i wskazuje wyraźnie, że dokonane były ze słownikiem w ręku i à prima vista. Tym sposobem korzyści, które z tego rodzaju prac wyniknęłyby mogły dla literatury i języka polskiego, są nader wątpliwe. Są wszakże wydawnictwa, których sam tytuł zdaje się wskazywać, iż mają na celu wzbogacenie naszego piśmiennictwa. jak n. p. „Biblioteka najcelniejszych utworów literatur europejskich“ i dla tego to sądzimy, iż ogłoszony niedawno przekład jednego z największych arcydzieł powieściowych literatury angielskiej, zasługuje na dłuższą cokolwiek wzmiankę.

Karol Dickens (ur. 1812 r. w Landport, niedaleko m. Portsmouth, umarł 1870 r. w Gads-Hill pod Rochester, pochowany w opactwie westminsterskiém), żył i pisał w epoce najświetniejszego rozwoju powieści angielskiej. Współczesny Bulvera i Thackeraya stanowi trzecią osobę tej wspaniałej trójki, która jest chlubą literatury angielskiej. Lecz o ile dwaj poprzedni pisarze utwory swojej wyobraźni umieszczali zwykle w wyższych klasach społeczeństwa i typom swoim przeważnie na wielkim kazali obracać się świecie chłuszcząc go niekiedy (np. Thackeray), biczem nieporównanej satyry, o tyle Dickens wziął sobie za przedmiot studyów i głębszej swojej analizy średnie i najniższe warstwy społeczne. O ile dwaj utalentowani jego koledzy po piórze pisali głównie powieści filozoficzno-psychologiczne, o tyle znów utwory Dickensa, jakkolwiek

nadzwyczaj bogate w powyżej wymieniony materyał, odznaczają się prawie zawsze jakąś tendencyą, wymierzoną przeciw pewnym wadliwym instytucjom i urządzeniom krajowym.

Nie tu miejsce i pora, rozbierać znaczenie i zasługi tak znakomitego jak Dickens pisarza, dodać tylko możemy, że pisma jego ukochane są w Anglii i popularne zarówno pomiędzy arystokracją, jak klasą średnią i ludem—a wywierały w swoim czasie taki wpływ, iż przyczyniły się do zaprowadzenia wielu zbawiennych reform już to w systemie edukacyjnym i pensyonatach, już to w formie więzień etc. „Dawid Copperfield“ uważany jest za najznakomitsze dzieło tego autora; ma zaś na celu, oprócz pewnych bardzo dowcipnie napisanych a satyrycznych wzmianek, krytykujących sądownictwo i debaty parlamentarne, wystawienie doskonałego pod psychologicznym względem obrazu życia pojedynczego człowieka od kolebki aż do wieku dojrzałego oraz obrazu tworzenia się jego charakteru pod wpływem wrażeń, jakie odbiera i otoczenia, które spotyka. Świat i życie, które otaczają i wychowują małego Dawida, są tak prawdziwe, ludzie, których spotyka, tak żywi i nawet w oryginalnościach swoich typowi i psychologicznie usprawiedliwieni, że czytelnik z nieustającą ani na chwilę zajęciem dzieli aż do końca losy tego niemożliwego, dziecka, młodzieńca i człowieka. Oprócz samego bohatera, natrafiamy w powieści na tyle różnorodnych a znakomicie przedstawionych, lub tylko naszkicowanych charakterów, iż podziwiać trzeba bogactwo pomysłów i sztukę wcielania się w coraz to nowym życiem tętniące postacie.

Pani Kościalkowska, autorka znana już z oryginalnych prac w literaturze naszej, przedsięwzięła wielką i trudną pracę zabierając się do przekładu powyżej wymienionej powieści; Dickens jest bowiem, podług mnie, jednym z najtrudniejszych do tłumaczenia pisarzy. Przekład swój poprzedziła p. K. dość obszernym wstępem o Dickensie (str. 1—59); wstęp ten odznacza się wieloma bardzo trafnymi uwagami treści ogólnoliterackiej, oraz niektórymi sprawiedliwymi bardzo wzmiankami o pismach samego autora, lecz napisany jest w ten sposób, iż ci tylko, którzy wszystko pisma Dickensa znają, będą mogli pojąć ich znaczenie. Pani K. posługuje się nadto stylem niejasnym, rozciągniętymi okresami i zawiłej konstrukcyi zdaniami tak, iż często dwa i trzy razy przeczytać trzeba nie jeden wstęp, aby zrozumieć jego rzeczywiste znaczenie. Dla czego w ogóle ubierać język polski, lubiący szczególnie prostotę konstrukcyi, w te tak wyszukane a szumno brzmiące zdania ze słowem lub określeniem jego na końcu, tego trudno zrozumieć, skoro najlepsi nasi klasyczni pisarze przykładów podobnych nie zostawili nam nigdzie. Co do samego tłumaczenia, to ma ono tę ogólną wadę, iż język wiele pozostawia do życzenia, czytelnik odbiera niesympatyczne wrażenie, podczas kiedy oryginał odznacza się właśnie poetycz-

nością stylu oraz nadzwyczajną plastycznością i obrazowością wyrażeń. Na usprawiedliwienie tłumacza wpłynąć może ta uwaga, iż Dickens w ogóle przedstawia czasem nieprzełamane trudności, posługuje się bowiem wyrażeniami lokalnymi, ludowymi, które należałoby choć w przybliżeniu czémś odnośnem po polsku zastąpić, lub też przytoczyć po angielsku, z objaśnieniem polskiém, a nie, jak to p. K. w wielu bardzo rozdziałach uczyniła, ustępy całe wyrzucać. Nie chcemy tu bynajmniej lekceważyć zacnej chęci p. K. poznajomienia nas z tak znakomitým dziełem, lecz wyrządza się krzywdę autorowi, obcinając w samowolny sposób utwór fantazyi i zmieniając jego charakter przez niedokładne oddanie szczegółów. Niedokładną w oddawaniu szczegółów, jest p. K. bardzo często. Pozwolinymy sobie przytoczyć tu kilka przykładów:

Oto na str. 86, gdy Dawid, jako małe dziecko, odwiedza poraz pierwszy oryginalną ze starego okrętu zbudowaną chatę rybaka Pegotty, opisuje wrażenia swoje, jak się one wryły w pamięci małego dziecka, a więc w drobiazgach i szczegółach. „Wewnątrz było ślicznie, czysto i tak porządnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Był tam stół, zegar holenderski i komoda a na komodzie taca z malowanym na nięj obrazkiem, przedstawiającym damę z parasolką i przechadzającą się z dzieckiem, trzymającém kółko do zabawy w rękę, a mającém szczególnie wojskową i marsową postawę. Taca podparta była biblią, a gdyby się była przewróciła, potłukłaby mnóstwo spodeczków, filiżanek i imbryczek do herbaty, które poustawiano w około książki.“¹⁾ Pani K., nie umiem sobie wytłumaczyć dlaczego, tłumaczy ustęp ten jak następuje: „Wewnątrz było tak czysto, potulnie, szczupło. Stał stół, zegar drewniany, szafka. W szafce był cały przybór do herbaty a na filiżankach wymalowano damę z parasolem, przechadzającą się z chłopakiem, przygrywającym na bębnie. Wszystko to było przytwierdzone do pułek i gdyby się szafa wyrzuciła, stłukłoby się to wszystko od razu“. Na stronie 205. Dawid uciekający przespał noc pod stogiem siana, koło szkoły pana Creakle. „Tak więc odszedłem od muru w chwili, gdy uczniowie p. Creakle ze snu wstawali i udałem się na długi, kurzem pokryty gościniec, który, jako jeden z pensyonarzy, znałem już pod nazwą drogi do Dover wtedy, gdy nie myślałem wcale, iż czyjekolwiek oczy ujrzą mnie na nięj takim wędrowcem, jakim obecnie byłem.“ W tłumaczeniu p. K. ustęp ten brzmi: „Odszedłem tedy od Salem-House w chwili, gdy uczniowie mr. Creakle'a ze snu wstawali. Sam byłem na drodze, która, jakem się o tём niegdyś w szkole będąc dowiedział, wiodła do Dover, żadne znane dostrzedz nie miało oko.“ Zaszła tu widocznie jakaś pomyłka; lecz czemu ją przypisać? Czy tylko nieuwadze zecera? Na str. 176.

1) Tauchnitz. Lipsk 1849.

Mrs. Gummidge wiecznie „popłakująca w kąciku“ ¹⁾ a jak p. K. tłumaczy „szamocąca się“ wdowa, którą stary Pegotty przygarnął i troskliwą otoczył opieką, ma na „szczęście“ rzucić za odjeżdżającymi nowożeńcami trzewik. Mały Dawid uważa jej to za złe, że tak radosną uroczystość jego piastunki zachmurzyła łzami, gniewa się na nią w duszy i tak to opisuje: „A więc Mrs. Gummidge uczyniła to (rzuciła trzewik), i z żalem wyznać to muszę, rozpostarła wilgotną atmosferę na uroczysty charakter naszego odjazdu, wybuchając natychmiast gwałtownym płaczem i padając w ramiona Hama, oświadczyła, iż wie, że jest ciężarem, że lepiej, iżby ją oddano do domu pracy natychmiast. Co myślałem sobie w duszy, było rzeczywiście bardzo rozsądnym pomysłem, i który Ham mógłby być mojem zdaniem skutecznym.“ (Tauschnitz str. 190). W tłumaczeniu p. K. okres ten tak się przedstawia: „co też ta ostatnia uczyniła wreszcie, psując ogólne wesołe płaczem, którym wybuchła nagle. Opadła na ramię Hama wołając, że wie dobrze o tem że ciężarem jest tylko i że lepiej wrócić do domu, na co Ham zgodził się w zupełności.“

Mrs. Gummidge do domu wracać nie mogła, bo go nie miała, tak była biedną. Czuliła to dobrze sama i dlatego płacząc mówiła, by ją oddano do domu przytułku „the House,“ jak ona nazywa „Workhouse;“ a Ham zbyt podzielał szlachetną dobroczynność wuja, by miał się zgadzać na podobne propozycje. Zresztą, porównanie obu ustępów wykaże jak powierzchownie traktowano tu oryginał.

Daliej p. K. tłumaczy kilkakrotnie, iż wierzyicielem niepoprawnego p. Micawber, jest jakiś fabrykant łodzi, co po angielsku znaczyłoby *boat maker*, podczas kiedy biedny ten człowiek, zostający ciągle pod ciężarem przygniatających go „okoliczności“, w oczekiwaniu, że „coś się odmieni“ nie ma na najpierwsze potrzeby i ukrywa się nie przed fabrykantem łodzi, ale przed swoim szewcem „bootmaker!“ Tenże sam Micawber dlatego jest tak komicznym i zabawnym, iż mimo swych ciężkich kłopotów, licznej rodziny etc. zawsze pozuje na prawdziwego gentlemana, wyraża się stylem wzniosłym, pełnym przenośni. Zona jego używała małego Dawida, swego lokatora, do zastawiania w lombardzie różnych przedmiotów, to też przy pożegnaniu rodziny Micawber z Dawidem, Mr. M. robi do tego odnośną aluzję, mówiąc do żony: „Moja droga Copperfield, bo tak zwykł był mię ostatniemi czasy nazywać, ma serce zdolne odczuć cierpienia pokrewnych mu istot, skoro chmury gromadzą się nad niemi, ma głowę pomysłową i rękę—no rękę, krótko mówiąc, ogólną zdolność pozbywania się w sposób korzystny wszystkich tych przedmiotów, których tylko pozbyć się można.“ Tłumaczenie: str. 199. „Widzisz bo duszko — począł Mr. Micaw-

¹⁾ „Frotting.“

ber—Copperfield (od niejakiegoś czasu zaprzestał już nazywać mię „panem“) posiada serce zdolne odczuć niedolę bliźnich, głowę do rady, ramię do... jednem słowem umie robić stosowny użytek z przymiotów, jakimi go natura obdarzyła.“ Na str. 268 zaczyna się rozdział p. t. „Rzut oka wstecz,“ jeden z piękniejszych rozdziałów książki, a zepsuty jest w przekładzie przez to, iż podczas kiedy autor trzyma go cały jednolicie w czasie terażniejszym, p. K. tłumaczy dowolnie to w czasie człowieka dojrzałego, który rzuciwszy okiem w swą przeszłość, widzi się małym chłopcem i odczuwa znowu wszystkie swe dawne smutki i radości. Str. 271 np. Adams dawniej pierwszy uczeń, przedmiot podziwu i cel naśladowań Dawida, skończył szkoły i jako aspirant na adwokata odwiedza swego dawnego nauczyciela d-ra Strong. „Adams ma niezadługo zostać mecenasem i nosić perukę. Dziwi mię to, iż znajduję go skromniejszym człowiekiem, aniżeli się spodziewałem i mniej imponującym. Nie poruszył też jeszcze świata w posadach; bo świat idzie sobie (o tyle, o ile mi wiadomo) zwykłą drogą, prawie taką samą, którą szedł, zanim Adam się do niego przyłączył.“ (Tauchnitz t. II, str. 28). w tłum. na wyżej wsp. str. 271: „Teraz, gdy miał zostać prawnikiem i adwokatem zdziwiony byłem, że mi się zdawał mniej imponującym niż dawniej. Świat i życie nie odcisnęły na nim jeszcze swego piętna.“ Dlaczego podsuwać autorowi myśl zupełnie inną niż tę, którą chciał tak humorystycznie wyrazić? Na str. 272 opisuje Dawid dzieje swęj miłości, jako dorastającego młodzieńca, do podstarzałej nieco panny Larkins. „Dwa czy trzy razy nawet chodzę zgubiony i zakochany w koło domu pp. L., gdy cała rodzina udala się na spoczynek i myślę nad tém: które też okno należy do pokoju najstarszj panny Larkins (i trafiam zapewne, jak mi się teraz zdaje, na okno papy Larkins), pragnąc, by ogień wybuchnął: by przerażony tłum stał skamieniały, a ja rozpychając go biegł z drabiną w rękę, oparł ją o jej okno, ratował własnymi rękoma, bym wrócił po jakąś drobnostkę, którą zapomniiała i zginął w płomieniach. Bo jestem w ogóle bezinteresownym w mój miłości i myślę, iż dość byłoby szczęścia odznaczyć się w obec panny Larkins i umrzeć.“ Na str. 272 ustęp ten przetłumaczono z niezbyt szczęśliwemi dodatkami, jak następuje. „Czasami nawet, gdy się już wszyscy rozeszli i rodzina cała we śnie pogrążyła, krążyłem jeszcze w koło domu starając się odgadnąć które okno było oknem pokoju królowej mych myśli? Zdaje mi się iż domysły moje padały na okno sypialni samego pana Larkins. A gdyby tak nagle wybuchnął pożar! Zebrane tłumy stały przerażone, ja sam przystawiam do okna drabinę, wspinam się i z pośród płomieni wynoszę najstarszą miss Larkins, z potarganym włosiem, w bieli. Zapomniiała czegoś w płomieniach, jakąś drobnostkę, kwiat zwiędły. Wspinam się powtórnie—ginę. Miłość moja była najzupełniej bezinteresowną! Szczęśliwy błysnąłbym raz w oczach kochanki i sko-

nał!“ Czasem p. K. tłumaczy znów niby zanadto dosłownie. Poczciwy i spokojny waryat, Mr. Dick, dowodzi, że skoro raz skończy swój „memoryal“ a którego treścią już setki arkuszy zapełnił, z którego potem wycina latawce „to dopiero będzie chryja!“ Dickens pisze w tomie II str. 37. „there'll be a pretty kattle of fish!“ Co właściwie znaczy: dopiero to będzie kocioł rybi! a p. K. zamienia to na str. 277. „To mi będzie kocioł do gotowania ryby!“

Rozdział p. t. „Nasze gospodarstwo,“ pełen prawdziwego humoru, bardzo wiele traci w przekładzie p. K., staje się bowiem jakimś płaskim niesmacznym, pełno w nim niezrozumiałych ustępów. Co ma np. znaczyć, że Dora ulubionego swego pieska Gipp układała na stole, „jak prosty papier?“ str. 563. W oryginale tom III str. 130 czytamy: Then she would etc. co znaczy: „Wtedy rozkazywała Gippowi kłaść się na stole natychmiast „jak lew,“ co było jedną z jego sztuczek — choć nie mogę powiedzieć, by podobieństwo było uderzającym — a jeżeli był w dobrym humorze, to usłuchał.“ Nie mogę tu dopatrzeć niczego, co by miało najmniejszy związek z „prostym papierem.“ Dalej czytamy: że gdy mąż, chcąc wpłynąć na „formowanie charakteru“ swój pięknej, lecz bardzo dziecinniej żony, zaproponował jej przepisywanie rękopisu swego, ta była do tego stopnia dumną z powierzonego sobie zadania, iż zabierając się do dzieła, czyniła niezliczone naiwne przygotowania. Jest to obrazek tak wdzięczny a w swój poetycznej prostocie tragicznie smutny, iż szkoda go było zepsuć przerabianiem i takimi pomyłkami jak n. p. przekład wyrazu „bib“ przez „bibułę“ str. 365, podczas kiedy to ma oznaczać fartuszek, zawiązywany pod szyję!

Stara ciotka nazywa Dorę zawsze „Little Blossom“ „mały kwiatek“ lub „kwiatek“ krótko; p. K. zrobiła z tego „nasz kwiatek“, co jakoś nie tak dobrze oddaje myśl, iż Dora nie tylko mężowi i ciotce, ale każdemu zdawać się musiała drobnym, słabym kwiatkiem. Nadzwyczaj wiele okresów jest zupełnie zmienionych: str. 570. „Jesień już była, — wieczór wilgotny, liście szeleszcząc pod naszymi krokami, napełniały powietrze wonią, przypominającą mi Blunderstone. Wiatr stare nawoływał wspomnienia.“ Tu nadmienić trzeba, iż Copperfield był stenografem debatów parlamentarnych i opisuje ten moment temi słowy: „Była to jesień, kiedy niema debatów, zatruwających powietrze wieczoru, i pamiętam zapach liści szeleszczących pod naszymi stopami, co przypominało mi nasz ogród w Blunderstone a dawne smutne uczucie zdawało się przelatywać koło mnie na skrzydłach wiatru.“ Taki pełen tragicznej grozy ustęp, jak ten, który autor kładzie w usta Marty w chwili, gdy uratowano ją od rzucenia się w nurty Tamizy: „O! rzeka! Ja wiem, że ona jest do mnie podobna, zawołała, wiem, że do niej należą, wiem, że to naturalna towarzyszka takich, jak ja istot! Płynie z pośród pól, gdzie kiedyś była czystą — i pełza przez ponure ulice, brudne i nędzne — i płynie dalej podobnie jak moje życie, do wielkiego morza, które wiecznie cierpiące — i czuję, że muszę iść wraz z nią.“

Nie wiedziałem, co jest rozpacz, póki nie słyszałem tych słów: — „Ja nie mogę uciec przed nią. Nie mogę jej zapomnieć. Goni mnie w dzień i w nocy. To jedyna na świecie rzecz właściwa dla mnie, a ja dla niej. O! okropna rzeko!” Ustęp ten przełożony na str. 589 cokolwiek inaczej, nie zdaje nam się równie patetycznym. Wyliczenie wszystkich błędów, które napotkać można w przekładzie p. K., zajęłoby zbyt wiele miejsca; dodać tylko wypada, iż podobnie lekceważące tłumaczenie dzieł pisarza tak znakomitego, jakim p. K. sama przedstawiła Dickensa, jest zbyt krzywdzącym samego autora, a dziełu jego nadaje charakter zupełnie odmienny od oryginału. Czytelnik zachęcony wstępem, dla Dickensa nader pochlebny, spodziewać się będzie więcej, aniżeli tłumaczenie dać mu potrafiło i potem ze zdziwieniem zapyta, co tak znakomitego widzą ludzie w pismach tego autora, którego zaledwie czasem zrozumieć mogę?

Jeżeli zaś przekład podobny zdobić ma „Bibliotekę najcenniejszych utworów,” to chyba tylko wybór dzieła pochwalić można, bo wykonanie bardzo wiele pozostawia do życzenia.

M. W—l.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki międzynarodowe w Europie. Pozorna cisza na polu dyplomacji: hurzliwe objawy w zakresie polityki wewnętrznej: na półwyspie bałkańskim, w Paryżu, w Peszcie, w Berlinie. Zabiegi Niemiec na polu polityki kolonialnej. Nowe ciężary wojenne w Niemczech: groźne projekta reakcyi biurokratycznej w Niemczech. Gabinet Tirarda rehabilituje rząd republikański. — Anglia zbroi się dla odparcia możliwego najazdu zewnętrznego. — Projekta uregulowania ostatecznego sprawy irlandzkiej. — Konferencya w Berlinie w sprawie archipelagu wysp Samoa. Z dziedziny naukowej. Prelekcya w sali ratuszowej na dochód osad rolnych: I. Jul. Ochorowicza. „O hypnotyzmie.“ — Posiedzenie Wydz. histor. filozof. Akad. Um. w Krakowie dn. 11-go lutego, — komisyi fizyograficznej dnia 15-go lutego, komisyi archeologicznej Akad. dn. 18-go lutego. — Walne posiedzenie Towarzystwa Prawniczego we Lwowie dn. 18 marca. — Z dziedziny sztuk pięknych: Walne doroczne zebranie Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Kr. Polskim dn. 23 marca. Też Towarzystwa program wystawy sztuki ornamentacyjnej i dekoracyjnej na mies. październik r. b. — sztuki rzeźbiarskiej na styczeń 1890 r. Zruchu muzycznego: Koncerty Tow. muzycznego; koncerty symfoniczne Dyr. Teatrów warszawskich; Kompozycyje: Jana Galla i P. Maszyńskiego, Wł. Żeleńskiego („Arya Aldony“ i „Pieśni żałobne“). — Archeologia. Odkrycia archeologiczne w Rzymie. — Dom Rafała w Rzymie.

Przeróżne zabiegi i tajemnicze zapasy dyplomacji pochłaniały w miesiącu marcu niemal wyłącznie uwagę i ciekawość publiczną, ponieważ dla donioslejszych dzieł politycznych, dla dzieł międzynarodowego znaczenia nie było pola dostatecznie przygotowanego, a z historii minionych wieków wiadomo, iż nader rzadkie są te epoki dziejów ludzkości, w których wielkie czyny historyczne spełniają się na widowni życia międzynarodowego przy blasku światła dziennego bez dłuższej poprzedniej pracy przygotowawczej. Czasy najnowsze są coraz uboższe w takie dni jasne i świetlane: przeważają mgły nieprzejrzyste; bo dyplomacya nowsza nie może się pochłubić

żadnym dojrzałym owocem usiłowań swoich. Panująca wszechstronnie cisza na polu antagonizmu interesów międzynarodowych pozornie tylko zdaje się wskazywać, jakoby się wszystkie państwa zgodziły na położenie, w którym w tej chwili znajdują się stosunki oraz interesy międzynarodowe. W obec instynktowego braku zaufania do trwałości panującej ciszy, z obawą przewiduje ogół przy lada sposobności, jakieś groźne niespodzianki. Obawę tę podsyca i drażni każda głośniejsza manifestacya ludowych interesów polityki wewnętrznej, bez względu na to, czy ona ujawnia się w abdykacyi króla serbskiego Milana, czy w knowaniach bulanżystów w Paryżu na korzyść „Cezara i narodu“ przeciw zgangrenowanemu parlamentaryzmowi, czy w rozpasaniu czynników politycznych i swywoli młodzieży studenckiej, popieranej przez bezmyślny motłoch uliczny w Peszcie, czy też nawet w oburzeniu publicystyki na samowolne postępowanie reakcyjnej biurokracyi w konstytucyjnych Prusach, zamykającej wydawnictwa organów demokratycznych na podstawie prawa, tylko przeciwko socyalistom wydanego. Jeżeli panowanie kilkunastoletnie doktrynerstwa w Paryżu potrafiło skompromitować w wysokim stopniu ideę republikanizmu, to niepowściągliwość języka egoistycznej opozycyi węgierskiej, popieranej przez nieświadomy motłoch uliczny, nie podniosła powagi i znaczenia parlamentaryzmu, kompromitowanego już od lat wielu przez serwilistyczną reprezentacyą w Berlinie. Po pomyślném dla zarządu załatwieniu prawa wojskowego w Peszcie, występuje na widownią w Wiedniu gorąca sprawa organizacyi szkół, kryjąca w sobie nie mało interesów podburzających, które zaspokojenia swego gwałtownie dopominać się będą. Rzuciwszy okiem na ogólną sytuacyą stosunków międzynarodowych w danej chwili, nie można o tém wątpić, że obecnie przygotowują się w wielkiej tajemnicy poważne i stanowcze akcyje dyplomatyczne, odnoszące się nie tylko do polityki kolonialnej Niemiec; ale i do międzynarodowego stanowiska zachwianój nieco przez wystąpienie opozycyi włoskiej i węgierskiej t. zw. „ligi pokojowej“ państw Europy środkowej, nie mniej i do nieuśmierzonych aspiracyi ludów półwyspu bałkańskiego. Siła wypadków może być potężniejszą od zapewnień Risticza lub Gruicza.

Gdy regenci serbscy dla korzyści ekonomicznych wyrzekają się zbyt kosztownego fantomu „wielkiej“ polityki państwa militarne go, w Berlinie żądanie 40 milionów marek nowego kredytu od parlamentu Rzeszy na powiększenie artyleryi, poruszyło nowe surmy bojowe; ale zarazem wywołało przestrasch w obec rosnących nadmiernie ciężarów wojskowych. Zakłopotanie reprezentacyi narodowej było nie małe, gdy w milczeniu słuchała przykrych uwag nad skutkami „wydalania poddanych obcych,“ nad brakiem tanich rąk polskich w rolnictwie, nad perspektywą sprowadzania w to miejsce nikczemnych chińczyków. Minister wojny gen. Bronsart von Schellendorf,

popierając wniosek rządowy nie wahał się przywołać na pomoc nawet straszidła Jeny, w obec którego wotum patriotycznego narodu niemieckiego nie powinno być wątpliwem. Zapał ten miarkuje jednak nowa pogróżka urzędu kanclerskiego, dążącego do rozszerzenia dozoru nad gadatliwością obywateli niemieckich. Urząd kanclerski przedstawił radzie związkowej projekta noweli do prawa karnego i do ustawy prasowej, wprowadzających do ogólnego kodeksu i do ustawy prasowej—przestępstwa i zbrodnie, karane dotąd surowo tylko w wyjątkowej w ustawie przeciw socyalistom. Projekta to niepokoily w wysokim stopniu nietylko stronnictwo „wołnomysłnych,“ ale równie i „narodowo-liberałów,“ katolików i w. i.

We Francyi nie ustaje gabinet Tirarda w energicznych usiłowaniach swoich rehabilitowania skompromitowanej przez dotychczasowych rządców republiki—przez co zjednywa sobie coraz szersze i życzliwsze uznanie, chociaż do trwalszego zaufania jeszcze daleko. Może sądowe postępowanie przeciwko wichrzycielskiej działalności przywódców ligi patriotycznej okaże się i w tym celu pomocnem.

W Anglii wzmogło się zaniepokojenie wskutek wniesionego przez rząd bilu, żądającego pieniędzy na budowę i uzbrojenie nowych okrętów, tudzież zapowiedź ministra wojny, że w krótcie uzupełnione będą obwarowania portów i samego Londynu. Z toku gorących rozpraw w parlamencie możnaby wnioskować, że Anglia naprawdę zaczyna się obawiać najazdu zagranicznego. Skompromitowane stronnictwo torysów w procesie Parnela z Times'em ma dzisiaj zadanie daleko trudniejsze w obec kwestyi irlandzkiej. Gabinet Salisbury'ego wypracował program reform, które podczas sessyi w r. 1889 i 1890 zamierza zaprojektować dla „dobrej Irlandyi“ na podstawie reformy rolniej i administracyjnej. Zapowiedziano założenie banku ziemskiego w Dublinie, reorganizacją zarządu w hrabstwach, które przy pomocy obligacyi, wydawanych przez bank ziemski, wystąpią w roli nabywców ziemi z rąk znieawidzonych angielskich landlordów; ziemia ta ma być następnie w przystępny sposób oddaną na zupełną własność w ręce dzisiejszych dzierżawców. Co do reformy administracyjnej, to ta polegać ma na utworzeniu w dziesięciu prowincjach Irlandyi osobnych sejmików, stanowiących organa samorządu miejscowego.

W Berlinie zbiera się konferencya dla złagodzenia współzawodnictwa Niemiec, Anglii i Ameryki około archipelagu Samoa.

W pełnej sali ratuszowej w Warszawie rozpoczął p. Ochrowicz tegoroczną seryą odczytów na korzyść osad rolnych wykładem o hyponotyzmie.

Prelegent zaczął od opisania głównych cech stanu hypnotycznego, który uważa jako podobny do snu zwyczajnego (przynajmniej na pierwszy rzut oka) i jako mniejsze lub większe ograniczenie lub zupełne ustanie świadomości. Posiadamy rozmaite sposoby wywoływania stanu takiego. Z jednej strony stan hypnotyczny wywołać możemy przez rozmaite słabe podniety, na które mniej lub więcej skupia się uwaga osoby hypnotyzowanej: pociągi, lekki ucisk najrozmaitszych części ciała, jednostajne dźwięki lub tony, głaskanie twarzy lub głowy, nawet czesanie grzebieniem, a z drugiej strony przez silne podniety, jak np. nagłe oświetlenie światłem elektrycznym. Prócz tego prof. Bernheim wywołuje sen hypnotyczny przez prostą suggestyą (wmawianie): „śpij.“

Zasługuje na uwagę, że osoby bardzo często usypiane, nabywają zdolności samousypiania bez najmniejszych wpływów ze strony drugiej osoby, wprost li tylko wskutek skupienia uwagi na myśl, że mają zasnąć. Możemy z tego na pewno wnioskować, że stan hypnotyczny zależy od indywidualnej własności i organizacyi układu nerwowego osobnika usypianego, nadto przენawia za tēm ta okoliczność, iż przy najrozmaitszych sposobach hypnotyzowania mała tylko część osób zasypia, a mianowicie zgodnie wszyscy autorowie podają, że na 100 osób bez wyboru wziętych, zasypia 15 — 18⁰/₀; zdaje się co do płci, że kobiety łatwiej usypiają, niż mężczyźni, na 100 mężczyzn zasypia 18,5, kobiet 19,4. Na czēm właściwie polega ta zdolność do stanu hypnotycznego wcale nie wiemy; musimy ją więc uważać jako własność danej organizacyi.

O istocie stanu hypnotycznego, mimorozmaitych teoryi, również dotąd bardzo mało wiemy, znamy zato lepiej główne jego cechy. Z góry musimy zaznaczyć, że stan hypnotyczny u rozmaitych osób rozmaicie się objawia. Trafnie wyraził to p. Ochorowicz, mówiąc, że tyle jest stanów hypnotycznych, ile jest osób t. j. że każda osoba przedstawia właściwy sobie stan hypnotyczny. Charcot, który określa hypnotyzm, jako sztucznie wywołaną chorobę nerwową, eksperymentując przeważnie na hysteryczkach, rozróżnia trzy stany, a raczej trzy stopnie u każdego hypnotyka: letarg, katalepsyą i somnambulizm. Inni autorowie twierdzą, że eksperymentując na zdrowych, nie podobnego nie spotykali i uważają to trzy stany za skutek poddawania. Co do budzenia ze stanu hypnotycznego, to wystarcza lekkie dmuchnięcie w twarz lub wprost rozkaz, by się zahypnotyzowany obudził. Jeśli sen jest bardzo głęboki, to hypnotyk może być wyprowadzony z tego spokoju li tylko przez samego hypnotyzera. Hypnotyk słucha i uważa tylko na niego i tylko jego rozkazom jest posłusznym. Ponieważ hypnotyzm jest stanem przeważnie psychicznym, należy więc, według p. Ochorowicza, wprowadzić inną klasyfikacyą, która winna mieć przedewszystkiem podstawę psychiczną.

Na takięj też podstawie opierając się, sprowadza p. Ochorowicz stany hypnotyczne do trzech grup zasadniczych, odpowiadają-

jących w pewnej mierze grupom profesora Charcot, mianowicie polideizm, monoideizm i aideizm.

Polideizm jest stanem, przy którym w umyśle pacyenta powstają równocześnie różne idee i wyobrażenia. Stan ten odpowiada somnambulizmowi Charcot'a i jest najwięcej zbliżonym do jawy. Wiadomo bowiem, że i na jawie warunkiem prawidłowego myślenia jest polideizm, że, myśląc o jednym przedmiocie, ogarniamy nie mniej cały szereg pokrewnych mu wyobrażeń i idei, które jednocześnie z owym głównym naszemu umysłowi przedmiotem umysł nasz zajmują.

Monoideizm jest to stan, w którym jedno wyobrażenie, jedna idea panuje nad wszelkimi innymi i pochłania umysł nasz wyłączenie. Stan ten odpowiada katalepsyi Charcot'a.

Aideizm jest wreszcie zupełnym brakiem wyobrażeń i idei i odpowiada najgłębszemu stanowi hipnotycznemu t. j. letargowi Charcot'a. Stosować hipnotyzm jako środek leczniczy możemy tylko w stanach monoideizmu i aideizmu; w pierwszym dodatnio drogą sugestyi, w drugim negatywnie — przez pozostawienie organizmu w bezwzględny spokój. Następnie wkroczył p. Ochorowicz w dziedzinę medycyny i zaczął robić uwagi co do gorączki, jako reakcyi organizmu na wpływ czynników chorobotwórczych i t. d.

Nie będziemy dalej zastanawiać się nad temi kwestyami; hipnotyzm był już bowiem przedmiotem wyczerpujących artykułów w Bibl. Warsz., dodamy tylko, że odczyty p. Ochorowicza obeszły się tym razem bez wycieczek przeciwko lekarzom i że zawierały rzeczy znane i kilkakrotnie już powtarzane przez samego prelegenta a wypowiedziane niezawsze popularnie dla szerokiego ogółu.

W. Ch.

Dnia 11 lutego r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie, pod przewodnictwem d-ra Zolla, posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego, na którym sekretarz dr. Smolka podał wiadomość o wydawnictwach wydziału i czynnościach komisji. Pan J. N. Sadowski zdał sprawę z nadesłanej pracy p. Olgierda Wilczyńskiego p. n. „Mitologia litewska,” zwracając uwagę na metodę, jakiejby użyć należało w badaniach nad tym przedmiotem. Prof. B. Ulanowski odczytał rzecz p. n. „Przyczynki do historii stosunków pomiędzy kościołem a państwem w Polsce w XV wieku“ (1446 — 1447). Autor podał namaprzód treść charakterystykę walki pomiędzy stanami w Polsce a wskazując na główne przedmioty sporu, zastanawiał się nad źródłami, z których możemy w tym kierunku uzupełnić niedokładną często opowieść Długosza. W dalszym ciągu przedstawił autor przebieg zawilego procesu, który się toczył w latach 1443—1447, częściowo przed sądem biskupim w Krakowie, częściowo przed wiecem krakowskim, w przedmiocie t. zw. bona haereditaria saecularia; mimo to oficyał krakowski, Rafał ze Skawiny, uznał się sędzią właściwym i sprawę

rozstrzygnął. Strona pozwana, Paweł z Marcinowic, nie chciał się nie tylko poddać wyrokowi, wskutek czego został wyklęty, ale nadto samego oficyała pozwał przed wiec, żądając uchylenia ekskomuniki i powetowania strat, wyrokiem sądu duchownego jemu, jako stronie pozwanej, zarządzonych. Rafał ze Skawiny, zapewne na rozkaz Zbigniewa Oleśnickiego, retraktował następnie udzieloną pod presją wiecu absolucyą. Autor, analizując dokładnie przebieg procesu i zachowanie się oficyała i wiecu, doszedł do przekonania, że wiec uznał wyrok sądu duchownego za ważny, skoro się strony zgodziły na forum kościelne (forum conventionale), ale zarazem osądził zachowanie się oficyała jako wkroczenie w sferę jurysdykcji świeckiej, uprawniające stronę poszkodowaną do poszukiwania na oficyalu po niesionej stracie. Na posiedzeniu ściślejszém wydział uchwalił: 1) zalecić zarządowi Akademii do subwencji z funduszu przeznaczonego na popieranie wydawnictwa dzieł naukowych, dzieło prof. dr. Czernego p. n. „Geografia handlowa“; 2) przedstawić Akademii do zatwierdzenia następujący przedmiot na konkurs historyczny z napisu s. p. ks. A. Jakubowskiego: „Charakterystyka jakiegokolwiek znacześniejszej postaci z dziejów polskich, oparta na zarysie biograficznym.“

Dnia 15 lutego odbyło się posiedzenie naukowe komisji fizyograficznej Akademii umiejętności, pod przewodnictwem prof. d-ra Karlińskiego. Przewodniczący wspominał przy zagajeniu posiedzenia o śmierci d-ra A. Krzysza, lekarza powiatowego w Złoczowie, któremu komisya zawdzięcza długi szereg spostrzeżeń meteorologicznych, prowadzonych sumiennie i wytrwale, po czém prof. dr. Szajnocha streścił nadesłaną przez p. Fr. Bartoneca, inspektora górniczego w Sierszy, pracę, w której wykazuje na podstawie spostrzeżeń, zrobionych w kopalniach w Nowej Górcie i Miękini, że w tych miejscach a zapewne i wielu innych, galman leży na drugorzędnym prawdopodobnie dyluwialnym łóżysku. Następnie przedstawił prof. dr. Szajnocha wyniki swych badań nad stosunkami stratygraficznymi i podziałem syluru podolskiego: dwa przekroje, wykonane na podstawie profilów miejscowych, jeden wzdłuż Dniestru od Iwania po Okopy, drugi od Iwania do Chorostkowa, wykazały że w pierwszym kierunku warstwy sylurskie leżą zupełnie poziomo, w drugim zaś są, według obrachowania dr. Szajnochy, bardzo słabo nachylone ku SSW na 5' 9' 10". Od Iwania pojawiają się warstwy sylurskie coraz starsze równie w kierunku ku Okopom, jak i ku Chorostkowi. Miąższość galicyjskiego syluru wynosi 165 m. Petrograficznie i paleontologicznie wykazać można w sylurze galicyjskim cztery poziomy; warstwy ze Skały (z Dźwinogrodu), odpowiadające w angielskim sylurze t. zw. Aymestry Limestone, warstwy z Borszczowa, warstwy Czortkowa, razem z poprzednimi odpowiadające t. zw. Upper Ludlow, wreszcie warstwy z Iwania (Downton Sandstone v. Passage beds).

P. M. Raciborski podał wiadomość o znajdowaniu się w Galicyi, prócz trzech dotąd znanych gatunków poziomek (*Fragaria vesca collina* i *elator*, jeszcze czwartego: *Fr. campestris* Stev., znanego z Krymu oraz z gub. chersońskiej: *Fr. neglecta* Lindem).

Na posiedzeniu komisji archeologicznej Akademii Umiejętności, odbytem dnia 18 lutego r. b. w Krakowie, przedstawił p. J. N. Sadowski rzecz o zabytkach srebrnych wschodnich, oraz o monetach arabskich, wykopanych w Łążyńcu ¹⁾, w Prusiech zachodnich (w powiecie lubawskim), wskazując, jakie światło rzuca to wykopalisko na kierunek dróg handlu wschodniego w tamtych stronach, oraz na genezę ornamentacyi glinianych naczyń, znajdujących w tamtejszych grodziskach. Prelegent dowodził z naciśnięciem wielkiej ważności wykopaliska łążyńskiego. W dyskusyi nad tym przedmiotem brali udział pp. M. Sokołowski i Ossowski. Prace: „O Polakach, uczących się w XVI i XVII wieku w Bolonii“, nadesłaną przez p. M. Bersohna z Warszawy, oddano do referatu. Hr. Konstanty Przezdziecki czytał wiadomość o istniejącej w wieku XVII w Brodach fabryce jedwabiu.

Towarzystwo prawnicze we Lwowie odbyło d. 18 marca r. b. doroczne walne zgromadzenie pod przewodnictwem br. Kannego. Ze sprawozdania wydziału za r. z. dowiadujemy się między innymi, że wydział zajmował się sprawą II zjazdu ekonomistów i prawników polskich, który w r. b. ma się odbyć we Lwowie, tudzież, że w ostatnich czasach związało się Towarzystwo prawnicze w Kołomyi, które, mimo krótkiego swego istnienia, daje objawy pewnej żywotności. Wydział wyraża życzenie, aby i inne miasta poszły za tym chwalebny przykładem, przez co poziom wykształcenia prawniczego znacznieby się mógł podnieść. Ruch naukowy Tow. w r. z. nie przedstawia się tak świetnie, jakby tego sobie życzyć wypadało, a usiłowania wydziału w tym kierunku przedsięwzięte nie doprowadzały do celu zamierzonego. Musiano walczyć z apatją i ociąganiem się, a zabiegi wydziału zdołały zapewnić współdziałanie tylko nielicznego grona prelegentów i referentów. W interesie zatem skutecznego rozwoju Towarzystwa uprasza wydział o gorliwe współdziałanie i życzliwe poparcie. Dalej podaje sprawozdanie treść odczytów i pogadańek naukowych na zebraniach miesięcznych. Towarzystwo liczy przeszło 200 członków; dochody jego wynosiły 1,018 zł., rozchody 946 zł., kapitał rezerwowy 929 zł. Biblioteka liczy 1,022 dzieł w 2,151 tomach; wydatki na bibliotekę wynosiły 421 zł.

¹⁾ Zob. Kronikę mies. w Bibl. Warszawskiej w zesz. za m. listopad. 1888, str. 310.

Dnia 23-go marca odbyło się ogólne doroczne zebranie członków Towarzystwa zach. sztuk pięknych w Król. pols., dla wysłuchania sprawozdań komitetu i delegacyi rachunkowej za rok 1888 i dla wyboru członków komitetu i delegacyi na rok bieżący. Prezydował p. Lucyan Wrotnowski, wice-prezes Towarzystwa. Po zagajeniu zebrania, prezydujący oznajmił obecnym, iż zapis ś. p. Oktawiusza Hilchena, o którym szczegółowo wzmiankuje sprawozdanie komitetu, uzyskał już potwierdzenie właściwej władzy sądowej i że wkrótce wiadome będą bliższe warunki zapisu. Jeżeli warunki te nie staną na przeszkodzie, to fundusz ofiarowany Towarzystwu przez zapisodawcę, mogący wynosić od 40 do 45 tysięcy rubli, użyty będzie na budowę gmachu dla Towarzystwa. Sprawozdanie komitetu i delegacyi przyjęto i zatwierdzono bez żadnych komentarzy. Na zapytanie prezydującego: czy kto z obecnych nie życzy zabrać głosu, jeden z członków zwrócił uwagę, że nie wszyscy artyści malarze wypełniają warunek ustawy, wymagający składania własnych portretów Towarzystwu i że wypadałoby w tym względzie uczynić stosowne kroki. Na to prezydujący objaśnił wnioskodawcę, że lubo ustawa żąda od artystów składania portretów, ale Towarzystwo nie posiadające prawa egzekucyi, pozostawić musi wykonanie przepisu dobrej woli artystów, poczem obliczono głosy wyborców, którzy z ogólnem zadowoleniem zgodzili się w ogóle na poprzedni skład organów Tow.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłosił wiadomość o dwóch wystawach dzieł sztuki, które przygotowuje, mianowicie: 1-sze w m. październiku r. b. urządzona będzie w lokalu Towarzystwa wystawa konkursowa dzieł sztuki Ornamentacyjnej i Dekoracyjnej, a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkłe, porcelanie i fajansie, sztychów i akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcji ręcznych, niemniej wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Przyjmowanie deklaracyi, do dnia 1-go października; nadsyłanie przedmiotów od 1-go do 10-go Października; otwarcie Wystawy 15-go października. Komitet wyznaczył dla tej Wystawy sześć nagród pieniężnych, z których trzy po rs. 100 i trzy po rs. 50 za dzieła bozwarunkowo odznaczające się. Obok tego wydawane będą Listy pochwalne, — Regulamin szczegółowy konkursu wydaje, na żądanie kancelarya Towarzystwa. — 2-ic w m. Styczniu 1890 r. odbędzie się w lokalu Towarzystwa wystawa konkursowa sztuk rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyrobów medalierskich. — Nie kwalifikują się na wystawę kopje, tudzież dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy. Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa tylko swoje dzieła. Na wystawę przyjmują się dzieła wykonane w ciągu lat trzech ostatnich i które

poprzednio nie znajdowały się czy to na Wystawie Towarzystwa, czy też innej w Warszawie.—Deklaracye przyjmowane będą do d. 15-go grudnia r. b.; w deklaracyi należy wymienić: tytuł dzieła, cenę, adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tém, w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła przeznaczone na Wystawę, winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa najpóźniej 31-go grudnia r. b. do godz. 6 wieczorem.—Komitet wyznaczył dla téj Wystawy trzy nagrody pieniężne: po rs. 600, 300 i 200 za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego wydawane będą Listy pochwalne.—Regulamin szczegółowy konkursu wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

Z r u c h u m u z y c z n e g o. Koncertowy sezon Warszawy liczy już kilka miesięcy trwania; jedne wrażenia zapewne całkiem się zatarły, inne ustąpiły miejsca ostatnim, silniejszym; że jednak w dziedzinie sztuki nie chodzi tylko o chwilowe przelotne sensacje, nie od rzeczy będzie może z oddali rzutem oka ogarnąć i ocenić dorobek duchowy, który przyniosła nam uroczą Polyhymnia. Jeśli mamy szczerze powiedzieć, to mała tylko garstka słuchaczy korzystała z obu seryi wieczorów kameralnych, które z wytrwałością, godną tak dobrej sprawy, urządza ze współudziałem profesorów i doborowemi programami. Słyszac te piękne dzieła: Mozart'a Beethoven'a, Raff'a, Grieg'a, Brahms'a etc., wykonywane przy skąpo zapełnionej sali, tracimy nadzieję, iżby kiedykolwiek smak publiki naszej wyrobił się i upodobał sobie w muzyce poważnej, głębokiej.

Szczęśliwsi już są koncerty symfoniczne dyrekcji Teatrów. Czy przypisać to należy występom solistów takich jak d'Albert, Barcewicz, którzy sownie nagradzali cierpliwie wysłuchanie symfonii? Ostatni zwłaszcza koncert stanowił ogromną przynętę, albowiem śpiewała panna Nikita, młodziutka i miłuchna szwedka, z głosem niewątpliwie łagodnym, lecz nad zasługi poprzedzona reklamą. Towarzystwo Muzyczne za to, zupełnie narzekać nie może na brak poparcia ze strony publiki, sale bywają przepelnione, dzięki przemyślnie ułożonym programom; nie dziwny się, iż Tow. Muzycz. stara się nie odstręczać swych członków, jakby to miało miejsce, gdyby zbyt poważne, lub jak to u nas mówią „zbyt ciężkie“ dzieła, często wykonywano; Towarzystwu chodzi bowiem o powiększenie i ustalenie swych funduszy, a dopiero gdy to nastąpi, będziemy mieli pretensją do działalności muzycznej w całym tego znaczenia szerokim kierunku.

Lutniści, również dotąd zapewne dzięki łatwym do zrozumienia a często figlarnym i wesołym piosenkom, zachowują miano sympatycznych, lecz postęp artystyczny stowarzyszenia idzie nieco za „powoli“, przynajmniej nie ujawnia się w wykonaniu trudnych i większych dzieł chóralnych.

Powiedziawszy te kilka słów prawdy, które rzucają niejaki światło na rzeczywistą muzyczność Warszawy, przejrzymy jeszcze kompozytorską działalność naszych adeptów i wybrańców sztuki.

Z koncertem, z własnych utworów złożonym, wystąpił najpierw Jan Gall i Piotr Maszyński. Pierwszy, z całą seryą piosnek wdzięcznych, wabnych, jak kwiat róży, oczarował niewątpliwie pleć piękną, której w każdym dźwięku składa hołd czci i miłości, a zapewne i druga brzydsza połowa ludzkości, wtórowała echem własnych serc temu oryginalnemu „dans son genre“ kompozytorowi. Pan Maszyński jeszcze swego stanowczego kierunku nie zaznaczył, dawszy nam próbki zarówno wokalnój jak zbiorowój instrumentalnój muzyki, próbki udatne, zdradzające naukę i zdolność w kierunku wokalnym; wiele jednak jeszcze lat pracy i wzbijania się lotem niezmordowanym wyżej a wyżej!

Co to jest prawdziwy i śmiały lot geniuszu, przed którym każdy musi czoło ugiąć, tośmy w całej pełni odczuli na koncercie Wł. Zeleńskiego. Kompozytor, na krótki czas do nas zawitał i dał nam tylko jeden koncert, w którego program wchodziły nieznane jeszcze pieśni, Arja Aldony z op. „Krzyżacy” muzyka baletowa z tójże opery, oraz „Pienia żałobne”, utwór orkiestralny. Zeleński jest wszechwładnym panem swoich idei, duch jego, jak mówi Mickiewicz, technie tam gdzie chce, z tą jednak różnicą, że wiadomo dokąd dąży! Wobec tonów porwujących swém uczuciem silném i dramatyczném, w obec przepysznej a oryginalnój instrumentacyi, słuchacz-artysta zapomina o możliwości krytycznego rozbioru i nie żałuje wrażeń, którym daje się aż do zapamiętania unosić; a tak żałować należy tych, co nie chcieli wziąć udziału w artystycznój uczcie i nie zapewnili sal re-dutowych do szczętu, żałuje się tych, co na piękno chcą zapatrywać się ze swojego zaściankowego stanowiska i czują się w obowiązku swoje widzimisię wtrącać do sprawozdań o twórcy, którego dzieła, by je należycie ocenić, mało raz jeden posłyszć.

Ważnych odkryć archeologicznych dokonano w miesiącach grudniu i styczniu w Rzymie. Na miejscu, gdzie się wznosiło hospicjum, zwane „Tata Giovanni“ (Tato Jan), którego rektorem był za młodu Pius IX, znaleziono kolosalny posąg siedzącej kobiety, należący do najpiękniejszych czasów grecko-rzymskiej sztuki, tudzież popiersie kobiece w willi Wołkońskich. Obie te rzeźby przewieziono do kapitolijnskiego Muzeum. Znaleziono także kilka brył nieszlifowanego ametystu, używanego przez dawnych rzymian do futrowania ścian swych przepysznych pałaców. Odgrzebano około świątyni Antonina i Faustyny nowy ułamek marmurowego planu starożytnego Rzymu, arcyważny zabytek dla archeologii wiecznego miasta. Na dawniej Via Flaminia za miastem odkopano starożytną bazylikę św. Walentego i ciekawe w niej malowidła z pierwotnych wieków chrześcijaństwa, a na Via Nomentana mauzoleum św. Konstancyi, w niem zaś chrześcijańskie sarkofagi z płaskorzeźbami. Na tejże drodze wyszły na jaw budowle z czasów Dyoklecjana i piękne

rzeźby. W podwalinach nowego Policlinico, znalazła się starożytna marmurowa posadzka, wybornie zachowana, a około San Paulo all Tre Fontane za miastem, gliniane naczynie pełne złotych i srebrnych pieniędzy cesarskich z III wieku po narodzeniu Chrystusa. Nakoniec w Ostii odkopano szczątki obszernych łaźni rzymskich, a w nich rzeźby starożytnej straży ogniowej z napisami na marmurowych płytach. Po innych miastach włoskich poznajdowano także drogocenne starożytne zabytki, z których senator Fiaselli, zawiadowca wykopalisk Włoch całych, zdał sprawę na ostatniem posiedzeniu Akademii Ostrowidzów.

Dom Rafaela w Rzymie, uważany za zburzony podczas rozszerzenia placu Rusticucci, istnieje dotąd, jak się niedawno przekonano i to na placu Scossacevalli, łączącym stare i nowe Borgo. Do odkrycia tego dopomógł przypadek. Municypalność Rzymu postanowiła dokonać regulacji dzielnicy Borgo, celem powiększenia rozmiarów dostępu do kościoła św. Piotra i na plac przed kościołem. Przeciw temu projektowi podniesiono z różnych stron protesty, gdyż pociągał za sobą zburzenie niejednego starego pomnika sztuki. Chcąc o ile możności zapobiedz temu, zaczęto szukać w archiwach watykańskich dokumentów, któreby mogły dać w tym kierunku jakie wskazówki i przy téj sposobności przekonano się, że dom, zbudowany przez Bramantego według planów Rafaela, istnieje jeszcze. Aby usunąć wszelkie wątpliwości polecono fachowej komisji zbadać dokładnie wskazany dom, a komisya ta stwierdziła, iż dokumenta watykańskie są prawdziwe. Dom, w którym mistrz z Urbino wydał ostatnie tchnienie, padnie wszakże wkrótce pod ciosami siekiery, albowiem municypalność postanowiła mimo wszystko złożyć go w ofierze na ołtarzu koniecznej regulacji.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

P. Edward Pawłowicz, sprawujący obowiązki kustosza Muzeum imienia ks. ks. Lubomirskich we Lwowie, wydał obszerny katalog tego bogatego zbioru (str. 211). Instytucya ta zawdzięcza p. Pawłowiczowi ostateczne uporządkowanie i artystyczne rozmieszczenie dzieł sztuki, pamiątek historycznych, zabytków archeologicznych i zbioru wszelakiej broni, z wielkim smakiem i znawstwem w jednej z najobszerniejszój sal tegoż Muzeum rozmieszczonych. Katalog, o którym mówimy, rozpada się na pięć działów, a mianowicie: na dział przedmiotów archeologiczno-historycznych, historyczno-pamiątkowych, dzieł sztuki, gabinet broni i wreszcie różności. Nie są tym katalogiem objęte dyplomy, autografy oraz numizmatyka, gdyż same dla siebie stanowią one będą osobny katalog, który później zostanie wydany. Muzeum Lubomirskich założył książę Henryk Lubomirski: pod pieczęcią ręką jego syna, nieodżałowanej pamięci ks. Jerzego, rozwinęło się ono i wzrosło — coraz to większą w następstwie budząc ciekawość i zainteresowanie. Sprawiedliwie mówi o znaczeniu tego muzeum p. Pawłowicz w przedmowie do swego katalogu, że „dwie nasze instytucye, Ossolińskich i Lubomirskich, dopełniając się wzajem, stały się obfitą źródłem dla pracowników na polu nauki i sztuki.

Akademia Umiejętności w Krakowie wydaje od Nowego roku miesięczne sprawozdania z działalności swojój w językach francuzkim i niemieckim w celu regularnego obznajmiania uczonych cudzoziemców z postępem i rezultatami badań uczonych polskich. Mamy przed sobą pierwszo dwa zeszyty za styczeń i luty, mianowicie: *Bulletin International de l'Academie des Sciences de Cracovie* (okładka szara), przeznaczony dla wszystkich instytucji zagranicznych, oprócz niemieckich, dla których drukuje się to samo sprawozdanie w języku niemieckim (mniemamy, że bez naglą-

cej potrzeby, bo i uczeni niemieccy znają język francuzki), pod tyt. „Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau“ (okładka pomarańczowa). Wydanie niemieckie rozsyła akademia do niemieckich instytucji naukowych w Austrii, francuzkie zaś do wszystkich innych zagranicznych. Sprawozdania takie wychodzą będą regularnie co miesiąc, z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych (sierpień i wrzesień). Każdy zeszyt składa się z dwóch części; pierwsza zawiera wyciąg z protokołów posiedzeń, druga zaś obejmuje treść memoriałów i prac przedstawionych Akademii. Wyciąg z protokołów sporządzony jest w językach francuzkim i niemieckim; streszczenie zaś prac, stosownie do życzenia autorów, po niemiecku albo francuzku.

Akademia spodziewa się, że wydawnictwo to przyczyni się znacząco do podniesienia powagi Akademii na zewnątrz oraz do ożywienia ruchu naukowego w jej własnym obrębie. Wydawnictwo to zapobiegnie z jednej strony szkodliwemu eksportowi najważniejszych rezultatów naszej pracy naukowej, który ścierał z niej znajomość badań i nauki polskiej, a z drugiej skłoni niejednego Polaka do ogłaszania badań swoich w pismach Akademii, gdy będzie miał pewność, że rezultaty studyów jego — o ile okażą wartość naukową, staną się w jaknajkrótszym czasie dobrodziejstwem literatury i oświaty powszechnej. Dla tych powodów należy wydawnictwo to powitać z radością jako fakt doniosły dla nauki polskiej i dla ruchu naukowego w kraju.

P. Wieńczysław Łoś, mieszkający czasowo we Włoszech, zamierza jeszcze w roku bieżącym rozpocząć w Piotrkowie wydawnictwo pod ogólnym tytułem „Biblioteka popularna,“ na wzór podobnego wydawnictwa włoskiego „Biblioteca del popolo,“ która cieszy się tam wielkiem powodzeniem i przynosi ludowi nie małe korzyści. Program zamierzonego wydawnictwa ma obejmować, jak p. Łoś zawiadamia redakcją „Tygodnia“ następujące gałęzie nauk: filozofia, psychologia, historia, życiorysy, mitologia, archeologia, prawo, ekonomia polityczna, przemysł, statystyka, literatura, krytyka, sztuki piękne, muzyka, higiena, pedagogika, geografia, etnografia, podróże, nauki przyrodnicze; budownictwo, górnictwo, mechanika, technika, gospodarstwo wiejskie i domowe, ogrodnictwo, leśnictwo i t. d.

Każdy tomik, składający się z 50—150 stronic drobnego druku, kosztować ma 10—30 kop. O przysyłanie ofert tymczasowych p. Łoś prosi pod adresem: Wieńczysław Łoś, Italia, Pisa; via del Risorgimento Nr. 7.

Zeszyt (3-ci) na mies. marzec czasop. Tow. szkół wyższych w Galicyi pod tyt. „Museum“ zawiera prócz sprawozdań z posiedzeń różnych kół nauczycielskich, ważne rozprawy pedagogiczne, mianowicie: 1) Synteza nauki szkolnej, w duchu religijno-etycznym (B.M.);

2) Parylak: Jakby należało ułożyć wypisy polskie dla gimnazjum (dok.); 3) Dziwiński: „O algorytmie Bernarda Wojewódki (c. d.); 4) Jubileusz 300-letniej rocznicy gimnazjum Ś-tėj Aanny. 5) Ruch naukowy: a) recenzje i sprawozdania (St. hr. Tarnowski: Jan Kochanowski; Kłak W., Korneliusza Neposa. Żywoty sławnych mężów. Lwów 1888). b) Przegląd czasopism naukowych (Zeitschrift für Real-schulwesen. c) Z Towarzystw naukowych i t. d.

Przewodnik nauko-wo-literacki, dodatek bezpłatny do „Gazety Lwowskiej“, w zeszytcie na miesiąc marzec zawiera następujące artykuły: 1) „Działalność literacka ś. p. Następcy Tronu Arcyksięcia Rudolfa“, przez dr. A. Zippera. 2) „Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana 1830—1864 r.“ 3) „Zatarg wołyński 1859 r.“ przez dr. Antoniego J. 4) „O obecnem prawie wojny lądowej“, przez dr. Gustawa Roszkowskiego. 5) „Okopy ś-tėj Trój-cy“, przez Ludwika Finkla. 6) „Nieborów i Puławy w pierwszych latach po ostatnim rozbiornie Polski“, przez R. 7) „Jaśliśka, mias-teczko i klucz biskupów Przemyśkich“, przez dr. Antoniego Pro-chasę. 8) „Nowśza historyografia niemiecka“, przez D. 9) „Kro-nika literacka“.

„Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku zeszyt 6-ty tomu IV-go (str. 401—480), zawierający dalszy ciąg obszernego artykułu prof. J. K. Plebańskiego „O nauce geografii w szkole.“ Czytamy tu najprzód wyczerpujący rozbiór zasad metodologicznych, zalecanych przez dzisiejszą pedagogikę przy wykładzie tego przedmiotu w szkołach średnich, z uwzględnieniem odpowiednich przepisów władz edukacyjnych. Autor mówi tedy o momentach orograficznych i hydrograficznych oraz o porządku ich wykładu w szkole, odpowiednio do stosunków topograficznych danych krajów; dalej o znaczeniu warunków klimatycznych, o geografii roślin, zwierząt, wreszcie o powierzchni kuli ziemskiej, jako mieszkaniu Człowieka. Wskazawszy człowieka, jako łącznik, który wiąże świat fizyczny z politycznym, określił autor bliżej zadanie geografii fizycznej i politycznej. Po treściwej charakterystyce metody dyalogenicznej i opisowej przy elementarnej nauce geografii, przechodzi autor do rozbiornie kwestyi szczegółowych, które zajmują literaturę pedagogiczną w czasach najnowszych ze względu na potrzeby szkół wyższych. Mówi tedy o nazwach geograficznych, mianowicie o potrzebie ujednostajnienia ich transkrypcyi i wymawiania, domagając się wszędzie przy nazwiskach obcych, nietykalności nazwy miejscowej, rodzinnej, krajowej. Po wzmiance o projektowanych środkach czuwania nad postępnem uczniów, przechodzi do rozbiornie roztrząśnionych w ostatnich latach kwestyi dydaktycznych. Wskazawszy na czém polega specjalne zadanie, oraz osobne pedagogiczne znaczenie

nauki geografii w szkole, zastanawia się szegółowo nad środkami pomocniczymi przy wykładzie téj najmłodszej nauki w szkole wychowawczej. Uznawszy mapę za najważniejszy środek dydaktyczny w programie szkolnym tego przedmiotu, rozbiera autor zasady, które pedagogika najnowsza w wykładzie metodologicznym przepisuje. Mówi tedy o nauce czytania map (416—420), poświęca dużo miejsca gruntownemu rozbirowi zaciętego nader sporu, który toczy się od wielu już lat w literaturze pedagogicznej pomiędzy żarliwymi zwolennikami metody t. zw. rysunkowej, konstrukcyjnej czyli kartograficznej a obrońcami metody opisowej. Znajdujemy tu nader szczegółowo objaśnioną kwestyą rysowania map przez uczniów, w historycznym jej rozwoju. Autor nie zakrywając zalet téj metody, wykazuje szkodliwe skutki zbyt jednostronnego postępowania i nadmiernych wymagań apostołów kartografii w szkole, wymagań, które nie tylko obciążają zanadto uczącą się młodzież, ale obrażają nawet podstawowe zasady pedagogii. Powołane przykłady takich lekcji z dzieł prof. Alf. Kirchhoffa, Matzata i Heilanda, porównane z metodą opisową, zniewalają autora do krytycznego rozbioru przechwalanych rzekomych korzyści metody rysowania map przez uczniów. Na podstawie wszechstronnych spostrzeżeń oraz opinii pierwszorzędných pedagogów praktycznych, przychodzi autor do wniosku, że metodzie opisowej należy przyznać pierwszeństwo przed metodą rysowania map przy nauce geografii w szkole, z tém zastrzeżeniem, aby opisowy wykład fachowego nauczyciela opierał się zawsze na dobrej i dokładnej mapie, zwłaszcza, że zakłady kartograficzne mogą się już dziś poszczycić tak znakomitemi dziełami, z którymi żaden rysunek odręczny równać się wcale nie może (str. 420—445). Mapa zdołną jest dzisiaj zastąpić dawniejszy podręcznik. Z literatury polskiej uwzględnia autor poważne, ściśle metodologiczne prace prof. Benouï'ego (str. 438) na tém polu. Obfity materiał bibliograficzno-krytyczny nastęrcza czytelnikowi możność utworzenia sobie samodzielnego zdania co do tych nadzwyczaj spornych kwestyi, bo na brak dokładnej informacji skarżyć się tu nie potrzebuje. Postępując konsekwentnie na wskazanęj drodze, przemawia autor za jednym atlasem przez wszystkie kursa, a wykazawszy na podstawie dzisiejszej kartografii warunki, którym dobra mapa zadość czynić powinna, przechodzi do szczegółowego, wyrozumowanego przeglądu najnowszych dzieł i wydań kartograficznych. Znajdujemy tu tedy dokładną informacyą o atlasach (453 — 460), mapach ściennych (planiglobach, mapach ściennych pojedynczych części świata, osobnych krajów europejskich i zaeuropejskich, mapach na płótnie woskowanym) wypukłych, (reliefs), modelach geograficznych, globusach, telluryach i t. d. Na czele każdego z tych działów wyłożone są zasady, podług których pedagogia ocenia dziś wartość naukową i szkolną każdej z tych pomocy dydaktycznych. W dalszym ciągu przechodzi autor do przeglądu podręczników szkolnych,

zastanawiając się nad ich zadaniem naukowym i pedagogicznym, poczem rejestruje obszerniejsze pomoce literackie, jako to: specjalne dzieła geograficzne, ilustrowane i nieilustrowane, opisy podróży, czasopisma dla użytku szkoły i t. p., których w każdej bibliotece szkolnej brakować nie powinno.—W końcu zeszytu (str 479) czytamy początek nowego ustępu, zatytułowanego: „Geografia w szkole i literaturze polskiej“, który nietylko u czytelników „Encyklopedyi wychowawczej“, nader żywy powinien obudzić interes.—W.

Dzięki zasiłkowi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia d-ra Józefa Mianowskiego, p. S. Dickstein wzbogacił naszą literaturę ścisłą tłómaczeniem rozprawy Gino Loria, profesora geometrii wyższej uniwersytetu w Genui, p. t. „Przeszłość i stan obecny najważniejszych teorii geometrycznych.“ Warsz. 1889. Praca oryginalna prof. Lorio ogłoszoną była w r. 1887-ym w „Pamiętnikach Akademii turyńskiej“; obecnie zaś autor, przesyłając upoważnienie do wydania przekładu polskiego, nadesłał tłómaczowi liczne uzupełnienia i poprawki, czyniące rozprawę pełniejszą od oryginału. Nadto p. Dickstein dołączył do przekładu najnowszą rozprawę tegoż autora p. t. „Notizie storiche sulla geometria numerativa“ i dodał notatki, odnoszące się do pokrewnych prac matematyków naszych.—Książka napisana dobrym językiem i w stylu poprawnym.

Nakładem księgarni T. Paprockiego wyszły z druku 22 pogadanki popularne o astronomii p. t. „W państwie gwiazd.“ Warsz. 1889. str. 319 przez Wilhelma Meyera, b. astronoma obserwatorium genewskiego. Przekładu na język polski z oryginału niemieckiego dokonał p. Feliks Wermiński. Książka zawiera dwadzieścia dwie pogadanki, i opatrzona jest drzeworytami w tekście a w końcu litografowaną kartą nieba.

Nakładem wydawnictwa Głosu wyszedł I-szy tom Herberta Spencera Systemu filozofii syntetycznej pod tyt. „Zasady socyologii“ Herberta Spencera. Książka ta jest szóstym z kolei tomem w szeregu, składającym „systemat filozofji syntetycznej.“ Wydawnictwo przekładu polskiego dzieł Spencera opuszcza na teraz biologią i psychologią, a rozpoczyna od socyologii, a to z uwagi na tę okoliczność, że socyologia słabiej od tamtych nauk w piśmiennictwie naszym jest reprezentowaną, ostatniemi zaś czasy wśród inteligencji naszej budzi się zainteresowanie naukami społecznymi. Przekładu dokonał z trzeciego wydania oryginału p. J. K. Potocki.

Samobójstwa, szerzące się w ostatnich czasach niemal epidemicznie w wyższych warstwach społeczeństw europejskich, zwróciły na siebie uwagę jednego z pierwszorzędných uczonych niemieckich, prof.

dr. Hofbauera, który zajął się gruntownem badaniem przyczyn tój plagi, trapiącej strwożoną ludność współczesną, oraz śledzeniem środków zaradczych na ten zastraszający upadek moralny. W dziele, które o tym przedmiocie świeżo ogłosił p. n. „Ueber die Ursachen der in neuester Zeit so sehr überhandnehmenden Selbstmorde und deren Verhütung“ („O przyczynach samobójstw zbyt częstych w chwili współczesnej oraz o środkach zaradczych na tę plagę“), zwraca autor przedewszystkiém uwagę swoją: 1-e na trudne warunki egzystencji dzisiejszój, na ową srogą walkę o byt, popierającą teorią Darwina; 2-o na wszechstronną pożądlivość bogactw, karyery i jaknajprędszego wyniesienia siebie, choćby na ruinach zachwalanego ustroju demokratycznego; 3-cie na nadużywanie najwyrafinowańszych rozkoszy życiowych, obok 4-o przeciążenia pracą umysłową i to od najwcześniejszój młodości. Wskazane tu zjawiska, w obec lekceważonych lub wcale nieuznawanych zasad moralności, podsycają łakome uciech żądze, prowadzą wkrótce do przesytu i rozstroju nerwowego, kończącogo samobójstwem zwłaszcza u indywidualów, podlegających już wskutek predyspozycyi dziedzicznój słabościom nerwowym: dziedziczność samobójcza zabija też i głodzi całe rodziny i stanowi jedną z tych przyczyn, którym dr. Hofbauer jedno z najprzedniejszych miejsc naznacza. — Obok tój przyczyny znajduje dr. Hofbauer zaraz drugą w (6-e) braku religii i w zatrwajającym upadku moralnym. Dla tych powodów potępia też jak najgłośniej dr. Hofbauer wszelkie teorye materyalistyczne, usuwające massom z pod ich nóg wszelkie moralne podstawy życia. Tam bowiem, gdzie życiem człowieka nie rządzi najwyższa mądrość, miłosierdzie i sprawiedliwość Opatrzności; ale ślepy przypadek, mechaniczny jedynie zbieg sił materyalnych, tam życie nie może też mieć żadnój wartości, tam za wiele jest pokusy do przecięcia samowolnie tój nici żywotnej przy lada przeciwności. — W dalszym ciągu mówi autor o stosunkach socyalnych klas pracujących, a w panującej w tych warstwach (7-e) nędzy spostrzega nie ostatnią przyczynę samobójstw. Wreszcie nie pomija w szeregu przyczyn tój plagi i (8-e) pijaństwa, prowadzącego do chorób umysłowych i obrzydzenia sobie życia. Nakoniec omawia (9-e) niepewne stosunki polityczne naszych czasów, oraz (10-e) namiętności i afekty psychiczne. — Dzieło napisane z niezwykłą erudycją, a łącząc z jasnością wykładu poetyczny niemal wyraz słowa, czyta się z wielkiem zajęciem i zasługuje na rozbiór szczegółowy, który w najbliższym czasie czytelnikom Bibl. Warsz. przedstawimy.

Ernest de Lavelaye: „Własność pierwotna.“ Tłómaczenie z 4-go wydania francuzkiego. Wydawnictwo imienia dr. J. Baranowskiego. Warsz. 1889. — Znany zaszczytnie ekonomista francuzki, objawia nam przedewszystkiém swój pogląd na tę zagadkę socyalną, która dotychczas pozostała tajemnicą, bo przeróżne majączenia doktrynerskie socyologów, wojujących abstrakcyjnie, nie zastępują wiedzy, szukającój trwałej podstawy realnój, historycznój

Zaznaczywszy rozwój wszędzie powolny i jednaki własności ziemskiej, opisuje (rozdział 2-gi) zbiorową własność gmin wiejskich, w Rosyi, przedstawiając skutki ekonomiczne technicznego „miru“ ruskiego. Dalej opisuje gminy wiejskie na Jawie i Indyach, — (5-ty) m. je germańskie, — gminy wolne u Arabów i u innych ludów, — wskazuje początki nierówności rolnęj, (7) opisuje dzieje własności w Anglii i Chinach, wspólną własność w starożytności (Sparta i Rzym), dalej naucza jak związki rodzinne zastępują miejsce gmin wiejskich, ma-luje związki rodzinne u słowian południowych, gminy rodzinne we Włoszech, gospodarstwa rolne współdzielcze, dzierżawy dziedziczne, almeny szwajcarskie, własność wspólną we Francyi, gminną w Belgii. W końcu mówi o państwie jako właścicielu ziemskim, o ustroju własności w Indyach, Egipcie, Turcyi, — o prawie własności, pu-szczeniu dziedzicznęj i o teoriach własności w ogóle.

Historii polskiej, treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście, napisanych przez Józefa Szujskiego wyszło drugie wydanie. Warsz. 1889 r. Kosztuje rs. 2. kop. 50. Szkoda, że podręcznik nie może być tańszym, zwłaszcza, że zalety jego są znane (Zob. rozbiór w Bibl. Warsz. 1880 r. Tom IV. str. 296 sg).

Kazimierz Kaszewski wydał w tłumaczeniu polskiem wszystkie „Tragedye Sofoklesa.“ Dzieło to, będące pięknem z bogaceniem literatury polskiej, stanowi jeden osobny tom w znanem wydawnictwie S. Lewentala i zasługuje ze wszęch miar na to, aby wartość jego naukowa i literacka w szczegółowem sprawozdaniu ocenioną była.

W drukarni „Wieku“ wyszła jako osobna odbitka powieść w trzech tomach, przez Jerzego Myriela pod tyt. „W walce z losem.“ Warsz. 1889. T. I. str. 208. II. 230. III. 183.

„Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy. Opowiedział A. Dygas.“ Tak brzmi w broszurowem wydaniu dla ludu tytuł Dygasińskiego „Beldonka“, który przed kilku miesiącami drukował „Tygodnik ilustrowany.“ Ciekawe przygody Beldonka opisuje autor właściwą mową ludową, t. j. zachowuje wszystkie jęj charakterystyczne właściwości i zwroty, z usunięciem wszakże t. zw. mazurowania. Powiastkę cechuje humor, przeniesiony na papier wprost z życia wsi, oraz zwykły u Dygasińskiego dar obserwacyi. Książeczka stanowić może dobry nabytek dla czytelników ludowych; a nawet i dla inteligentnego czytelnika nie jest pozbawiona właściwego sobie uroku.

Józef Nusbaum wydał cenne dzieło, owoc dłuższych samodzielnych badań pod tyt. „Zasady ogólne o rozwoju Zwierząt (Embryologia) Warszawa 1889).

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.

Bismarck *contra* Fryderyk III.

PRZEZ

Konrada Machczyńskiego.

Gdyby proces kryminalny o zdradę stanu, wytoczony d-rowsi Fryderykowi Geffckenowi za ogłoszenie przez niego części pamiętników niedawno zmarłego cesarza Niemiec Fryderyka III, miał na celu li tylko osobę obwinionego i karę za niedyskrecyę, pozostałby wprawdzie zawsze jedną z tych *causes célèbres*, jakich setki już liczy kronika kryminalistyki, ale nie byłby wyrósł do znaczenia faktu dziejowego i zapomnianoby o nim wkrótce, jak o procesie hr. Arnima. Obwiniony p. radca tajny i b. professor w Strassburgu doznał niewątpliwie wszystkich przykrości śledztwa, uwięzienia i sądu i mógł wzbudzić ogólne współczucie, a nawet oburzenie przeciwko swoim oskarżycielom, wzrastające w miarę wzmagania się ich zawziętości i niezgodnego z prawem postępowania, nie stał on przecież jeszcze dość wysoko, ażeby wyrządzona jemu samemu krzywda zdolną była wywołać tak nadzwyczajne zajęcie i wstrząsnąć opinią publiczną Europy tak głęboko, jak to rzeczywiście nastąpiło.

Nie zbrodnia też, zarzucona Geffckenowi, i postępowanie z nim rządowych organów pruskich wywołały całe *odium* tej sprawy i nadały jój pierwszorzędne polityczne znaczenie, ale ten, może jedyny w swoim rodzaju zamach stanu na zmarłego monarchę, dokonany jakby legalnie za pomocą procesu kryminalnego, którego ciosy, wymierzone w obwinionego bezpośrednio, miały pośrednio dotknąć całym kłosem kogo innego. Pod formą to bowiem urzędowego obwinienia Geffckena mściwa ręka kanclerza niemieckiego chciała osiągnąć poza grobem swego politycznego przeciwnika, wywlec ukoronowanego męczennika przed kratki sądowe, wydać go na pastwę swym

mamelukom i prasie gadzinowej i obedrzyć ze wszystkiego, co było w nim szlachetnego i wzniosłego. Nazywając rzecz po imieniu, będzie to sprawa kryminalna Geffckena, ale w samej istocie jest to proces polityczny i dziejowy, który książę kanclerz niemiecki wytoczył przeciwko pamięci, ideom i czci niedawno zmarłego cesarza Niemiec, Fryderyka III.

Proces tój doniosłości wart jest bliższego poznania nie tylko sam przez się, nie tylko ze względu na dostojną osobę prześladowanego nieboszczyka, ale i jako poważny materiał do rozbioru pod względem filozoficznym, etycznym, politycznymi prawno-państwowym, oraz jako jedno z najbardziej charakterystycznych znamion tój smutnej naszej epoki państwowego pesymizmu, w której zasada „siła przed prawem“ została wygłoszona z taką brutalną otwartością i w której czciciele złowrogiego bóstwa „krwi i żelaza“ tryumfują dotąd nad wyznawcami sprawiedliwości i miłosierdzia, nie przebacząc im nawet po zgonie...

Nadto jeszcze, proces Geffckena, wzięty w obszerniejszym i głębszym jego znaczeniu, wraz z nieodłącznymi pamiętnikami, które go wywołały, raport o nich, złożony przez kanclerza, prokuratorowski akt oskarżenia, parę odezw od tronu i kilka zaledwie faktów—to całe niemal dzieje panowania Fryderyka III, którego nawet prasa francuzka, tak wrogo usposobiona przeciwko wszystkiemu co niemieckie, zaszczyliła już nazwą Marka Aureliusza. Wprawdzie nie wiemy co przynieść mogą dalsze jakieś, zapowiadane przez organa kanclerskie odkrycia, i czy im się uda zmienić korzystny dla zmarłego i dla Geffckena prąd opinii publicznej; w każdym jednak razie, jak dotąd, są to najważniejsze dokumenta historyczne do tego 99-cio dniowego panowania z łoża boleści, przy których świetle można już wyrobić sobie zdanie o monarsze i człowieku i o jego zawziętych prześladowcach, i z tego więc także tytułu zasługują na zaznaczenie ich w tém miejscu.

Mniemam przeto, że obszerniejsze nieco przedstawienie tego procesu, zebranie razem i zestawienie z sobą tych porozrzucanych po różnych publikacjach dokumentów, obok paru nieuniknionych objaśnień i uwag, nie może być bez interesu i dla czytelników „Biblioteki Warszawskiej“.

I.

Gdyby mężowie stanu, którzy kierowali losami państw europejskich od czasu jak p. Bismarck von Schönhausen stanął na czele gabinetu pruskiego, zatem przeszło od ćwierć wieku, lepij pamiętali byli o elementarnej zasadzie dyplomacyi *prévoir et prévenir*, gdyby umieli przewidzieć, jaki to mistrz zasiada z nimi do gry o pań-

stwa i o narody i zapobiedz jego rozległym planom, nie byłoby, mniéj więcéj wszyscy po kolei, wyprowadzeni w pole, a dzisiejszy książę żelazny nie byłby wygrał wielkiego *v a b a n q u e*—jedności Niemiec i cesarstwa. Stało się jednak inaczej. Geniusz polityczny ks. Bismarcka, wsparty wyborynym militaryzmem pruskim i talentami znakomitych wodzów, posiłkowany błędami przeciwników, z których tak mistrzowsko umiał korzystać, i łatwawiernością przyjaciół, których, w miarę potrzeby i swych dyplomatycznych ewolucyi, potrafił sobie tworzyć i wyzyskiwać,—zdobył dla prus, przeobrażonych w cesarstwo niemieckie, a właściwiéj może dla prusyfikowanej Germanii, tak potężne i przygniatające inne państwa stanowisko, że hegemonia Niemiec, ich bezpieczeństwo i przewaga, zachowanie im poczynionych już zdobyczy i—być może, ułatwianie im nowych zaborów, doprowadziły Europę do tego prawie już śmiertelnie chorobliwego stanu, w jakim się obecnie znajduje.

Zadziwiający tryumfy polityki ks. Bismarcka drogo już opłaciła Europa, płaci za nie ciągle, bez miary i nikt dziś przewidzieć nie zdola, ile ją one będą jeszcze kosztować. Każdy z wyjątkiem może Włoch, kto tylko miał z nim interes, został w ten lub ów sposób ograny, a jeżeli coś wygrał, to tylko chyba do spółki z kanclerzem, który największą część zysku umiał zawsze zachować dla siebie.

Przedewszystkiém w spółnictwie z Austryą, pomimo irytacyi i grózb Anglii a ku niezadowoleniu Rossyi, wydarł Danii księstwa Nadelbiańskie, którcmi mieli się podzielić spółnicy. Niebawem jednak Prusy zagarnęły całą zdobycz, Austrya musiała się wycofać ze spółki, straciła włożony do niéj kapitał, i wyszła nietylko z próżnemi rękami, ale i z blizką perspektywą daleko krwawszego procesu o własne istnienie.

Zanim jednak przyszło do niego, potrafił ks. Bismarck za wysoką cenę, lecz płatną z cudzej kieszeni, kupić sobie współdziałanie Włoch, bardzo pozytywnych w rzeczach polityki i nie dających się wziąć na lep pięknych obietnic i dyplomatycznych manewrów. Jeszcze lepiéj udało mu się z Napoleonem III-im, którego pilnie studyował za swojego poselstwa w Paryżu. Kto z nich dwóch lepiéj poznał drugiego: czy cesarz, kiedy na ambasadora pruskiego, gdy ten rozwijał przed nim swoje, może być umyślnie fantazyjne plany, powiedział *c' est un fou*, czy Bismarck, kiedy nazwał Napoleona *une médiocrité méconnue*—niedaleka przyszłość pokazała. Dość, że ludząc go to Luksemburgiem, to Belgią, to naturalnemi granicami Renu i t. p. gruszkami na wierzbie, wyjednał sobie neutralność Francyi na wypadek wojny z Austryą, której rezultatów orężnych i skutków zgubnych dla siebie, nie umiał przewidzieć łatwowierny cesarz Francuzów. Rossya nie widziała dla siebie interesu w naśladowaniu cesarza Mikołaja I i spieszenia Austrii z pomocą. W dwa lata po wojnie duńskiej, rozegrała się pod Sadową prusko-austriacka tragedia, zakończona pokojem w Pradze

23 sierpnia 1866 r. Wiekowe współzawodnictwo dwóch mocarstw o przewagę w Niemczech, zostało rozstrzygnięte na korzyść Prus niepodzielnie. Dotychczasowy Bund rozwiązany, Austria wyrzucona z Niemiec, na czele których stanęły Prusy pod firmą nowo utworzonego związku północno-niemieckiego, a wchodzące do niego państewka wzięte zostały odrazu przez Bismarcka w kleszcze krzyżackie, zachowując tylko pozory samoistności. Sleszwig, Holsztyn, Kurhessya i Frankfurt wprost wcielono do Pruss. Włochy, lubo pobite w boju, zarobiły przyrzeczoną sobie z góry Wenecyą.

Po klęsce Austrii, rozpoczęła się na dobre gra z Napoleonem III, który, poznając zapóźno błąd popełniony przez dopuszczenie pogromu monarchii Habsburgów, zatrwożony szybkim wzrostem pruskiej potęgi i grożącym ztąd Francji niebezpieczeństwem, zaczął się zbroić, domagać rękojmi i wynagrodzenia za swoje fatalną neutralność. Ks. Bismarck niczego wprost nie odmawiał, zwłóczył tylko, lawirował, łłómaczył się i obiecywał, a tymczasem krępował różnemi traktatami południowe państwa niemieckie, przykuwał je do wozu swój polityki, podniecał z całej siły nienawiść ku Francji i szowinizm niemiecki, a ukazując mu ideał narodowego zjednoczenia, powiększał uzbrojenie Prus i zmuszał do tego inne państwa niemieckie, łamiąc opór ich rządów i lekceważąc opozycje parlamentów, a jednocześnie obrabiał wielkie mocarstwa. Nie trudno mu było zapewnić sobie bezczynność Anglii, bezsilną jako państwo lądowe i obojętną zwykle na sprawy stałego lądu, jeżeli one nie dotyczą jej bezpośrednich interesów, ale zawsze patrzącej zazdrośnym okiem na morską potęgę Francji i jej kolonie. Daleko-widzący pruski mąż stanu przeniknął niewątpliwie pragnienia Anglików, błysnął im więc przed oczami Cyprzem i Egiptem, i znowu kosztem nie swoim, zjednął sobie ich życzliwość. Zadać od Włoch czynnego wystąpienia w przewidywanej wojnie było jeszcze zawiele, ale wdzięczności ich dla Francji nie potrzebował się obawiać, bo to uczucie nieznanne w stosunkach między-państwowych. Zresztą, Włochy miały u siebie jeszcze i bez takiego wystąpienia, znakomity kęs do zabrania: dość przeto było ks. Bismarckowi wskazać na Rzym, jako stolicę, żeby zapomniały o tém, co były winne Napoleonowi III. Nigdy też zapewno nie manifestował ks. Bismarck swój miłości dla Rosyi iserdecznej przyjaźni dla jej kanclerza tak gorąco, jak podczas tych dyplomatycznych zabiegów. Niechęć, jaką pozostawiło po sobie stanowisko cesarza francuzkiego w bolesnych wypadkach 1863 r., gruba stawka do wygrania, przeważnie z angielskiej kieszeni—zniesienie uciążliwych na morzu Czarném stypulacyi traktatu paryzkiego z r. 1856, i większa jeszcze *carte blanche* do działania na półwyspie Bałkańskim, zapewniły neutralność i z téj strony. Wśród poufnych przy téj sposobności wynurzeń, mogło już wówczas zarysować się widmo przyszłej wojny rosyjsko-tureckiej z 1877 r., a ks. Bismarck przyjął je życzliwie i z gotowością do przyjacielskich usług, jakie

złożył później—na kongresie berlińskim. Jednocześnie prawie Austria usłyszała z ust ks. Bismarcka komendę: „Front na Wschód, środek ciężkości w Pescei!” i z karnością pruskiego żołnierza poszła dorabiać się na nowo we wskazanym sobie kierunku, gdzie czekał już na nią współzawodnik potężny. Uwikłana tym sposobem w sprawę tego półwyspu, zmuszoną była Austria popełnić naodwrot ten sam błąd, jakiego względem niej dopuścił się Napoleon III i pozostawić Francją osamotnioną w zbliżających się zapasach z Niemcami. Po tych przygotowaniach zarzucono wreszcie wędkę kandydatury do tronu hiszpańskiego. Mistrzowska gra polityczna Bismarcka i geniusz wojskowy Moltkego, uwieńczone zostały niesłychanym powodzeniem. Nastąpił fatalny w 1870 i 71 r. pogrom opuszczonej przez wszystkich Francji, upadek Napoleona III i monarchii. Prusy zdobyły Alzacyą i Lotaryngią, 5 miliardów franków i cesarską koronę Niemiec, której ofiarowanie królowi pruskiemu umiał ks. Bismarck wymóżyć na książętach niemieckich, a czemu Europa niezdolną była zapobiedz. Francya, zdeorganizowana po strasznych klęskach wojny i po zbrodniach kumuny w Paryżu, upokurzona na zewnątrz a wewnątrz osłabiona i wycieńczona, została rzeczpospolitą. Przez dziwną ironią losu i zetknięcie się sprzeczności, zaprowadzenie tej formy rządu popierał najwytrawniejszy mąż stanu i patriota francuzki Thiers, i sprzyjał jej skrycie tryumfujący wróg Francji, ks. Bismarck. Pierwszy z nich uważał rzeczpospolitą za najodpowiedniejszą, gdyż podług niego, najmniej dzieliła Francuzów, drugi widział w niej źródło niezgody, walki stronnice i osłabienie Francji na długo: pierwszy miał może słuszość narazie, drugi ma ją podobno aż dotąd. Nie czekając końca tej wojny Włochy zapłaciły sobie za neutralność Rzymem. Rossya odzyskała dawne militarne stanowisko na morzu Czarnem, Austria wyczekiwała, gotując się do roli, jaką jej każą odegrać.

Po zwyciężkach wojnach, pierwszym naturalnym zadaniem było utrzymanie i spożytkowanie bogatych plonów. Hr. Moltke, ze swoim olimpijskim spokojem i żołnierską otwartością, zapowiadał Niemcom, że dokonanych zdobyczy i zaborów będą musiały bronić przez lat pięćdziesiąt. Trzeba było skonsolidować nowo utworzone cesarstwo, zatrzeć w niem partykularyzm i trwale spojść świeżo zjednoczone Niemcy, pruskim cementem. Do tego jednak potrzeba było pokoju, bo można zdobywać bagnetem, ale nie organizować. W obec jednak klęsk zadanych Austrii, której rezygnacya i pogodzenie się z losem były jeszcze wątpliwe, w obec zwłaszcza Francji, która nadspodziewanie szybko dźwigała się z upadku ekonomicznie i wojskowo, i budziła uzasadnione obawy, że nie daruje straconych prowincji i swego europejskiego stanowiska; w obec jawnej lub utajonej niechęci tylu książąt niemieckich, wydziedziczonych albo zamienionych w pruskie wasalów; w obec wreszcie obawy innych państw o własno interesa, jaką budził w nich nagły wzrost potęgi niemieck-

kiej i przewidywana możność postawienia temu wzrostowi europejskiego *ve to*,—nowe cesarstwo nie mogło tak bardzo rokować sobie potrzebnemu mu bezpieczeństwu na zewnątrz i pozostawienia siebie w pożądanym spokoju. Rozumiał to położenie ks. Bismarck, podzielał oczywiście zdanie wielkiego strategika pruskiego, i nieustając w uzbrojeniach, poprowadził grę polityczną na inny sposób.

Po osiągniętych zyskach, trzeba było z kolei dopełnić wyraźnych czy domyślnych zobowiązań, ina „odrobinę hercogowińską“ padła iskra pożaru, który ogarnął cały półwysep Bałkański. Już w 1875 r. sprawa wschodnia stanęła znowu na porządku dziennym, a we dwa lata później, na skutek przeróżnych knowań, manewrów i zwrotów dyplomatycznych, przyszło do wojny rosyjsko-tureckiej. Po krwawych walkach, zwycięzka Rosya stanęła u bram Konstantynopola. Korzystne warunki pokoju z Turcyą, zawartego w styczniu 1878 r. przez generała Ignatjewa, uwieńczyły powodzenie rosyjskiego oręża, lecz zaostrzyły stosunki między wielkimi mocarstwami. Wtedy ks. Bismark wystąpił w roli „uczciwego meklera“ i zgromadził kongres w Berlinie; a kiedy jedną ręką ścisnął swego serdecznego przyjaciela, ks. Gorczakowa, drugą, w tajemném porozumieniu z innymi, dał stypulacye traktatu w San-Stefano. Austrya z rozporządzenia kongresu zajęła Bośnię i Hercegowinę; Anglia, nie pytając się o pozwolenie, wzięła Cypr i rozpoczęła się robota w Egipcie, gdzie jednak, wbrew oczekiwaniom kanclerza niemieckiego, nie przyszło do krwawego starcia między Wielką-Brytanią a Francją.

I znowu inna ewolucya, najmniej może spodziewana, po zachowaniu się ks. Bismarcka na kongresie berlińskim: trójcesarskie Rosyi, Niemiec i Austrii porozumienie. Dziwny ten, niejasny i niepewny, związek, bez widocznych podstaw realnych i w gruncie rzeczy dość luźny, a jednak silnie demonstrowany na zewnątrz uroczystemi zjazdami i reklamowany szczególnie przez organa bismarkowskiej polityki, nie budził w ogóle ufności w swoją trwałość, szczerść i korzyść równomierną dla wszystkich trzech mocarstw sprzymierzonych. Nieufność tę usprawiedliwiały najprzód wieści a później urzędowe przyznania, że od czasu kongresu berlińskiego istnieje osobne, ściślejsze między Austryą i Niemcami przymierze, którego warunki były jednak tajemnicą stanu, znane tylko kontrahentom. I sam ks. Bismark nieraz przyznawał się do niego, ale zapewniając uroczyście o pokojowych celach tego przymierza i zapraszając państwa do wzięcia w nim udziału, potrafił jeszcze dość długo, za pomocą związku trójcesarskiego, szachować inne mocarstwa, a przede wszystkim Francją, która z gorączkowym już pośpiechem rzucała corocznie setki milionów na uzbrojenia, zaczęła gotować się do odwetu, szukać sprzymierzeńców i w pierwszej linii zwracać oczy ku Rosyi. Naród rosyjski nie bez zajęcia i życzliwości patrzył na to odradzanie się Francyi, i zaczęły pojawiać się symptomata możliwości poważniejszego się zbliżenia. Naraz, ku ogólnemu zadziwieniu,

niemiecki „Reichs-Anzeiger“ i urzędowy organ wiedeński, ogłosiły tekst owego przymierza, dnia 7 października 1879 r. zawartego, a wynierzonego wprost przeciwko Rosyi i Francyi na wypadek ich wojny z obu połączonymi traktatem mocarstwami. Jaki był cel tego niezwykłego i efektownego ogłoszenia, kogo cheiano zatrwożyć, zniecka zaskoczyć, obezwładnić, zobojętnić czy zjednać—nie wiadomo. Wkrótce jednak Włochy przystąpiły formalnie do związku, Rosya cofnęła się i odzyskała swobodę działania. I oto ks. Bismark, teraz już piśmiennym i ujawnionym traktatem związał dwa wielkie państwa z losem Niemiec. Tak zwana „liga pokojowa“, przerznięła w poprzek Europę, rozdzieliła ją na dwie połowy i pomiędzy jej wschodem a zachodem stanęła całą swoją potęgą. Inne mocarstwa stoją odosobnione, nieufne, wyczekujące. Czy i jak rychło może się wytworzyć odpowiednia przeciwwaga tej potrójnej fałangi, na to nie ma pozytywnych wskazówek; a zresztą, przy szczęściu jakie dotychczas sprzyja Niemcom, kto zdoła odgadnąć, jakie jeszcze zająć mogą ewolucye i niespodzianki.

Zadziwiająca jest w istocie powódzenie ks. Bismarcka; wszystko układa się po jego woli. Cesarstwo niemieckie wyrosło na olbrzyma, potężnieje dalej, a do tego pomogła mu niebacznie i dalej pomaga Europa, jeżeli ta nazwa, oznaczająca dawniej najwyższą zbiorową potęgę sił i mądrości politycznej tej części ziemi, która przoduje cywilizacji, nie jest dziś tylko czczym i bezsilnym frazesem. Po wypadkach 1866 r. hr. Beust zawołał z boleścią: *n i e m a j u ż E u r o p y !* Do dzisiaj polityka ks. Bismarcka urzeczywistniała niemal prorocze słowa jego mniej szczęśliwego współzawodnika. Rzecz wieszcie, nie ma już chyba tej Europy i jej politycznej równowagi, która umiała nałożyć hamulec każdemu, kto stawał się groźnym dla bezpieczeństwa, dobrobytu i pokoju powszechnego, kto dążył w niej do supremacji. Nie będzie to zbyt wielkim paradoksem, jeżeli powiemy, że jej miejsce zajęło niemieckie imperyum, które sięga wyraźnie po hegemonię w Europie i że ją już niemal posiadało. Nie samą przecież potęgą militarną, oddawna najlepiej zorganizowaną, na której inne państwa wzorują dopiero swoje armie, zdobyły Niemcy tę odurzającą ich zmysły a tak niebezpieczną dla innych, supremacją. Dokonała tego przeważnie polityka w wielkim stylu, prowadzona z niesłychaną przebiegłością i umiejąca wybierać chwile do zadawania ciosów orężem. Pokonawszy jedne mocarstwa wstępny bojem, oplątawszy siecią politycznych kombinacji i obezwładniwszy drugie, postawiwszy trzecie wrogo przeciwko sobie, odebrawszy im możność porozumienia się i pilnie strzegąc, żeby to nie nastąpiło, grożąc tym a tamte trzymając w szachu, pogmatawszy i tak już wielce skomplikowane najżywoźniejsze interesa państw i państewek, wreszcie, wrzegliśmy dwa mocarstwa do swych państwowych widoków, — Niemcy stały się na stałym lądzie arbitrem najniebezpieczniejszym dla innych, ale zarazem, jak z dumą powiedział o sobie ks. Bismarek, mocarstwem najbardziej nienawidzonym.

Ale to jeszcze nie wszystko. Mimowoli nasuwa się pytanie: czy Niemcy poprzestaną na t \acute{e} m i czy nie zapragną wi \acute{e} c \acute{e} j? Niech na to odpowie najpopularniejsza stara pieśń niemiecka, która gł \acute{o} si, że „Deutschland sollte reichen, so weit man deutsch versteht, die Sprache ist das Zeichen wie weit die Grenze geht“, i żarłocność krzyżacka, która przez Prusy weszła do niemieckiego żołądka, i bez tego dobrym obdarzonego apetytem. Takie śpiewy narodowe wyrażają najczęściej w sposób popularny i przystępny zasadniczą ideę narodu i polityczny program państwowy. Program t \acute{e} j pieśni, zapowiadający jak daleko Niemcy sięgnąć powinny, jest bardzo obszerny i elastyczny; historia zaś uczy, że naród niemiecki i jego władzcy nietylko stali przy nim wytrwale, lecz i rozszerzali jego zakres z krzywdą i na zgubę innych narodowości. Jeżeli dawniejsze niemieckie zbiorowisko państw i państw \acute{e} kw udzielnych, które liczone na tysiące przed pokojem Westfalskim, na setki przed rewolucją francuzką, wojnami napoleońskimi i traktatem wiedeńskim, a jeszcze na dziesiątki przed ostatnią wojną prusko-austryacką, rozbite na cząstki i wi \acute{e} c \acute{e} j pozornie, ni \acute{z} w rzeczywistość siłę skupione pod godłem byłego świętego imperyum, jeżeli mówimy, takie zbiorowisko zdołało pożreć tyle ziem i narodów, choćby tylko naprzykład słowiańskich,—to teraźniejsze potężne cesarstwo niemieckie, tak silnie spajane żelazną ręką, nie wyrzeczy się niewątpliwie sw \acute{e} j niemiecko-krzyżackiej natury i tradycyjnych pożądlivosti i nie poprzestanie na strawieniu tego, co już połknęło. Przewidywanie to uzasadniają teraźniejsze obawy Holandyi i niemieckich kantonów Szwajcaryi, zachowanie się Niemc \acute{o} w austryackich i innych, losy W. K. Poznańskiego, Szlezwigu duńskiego, Alzacyi i Lotaryngii albo nawet Lombardyi i Wenecyi gdy jeszcze należały do Austryi, niemiecząc \acute{e} j wówczas wszystkie swe kraje; przedewszystki \acute{e} m jednak ów odwieczny Drang nach Osten, przeciwko któremu jeden tylko pogrom pod Grunwaldem wzniosł na jakiś czas tamę, ale po j \acute{e} j przerwaniu, nikt dotąd nie zdołał go powstrzymać. Teraźniejsze Niemcy nie zrzekły się starego programu i prowadzą równie \acute{z} wytrwale, jak dawniej, tę odwieczną robotę. Nie mówiąc o ich knowaniach w innej stronie, prą przez Niemc \acute{o} w austryackich pośrednio i bezpośrednio na słowian Austryi i półwyspu bałkańskiego, nurtują tam, wichrzą i pod maską kolonizacyi i kultury przygotowują grunt dla przyszłych zaborów. Jeżeli mowa ma zakreślać granice państwa, to język niemiecki sięga bardzo daleko; można go zresztą szczepić i rozprzestrzeniać a kulturтреgerzy umieją to robić wybornie. Przy odrobinie sofistyki, popart \acute{e} j bagnetem, nie trudno już dla jednej fabryki lub kolonii niemieckiej albo kilku nazwisk Schmidtów i Millerów, których posiadacze nigdy nie byli i być nie chcą Niemcami, uznać całe prowincyo za ojczysto niemieckie. Dla dopięcia swych germanizacyjnych celów mają niemcy metodę bardzo prostą, która ich dotąd nie zawiodła. Podług niej należy, jeżeli się uda, naprzód zabrać, potem zniemczyć

i już nie oddać, bo to jest niemieckie; albo też naprzód zniemczyć, a potem zabrać i także nie oddać, dla tego, że to już było niemieckie. Zapomocą tej metody, gdyby tak zawsze dopisywała, można by dojść do wcale poprawnie niemieckiej monarchii uniwersalnej.

Zadziwiająca jest, powtarzamy, ale i jakież złowrogie powodzenie polityki ks. Bismarka. Niemcy pragną pokoju, jak każdy zaborca, który się lęka, żeby mu nie odebrano zdobyczy, i — dwa mocarstwa gotowe są bronić łupów germańskich. Niemcy potrzebują pokoju, żeby się silniej spoiły, utrwaliły na stanowisku i stały jeszcze groźniejsze i niebezpieczniejsze dla innych — a wszystkie państwa i narody drżą o niego i jego wątle życie podtrzymują kosztem niebywałych uzbrojeń. Straszny bo też i rujnujący jest ten pokój à la Bismarck i Moltke, skoro dla ratowania go od śmierci gwałtownej, polityczni lekarze nie zdołali wynaleźć nic lepszego nad wyczerpanie wszystkich sił żywotnych Europy na przygotowanie się do wojny. Przeworna i pożyteczna, gdy w miarę zastosowana, maksyma: *si vis pacem para bellum*, doprowadzoną została ad *absurdum*, bo w stosunkach międzynarodowych i międzypaństwowych zapomiano o najwznioslejszych zasadach chrystyanizmu; miejsce ich zajęło bałwochwalcze ubóstwienie siły, które stało się religią powszechną. Wszyscy, od największych mocarstw do najmniejszych państweczek zbroją się na wyścigi; wszyscy ostentacyjnie wywieszają sztandar pokoju, i żeby nie runął, podminowano całą Europę i zamieniono ją na olbrzymie obozowisko, w którym umysły siłą się na wynajdywanie coraz to straszniejszych środków zniszczenia; kolosalne fabryki pracują bez wytchnienia nad ich przygotowaniem, całe ludności zamieniają się w żołnierzy, granice otaczają się murami fortec i obozów oszańcowanych, słowem: na wszystkie strony słychać tłumiony jeszcze głos wulkanu, mającego lada chwila wybuchnąć. Ministrowie skarbu wyteżają głowy nad wyszukiwaniem coraz to nowych, coraz większych funduszków na fortece, armie i floty. Ludność opodatkowaną dusi się w tej zabójczej atmosferze wydatków, której odświeżyć niepodobna, bo miliony rąk najdzielniejszych i miliardy kapitały oderwane są od produkcyjnej i ożywczej pracy. Kredyty państwowe, wyciągnięte do ostateczności, grożą finansową ruiną. Handel powszechny tamują coraz bardziej ciężkie opiekuńcze kwitną tylko fabryki broni, inne upadają albo muszą zmniejszać produkcję i zostawiać bez chleba tysiące robotników, gdyż zubożone masy nie mają za co nabywać nawet koniecznych dla codziennego życia wyrobów. Walki ekonomiczne, finansowe i celne powiększają naprężenie stosunków międzypaństwowych i zamęt ogólny. Nędza proletaryatu rośnie i coraz trudniej zapobiegać groźnemu niezadowoleniu wydziedziczonych i głodnych. Wreszcie, na dzień tego chaosu porusza się owa hydra antisołeczna, która wychyliła krwawą głowę w dniach czerwcowych 1848 r. i w dniach komuny paryzkiej, a teraz, uniejęt wprawdzie przerażająco, ale coraz częściej

daje słyszeć swój pomruk złowieszczy, którego echem są ciągle strejki i bezrobocia, zamachy nihilistyczne, niedawne bunty chłopów w Rumunii, zaburzenia robotników w Belgii, rozruchy ludowe we Włoszech, tém groźniejsze, że lud nie domagał się od rządu, jak za starożytnego Rzymu: panem et circenses, ale wołał już tylko chleba! i t. p. Dziś 12 milionów żołnierzy czeka skinienia, żeby się rzucił na siebie. Za rok będzie ich 13, za dwa 14, 15 albo więcej milionów i tak dalej bez końca, bo to prześciganie się w uzbrojeniach nie ustaje ani na chwilę, i—o ironio!—z miłości pokoju prowadzi do wojny, która może pół Europy zasłać trupem i ruinami, albo do jeszcze straszniejszej rewolucyi powszechniej, która może wywrócić cały teraźniejszy porządek społeczny.

Naród niemiecki, na równi z innymi, upada pod tém brzemieniem, które przyniata go tém bardziej, że go czeka jeszcze osobny, ciężki obrachunek z Francją, zapisany krwawymi cyframi, z których kapitalna suma zwie się: Alzacya i Lotaryngia. Prawda, że Niemcy doszły do wielkiej potęgi państwowej, ale czy ta potęga nie zagraża im samym największém niebezpieczeństwem i czy naród nie opłaca jęj zbyt drogo, kosztem zaprzysiężonych mu swobód i ciężkimi warunkami swego wewnętrznego życia? Nadmierna potęga państwowa na zewnątrz nie stanowi jeszcze szczęścia narodu; może ona pochlebiać dumie, ale nie zaspokaja wznioślejszych pragnień ducha, umysłu i serca. Co więcj, może ona zmusić tych wszystkich, dla których stała się niebezpieczną, do obalenia jęj połączonemi siłami. „Niemcy boją się tylko Boga,“ powiedział ks. Bismarck po tylu tryumfach wojennych i pod wpływem dotychczasowych powodzeń. Te pełne pychy słowa przywodzą mimowolnie na pamięć wspaniałe określenie przez I. Krasickiego potęgi sułtana, Osmana, który, choć „Dumny mocą swego majestatu, wznosił się nad człeka i pogroził światu“ — nie uszedł jednak pogromu chocimskiego. Czy teraźniejsze Niemcy, jako społeczeństwo ucywilizowane, są rzeczywiście szczęśliwe? Czy „ojczyzna wielkich poetów i myślicieli“, podniosła się duchowo i moralnie pod rządem dyktatorskim ks. Bismarka? Czy myśl wolna, czy swobody konstytucyjne i rozwój wielkich prawd ewangelicznych, wzrosły w Niemczech w miarę ich wzrostu państwowego? O tém wątpić należy. Tacy filozofowie, na wskroś niemieccy, jak Schopenhauer i Hartmann nie są zdolni uszlachetnić Niemców ani jedną z tych idei, które Opatrzność przez swych wybranych zsyła na pożytek ludzkości, żeby promieniami zbawczemi oświecały jęj drogi. Taka polityka, jak „krwi i żelaza,“ nie zapewni zwycięstwa ducha; może go raczej obłąkać i zaprowadzić na bezdroża. Dlatego też rozpaczliwy pesymizm, jak np. epidemia samobójstwa, szerzy się w państwie „bojaźni bożej,“ która przecieź jest początkiem mądrości i nie dopuszcza zwątpienia i darzy człowieka największém dobrodziejstwem—nadzieją. Bismarckowska racya stanu stała się urzędowém wyznaniem wiary Niemców, na któro

nawracają ich niezbyt konstytucyjnymi środkami. Pokój religijny, moralność, filozofia, wymiar sprawiedliwości, przekonania osobiste, powaga parlamentów i godność prasy, wszystko to musiało pójść w służbę terażniejszej polityki państwowej, której dalsze skutki mogą być dla narodu bardzo wątpliwą wartością. Taka zwana walka o kulturę, która to się wzmaga, to ustaje, stosownie do interesów świeckich, których stała się narzędziem, rani boleśnie najświętsze uczucia katolików i zakłóca pokój kościelny połowy poddanych cesarstwa. Prześladowanie i tępienie narodowości obcych, które miały nieszczęście dostać się pod obuch niemiecki, zadaje gwałt idei, w imię której zjednoczyły się Niemcy i podkopuje zasadniczą podstawę cesarstwa. Reprezentacja narodowa lekceważona; znaczenie, wpływ i powaga parlamentu muszą być albo potulnym narzędziem albo stają się igraszką w ręku kanclerza, który potrafi obywać się bez nich i tę obelgę nieraz już rzucił im w oczy. Fundusze gadzinowe demoralizowały prasę. Małoduszna i bezpożyteczna mściwość zarzuca sądy procesami o obrazę ks. Bismarcka albo jego polityki, a nacisk z góry podkopuje bezstronny wymiar sprawiedliwości i niezależność sędziów, którą się dawniej tak szczyliło sądownictwo pruskie. Trudno już dziś z całym przekonaniem powtórzyć owo sławne: *il y a des juges à Berlin!*, skoro nie wolno mówić i myśleć inaczej jak na modłę bismarckowską, bo za wznoślejsze i szlachetniejsze idee, chociażby te powstały w głowie ukoronowanej, można być pociągniętym do odpowiedzialności kryminalnej. Nie o takim zapewne rajku narodowego zjednoczenia marzyli i śpiewali wielcy poeci Niemiec, i nie tak wyobrażali go sobie ich najznakomitsi filozofowie i myśliciele. Rozumieli i odczuwali boleśnie to położenie ci wszyscy Niemcy, którzy zdołali zachować niepodległość poglądów i zdania, i nie poszli na oślep w służbę ks. Bismarcka; a jeżeli pragnęli zmiany i żywili nadzieję doczekania się liberalniejszych rządów dla kraju, to nie można im tego poczytywać za zbrodnię stanu.

Uważaliśmy za potrzebne naszkicować, chociaż w najogólniejszych zarysach, dotychczasowy przebieg i rezultaty zagranicznej i wewnętrznej polityki, która doprowadziła Europę wraz z Niemcami do obecnego stanu, gdyż dopiero na tém tle ponurém uwydatni się znaczenie procesu Geffckena, wyraźniej zaświeci szlachetna postać cesarza, dręczonego za życia i prześladowanego po śmierci za swe idee liberalne.

W listopadzie r. z. pierwszy minister Anglii, zwracając w mowie publicznej uwagę na te olbrzymie uzbrojenia, rzucił, na wzór hamletowskiego, pytanie: jak się to skończy? Pytanie to mógł był lord Salisbury postawić daleko wcześniej, o lat parę lub więcej, i równie dawno mogły je były zadawać sobie Niemcy ze względu na swoje wewnętrzne położenie, gdyż sytuacja terażniejsza zrodziła się, wyrosła i w całej swój grozie zawisła nad społeczeństwem europejskim jeszcze za panowania cesarza Wilhelma I, od którego

zgonu (9 marca 1888 r.), upłynął zresztą zaledwie rok jeden. Wtedy już odpowiedź na to oględne i spóźnione pytanie prze-rażała najdzielniejsze umysły i serca, bo nie można było wątpić, że takie położenie zakończy się katastrofą, jeżeli nie zażegna jęj jaki dobry duch opiekuńczy narodów, skoro usiłowania mężów stanu, gabinetów i państw zainteresowanych dotąd nie zdołały jęj odwrócić.

Dopóki jednak panował pierwszy cesarz nowozjednoczonych Niemiec, nie było nadziei, żeby zły geniusz Europy przestał kierować jęj polityką lub wprowadził ją na inne tory. Ks. Bismarck dokonał dzieł tak wielkich, podniósł Prusy do takiej potęgi i tak wysoko postawił dynastją Hohenzollernów, że stał się dla Wilhelma I człowiekiem opatrnościowym i posiadał jego nicograniczone zaufanie. Mógł cesarz swoją osobistą i monarszą powagą moderować niekiedy zbyt ryzykowną i brutalną politykę swego kanclerza, ale żeby ją zmienić lub wyrzec się jego usług, na to nie miał dość siły i woli. Wiedział o tęp dobrze książę żelazny, i wszelki, stawiany sobie opór łamał żądaniem dymisyi, na które odpowiadało stale cesarskie „nigdy“ i zwycięzki kanclerz pozostawał u władzy. Ale sędziwy cesarz dobiegał kresu dni swoich, a w miarę jak zbliżała się nieunikniona już zmiana panującego, budziły się coraz żywięj tłumione dotąd nadzieje i oczy wszystkich zwracały się ku następcy tronu, w którym opinia publiczna widziała zapowiedź nowęj pomyślniejszęj ery dla Niemiec i dla Europy.

II.

Na częm opierały się te nadzieje? Pamiętniki, które wywołały cały późniejszy kryminał, nie były znane ogółowi, z wyjątkiem zaledwie kilku zaufanych i wtajemniczonych osób; również nie było jeszcze żadnych aktów urzędowych, któreby w sposób uroczysty i obowiązujący wypowiadały zasady przyszłego panowania. Nadto następca tronu pozostawał poza sferą rządów i wielkiej polityki państwowej, biorąc w nich taki tylko udział, do jakiego musiał być przypuszczony ze względu na swoje wysokie stanowisko, a nawet nie brakło insynuacyi, jakie miały pochodzić z bardzo wysoka, ażeby go zdyskredytować. Mimo to, opinia publiczna w Niemczech i za granicą, która miała czas w ciągu pół wieku śledzić i badać umysł, charakter, usposobienie i życie najbliższego dziedzica korony, doszła do przekonania, że przyszły cesarz jest stanowczym przeciwnikiem wojen a przyjacielem pokoju i szczerze wyznaje zasady liberalne, że zatem będzie chciał i zdoła, zasiadłszy na tak potężnym tronie, zażegnać niebezpieczeństwa, usunąć ich przyczynę, oprzęd na trwałszych podstawach zagrożony pokój powszechny, a narodowi swojemu powrócić swobody konstytucyjne, rząd prawdziwie parlamentarny i w równęj mierze być dla wszystkich sprawiedliwym. Wielkie to

były nadzieje, a im rozleglejsze obejmowały widnokreśli, t6m 6ywsz4 sympaty4 otaczała opinia publiczna przyszłego Fryderyka III; nie obliczyła si6 tylko z igraszka mi losu i zapomniala, 6e spełnienie si6 tych sn6w zlotych zawisł6m jest od 6ycia jednego człowieka.

Ksi4z6 Fryderyk-Wilhelm, najstarszy syn cesarza Wilhelma I, urodził si6 18 października 1831 r. kiedy ojciec jego był dopiero księciem pruskim i domniemanym następc4 bezdzietnego brata swojego, kr6ła Fryderyka-Wilhelma IV. Pierwsze kroki 6ycia stawiał on pod troskliw6m okiem matki, cesarzowej Augusty, nale6z4cej do najswiatlejszych kobiet swojego czasu. Z ni4 młody ksi4z6 bywał cz6sto na dworze Wejmarskim, gdzie wtedy jeszcze zbierały si6 największe znakomitości nauki, sztuki i literatury niemieckiej, i b6d4c prawie dzieckiem, zualazł si6 w otoczeniu, kt6re sw6m swiatł6m nie mogło nie wyrz6c korzystnego wpłwu na jego umysł i wiedz6. Znakomity historyk Ernest Curtius kierował jego przygotowawczemi naukami, kt6re nast6pnie ukończył swietnie na uniwersytecie w Bonn. Dbaly o wszechstronne wykształcenie syna, ale gł6wnie zamiłowany w wojskowości ksi4z6 Pruski, zaliczył Fryderyka-Wilhelma do gwardyi i doł6żył starań, a6eby poznał gruntownie i rycerskie rzemiosł6. Zdolności i pracowitość młodego księcia nie zawiodły i pod tym wzgl6dem, czego zł6żył dowody w trzech wojnach p6źniejszych, kt6re wyniosły Prusy do niebywał6j pot6gi a na gł6w6 jego ojca wł6żyły cesarsk4 koronę. Ze szczeg6ln6m jednak zamiłowaniem oddawał si6 historii i naukom humanitarnym, kt6re zjednało mu zaszczytne doktoraty dwóch uniwersytet6w, w Kr6lewc u i w Oksfordzie. Jednym z dowod6w tego kierunku umysłu ks. nast6pcy tronu Fryderyka było podj6te z jego inicjatywy wydawnictwo dokument6w historycznych do dziej6w Fryderyka Wilhelma, wielkiego elektora brandenburskiego, nadzwyczaj wa6ne i dla naszych dziej6w w wieku XVII-ym, poniewa6z obejmuje nieznan y dotychczas materiał archiwalny. W wojnie z Austry4, bitwy pod Nachodem, Trautenau i pod Sadow4, a w wojnie z Francy4, zwycięztwa pod Wissenburgiem i W6rth, udział w otoczeniu Napoleona III pod Sedanem i w operacjach wojennych pod Metz6m, okryły wawrzynami młodego dow6dcę na-prz6d drugiej a p6źniej trzeciej armii. Na polu bitwy z Austryakami kr6l i ojciec ozdobił piersi nast6pcy tronu orderem pour le m6rite, a po kampanii francuzkiej ks. Fryderyk-Wilhelm otrzymał buław6 marszałkowsk4 za zasługi wojenne.

Nast6pca tronu umiej6tnie dowodził armi4, bił si6 m66nie, szanował karność wojskow4 i posłuszny przeznaczeniu, przyjmował zaszczytny udział w tych wielkich wypadkach dziejowych. Ale krwaw4 sw4 misy4 spełniał jak prawdziwy bohater: nie odurzał go zapach krwi ani dymy p6żogi wojennej i wsr6d szału zwycięztwa nie zapomnial nigdy, 6e był człowiekiem. Oszcz6dzał 6ycie nawet nieprzyjaci6ł pokonanych, nie nara6ał bez koniecznej potrzeby

własnych towarzyszków broni, ludzkim był w najstraszniejszych chwilach, i jego ust nie byłyby nigdy skalaly te bezlitośne słowa: „Schurken! Wollt Ihr ewig leben?“ któremi jeden z dowódców napędzał cofających się żołnierzy pruskich w morderczy ogień francuzów. Pomimo głębokiego szacunku, jaki miał Fryderyk-Wilhelm dla talentów generała Moltke'go i nawet osobistych sympatii dla „wielkiego organizatora zwycięstw,“ nie mógł się nigdy z nim zgodzić na jego filozofią, że wojna jest potrzebną a nawet dobroczynną dla narodów. Kiedy w zalanej krwią, wskutek morderczych bitew, Szampanii, spędzano po każdym zwycięstwie tłumy jeńców i rannych do niemieckiego obozu i szpitali, ks. Bismarck miał wpadać w gniew niepohamowany: „P o c o t y l e j eńców! k t o w i d z i a ł t y l e r a n n y c h?—miał wołać—S a i g n e z à b l a n c!“ Trudno temu uwierzyć, zdawałoby się, że to raczej ryk jakiegoś potwora z Apokalipsis, niosącego światu powszechną śmierć i zagładę—a jednak słowa te w swoim czasie obiegly Europę. Tymczasem następca tronu spędzał całe noce wśród tych żywych cmentarzy, niósł pomoc i możliwe ulgi nieszczęśliwym, a gdy środki opatrunku i wyżywienia, jakim rozporządzał, nie wystarczały, ośmielał przerażoną i odchodzącą od zmysłów ludność miejscową do niesienia swoim braciom pomocy i niemal błagał, ażeby miała litość nad współrodakami własnymi. Łatwo więc zrozumieć oburzenie, jakim przejmowało ludzkiego Fryderyka-Wilhelma to bezpożyteczne podniecanie żołnierzy do wytaczania wszystkiój krwi, do mordowania bez miłosierdzia. Takie dwa charaktery i serca nie mogły się z sobą porozumieć, a z biegiem czasu, różnice, jakie zachodziły pomiędzy zapatrywaniem się przyszłego cesarza a kanclerza na zagraniczną i wewnętrzną politykę, musiały ich bezpowrotnie rozdzielić.

Dawni izraelici, przez wielką cześć dla jedynego Boga, nie śmieli wymawiać *J e h o w a h*; następca tronu unikał wymawiania wyrazu „Wojna,“ z powodu zgrozy, jaką w nim budził. „Szczęśliwy pan jesteś—mówił do jakiegoś dygnitarza — że nie znasz rzeczywistego znaczenia wyrazu, który powtarzasz tak często. Ja t a m byłem, i powiem panu, że straszną bierze na siebie odpowiedzialność ten, kto do tego popycha narody. W razie nawet nieuniknionej konieczności, prawdziwy mąż stanu nie powinienby nazywać wojny po imieniu.” Takie zdanie, wypowiedziane właśnie przez nieustraszonego i zwycięzkiego wojownika, jakże pięknym blaskiem wieńczy jego skronie, i jakże wielką posiada siłę przekonywającego dowodu! Kiedy inni upajali się powodzeniem, rośli w pychę i brali szczerze ze zdobytych miliardów nagrody, następca tronu myślał przede wszystkim o złagodzeniu klęsk i zagojeniu ran, wojnami zadanych i między innymi środkami, zwrócił się z gorącą odezwą do całego narodu o fundusze na wybudowanie domu dla inwalidów, zachęcając do ofiarności własnym przykładem. Umiał naród i wojsko ocenić te zalety Fryderyka-Wilhelma, nie nazywano go inaczej jak serdecznym: „*unser Fritz*“ i otaczono go szczerą popularnością i sym-

patyą. Od pierwszej chwili wystąpienia na szerszą widownią działania, chociaż tak krwawą i nieodpowiednią jego humanitarnym przekonaniom, uniał następca tronu nie tylko zdobyć wawrzyny zwycięzcy, nie tylko zjednać sobie tę popularność i sympatyę, jakiej używał do zgonu, ale nadto, zasłużyć na szacunek u swoich, u zagranicy, a nawet u pokonanych nieprzyjaciół.

Po wojnie z Austryą, ks. Fryderyk-Wilhelm wydrukował dla małego kółka przyjaciół swoje „Erinnerungen aus dem Kriegejahre,” a po odbyciu podróży na otwarcie kanału sueskiego, wydał dzieło pod tytułem: „Meine Reise nach dem Morgenlande. 1869.“ W tych, „Wspomnieniach“ odbiły się boleśnie wrażenia, jakie w nim wojna budziła, a w „Podróży na Wschód“ spotykamy to właśnie, co zawsze miało urok dla niego. Studya historyczne, którym się oddawał z zamiłowaniem, musiały doprowadzić go do wniosku, że wojny zaborcze nie zawsze zapewniają błogosławieństwo pokoju, i że krwawe zdobycze są najczęściej tylko posiewem jeszcze krwawszych odwetów. Zjazd do Suezu tyłu głów ukoronowanych i innych przedstawicieli narodów, żeby uczcić nieśmiertelne dzieło cywilizacyjnej i pokojowej pracy, wyrzył w jego umyśle błogie i wprost przeciwne tańtym wspomnieniom. Okropności wojny z Francją, która zaraz potem wybuchła, nauczyły go jeszcze bardziej cenić dobrodziejstwa pokoju i w nich szukać szczęścia ludzkości. Wzniosły, ale zarazem wytrawny i praktyczny umysł Fryderyka-Wilhelma nie marzył zapewne o urzeczewistnieniu ideałów wiecznego pokoju Saint-Pierre'a, a raczej Henryka IV, Rousseau'a, Bentham'a lub Kant'a, ale pragnął niewątpliwie zbliżyć się do nich i byłby usilnie starał się o to, żeby kwestye i zatargi międzynarodowe i między państwowe załatwiać drogą pokojowego porozumienia się, układów i ustępstw wzajemnych.

Człowiekowi takich zasad i przekonań, takiego umysłu i charakteru nie mogły podobać się porządki wewnętrzne i gospodarka, które ks. Bismarck od czasu przyścia do władzy zaprowadzał w Prusach a potem i w Niemczech, nie wiele sobie robiąc z konstytucyi i parlamentu. Nie zachwycał następcy tronu „Rechts-Staat,” przerabiany na modłę bismarckowską, w którym prawa narodu i jego swobody były tak często i boleśnie naginane lub obcinane na rzecz wszechwładzy państwa. Liberalne zapatrywanie się Fryderyka-Wilhelma na sposób rządzenia w państwie konstytucyjnym, nie mogło pogodzić się żadną miarą z dyktatorskimi prawie rządami ks. Bismarcka, i ta niezgodność przebiegała się we wszystkich stosunkach, jakie zachodziły naprzód pomiędzy następcą tronu a ministrem, potem pomiędzy cesarzem a kanclerzem.

Fryderyk Wilhelm widział wojnę zbliżającą się i obrzydził ją sobie; patrzył na te rządy i nabrał do nich wstrętu, z którym się nawet nie tał. Usuwany niemal systematycznie od rzeczywistego w nich udziału, mógł tém lepiej, w roli bezstronnego obserwatora, oceniać je krytycznie i porównywać z rządami innych narodów, a jeżeli te

porównania wypadły na coraz większą niekorzyść systematu rządowego w Niemczech, to już nie było winą książęcego krytyka. Wiedziało o tém wszechpotężne stronnictwo bismarckowskie, lękało się, żeby dotychczasowy krytyk nie stał się kiedyś surowym i sprawiedliwym sędzią systematu, którego był twórcą i podporą, i dla tego starało się podkopać popularność i stanowisko następcy tronu. Różnych w tym celu używano środków, oględniejszych lub bardziej drastycznych, o których będziemy mówić w dalszej kolei, w tém jednak miejscu wypada już zaznaczyć, że prasa pozostająca jawnie lub skrycie na żołdzie ks. Bismarcka, podszeptowała między innymi i to, że następca tronu sprzyja Anglii i jest pod szkodliwym dla interesów państwa wpływem Angielki. Podszepty te mnożyły się, przeradzały w złośliwe insynuacje i przechodziły w jawne i nędzne zniewagi, w miarę jak zbliżała się chwila zmiany panującego, a z nią wzrastała obawa, że jurgieltnicy funduszu godzinowego mogą być odprawieni, a ich dotychczasowi chlebobdawcy zejść z wyjątkowego stanowiska. Ale najbezczelniejszy godzinowiec lub mameluk nie był w stanie wykazać, na czém to polegała szkodliwość owego sprzyjania i owych wpływów: mącili oni czystą wodę jak mogli, nie dla wydobywania z niej prawdy, za którą należała się następcy tronu i jego małżonce wdzięczność narodu, lecz dla jej wypaczenia i ukrycia. Rzeczywiście, Fryderyk Wilhelm sprzyjał liberalnym i parlamentarnym instytucjom angielskim, bo widział w nich najzdrowsze podstawy rozumnych swobód, bezpieczeństwa i pomyślności narodu, a w tych znów, prawdziwą siłę i trwałość samego tronu. Z tymi przekonaniem bynajmniej się nie ukrywał i szczerze je wyznawał. Ubolewał on, że rząd jego ojczyzny inaczej się zapatruje na te rzeczy i nie tak pojmuje swe obowiązki, a nosząc się z postanowieniem szanowania swobód konstytucyjnych i oczyszczenia rządu z chwastów antiparlamentarnych, gdy zostanie cesarzem, grzeszył już samą tą myślą przeciwko panującemu systematowi i ściągając na siebie jawne albo ukryte pociski wyznawców i sług ks. Bismarcka. W obec takich, ustalonych już zasad i przekonań ks. Fryderyka Wilhelma, jakimże mógł być ów wpływ małżonki następcy tronu na męża, skoro on sam nie posiadał go na najważniejsze sprawy państwowe? Gdyby zaś miała być mowa o jój wplywie, to mógł on być tylko taki, pod jakim wzrosło i wychowało się to wybrane dziecię panującego domu angielskiego,

Księżniczka Wiktorya, córka królowej Wiktoryi z jój małżeństwa z ks. Albertem, odziedziczyła przymioty obojga swoich rodziców. Jaką jest monarchiną królowa wielkiej Brytanii, świadczy o tém wymowie jój pięćdziesięcioletnie panowanie, głęboka cześć dla niej anglików za jój cnoty publiczne i domowe i hołdy wszystkim monarchów Europy, które jój wraz z narodem angielskim składali w dniu niedawnego jubileuszu. Wzorowo jój pożycie z ukochanym małżonkiem i ta niewygasła, rozrzewniająca miłość,

którą sędziwa królowa przechowuje dla zmarłego oddawna męża mają w sobie coś legendowego, a dla córek stanowią rzadki przykład wierności i szlachetności serca. Światły, wysoko wykształcony i liberalny ks. Albert, był znów tym wyjątkowym pedagogiem, który wraz z dobrą i rozumną królową, rozwinął umiejętnie i wykształcił wrodzone przymioty księżniczki. Staranne wychowanie pod kierunkiem takiego ojca i matki, przy pomocy trafnie dobranych nauczycieli, do których należał i znakomity pisarz, mówca i mąż stanu d'Israeli, późniejszy lord Beaconsfield, wzory, na których kształciła swój umysł, charakter i serce, wreszcie, głęboko zaszczerpione w niej poszanowanie dla prawa, konstytucyi, swobód narodowych, instytucyi parlamentarnych, uczyniły ks. Wiktoryą najodpowiedniejszą towarzyszką życia takiego jak Fryderyk-Wilhelm człowieka, z którym nadto połączyła ją prawdziwa miłość, jak niegdyś jej własnych rodziców. Naród niemiecki odrazu ocenił przymioty, które przynosiła w posagu narzeczona następcy tronu i związek ich całe Niemcy liberalne przyjęły z żywą radością. W tak dobranem małżeństwie nie mogło być mowy o wywieraniu wpływu, tylko o połączeniu zupełnie zgodnych z sobą przekonań i o nadaniu im przez to większej trwałości i siły do urzeczywistnienia tych nadziei, które w nich naród pokładał. Pożycie małżonków było wzorowe i zawsze szczęśliwe. W ciągu 30 przeszło lat, które ich dzieliły od tronu i w ciągu męczeńskiego przez trzy miesiące panowania, szli ręką w rękę przez życie, ich umysł, charakter i siła woli razem i zgodnie się rozwijały i nabrały tego rzadkiego hartu, którego dowody złożyli w długich i ciężkich, choć nie zawsze ujawniających się zapasach za swe idee i przekonania polityczne, i w straszniejszej jeszcze walce jednego z nich ze śmiercią.

Następca tronu bardzo poważnie zapatrywał się na swoje przyszłe obowiązki i pilnie gotował się do ich spełnienia. Pracował dużo, studyował, poznawał położenie polityczne, socyalne, ekonomiczne i finansowe swojego kraju i obcych, zajmowały go nie mniej podstawy wymiaru sprawiedliwości i układ stosunków kościelnych. Ze szczególną zaś uwagą badał stosunki, które zachodzą pomiędzy rządzącymi a rządzonymi, oraz ich wzajemne prawa i obowiązki i starał się poznać warunki, od których zależy dodatni albo ujemny wpływ organów administracyi rządowej i autonomicznej na prawidłowy rozwój życia publicznego w danem państwie, jego kultury i dobrobytu. Z doznanych wrażen, z doświadczeń, które poczynił, zdawał sobie sprawę umiejętnie, rozpamiętywał je w samotności, wyprowadzał z nich wnioski, mając zawsze na celu, ażeby kiedyś te studia przynieść mogły praktyczne owoce dla kraju i wyjść na jego pożytek. Odbywał liczne podróże po kraju i za granicą. Prusy i Niemcy znał wybornie. Był na wszystkich prawie dworach europejskich, poznawał obyczaje, charakterystykę i instytucye krajów, które zwiedzał, a poza świetnością urzędowych przyjęć tak

znakomitego turysty, łatwo było w nim dostrzedz bystry umysł światłego obserwatora. Zawiązywał liczne stosunki z różnymi znakomitościami politycznymi albo ze świata naukowego i artystycznego. W częstych swoich wycieczkach do Włoch, zaprzyjaźnił się z królem Humbertem i poznał bliżej kardynała Pecci, co ułatwiło później aliansę niemieckie z królestwem włoskiem i porozumienie się z papieżem Leonem XIII. Młody, przystojny, wykształcony, robił wszędzie bardzo miłe wrażenie. Po przyjęciu jego oświadczenia, się o rękę ks. Wiktoryi, ojciec jej, ks. Albert, pisał o nim do br. Stockmara: „Młodzieniec bardzo mi się podobał, prostota, szlachetność i szczerłość stanowią jego główne przymioty, rzucające się w oczy. Zdaje się on być wolnym od wszelkich przesądów, i w najwyższym stopniu ożywiony dobrmi chęciami.” Po wizycie na dworze francuzkim, młody wówczas książę bardzo także podobał się Napoleonowi III... ale było to jeszcze w 1856 r. a cesarzowa Eugenia, w jednym ze swoich listów, takie mu wystawiła świadectwo: „Sam książę (był tam z nim i Moltke) słusznego wzrostu, piękny, młody mężczyzna, blondyn, urodziwy, istotny niemiec Tacyta, rycersko ugrzeczniomy, typ, przypominający coś w ogólności z Hamleta.“ Czy wówczas mogła była cesarzowa przewidzieć, że ten typ mający coś z Hamleta, będzie kiedyś bohaterem, wprawdzie w innym zupełnie rodzaju, ale może straszniejszej niż Szekspirowska tragedyi? Były to świadectwa pochlebne, ale dotyczące nie tyle może wewnętrznej, ile raczej zewnętrznej, artystycznej strony tego złotego medalu, chociaż i z nich widnieje już prawdziwa jego wartość! Ale najpiękniej świadczą o nim słowa, które znacznie później wyszły od tak bliskich mu osób, że zawarte w nich myśli można przyjąć za jego własne „Jeżeli z woli i wiedzy rządzących, dzieją się rzeczy złe i krzywdzące, należy przypisać to nadzwyczaj wątłej i wątkiej podstawie ich wrażeń realnych i doświadczenia indywidualnego, bo i jakże kierować losem milionów, gdy się o powszednie ich życie nie otarło, jak goić rany, których się nigdy nie widziało, nie dotknęło, jak wyrokować o wadliwości urzędzeń prawno-politycznych, skoro się ich ciężaru nie znało?“ Zaprawdę, monarcha, który umiał dojść do takich spostrzeżeń i zabezpieczał się zawczasu przeciwko szkopułom w tych spostrzeżeniach wytkniętym, mógł być zajmując piękno i obszerne miejsce w historii zamiast błysnąć w niej tylko na chwilę.

Jeżeli następcą tronu nie mógł iść przeciwko woli swojego króla i ojca, pod którego monarszą powagą i osłoną ks. Bismarck zarządzał różne ścieśnienia antikonstytucyjne, żeby mieć po swój woli parlament, osłabić opozycyą i jej głosy w sejmie i dziennikarstwie, jeżeli jego zdanie nie miało należytego wpływu u rządu, to przynajmniej nie zaniedbał on protestować przeciwko nadużyciom i zaznaczać dobitnie swoich przekonań. Kiedy w marcu 1863 r. wydano rozporządzenie gabinetowe, ścieśniające wolność prasy, ks. Fryderyk-Wilhelm nie tylko zganił je publicznie w Gdańsku,

gdzie się podówczas znajdował, ale nadto miał je wręcz nazwać nieprawnymi i niebezpiecznymi, a nawet w tym duchu przesłać notę do prezesa ministrów, wtedy jeszcze pana v. Bismarck. Zrobiło to bardzo złe wrażenie w Berlinie, chciano nawet ukarać księcia dyscyplinarnie, skończyło się jednak na udzieleniu mu urzędowej przestrogi. Mimo to, następca tronu oświadczył, że swoich przekonań nie zmieni, że gotów nawet złożyć wszelkie funkcyje, które mu powierzono, i—został odsunięty jeszcze dalej od rządów i wszelkiego na nie wpływu. Po prasie przyszła kolej na reprezentacyą narodową. I przy tej sposobności następca tronu w liście, pisanym do ks. Alberta, nie omieszkał znów wyrazić swojego oburzenia z powodu nacisku, jaki ówczasowy minister spraw wewnętrznych, Westphalen wywierał na wybory posłów do sejmu pruskiego. Przyszło nareszcie do poważnych zatargów korony, a właściwiej gabinetu rządzącego z parlamentem, który ks. Bismarck zaczął coraz śmiej naginać do swoich widoków. Z tego powodu ks. Albert pisał do swego zięcia i córki: „Ani moralność, ani sumienie, ani patriotyzm nie pozwalają wam być biernymi świadkami gwałcenia ustaw i porządków kraju, któremu zaprzysięgliście wierność i obronę. Protest przeciwko podobnej zbrodni nie jest wcale opozycyą względem rządu, lecz elementarnym wyrazem powinności obywatelskiej, oburzającą się na wszelkie bezprawie; umyciem rąk od udziału w niedobrej sprawie.“ Łatwo wyobrazić sobie wrażenie, jakie zrobił ten list energiczny na następcę tronu i jego żonie, tak zgodny z ich własnymi przekonaniami. Ale w tym razie Fryderyk-Wilhelm był bezsilnym. Cóż zresztą mógł znaczyć jego protest w obronie praw parlamentu, który sam bronić się nie zdołał, cóż znaczył wobec dość chłodno usposobionego ojca i w obec ministra, posiadającego całe zaufanie królewskie, który z każdym dniem rósł w znaczenie i wpływy, rozwijał nadzwyczajną energią i zręczność, obchodził lub łamał wszelkie przeszkody i z ostrozną wytrwałością śmiało szedł do zamierzonego celu. Czas biegł a żywioły tworzące historią nie próżnowały. Rozległe plany ks. Bismarka zarysowywały się coraz wyraźniej, dla tych przynajmniej, którzy przez swoje wysokie i wyjątkowe położenie musieli o nich wiedzieć i wziąć udział w ich wykonaniu. Wielkie wypadki, które miały zdecydować o przyszłości Prus i Niemiec i przekształcić kartę Europy środkowej, zbliżały się coraz bardziej i wojnę czuć było w powietrzu. Potrzeba było gromadzić fundusze i skupiać wszystkie siły narodu, nawet wyjątkowymi środkami. Patriotyzm inny przybrał kierunek, a pora protestów minęła. Wszystko to nie mogło być tajemnicą dla następcy tronu i to daleko wcześniej niż dla innych. Z chwilą strasznych bólów porodowych jedności Niemiec i przyszłej wielkości ojezyny, musiały zamilknąć wszystkie inne głosy i uczucia i pierwszym zadaniem tego, który miał nad nią panować, było spełnienie obowiązków żołnierza, jej obrońcy. I następca tronu na czele powierzonych sobie armii poszedł po lau-

ry zwycięzcy do Danii, Austrii i Francji... I jeszcze jeden szczegół, charakteryzujący przekonania następcy tronu. Kiedy w 1887 r. ks. Bismarck zrywał z liberalizmem i wracał do swój dawniej partyi junkrowskiej i reakcyi, trzeba mu było pozbyć się hr. Eulenburg'a, oświeconego, liberalnego i umiarkowanych zasad miuistra spraw wewnętrznych i z tego powodu zaszczytanego względami następcy tronu. Nie łatwo jednak było usunąć zdolnego i popularnego ministra i musiano użyć aż parlamentarnego skandalu, żeby go zmusić do zażądania dymisyi. Następcą tronu najmocniej przeciwko niój zaprotestował i usilnie się jój opierał, wszelako ks. Bismarck wymógł na cesarzu uwolnienie hrabiego i zamianowanie na jego miejsce wsławionego Puttkamer'a.

Kreśląc choćby najpobieżniejszą charakterystykę Fryderyka-Wilhelma, i mówiąc o jego zasadach liberalnych, o usposobieniu pokojowém i ludzkim, trudno nie dotknąć niebezpiecznej choroby Niemiec, w jaką wpędziła je nieopatrzna walka kościelna i bolesnego prześladowania obcych narodowości. Położenie, w którém znajdował się następcą tronu, odbierało mu możność wyraźniejszego wykazania własnych i niezależnych pod tym względem przekonań. Raz jednak nastęczyła mu się sposobność do zaznaczenia swoich pojednawczych usposobień w pierwszej z tych kwestyi; drugi raz, do błysnięcia na chwilę przed oczami nieszczęśliwych drobnem i znikomém światelkiem jakiejś nadziei, które postarano się zaraz zgasić w ten sposób, żeby po niém nie pozostało nawet wdzięczne wspomnie.

Gdy w 1878 roku po zamachu na życie Wilhelma I ustanowione zostało czasowe zastępstwo cesarza w osobie następcy tronu, wszedł on, korzystając z dawniejszej znajomości, w bezpośrednią korespondencyą z papieżem i staraniami swojemi sprawił, że walka kościelna złagodniała. Nie odpowiadały, widać te rządy widokom ks. Bismarcka i trwały też krótko, przez cztery zaledwie miesiące. Gdyby ten objaw pojednawczych usposobień Fryderyka-Wilhelma poczytany mu był za błąd polityczny przez ks. Bismarcka, byłaby to krytyka jego własnego postępowania i niekonsekwencyi w działaniu. Wiadomo z jaką zaciętością prowadził on tak nazwaną „walkę kulturną.“ Syły się p r a w a m a j o w e, prześladowania duchowieństwa katolickiego, procesa kryminalne, kary administracyjne, uwięzienia księży, wysokich dygnitarzy kościoła i t. p. Niewzruszona wytrwałość stolicy apostolskiej w obronie praw katolickiego kościoła z jednej, a zaślepiony upór gabinetu pruskiego z drugiej strony, nadawały tej walce charakter nadzwyczaj niebezpieczny. Zdawało się że zamęt, który ona w Niemczech wywołała, doprowadzi do rozpadnięcia się ich na dwie połowy. Cała prasa kartelowa i większość imponująca w parlamencie, wspierała rząd i ks. Bismarcka, który nie chciał słyszeć o ustępstwach i przybierał względem katolików i ich głowy coraz groźniejszą postawę; trwało to długo—dopóty, dopóki żelazny książe nie zrobił więcej od następcy tronu i nie poszedł sam do

Canossy. W tym samym prawie czasie nadszedł do W-go Ks. Poznańskiego list z otoczenia następcy tronu, podobno z jego nawet inicjatywy wyprawiony, który ostrzegał, żeby poznańscy zachowywali się spokojnie, gdyż agitacye i artykuły gazeciarskie mogą spowodować złe skutki. Niebawem też nastąpiło trwające dotąd, systematyczne i uprawnione tępienie żywiołu polskiego w całych Prusach. Ale nawet i przeciwko temu życzliwemu znalezieniu się następcy tronu, było już, jakby z góry przygotowane antidotum. Były sekretarz ks. Bismarcka w czasie wojny francuzko-niemieckiej, Busch, w wydanych przez siebie z owój epoki pamiętnikach, zapewnia, że już wtedy następca tronu nie był tak dobrze dla polaków usposobiony, ale że przeciwnie, właśnie ks. Bismarck okazywał im wyraźnie więcej życzliwości, chwalił waleczność polskich żołnierzy i z naciskiem zachęcał następcę tronu, żeby się uczył po polsku, ten przecież miał odpowiedzieć, że tego nie uczyni i że raczj polacy powinni uczyć się po niemiecku. Bardzo to podejrzané świadectwo ex-sługi ks. kanclerza, wyglądające na chęć wmówienia w polaków, że tylko ks. Bismarck jest ich prawdziwym przyjacielem, i mogące być zaliczone do kategorii tych artykułów i broszur, które dowodzą, że żywioł polski, dla własnego i zupełnego szczęścia, powinien wyrzec się swj narodowości, ziemi, wiary, słowem, wszystkiego co mu jest drogim, z przyjemnością dać się wyrzucić z ojcowizny poznańskiej i wynieść choćby na księżyc. Zresztą, w opowiadaniu p. Busch'a może być nawet połowa prawdy: zbyt przebiegłym i nie przebierającym w środkach jest ks. kanclerz, żeby w chwilach stanowczych nie miał się uciekać do najskuteczniejszych, chociażby dla niego samego niesmacznych. W czasie wojny idzie przecież o dzielność i waleczność żołnierzy, mógł więc, i bardzo, choćby rozpływać się w pochwałach dla żołnierzy-polaków, przemawiać ostentacyjnie za ich językiem do następcy tronu i niktby się nie dziwił, żeby im nawet kazał grać melodje narodowe, byleby tylko przy ich dźwięku szli z większym zapalem na rzeź za nieswoję sprawę, a potóm... dalej: „ausrotten!“

III.

Historya dostarcza nam nie wiele przykładów ludzi tak sprzecznych zasad, charakterów i przekonań, wyłączających się wzajemnie, jak Fryderyk-Wilhelm i Bismarck, postawionych nie przeciwko, ale dziwną igraszką losu, obok siebie i przeznaczonych działać zgodnie i razem na wszechświatowj widowni, wśród sytuacji groźnej, niebezpiecznej i nadzwyczaj skomplikowanej.

Ks. Bismarck zdaje się wyznawać ów pesymizm państwowy Hobbes'a, Spinozy, Machiavelli'ego, Fryderyka II, Schopenhauer'a i Hartmann'a, który żywi tylko pogardę dla ludzi i w społeczeń-

stwie ich widzi zbiorowisko wrogich sobie istot, które można utrzymywać w korbach właściwych jedynie siłą i postrachem. Następca tronu wyżej sięgał umysłem, wierzył ze ś-y m Augustynem i Grotius'em w królestwo boże na ziemi, w miłość bliźniego, i ufał, że w imię każdej wielkiej idei, pojmowanej w duchu chrystyanizmu, można kierować ludźmi, społeczeństwem i państwem. Pierwszy z nich przedstawia się dotąd jak owe groźne i nieubłagane bóstwa mitologiczne, które czczono z obawy, patrząc na nie z niedowierzaniem i wstrętem; drugi podobny był raczej do tych dobrych duchów, którym oddawano się w opiekę. Pierwszego możnaby nazwać wielkim organizatorem wojen, drugi miał być wielkim organizatorem pokoju. Ks. Bismarck — to pełna chwały przeszłość i ciężka do zniesienia dla obcych i jego własnego narodu terażniejszość. Stworzył on już i jeszcze tworzy swoją historią, która będzie wszystkich zdumiewać, ale w nikim nie wzbudzi sympatyj. Następca tronu miał dopiero rozpocząć swe dzieje, a chociaż dotąd, na szerokiej arenie wielkiej polityki i rządów, błyszczał tylko swoją nieobecnością, jednakże dał się poznać jako człowiek tak dobrze, że zanim jeszcze został cesarzem, już sobie zjednał życziwość i przywiązanie. Ks. Bismarck przedstawia siłę, która o tyle tylko szanuje prawo, o ile to jej nie zawadza, reprezentuje politykę śmiałą, pełną inicjatywy i niesłychaną przebiegłość dyplomatyczną. Stworzył już wielkie państwo, ale pytanie, czy je zdoła utrzymać temi środkami, sam albo jego następcy, — którym może tych sposobów zabraknąć. Fryderyk-Wilhelm reprezentował prawo i sprawiedliwość, stawiał je wyżej nad siłę i nad zuchwalstwo chytrzej klanliwości, która w końcu musi ściągnąć na swoich adeptów utratę wszelkiej wiary, zaufania i szacunku u ludzi; a jeżeli prawda ma być największą mądrością, to przewyższał on swego przeciwnika rozumem. Dochowując sumiennie zobowiązań, przyjętych względem zagranicy i własnego narodu, dbając o bezpieczeństwo państwa, lecz nie dążąc do zrobienia z niego ustawicznej groźby dla bezpieczeństwa i bytu innych, szanując i rozwijając instytucje liberalne swego narodu, gojąc rany wojnami zadane i pracując nad pokojowem odrodzeniem się Niemiec — mógłby być następca tronu pewniej może utrzymać w całości cesarstwo i utrwalić jego narodowe zjednoczenie, niżeli dotychczasowe sposoby bismarckowskie, które pchają nieprzepartą siłą Niemcy i inne państwa do wyczerpania się i ruiny. Ks. Bismarck to straszna rzeczywistość, odarta z wszelkich ideałów, zapowiadająca nieobliczone klęski, rzeczywistość, z której narody i państwa gorąco pragną się wydobyć; następca tronu był dopiero przyszłością, zwykle niepewną, której jednak nie można było uważać za zupełną zagadkę, gdyż dotychczasowe jego życie przedstawiało już takie do jej rozwiązania dane, że równie Niemcy jak i Europa zwracały się ku tej przyszłości z dobrą nadzieją i otuchą.

Takie dwa sprzeczne żywioły nie mogły się z sobą połączyć,

i prędzej czy później jeden z nich musiałby być ustąpić. Fryderyk-Wilhelm miał prócz tego jakąś wrodzoną odrazę do kanclerza, którą jednak starał się pokonywać ze względu na wielkie zasługi znakomitego męża stanu i wskutek własnego szlachetnego usposobienia. Tego uczucia nikt jeszcze nie dopatrzył w ks. Bismarcku, który, nie dość powiedzieć, że nie lubił, ale z innem wyrachowaniem nienawidził następcy tronu, czego dowodem, prócz wielu innych, jest już sam proces Geffcken'a i poziome przy tej sposobności znęcanie się nad pamięcią Fryderyka III. Przebiegły dyplomata pokrywał to swoje usposobienie formami zewnętrznymi uszanowania dla przyszłego monarchy i jego małżonki, chociaż i pod tym względem jego zachowanie się nie było bez zarzutu, a pamiętniki następcy tronu pokazują, jak przykre od dawna zatargi miewał z kanclerzem. Ale pod osłoną form przyzwoitości i szacunku prowadziła się w imię racji stanu ostrożna i podziemna robota, której skutki powoli, stopniowo, lecz coraz bardziej zatruwały życie Fryderyka-Wilhelma.

Niema dziś jeszcze dość autentycznych źródeł i dowodów, na podstawie których można by skreślić z historyczną pewnością przebieg, szczegóły i całą doniosłość dramatu, który rozgrywał się długo i w tajemnicy około tronu niemieckiego, i aby wiernie zaznaczyć udział, który w nim brać musieli: sędziwy cesarz Wilhelm I, syn jego i następca tronu wraz ze swym najwierniejszym i najwytrwalszym przyjacielem—małżonką księżną Wiktoryą, sympatyczni bohaterowie dramatu, wreszcie: wnuk Wilhelma I a syn następcy tronu, dziś już panujący cesarz niemiecki, i wreszcie ks. Bismarck, główny działacz i potężna sprężyna, nadająca ruch całej akcji. Dopiero dalsza przyszłość może dostarczyć wiarogodnych dokumentów do przedstawienia w prawdziwem świetle różnych faz tego smutnego epizodu w dziejach cesarskiego domu Hohenzollernów. Zbyt jednak długo toczył się ten dramat, zbyt wielkiej doniosłości interesa do tej gry wchodziły, zbyt wysoko stały osoby, przyjmujące w niej udział, i zbyt wiele oczów i uszów śledziło ich ruchy i słowa, żeby nie miały dochodzić do wiadomości powszechniej różne szczegóły, wskazówki i symptomata objaśniające sytuację, które publicystyka i prasa skrzętnie notowała i rozbiierała krytycznie i żeby na tej podstawie nie można było utworzyć sobie chociaż ogólnego obrazu tej, tak jeszcze niedalekiej przeszłości.

Częste i nieraz dość długo trwające podróże następcy tronu za granicą, wyglądały na dobrowolne lub przymusowe usuwanie się z kraju. Zasługi położone w czasie wojny z Francją nietylko nie wyjednały mu większego udziału w sprawach państwa, ale przeciwnie po tej kampanii, został od nich jeszcze więcej usunięty, gdyż krótkotrwałe zastępstwo cesarza w 1878 r., i to pod argusowem okiem ks. kanclerza, było raczej formą niż rzeczą. Następnie jakiś chłód niezdrowy zakradał się do stosunków między ojcem-cesarzem a synem-następcą tronu, a im bardziej wzrastał wpływ ks. Bismarcka,

tém więcej tracił go przyszyły dziedzic korony. Kanclerz opanował tak dalece umysł i wolę cesarza, że następcę tronu nie śmiał w najważniejszych sprawach państwowych przedstawiać ojcu swoich poglądów, jeżeli wiedział, że to różnią się od zapatrywań ks. Bismarcka, co wymawiał mu nawet z goryczą jeszcze podczas oblężenia Paryża. W prawdzie powierzano niekiedy następcy tronu różne misye, ale te miały tylko charakter reprezentacyjny podczas uroczystych wystąpień, bez istotnego politycznego znaczenia. Pozory dobrych stosunków były zachowywane, Fryderyk-Wilhelm miał zawsze przywiązanie i cześć dla swego ojca i cesarza, ale całe lata upływały w pewnego rodzaju dotkliwem odosobnieniu, na które szukał pociechy w naukach, rozpomitywaniach i w najbliższem swojemu sercu gronie własnej rodziny.

Pod koniec panowania Wilhelma I, wystąpił przeciwko następcy tronu nowy i straszny nieprzyjaciół—choroba, i oczy wszystkich zwróciły się na ten złowrogi czynnik natury, wciskający się milczkiem na scenę. Przez jakiś czas rodzaj tego cierpienia nie dał się naprawdę określić i uważano je za przemijające; lecz gdy zagroziło rzeczywistém niebezpieczeństwem, którego nie można już było ukrywać, uderzono na alarm i poruszyły się wszystkie sprężyny akcji. Zaniepokojenie się powszechno było, niestety, zupełnie uzasadnione: choroba następcy tronu przybrała w krótkce tak złośliwy charakter, że dla wtajemniczonych lekarzy nie mogło być nadziei uratowania mu życia. Fatalność chciała, że mniej więcej równocześnie i dni przeszło 90-io letniego cesarza były już policzone: gasnął on powoli, ale gasnął niewątpliwie, podtrzymywany tylko sztuką lekarską. Wprawdzie, kiedy już w końcu 1887 r. następcę tronu walczył ze śmiertelną chorobą, cesarz Wilhelm trzymał się na pozór krzepko i jeszcze w lutym 1888 r. odbywał parady, przyjmował deputacje i t. p. ale były to zwodnicze błyski dopływającej się lampy, podsycanej ostatnimi kroplami życiowego materiału, i nikogo już złudzić nie mogły.

Zgon obudwóch zapowiadał się w bliskiej przyszłości; życie ich liczyło się zaledwie na miesiące, i chodziło już tylko o to, który którego przeżyje, a wnukowi cesarskiemu ukazał się tron prędzej i bliżej, niż to przewidywały starania i zabiegi. Położenie stało się w najwyższym stopniu tragiczne.

Kiedy zgrzybiały cesarz dogorywał spokojnie w Berlinie a następcę tronu walczył w San-Remo ze śmiercią, zbliżającą się powoli, lecz nieubłaganie, uzbrojona od stóp do głowy Europa patrzyła z wyteżoną uwagą i niepokojem na nadchodzącą zmianę panującego w Niemczech i na podstawie dotychczasowych danych obliczała widoki pokoju lub wojny, jakie ta zmiana mogła rokować.

Cesarz Wilhelm I uważany był od dość już dawna za gorliwego orędownika pokoju, który podtrzymywał, nawet ostentacyjnie, swoim wpływem i powagą. Wprawdzie i Napoleon III z góry za-

powiedział, że jego „l'empire c'est la paix,“ a mimo to prowadził wojny przez całe swe panowanie, ale i on byłby zapewno w końcu stał się wiernym temu godłu, gdyby Francya miała była świeże i bogate zdobycze do przetrawiania; i gdyby polityka ks. Bismarka nie była go zmusiła do wojny na schyłku panowania i życia. Cesarz Wilhelm był w inném zupełnie położeniu: naprzód poczynił wielkie zabory, zdobył cesarską koronę, a że dla ich utrzymania potrzebował pokoju, dlatego i mógł go szczerze pragnąć, zwłaszcza na stare lata. Ale rękojmia, jaką dawał, mająca zabezpieczyć od wojny, była zbyt kruchą ze względu na jego wiek podeszły, który już zawczasu musiano brać w rachubę, za taki zaś pokój, jaki po sobie pozostawił, nie może mu być wdzięczne ani społeczeństwo europejskie ani nawet i Niemcy. Przy Bismarcku znów stała reakcyja rządowa przeciwko swobodom konstytucyjnym narodu niemieckiego, z całym arsenałem środków represyjnych i praw wyjątkowych. Gdyby więc Wilhelm I przeżył syna choćby na chwilę, byłoby to zwycięstwem dla wyznawców wiary „Bismarck quand même“ i rządy siły przed prawem nie doznałyby żadnej przerwy. Najwięcej rękojmi panowania, upragnionego przez przyjaciół pokoju i rządów liberalnych, przedstawiał następca tronu, za którym przemawiały znane już jego zasady humanitarne, wypływająca z nich popularność. Fatalna choroba obracała w niecz to wszystko.

Tymczasem tragedia rozwijała się dalej. Uważnemu widzowi mogło się zdawać, że sytuacya chwili przedstawia spotkanie się dwóch wrogich nadziei i oczekiwań, starcie milczące dwóch przeciwnych obozów, a zapasy ze śmiercią, na dwóch stronach toczone robiły wrażenie wyścigu o przeżycie. Nigdy może sztuka lekarska nie miała większego pola do wykazania swój wartości, a jej adeptci do złożenia dowodów wiedzy, zdolności i charakteru. Nietylko ciążyła na nich odpowiedzialność przed światem i historią za życie dwóch ludzi, od których zależały losy milionów, nietylko że jedni mieli do zwalczenia chorobę, uważaną powszechnie za nieuleczalną, a drudzy obowiązek utrzymania przy życiu starca, którego wszystkie siły żywotne były już wyczerpane wiekiem, ale położenie ich było tém jeszcze trudniejsze, że ponad całą sytuacją górowała i racya stanu, pojmwana nie jednakowo. Nadto zwinęła lekarzy konieczność zachowania tajemnicy o rodzaju i postępach choroby, nie tylko przez ludzkość dla spokojności swych chorych ale i ze względów politycznych. Prawda mogła być wiadomą tylko w najwyższych sferach, a i tam nie wszystkim jednakowo, bo nawet wewnętrzne przekonania lekarzy musiały się liczyć z wielkiej wagi względami przy wyrażaniu opinii urzędowych. Przy łożu cesarza czuwał wnuk, ks. Bismarck i najzaufańsi lejbmedycy; przy łożu następcy tronu przywiązana, pełna poświęcenia i baczną na wszystko małżonka, oraz najznakomitsi lekarze specjaliści od chorób gardlanych—niemieccy, do których używano jeszcze wiedeńskich i angielskich. Zdawałoby

się, że samo zwrócenie się do specjalistów wskazywało już rodzaj cierpienia; tymczasem powstała wielka niezgodność pomiędzy lekarzami pod względem określenia i samej choroby i obrania sposobów jej traktowania. Jedni definiowali ją więcej otwarciem i stanowczo jeżeli nie dla publiczności to dla osób najbliżej zainteresowanych, drudzy, albo nie zgadzali się na określenie tamtych albo pozostawiali w ciągłym wahaniu się i nie mogli czy nie chcieli wyrzec stanowczego zdania, lub wreszcie jeżeli je wypowiedzieli, to chyba w największej tajemnicy.

Narady, badania, próby, doświadczenia, rozbiory trwały i powtarzały się ustawicznie, bez wyraźnego rezultatu i bez korzyści dla chorego. Jedni lekarze byli za użyciem środków ostatecznych, straszącej operacyi, która groziła największém niebezpieczeństwem i przyspieszeniem katastrofy, przy słabych bardzo widokach udania się i chwilowego powstrzymania zabójczego rozwoju choroby; drudzy nie zgadzali się na ten krok ryzykowny i byli za takim leczeniem chorego, które podług ich przekonania, dawało najwięcej nadziei utrzymania go dłużej przy życiu, chociaż nie mogli wątpić o ostateczném, smutném zakończeniu się i tój kuracyi. Lekarze niemieccy, z małym bardzo wyjątkiem, jakby ciążyło nad nimi jakieś zaklęcie, nie posiadali dość zaufania u najbliższego otoczenia następcy tronu, który nawet użalał się na jednego z pomiędzy nich. Więcej daleko ufności wzbudzał w tém otoczeniu lekarz angielski, Mackenzie, który nie mógł postawić stanowczo dyagnozy raka, tak jak znakomity dr. Virchow, przy mikroskopijnych badaniach cząstek, wyjętych z gardła chorego, nie zdołał nigdy dopatrzeć się składników tój choroby. Ostatecznie, kuracya i jej kierunek oddane zostały w ręce lekarza angielskiego, który je zatrzymał do końca życia następcy tronu.

Lekarze walczyli z chorobą, ale i polityka nie zalegała pola. Ks. Bismarck śledził uważnie cały przebieg tój walki i nie zaniedbał korzystać z położenia dla przeprowadzenia swych planów. Pomimo postępu, który robiła choroba i pomimo coraz wzmagającego się niebezpieczeństwa, mógł przecież następca tronu przeżyć swojego ojca i omylić rachuby, opierane na wcześniejszym jego zgonie; potrzeba więc było zabezpieczyć się i na ten wypadek. Pozorem, usprawiedliwiającym nowe posunięcie na politycznej szachownicy dla zamatowania następcy tronu, było podkopane już zdrowie cesarza. Wprawdzie w listopadzie 1887 r. Wilhelm I znajdował się jeszcze w tym stanie, że mógł bez szkody dla siebie i interesów państwowych, pełnić swoje zwyczajne obowiązki monarsze, zwłaszcza, że wszystkie trudy rządzenia i sprawy najcięższe wziął już oddawna ks. Bismarck na siebie; mimo to, potrafił on przekonać cesarza o potrzebie urzędzenia zastępstwa. O chorym następcy tronu, którego właśnie wyprawiano do Włoch, nie mogło być z tego powodu mowy, i reskryptem cesarskim z 17 listopada 1887 r. godność tę powierzył Wilhelm I swemu wnukowi.

Od dawna już, aczkolwiek rzadko i niewyraźnie, obiegały wieści o staraniach, ażeby następca tronu rzekł się zupełnie swoich praw do korony, i wieści te zaczęły się powtarzać dobitniej i częściej właśnie w tych czasach. Starania te przypisywano ks. Bismarckowi, który miał je robić w tajemnicy przez lat kilkanaście a teraz ponowił je z większym daleko naciskiem. Choroba następcy tronu dawała znów i do tych starań bardzo dobrą sposobność, a prasa inspirowana różnych odcieni zaczęła ją na swój sposób eksploatować, posiłkując ubocznie roboty zakulisowe i przygotowując opinią publiczną do przyjęcia dokonanego faktu, gdyby ten rzeczywiście nastąpił. Niepomyślne wiadomości o stanie zdrowia następcy tronu, o pogorszeniu się choroby, pojawiały się najczęściej w pismach, będących pod widoczniejszym lub mniej wiadomym wpływem berlińskiego biura prasy, tak jak znów dyagnozy, uznające cierpienie chorego za zabójcze, stawiane były zwykle przez lekarzy niemieckich i tą samą drogą dowiadywano się o nich. Zapobiegały temu dzienniki liberalne i niezależne, podając wiadomości pomyślniejsze, zaprzeczając złym lub przedstawiając je w korzystniejszym oświetleniu; zapobiegało temu najbliższe otoczenie chorego, które zarządzało i przedsiębrało różne ostrożności, żeby nie dostarczać środków do powiększania zabiegów, jakim było stanowczo przeciwne. W początkach 1888 r. musiał być wywierany na następcę tronu silny nacisk o zgodzenie się na abdykacyą, skoro on sam, w lutym kazał ogłosić bardzo pomyślną dyagnozę doktora Mackenzie'go o swęj chorobie, dla zbitcia smutnych horoskopów co do niej doktora Bergmana. Ks. Bismarck miał bardzo silnie nalegać na to zrzeczenie się następstwa tronu, nawet podróże zastępcy cesarza do San-Remo dla odwiedzenia chorego ojca miały mieć te nalegania na celu. W Berlinie odbywały się nad tą kwestyą narady, rozbierano prawa zasadnicze państwa i przewidziane w nich przyczyny, dla których panujący lub jego następca, może być uznany za niezdolnego do sprawowania władzy monarszėj. Podczas właśnie tych narad miał zaznaczyć wybitniej swoje stanowisko i charakter minister sprawiedliwości, Friedberg, który w chorobie następcy tronu, aczkolwiek ciężkiej i niebezpiecznej, nie znajdował prawnej zasady do odsądzenia go od korony. Gdyby taką zasadą mogła być rzeczywiście ta choroba, to przy znanėj sofistyce rządowych jurystów pruskich, przy usposobieniu cesarza, który przekładał wnuka nad syna, i pod naciskiem ks. Bismarcka, opozycya ministra byłaby pewno pozostała bez skutku. Woli kanclerza stałoby się również zadrosyć, gdyby do tego wystarczał odręczny roskrypt cesarski, jak to miało miejsce przy zarządzeniu tymczasowego zastępstwa. Ale właśnie w tym wypadku potrzeba było zgodzenia się samego następcy tronu i nakłonienia jego małżonki. Tu jednak wszelkie zabiegi spotkały opór nieprzełamany i musiały pozostać bez skutku. Wprawdzie ku końcowi marca 1888 r. sam Friedberg zaprzeczył wieściom

o staraniach, żeby następcą tronu zrzekł się praw swoich, ale nastąpiło to zaprzeczenie wtedy i wśród takich okoliczności, że pomimo swego urzędowego charakteru nie wywarło przekonywającego wpływu. W dniu 9 marca 1888 r., podczas przechadzki w ogrodzie willi Zirio, otrzymał następcą tronu telegram zaadresowany: „Do Jego Cesarskiej Mości Cesarza Fryderyka“... Adres ten powiedział mu już wszystko! Zapłakał gorzko, nie tylko nad zgonem ojca, ale zapewne i nad własnym okrutnym losem... i na trzeci dzień nowy monarcha Fryderyk III wraz z ceserzową Wiktoryą byli już w Charlottenburgu.

(C. d. n.).

W ŚRODKOWEJ AFRYCE.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

(„Unter deutscher Flagge quer durch Afrika“ von Herrman Wissmann, Berlin, 1889. — „Im Inneren Afrikas“ von H. Wissmann, L. Wolf, Curt von François, Hans Mueller, Lipsk 1888. — H. Stanley: „Durch den dunklen Welttheil“ 2 t., Lipsk 1878. — H. Stanley: „Der Kongo“, 2 t., Lipsk 1885).

„Jakże często zdarza się, że jakiś awanturnik i wyszydany podróżnik odkrywa kraj daleki i zaniedbany, którego skarby roznosi i dopóty zachwala, aż się wzrok i dążności świata zwrócą w tę stronę: zdobycie staje się faktem, a skutkiem na pozór nieużytecznej wędrówki, powstają nowe wzory i potężne kolonie.” Te słowa sławnego Tomasza Carlyla niewątpliwie zastosować można do Henryka Stanleya. Wycieczki i odkrycia tego anglo-amerykańskiego reportera, otworzyły nową epokę w dziejach Afryki a może w dziejach całego świata. Jego śmiałe odkrycie rzeki Kongo pociągnęło już za sobą utworzenie ogromnego państwa, które ma się stać jądrem cywilizacji Afryki. Ale nadto głośnie wyprawy Stanleya wszędzie, prawie nagle obudziły namiętną ciekawość, istną gorączkę odkryć. Wskutek tego „ciemny kontynent“ w ostatnich latach mocno się rozjaśnił. Gdzie jeszcze na kartach z r. 1880 były zupełne próżnie, dziś spotrzegamy mnóstwo rzek, jezior, gór i osad. Oparte na przypuszczeniach lub na posłówku dawniejsze dane teoretyków geografii, zostały sprostowane lub potwierdzone. Od znanych oddawna wybrzeży Afryki z wszystkich stron odważni podróżnicy docierają do samego środka, odkrywają nieznanne ludy, sprawdzają bieg rzek i wskazują nowe arterye cywilizacji i handlu.

Jednym z najznakomitszych w szeregu tych podróżników jest niewątpliwie kapitan pruski Wissmann, świeżo mianowany naczelnikiem wielkiej wyprawy, która ma dokonać pacyfikacji na wschodnim wybrzeżu, zajętym przez Niemców. Wissmann w latach 1881—1882 przeprowił się w poprzek przez całą Afrykę od Loandy do Zanzibaru, w r. 1885 odkrył cały bieg jednej z głównych rzek środko-

wój Afryki, Kassaja. Wymienione powyżej dzieła jego, choć pisane niewprawną ręką, ale zawsze na podstawie własnych spostrzeżeń, zawierają mnóstwo najciekawszych szczegółów, odślaniają nam tajniki całkiem dotąd nieznanych krajów i ludzi. Zamierzając zaznajomić z niemi czytelników, wyrażamy przedewszystkiéń gorące życzenie, aby na tych ludach, które z takim zaufaniem przyjęły pierwszych przybyszów białych i ułatwiły im dalsze odkrycia, nie sprawdziło się nigdy brutalne zdanie Guizota: „La civilisation a le privilège de piller les peuples ignorants et sans défense.”

I. Lubuku, kraj przyjaźni.

Wyruszywszy 7 stycznia r. 1881 z S. Paolo de Loanda, i postępując nad brzegiem rzeki Kwanza na wschód, karawana Wissmanna i Poggego w pierwszych dniach lutego przybyła do Malanży, gdzie się zaopatrzyła w zasoby na daleką podróż. Orszak dwóch europejczyków składał się z tłumacza Germano de Jose Maria, murzyna z Mozambiki, który służył u pewnego oficera portugalskiego, potem jako kupiec osiadł w Angoli i już kilkakrotnie towarzyszył podróżnikom, z 81 nosicielami, kucharza i 6 służących. Nabyto 6 byków do konnej jazdy i towarów, na wymianę za żywność i podarunki dla naczelników miejscowych. Dnia 3 czerwca karawana opuściła Malanżę i 20 lipca stanęła w Kimbundu, w kraju Kijoków, gdzie Wissmann i Pogge doznali gościnnego przyjęcia w domu Portugalczyka Saturnino de Souza Machado. Miasteczko Kimbundu, położone nad krzyżującymi się tutaj czterema głównymi szlakami, dawniej było jedynym z najgłośniejszych ognisk handlu, zwłaszcza niewolnikami; wtedy przebywało tam do 20 europejczyków. Obecnie składa się z 100 i kilku nędznych chat, tylko dom wymienionego kupca Machado znajduje się w dobrym stanie.

Z Kimbundu dnia 1 sierpnia karawana wyruszyła w kierunku północnym i po różnych ciekawych przygodach dnia 2 października stanęła w Kikassa na lewym brzegu rzeki Kassaju, którego dalszy bieg na północ wtedy jeszcze nie był znany. Kassaj jest tu 300 metrów szeroki. „Na dalekim północnym widnokręgu znika nam z oka. Dokąd, przez jakie kraje i ludy toczą się te ogromne fale? Już teraz — zauważa Wissmann w swym pamiętniku — opanowała mnie żądza, rozwiązania téj zagadki, choć miało trwać kilka lat aż się to spełniło.” Przeprawiwszy się 3 października przez Kassaj, podróżnicy wstąpili do kraju szczepu Balubów, zamieszkujących pod różnymi nazwaniami całą tę środkową część Afryki pomiędzy Kassajem a jeziorem Tanganiką.

Przypadkiem naczelnik Czyngenge w sprawach handlowych bawił nad Kassajem i odwiedził podróżników. „Mężczyzna wysmukły o rysach twarzy rozumnych, krótko przystrzyżonej głowie, delikatnie tatuowany na twarzy i piersi, zbliżył się do nas skromnie i pełen

szacunku. Książęcy strój jego składał się z białej koszuli, bardzo zużytych gaci i pantofli oraz czerwonego kapelusza. Zdumienie swe, bo po raz pierwszy w życiu ujrzał ludzi białych, zaznaczał w sposób umiarkowany przywoity, iż żadnym dzikim ruchem ani tonem nie wypadł z odgrywanej z zabawną powagą roli wielkiego człowieka. Jakkolwiek Czyngenge czekał tu na zapłatę za kość słoniową, ofiarował się odprowadzić nas niezwłocznie do swej stolicy." W dalszym pochodzie na wschód, podróżnicy dowiedzieli się, że towarzyszący im Czyngenge jest jednym z dwóch naczelników, ubiegających się o przewagę w kraju Lubuku, do którego dążyli; starszy i potężniejszy Kalamba rezydował w Mukendze. Dnia 22 października przeto karawana podzieliła się na dwa oddziały: Wissmann z 15 towarzyszami poszedł z Czyngengiem, dr. Pogge z resztą karawany wyruszył w kierunku północno-wschodnim do Mukengi. Dnia 30 października, po 5-miesięcznej podróży, Wissmann dotarł do stolicy naczelnika Czyngenge w pięknej dolinie nad rzeką Luluą.

Wjazd ten stał się wielką uroczystością ludową. „Tłumy ludu czekały na nas przy wstępie do miasta. Humba z chorągwią kroczył na czele naszego oddziału. Za nim postępowałaśmy na bykach, ja i Czyngenge, jego kobiety, śpiewając monotonne pieśni, potem nosiciele, w końcu strzelając nieustannie żołnierze Czyngengi. Trzy razy orszak obszedł po środkowym placu czyli kio cie. Następnie przystąpili starsi, krewni i podwładni naczelnicy, rzucając się przed Czyngengiem na ziemię. Z wielką naturalnością i serdecznością naczelnik przywitał się z swą pierwszą żoną, która pozostała była w domu, i czterema zgrabnymi dziećmi swemi. Rozpoczęła się potem pijatyka przy kurzeniu ri a mby (tytoń z konopi), suta ucsta i nieustanne strzelanie. Świeżo wybudowany przez murzyna z Angoli dla Czyngenga pałac, budynek z gliny 36 m. długi, 10 m. szeroki, oddano mi na pomieszkanie; przyniesiono tłustą owcę, świeże ryby, jaja, piwo z jagiel, banany, ananasy, toматы, mąkę maniok i słodkie ziemniaki i proszono mnie, abym w czasie mego tutejszego pobytu nie kupował żywności, lecz uwiadomił tylko gospodarza, czego sobie życzę.“

Nazajutrz Wissmann wręczył kacykowi podarunki: 2 karabiny, 2 beczulki prochu, czerwonego flanelu, chustek do nosa, po 8 łokci calico i materyi bawełnianej, kilka drobnostek z berlińskiego bazaru 50 fenigowego, kilka pereł, deszczochron, uważany przez murzynów jako oznaka wyższości, tużurek, parę gaci i kuferek blaszany.

Tymczasem nadeszły z Mukengi wiadomości od Poggego. Sądził on, że władca Mukengi jest potężniejszym, a zatem odpowiedniejszym do towarzyszenia podróżnikom w dalszej drodze na wschód. Wissmann przeto 4-go listopada udał się do oddalonej tylko o 5 godzin marszu Mukengi. I tu był przyjęty w tryumfie. Uściskawszy się z Poggiem, porucznik Wissmann poszedł do władcy Kalamby, który w dalszych wyprawach eksploatora niemieckiego miał odegrać nader ważną rolę. „Ujrzałem potężnego, pięknie tatuowanego mu-

rzyna, wieku około 45 lat, który swą małą, spoczywającą na ogromnych barkach głową, niezgrabnymi ruchami i poczciwie chłopskiem spojrzeniem, sprawił na mnie korzystne wrażenie. Poznałem też 40-letnią jego siostrę Sangula-Metę, kobietę wykwinnego (?) wzięcia, tudzież pierwszego ministra Kakobę, przebiegłego i gładkiego jak węgórz Bangalę, który wygnany z swój ojczyzny, osiadł tu, pojął córkę Kalamby i stał się jego głównym doradcą”¹⁾.

Niezwłocznie Wissmann i Pogge zgodzili się z Kalambą co do warunków towarzyszenia im w 100 ludzi do Nyangwy nad rzeką Lualabą (Kongo), o której tu w Mukendze nikt nie miał żadnego wyobrażenia. Dzieje tej ciekawej podróży streścimy niebawem; nasamprzód, korzystając z spostrzeżeń Wissmanna podczas pierwszego i drugiego pobytu w kraju Lubuku, tudzież z pamiętnika Poggego, który tam spędził rok cały, zapoznamy czytelników z tym świeżo odkrytym krajem i ludem środkowej Afryki, gdzie przedtém nie był się pojawił nigdy maż biały.

Na kartach Afryki, wydanych przed rokiem 1885, w tém miejscu znajduje się tylko biała plama. Widzimy tam wprawdzie naznaczoną rzekę Kassaj, a patrząc dalej na wschód rzekę Lualabę z miastem Nyangwą, odkrytém przez Livingstona w r. 1871, i żąd Stanley w grudniu r. 1876 rozpoczął swą sławną podróż rzeczczą, która wykazała identyczność Lualaby z Kongiem. Pomiedzy miastem Nyangwą, leżącym prawie w samym środku pomiędzy wschodnim a zachodnim brzegiem Afryki i będącém ostatnią, wysuniętą na zachód osadą arabów, a Kassajem, na kartach afrykańskich była zupełna próżnia. Dopiero wskutek dwóch wypraw Wissmanna rozjaśniła się i ta część „ciemnego kontynentu.“ Cały szereg nazw wsi, miast i ludów zdobi teraz drogę od Kikassa nad Kassajem do Nyangwy, tworzącą środkową sekcję drogi z Loandy nad Atlantykiem do Zanzylaru nad oceanem indyjskim. Kraj, który zamierzamy opisać, przytyka do południowej, dotąd idealnej granicy wolnego państwa Kongo, którą, tworzy 6-ty stopień połudn. szerokości. Mukenga, stolica Kalamby leży w pobliżu, stolica Czyngengi nad samą rzeką Luluą, nad którą na samej granicy państwa Kongo, Wissmann w r. 1885 założył stacyą Luluaburg, nie wiedząc wtedy jeszcze o utworzeniu państwa Kongo.

Stolica najpotężniejszego króla szczepu Balubów Kalamby, wymieniona już kilkakrotnie Mukenga leży w pięknej dolinie pomiędzy rzeczkami Mujawem a Luluą. Dokoła rozpościerają się szerokie pola, zasiane konopiem, kukurydzą, jagłami, maniokiem i t. d., tudzież łąki, na których pasą się liczne stada rogacizny, należące do naczelnika; w dali widać ogromne lasy. Oprócz 800 chat z plecio-

¹⁾ Fotografia Kalamby, Sangula-Mety i Czyngengi zawiera dzieło „Im Inneren Africas.“

něj słomy, znajduje się w Mukendze 10 wielkich, pobielonych domów z gliny, z których największy, 20 m. długi, 8 m. szeroki, i 6 m. wysoki jest pałacem króla. Otaczają go chaty jego żon, których czasem ma przeszło sto. Krewni Kalamby zamieszkują inne domy z gliny a pomiędzy niemi stoi dom stacy niemieckiej, wystawiony w r. 1882 przez d-ra Poggego, który powróciwszy z Nyangwy z Kalamba do Mukengi pozostał tu aż do 9 lutego r. 1883.

Według podania, szczep Balubów z południowo-wschodnich stron, od brzegów jeziora Tanganiki, wtargnął do ziemi pomiędzy Kassajem a Luluą, pochłonał tamtejszą ludność tubylezą, ale niebawem rozdrobnił się na mnóstwo niezależnych od siebie plemion. Dopiero Kalamba około r. 1870 uniał zjednoczyć te plemiona i stanąć na ich czele. Młody jeszcze i nie posiadając znacznego wpływu, na polowaniu, uzbrojony łukiem i strzałami, zabłąkał się w dalekie zachodnie strony; nagle usłyszał nieznany sobie huk broni palnej. Ocknąwszy z przerażenia, ostrożnie poszedł za strzałem i nad zabitym słoniem ujrzał naczelnika Kioków Mukaujange, który goniąc za zranionym zwierzem, przeprawił się przez Kassaj i dobił go w lasach kraju Balubów. Dostrzegając tój dziwnej siły rury palnej, Kalamba z początku nie posiadał się z zdziwienia. Wydawało mu się to wszystko rzeczą nadprzyrodzoną. Przebiegły zaś naczelnik Kioków udawał potężnego czarodzieja i opowiadał cuda o potędze swego czerwono pomalowanego karabina. Kalamba zabrał go więc ze sobą do domu, opowiedział, co widział, i przywitał w przybytku swego zmarłego ojca (na mocy rozpowszechnionėj wśród szczepu Balubów teoryi metempsychozy, której np. Wissmann i Pogge zawdzięczali serdeczne przyjęcie w kraju Lubuku, gdyż uważano ich jako wybielone w morzu duchy zmarłych królów szczepu Balubów). Odtąd Kalamba zawarł stosunki z szczepem Kioków i skrętnie nabywał broń palną i proch. Używania łuków i strzał zakazał. Każdy dorosły mężczyzna miał się zaopatrzyć w karabin, płacąc za to, gdy nie starczyło kości słoniowej, żoną lub dziećmi. Równocześnie Kalamba zawiązał stosunki handlowe z odleglejszym szczepem Bangalów na granicy portugalskiej prowincyi Angoli, za zabójstwo wyznaczył karę śmierci (spalenia), obostrzył prawo własności, obcym zaś kupcom zapewnił bezpieczeństwo w kraju Lubuka, który odtąd miał się zwać „krajem przyjaźni.“

Pomiędzy starszszym pokoleniem reformy Kalamby wywołały wielkie oburzenie: wybuchły krwawe rokosze, ale dzięki opartej na broni palnej przewadze, Kalamba w krótkim czasie zdołał nietylko nśmierzyć powstanie, lecz nadto podbić sobie ościennych kacyków. Obdarzony naturalnym zmysłem władczy, utwierdził swe panowanie wprowadzając jakoby religiją państwową, tak zwany kult riamby, czyli palenie konopi ¹⁾. Najwyższą kapłanką tego obrzęd-

¹⁾ Wiadomo, że konopie zawierają w sobie wiele części narkotycznych. W Indyi z gotowanych z masłem i wodą liści i krzaków konopi, wydobywają ziolo-

ku jest siostra Kalamby, mądra Sangula-Meta, wdowa po księciu Kabassu-Babu, który zginął na polowaniu na bawoły. Kult riamby miał tworzyć środek zjednoczenia dla dzikich i kłótliwych plemion szczepu Balubów. W miejsce różnych fetyszów, riamba (konopie) został obwołany uniwersalnym czarem, lekarstwem na wszelkie niebezpieczeństwo i oznaką przyjaźni i pokoju. Wyznawcy tego obrządku nazywają się bena-riamba, t. j. synowie konopi, i witają się okrzykiem: „Mojo”, co znaczy życie i zdrowie! Z paleniem konopi łączy się taniec, rodzaj namiętnego kankanu albo czardaszu przy monotonnym śpiewie. Metafizyka Balubów zasadza się na przypuszczeniu dobrego ducha (Sidi Mukuku), który im sprzyja, i złego ducha (Koembe), który im szkodzi, tudzież na poczuciu nagrody lub kary po śmierci. I tak cnotliwi zaraz po śmierci wrócą jako znakomite osoby, może nawet jako naczelnicy, gdy wystąpi dopiero po odbyciu kari wracają na ziemię. Ze zdolnościami umysłowymi Balubowie przewyższają inne szczepy afrykańskie, świadczy o tym fakt, iż na wszystko, czego nie znają, żądają wytłómaczenia. Niektórzy pomiędzy nimi, zwłaszcza młody Kalamba Muana, zięć i następca tronu Kalamby, często stawiał pytania, dotyczące śmierci, duszy i zaświata. Godzinami przysłuchiwał się odnośnym wywodom podróżników a zwykle kończył pytaniami: „Zkądże to wiesz?”

Ciekawa postać Kalamby, który kraj Lubuku popchnął na drogę postępu, towarzysząc Wissmannowi i Poggemu do Nyangwy, zaś w dwa lata potem pierwszemu przy odkryciu całego biegu Kasaju, aż do Kongo, zasługuje na to, abyśmy się jęj przypatrzyli nieco bliżej. Dr. Pogge, który nie tylko na wyprawie do Nyangwy, lecz także w czasie swego długiego pobytu w Mukendze, poznał go najdokładniej, opisuje go jako jednego z najprzystojniejszych murzynów, jakich widział. „Z pod wysokiego czoła wygląda para mądrych, nawet przebiegłych, ale jednak poczciwych oczu. Usta ma szerokie, ale bez zbyt grubych warg. Postawa wielka. Charakteru dobrodusznego, choć trochę cheiwy, często ulega wpływowi swych doradców, mianowicie energicznej siostry, Mety. Nie jest dosyć stanowczym, aby na swych poddanych zawsze wymusić bezwzględne posłuszeństwo. Często skarżą się, że nie czyni użytku z swęj władzy i wacha się karać tych, co mu ubliżają, lub obronić słabszych przed nadużyciami mocniejszych.“ Nieraz Kalamba, aby nie być zmuszonym ukarać winnych, zasłaniał się Poggem, pod pretekstem, że ten zabrania wojny; Pogge przeto nieraz widział się zmuszonym napominać Kalambę, aby więcej dbał o swą powagę i „nie leżał przez cały dzień na łóżku“, najskuteczniejszą w takich przypadkach groźbą było, że swą

ny tłuszcz, z którego się robi znany, upajający haszysz, używany w pigułkach. W Persyi wysuszone liście konopi od dawna używano zamiast tytoniu; w Egipcie liście te nazywają się Maślak, w południowej Afryce Djamba, z czego widocznie powstała nazwa riamba. Od wschodu powoli konopie zdobywają środkową Afrykę.

stacyę przenieś do rezydencyi Czyngenga. Z drugiej strony bardzo łatwo przyszło podróżnikom uzyskać od Kalamby przebaczenie dla podbitego za ich pomocą rokoszanina, albo też dla Czyngenga, który czas niejaki był internowany w Mukendze, wyprosić pozwolenie na powrót do jego rezydencyi. Zresztą nawet w Mukendze nie zbywa na opozycyi. Niezadowolenie pochodziło głównie z trzech przyczyn: krewni Kalamby zanadto się umizgali do kobiet. Dawniej uwodziciel płacił grzywny a w razie, gdy się wzbraniał, wybuchła wojna. Atoli Kalamba, widocznie zbyt liberalny w sprawach miłości, usunął wszelką karę na uwodzicieli pod pozorem, że się to sprzeciwia pokojowemu obrządkowi riamby. Drugą przyczyną niezadowolenia jest, że Kalamba zniósł „dobry dawny zwyczaj“, według którego oskarżone o czarodziejstwo osoby musiały wychylić (na próbę!) puchar trucizny, a czarodziejów skazuje tylko na mniej niebezpieczne wypalenie znacznej ilości fajek riamby. Po trzecie: dawniej tylko starszyźnie wolno było nosić materye bawelniane, gdy teraz nawet każdy młodzik nosi takowe! Rozważając te oryginalne powody niezadowolenia czarnych konserwatystów środkowej Afryki, przydominamy sobie, że raz nawet o cień osła w Abderze o mało co nie wybuchła wojna domowa.

Wróciwszy z Poggem z Nyangwy, Kalamba, obdarzony tym samym zmysłem naśladowczym, co niektórzy sławni reformatorowie europejscy, a nie znając jeszcze nowoczesnego wstępu niepospolitych mężów stanu przeciwko wielkim miastom, zapragnął nadać swęj stolicy podobne rozmiary. Zmuszał więc okolicznych naczelników do opuszczenia swych siół i osiedlania się w Mukendze. To samo uczynił natychmiast najznakomitszy rywal jego Czyngenge.

Bądź jak bądź, względem swych białych gości Kalamba okazał niczem niezachwianą wierność i najwyższe zaufanie. Stanowczo opierał się wszelkim podszeptom ościennych plemion. Mianowicie plemiona energicznych Bangalów i Kioków częstemi poselstwami wzywały go, aby nie cierpiał u siebie białych, bo wkrótce nadejdzie ich więcej, a wreszcie zagrabią kraj jego, (co ostatnie bardzo łatwo stać się może!) Później grozili mu, że jeżeli nie usłucha ich napomnień, zamkną przeprawę przez Kassaj. Pocziwy Kalamba odpowiedział im wszelako, że biali nie wyrządzają mu żadnej szkody i że, zabraniając przeprawy przez Kassaj, plemię Kioków zniszczyłoby tylko swój handel. Miejmy nadzieję, że Kalamba nie będzie nigdy miał powodu żałować zaufania i gościnności, jakiej użyzył białym, a zwłaszcza Prusakom.

Siostra Kalamby Meta, ciężko zraniona w czasie rokoszu, po wyzdrowieniu przybrała imię Sanguli, t. j. ocalona. „Stosunek jej do brata jest nader czuły, towarzyszy mu ona na wszystkich wyprawach. Trwogi nie zna; często z wiązką bielonych konopi w ręku i bez broni staje przed nieprzyjaciołmi i wygłasza groźną mowę. Skoro ta nie wyrze pożądanego skutku, namiętnemi ruchami i na-

głębokim odrzuceniem jedynę opaski, która u niej zastępuje klasyczny liść figowy, okazuje wrogom swą pogardę i pobudza swych bojowników do walki. Na wszystkie kroki brata wywiera wpływ stanowczy; bez jej rady nie zapada żadna ważniejsza uchwała. Bardzo nam sprzyjała i wyświadczyła nam ogromne usługi.“

Co do liczby mieszkańców kraju Lubuku nie mamy dotąd dokładnych danych. W ludniejszych okolicach po półgodzinnym marszu napotyka się na sioło, z których 4 do 10 razem tworzą gminę (baqua, bena). Sioła składają się z 30 do 50 chat, ugrupowanych według pokrewieństwa mieszkańców. Chaty mieszczą dwa oddziały, pierwszy jest kuchnią, drugi zaopatrzony w pół metra wzniesioną nad podłogę ławę z trzciny, sypialnią. Drzwi chaty nie mają; bena-riamba, powiadają, nie mają żadnych tajemnic. W środku sioła na placu, zwanym: „kiota“ znajduje się wysoki pawilon, przykryty spiczastym dachem. Tu nocują goście, lub obradują starsi gminy w czasie słoty. W pobliżu nagromadzone jest drzewo palne, około którego w czasie pogody, przy paleniu riamby z fajek, toczą się obrady nad sprawami publicznymi. Gminy dzieli przestrzeń niezaludniona. Dookoła siól rozpościerają się dobrze uprawione pola; prostokątne domy z trawy, liści palmowych lub kory drzew otaczają ogrody, w których rośnie: konopie, tabaka, dynie, tomat, i wprowadzona od niedawna cebula.

Powszechnem jest wielożeństwo. Mężczyzna może sobie wziąć dowolną liczbę żon, które albo kupuje, albo otrzymuje od rodziców. Rozróżnia się jednak pomiędzy kupionymi niewolnicami a córkami kraju, zwanymi di baka. Zawsze jedna z tych ostatnich otrzymuje dozór nad drugimi żonami i tytuł muadi. Nie więcej jak dwie żony mieszkają w jedynę chacie. Kto ich ma więcej, winien wystawić odpowiednią ilość chat. Klótnie pomiędzy żonami są rzadkie, natomiast niekiedy małżonkowi dokuczają przewaga płci pięknej. Życie rodzinne zdaje się być szczęśliwem. Wszędzie panuje wesołość i nie znać trosk. Mąż buduje chatę, poluje i pali fajkę, kobiety pracują w polu i w domu, nie męcząc się zbyt. Na wyprawach handlowych lub wojennych zawsze kilka żon, najmłodsze i najsilniejsze, towarzyszą mężom, niosą sprzęty, rabują po drodze żywność i gotują w obozie. Mąż niesie tylko broń i fajkę. Pomimo tego, że żony i dzieci bywają sprzedawane lub oddawane naczelnikom jako haracz, nie brak wzruszających przykładów miłości rodzinnej. Ale także uczucie zazdrości nie jest Balubom obce. Rzecz dziwna, że plemię stojące już na pewnym stopniu oświaty, w chuciach płciowych zdaje się nie znać uczucia wstydlivości, żkąd mieszkańcy Lubuku osławieni są wśród ludów ościennych. Nie rozwinięte jeszcze, 10-letnie dziewczęta często obcuja z mężczyznami, przy uroczystych obrzędach wszyscy obnażeni stawają przed naczelnikiem i tak też spólnie się kąpią.

W pracy na polu z kobietami dzielą się niewolnicy, którzy zresztą doznawają obejścia ludzkiego i z panem wspólnie zasiadają do obiadu i do fajki. Nawet potężny władca Kalamba nie gardzi towarzystwem swych niewolników, czasem własnoręcznie dokonywa sztuki fryzjera. Balubowie dla tego pragną mieć jaknajwiększą ilość żon i niewolników, ponieważ tём wzrasta ich znaczenie. Obciążać niewolników pracą, nie myślą, a złe obejście się z nimi szkodziłoby im w opinji publicznej. Ciągłe jednak niewolnikom, jak żonom i dzieciom grozi niebezpieczeństwo sprzedaży, do czego właściciel zawsze jest uprawniony a często popchnięty gorącą żądzą broni palnej, prochu i ozdób. Zanim jednak sprzeda żonę lub dziecko, wyrzuty sumienia, które mu nie są obce, zabija nieustanném paleniem z fajki. Dorosli synowie stawają się samodzielnymi i nie mogą być przez ojca sprzedani. Zwykłą cenę dorosłej córki stanowi karabin (około 10 florenów) lub 10 metrów kaliko. Za silnego niewolnika płacą 16 m. kaliko albo 2 i pół funta prochu, za dzieci mniej. O kilka dziennych marszów na wschód i południe ceny są o wiele niższe, tam za dorosłych niewolników płaci się 2—4 m. kaliko. Handel niewolnikami w tych stronach środkowej Afryki jeszcze bardzo kwitnie a Mukenga jest główném targowiskiem. Tu schodzą się kupcy z szczepu Kioków, Bangalów i Ambekisów, którzy corocznie tysiące tego ludzkiego towaru wywożą przez Kassaj na zachód. Względnie znośnym jest los niewolników, wywiezionych do kraju Kioków, gdzie zwykle pozostawają do śmierci i doznawają ludzkiego obejścia. Surowo obchodzą się z niewolnikami Bangalowie. Z wywiezionych do Angoli Balubów mężczyźni wkrótce umierają, gdy kobiety i silne dzieci łatwiej się oswiają z klimatem wybrzeża. W pobliżu Malanzy pewnemu właścicielowi plantażu w ciągu jednego roku umarło 84 niewolników, tylko jeden został przy życiu. Większa część ich umarła na choroby płuc, nie mogąc znieść nagłych zmian temperatury.

Nadmieniliśmy powyżej, że syn dorosły nie może od ojca być sprzedanym; winien jednak osiedlić się w siole, gdzie mieszka ojciec, i oddać mu część łupu łowczego lub zysku handlowego. Ze mieszkańcy sioła lub gminy pochodzą zwykle z tój samej rodziny, świadczy o tём fakt, że się nazywają wszyscy synami, bena, a więc np. Bena-Katende, synowie Katendy. Przyjaźń krwi, tak zwane u Serbów „pobratymstwo“, znane jest u Balubów, jak u Kioków i innych plemion czarnych. U pierwszych nazywa się to „Kizila“, u drugich „Kassondo.“ Związani przyjaźnią krwi dostarczają sobie nawzajem pomocy i nie żądają od siebie wynagrodzenia za wyrządzoną sobie przypadkiem szkodę. Przyjazne stosunki europejczyków z kacykami środkowej Afryki zaczynają się od zawarcia „przyjaźni krwi“, co się dzieje przy często już opisywanych obrządkach.

Kiedy w listopadzie r. 1884 w czasie drugiego pobytu Wis-smanna i jego białych towarzyszy w Mukendze, miał się rozpocząć obrządek „Kizili“ i w tym celu ogrzewano przy ogniu zamiast uży-

wanej zwykle wody, pół butelki koniaku, do którego każdy miał wlać kilka kropli swęj krwi, wtedy Kalamba-Muana, następca tronu wygłosił mowę tej treści: „Jeżeli nawzajem według dawnego zwyczaju wypijemy krwi naszej, lud powie, że nie jesteśmy już synami riambu, lecz staliśmy się krwiożerczymi. Ogień jest największą potęgą ziemi a riamba jedynym środkiem, zapewniającym zdrowie i życie. Skoro zatem wypijemy „Kizilę“ od ognia z riambą, zwiąże nas to na zawsze. Ktoby potem śmiał złamać słowo, zginie od ognia, już mu ogień nie będzie przyświecał, ani mu pomoże riamba. Bez ognia nikt nie może obrabiać żelaza, bez żelaza nie można uprawiać roli ani budować domu, bez riambu żaden człowiek żyć nie może, zatem każdy strzedz się musi rozgniewać wiarołomnością ogień i riambę.“ Gdy się wszyscy zgodzili na tę, zrodzonego także na reformatora królewicza propozycją, Sangula-Meta, jako najwyższa kapłanka kultu riambu, rzuciła kilka ziarenek konopi do wrzącego się koniaku, którego się potem napili Europejczycy, Kalamba i obecni naczelnicy. Los Kalambu odtąd ściśle był związany z losem Wissmanna i jego towarzyszy. Sam Kalamba, siostra jego Meta, Czyngenge i kilku naczelników przyrzekli towarzyszyć w drodze po Kassaju i, jak zobaczymy, okazali się bardzo wiernymi i przydatnymi.

W dawniejszych czasach także plemię Balubów należało do ludożerców, i ciągną pomiędzy nimi toczyła się krwawa wojna. Z uprawą konopi zapanował pokój i posunięto się tak daleko, że zabroniono nawet rozlewu krwi zwierząt, od czego jednak Wissmann i Pogge odwiedli swych gospodarzy. Z nastaniem pokoju rozwinął się handel, choć plemię Balubów nie posiada do niego zdolności. Gdy w ogóle murzyni odznaczają się zmysłem handlowym i targują się na zabój, mieszkańcy Lubuku w prawdziwie dziecienny sposób pozwalają się oszukać. Wielu z nich, przybywszy do kraju Kijoków z kością słoniową lub gumą, czekają tam całe lato daremnie na zapłatę, potem wracają do domu z próżnymi rękami, albo nawet bywają zatrzymani jako niewolnicy. Handel z murzynami wybrzeża ogranicza się do kości słoniowej, gumy i kobiet, za co Balubowie nabywają materye, broń i proch. Z wschodnimi i południowymi plemionami handlują solą, dobywaną z gliny niektórych źródeł lub z spalonej trawy, krzyżykami miedzianemi, przywożonemi z dalekiego południowego wschodu, z Katangi, od szczepu do szczepu, tudzież materją, zwaną mabele, wyrabianą z włókien palmy Mabondo, a zdolną zastąpić bawełniano lub płócienne wyroby europejskie. Kość słoniowa staje się coraz radszą, bo słonie powoli z tych stron się wyniosły. Z nimi zniknęły bawoły. Poluje się więc głównie na szczury, ptaki i ryby w rzece Lului.

Rzekę tę Wissmann zowie najpiękniejszą, jaką widział. W pobliżu stolicy Czyngenga, w środku rzeki znajduje się 5 wysep, okrytych odwiecznym lasem i wysmukłemi palmami, których ciemna zielen malowniczo odbija od jasno-żółtych ław piasku, osadzonego przez

fale na końcu wysp. Wzdłuż skalistych brzegów wysp, widać się krzewy Pandanus, a ciemne piramidy granitowe wynurzają się z potężnie szumiących fal. Na lewym brzegu rzeki, 10 km. na północ od Mukengi, Wissmann założył w r. 1885 stacyą Luluaburg. Wprawdzie Kalamba nalegał, aby stacya stanęła w jego stolicy, zwłaszcza że tam znajdował się jeszcze, prawda, że w lichym stanie, dom, wybudowany w r. 1883 przez Poggego. Atoli pojętny uczeń ks. Bismarcka, dzisiejszy kapitan Wissmann, jako przezorny pessimista przypuszczał możliwość przyszłych zatargów z Kalambą, zwłaszcza, że tego pierwszy minister Kaboko pochodził z wrogiego białym plemienia Bangalów. Zamierzał więc odrazu zająć pozycyą strategiczną, a nadto obliczał, że gdy w założonej przez Poggego w Mukeudze stacyi niemieckiego stowarzyszenia afrykańskiego zjawi się nowy reprezentant, on sam zaś założy w imieniu króla belgijskiego drugą stacyą, europejczycy posiadać będą dwa ważne punkta w tych stronach. Wybrał zatem 70 m. nad rzeką wyniesioną a 1200 m. od niej oddaloną wyżynę, na której wystawił stacyą Luluaburg. Wewnątrz sześciogranu, uzbrojonego wysokim płotem, w ciągu 3 i pół miesięcy stanęły odwach, przyozdobiony dżubem Krupa, koszary dla 60 żołnierzy, domy dla oficerów, tłumacza, do obserwacji meteorologicznych, pawilon do wspólnych schadzek, łaźnie, szopa dla towarów, broni i żywności, stajnie i t. d., a cały sposób życia urządzono po wojskowemu: rano o 5³/₄ apel załogi murzynów i rozkład pracy dziennej, o 6-tój herbata dla białych, o 12-tój wspólne śniadanie, pomiędzy 6-tą a 7-mą obiad, o 9-tój herbata, a o 10-tój wszyscy udawali się na spoczynek. Dzięki temu regularnemu życiu, jeden tylko z europejczyków, pruski porucznik Franc Mueller, umarł w czasie pobytu w Luluaburgu. Dokoła stacyi założono ogrody i zaczęto uprawę pola. Nadzwyczaj szybko dojrzewiały ogórki, ćwikła, rzodkiewka, cebula i sałata, mniej marchew, wcale zaś nie dojrzewiały: owies, jęczmień, żyto, pszenica, koniczyna i lucerna. Kukurydza dostarczała 3 żniw na rok, proso dwa, często także trzy, tytoń szybko rośnie a uprawa ryżu, przywiezionego w r. 1882 przez Poggego z Nyangwy, wydała tak świetne owoce, że ekspedycya Wissmanna na wiosnę r. 1885 mogła zabrać znaczne zapasy na daleką drogę. Klimat w tych stronach jest łagodniejszym, niż w innych częściach Afryki, i niema tu też tak stanowczej różnicy pomiędzy porą deszczu a suszy, jak nad dolnym Kongo. Najradziej pada w czerwcu, lipcu i sierpniu (raz lub 2 dni na miesiąc), ale też w innych miesiącach obok 15 dni deszczowych (przecięciowo) jest tyleż pogodnych.

2. Z Lubuku do Nyangwy.

Po całomiesięcznym spoczynku w Lubuku Wissmann i Pogge dnia 1 grudnia r. 1881 wyruszyli w dalszą podróż na wschód. Dnia 5-go grudnia zatrzymali się przed Baqua-Mamba, ostatniem w tych

stronach siole, uznawajacem zwierzchnictwo Kalamby, który przeto nazajutrz odbył wjazd uroczysty. W siole do koła ognisk siedzieli mieszkańcy, paląc fajki i wyczekując z trwogą, czego żądać będzie władzca. Opodal tańczyło kilka starszych i brzydkich kobiet, młode wszystkie znikły z sioła. Teraz zjawił się potężnymi skokami chorąży Kalamby powiewając chorogwią i oznajmiając przybycie wielkiego monarchy. Następnie nosiciele europejczyków i kilku żołnierzy Kalamby szybkim krokiem wtargnęli do sioła. Za nimi postępował Kalamba, siedząc na barkach ogromnego murzyna, ubrany w czarny płócienny tużurek, ozdobiony łańcuchem mosiężnym, w szarym kapeluszu, gaciach i różnobarwnych pończochach. Otoczony 20 zbrojnymi, tłukącymi niemiłosiernie po wielkich bębnach; wszedł na kiotę. Dalej szli minister Kaboka w czerwonym fraku, królówic Muana w fraku i uszytych z starego miecha pończochach, tudzież trzej podwładni naczelnicy, wszyscy podobnie ubrani, trzymając w rękę różnobarwne deszczochrony. Dwa razy orszak powoli obszedł około kioty potém się zatrzymał. Teraz nadeszła Sangula-Meta, w czerwonej spódniczce, czarnej, jedwabnej mantyli, głowa obwiązana chustką, powiewając poważnie bukietami konopi, za nią postępowało 40 kobiet, śpiewając hymn narodowy. Gdy Sangula z swym orszakiem stanęła po lewej stronie Kalamby, przycichły bębny i śpiewy. Niemal czołgając się po ziemi, naczelnik sioła Ndemba zbliżył się do najdosłojniejszego monarchy i złożył u stóp jego trzy krzyżyki miedziane i małą kość słoniową. Kakoba i towarzyszący Kalambie naczelnicy zaczęli żartować z mizernego daru, poczem Ndemba przywłókl młodą niewolnicę, która spokojnie usiadła u stóp Kalamby. Meta otrzymała 2 krzyżyki miedziane i koszyk gumy. Ponownie odezwały się złośliwe uwagi dworzan Kalamby, a nawet sama Meta mruknęła kilka słów oburzenia. Kalamba usiadł na znak, że zadowolniony. Meta zaś stała, jak skamieniała. Biedny Ndemba teraz dał swą żonę w zastaw i poleciał do swoich na naradę. Każdy z stojących w kole mieszkańców Baqua-Mamby radził oddać żonę lub córkę sąsiada, żaden sam niczego dać nie chciał. Pewna kobieta z dziecięciem na ręku stała przed chatą. Ndemba pochwycił ją, aby ją darować Mecie. Ale silna kobieta odparła go i odgrażając się, z śmiechem znikła w chacie. Gdy jeszcze inne podobne zabiegi okazały się bezskutecznymi, Meta oddała zastaw. Spostrzegłszy, że nie wymuszają niczego więcej Ich królewskie Moście powstali przy radosnych okrzykach ludu i już bez wszelkiej ceremonii powrócili do obozu swego przed siołem¹⁾. Cała ta scena odbyła się bez wszelkiego gwałtu i brutalności.

Pięć dni trzeba było przeczekać w obozie, zanim kara-

¹⁾ W podobny sposób odbywają się wszystkie egzekucye podatku czy haraczu króla Kalamby.

wana była w komplecie i zaopatrzona w żywność. Gdy wreszcie 11 grudnia wyruszono w drogę, składała się ona z europejczyków porucznika Wismanna i d-ra Poggego, ich 40 ludzi, z których 6 było uzbrojonych w szasepoty, 15 w stare karabiny, tudzież z orszaku Kalamby 80 mężczyzn o 20 karabinach, 70 kobiet i kilkoro dzieci. Wszelkie nalegania podróżników, aby kobiety i dzieci pozostać w domu, okazały się daremne. Trzeba więc było z tym dziwanym orszakiem puścić się w daleką i nieznaną drogę.

W okolicach, kędy przechodziła karawana, doznawała bardzo rozmaitego przyjęcia; w niektórych siołach ludność więcej ciekawa, niż zatrwożona, witała podróżników uprzejmie, w innych mężczyźni ubrojeni podejrzliwie przypatrywali się przybyszom, gdy kobiety i dzieci zawczasu uciekły do lasów, w innych wreszcie trzeba było wymódz przejście, choć nie przyszło do rzeczywistej walki. Nie zbywało też na komicznych epizodach. I tak 14-go grudnia w obozie zjawiła się niepospolicie piękna dziewczyna wysmukłej i zgrabnej postawy, o miłym dziecięcym wyrazie twarzy. Powszechnie hołdy jakie w obozie składano tej brunatnej piękności, skłoniły podejrzliwych krewnych, czem prędzej uprowadzić ją prawie gwałtem. Za to pozostał stary oryginał o czerwono farbowanych włosach i brodzie, — brzuchomówca który bawił widzów różnemi grymasami, paleniem fajki przez nos i t. d. A więc i w Środkowej Afryce nie zbywa u bajazzach.

Dnia 16-go grudnia karawana dotarła do jeziora Munkamby, gdzie trzeba było odesłać połowę najętych w Angoli nosicieli, ponieważ usiłowali wymusić wyższą płacę. Dnia 26-go grudnia karawana przybyła do Bena-Czia, stolicy potężnego Marimbo, króla Baqua-Lukallów. Postępując dalej ścieżkami wśród gęstych odwiecznych lasów, dnia 3-go stycznia 1882 r. dotarła do brzegu rzeki Lubi, przez który się przepawiła na 10 dużych czółnach, dostawionych przez uprzejmych i wesołych Bassongów którzy wyrabiają z palm znakomite wino.

Sioła ich składają się z dwóch rzędów domów, stojących po obu stronach 20 m. szerokiej ulicy. Domy są wysokie i przestronne budowane starannie i utrzymywane czysto. Wszystkie stoją na fundamencie z gliny, podłoga przeto jest zawsze sucha. Drzwi mają wysokie. W sypialni znajdują się szerokie łóżka z gałęzi palmowych. Wszędzie widać porządek i czystość. Bassongowie często się kąpią a nacierając skórę olejem, utrzymują ją przy świecącym, brunatnym kolorze. Z oburzeniem poglądali na kąpiących się razem Balubów Kalamby. Kobieta u Bassangów zajmuje się wyłącznie gospodarstwem domowem, mąż uprawia rolę. Z pewnym zmysłem artystycznym zdobiją broń swoją. Są to ludzie temperamentu wesołego, zawołani handlarze, ale też wiarołomni, do kradzieży i zdrady skłonni.

Dnia 21 stycznia karawana przeprawiła się przez 200 m. szeroką rzekę Lubilasz czyli Sankurru, i w wschodnim kierunku ruszyła dalej. Dnia 15 lutego wstąpiła do kraju Bene-Ki, „szczepu, który w potężnych, starych miastach zdaje prowadzić życie całkiem szczęśliwe, o ile to możliwe na planecie, na którym wre walka o byt.“ Podróżnicy zatrzymali się w 8 km. długim, cienistym lesie palmowym, wzdłuż którego ciągną się dwa rzędy tuż obok siebie stojących zagród. To miasto Fungoi. Mieszkańcy wszystko przynosili do obozu za tak niską cenę, że każdy towarzysz karawany mógł dziennie zjeść trzy kurczęta. Ze wszystkich stron nadchodziły zaproszenia od starszych miast. Olbrzymie miasta szczepu Bene-Ki stanowią samodzielne rzeczypospolite, któremi rządzą starsi. Dnia 22 lutego karawana dotarła do największego z tych miast, B a q u a - P e s z y, ciągnącego się 17 km., na grzbiecie wzgórza, a podobnego zdaleka do długiego, wąskiego lasu palmowego. Miasto widocznie bardzo stare, bo tu i owdzie potężne, odwieczne drzewa wznoszą się ponad wierzchołki palm. Główna ulica jest 20 do 40 m. szeroka. Poza zagrodami, przytykającymi do ulicy i otoczonymi palmami, rozpościerają się ogrody, za nimi szeroki pas banan a potem pola. W ogrodach rosną ananasy, toматы, pieprz, ricinus, dynie, tabaka, trzcina cukrowa i dzikie konopie; na polach maniok, słodkie ziemniaki, kukurydza i jagły. *Rashia vinifera*, rosnąca na brzegu lasków palmowych, dostarcza wina tudzież włókien na wyroby materji do odzienia. Własność rodziny zaczyna się więc od domu przy ulicy, obejmuje dalej ogrody, laski bananowe, pola, aż do strumieni i jezior, znajdujących się u podnóża 300 metrów szerokiego wzgórza, na którego grzbiecie osiadło miasto. Ścieżki, któremi się idzie po wodę, rozgraniczają zagrody. Marsz przez miasto Baqua-Peszę Wismann tak opisuje:

„Z obu stron ulicy patrzą na nas zdziwione tłumy mieszkańców; także kobiety pozostały tu w mieście a mężczyźni z bronią w rękę stoją przed swemi domami. Nie dostrzedz żadnego dzikiego poruszenia, nie słyhać zgiełku ani okrzyków radości. Uważna ciekawość zaznacza się w ich twarzach, bo już słyszeli o okrutnych gonitwach na ludzi, które się odegrały w pobliżu ich miasta. Wśród gęstego szpaleru maszerujemy spokojnie główną ulicą. Ogromna ilość mieszkańców ludzi naszych napelnia trwożę, i my się lękamy, aby przypadek lub nieostrożność nie spowodowały jakiego zajścia. Daję przeto rękę na prawo i na lewo znaki, aby odłożono broń, wkrótce kilku starszych postępuje obok mnie i wołają na swych ziomek: „uta pasz, nasza vita“, złożyć broń, nie będzie wojny! Spokojnie, całkiem inaczej, aniżeli u hałaśliwych Balubów, postępujemy na przód. Na północno-zachodnim krańcu miasta dziś rano marsz rozpoczęliśmy, na południowo-wschodnim, ale jeszcze nie najdalej wysuniętym, stanęliśmy i założyliśmy obóz o 11-tój.“

Niestety wszystko to należy do przeszłości. Już w 4 lata później ogromne miasto spoczęło w gruzach. Z obu stron drogi trawa rosła na miejscu, gdzie przedtym przebywali szczęśliwi ludzie. Tylko nawpół spalony pal domu lub bielejąca w słońcu czaszka świadczyły o strasznych wypadkach, które tu zaszły. Tak daleko na zachód posunęli się w swych gonitwach na niewolników Arabowie z Nyangwy ¹⁾.

Po trzechmiesięcznym marszu, czarni towarzysze podróżników stawali się coraz mniej ochoczymi; trzeba ich było codziennie wyganiać z obozu, w pochodzie nagle się zatrzymywali, wołając na Poggego: „Kabassu-Babu“ (tak się nazywał umarły kacyk Balubów, który nibyto pod postacią Poggego powrócił, wybielony w morzu), zatrzymaj się, nie możemy iść dalej.“ Nawet stateczny Kalamba ociągał się i oświadczył, że iść dalej w nieznanne strony byłoby szaleństwem. Atoli odważna Sangula-Meta rzekła: „Zostanę przy Kabassu i Kasongo (Wissmann), niech nasi synowie w domu mówią: nasi mężowie są tchórzami, bo opuścili braci, ja się tak nie shańbię.“ W dalszym więc marszu dnia 8 marca w dostarczonych przez ludność miejscową czółnach, karawana przepłynęła się przez rzekę Lomani i wkroczyła do kraju Bena-Sala, należących także do szczepu Bassongów i których król Lunkamba-Langongo płaci haracz znanemu z opisów Stanleja, Arabowi Tibbu-Tibbowi. Odtąd droga do Nyangwy wiedzie w północnym kierunku. W skutek nieustannych deszczów przeprawa przez te zalane, zarosłe wysoką trawą łąki lub rozwodnioną glinę pól, stawała się coraz zmuśniejszą. Roilo się od słońca, ale nie było czasu do polowania. Dnia 15 marca podróżnicy przybyli do kraju Gubu, nad którym panuje Kawamba. Tutaj zjawił się urzędnik Tibbu-Tibba, murzyn z Zanzubaru z trzema niewolnikami, wszyscy ubrani w długie koszule, aby przywitać białych jako przyjaciół swego pana i—żebrac u nich. Zanzubarzysta ten pod pretekstem honorowej straży u Kawamby, czuwa nad tem, aby wszelką kość słoniową odsyłał tylko Tibbu-Tibbowi, donosi o wszystkiem do Nyangwy i żyje wygodnie kosztem tubylców. Ryż, pomarańcze i melony z Arabami dostały się do Gubu. W dalszym, trudnym pochodzie przez zalane stopy lub lasy akacyi, brodząc często aż pod gardło w wodzie, karawana dnia 21 marca weszła do kraju Bena-Mulale, należących do licznego szczepu Wasongora. Dziewięć dni, od 2 do 11 kwietnia, zajęła przeprawa przez wąską rzekę Moari, która wskutek nieustannych deszczów zamieniła się w szerokie jezioro. Dnia 14-go kwietnia karawana przybyła do pięknego siola plemienia Samba. Późno wieczorem nadeszły dwa poselstwa z Nyang-

¹⁾ W sposób wzruszający to gonitwy arabów na niewolników i obozowisko takiej hordy, którą spotkał 27 listop. r. 1883 w Jomboni nad dolnym Kongo, opisał H. Stanley w swém dziele „Kongo“, t. 2.

gwy, jedno od Araba Abed-bin-Salima, drugie od Djumma-Merikani, zapraszające podróżników każde do swego pana. Spieszno też było Wissmannowi i Poggemu dostać się do Nyangwy, gdyż zupełnie wyczerpnęli wszelkie zapasy i towary na wymianę; w Nyangwie za pomocą weksli spodziewali się zaopatrzyć na dalszą drogę.

To też dnia 15 kwietnia pewni, że tego dnia ujrzą cel podróży Lualabę (Kongo), w wielkiem uniesieniu, nie zważając na ostre cieranie i na utrudniające pochód liany, rzucili się naprzód, wkrótce dotarli do krańca wyżyny i — „teraz wreszcie leżała przed nami, w szerokięj, mialkięj dolinie, potężna rzeka, przyszła żyła żywotna ciemnego jeszcze kontynentu, druga co do wielkości rzeka świata, a po drugim brzegu długi zielony las bananów, z którego tu i ówdzie świeciły żółte domy,—Nyangwa, wielkie miasto o kilku Arabach i tysiącach niewolników.“

Donośnym „Mojo“ Wissmann uwiadomił tych, którzy szli za nim; wszystkich ogarnęła wielka radość, bo każdy wiedział, co ten okrzyk znaczył. Przy rześmym deszczu, po przemokłej dolinie, karawana dotarła do stojących nad brzegiem rzeki chat rybaków i przewoźników, aby tam przenocować. Późno wieczorem Abed-bin-Salim przysłał gościom mleka, gotowanego ryżu, ogromny garnek z mięsem, koszyk z pomarańczami, ananasami, melonami i wielkie naczynie pełne jaj. Odbyła się więc suta wieczerza. Nazajutrz jeden z podwładnych Abeda przybył z przestronnym czółnem z czerwonego drzewa. „Przeszło 100 metrów płynęliśmy w ciasnym kanale, wyrzniętym w gęstej trzcinie. Nagle zawołał na mnie siedzący na przodzie Pogge, spojrziałem w górę: przedemną leżała ogromna 1200 metrów szeroka masa wody już tutaj tak potężnej rzeki. Daleko na północy iskrzące w słońcu zwierciadło wody łączyło się z szaroniebieskiem sklepieniem niebios. Tyle wody nie mogło zniknąć w bagnach lub puszczech, musiało dotrzeć do morza. To zapewne zrozumiał każdy z trzech europejczyków, którzy przed nami tu byli: Livingstone, Cameron i Stanley, i pojmuję, że pierwszy tylko śmiercią mógł być oderwany od celu, którego trzeci dopiął. Był to cel, go-dzien zadatku życia, wszystkich sił umysłu, każdego nerwu, bo nagrodą jest nieśmiertelność“¹⁾.

¹⁾ Stanley tak opisuje Nyangwę: „Z rana 27 paźdz. (r. 1876) z obozu naszego w Kaakumba zeszliśmy do brzegu Kundy, rzeki około 40 metrów szerokiej a na miejscu przeprawy 10 stopni głębokiej. Przewoźnicy czyli rybacy szczepu Wangenów stali pod władzą szeika Abed-bin-Salima. Po czterogodzinnym, forsownym marszu przybyliśmy blisko do Nyangwy, gdzie wyszli na nasze spotkanie Abed-bin-Salim, starzec 65 letni, Mohamed bin-Said, młody Arab o nadzwyczaj długim nosie i małych oczach, który u Abeda poñił obowiązki łowczego na słońce, i kilku Wangwanów, wszyscy w białych koszulach, o czerwonym pasie i w sandałach. Szeik Abed ofiarował mi dom swój. Wszyscy zdumieni nad szybkością naszej podróży od Tanganiki do Nyangwy (338 mil), którą odbyliśmy w 43 dni, gdy Arabowie po-

Przeprawiwszy się na prawy brzeg Lualaby, Pogge i Wissmann przez wysłańców szejka Abeda zaprowadzeni zostali do wielkiego domu o werandzie, dwóch jasnych i 6 ciemnych izbach. Gdy także resztę karawany umieszczono w 20 chatach, dwaj Europejczycy z tłumaczem wyruszyli na spotkanie się z gospodarzem. Gdy na 40 m., zbliżyli się do domu Araba, ten powstał i z sześcioma Arabami w białych koszulach i z białymi, haftowanymi czapczkami na głowie, wyszedł na przeciwko nim. Szeik Abed-bin-Salim jest wysmukłym, przystojnym mężem około 70 lat o białej brodzie, żółtawej cerze, ostrych i energicznych rysach twarzy, elastycznym chodzie i poważnym wzięciu. Czarno pomalowane brwi świadczą, że patriarchy ponimo podeszłego wieku jest próżnym. Podajemy sobie ręce, poczem zaprasza nas usiąść pod werandą.“

Następnego dnia podróżnicy odwiedzili drugiego magnata miejscowego „osławionego, wojowniczego Mtaga-Mojo, albo jak go nazywają po arabsku Muini Muherra“, opiekuna synów zmarłego Dugumbiego, o którym wspomina Stanley. I tu doznali uprzejmego przyjęcia. Szeik Abed natychmiast oświadczył gotowość pożyczania Wissmannowi potrzebnej na dalszą podróż sumy, której zwrot miał otrzymać po przybyciu niemieckiego podróżnika do Zanzylaru.

(dok. n.)

trzebują na to 2 — 3 miesiący. Nyangwa jest najdalej na zachód wysuniętą miejscowością, zamieszkaną przez Arabów, przybywających z Zanzylaru, i spoczywa na czerwonałem wzgórzu, wzniesioném 40 stóp nad rzeką (pod 4° 15' stóp. połud. szerokości, a 26° 16' wschodniej długości). Miasto rozpada się na dwie części. W północnej znajdują się główna kwatery Dugumbiego, pierwszego Araba, który tu osiadł w r. 1868, dom jego otacza około 300 chat przyjaciół i niewolników. Dolina, zasiana ryżem, ale zalewana niekiedy przez Lualabę, dzieli wymienioną część miasta od południowej, w której znajduje się obszerna piękna handa Szejka Abeda, otoczona domami klientów i przyjaciół handlowych. W obszernym dziedzińcu umieszczony jest harem 30 ładnych, wielkookich żon, nad którymi Abod zazdrośnie czuwa. Pomiędzy dwoma kupcami panuje namiętna zazdrość. Dugumbi, handlarz z brzegu wschodniego, nawpół Arab, nawpół murzyn, jest nieokrzęsianym starcem około 70 lat. Szeik Abed jest wysmukłym, chudym, starszym mężczyzną o białej brodzie, patriarchylniej postawie, ale złego serca, zmienny, wierzący mocno w czary. W Nyangwie odbywają się targi, raz przed domem Szejka Abeda, drugiego dnia w cyrkułe Dugumbiego, trzeciego dnia nad brzegiem rzeki, tam gdzie Kunda wpada do Lualaby. Na tych targach można nabyć wszystkiego: od najprostszego garnka z gliny, aż do najpiękniejszych dziewecząt z Sambo, Marery lub Ukusu. Do trzech tysięcy tubylców każdej płci i wieku przychodzą tu z dalekiej okolicy. A jakże to targowisko z swym hałasem i szmerem ludzkich głosów podobne do naszych targów! To samo współzawodnictwo w zachwalaniu towaru; namiętno i wyraziste ruchy, badawczy wzrok, zmieniający się wyraz twarzy to pogardy, to tryumfu i radości — wszystko to i tutaj się powtarza.“ Dnia 5 listop. w r. 1876 Stanley w towarzystwie Araba Tibbu-Tibba i licznej karawany wyruszył celem odkrycia dalszego biegu Lualaby czyli Kongo. II. Stanley: „Przez czarny kontynent“, t. II, roz. 9-ty.

„DOSIA”

w o b e c n a u k i.

Szczątki zaimka si, sia, sie, w polszczyźnie.

Badanie językowe

poświęcone dawnym słuchaczom

PRZEZ

Józefa Szyborowskiego.

Dla wyjaśnienia używanego w dawnych życzeniach sposobu mówienia do siego roku, stworzono niegdyś matuzalową Dosię niby Dorotę ¹⁾, a później dobrano jęj do towarzystwa Dodka, bo niedobrze jest żyć na świecie człowiekowi samemu, a mianowicie w legendzie bardziej do twarzy niewieście, jeśli ma powiernika uczuć i myśli, wiekiem do siebie zbliżonego. Prozaiczny i niegodziwie zmateryalizowany wiek nasz targnął się nielitościwie na świętobliwe postacie Dosi i Dodka, twierdząc, że gdyby nawet rzeczywiście żyła niegdyś w zamierzchłej przeszłości stuletnia Dosi, to pamięci jęj cnót i zalet nie możnaby utrwalić przez sposób mówienia Dosiego roku, bobyśmy dla przeprowadzenia tęg sprawy musieli pokierosować gramatykę i rozminąć się z logiką. Człowiek bowiem cokol-

¹⁾ Wójcicki, *Przysłowia narodoie*, I, str. 200. Wójcicki przywozi na końcu swego objaśnienia *Kalendarz Polski* z r. 1714, co mogłoby znaczyć, że życzenia Dosiego roku z tego kalendarza wyczytał. Na nieszczęście nie podaje ani przez kogo, ani gdzie ten kalendarz był wydany. Przeczytałem *Polski i Ruski Kalendarz* na r. 1714 wydany przez astrologa Akademii zamoyskiej w Krakowie, oraz *Rzymski i Russki kalendarz* wydany na tenże rok przez Niewieskiego we Lwowie, lecz wzmianki o Dosi w nich nie znalazłem.

wiek obeznany z prawidłami twórczości języka, a zarazem z prawami logiki, nawet gdyby posiadał niewątpliwe zapiski praszczurów o studentniej Dorocie, mógłby tylko życzyć Dosinego wieku lub Dosinych lat, bo wyrażenie Dosiego roku jest gramatycznym i logicznym niepodobieństwem. A jeśli ten rodzaj wytłómaczenia sposobu mówienia zajmującego nas nie da się nadal utrzymać, to trzeba nam pokusić się o inne mniej może poetyczne, ale zato więcej z prawdą zgodne wytłómaczenie. Wprawdzie wytłómaczenie to nie będzie nowe, gdyż podał je już niepospolity znawca naszego języka przed kilku laty, ¹⁾ lecz mimo to podejmujemy tę sprawę raz jeszcze, gdyż zgodne z naszym poglądem wytłómaczenie pozostało bez wpływu na wyobrażenia ogółu. Sprawa ta ma do pewnego stopnia psychologiczne znaczenie, bo z niej pokazuje się dotykalnie, jak trudno jest wydrzeć ludziom wyobrażenie najprzewrotniejsze, jeśli ono pochodzi z szkoły lub zaszczerpione jest przez osobistość uchodzącą za powagę naukową. Mimo rozumowane objaśnienie wyrażenia do siego roku w Kalendarzu Wieleńskim, Dosia jeszcze nie przestaje pokutować na świecie, jak widzimy z artykułiku świeżo ogłoszonego w Kronice Rodzinnej. ²⁾ gdzie ze sposobu pisania Dosiego roku okazuje się, że autor czy autorka artykułu jeszcze nie rozstała się z podaniem o Dosiu, utworzonym tak sobie przy pomocy rozbudzonej wyobraźni dla podania wyjaśnienia zjawiska językowego, do którego wyrozumienia zbywało autorowi na niezbędnym przygotowaniu naukowym.

Dla ludzi podążających choćby niezbyt ochoczym krokiem za rozwojem naszego językoznawstwa już dawno jest rzeczą uznaną i utartą, że tylko można pisać do siego roku, przy czem sieg o jest drugim przypadkiem zaimka wskazującego si. Jak niżej z przykładów zobaczymy, zaimek ten używał się najdłużej do wskazania jakiegoś kresu czasu w przyszłości. Życząc komu zdrowia i powodzenia do siego roku, chciano powiedzieć, że życzenie to obejmuje przeciąg czasu od chwili życzenia do tej samej chwili roku następnego. Być może, że w czasach, kiedy to życzenie ujęto w znane nam słowa, wyraz rok jeszcze nie oznaczał roku słonecznego, ale stosownie do swego pochodzenia, pewną, oznaczoną ściśle chwilę czasu, jak w języku sądowym średnich wieków, i to zdaje się być prawdopodobnym, a wtenczas życzenie do siego roku znaczyłoby do takiej samej chwili w przyszłości. Może nie zbyt dalekimi jesteśmy od prawdy, kiedy twierdzimy, że to jest jedyny naukowy sposób wytłómaczenia w mowie będącego życzenia.

Jeśli tego sposobu rozumienia i pisania nie wszyscy jeszcze przyjęli, to widocznie jeszcze nie dość dowodnie wykazano istnienie

¹⁾ Kalendarz Wileński większy Elizy Orzeszkowej, na rok 1882 str. 13—16.

²⁾ Kronika Rodzinna na r. 1889 str. 81.

zaimka *si* w staropolskim języku, a nawet i w języku dzisiejszym. Wyjaśnienia tego daremniebyśmy szukali w gramatyce szkolnej, bo ta ma do czynienia z najpospolitszymi prawidłami języka chwili obecnej. Tylko historyczna gramatyka lub też historia języka pouczyć nas pod tym względem może. Zobaczmy jak tam wygląda ta sprawa.

Niestrudzony badacz słowiańskich języków, profesor Franciszek Mikłosicz, dopatrywał śladu tego zaimka w naszym języku,¹⁾ lecz mniej był szczęśliwym w wyborze przykładów: w większej części podanych przez niego przykładów nie widzimy zaimka *si*, bo w sposobach mówienia: pójdę ja *se*, pójdę, siadła *se* pod jodłą, jestem *se* poczciwy, niechaj *se* gadają, póki ja *se* panna, powij go *se* sama, i innych słówko *se* nie pochodzi od wskazującego zaimka *si*, ale jest poprostu ściąganiem zaimka sobie, gdyż niechaj *se* gadają, mówi lud zamiast niechaj sobie gadają. Tylko jego przykłady siego roku, tego tu wloką, sam owego mnicha (Kochan. Szachy w 350) to tam, to sam pochodzą rzeczywiście od wskazującego zaimka *si*.

Prof. Kalina podał w ogłoszonych materiałach do historii języka polskiego²⁾ naprzód dwa najpospolitsze i najwyraźniejsze przykłady, a mianowicie: dziś zamiast dzień *si*, i latoż zamiast lato *se*, a następnie wszystkie w ogłoszonych pomnikach średniowiecznej polszczyzny napotymano przykłady.

Sądzimy, że dla naukowego poznania naszego języka w jego przeszłości, oraz dla wyjaśnienia niektórych form dziś używanych, pożądaną będzie rzeczą wykazać wszystkie ile możności ślady tego zatraczonego dziś zaimka, jakie tylko wykryć się dadzą.

Trojakiego rodzaju są szczątki zaimka *si* w polszczyźnie, bo albo go widzimy w postaci przyrostka czepianego do tematów dla utworzenia nowego wyrazu i to jest najniewyraźniejszy szczątek, bo nie ma nic wspólnego z wskazującym znaczeniem zaimka; albo służy za temat, z którego urabia się inny wyraz, albo nakoniec występuje w pełnej swój postaci jako zaimek.

Przyrostkiem nie dla wszystkich zrozumiałym co do pochodzenia jest zaimek *si* w takich wyrazach jak Adaś, babusia, córusia, Duduś, labuś, mamusia, Stefuś, tatuś, żonkoś.³⁾ Przypominamy, że pochodzenie przyrostków od zaimków jest w językoznawstwie rzeczą nie ulegającą wątpliwości. Przyrostki *j*, *k*, *ś*, *t*, w należy uważać za pochodzące od zaimków *ji*, *ki*, *on*, *si*, *ty* (później *ten*) ów; więc najwyuczajniejsze i najgłówniejsze przyrostki były pierwotnie

¹⁾ Vergleichende Syntax der slavischen Sprachen, Wien 1874 str. 113.

²⁾ Kalina, Historia języka polskiego. Tom I, Lwów 1883 str. 252, 260, 285, 287.

³⁾ Małecki, Gram. historyczno-porównawcza § 375.

zaimkami, a zaimki te szczególnie nadawały się do użycia za przyrostki dla tego, że pierwotne ich i wyraźne znaczenie uogólniało się następnie, aż w końcu w postaci przyrostków to pierwotne swe znaczenie postradały, ¹⁾ bo w utworach językowych z tymi przyrostkami urobionych nie widzimy żadnego wpływu znaczenia zaimka użytego za przyrostek na znaczenie wyrazu, któryśmy za pomocą tego przyrostka urobili. Wyjątek pod tym względem, ale tylko pozorny, stanowią słowa dziś i latoś, gdyż tutaj końcowe ś ma jeszcze znaczenie wskazujące, ale też ś to nie jest przyrostkiem, lecz zaimkiem, który utracił końcową samogłoskę.

Do pocztu słów urobionych z zaimkiem si przysłówek *zas* przyłączyć wypadnie. Dawniejsza jego postać była *zasie*. Wyraz ten widocznie jest złożony z przyimka *za* i słówka *sie*. Pierwsza część składowa jest jasna, zachodzi tylko pytanie, jak rozumieć pochodzenie drugiej części składowej: czy ją odnieść do zaimka się, czy też widzieć w niej rodzaj nijaki zaimka si. Już Mączyński, wydawca słownika łacińsko-polskiego w r. 1564, wykładając łacińskie *rursus* przez polskie *zas*, nadmienia, że niektórzy piszą *zasię*, jakoby rzekł: za się czyń to, nie za mię i wypowiada zdanie, że „mówienie to wątpliwem się być widzi.“ Mojem zdaniem wątpliwość Mączyńskiego była uzasadniona, bo w rzeczy samej w przysłówku *zasie* nie podobna dopatrzeć zaimka się. A kiedy z Mączyńskim odrzucimy ten sposób tłumaczenia, pozostanie nam już tylko drugi sposób polegający na tém, że *zasie* uznamy za wyraz złożony z przyimka *za* i rodzaju nijakiego zaimka *si*. Zrobiwszy to przypuszczenie, otrzymamy wytwór językowy dokładnie odpowiadający łacińskiemu przysłówkowi *postea*, złożonemu z przyimka *post* i rodzaju nijakiego wskazującego zaimka *is*. Pozostawiamy na uboczu pytanie czy między polskim zaimkiem *si* a łacińskim *is* zachodzi jaki związek, nam wystarczy przekonanie, że przysłówek polski *zasie* w budowie swęj odpowiada łacińskiemu *postea* i ma niekiedy jego znaczenie.

Tak pojmował znaczenie przysłówka *zas* dobry znawca polszczyzny, Grzegorz Knapski, gdyż na str. 1391 swego Słownika polsko-łacińskiego (wyd. 1643) przysłówek ten przekłada przez łacińskie *postea*.

Poblądził Linde, że nie uwzględniając ostrzeżenia Mączyńskiego i nie troszcząc się o wskazówkę daną przez Knapskiego, objaśnia przysłówek *zas* jako powstały z przyimka *za* i zaimka *się*. Jaśniej widział w tej sprawie Jungman, gdyż czeski przysłówek *zas* uznaje (Słownik jęz. czes. V, 543) za złożony z przyimka *za* i rodzaju nijakiego zaimka *si* (*się hoc*).

¹⁾ Schleicher, Compendium der vergleichenden Grammatik § 207 strona 290.

Jeżeli stojąc po stronie Mączyńskiego, Knapskiego i Jungmana uznamy przysłówek *zasie* w naszym języku za złożony z przyimka *za* i rodzaju nijakiego *si* od *si*, natenczas w dzisiejszej jego postaci *zas* możemy się jeszcze dopatrzeć wskazującego znaczenia, a przysłówek *zas* na równi pod tym względem stanie z przysłówkami *dziś* i *lato*, i nie potrzebuje być zaliczany do tych słów, w których *s* jest przyrostkiem pozbawionym wskazującego znaczenia właściwego zaimkowi *si*.

Przyrostek *s* nie tylko służy do urabiania rzeczowników, czego przykłady podaliśmy wyżej, ale i inne części mowy za jego pomocą powstają, a mianowicie: zaimki *ktos*, *coś*, *jakis*, *którys*, *czyjs* i przysłówki np. *jakoś*, *gdzieś*, *ponoś*. Gdybyśmy nie mieli wyraźnych przykładów używania zaimka *si* w pełnej postaci, byłibyśmy w trudnym położeniu od jakiego zaimka wykazać pochodzenie przyrostka *s*.

Drugi rodzaj szczątków zaimka *si* znajdujemy w wyrazach pochodnych, przy których tworzeniu zaimek ten służy za podstawę. Z zaimka tego powstają wyrazy, których pochodzenie przez to staje się jasnym i zrozumiałym, że pochodne te wyrazy należą do tak zwanych korelatywów, i że się przekonywamy, iż pochodne od zaimka *si* są podług tych samych zasad urobione, jak pochodne od innych pierwotnych zaimków, a mianowicie od zaimków *kiji*, *ty*, (późniejszy *ten*), *ów*. Jak od zaimka *ji*, znanego u nas w mianowniku tylko w złożeniu *jiże*, pochodzi zaimek *jaki*, jak od zaimka *ty* urabiamy pochodny zaimek *taki*, a od zaimka *ów*, *owaki*, tak w ten sam sposób od zaimka *si* pochodzi zaimek *siaki*. Tą drogą dochodzimy do zestawienia następujących korelatywów.

kaki	jaki	taki	siaki	owaki
kako ¹⁾	jako	tako	siako	owako
kamo ²⁾		tamo ³⁾ (siamo)	sam ⁴⁾	
kędy		tędy		owędy
dokąd	dojąd ⁵⁾	dotąd		do owąd

Cztery korelatywa pierwszego rzędu są i dziś jeszcze używane, a przykład „chwyciłem się postępków takich i siakich“ przytacza

¹⁾ Psalterz Floryański p. 8, 1, 9. Gospodnie, Boże nasz, kako dziwno jest imię twoje. — ps. 136, 5. Kako piac będziemy pionie panowo.

²⁾ Psalt. Flor. ps. 136, 6. Kamo poydę—twogo? a kame od oblicza twoego uciekę?

³⁾ Psalt. Flor. ps. 136, 3. Bo tamo pytali nas, jiże to jónce wodly nas, słowa posni.

⁴⁾ Psalt. Flor. ps. 45, 8. Samodźcie (t. j. samo idźcie) i widzcie działa Boża. Zob. wyd. Prof. Nohringa str. 45 i 225.

⁵⁾ Dojąd się szkoda nie stała. Księga Ziemska Sieradzka r. 1391 f. 29.

Linde z Monitora ¹⁾). Korelatywa drugiego rzędu utraciły dziś końcówkę ze znanego u nas wstępu do kończenia wyrazu na samgłoskę, i ich najpospolitsza postać jest obecnie *jak, tak, siak, owak*. Wyrażenie *ni tak, ni siak*, podaje Linde V 250, lecz odsyła do słowa *sak* jako więcej używanego. Powinien był postąpić odwrotnie, bo forma *siaki* jest pierwotna i prawidłowa, a forma *sak* jest owocem stwardnienia w skutek analogii, przez przypodobnienie do zaimka *taki*. Stwardnienie to już dawno nastąpiło bo już Knapski podaje przysłowie: „*tak sak, tak owak*“ Adag. str. 1154. Zmiękczonej formie nie wyszła jednak obok tego z użycia, jak okazuje przykład „oszukuje ten, który powiada, że to tak albo siak jest lub było“ podany przez Lindego z Monitora. ²⁾). Z trzeciego rzędu korelatywów znany tylko przysłówek *tamo i samo*, w obecnym języku skrócone na *tam* i *sam*, przyczem znów *sam* jest owocem stwardnienia pod wpływem analogii, a stwardnienie to zapewne dla tego nastąpiło, że zaimek *si* dający początek przysłówkowi *siamo* już nie był narodowi znany. Przykład użycia podaje Linde: Tak się i ona to tam to sam kręci, z Koch. Jeruzolimy Wyzwolonój str. 545 wydania z r. 1618.

Czy korelatywa *jedy, kedy, tedy, siedy i owedy* dadzą się wszystkie kiedy wysłedzić powiedzieć nie umiem, lecz sądzę że mowa ludowa może ich kiedy prędzej dostarczy, niż pisane pomniki staropolskiego języka,

Ślady zaimka *si* w słowach urabianych z przyrostkiem *s* od tego zaimka pochodzącym, oraz w słowach pochodnych, którym zaimek ten służył za temat etymologiczny, są dość wyraźne, lecz stwierdzenie tych wywodów zależne jest od wykazania, że zaimek ten był niegdyś u nas w pełnej swój postaci używany, i ta część rozprawki dla całego naszego badania jest najważniejszą.

Chcąc czytelnikowi stawić przed oczy cały zasób form ocalałych z tego starożytnego zaimka, podam po nowych przeze mnie wykrytych i te przykłady, które już poprzednio były znane, lecz znajdując się w dziełach nie każdemu przystępnych, albo też dla braku wskaźników alfabetycznych nie łatwe są do wyszukania.

Nieocenioną do historii języka jest przedewszystkiemi przysięga zapisana na karcie 197 księgi ziemskiej plockiej z roku 1413. Podaję ją z zachowaniem dawniej pisowni, by uchronić się podejrzenia, że przy zmianie pisowni przykroilem do swojej potrzeby formy zaimka w przysiędze użyte.

Taco mi gego dusza luba, yaco mi ne mal do sich swantek szdacz tich cztirzech cop. yakom ya (roku) nie dawal do sich swantek yalbrzicowi cztirzem copam penędzi; yacom ja nesslubowal yalbrzicowi

¹⁾ Monitor na r. 1771 str. 444.

²⁾ Monitor na rok 1775 str. 709 mylnie oznaczona 609.

cztyrzech kop do sich swantek szdacz“¹⁾. Trzykrotne użycie wyrażenia do sich świętek nie pozostawia żadnej wątpliwości, że mamy przed sobą formę zaimka wskazującego *si*. Dawniej znane przykłady tej formy nie mają tej doniosłości, bo znajdują się w przysłówkowych sposobach mówienia (do sich miast, od sich miast), a wiadomo, że w takich sposobach mówienia starożytne formy językowe najdłużej się bronią od zagłady i najłatwiej się w nich przechowują, choć w innem połączeniu już wyszły z użycia.

Mniej wyraźny przykład użycia tego zaimka znalazłem w księdze ziemskiej zakroczymskiej pod rokiem 1426, na karcie 105. Sprawa zapisana jest po łacinie, a tylko termin zobowiązania jest obok łaciny wyrażony po polsku. Termin ten zapisany w tych słowach: *ad festum Joannis Baptistae affuturum alias vulgariter na ssy*. Dla zrozumienia wyrażenia należy je w ten sposób uzupełnić: na si święty Jan.

W tej samej księdze pod tym samym rokiem na karcie 119 znajdujemy podobne czasowe określenie zobowiązania w słowach: *ad festum Nativitatis Christi affuturum vulgariter na ssze*, co po uzupełnieniu odpowiednióm daje przykład: na sie Boże Narodzenie.

Dla mniej obeznanych z prawnym językiem owych czasów winienem objaśnić, że słowo *vulgariter*, znaczące *w pospolitym języku*, wprowadza zawsze przekład polski wyrażenia podanego w toku sprawy po łacinie, a celem takiego spolszczenia było uniknąć nieporozumienia. Samo *na si* nie oddaje wyrażenia *ad festum S. Joannis affuturum*, i koniecznie wymaga dopełnienia *na si święty Jan*. Podobnie *na sie* nie będzie równoważyć wyrażenia *ad festum Nativitatis Christi affuturum*, jeżeli mu nie nadamy pełniejszej formy: *na sie Boże Narodzenie*.

We wszystkich pięciu podanych tu, a po raz pierwszy z rękopisów ogłoszonych przykładach znajdujemy zaimek wskazujący *si* użyty na wskazanie najbliższego kresu czasu w przyszłości; użyto wyrażenia *na si święty Jan*, *na sie Boże Narodzenie*, aby kto nie rozumiał, że nie którykolwiek święty Jan lub którekolwiek Boże Narodzenie obowiązywało dłużnika, lecz najbliższe.

Najzupełniej zgadza się z tym sposobem użycia wyrażenie do siego roku, bo także wskazuje jakiś kres czasu przyszedłego i nie da się rozumieć jako wskazanie na chwilę obecną, gdyż życzenie ograni-

¹⁾ W nowszej pisowni: „Tako mi jego dusza luba, jako mi nie miał do sich świętek zdać tych cztyrzech kop. jakom ja (roku) nie dawał do sich świętek Jalbrzykowi (Alberto) cztyrzem kopam pieniędzy; jakom ja nie ślubował Jalbrzykowi cztyrzech kop do sich świętek zdać.“ Dodałem od siebie słowo roku, gdyż bez niego używane w tém połączeniu celowniki osoby i rzeczy, byłyby niezrozumiałe.

czające się chwilą obecną byłoby mniej pożądane dla tego, komu je składano.

Nieco odmienne w znaczeniu, bo do czasu teraźniejszego odnoszące się wskazanie mieści się w zaimku *si* w przysiędze poznańskiej, ogłoszonej świeżo przez senatora R. Hubego ¹⁾. Dla wygody czytelnika powtarzam tu przysięgę tę w skróceniu: „Jako mi łoni Stasiak zapłacił grzywnę, a lato sie nic.” Jest to pierwotna postać używanego później przysłówka latoś. Odbiega od znaczenia w powyższych przykładach wykazanego, bo nie zawiera określenia czasu, wyrażenie w siem czynszu, w przysiędze ogłoszonej z księgi ziemskiej sieradzkiej przez senatora Hubego, ²⁾ która w całości ma takie brzmienie: Tako mi Bóg pomoży, jako comkoli wziął, tom wziął *w sem* czynszu, iże był zań obręczył. Prof. Brückner uznał w Słowniczku do Rot przysięg senatora Hubego dodanym (str. 143) formę *siem* za należącą do zaimka *si*. Jednakże co do tej przysięgi mam pewne wątpliwości, a to nie tyle dla różnicy w znaczeniu, ile dla związku, w którym ta forma stoi w zdaniu. Myśl wyrażona w tej przysiędze naprowadza na domysł, że powinno być napisane *w swem czynszu*, lecz pisarz pomylił się opuszczając spółgłoskę *w*. Pomyłki takie w tekście polskim ksiąg sądowych są rzeczą dość pospolitą. W przysiędze 5 z księgi ziemskiej dobrzyszyckiej, ³⁾ a w szczególności w wyrażeniu: co uczynił, to uczynił *wszem* stawie, należy czytać *w swem stawie*, bo tylko takiem orzeczeniem świadków mógł obżałowany okazać swą niewinność, a użycie zaimka wskazującego byłoby nie na swém miejscu. Drugi bardzo podobny przykład pomyłki widzę w przysiędze z księgi ziemskiej kaliskiej, ⁴⁾ której końcowe zdanie takie ma brzmienie: Jako tam pani Dobka nie położyła swego posagu, ale Przybka dzierży ji *wszem* posagu. I tego miejsca nie można inaczej czytać, jak *w swem posagu*. Cała doniosłość przysięgi zawisła od takiego sposobu czytania. W dwóch ostatnich przykładach snadź uznał prof. Brückner pomyłkę pisarza, bo dwóch tych miejsc nie położył w słowniczku pod zaimkiem *si*. A jeżeli w dwóch ostatnich przysięgach musimy czytać *w swem stawie* i *w swem posagu*, to i pierwszy przykład wzięty z Zbioru rot senatora Hubego tak jest podobny do tych dwóch ostatnich, że tylko *w swem czynszu* czytać możemy, bo tyłką tą drogą dochodzimy do myśli, jakiej tenor przysięgi wymaga.

Uchylając przykład wskazany przez prof. Brücknera, a równocześnie dwa bardzo podobne przez niego nie wskazane, lubo w Zbio-

¹⁾ Zbiór przysięg sądowych z końca w. XIV i pierwszych lat wieku XV wydał Romuald Hube, Warszawa 1888, str. 27 nr. 296.

²⁾ Hube, Zbiór rot przysięg str. 64 nr. 53.

³⁾ Tamże str. 116 nr. 5.

⁴⁾ Tamże str. 48 nr. 10.

rze rot przysięg senatora Hubego stojące, ponosimy znaczny uszczerbek w zasobach językowych mających dowieść istnienia zaimka *si* w staropolskim języku. Lecz głowa nas o to nie zaboli, bo możemy je zastąpić innemi, wziętymi z ogłoszonych dawno pomników. Przykładów tych dostarczają nam kazania gnieźnieńskie wydane staraniem hr. Tytusa Działyńskiego p. t. „Zabytek dawniej mowy polskiej.“

W kazaniach tych znajdujemy następujące przykłady użycia zaimka *si*: Cesarz od *sich* miast nie dał się jest był cesarzem zwać (str. 10). To samo przysłówkowe wyrażenie znajdujemy w dalszym ciągu (str. 15) w słowach: Od *sich* miast mamy się grzechów wiarować. Trzeci raz użyto tego wyrażenia w słowach: Tamo do *sich* miast, ani deszcz ani wiatr nigdy nie postoi (str. 34). Wyrażenia od *sich* miast, do *sich* miast zastępujemy obecnie przysłówkami od-tąd, dotąd; w dawniejszej polszczyźnie używano wyrażen od tych miast, do tych miast, ¹⁾ które tylko tём się różniły od przykładów podanych z kazań gnieźnieńskich, że miejsce wskazującego zaimka *si* zajął taki sam zaimek *ten*.

Ostatni przykład, którego dostarczają kazania gnieźnieńskie (str. 36), mieści się w słowach: Aby Kryst raczył nas wszego dnia i siego roku we zdrowi dopuścić.

Nie podobna nie zwrócić uwagi na podobieństwo znaczenia przykładów wziętych z kazań z przykładami przytoczonymi z przysięg sądowych: jak w jednych tak w drugich zaimek *si* służy do określenia czasu, i dla tego tём śmielój odrzuciliśmy przykłady użycia tego zaimka, gdzie wskazywałby nie chwilę jaką czasu, lecz miejsce jak w wyrażeniu *w siem stawie*, chociaż do odrzucenia ich zniewoliły nas inne względy.

Pozostał nam jeszcze jeden przykład, podany przez prof. Kalinę, ²⁾ a wzięty z książeczki Nawojki. ³⁾ Przykład *si* *trzej królowie* stoi w następującym okresie zawartym w modlitwie do Najświętszej Panny: A przez tę radość, jażes tedy miała, gdy *si* *trzej królowie* przyszli z dary przed twego jedynaczka. Przykład ten jest conajmniej wątpliwy: naprzód myśl nie wymaga zaimka wskazującego; gdyby zaimek wskazujący był tu na swoim miejscu, tobyśmy go bez nadwężenia myśli mogli zastąpić przez inny zaimek wskazujący, a mianowicie *ten*. Tymczasem zdanie: gdy *ci* *trzej królowie* przyszli budziłoby podejrzenie, że grzeszy germanizmem, bo zaimek *ci* tylko możnaby wziąć za zastępujący miejsce niemieckiego artykułu, a germanizmów takich w tym pomniku niedopatrzyłem. Czuł

¹⁾ Lindego Słownik I, str. 516 i III str. 499.

²⁾ Kalina, Historia języka polskiego, str. 285.

³⁾ Książeczka na której się modliła ś. Jadwiga Poznań 1823, 1875

krakowski wydawca, ¹⁾ że słówko *się* jest tu nie na swém miejscu, dlatego je przy przepisywaniu nowszą pisownią opuścił, kładąc na jego miejsce kropki. Gdyby tu rzeczywiście stał zaimek, nie wskazywałby też na określenie w czasie, cośmy widzieli w przytoczonych przykładach. W końcu i forma biernikowa *się* zamiast mianownikowej *si* niezupełnie przypada do naszego przekonania, chociaż prof. Kalina na wskazaném miejscu podaje podobne nieprawidłowe końcówki innych zaimków. Tak w starosłowiańskim ²⁾ jak w staroczeskim języku ³⁾ zaimek ten ma w mianowniku liczby mnogiej rodzaju męskiego tylko formę *si*. Dla tych powodów nie mogę uznać przykładu przytoczonego za niewątpliwy. Być może, że pisarz zamierzał napisać: *gdy są trzej królowie przyszliz dary* tak, jak na str. 43 tegoż pomnika czytamy: *przyszli są patryarchowie, lecz pomylił się, i zamiast sza (są) położył ustawicznie powtarzające się szye (się)* ⁴⁾.

To i cała zdobycz dla sprawy zaimkowej z wycieczki na mównice językowe dawnych czasów. Ogłoszone przez innych pomniki dostarczyły kilku przykładów, a kilka sam zebrałem z rękopisów. Przykłady przeze mnie zebrane są, przyznaję, nieliczne, ale też tylko część ksiąg sądowych średniowiecznych miałem sposobność przejrzeć. Kto ich więcćj przeczyta, może się lepiej obłowi i dorzuci nie jedną do znanych już form językowych, czego w interesie nauki życzyć wypada. Wyszukanie takich drobiazgów, jak *na si, na sie*, wśród łacińskiego, niekoniecznie czytelnego pisma XV wieku nie jest rzeczą zbyt łatwą, lecz zdobycz sownie opłaca podjętą pracę, mianowicie jeśli będziemy mieli na względzie umiastwo innych napotykaných szczegółów do mało dotąd znanéj historii stosunków wewnętrznych kraju.

Zachodzi teraz pytanie, czy na mocy kilku przykładów użycia można się odważyć na zestawienie całej odmiany tego zaimka. Mojem zdaniem brak przykładów na całą liczbę podwójną i niedostatek przykładów na niektóre przypadki liczb innych nie przeszkadza zestawieć całą odmianę, bo w odtworzeniu brakujących przypadków służyć nam może za wskazówkę odmiana bardzo zbliżonego zaimka *ji, ja, je*, niezatraconego do tego stopnia, jak zaimek *si*, oraz zaimek *si* w języku staroczeskim do naszego wielce zbliżonym, którego od-

¹⁾ Książeczka do nabożeństwa św. Jadwigi. Kraków 1849 str. 37.

²⁾ Schloicher, Formenlehre der Kirchenslavischen Sprache str. 64.

³⁾ Květ, Staroceska mluvnice 1864 str. 60.

⁴⁾ Miejsce to książeczki przywodzi na pamięć podobne wyrażenie z Kazali gnie znieńskich (Zabytek dawnej mowy polskiej str. 4) „A przetoć ty to trzej królowie, cości są na wschód słońca swe królestwa mieli, opuścili je są.“ Jednakże tutaj zaimek wskazujący jest użyty bardzo właściwie, bo w następném zdaniu odpowiada mu względne wyrażenie *cości*, a w książeczce Nawojki nie następuje zaimek względ *ty*, któryby mógł uzasadnić użycie zaimka wskazującego.

mianę podał prof. Kwiet na wskazanem miejscu. Powołanie się na język czeski, mam nadzieję, nie obudzi podejrzenia, że cały zaimek *si* w staropolskim języku jest naleciałością czeską. Wykazane wyżej ślady zaimka tego w słoworodzie nawet dziesiętowanego języka bronią nas od takiego podejrzenia, bo wyrazy zapożyczone z kądinąd bywają nieplodne i nie pozostawiają odrostków w słoworodzie. W ogóle przy dopatrywaniu wpływów czeskich w odległych czasach trzeba zachowywać wielką oględność i mieć zawsze w żywej pamięci, że im dawniejsze czasy, tym większe podobieństwo między słowiańskimi językami, a podobieństwa tego nie można przypisywać wpływowi jednego języka na drugi, lecz odnieść je należy do wspólnego wszystkim źródła.

Odmiana wskazującego zaimka *si* w staropolskim języku tak nam się przedstawia:

Liczba pojedyncza.

M.	<i>si</i> ,	<i>sia</i>	<i>sic</i>
D.	<i>siego</i>	<i>siej</i>	<i>siego</i>
C.	<i>siemu</i>	<i>siej</i>	<i>siemu</i>
B.	<i>si, siego</i>	<i>sią</i>	<i>sie</i>
N.	<i>sim</i>	<i>sią</i>	<i>sim</i>
M.	<i>siem</i>	<i>siej</i>	<i>siem</i>

Liczba Mnoga.

M.	<i>si</i>	<i>sie</i>	<i>sia</i>
D.	<i>sich</i>	<i>sich</i>	<i>sich</i>
C.	<i>sim</i>	<i>sim</i>	<i>sim</i>
B.	<i>sie, sich</i>	<i>sie</i>	<i>sia</i>
N.	<i>simi</i>	<i>simi</i>	<i>simi</i>
M.	<i>sich</i>	<i>sich</i>	<i>sich</i>

Uwagi.

Mianownik I. p. Niech nie będzie z urazą prof. Brücknera, że odrzuciłem formę *sien* postawioną przez niego w słowniczku do Zbioru rot przysięg senatora Hubego (str. 143). Prof. Brückner poszedł zapewne za wskazówką staroczeskiego języka, i położył formę powstałą przez zapatrzenie się na *jen*.¹⁾ Ja zaś uważam formę *si* w mianowniku, zgodną z mianownikiem zaimka *ji*, w zmocnionem *jize*, za uzasadnioną przez wykryty biernik w wyrażeniu *na si święty Jan*. Forma *si* jest tak samo, jak forma *ty* oraz *ji*, pierwotna, a for-

¹⁾ Archiv für slavische Philologie tom V str. 144.

ma *sien*, jeśli kiedy będzie wykryta, byłaby późniejsza tak, jak późniejsze są formy *ten* i *jen*.¹⁾)

Dopełniacz *siego* (siego roku) dostarcza równocześnie dopełniacza na rodzaj nijaki.

Biernik *si* poznaliśmy w wyrażeniu *na si święty Jan*. Biernik i mianownik r. n. *sio* używany wedle zapewnień prof. Łopacińskiego przez lud okolic Lublina w wyrażeniach *i to i sio, ni to ni sio*, jest nieprawidłowy i powstał pod wpływem poprzedzającego zaimka *to*.

Narzędnik *sim* w rodzaju męskim i nijakim, miejscownik *siem* w rodzaju męskim i nijakim, zatrzymałem, bo w czasach, w których używano zaimka *si*, nie zaniechano jeszcze odróżniania siódmego przypadku od szóstego, a różnicy między rodzajami w tych przypadkach nie znano, jak jej w rzeczy samej nie powinno być.

Mianownik L. M. w rodzaju męskim położyłem tylko *si*, bo *sie* z książeczki Nawoyki uważam za przepadłe nieodwołalnie.

Dopełniacz L. M. na rodzaj żeński wykryty w wyrażeniu *do sich zielonych świętek*, i w rodzaju nijakim w wyrażeniu *do sich miast* zapewnia formę tę i dla rodzaju męskiego.

A teraz wracamy do upośledzonej przez nas Dosi i do niepożyczonych jej wielbicieli. Wykazawszy, że w staropolskim języku był w użyciu zaimek *si*, którego dopełniacz *siego* wchodzi w skład wyrażenia *do siego roku*, nie widzimy sposobu, jakby ocalić legendę o Dosi i Dodku, a przynajmniej jakby ją spożytkować na rzecz naszego języka.

Lecz nie wesoła to rzecz zrywać choćby jedną gałązkę z bujnego i wonnego krzewu podań narodowych, i strącać choćby jeden listek z wieńca zasługi mężów, którzy podania te utrwalili i rozpowszeczniłi.

Dla tego miłując pokój i chcąc żyć w zgodzie z każdym człowiekiem dobrej woli, pozostawiamy legendę samą o Dosi tkliwej pamięci żyjących jeszcze Dodków i pozwalamy im rozczulać się nią do woli, a prosimy ich tylko o to jedno, żeby legendami nie gmatwali badań językowych, pozostawiając je ludziom drażliwszym na wymagania nauki, niż na wdzięki stuletnich Dosiek.

¹⁾ Jen (który) napełnia dobrociami żądzą twoją. Modlitwy Wacława wyd. Prof. Malinowskiego Kraków 1887 str. 7.

METAFIZYKA WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

Wincentego Lutosławskiego.

I *).

(Hermann Lotze: Nauka o świecie i duszy).

Po przedstawieniu ogólnej ontologii, czyli nauki o istnieniu, pozostaje nam jeszcze kosmologia i psychologia, to jest nauka o świecie i duszy do streszczenia, aby uzupełnić obraz metafizyki Lotze'go. To co istnieje, może być podzielonem na świat zewnętrzny i wewnętrzny: do pierwszego należą wszelkie przedmioty poznawane za pomocą zmysłów, do ostatniego stany ludzkiej świadomości, które poznajemy bezpośrednio. Dla tego Lotze, idąc w tém za dawną filozoficzną tradycją, wprowadził do swój metafizyki kosmologią i psychologią, jako działy szczegółowe, oprócz ontologii, jako ogólnej teorii istnienia. Taki podział metafizyki obecnie przez wielu metafizyków i przez większość psychologów bywa odrzucanym, a nawet i Lotze dopiero w ostatnich latach życia swego uznał go za właściwy. W jego metafizyce z 1841 roku po ontologii i kosmologii następował dział „O stosunku rzeczywistości do poznania.“ Także i w prelekcjach swych z 1871 roku Lotze podaje jako trzecią część metafizyki „fenomenologią“, w której zastanawia się na temi samymi pytaniami, co i w trzeciej części swój metafizyki z 1841 roku. Dopiero gdy treść tej fenomenologii została włączoną pod tytułem „Metodologii“ do Logiki, którą Lotze wydał w 1874 roku, okazała się potrzeba innego podziału metafizyki, i wtedy Lotze przyjął podział na ontologią, kosmologią i psychologią, którego początku szukać należy w filozofii greckiej, a który w XVIII stuleciu wielkie swe rozpowszechnienie zawdzięcza szkole Leibnica i Wolffa.

W kosmologii Lotze zastanawia się nad przestrzenią, czasem, ruchem, materją i siłami przyrody. Są to pojęcia wciąż używane w naukach przyrodniczych, a jednak przez przyrodników nie wyjaśnione; zadaniem metafizyka jest poddać je krytyce i rozstrzygnąć, o ile one odpowiadają rzeczywistości.

Zacznijmy od przestrzeni. Czy przestrzeń istnieje rzeczywistość, czy też jest ona tylko złudzeniem, to jest pierwsze i najważniej-

*) Ciąg dalszy. Zob. zesz. na m. marzec r. b.

sze pytanie, a jednak tym co do podobnych badań nie przywykli, wyda się ono zupełnie zbytecznym. Każdy wszystkie swoje ruchy wykonywa z niezachwianą wiarą w to, że one mają miejsce w przestrzeni. Dla tego pogląd Kanta na „idealność“ przestrzeni, zaprzeczenie jej rzeczywistego istnienia, zawsze napotyka na wielki opór w rzędach tych, którzy naiwnie wierzą w rzeczywistość przedmiotów przez zmysły przedstawianych. Jednak właśnie z wrażeń zmysłowych czerpiące swój materiał nauki przyrodnicze, nauczyły nas wielkiej ostrożności w tłumaczeniu tych wrażeń. Za pomocą doświadczeń przekonaliśmy się, że dźwięki, barwy, woń kwiatów, blask słońca, wszystko to, co podziwiamy jako cuda przyrody, istnieje tylko w naszej wyobraźni: sami przyrodniczy tłumaczą wszystkie te zjawiska ruchem niewidzialnych, bezdźwięcznych, bezwonnnych, niezmiennych atomów lub cząsteczek eteru. Do tego ujednostajnienia zjawisk doszły nauki przyrodnicze za pomocą swoich metod, i wielce ułatwiły dalszy postęp w rozwoju pojęć. Skoro odkryliśmy już tyle złudzeń, i przekonaliśmy się, że tyle przedmiotów, którym istnienie od nas niezależne przypisywaliśmy, są tylko obrazami zależnymi od organizacyi naszych zmysłów, łatwiej nam za Kantem postąpić krok jeszcze dalej, i przyznać, że samo tło tych obrazów, przestrzeń, także tylko w nas istnieje, będąc wytworem już nie pojedynczych zmysłów zewnętrznych, ale całej organizacyi naszego umysłu, która nas zmusza do rozmieszczania w idealnej, przez nas samych stworzonej przestrzeni, wszystkich wrażeń otrzymywanych za pośrednictwem zmysłów. Kant doszedł do tego wniosku głównie opierając się na sprzecznościach, wynikających przy zastosowaniu pojęcia przestrzeni do całości świata. Lotze, za pomocą szeregu psychologicznych rozumowań, na których powtórzenie szczegółowe zbrakłoby nam tutaj miejsca, potwierdza wniosek Kanta, ale ostrzega przed różnymi fałszywymi pojęciami, rozpowszechnionymi jednocześnie z teorią „idealności“ przestrzeni. Jednym z takich fałszywych dodatków jest mniemanie, jakoby stosunki między przedmiotami świata zewnętrznego, pojmowane przez nas, jako odległości, rozmiary, różnice położenia, zupełnie n i c z e m u nie odpowiadały w rzeczywistości istniejącym świecie. Czem te stosunki przestrzeni są w rzeczywistości, po za naszą wyobraźnią, tego wiedzieć nie możemy, ale nie mamy prawa przypuszczać, że nasze wyobrażenie świata w przestrzeni jest od jego rzeczywistego stanu niezależnym. Każdemu pojęciu odległości, rozmiaru, położenia odpowiada niezawodnie pewien zupełnie oznaczony stan wewnętrzny rzeczy wywołujących zjawiska i odwrotnie, każdy stan wewnętrzny tych rzeczy niezmiennie i w stale oznaczony sposób odbija się na naszych wrazeniach zmysłowych, i naszym wyobrażeniu przestrzeni. Bez tego, nie podobnaby pojąć prawidłowości, którą wciąż odkrywamy w szeregach naszych zmysłowych wyobrażeń.

Jeśli widzę kamień spadający z wysokości, to sam kształt ka-

mienia, szybkość jego, i skutki jakie wywiera swém uderzeniem, znam tylko z wyobrażenia, które te zajścia wywołują we mnie; w tém wyobrażeniu kamień ma pewien ruch w przestrzeni. Tego ruchu w przestrzeni rzeczywisty przedmiot robiący na mnie wrażenie kamienia po za mną nie posiada jako ruchu w przestrzeni ale jednak coś w nim zachodzić musi, co staje się powodem mego wyobrażenia, i nie mogę tego wyobrażenia poczytywać za zupełne złudzenie. To nieznanne coś co zachodzi w kamieniu zawsze musi być identyczném, wtedy gdy wrażenie jest identyczném, i nie jest czémś od czego wrażenie byłoby niezależném; inaczej nie możliwém byłoby obliczenie szybkości kamienia, i przepowiedzenie dokładne, według praw mechaniki, chwili w której kamień uderzy o pierwszą przeszkodę napotkaną w drodze. Droga, którą przebiega kamień, istnieje wprawdzie tylko w umyśle człowieka, który nań patrzy, ale wyobrażenie téj drogi, kształtu kamienia, odpowiada pewnym rzeczywistym stanom części świata zewnętrznego, lub nawet jego całości.

Przestrzeń nie tylko nie jest ani rzeczą istniejącą, ani żadnym przymiotem rzeczy, ale téż nie może się nazywać formą czyli kształtem rzeczy, gdyż przestrzeń żadnego kształtu nie ma i niczém nie jest ograniczona. Każdy kształt powstaje dopiero wskutek wyobrażenia przedmiotów rzeczywistych w przestrzeni. Przestrzeń jest wyobrażeniem powstającym w świadomych umysłach w celu uporządkowania przedmiotów doświadczenia zmysłowego niezależnie od ich treści. Nieskończoność przestrzeni nie jest wzięta ze świata zewnętrznego, tylko wynika z téj samej właściwości naszego umysłu, która nam każe porządkować przedmioty wrażeń w idealnej przestrzeni. Lotze dowodzi dalej, że pojęcie stosunku w ogóle, jest również subiektywném jak i wyobrażenie przestrzeni. Nie trzeba więc sądzić, że w rzeczywistości zachodzą jakieś tajemnicze stosunki między rzeczami, które my dopiero przemieniamy na wyobrażenie przestrzeni. Stosunki wszelkie istnieją jedynie w umyśle, który bada stan rzeczy po za nim istniejących: w rzeczywistości to, co my pojmujemy jako stosunki między rzeczami lub jako prawa rządzące rzeczami, są to tylko różne zmienne stany wewnętrzne w samych rzeczach. Każde prawo, każdy stosunek jest tylko wyrażeniem subiektywném tego, co w samych rzeczach, a nie między nimi zachodzi. Jeśli kula armatnia niszczy część jakiego muru, to wolno nam obliczać według przyjętych norm siłę kuli i rozmiar szkody uczynionéj—ale tylko trzeba pamiętać o tém, że ta szkoda, również jak i ta siła, a nawet linia po której biegła kula, to są wyobrażenia nasze subiektywne, pożyteczne jedynie dla porozumienia się między nami, lub dla wyrażenia wrażenia jakie otrzymaliśmy. W rzeczywistości zaś żadna siła nie przeszła od kuli na rozwalony mur, tylko jednocześnie zachodziły pewne zmiany wewnętrzne w tém co na nas

robi wrażenie kuli i muru. Te zmiany wewnętrzne my jako ludzie z pewną organizacją zmysłów i umysłu wyobrażamy sobie jako ruch kuli i działanie siły w przestrzeni. Tak samo obliczamy ten ruch według tak zwanych praw mechaniki, ale trzeba pamiętać zawsze o t \acute{e} m, że te prawa po za naszym umysłem wcale nie istnieją, i istnieć mogą jedynie dla umysłów do naszego podobnych. Umysły mniej rozwinięte w szeregu przypadków wyrażonych jedn \acute{e} m prawem widzieć będą nieprzewidziane i nieregularne przypadkowe zmiany. Umysły zaś więcj \acute{e} s rozwinięte mogą dostrzedz w tych przypadkach takie różnice, że może nie będą uważać ich za przykłady jednego i tego samego prawa; w rzeczywistości zaś zachodzą tylko konkretne fakta, z których jako z faktów żadnego uogólnienia ani żadnego prawa wyciągać nie możemy, bo znamy tylko ich obraz w naszej świadomości; wszelkie prawa, wszelkie tłumaczenia faktów oparte na tych wyobrażeniach muszą być tak jak one subiektywnemi, jakkolwiek odpowiadają pewnym obiektywnym faktom.

Jeśli byśmy przyjęli istnienie przestrzeni obiektywnej, pomimo tego, że nie możemy jej uważać za przedmiot równie \acute{z} realny jak rzeczy istniejące w przestrzeni, to taka przestrzeń nie mogłaby na nas wprost robić wrażenia przestrzeni, i wszelkie wrażenie zmysłowe otrzymywalibyśmy nie od samej przestrzeni ale od przedmiotów w niej umieszczonych. Musielibyśmy przeto znowu dopiero z tych wrażeń odbudowywać wyobrażenie przestrzeni, zupełnie tak samo, jakby ona po za nami nie istniała. Oprócz tego, w razie jeśli przestrzeń istnieje od nas niezależnie, musiałaby ona posiadać własność szczególną, którą łatwo pojmujemy w wyobrażeniu przestrzeni subiektywnem, ale która byłaby niezrozumiałą w przestrzeni obiektywnej, mianowicie zdolność powstawania z niczego tam gdzie zostanie usunięta. Jeśli spróbujemy usunąć w wyobraźni jakąkolwiek część przestrzeni, zawsze miejsce tej próżni pozostaje tą samą przestrzenią, i wyobraźnia odmawia nam obrazu przestrzeni pozbawionej jakiegokolwiek sw \acute{e} j części, podczas gdy łatwo możemy wyobrazić sobie nieistnienie jakichkolwiek części innych przedmiotów. Także i pod wieloma innymi względami nie możemy porównać przestrzeni z pojęciami ogólnymi rzeczy istniejących. Przestrzeń nie jest jednym z gatunków jakiegoś ogólniejszego pojęcia, ale też nie zawiera w sobie żadnych podrzędnych gatunków, na któreby się rozpadała. Dlatego Lotze odrzuca jako bezpłodne wszelkie usiłowania niektórych współczesnych uczonych, aby wytworzyć inne pojęcie przestrzeni, niż to które wszyscy znamy: żadna przestrzeń cztero-wymiarowa, sferyczna ani pseudosferyczna nie jest przestrzenią, bo nie jesteśmy w stanie przedstawić sobie jej tak, jak sobie zupełnie jasno przedstawiamy zwykłą przestrzeń.

Lotze poddaje równie \acute{z} ostręj krytyce wszelkie próby wytłoma-

czenia, dla czego i z kąd powstaje wyobrażenie przestrzeni takie, jak je posiadamy, lub dla czego przestrzeń ma trzy wymiary. Wszystkie te rozumowania opierają się na gotowem już wyobrażeniu, przestrzeni i w niczem nie rozwijają naszej wiedzy. Również sceptycznie odnosi się Lotze i do uśiłowañ tak zwanęj „dedukcyi“ czasu to jest wytłomaczenia jak powstaje pojęcie czasu. Takie tłomaczenia zawsze mają tą wadę, że wychodzą z rozwiniętego już pojęcia czasu, i od tego pojęcia nie jesteśmy wolni nawet wtedy, gdy zastanawiamy się nad jego początkiem.

W rozbiórce swym pojęcia czasu, Lotze kładzie główny nacisk na to, że Kant niesłusznie poczytywał czas za podobną „formę“ zmysłowych wyobrażeń, jak przestrzeń. Lotze widzi między czasem a przestrzenią zupełną różnicę, nie pozwalającą na to, aby jedno przedstawiając przestrzeń, czas nie jest nam bezpośrednio danym, i drugie zaliczać do tegoż samego gatunku. „Anschauungsformen“ (form wyobrażeń). Podczas kiedy zmysły zupełnie jasno nam i powstaje w nas dopiero przez porównanie wrażeń. Samo wyobrażenie przestrzeni nie ma rozmiarów i nie jest w przestrzeni—tymczasem wyobrażenie czasu zawsze ma miejsce w czasie i wymaga czasu. Dla tego czas nie może być wytworzonym przez naszą wyobraźnię w sposób podobny jak przestrzeń. Szereg naszych wyobrażeń jest szeregiem zmian rzeczywistych w naszej świadomości, i te zmiany następują po sobie w ten sposób, że nie możemy zniszczyć w naszej myśli porządku ich następstwa; ten porządek, który im wciąż towarzyszy, nie może być dopiero ich skutkiem i wytworem. Zkądinąd przeszłość i przyszłość są względne, i istnieć tylko mogą w porównaniu z pewną terażniejszością, którą jakaś świadomość ludzka przeżywa. Tylko ta terażniejszość jest dla tej świadomości rzeczywistą — przeszłość i przyszłość istnieją jedynie o tyle, o ile pewien ich obraz towarzyszy terażniejszości. Obraz ten przeszłości jest jaśniejszym i zupełniejszym, przyszłości mniej wykończonym, ale w obu wypadkach obraz ten różni się zupełnie od bezpośredniego wrażenia istniejącej terażniejszości; a gdy spróbujemy wyobrazić sobie czas zupełnie obiektywnie, niezależnie od naszego ja, które w nim wyróżnia pewną terażniejszość, wtedy różne jego części niczem się nie różnią między sobą, i otrzymujemy pojęcie czegoś, co żadnej rzeczywistości nie ma, ani też nawet formą rzeczywistości być nie może. Taki czas abstrakcyjny, wolny od wypełniających go zdarzeń, wcale nie trwa i nie płynie, tylko jest w swęj nieskończoności zamkniętym jako całość jednakowych części, które możemy sobie przedstawić wszystkie jednocześnie, gdyż żadna z nich niczem się od innych nie różni. Takie pojęcie czasu, uważa Lotze za jaknajzupełniej subiektywno; ale też jest ono dla nas obojętnem, gdyż my ten czas, który rzeczywistość przeżywamy, zawsze mierzymy jedynie ilością i rozmaitością zdarzeń, które w nim następują. To następstwo zdarzeń jest również rzeczywistem

jak i następstwo po sobie wyobrażeń w naszej świadomości. Dopiero gdy sztucznie treść naszych wrażeń od ich istnienia oddzielimy, sztucznie też tworzymy pojęcie nieskończonego czasu. Rzeczywiście nie zdarzenia i działania mają miejsce w czasie, i nie poprzedza ich ani też nie dzieli jednych od drugich czas, tylko odwrotnie: istnienie różności działań i zdarzeń, i kolej ich następstwa jest źródłem pojęcia czasu. Między przyczyną a skutkiem nie upływa czas żaden, a jednak przyczyna jest przed skutkiem, i zależnie od ilości przyczyn i skutków które dochodzą do naszej świadomości, wydaje się nam czas długim lub krótkim. Jeśli wyobrażymy sobie świadomość obejmującą wszystkie przyczyny i skutki, którą my poznajemy kolejno w czasie, to dla tej świadomości nie byłoby żadnego działania, tylko pewien obraz m o ż l i w y c h działań. Według ontologii Lotzego, tam gdzie nie ma działania, nie ma też istnienia, więc też całość wszystkich działań jednocześnie wyobrażona, wcaleby nie miała istnienia. Dlatego Lotze nie zgadza się na to, aby dla jakiegokolwiek, nawet najwięcej rozwiniętej świadomości, całość świata była gotowym, niezmiennym obrazem. Świat jako całość działań, wciąż się zmienia, jeśli w ogóle ma istnieć, a więc w każdej chwili istnieje tylko teraźniejszość — przeszłość zaś nic nie pozostawiła istniejącego, przyszłość pod żadnym względem jeszcze nie istnieje. Wszelkie nasze usiłowania aby zrozumieć przeszłość, przepowiedzieć przyszłość tylko wzbogacają i urozmaicają teraźniejszość. Historia ludzkości, którą posiadamy, stanowi tylko pewien dział naszych teraźniejszych wyobrażeń, ale nie może w s k r z e s i ć minionej przeszłości. Tylko w takim razie możnaby uważać przeszłość lub przyszłość za i s t n i e j ą c ą, gdybyśmy mieli szczególnie dar bezpośredniego spostrzegania tego, co minęło lub co będzie — ale ponieważ takiego daru nie mamy, więc musimy też uznać czas za wytwór naszej myśli, tak samo jak tak zwane prawa natury. Ani prawa natury, ani czas nie ma żadnego wpływu na działania rzeczywistości. Dopiero gdy myśl nasza te działania ocenia, znajduje wyraz ogólnych praw wynikających z właściwości samych działań, i tworzy pojęcie nieskończonego czasu, obejmujące następstwo zachodzących w świecie zmian.

W związku ze swemi rozumowaniami o czasie i przestrzeni, zastanawia się Lotze też nad pojęciem r u c h u. Skoro przestrzeń istnieje tylko w naszej wyobraźni, to naturalnie i ruch tak jak go nam zmysły przedstawiają, jest s u b j e k t y w n ę w y o b r a ż e n i e m, za pomocą którego zdajemy sobie sprawę z rzeczywistych zmian zachodzących w r z e c z a c h i s t n i e j ą c y c h. O tych zmianach wprowadzić nic nie wiemy, ale możemy je pojąć na wzór ciągłych zmian zachodzących w naszej własnej świadomości. Muszą

one zupełnie tak jak ruch; który sobie wyobrażamy, następować stopniowo, bez przerwy, i posiadać taką samą właściwość i n e r c y i jaką upatrujemy w ciałach przedstawionych w idealnej przestrzeni. Bez działania zewnętrznego, żadna zmiana się nie rozpoczyna, a raz rozpoczęta rozwija się w swych dalszych konsekwencyach aż jakieś działanie je przerwie. Taki stan wewnętrzny rzeczy, przetłómaczony na język naszych zmysłowych wyobrażeń daje nam prawo przyrody, według którego każdy ruch ma swoją przyczynę w innym ruchu, a ciało, na które nic nie działa, bezustannie zachowuje swój ruch lub swoją nieruchomość. Przy takim pojmowaniu rzeczy, będziemy mogli zachować całą charakterystykę ruchu, daną nam przez tak zwane prawa mechaniki, jeśli tylko zawsze będziemy pamiętać o t e m, że to, co nam się wydaje ruchem w p r z e s t r z e n i, jest tylko pewnym rodzajem zmian zachodzących w r z e c z a c h, i zmieniających ich stosunek do innych rzeczy. Niezupełnie zrozumiałem wydaje się na pierwsze wejrzenie, dla czego szereg zmian wewnętrznych odpowiadających różnym położeniom rzeczy w przestrzeni, ma bez przerwy się rozwijać, aż go jaka zewnętrzna przyczyna przerwie. Nawet przy zwykłym zapatrywaniu na przestrzeń jako obiektywnie istniejącą, to prawo mechaniki tym, którzy po raz pierwszy o nié m s ły s z ą, wydaje się dziwné i nie zgodné z codzienné m n a s z é m d o ś w i a d c z e n i e m. Zmysłami nigdy nie możemy się przekonać, aby przez nas nadany ruch jakiemu przedmiotowi miał trwać nieskończenie. Gdy rzucimy kamień w górę, upada on na ziemię, i na pozór ruch nadany mu zginął bez skutku. Dopiero po wielu postępach nauk przyrodniczych, jesteśmy w stanie powiedzieć, w jakiej formie ten ruch, jakkolwiek dla nas niewidzialny, trwa jeszcze dalej. Idealnego przykładu ruchu bez żadnych przeszkód, zupełnie równomiernego, nie znamy w naszym codzienné m d o ś w i a d c z e n i u, ani też w całym zakresie naukowych spostrzeżeń. Nawet ciała niebieskie, którym w starożytności Arystoteles przypisywał ruch najdoskonalszy i zupełnie równomierny, muszą spotykać na drodze swój opór, i opóźniają się trochę, jakkolwiek nie wiele. Pomimo dokładności obliczeń ruchów księżyca, dokładności tak wielkiej, że na setki lat można przepowiedzieć prawdopodobnie jego położenie, żaden astronom nie jest w stanie tak dokładnie określić miejsce w którém księżyc będzie jutro, aby obserwacya zupełnie potwierdziła obliczenie. Pomimo tego jednak w mechanice powszechnie uważa się za pewnik prawo bezwładności, i wszystkie obliczenia są oparte na przypuszczeniu, że każdy ruch raz rozpoczęty trwa bez zmiany i przerwy, dopóki jaki inny ruch go nie zmieni. Lotze usiłuje wytlómaczyć to prawo, zwracając uwagę na to, że gdyby ruch rozpoczęty nie trwał ciągle, i kiedykolwiek mógł bez zewnętrznych przyczyn się zatrzymać, to mógłby zatrzymać się i p o n i e s k o ń c z e n i e m a ł y m c z a s i e; nawet nieskończenie mała przestrzeń przebieżona już świadczyłaby o prawie bezwładności. Wskutek te-

go, bez tego prawa, żadnego, nawet najmniejszego ruchu pojąćbyśmy nie mogli, i dla tego jest ono nieodłącznym od samego wyobrażenia ruchu. Każda nieskończona mała zmiana jakiegokolwiek rzeczy A , wydająca się nam jako ruch tej rzeczy, poddaje ją nowym wpływom innych rzeczy, wywołującymi dalsze zmiany A . Te dalsze zmiany, wydające nam się jako jej dalszy ruch, prowadzą znowu do nowych stosunków A z resztą świata a z nowych tych stosunków znowu wypływają dalsze zmiany wewnętrzne A czyli wyobrażenie dalszego ruchu bez końca. W ten sposób, wystarcza przyjęcie twierdzenia oczywistego, że całość świata inaczej wpływa na A_2 niż na A_1 , z którego powstało A_2 ; aby przyznać cały nieskończony szereg zmian A_2, A_3, A_4, \dots które my sobie wyobrażamy jako różne położenia A w przestrzeni, a których sumę uważamy za nieskończony ruch jednej rzeczy A .

Przytém pominał Lotze największą trudność, mianowicie: czém się te zmiany A_1, A_2, A_3 , od innych możliwych zmian A różnią, i jaka właściwość tych wszystkich zmian odpowiada temu, co my sobie wyobrażamy jako jednostajność ruchu. Najłatwiejszą odpowiedź na te pytania możnaby dać, zaprzeczając w ogóle istnienia innych zmian w rzeczach niż te które nam się wydają jako ruch. Do takiego poglądu skłania się większość przyrodników, którzy wszystkie napozór jak ościowe zmiany starają się wytłómaczyć rozmaitym ilością ruchu. Lotze uznaje takie dążenia w zakresie przyrodoznawstwa za słuszne, ale ostrzega przed niewłaściwymi uogólnieniami w obec tego, że nasze doświadczenie tyczy się tylko bardzo małej części wszechświata. Zastanawiając się nad względnością wszelkiego ruchu, a szczególnie nieskończonego ruchu w linii prostej jednej z tej samej rzeczy w nieskończonej przestrzeni i ruchu wirowego kuli z powierzchnią zupełnie jednostajną, której środek stałe zajmuje miejsce, Lotze dochodzi do wniosku, że nawet uważając przestrzeń za istniejącą, trudno jest pojąć na czém takie ruchy zależą; w przestrzeni nieskończonej przedmiot ruszający się po linii prostej, właściwie wcale swego położenia nie zmienia, gdyż zawsze droga już przebieżona, i pozostająca jeszcze do przebieżenia, jest nieskończoną. Różnica położenia takiego przedmiotu zachodzi dopiero w stosunkach obserwatora zajmującego miejsce stałe. A nawet taki obserwator nie będzie w stanie spostrzedz ani też niczem określić ruchu kuli pozostającej wciąż w jednym i tym samym miejscu, kręcącej się naokoło jakiegokolwiek osi, jeśli powierzchnia kuli jest zupełnie gładką i jednostajną, tak że każda część nawet najmniejsza tej powierzchni zupełnie tak samo wygląda, jak każda inna jej część. Ruch takiej kuli, niespostrzegalny dla nikogo, już nie będzie ruchem w przestrzeni, skoro przestrzeń istnieje tylko w wyobraźni ludzkiej, tylko stanem wewnętrznym przedmiotu, który wyobrażamy sobie w podobnym ruchu. Aby go pojąć, musielibyśmy znaleźć w naszej świadomości, przykłady podobnego stanu, ciągle trwających zmian niczém na

zewnątrz się nie objawiających—ale tego Lotze zaniechał, bo gdyby stan podobny w świadomości znalazł, nie mógłby już twierdzić, że wszelkie istnienie jest działaniem.

Daléj zastanawia się Lotze nad metafizycznym znaczeniem praw mechaniki, według których określamy ruch wynikający z jednoczesnego działania dwóch różnych sił na jeden i ten sam przedmiot. Jak wiadomo, w mechanice powszechnie jest przyjętém mniemanie, że każde ciało pod wpływem dwóch różnych sił jednoczesnych zajmie to położenie, któreby zajęło, gdyby te dwie siły działały jedna po drugiej w ciągu równego czasu. To prawo mechaniki bezwątpienia stosuje się do wszystkich tych zmian, które nam się wydają jako r u c h y—ale czy ono się do wszystkich z m i a n w ogóle stosuje, tego Lotze nie rozstrzyga. I owszem, sądzi on, że l o g i c z n i e wcale nie jest niez b ę d n ę m, aby j e d n o c z e s n e działanie dwóch sił równało się ich n a s t ę p s t w i e po sobie. W zakresie działań w o l i ludzkiej np. wcale nie jest obojętném, czy dwie pobudki działają jednocześnie na naszą świadomość, czy jedna po drugiej: w obu wypadkach zupełnie różne mogą wypaść skutki.

Po rozbiórce pojęć przestrzeni, czasu i ruchu, zwraca się Lotze do analizy pojęcia m a t e r y i. Przypomina on nam oddawna panujące spory o tym przedmiocie. Jedni sądzili, że materya zupełnie wypełnia przestrzeń, nie pozostawiając żadnej p r ó ż n i, drudzy zaś probowali wytłómaczyć wszystkie zjawiska za pomocą ruchu oddzielnych a t o m ó w, między którymi pozostałaby p r ó ż n a p r z e s t r z e ń. Teorya atomistyczna, dziś w naukach przyrodniczych powszechnie przyjęta, jeszcze niedawno przez niektórych filozofów idealistów bardzo była lekceważoną. Lotze sądzi, że pojęcie atomów, jeśli pojedynczym atomom odnuówimy wszelkich rozmiarów i będziemy pamiętać o t ę m, że przestrzeń w której się ruszają jest idealn ę m tylko wyobrażeniem—odpowiada wymaganiom metafizyki. Te atomy stanowią system rzeczy prawdziwie istniejących, które swoim działaniem są w stanie wywołać złudzenia zmysłowe, doprowadzające ludzi do pierwotnego pojęcia materyi.

Niektórzy przyrodnicy ze zbyt wielką stanowczością przypuszczają, że między ostatecznymi pierwiastkami materyi nie ma j a k o ś c i o w y c h różnic, i że pozór takich różnic jest jedynie wynikiem różnych form ruchu i kombinacyi jakościowo identycznych cząsteczek. Lotze radzi ostrożność w takich twierdzeniach, i pozostawia kwestyą tę do rostrzygnięcia doświadczeniom przyszłości. Dopóki doświadczenie nas nie nauczy, że te pierwiastki, które dziś znamy jako różniące się między sobą, mogą przechodzić jedno w drugie, nie mamy powodu przypuszczać, że materya istnieje

w jednym tylko gatunku. Także i jednostajność działania rozmaitych mass materyalnych jeszcze nie dowodzi ich jednorodności. Takie przypuszczanie pierwotnej tożsamości wszystkich pierwiastków materyi, każe nam Lotze odróżnić od tego poglądu, którego on sam bronił w swój ontologii, uważając wszystkie rzeczy istniejące za połączone węzłem jednego M. Jedno M może mieć rozmaite sposoby i przejawy swych działań, które nam się wydadzą jako rozmaite gatunki materyi. Pytanie, czy istnieje tylko jedna materya czy też różne jej odmiany, metafizycznie da się wyrazić jako pytanie, czy M posiada różne formy działania zupełnie odrębne, czy też działanie M jest jednakowem we wszystkich jego przejawach.

Kwestya jednorodności materyi, która zajmuje chemików, w blizkim stoi związku z kwestyą jednolitości sił, stanowiącej jedno z zagadnień fizyki. Lotze z całą ostrożnością, która wszystkie jego badania cechuje, poddaje metafizycznej krytyce pojęcia fizyków o siłach, i dochodzi do wniosku, że wszystkie zjawiska, wydające nam się jako ruch w przestrzeni, dadzą się wytłómaczyć metafizycznie bez sił przyciągania i odpychania, używanych przez niektórych filozofów i przyrodników. Jeśli każda rzecz istniejąca tém się różni od innych rzeczy, że w niej zachodzi pewien ściśle określony szereg zmian, odpowiadający w naszym wyobrażeniu jej ruchom w przestrzeni, to wśród wszystkich swych zmiennych stanów, każda rzecz ma jeden stan najwięcej jej właściwy, który nam się wydaje jako pewne jej położenie w przestrzeni. Jeśli ten stan został usunięty przez wpływ zewnętrzny, to dana rzecz dąży do niego, i to na nas sprawia wrażenie ruchu do miejsca jej właściwego. Z tego nie wynika wcale aby rzecz będąca w ruchu miała się zatrzymać, gdy osiągnie to miejsce, które jest jej właściwem miejscem w całości świata, gdyż to miejsce jest względnem i zmiennem, i zależy od miejsc zajmowanych przez wszystkie inne rzeczy istniejące, czyli że stan wewnętrzny, do którego dąży każdy atom, zależy od stanów wewnętrznych wszystkich innych atomów świata. Przy takim rozumowaniu widzimy, że Lotze żadnej nie znajduje trudności w działaniu na odległość jednych rzeczy na drugie—jest to zupełnie naturalnem dla wszystkich filozofów, którzy świat rzeczywisty uważają za istniejący nie w przestrzeni. Przyciąganie i odpychanie są dla Lotzego łądzącemi pozorami jednej i tej samej siły, nadającej każdej rzeczy w wszechświecie jej właściwe miejsce, czyli stan wewnętrzny jej odpowiadający w harmonii całości świata. Tłómaczenie to w ścisłym stoi związku z całą teorią Lotzego jedności wszechrzeczy, i trzeba w tém znowu uznać wielką konsekwencyą jego metafizyki. Z równą konsekwencyą odważa się Lotze wystąpić przeciwko ogólnie rozpowszechnionemu przekonaniu o wieczności i niezniszczalności atomów. Skoro pojedyncze atomy są tylko wyrazem działalności jednego M, to nie ma powodu widzieć w nich istoty niezależne i odrębne, i liczba ich jest tylko liczbą zjawisk wy-

wołanych przez jedyną w świecie rzeczywistą istotę. Tę liczbę może M powiększyć lub zmniejszyć, a więc to co nazywamy atomami może powstawać z niczego i ginać bez śladu, gdy energia M zwróci się do innych działalności. Każdy atom może się rozpaść na wiele atomów, co Lotze nazywa „unendliche dynamische Theilbarkeit unräumlicher Atome“. Takie wyrażenia bezwątpienia mogą zachwiać zaufanie do samej podstawy metafizyki, którą nam dał Lotze: w każdym razie dał on nam wzór nieustraszonej konsekwencji w swych rozumowaniach, i wyraził wszystko to, co z jego teorii niesamodzielnosci pojedynczych rzeczy wypływa.

Na zakończenie swój kosmologii zastanawia się Lotze nad ogólnymi prawami przyrody. Jednym z takich praw jest zależność siły działania jednej rzeczy na drugą od ich odległości. Taką zależność ogólną każe nam Lotze ściśle odróżnić od szczególnego jej wyrażenia w prawie ciężenia powszechnego Newtona. To prawo jest oparte na doświadczeniach i tyczy się tylko tej części przyrody, którą byliśmy w stanie zbadać. Co się zaś tyczy ogólniejszego prawa zależności działania rzeczy od odległości, to właściwie chodzi tu o zależność działań rzeczy, od różnicy ich stanów wewnętrznych która nam się przedstawia jako odległość ich dzieląca. Ponieważ ta różnica jest skutkiem działania całego wszechświata, a cel tych działań nie jest nam wiadomy, więc też z góry nie możemy powziąć żadnego wyobrażenia o tém, w jakiej mierze siła działania rzeczy jednych na drugie jest zależną od ich odległości. Przytem zwraca uwagę Lotze, że nie tylko odległość, ale i rozmaitość ruchów danego ciała może zmienić siłę jego działania, zmieniając jego stan wewnętrzny: takie zmiany tylko za pomocą doświadczenia mogą być ujęte w pewne ogólne formuły, które ich charakter wyrażają, a których na podstawie ogólnych danych metafizyki niepodobna wyrachować. To samo się tyczy i innych ogólnych praw przyrody, których wynaleźć ani też potwierdzić metafizyka nie może, ale za to może i powinna zamknąć ich działalność we właściwych granicach. Do takich praw przez przyrodników uznanych należy niezmiennosc ilości masy i ruchu w wszechświecie. Lotze ostrzega nas przed zbyt lekkomyślnymi uogólnieniami, i sądzi, że mogą istnieć wyjątki od tych praw, do których w ostatnich czasach takie przywiązywano znaczenie. Takich wyjątków spodziewa się Lotze najwięcej tam, gdzie siła psychiczna jest źródłem działań fizycznych. Nie wiemy, mówi on, jak daleko sięga władza M — być może świat jako całość wzięty nie zawsze z tą samą energią żyje.

Wszystkie te zjawiska, które za pomocą ruchu mas mniejszych lub większych bywają tłómaczone przez przyrodników, są wynikiem summy działań nazywanych mechanicznymi w odróżnieniu od innych, uważanych za wyższe nad mechaniczną konieczność, która pierwszemi kieruje. To pojęcie mechanicznego działania przenosimy też na niektóre czynności ludzi, i zawsze oznacza ono działanie według praw stałych, mogące być przewidzianem i z góry obliczonym. Lotze bardzo stanowczo przemawia przeciwko temu, jakoby istnieć mogły działania jakiegokolwiek w świecie zupełnie mechaniczne, różniące się od innych. To co filozofowie i przyrodnicy wyróżniają w działaniach, które nazywają mechanicznymi, jest albo cechą wszystkich działań w wszechświecie, albo też złudzeniem, wywołanem przez dokładniejszą z naszej strony znajomość pewnych działań. Zawsze pojęcie mechanicznego działania jest tylko ułatwieniem dla naszego zrozumienia rzeczywistości — w samej zaś rzeczywistości takie działanie zupełnie mechaniczne nigdy nie może mieć miejsca, bo każde działanie zależy od szczególnego stanu każdej rzeczy, której się tyczy.

W obec tego, możemy zjawiska podzielić na różne klasy, stosownie do tego, czy w nich szczególnie właściwości działających rzeczy mniej lub więcej występują, ale tym klasom zjawisk nie będą odpowiadać żadne zasadnicze różnice samej istoty rzeczy. Dla tego, jakiegokolwiek w organicznej przyrodzie odrębność i szczególne właściwości każdej rzeczy więcej dla nas są widoczne niż w świecie nieorganicznym, nie mamy według Lotzego przypuszczać, że inne prawa są potrzebne dla wytłómaczenia zjawisk w żyjących organizmach niż w martwej przyrodzie.

Lotze w tém zapatrywaniu swoim różni się od ogólnie panujących zapatrywań wśród fizyologów. Jeden z pomiędzy nich, Gustaw Bunge, niedawno jeszcze w swém dziele o ogólnej fizyologii i w osobnej broszurze „Vitalismus und Mechanismus“ wymownie dowodził, że w organizmach żyjących, działają siły inne, prócz tych których objawy widzimy w całej przyrodzie. Lotze wymaga mechanicznego tłómaczenia życia organicznego, ale też żąda, aby fizyolodzy nie sądzili, że to mechaniczne tłómaczenie jest w stanie wyczerpać całe bogactwo prawdziwej rzeczywistości. Skoro ta rzeczywistość stanowi jedną całość i jedną istotę, żaden organizm ani ludzki ani zwierzęcy nie może być wykluczony z zależności od reszty świata, żaden nie stanowi odrębnej istoty. Jeśli więc w jakiegokolwiek chwili jakieś prawa mogą oznaczyć sposób działania M, to odnoszą się one i do żyjących organizmów — za to nie powinniśmy się ludzić co do znaczenia tych praw i nie przeceniać ich doniosłości, gdyż życie wszechświata nie tylko nowe masy i nowe siły może powołać do działalności, ale też może zmienić swe sposoby działania, a wtedy i prawa, za pomocą których my je tłómaczymy muszą ulegć zmianie. Lotze przez to bynajmniej nie chce zaprzeczać wielkiego znaczenia do-

tać przyjętych praw przyrody i zapatrywań, które nam pozwoliły poznać część świata dla nas przystępną — ale zawsze przypomina on o tém, że znamy zaledwie bardzo małą cząstkę wszechświata i o niej tylko sądzić nam wolno.

Dla tego też wyklucza Lotze z metafizyki pytanie o pochodzeniu gatunków, które w ostatnich dziesiątkach lat tak roznamiętniło walczące strony, że teorią czysto przyrodniczą i specjalną przez Darwina wymyśloną, zaczęto poczytywać za odrębny system filozoficzny! To, co Lotze o tym przedmiocie mówi, warto powtórzyć i potwierdzić, bo i u nas w Polsce nieraz słowo „Darwinizm“ bywa używane jak „idealizm“, „materyalizm“, „panteizm“, jakby oznaczało metafizyczny pogląd na świat — a ono tylko odpowiada jednej z pomiędzy licznych teorii nauk przyrodniczych. Z równem prawem można ochrzcić mianem „Mendelejewizmu“ zapatrywanie na zależność własności pierwiastków od ich wagi atomowej. Ani głośny Darwinizm, ani Mendelejewizm nie są systematami filozoficznymi. Jedna myśl tycząca się pewnego szeregu zjawisk nie wystarcza aby stworzyć system ogólny metafizyki. Można uznawać prace Darwina i Mendelejewa, należąc do najróżniejszych wyznań filozoficznych i religijnych. To też Lotze mówi o teorii Darwina: „człowiek, który spożywając zwykłe materiały przyrody utrzymuje swe życie, nie ma powodu do nadzwyczajnych pretensyi co do pochodzenia swego ciała, i powinien cenić się według tego, czém jest, a nie według tego, z czego powstał; wystarcza jeśli już nie czujemy się jako małpy, a jest obojętném, czy dalecy nasi przodkowie, o których nie pamiętamy, stali na tym niskim stopniu rozwoju życia; co innego byłoby, gdyby kto chciał twierdzić, że znowu się staniemy małpami, i że to nieszczęście wkrótce nastąpi. Filozofia z zupełną obojętnością może patrzeć na podobne usiłowania naukowe: wolno nam się cieszyć z tego, że niestrudzona pilność Darwina zebrała tak wielką ilość godnych uwagi spostrzeżeń przyrodniczych, a możemy jaknajzupełniej lekceważyć fałszywe i zarozumiałe teorye wysnute z tych spostrzeżeń.“ Lotze nie wdając się w szczegółowy rozbiór teorii Darwina, zaznacza jednak, że prawdopodobniejszém wydaje mu się pochodzenie obecnych gatunków od większej ilości pierwotnych jestestw organicznych, niż od jednego pierwotworu.

Również ostrożnie odnosi się Lotze do różnych teorii o końcu systemu planetarnego, do którego należy ziemia. Sądzi on, że przedwczesném jest rozstrzygnięcie takich pytań, i że wiedza nasza o przyrodzie nie wystarcza na to, aby cośkolwiek o początku i końcu ziemi lub słońca módz stanowczo orzec. Usiłowania rozwiązania tych zagadek bez wystarczającego po temu materiału, tłómaczy sobie Lotze fałszywą ambicję bujnej fantazyi, która chce ukryć brak zasadniczych przekonań. Z takimi fantazyjami filozofia nic nie ma do czynienia. Ludzie, którzy się niemi kierują, mówi Lotze, pragnęliby wypchać i ustawić w osobliwém muzeum piękne egzemplarze idei filo-

zoficznych, za pomocą których ludzkość w ciągu tysięcy lat próbowała zdać sobie sprawę z tego, co wiecznie trwa! Na takie uzmysłowione idee z przyjemnością patrzyłaby niedzielna publiczność filistrów i może nawet o nichby rozmyślała—za to abstrakcyjne rozumowania o istnieniu, jak te, które nam filozofowie przedstawiają w metafizyce, na prędkie są skazane zapomnienie!

Przejdźmy teraz do trzeciej i ostatniej części metafizyki Lotzego. do psychologii. Psychologia jako trzecia część metafizyki, nie jest psychologią szczegółową, tylko ogólną, i przedmiotem swoim, duszą ludzką, zajmuje się tylko o tyle, o ile potrzeba aby zrozumieć, jaki udział przyjmują psychiczne czynności w istnieniu wszechświata. Chodzi nie o to, jak rozmaite być mogą działania duszy, ani o wyszczególnienie wszystkich odmian tych działań — ale o zbadanie, czém są one, jaki rodzaj i istnienia im przypisujemy. Moglibyśmy nazwać tę część metafizyki inaczej, niż Lotze czyni, i w celu uniknięcia wszelkich nieporozumień, pozostawić nazwę psychologii dla szczegółowego zbadania jakości i następstwa faktów psychologicznych. Jeśli wolnoby użyć w tym celu nazwy „psychometafizyki”, powiedzielibyśmy, że psychologia stoi w tym samym stosunku do psychometafizyki, co nauki przyrodnicze do kosmologii. Tworzenie nowych nazw pod pozorem określenia nowych pojęć stało się w naszym wieku prawie zaraźliwą chorobą, a także i u nas w Polsce wiele pod tym względem grzeszono. Dążenie to bardzo często bywa dla nauki szkodliwem, bo autorowie nowych wyrażeń ludzą się, jakoby nowe wyrażenie było postępem w naukowem badaniu, lub mogło zastąpić odkrycie nowego jakiego stosunku między istniejącymi rzeczami. Dla tego lepiej nie odstępować od przyjętych wyrażeń, szczególnie, że sam Lotze na początku swój metafizycznej psychologii zaznacza, że cel jego nie różni się od celu jaki sobie stawiali filozofowie zeszłego stulecia, w swych dziełach o „psychologii rozumowej.“

Na wstępie Lotze wyraża swój brak zaufania do psychologii doświadczalnej, która za pomocą metod przyrodniczych dąży do zbadania warunków działania ducha. Tak jak przedmiot psychologii różni się od przedmiotu nauk przyrodniczych, tak samo różnić się muszą i metody badania: świetne rezultaty i postępy nauk przyrodniczych nie powinny w nas wzbudzać nadziei, że te same metody również prędko posuną naprzód naszą wiedzę w obrębie faktów psychicznych. Naprózno niektórzy radzą zupełnie zaniechać starań o zbadanie zbyt zawiłych metafizycznych zagadnień, tyczących się istnienia duszy, nie mogących być rozwiązanemi drogą rachunku i eksperymentów. Rozwiązanie ich jest dla nas również ważnem i niezbędnem jak i poznanie przyrody—dla tego metafizyka nie byłaby zupełną, gdyby je pominęła.

Życie duchowe w obrębie nam przystępnego doświadczenia zachodzi tylko w połączeniu z życiem ciała; dla tego już oddawna powstało mniemanie, jakoby dusza była tylko wynikiem fizycznej organizacji ciała. Ale mniemanie podobne istniało tylko w pewnych kołach uczonych i stoi w sprzeczności z powszechną świadomością ludzką. Powody które przeważną większość ludzi skłaniają do przekonania, że duchowe działania przypisać należy odrębnej istocie, a nie współdziałaniu wszystkich części cielesnego organizmu, ogranicza Lotze do trzech, z pomiędzy których tylko ostatni jest stanowczym. Pierwszym argumentem przemawiającym za odrębnością duszy i ciała, jest wolność woli, odróżniająca życie duchowe od mechanicznego działania materji. Lotze zwraca naszą uwagę na to, że przeważająca większość duchowych działań stoi w takiej samej mechanicznej wzajemnej zależności, jak i ruchy atomów, z drugiej znów strony te ruchy są nam zbyt mało znane, abyśmy mogli stanowczo odmówić im w pewnych wypadkach tej wolności, którą znamy z pewnych działań psychicznych. Ważniejszym, ale również nie stanowczym jest drugi argument, mianowicie *n i e z r ó w n a n a r ó ż n i c a* zachodząca między ruchami materji, a naszymi uczuciami, myślami, pragnieniami. Nigdy nie będziemy w stanie dowieść, że jakikolwiek ruch, nawet najwięcej zkomplikowany, musi stać się dźwiękiem, światłem lub słodyczą. Ta przemiana ruchów na wrażenia jest tylko możliwą, jeśli istnieje jakieś ja, na które ruchy działają. Jednak i ten argument zmusza nas tylko do przyznania dwóch różnych form rzeczywistości, a nie do przypisania tych dwóch sposobów działania dwom różnym substancjom. Za główny argument przemawiający za istnieniem duszy poczytuje Lotze *j e d n o ś ć ś w i a d o m o ś c i* naszej, która nie mogłaby powstać z żadnego współdziałania różnych elementów i odrębnych części mózgu lub nerwów. Ta świadomość naszego jednolitego ja, towarzyszy nam we wszystkich naszych duchowych czynnościach: żaden sąd o rzeczy, żadne porównanie nie jest możliwem, jeśli nie ma jednego i tego samego ja które jednocześnie przedstawia sobie porównywane przedmioty. Jeśli patrząc na białego psa, jedna część mózgu spostrzegalaby białość, a druga kształty psa, wtedy połączenie wyobrażenia białości z wyobrażeniem kształtów, które mi pozwalają odróżnić białego psa od innych białych przedmiotów, byłoby zupełnie niezrozumiałem. Pies wydaje mi się białym, tylko dla tego, że jednocześnie jedno i to samo moje ja poznaje w nim kształty psa i doznaje wrażenia białej barwy. Lotze zwraca się przeciwko tym psychologom, którzy wyobrażają sobie, że najbezsronniej pojmą i przedstawią związek uczuć i wrażeń, jeśli zupełnie pomną duszę, która tych wrażeń i uczuć doznaje. Ale w ten sposób właśnie jednostronnie oddalają się od rzeczywistości, bo świadomość nasza nie zna żadnego uczucia ani wrażenia, które nie byłoby uczuciem lub wrażeniem *k o g o ś*, tak jak w mechanice nie ma ruchu żadnego,

któryby nie był ruchem jakiegoś ciała. Wprawdzie czasem przedmiot pewnego wrażenia tak nas pochłania, że zapominamy o naszej osobistości, ale w żaden sposób nie dowiedzielibyśmy się o takim zapomnieniu, gdybyśmy później nie spostrzegli, że owo wrażenie było wrażeniem naszego własnego ja.

Ilekróć działania psychiczne bywają porównywane z ruchami w przestrzeni, zawsze trzeba o tém pamiętać, że nie znamy żadnego ruchu oderwanego, tylko zawsze ruch pewnego ciała. Z wielu ruchów różnych cząsteczek nie może zatem wyniknąć ruch żaden któryby nie był ruchem jednej z tych wielu cząsteczek; dla tego nawet jeśli można udowodnić, że ruchy fizyczne są w stanie wywołać pewien rodzaj ruchu, który my odczuwamy jako świadomość, to ten rodzaj ruchu, musiałby być przypisany jednemu z atomów ciała, i musielibyśmy atom ów uważać za naszą duszę, tak jak Leibnitz to wyobraził w swęj monadologii. Idąc dalej w podobném przypuszczeniu, nawet gdybyśmy ów ruch wywołujący świadomość nie jednemu ale kilku atomom, lub wielkiej ich ilości w naszym ciele przypisali, to każdy z tych atomów miałby świadomość odrębną, i mógłby tylko w takim razie wiedzieć coś o innych, jeśli one nań działały, lub mogły mu udzielać wiadomości o swych stanach wewnętrznych. Widzimy więc, że nawet usiłowania mechanicznego wytlómaczenia. działań psychicznych, jeśli mogły być uwieńczone pomyślnym skutkiem, doprowadziłyby do potwierdzenia zapatrywania na duszę jako na rzecz odrębną, stojącą w związku z ciałem, ale istniejącą samodzielnie w tęj samęj mierze, w której samodzielnie istnieją pierwiastki ciał.

Lotze nie skłania się do tego zapatrywania, aby dusza miała materialne własności, i działała nazewnątrz tak jak atomy materji. Nazywając duszę substancją, nie powinniśmy, sądzi Lotze, przypuszczać, aby koniecznie była podobną do wszelkich innych substancji, lub tęż szczególnie do tych elementów rzeczywistości, które my sobie uzmysławiamy wyobrażeniem materialnych atomów. Pojęcia substancji nie wzięliśmy z poza świata, tylko z doświadczeń, które nam daje rzeczywistość, i nic innego nie może ten wyraz oznaczać jak tylko rzecz działającą i ulegającą działaniom. Zupełnie konsekwentnie i zgodnie z zasadami swęj ontologii twierdzi Lotze, że w pojęciu substancji nic nie ma takiego, coby nas zmuszało do uznania jęj za niezmiennie trwałą: rzeczywistość, w obec przypuszczenia, że żadna rzecz zupełnie samodzielnie istnieć nie może, i że tylko całość M istnieje, nie można wyobrazić sobie, aby to co nam się wydaje jako istniejące, było niezniszczalném—bo wszelkie istnienie oddzielnych rzeczy jest według Lotze'go tylko pozorem i złudzeniem. Jest to niezmiernie ważny punkt w metafizyce Lotze'go, bo zmusza go do odrzucenia wszelkich twierdzeń o nieśmiertelności duszy. Nie ukrywa on tęj konsekwencji swęj ontologii, i za to należy

mu się wszelkie uznanie, bo ułatwia on nam wielce osądzenie zasadniczej swęj hipotezy. Ktokolwiek ma żywą świadomość samodzielnego istnienia swego ja, i przekonanie, że takie istnienie niczém przerwaniem być nie może, kto—jeśli użyjemy więcej utartych wyrażen—wierzy w nieśmiertelność duszy—ten będzie musiał odrzucić zasadnicze zapatrywanie Lotzego, według którego pojedyncze rzeczy w ogóle a także i dusze ludzkie, samodzielnego istnienia nie mają, i tylko są działaniami jednego M, ogarniającego świat cały. Kto zaś zasadniczą hipotezę metafizyki Lotze'go przyjmie, będzie z nim też musiał zrzec się wszelkiego stanowczego orzeczenia o nieśmiertelności duszy. W tym stanie umysłowym, w którym obecnie się większa część myślących ludzi znajduje, bezpośrednia świadomość rzeczywistego i samodzielnego istnienia naszego ja bynajmniej nie jest powszechną, i tylko bardzo nieliczne jednostki do niej niezależnie drogą rozumowania dochodzą—inne wzbudzają ją w sobie sztucznie, pod wpływem panujących religii, których cele są etyczne, a nie metafizyczne. W „walce o byt“ tyle razy jesteśmy pokonani przez obce, nieznanne, a jednak potężne siły, że nie mamy w obecnej epoce okazji do rozwinięcia w sobie pełnego poczucia sił własnych, niezależności naszego ja, naszëj władzy nad otaczającym nas światem. Ten brak dzielności duchowej wyraża się z jednej strony w pesymizmie i samobójstwach, z innej w zupełnym zwątpieniu i sceptycyzmie—nareszcie w najłagodniejszej swęj formie, w różnych panteistycznych zapatrywaniach na świat do których też i metafizykę Lotzego zaliczyć wypada. W dalszym przeglądzie współczesnej filozofii przekonamy się, jak liczni są dziś przedstawiciele pesymizmu, sceptycyzmu i panteizmu. Te trzy formy bezsilności ludzkiej w różnych epokach minionej przeszłości już panowały, i znowu upadały, gdy silne poczucie indywidualnej energii i samodzielności oładnęło najlepszymi umysłami szczęśliwszej epoki. Trzeba jednak zauważyć, że panteizm pod względem etycznym nierównie wyżej stoi niż sceptycyzm i pesymizm, i dla tego Lotze daleko więcej zasługuje na etyczną naszą sympatyą niż taki Harmann lub Spencer. Jeśli zaś chodzi nie o etyczne sympaty, ale o metafizyczną prawdę, wolno nam przyznać, że Lotze o wiele w głębokości i konsekwencji swych rozumowań przewyższa nie tylko współczesnych sceptyków i pesymistów, ale nawet najslawniejszego z pomiędzy panteistów, genialnego Barucha Despinosa. (Spinoza).

Lotze, wątpiąc o nieśmiertelności duszy, jeszcze mniej jest skłonny do przyznania jęj istnienia odwiecznego, i dlatego zastanawia się w swęj psychologii nad jęj początkiem. Wszzechwładne M, które u Lotze'go powoduje wszystko, tworzy też i duszę, i to

dopiero wtedy, gdy już są przygotowane fizyczne warunki jej istnienia. Te fizyczne warunki nie tylko przy powstaniu duszy mają według Lotze'go wielkie znaczenie, ale też w ciągu całego świadomego istnienia ciała i duszy. Wielka różnica zachodząca między ciałem a duszą, wcale nie przeszkadza, jak słusznie dowodzi Lotze, możliwości wzajemnego działania ciała na duszę i odwrotnie. Wzajemne działanie rzeczy do siebie podobnych wcale nie jest więc prostém ani też zrozumiałém, niż wzajemne działanie na siebie dwóch rzeczy zupełnie różnych. Zresztą, ponieważ ciała znamy tylko z subiektywnych wrażeń, jakie na nas wywierają, więc też nie jesteśmy w stanie ściśle określić jak a różnica zachodzi między duszą a pierwiastkami ciał. Wzajemne działanie duszy i ciała nie obejmuje jednak wszystkich przejawów istnienia, i Lotze sądzi, że mogą być ruchy ciała nie wywierające żadnego skutku na duszę—z drugiej zaś strony stany świadomości niewyrażające się w żadnym, nawet niewidzialnym ruchu jakiegokolwiek części naszego ciała. Przypuszczenie, że każdy fakt psychiczny koniecznie musi odpowiadać jakiemuś ruchowi fizycznemu, Lotze uważa za zupełnie dowolne i niczém nie udowodnione.

Po określeniu istnienia duszy zwraca się Lotze do rozbioru istnienia wrażeń i wyobrażeń. Wszystkie wrażenia są wynikiem działania rzeczy na naszą duszę, i wszelkie wyobrażenie jakiegos działania duszy, za pomocą którego mogłaby otrzymywać wrażenia, nazywa Lotze złudzeniem. Bezpośrednie działanie rzeczy jednych na drugie uważa Lotze tylko wtedy za możliwe—gdy według naszego wyobrażenia przestrzeni nie dzieli ich żadna odległość: dla tego wszystkie otaczające nas rzeczy nie są w stanie na nas działać bezpośrednio, tylko pośrednio, za pomocą ruchów materji otaczającej nas, a w dalszym ciągu pewnych bliżej nie określonych zmian w naszych nerwach. Zmiany te w naszych nerwach Lotze uważa za zmiany fizyczne, nie psychiczne, bo gdyby miały one charakter psychiczny, to w każdym razie nie mogłyby to być stany psychiczne naszego ja, tylko oddzielnych atomów nerwów, i dla naszej duszy istniałyby one w czasie i przestrzeni, jako zjawiska materialne. Samo wrażenie psychiczne, dźwięk, barwa, woń, smak — jest czémś inném, niż proces nerwowy, który je wywołał, i niż ruch powietrza lub eteru, który wywołał proces nerwowy. Jednak wolno nam przypuszczać, że zachodzą pewne stałe stosunki między zewnętrznymi podrażnieniami a wewnętrznymi wrażeniami. Wtedy gdy pierwsze się zmieniają, także i drugie ulegają zmianom; ale pewna analogia tych zmian jest dotychczas tylko sprawdzoną dla słuchu: powiększona szybkość drgań powietrza sprawia wrażenie wyższych tonów, podwójna wydaje się nam oktawą pierwszego tonu, a także

i inne tony które słuch nasz w ogólnej skali dźwięków wyróżnia, jak tercja, kwarta i kwinta, odpowiadają pewnym ilościom drgań powietrza w prostym i łatwym do obliczenia stojącym stosunku do ilości drgan pierwotnego tonu. Główna trudność w wyrażeniu stosunku wrażeń psychicznych do fizycznych podrażnień które je wywołały, polega na tém. że dla naszych uczuć i wrażeń nie mamy żadnej obiektywnej miary.

Doświadczenia psychologiczne pozwalają nam tylko na ogólne zaznaczenie różnicy wrażeń wywołanych przez dwa różne podrażnienia— oraz na zmierzenie różnicy podrażnień potrzebnej dla wywołania najmniejszej mogącej być spotrzeżoną różnicy psychicznych wrażeń. Na takich wymiarach opiera się współczesna psychofizyka, której ogólne prawo Lotze wyraża tak, że każde wrażenie, tém trudniej się daje powiększyć im silniej jest już odczuwaném.

Lotze odróżnia bezpośrednie wrażenia od czynności odróżniania ich i porównywania ich między sobą. Gdy ta czynność nie jest rozwiniętą, możemy kilka wrażeń różnych uważać za jedno, ale i w takim razie wrażenia nie łączą się zupełnie; pozór zupełnego połączenia wrażeń powstaje wtedy, gdy dwa podrażnienia, z których każde osobno działając odrębne wywołałoby wrażenie, kombinują się w ten sposób, że tworzą jedno podrażnienie, które wtedy też jednolite wrażenie wywołać musi. Takie mniemane połączenie wrażeń prowadzi do fałszywych analogii z mechaniką ciał materialnych. Na również fałszywej analogii jest opartem przypuszczenie jakoby wyobrażenia silniejsze lub jaśniejsze wycieśniały z naszej świadomości wyobrażenia słabsze lub niejasne. Świadomość nasza nie jest przestrzenią jakąś, w której ograniczona ilość wrażeń i wyobrażeń mogłaby się pomieścić, a same wyobrażenia nie są nieprzenikalnymi ciałami, któreby mogły wywierać pewne ciśnienie jedno na drugie. To co nazywa się silniejszym i jaśniejszym wyobrażeniem, jest właściwie wyobrażeniem obejmującym większą ilość szczegółów, i od mniej jasnego wyobrażenia różni się treścią, a nie jakąś tajemniczą siłą, któraby mogła działać na inne wyobrażenia. Fakt, że jedno wyobrażenia zastępuje drugie w naszej świadomości, Lotze tłumaczy nie ich treścią ale **zajęciem** które w nas wzbudzają. To zajęcie w pewnej mierze zależy od stałego naszego indywidualnego charakteru, ale jeszcze więcej od zmiennego kierunku uczuć naszych, wynikającego z całego szeregu poprzednich wrażeń, i wytwarzającego w każdej chwili inny ogólny stan naszej świadomości.

Ten ogólny stan osobisty także główną rolę gra przy **kojarzeniu** i **wyobrażeniu**. Lotze przeczy temu, jakoby szczególnie podobne do siebie lub przeciwległe sobie wyobrażenia miały się kojarzyć. Jedyną okoliczność według niego ułatwiająca kojarzenie wyobrażeń, jest **jednoczesność** lub **bezpośrednie następstwo** po sobie wrażeń, do których dane wyobrażenia się odnoszą. Każde wyobrażenie przypomina nam ogólne usposobienie, które odczuwali-

śmy wtedy, kiedy poprzednio kiedykolwiek mieliśmy to wyobrażenie. Te wyobrażenia, któreśmy mieli jednocześnie, bezpośrednio przed lub po jakim wyobrażeniu, przychodzą nam na myśl w związku z wspomnieniem ogólnego naszego ówczesnego usposobienia.

Działalność duszy nie ogranicza się do tworzenia wrażeń i wyobrażeń powstających pod bezpośrednim wpływem otaczającej nas rzeczywistości. Te pierwsze pierwiastki psychicznego życia, stanowią materiał z którego dusza już dalej sama, bez udziału zewnętrznego świata, tworzy cały system więcej złożonych wyobrażeń i pojęć. I tutaj wszelkie analogie z fizycznie działającymi siłami są niewłaściwe: podczas gdy fizyczne ruchy łącząc się w jeden ruch tracą swe odrębne istnienie, wrażenia i pierwotne konkretne wyobrażenia bynajmniej nie giną, gdy od nich posuwamy się do ogólnych wyobrażeń i pojęć. Tego przejścia żaden rysunek ani też żadna fizyczna kombinacja umysłowić nie zdoła, i wszelkie usiłowania takiego materialistycznego tłumaczenia faktów psychicznych prowadzą tylko do pewnej matematycznej mitologii, która rzeczywistości nie odpowiada więcej niż dawne mitologie religijne. Głównie polemizuje Lotze z Herbartem, który na początku tego stulecia starał się stworzyć matematyczną psychologią, opartą na pewnych analogiach ruchu wyobrażeń z ruchami ciał w przestrzeni. Wszelkie takie analogie uważa Lotze za jaknajzupełniej fałszywe i za bardzo szkodliwe zboczenia z drogi prawdziwie naukowego badania. Ogólne pojęcia powstają nie z wrażeń, ale obok wrażeń, przez naszą czynność porównywania ich i odróżniania. Czynność ta również ma miejsce wtedy, gdy nateżamy naszą uwagę: największe nateżenie uwagi nie prowadzi do dokładniejszego poznania przedmiotu który nas zajmuje, tylko różnych stosunków tego przedmiotu do innych. To nateżenie uwagi polega właśnie na szukaniu coraz to innych stosunków między przedmiotami, które badamy, i wynika z zajęcia naszego danym przedmiotem; samo zaś zajęcie zależy od rozmaitych stosunków naszego ja, do rzeczy, która nas zajmuje.

Za najważniejsze z ogólnych wyobrażeń powstających przez czynność psychiczną ustanawiania stosunków między wrażeniami—uważa Lotze przestrzeń, i dla tego poświęca osobny rozdział w swjej psychologii pytaniu, jak powstaje wyobrażenie przestrzeni. W sprawozdaniu naszym możemy rozdział ten pominąć, gdyż zawiera on dosyć zawiłą teorią, która nie ma zasadniczego znaczenia dla metafizyki, jak to sam Lotze przyznaje ¹⁾.

¹⁾ Jest to teoria „znaków miejscowych“ (Localzeichen) o której istnieje cała literatura, ale która właściwsze miejsce znajdzie w sprawozdaniu z współczesnej psychologii.

Lotze kończy swą metafizykę rozdziałem o stosunku duszy do ciała. Zastanawia się on najprzód nad t \acute{e} m, czy w ciele można przypisać duszy jakieś oznaczone miejsce, według naszego wyobrażenia przestrzeni. Ponieważ istnienie w pewn \acute{e} m oznaczon \acute{e} m miejscu nicz \acute{e} m inn \acute{e} m nie jest według ontologii Lotze'go jak d z i a ł a n i e m w t \acute{e} m miejscu, wi \acute{e} c dusza, dla swych działań na ciało, musi istnieć w t \acute{e} m miejscu, gdzie takie bezpośrednio działania zachodzą. Lotze odrzuca przypuszczenie, według którego dusza mogłaby istnieć w cał \acute{e} m ciele. Gdyby tak było, uszkodzenie nerwów nie mogłoby przerwać wrażeń, które za pośrednictwem tych nerwów otrzymujemy. Miejsce w któr \acute{e} m ruchy atomów nerwów bezpośrednio działają na duszę, może być tylko punktem bez rozmiarów, jeśli dusza jest istotą niematerialną. Takiego punktu centralnego, do któr \acute{e} goby wszystkie nerwy prowadziły, anatomia nie odkryła dotąd, i Lotze w \acute{a} tpi o jego istnieniu. Dla tego zwraca się on do innego tł $\acute{o$ waczenia wzajemnego działania między ciałem i duszą. Odległości s \acute{a} tylko zjawiskiem ju \acute{z} działających sił, ale nie mogą stanowić nieprzyzwyczajon \acute{e} j przeszkody dla ich działań; z tego Lotze wnosi, że działanie duszy, jakkolwiek nie jest bezpośrednio w cał \acute{e} m ciele, może jednak zachodzić w kilku oddzielnych punktach mózgu, a w tych punktach w któr \acute{y} ch takie bezpośrednio działanie ma miejsce, jest t \acute{e} ż dusza. Jedność duszy nie b \acute{e} dzie zniesiona przez to, że w kilku punktach przestrzeni działa, tak jak jedność świata przez istnienie wyobrażenia przestrzeni nie jest zachwiana. Ka \acute{z} dy z tych w nasz \acute{e} m wyobrażeniu przestrzeni oddzielnych punktów ma wyrażać jeden z rozmaitych stosunków nasz \acute{e} j duszy do cał \acute{e} j rzeczywistości, jedn \acute{e} z czynności psychicznych znanych nam z nasz \acute{e} j świadomości! Oryginalne to zapatrywanie stara się Lotze poprzeć i wyjaśnić następującem rozumowaniem: tylko w pewnych punktach mózgu szereg ruchów wywołanych przez zewn \acute{e} trzn \acute{e} podrażnienia dochodzi do takiego rodzaju ruchu, który może wywołać wrażenie psychiczne; w tych punktach t \acute{e} ż przerabiają się stany psychiczne na ruchy fizyczne pewnych uprzywilejowanych atomów.

Lotze nie chce bynajmniej przez to potwierdzać wyobrażeń frenologów, według któr \acute{y} ch ka \acute{z} da zdolność i ka \acute{z} da właściwość psychologiczna ma zależeć od wi \acute{e} kszego lub mniejszego rozwoju pewnych cz \acute{e} ści mózgu. Przyznaje on że pewne cz \acute{e} ści mózgu mogły mieć pewne specjalne zadania, i w ten sposób stanowić zmysły wewn \acute{e} trzn \acute{e} , uzupełniające czynności zmysłów zewn \acute{e} trzn \acute{e} ch. Tak np. sądzi Lotze, że posiadamy odr \acute{e} bny zmysł p r z e s t r z e n i, i zmysł m o w y, jako organa mózgu ułatwiające nam umiejscowianie w wyobrażon \acute{e} j przestrzeni przedmiotów naszych wrażeń, i wymawianie wyrazów któr \acute{e} mi te przedmioty oznaczamy. Ale takie zmysły wewn \acute{e} trzn \acute{e} , równie \acute{z} jak i zewn \acute{e} trzn \acute{e} zmysły s \acute{a} zupełnie materialnymi narzędziami, któr \acute{e} mi się niematerialna dusza posługuje.

Ka \acute{z} dy ruch jedneg \acute{o} z atomów centralnych, na które dusza

bezpośrednio działa, odpowiada pewnemu oznaczonemu stanowi naszej świadomości, pewnemu wewnętrznemu usposobieniu, w ten sposób, że wystarcza, aby dusza to usposobienie odczuła, jeśli odpowiedni ruch ma nastąpić. Dla tego niektóre zawile i trudne ruchy muskularne dopiero wtedy stają się dla nas możliwymi, gdy raz choćby przypadkiem nam się udały, i gdy wiemy co odczuwamy, gdy one mają miejsce. Wzbudzając w sobie następnie to znane nam uczucie, dajemy powód do ruchu który zamierzamy. Jeden i ten sam ruch wykonany przez różne osoby nie koniecznie odpowiada identycznemu usposobieniu subiektywnemu—ztaąd pochodzą niezliczone różnice indywidualnego charakteru i temperamentu, które tak wielką grają rolę w rozwoju umysłowym. Związek między wewnętrznym usposobieniem a zewnętrznymi ruchami naszego ciała, zależy od wszystkich nietylko duchowych ale też i cielesnych właściwości człowieka, których zupełne zbadanie przy obecnych naszych środkach jest niemożliwem.

Przyjmując różne zmysły wewnętrzne ułatwiające duszy jej czynności, zastanawia się Lotze nad pytaniem, czy pamięć takiego materialnego narzędzia wymaga, i dochodzi do wniosku, że przypuszczenie istnienia bliżej nieokreślonych fizycznych śladów w naszych wyobrażeniach w mózgu doprowadziłoby do bardzo zawyżonych tłumaczeń, gdyż nawet największa ilość atomów służących pamięci nie wystarczyłaby dla nieograniczonej ilości wyobrażeń które jesteśmy w stanie sobie przypomnieć. Pamięć uważa przeto Lotze za czynność zupełnie psychiczną, polegającą na tej samej zdolności duszy co i kojarzenie wyobrażeń. Dusza wyobrażając sobie pewne ogólne usposobienie, którego kiedyś doznawała, przypomina sobie wyobrażenia, które miała w tym samym czasie. Dla tego zapominamy często te wrażenia, które poznaliśmy w takim usposobieniu, do którego powrócić nie umiemy, np. w ciężkiej chorobie, w stanie hypnotyzacyi, i t. d. Przez to można wytłumaczyć jednocześnie zapomnienie w pewnych razach wszystkich wyobrażeń odnoszących się do pewnego usposobienia, np. wszystkich wyrazów jednego języka, którego nauczyliśmy się wśród innych niż obecne okoliczności. Ci ludzie, którzy na starość powracają do usposobienia dzieciennego, przypominają sobie po wielu latach wrażenia wieku dziecięcego, o których przez większą część życia wcale nie myśleli. Gdybyśmy te wszystkie fakta chcieli wytłumaczyć fizycznymi śladami w mózgu po wrażeniach pozostałymi, musielibyśmy materialnym częściom mózgu przypisywać psychiczną zdolność kojarzenia wyobrażeń, a jednak i toby wcale nie uwolniło nas od konieczności przypuszczenia bezpośredniego udziału duszy w czynności przypomnienia sobie jakiegokolwiek wrażenia.

Świadomość nazywa Lotze czynnością duszy skierowaną na treść wyobrażeń: dusza dochodzi do świadomości pod wpływem

doznawanych wrażeń, gdy zaś zupełnie wrażeń jest pozbawioną, traci świadomość, czyli jest beczynną, nie działa, a więc i nie istnieje. Tą ostatnią konsekwencją swojej metafizyki nawet Lotze wymawia nieśmiało i ze znakiem zapytania: „jeśli dusza w głębokim śnie pogrążona, nic sobie nie wyobraża, niczego nie czuje i niczego nie pragnie, czy istnieje ona wtedy i czem jest? Jakże często odpowiadano, że jeśli by taki sen mógł się zdarzyć, dusza przestałaby istnieć; dla czego raczej nie odważono się powiedzieć, że ona rzeczywiście nie istnieje, wtedy gdy to się zdarza? Jeśli by ona sama była w świecie, wtedy nie moglibyśmy pojąć zmian jej istnienia i nieistnienia, ale dla czegożby nie miało być jej życie melodią z pauzami, podczas których wieczne źródło, z którego jej istnienie i jej czynności wypłynęły, dalej działa? Z niego mogłaby ona znowu powstać, w konsekwentnym związku z jej poprzedniem istnieniem, gdy każda z owych pauz się skończy, podczas których inne czyny tej samej wszech przyczyny przygotowały warunki nowego jej powstania.“¹⁾

Na tych słowach kończy się psychologia Lotze'go: widzimy, że wierny swojej zasadzie, nawet w ciągu jednego życia ludzkiego nie przynajmniej stałego istnienia duszy — i każe jej powstawać i znikać stosownie do potrzeb wszechświata. W ogólnem zakończeniu całej metafizyki Lotze streszcza swój pogląd na istnienie w zdaniu, że należy w tém co być ma szukać przyczyny tego co jest. Z bardzo rzadką wśród filozofów skromnością dodaje Lotze, że bynajmniej nie uważa się za nieomylnego, i że tylko pragnie, aby nie we wszystkiem zbłądził. To ostatnie życzenie Lotze'go możemy uważać za jaknajzupełniej spełnione: jakkowik sama podstawa jego metafizyki, niesamodzielnosc wszystkich rzeczy a nawet dusz ludzkich prawdopodobnie nie zyska uznania przyszłości, to za to jego rozumowania kosmologiczne i psychologiczne w znacznej części będą masiały wejść do każdego przyszłego systemu metafizyki.

Moskwa 25 marca 1889 roku.

¹⁾ Lotze, *Metaphysik* p. 602: „und wenn die Seele in völlig traumlosen Schlafe Nichts vorstellt fühlt und will, ist sie dann, und was ist sie? Wie oft hat man geantwortet, dass sie dann nicht sein würde, wenn dies jemals geschehen könnte; warum hat man nicht vielmehr gewagt zu sagen, dass sie dann nicht ist, so oft es geschieht? Gewiss, wenn sie allein in der Welt wäre, dann könnten wir einen Wechsel ihres Sein und Nichtsein nicht verstehohen; aber warum sollte nicht, ihr Leben eine Melodie mit Pausen sein, während der ewige urquell fortwirkt, aus dem, als eine seiner Thaten, ihr Dasein und ihre Thätigkeit entsprang? Aus ihm würde sie wieder entspringen, in folgerechtem Anschluss an ihr fruheres Sein, sobald jene Pausen voruber sind, während deren andere Thaten desselben Urgrunds die Bedingungen ihres neuen Eintritts herstellten.“

PROMETEUSZ W OKOWACH.

Tragedya Eschylosa.

PRZEKŁAD

Kazimierza Kaszewskiego.

Słowo wstępne.

Eschylesowa tragedia „Prometeusz w okowach“ jest jedną z najmniej zrozumiałych dla dzisiejszego czytelnika. Nie mały powód tego stanowić może to, iż nie przedstawia ona całości zupełnej, jest bowiem tylko środkową częścią trylogii, której pierwsza część i ostatnia zaginęły. Nadto, mieści ona w sobie tyle alluzji do starych podań teo- i kosmogonicznych Hellady, tyle szczegółów odnoszących się do najpierwotniejszego układu gmin greckich, tyle wreszcie bałamuctw geograficznych, że co chwila zatrzymywać się trzeba nad jakimś ustępem, czy to stosującym się do wewnętrznego znaczenia treści, czy też do samej ekspozycyi danego wypadku, i żądać objaśnień od całej mitologii, nie zawsze zadość czyniącej.

Pierwsze zaraz nasuwa się pytanie: kto to jest ten „Prometeusz,“ i dlaczego występuje „w okowach.“ Nim się tego zaczniemy dowiadywać z tekstu tragedyi, dobrze będzie poznać się z nim bliżej.

Tragedya ta ma to do siebie osobliwego, iż roli w niej nie przyjmuje żaden człowiek, ale cała rozegrywa się między istotami wyższemi, nie śmiertelnemi, między bogami. Usunięte tu więc zostały wszystkie stosunki i warunki ludzkie; czas i przestrzeń mierzą się inną skalą, do której stosują się i siły działalności osób. Jako jedyna cecha wspólna występuje tu namiętność, której nie trzeba jednak rozumieć tak jakoby ją sobie nieśmiertelni przyswoili od śmiertelnych, ale owszem naodwrot. Jakkolwiek najskrzętniejsze i najprzenikliwsze badania nie rozświetliły dotąd i już chyba

nie rozświetlą tego co leży na dnie poetycznych bajek greckich, zwanych mitologią, ale z ogólnego rozbioru to niezaprzeczenie wynika że genetyczną zasadą bóstwa są tam zjawiska natury, zwolna krystalizujące się pod tchnieniem fantazyi w kształty personalne z wszystkimi przynależnościami osób żyjących. Namietność, to także jedna z przynależności natury, wyrażająca walkę powstającą z przeciwieństwa cech żywiołowych.

Prometeusz zatem należy jeszcze do tych istot z bohaterskiego wieku świata, zaledwie wychodzącego z chaosu. Według Teogonii Hezyoda, po Chaosie nastąpiła Gea, to jest Ziemia, obszerna, stała i płaska, z ciemnym i głębokim u podstawy Tartarem. Ziemia zaślubiła syna swego Uranosa (niebo), a z tego małżeństwa powstało kilku synów i kilka córek. Jednym z tych synów jest Japetos właśnie ojciec Prometeusza. Według tejże Teogonii, Japet połączył się z nimfą morską Klymeną, ta zatem uchodziłby powinna za matkę bohatera; tymczasem w tragedyi obecnej matką swą nazywa on boginię Temis, która według Hezyoda, była rodzoną siostrą jego ojca, jemu zatem ciotką. Nie wiem dlaczego Eschyles dopuszcza się tej zmiany, choć to wypadek nierzadki u późniejszych poetów; ale ponieważ Temis przedstawia wysoki pierwiastek etyczny, czyli Sprawiedliwość, to przypuszczać można iż poeta tym rodowodem chciał nadać większy blask swemu bohaterowi, działającemu w imię sprawiedliwości.

Gdybyśmy pisali specjalne studjum podaniowe, musielibyśmy więcej rozwinąć sprawę tych pokrewieństw Prometeusza; nateraz poprzestaniemy na szczegółach bezpośrednio dotyczących tragedyi, dla ułatwienia zrozumienia jej czytelnikowi, nie wdając się w ocenianie różnic pomiędzy legendą hezydyczną a późniejszą orficką.

Uranos tedy był pierwiastkowo królem świata, ojcem liczego pokolenia Tytanów, Tytanid, Cyklopów, Hekatonchejrów (sturamiennych), istot silnych i sprawnych. Potęga, jaką to potomstwo rozwijało, przejęła go strachem o panowanie, o wyłączność panowania; skutkiem czego każdego nowonarodzonego jął ukrywać w głębi ziemi, zakazując mu wychodzić na świat, tak iż Gea już i miejsca dla nich znaleźć nie mogła a jęczała pod rozpychającym brzemieniem jej ciężarem. Nastąpiła zmowa między matką i synami o uwolnienie się z pod despotyzmu ojcowskiego; pomijam niezmiernie małoowniczego a zarazem bardzo naturalistyczne środki jakich ku temu użyto oraz jakie były pośrednie ich skutki, dość że jeden z synów Uranosa, Kronos (czas) obezwładnił i zdetronizował ojca, sam panowanie objął i braci więzionych oswobodził.

Ale nawzajem Kronos, zaślubiony tytanidzie Rei, ulega i obawie i losowi ojca. Tamten z niepokoju o władzę zamykał potomków, ten ich polyka. Podstępem uratowany od połknięcia syn jego najmłodszy Zeus, zbiera sobie stronnictwo bogów, i z ich pomocą prowadzi długą ale zwyciężką walkę przeciw Kronosowi oraz

wiernym mu Tytanom, a zwyciężonych wtrąca w otchłań Tartaru bezpowrotnie. Od objęcia dopiero władzy przez Zeusa rozpoczyna się to świetne w Olimpie i na ziemi królowanie bóstw, hierarchia, wydziały, kollizye, które poctom dostarczają takich cudnych motywów pieśni.

Jakkolwiek legenda spycha do Tartaru wszystkich przeciwników Zeusa, jednak pozostają pewne wyjątki niewytlómaczone, zwłaszcza co do sprzymierzeńców Kronosa, Tytanów ¹⁾. I tak: tytan Okeanos pozostaje na miejscu, bo udziału w walce nie przyjmował; Atlas, skazany tylko na dźwiganie na barkach niebosklonu. Pozostaje wreszcie najbardziej obchodzący nas Prometeusz (z bratem Epimeteuszem), o którym przedtem nic jeszcze nie słyhać. Wprawdzie, w tekście tragedji czyni on kilkakrotnie alluzye do tego iż dopomagał Zeusowi i nowym bóstwom do zwycięstwa, kosztem Krona, lecz jest to widocznie wymysł samego poety, który inaczey nie może sobie zdać sprawy z ocalenia Prometeusza przy ogólnym zgnębieniu Tytanów.

Poznawszy zatem jego stanowisko i świetną parentelę, możemy przystąpić do rozpatrzenia się w jego fizyonomii moralnej.

Późniejsze po Hezyodzie teogonie wspominają o nim jako o twórcy człowieka. Pauzaniusz nawet oświadcza (X; 4, 3), że mu w mieście Panopejos w Focydzie pokazywano stwardniałe bryłki gliny, jako szczątki tój z którój Prometeusz lepił człowieka: podanie to było w końcu najbardziej upowszechnioném. Ale są to dodatki teogoniczne późniejszych czasów, kiedy poeci i śpiewacy różnych okolic i świątyń improwizowali mity na własną rękę. Podstawowa teogonia hezyodyczna podaje Prometeusza tylko jako opiekuna i obrońcę ludzi, już przedtem istniejących; i w takim też charakterze przyjmuje go Eschylos. Ród ludzki był śmiertelny, słaby, więc zostawał w pewnej zależności od nieśmiertelnych, którzy żądali odeń jakichś oznak tój zależności, a więc ofiar. Kiedy w Mekone zawierano układ, Prometeusz z zamiarem odrwienia Zeusa na korzyść ludzi, podzielił wołu na dwie części: po jednój stronie złożył mięso i wnętrności wsunięte w błonę i okryte skórą, po drugiej same kości owinięte tłuszczem. Zeus oburącz schwycił za tłuszcz, spodiewając się pod nim mięsa. Doznał zawodu: ale wybór uczyniony przez boga nie mógł być odtąd cofniętym. Rzeczywiście, po wieczne tóż czasy bogom na ofiarę składano tylko kości zwierzęcia owinięte tłuszczem.

¹⁾ Niepodobna nawet ściśle uzasadnić pochodzenia tój nazwy, i język z niewielką przychodzi pomocą. Najbliższym źródłosłowem byłoby słowo *titaïno* w znaczeniu wyciągać, rozciągać. Może więc nazwano tych buntowników od tego że wyciągali ręce z ziemi ku niebu, grożąc siedzibie Zeusa i szturmując do niej. Może też źródłem być wyraz *titas* mściwiec.

Nie podaje teogonia powodu tego wysokiego zajęcia się dobrem ludzkiego rodu ze strony Prometeusza, ale faktem jest że uczucie to niebyło u niego chwilowym kaprysem. Zeus nie puścił płazem tego ubliżającego mu podstępu, i srodze zemścił się zań. Odebrał on ludziom dobrodziejstwo ognia, bez którego zniszczałby ród. I odtąd to dopiero rozpoczyna się zacięty antagonizm pomiędzy obrońcą słabiej i pokrzywdzonej ludzkości a najwyższym i despotycznym panem świata. Można by zarzucić niekonsekwentność teogonii; która takiemu władcy każe walczyć tam, gdzie dość mu było użyć piorunu aby odrazu spalić i zniszczyć. Ale byłby to zarzut powierzchowny. W teogonii, niema tego Boga który wyprzedza czas, przestrzeń i byt, sam jest tylko absolutem: bogowie powstają z Chaosu i Ziemi, dorabiają się, mnożą, ograniczają wzajem, posiadają moc tylko, nie zaś wszechmoc; a co najważniejsza, i nad nimi jeszcze góruje coś, z czém się rachować muszą; to jakaś istotnie idea absolutna, niezmienna, której nawet teogoniści nie umieją dobitnie i wyraźnie nazwać: wyrok, los, konieczność; jedném słowem, jakieś prawo zasadnicze. Oto już zmieniły się dwie dynastye i czyż trzecia może być tak zupełnie bezpieczną? I ona też musi się oglądać, ażeby nie zrobić fałszywego kroku. Zeus tedy walczy z przewagą, nadużywa nawet przewagi, ale się nie zapomina. Nie tępi rodu ludzkiego, ale mu tylko dyplomatycznie odbiera ogień. I rzeczywiście, jeżeli w całej walce z Tytanami, w ruchu były wyłącznie siły fizyczne Cyklopów, Sturamiennych, i t. p.; to osobno w walce z Prometeuszem jedynym występują siły moralne, dowcip, przebiegłość, i dlatego też nawet bohater ten w całej literaturze greckiej i pochodnej od niej rzymskiej nosi przydomek charakteryzujący bystrość umysłową połączoną z przebiegłością: *sophistes, versutus* (fr. rusé).

Domyślił się on łatwo gnębiących skutków odebrania ognia i na przekor Zeusowi, zwrócił go ludziom, potajemnie wyniósłszy z nieba.

W legendzie tej to między innymi godnym jest uwagi, że dopiero od czasu owego antagonizmu pomiędzy Zeusem i Prometeuszem występuje po raz pierwszy pierwiastek cierpienia pośród ludzkości. A jak niewiadomo dlaczego tytan ujmuje się za nią, tak niewiadomo dlaczego Zeus jest dla niej niechętny. Ale i tu siły natury mogą służyć za punkt wyjścia do komentarza. Wszak i najstarożytniejsi mieszkańcy globu narażani bywali na zawody, przeciwności i cierpienia. Bez widomej przyczyny, bez poczucia się do winy jakiejś, coś się nie udało, czy polowanie, czy rybolóstwo; czy jakie przypadkowe zło schwyciło za gardło. Przypisywano to jakiejś sile nieznannej, niewidomej. A że w miarę postępu cywilizacji i komplikacji interesów, zło się mnożyło i urozmaicało, przeto i pierwsi w Grecyi poszukiwacze przyczyn początek jego odnieśli także do bóstw personifikujących zjawiska przyrodzone, jeżeli zwłaszcza wy-

padek był bezpośredniem następstwem zjawiska, jak trzęsienie ziemi, wybicie zbioru przez grad, wypalenie przez słońce, choroba, śmierć od pioruna lub z apopleksyi. Przychodzi poezya ażeby usnąć całą powiastkę, i oto zaród legendy poczynającej się od podstępu Prometeusza, przed którym ludzie używali zupełnego spokoju i bezpieczeństwa, pod przewodnictwem dawnych bóstw z Uranosem lub Kronosem na czele.

Wykradzenie ognia wzmaga złość Zeusa. To zaś co następuje potem, miesza się z podaniami innych plemion o upadku rodu ludzkiego, o fatalnym wpływie kobiety na jego powodzenie, i o potrzebie odkupienia, a udział Prometeusza dał nawet sposobność jednemu z autorów do bardzo śmiałych przypuszczeń co do tożsamości podań, przekształconych tylko stosownie do indywidualnej fantazyi plemienia. Zeus, płacąc pięknem za nadobne, ognia już nie odbiera, ale każe utworzyć Hefestowi (bogowi ognia, najbardziej zatem interesowanemu w sprawie tego żywiołu) przesłiczną dziewicę, imieniem Pandora, i posyła ją na ziemię między ludzi w roli kusicielki. Dotąd wszelkie postacie zła, klęski, choroby i t. p. istniały w prawdzie na ziemi, ale były bezczynne, spoczywały zamknięte w beczce zostającej pod ich własnym dozorem, i rozumie się, nikt z ludzi nie byłby im otworzył ujścia. Pandora była zjawiskiem na ziemi obcym, stanowiła ona dar Zeusa, przysłany umyślnie pod nieobecność Prometeusza, który byłby go nie przyjął, podejrzewając coś w tém niedobrego. Zakazał nawet bratu Epimeteuszowi przyjmować jakichbądź darów ze strony Zeusa, ale brat, jak drugi Adam, nie mógł oprzeć się pokusie wdzięków i Pandorę przyjął. Ta skorzystała z chwili, i zawiąwszy się, otworzyła beczkę klęsk, które powychodziły na stałe wśród ludzi zamieszkanie, na dnie beczki pozostawiając tylko Nadzieję, znowu bezwładną. Taką była zemsta Zeusa odnośnie do ludzi, względem Prometeusza; osobiście zachował sobie inną, i co do téj mamy ją, mniej więcej zgodnie z tradycją, określoną w niniejszej tragedyi.

Ponieważ utwór Eschylosa był niezaprzeczenie trylogiją, przypuścić więc możemy że pierwszą jej część stanowiły wypadki wyżej przez nas opisane, a zaczerpnięte z Hezyoda. Ta środkowa bowiem część wpada już *in medias res*.

Prometeusz ukazuje się tu jako ofiara życzliwości i poświęceń swych dla dobra ludzi. Prawdziwy ideał bohatera, nie obliczający zamiarów na siły, wyzwał on mocniejszego w imię sprawiedliwości tylko, i teraz ponosi skutki swego bohaterstwa. Spotykamy go wśród bezludnych i niebotycznych gór Scytyi, w towarzystwie Hefesta, boskiego kowala, oraz dwóch istot nazywających się Kratos i Bia. Są to dzieci rzeki Styx, której potomstwo najpierwszą i najskuteczniejszą pomoc udzieliło Zeusowi w walce z Tytanami. I jedna i druga nazwa symbolizuje siłę, tylko z pierwszą łączy się wyobrażenie inetelligencyi, gdy druga stosuje się bezpośrednio do mu-

skulów. Jest to jakby część przymiotów Zeusa, despotycznego władcy, które on daje za orszak Hefestowi dla pilnowania niesfor nego Tytana, a zarazem i dla podbudzenia jego samego do ścisłego wypełnienia rozkazu. Dziwne jak na owe czasy, wnikięcie w ducha rządów ciemiężczych, nie polegających na jednym dozorczy gwałtu. Rozkaz zawiera się w tém, ażeby Hefest żelaznymi obręczami przykuł Prometeusza do najwyższej skały, a Kratos i Bia mają dopilnować ścisłości w wykonaniu tego rozkazu. Hefest, jako krewny męczennika, niechętnie i z musu tylko poddaje się konieczności, zda się że każde uderzenie młota boleśnie odbija się w jego własnem sercu, przeklina swoje rzemiosło, przeznaczające go do tak wstrętnej czynności, ale dwaj satelici Zeusa, Kratos i Bia, spełniają swe oprawcze posłannictwo z całym zadowoleniem landratów, z miłością gwałtu dla podobania się gwałcielowi i grożą nawet Hefestowi niełaską Zeusa za to że śmie objawiać jakieś współczucie dla zbrodniarza, który pozwolił sobie występować w obronie słabych. Cały ten ustęp operacyi na górze, proroctwo czynów wiecznie się powtarzających w kollizyi między prawem i siłą, ów lekki szkic wyradzających się z takiego stosunku charakterów, jest już sam przez się arcydziełem zarówno poezyi pełnej grozy, jak psychiki pełnej prawdy.

Pozostaje nam co do tego punktu do załatwienia kwestya czysto topograficzna. Hezyod nie oznacza zgoła miejscowości w której uwięziony był Prometeusz; Eschylos umieszcza zaś go w Scytyi. Mianem tém nazywali grecy całą wschodnio-północną część poza Tracją, ile sięgały ich podróże i wiadomości geograficzne; punktu też pobytu Tytana poeta nie określa tu wcale. Późniejsi dopiero oznaczyli ten punkt na Kaukazie i przyznać trzeba że odpowiednio do barwy tragedyi ponurej i groźnej, bardzo trafnie. Przypuszczenie to, wzmocnione ocalałym ustępem zostatniej części trylogii w wierszach od 177 do 179, gdzie poeta wymienia Kaukaz, lubo zkądinąd na żadnym względnie pozytywnym szczególe bajki nie oparte, może dla tej harmonii z ogółem kompozycyi, upowszechniło się natychmiast, i stało się częścią integralną legendy. Do tego stopnia, że sławny Pompejusz, dowodząc w Kolchidzie, odbył umyślny pochód, pod przewodnictwem uczonego greka, Teofanesa, dla zwiedzenia na Kaukazie miejsca uświetnionego kaźnią Prometeusza.

Przez cały ciąg tej operacyi, bohater nie raczy się odezwać ani słówkiem, ani tchnieniem, wobec nędznych pachołków przemocy, któremi pogardza. Dopiero po ich odejściu wyrzuca z piersi bolesną skargę, składając ją przed majestatem natury, biorąc na świadki swój niezasłużonej męczarni ziemię i słońce, eter i wiatry, rzeki i morza. Skarga daremna, bo zwrócona przeciw najpotężniejszemu; skarga pozbawiona nadziei wyswobodzenia nawet przez śmierć, ostatnią ucieczkę nieszczęśliwych, bo Tytan jest z natury nieśmiertelnym.

A kiedy tak boleje nad swą dolą, osamotniony, naraz tę głuchą ciszę okoliczną przerywa jakiś szelest i miesza się z pieśnią jego rozpaczy, szelest daleki, jeszcze nieznany. Kto może zbliżyć się do potępionego, w jakim zamiarze? Czy chce naigrywać się nad nieszczęśliwym, cierpiącym z nadmiaru miłości dla ludzi; czy współczuciem ulżyć jego doli? Szelest wyraźniej, to jakiś ruch skrzydeł cichy jak marzenie, i niebawem otacza Prometeusza grono dziewic, nimf Oceanid, które z miłości dla krewnego przybywają go pocieszyć. Ileż to poezji, ile delikatności uczucia umieścił poeta w tym zestawieniu. Przedstawmy sobie całą wspaniałość takiego obrazu, gdyby był wykonany w sposób malarski. Dzika okolica nastrzępiona szczytami skał nagich; na najwyższej człowiek z obliczem szlachetnym i rozumnym, przykuty żelaznemi obręczami, a koło niego ciąg duchów skrzydlatych w postaci dziewic przynoszących mu łyzy współczucia. Czyż serce, rzeczywiście, w takiej chwili i w takich okolicznościach, mogło właściwiej zdobyć się na ten pośpiech i na łąkę taką, niż serce kobiety, owego typu czułości. To grono dziewic, wprowadzone z takim zaznaczeniem poetycznym i psychicznym stanowi tu już zarazem ów chór, integralną część tragedji greckiej i pozostaje ze swoją funkcją techniczną aż do końca sztuki, rozbiegając z bohaterem położenie rzeczy, wypyując o różne szczegóły, próbując dyskusji i refleksji, śpiewając strofy natchnione wypadkami.

Nawiedza też Prometeusza i ojciec ich Okeanos. Ten jego krok, jako boga zostającego w służbie i przymierzu z Zeusem, jest nieco kompromitującym. Dziwi mu się też Tytan, pyta czy przez ciekawość przybył, czy przez współczucie; a w każdym razie przestrzega go iż się może narazić. W osobie Okeana, przeniesionej na skalę ludzką, czuć istotnie kogoś co się to znajduje między młotem a kowadłem. Obowiązek rodzinny, uczucie honoru, zwłaszcza gdy go w tym wyprzedziły córki, nakazuje mu w ciężkim razie odezwać się do krewnego, ale z drugiej strony groza przed zwierchnikiem wywiera nań oczywisty nacisk. Kiedy córki śmiało przyjmują stronę uciśnionego i razem z nim powstają głośno przeciw ciemństwu Zeusa, Okeanos przybywa z dobrą radą ażeby się uspokoił i poddaniem przebłagał pana; a gdy Prometeusz tę radę rozsądku i tchórzostwa zbywa lekceważąco, stryj oświadcza gotowość pośrednictwa, poświęcenia się osobistego, ale znać po całym sposobie dykcji iż ofiaruje się tym śmielój im bardziej po stanowczości i oporze Tytana przekonany jest, że on wszelką ofiarę z jego strony odrzuci. Jakoż Prometeusz, jak na prawdziwego bohatera przystoi, nie chce narażać nikogo ani wciągać w sferę swojej niedoli choćby najbardziej zdaleka, radzi owszem stryjowi ażeby go opuścił, co on też żywo i jakby z upragnieniem skutecznie. Cała ta scena, zaprawiona szczyptą ironii, trzymana jest w tonie nadzwyczaj subtelnym i wy-

kazuje w poecie znakomitego obserwatora delikatnych stosunków ludzkich.

Po odejściu Okeana, Prometeusz rozwija przed umysłem dzievic cały obraz dobrodziejstw cywilizacyjnych, jaki za jego przewodnictwem, dostał się w udziale ludziom, poczynawszy od uprawy roli, chowu bydła i urzędzenia mieszkań, do żeglugi, uprawy umysłowej, kunsztów, wynalazków i sztuk pięknych, nie wyłączając wróżb przyszłości. Obraz ten nie ma w sobie nic dramatycznego, ale pierwotni poeci lubili, jako ludzie, wysławiać postęp dokonany samodzielnie przez człowieka, i mniemał zapewne poeta że jego audytorjum ateńskie z przyjemnością słuchać będzie wspomnienia tych cudów jako ziomekowie jego, za inicjatywą twórczych geniuszów dokonali na rzecz tej wielkiej cywilizacji, która zajęła miejsce pierwotnej dzikości. Zbił on stu Prometeuszów w jeden symbol nieśmiertelny, sto wieków w jeden wiek, ale niemniej część tego co opisał była dziełem jednego narodu, jedną myślą grecką, która działając i krzątając się od maczugi Heraklesa, przeszła przez wąwóz Termopylski i spoczęła na kopule Partenonu.

Dalszy Prometeusza z chórem rozhovor, w którym zaczyna przebłyskiwać to że Tytan posiada jakąś tajemnicę groźną dla Zeusa, przerywa nagle zjawienie się Ijony, osoby zgoła dramatowi obcej. Ze to jest jednak epizod bardzo długi, bo stanowiący prawie czwartą część całego utworu, a przytém skomplikowany, winniśmy czytelnikowi co do niego przedwstępne objaśnienie mitu. Mit ten dotyczy krainy Argos i pierwszej jej dynastii władców, najdawniejszej w Grecyi, bo sięgającej blisko na dwa tysiące lat przed erą chrześcijańską. Legendy lubią założenia każdego państewka przypisywać jakiemuś z członków rodziny boskiej, a rozumie się to samo i o Argolidzie, której początek miał dać Inachos, syn Okeana i Tetydy (matki rzek). Oczywiście... bo Inachos jest to nazwa rzeczulki płynącej pod miastem Argos. Pominąwszy ten rodowód i początkowe fakta, Inachos pomiędzy innymi dziećmi miał córkę zwano Ijo, do której szalenie zapłonął Zeus, niewierny małżonek dostojnej a wielce zrzedliwej Hery (Junony). Dziewica niechętnie przyjmowała hołdy monarsze, mimo to jednak Hera tak o nie dokuczala mężowi, iż ten ażeby ją przekonać, a zkądinąd widać ażeby zemścić się nad nieuległą Ijoną, przemienił ją w białą jałówkę. Hera zażądała ażeby ta jej została wydana i umieściła ją pod strażą Argosa Panoptea (wszystkowidzającego), lecz strażnika tego z rozkazu Zeusa zabił Hermes; a wtedy Hera nasadziła na nią bakę, który ciąglem kasanieniem przyprowadziwszy Ijonę-jałówkę do szaleństwa, wypędził ją z rodzinnjéj ziemi i gnał różnemi drogami bez wyciechnienia na krańce świata. W jednéj właśnie z tych szalonych wycieczek wpada ona na scenę, spotykając się z Prometeuszem i Okeanidami. Jest to dla niej chwilą jakiegoś względnego wypooczynku, ponieważ mimo rozpaczy, mówi, słucha i spowiada się przy-

tomnie, w końcu dopiero podźgnięta na nowo żądłem bąka, zaczyna bredzić i ucieka.

Oczywiście że poeta nie wprowadził na scenę Ijony w jej nowej postaci, ślad tylko metamorfozy zaznaczył w rożkach jałowiczych nad czołem. Ale dlaczego właściwie ją wprowadził, nie nadawszy jej łączności koniecznej z tém cobyśmy dziś nazwali akcją główną? Odpowiedź na to znajdziemy chyba w naszym poprzednim argumencie. Wiedział że interesująca legenda, z przywołaniem samej bohatarki, mile będzie przyjęta przez widzów, niedalekich jeszcze od tego czasu kiedy poprzednicy Eschylosa poprzestawali na samém opowiadaniu przez pojedynczego aktora, a sam też autor dopiero pierwsze fundamenty zakładał pod budowę prawdziwego dramatu, i zapewne się nie domyślał jakie w późniejszych czasach kształty i rozmiary, ten jego szkic przybierze.

Rzeczywiście, Ijona opowiada tylko dzieje swoje i katastrofę, nieco odmiennie w drugorzędnych szczegółach od legendy pierwotnej i pragnie od wszystkowiedzącego Tytana, dowiedzieć się jakie ją jeszcze drogi czekają. Prometeusz nie tylko opisuje jej gdzie będzie, ale jakby na dowód, że się nie myli, opowiada gdzie była: w końcu wróży spoczynek w Egipcie, gdzie Zeus powróci jej rozum, pierwotną postać, i nadto obdarzy ją synem, protoplastą sławnego w przyszłości rodu. Z tych opisów powstaje dziwna jakaś geografia, z którą komentatorowie aż dotąd rady sobie dać nie mogą. Co prawda, to i sam poeta co do tej marszruty Ijony jest z sobą w niezgodzie. Potrąca on legendę tę i w innej swojej tragedji „Iketides“ (Błagalnice), i tam, według podanych wskazówek widać jasno, że Ijona przebiega z Grecji przez Frygję, Myzę, Lidyę, Pamfilię i Cylicyę aż do Egiptu; o Prometeuszu, Kaukazie, Scytyi i innych miejscowościach niema tam mowy. Tu zaś tyle nagromadził obrotów i nazw etnograficznych nieznanych, że kierunku zgoła domyśleć się nie można.

Musimy więc dać za wygraną geografii, która tu jednak sporo miejsca zajmuje; natomiast widzimy pewną łączność tej postaci z przebiegiem tragedji. Nasamprzód, nieszczęścia Ijony przedstawiają tu jakoby nowy i oczywisty dowód tego okrucieństwa Zeusa, znęcającego się nad niewinnemi, którego ofiarą jest i sam Prometeusz. Następnie, co ważniejsza, pobyt Ijony przyczynia się do wydobycia z Prometeusza tej tajemnicy dotyczącej Zeusa, groźnej dla niego w przyszłości. Zatem Zeus, mimo obecnego wszechwładztwa, nie jest nietykalnym! Cóż więc stoi przed nim? Konieczność, czyli przeznaczenie (anankè). A kto trzyma ster przeznaczeń? Mojry o półtrójnym czołe i Jędze: zaledwie objaśnić to można przez zależność skutków od przyczyn i wymiar sprawiedliwości. Pomimo też dosyć częstego zdraganiania się, Prometeusz na podwójne nalegania chóru i Ijony, powoli wypowiada jakim sposobem Zeus może być przez własną nieogłędność zrzucony z tronu świata i zarazem co go ustrzedz

może od tój katastrofy. Ponieważ szczegóły te częściowo i dostatecznie rozjaśnione są w tekście, przeto zbytecznie byłoby je tu przytaczać.

Niedosyć że w tój przyszłości Zeusa pewną rolę odgrywa Ijona, jako pra-matka bohatera, który ma w przyszłości skruszyć pęta Prometeusza, co już wiąże ją niejako z główną osobą dramatu, ale osoba jój ściślej jeszcze łączy się z akcją przez to, że odtąd dopiero rozwiązują się Tytanowi usta, a oprócz Chóru i Ijony wypowiedziane przez niego szczegóły tajemnicy mają nadto innego niewidzialnego słuchacza, w osobie Zeusa, który snadź niezmiernie zainteresowany groźbą co do swojej przyszłości, rozkazuje posłańcowi Hermesowi zstąpić na ziemię i wypytać Prometeusza szczegółowo

Od zejścia Hermesa powracamy znowu do atmosfery dramatu i to mocno patetycznej. Inny, mniej wyniosły i niepodległy, widząc takie zainteresowanie byłby się targował, nakładał warunki, korzystał z chwili. Prometeusz w tём starciu z Hermesem jest zachwycający; to prototyp godności ludkiej, tęgości charakteru, wcielenie męża o którego przymiotach Horacy śpiewa tylko w swój odzie (*impavidum ferient ruinae*). Ilukolwiek poetów większego lub mniejszego rejestru opiewało niepodległość i niewzruszoność charakteru czystego i prawego, żaden w silce kolorytu nie przewyższył tój sceny, a każdy co ma w swym obrazie najcelniejszego, to odnajdzie tu niezawodnie. Jest to utarczka między szorstką prawością a służalstwem, między rycerzem a szambelanem; utarczka tём wiecj zajmująca, że prawość jest ubezwładnioną przez siłę wyższą a służalstwo tylko na tój obcej sile stoi. Każdy wyraz jaki Prometeusz rzuca służalcowi ciemniejszy jest pociskiemi wzgardy; nieczuły na dyplomatyczne jego zabiegi, na prośby i groźby, urągą zarówno Hermesowi jak i panu, w osobie ambasadora. Ten przykuty do skały męczennik miłości dla ludzi, króluje w tój chwili rzeczywiście, a chociaż mu grożą piorunami, zawałeniem gór i strąceniem w piekło, nie ustępuje i swoją przeprowadza wolę. Ślicznym rysem poety, uzupełniającym tę ponurą aureolę bohatera, jest to że kiedy zagrożenia już zaczynają się iścić, a Hermes nakłania dziewice do odwrotu, ażeby się nie dostały pod ogólną katastrofę, te, jakby przyciągnięte wielkością bohatera, nie odstępują i chcą los jego podzielić. Groźba się spełnia, przestworze szaleje, pioruny grzmia, i wśród tego zamętu urywa się dramat.

Gdybyśmy utwor ten, jako dramat, oceniać chcieli miarą krytyki dzisiejszej, przedstawiłby się nam jako dziwoląg. Jakoż, bohater główny nietylko ani na chwilę nie ustępuje ze sceny, ale poprostu nawet ruszyć się nie może, jako całém ciałem przykuty do skały. Z tego jedynego miejsca, niby z trybuny, żali się, rozprawia, oburza i gromi. Wyobraźmy sobie coś podobnego dzisiaj. Rozumie się że już dla tego samego żadna istotna akcja, w znaczeniu tegoczesnym istnieć tam nie może, tёмbardziej iż ten o którego głównie chodzi jest zgoła obezwładniony, a inne osoby wprowadzone na sce-

nę, ukazują się raczej w charakterze gości niż działaczy. W dodatku, długie opowiadania zapełniają z połowę utworu. To też dawna krytyka z wieku ośmnastego, spoglądająca powierzchownie na rzeczy sztuki, tylko z lekceważeniem odzywa się o tym utworze. „Niewiadomo co to jest ten „Prometeusz“ Eschylesa,—powiada Fontenelle (Rem. sur Aristophanes); niema tam ani treści, ani założenia, ale tylko wybuchy bardzo poetyczne i bardzo śmiałe. Mnie się zdaje, że Eschylos był to rodzaj waryata, posiadającego wyobraźnię bardzo żywą ale niebardzo porządną“. Dla Woltera wszystkie utwory Eschylosa tchną barbarzyństwem. Laharpe, niewolniczo trzymający się krytyki mistrza, nie uważa tego utworu za godny nawet tragedyi.—Zdania te zmieniły się dopiero od czasu krytyki Schlegla.

Jakkolwiek bądź, nawet z punktu teatru greckiego nie możemy nazwać „Prometeusza“ za dzieło pod względem technicznym i artystycznym skończone; niema nawet żadnego, między pozostałościami po Eschylosie, któremu by to przyznać można. Wydoskonalenie dramatu, ujęcie go w formę jednolitą, harmonijną, i jak to jednym słowem nazywamy, klasyczną, pozostawioném zostało Sofoklesowi, czego dowodem Elektra, Edyp. Antygona. Eschylos łamał dopiero pierwsze lody. On to właśnie nadał ten pierwszy ruch dawniej pieśni dytyrambicznój, ruch tak silny i niepowstrzymany, że, byle był popartym przez siły podobne, nie mógł już ustać i nie dociągnąć aż do Szekspira, a za nim do dzisiejszych form wykwintnych.

Tęj harmonii artystycznój, do jakiej uzdolnić się miała scena, daremnie szukalibyśmy w Eschylosie, a zwłaszcza w jego „Prometeuszu“; natomiast znajdujemy tam najbogatszy jaki być może, lubo w stanie surowym, dramatyczny materiał, cały skarb myśli tragicznój. Cóż stanowi życie dramatu? Wszak to konflikt pomiędzy dwiema siłami równymi a nie mogącemi się pogodzić. Otoż tu zachodzi ten właśnie konflikt, i jakież on odrazu ogarnia interesa: wszakżeż to walka przyrodzona pomiędzy prawem a przemocą, pomiędzy absolutyzmem a wolnością. Wprawdzie walce tej nie przypatrujemy się bezpośrednio, nawet jedna z osób walczących zgoła ukrytą jest przed nami, walka ta wisi raczej gdzieś w atmosferze, widzimy tylko jej skutki, ale istnieje ona rzeczywiście, i narzuca się nam jako przedmiot, jako wzór dramatu.—Z drugiej strony, co stanowi jego filary? Wszak to charaktery. A czyż podobna pomyśleć nawet charakter podatniejszy w tym celu, jak Prometeusz? Niezadowolenie z rządów samowolnych, obrona słabych, wytrwałość niezłomna, rzucenie wyzwania silniejszemu, ofiara z siebie samego i osamotnienie w przedsięwzięciu wielkiem a szlachetnem; wszystko to składa się ażeby Prometeusza uczynić postacią najsympatyczniejszą. Ten ogień niebieski, symbol twórczości i postępu, który dostaje się ludziom, jako mit, nie jest inwencją Eschylosa; ale postawienie dawcy tego dobra w takim oświeceniu, w jakim tu widzimy Pro-

meteusza, spełnia właśnie ideał bohatera dramatycznego. Przeciw wszelkim potęgom pożyczanym, wyobraża się w nim tu potęga indywidualna i samodzielna, z siebie tylko wysnuwająca pomysły i środki ku celom szlachetnym wiodące, która zwycięża i tryumfuje wtedy nawet gdy materyalnie upada. Pierwszeństwo tej myśli należy się tedy Eschylosowi, a myśl ustrojona w szatę poezyi groźnej ale niewymownie pięknej i oryginalnej, nie dziw że podała ją do rozprowadzenia wszystkim poetycznym myślicielom świata. Zasilali się nią, pierwszy Calderon, następnie: Milton i Göthe, Shelley i Byron. Czytelnik nie straci zapewne na tém jeżeli ją pozna w jej pierwiastku, w prototypie wszelkich buntowników przeciwko ustalonemu a gorszącemu ze względów moralnych porządkowi świata.

d. 14 maja 1887 r.

OSOBY TRAGEDYI.

PROMETEUSZ.

WŁADZA.

SILA (*osoba niema*).

HEFAISTOS.

OKEANOS.

JIO.

HERMES.

CHÓR OKEANID.

(Ponura i groźna okolica wśród kamienistych szczytów gór. Pustka i cisza dokola. Ku najwyższemu szczytowi sterczącemu skalisto zbliża się gromada. Jest to Tytan Prometej, prowadzony przez Władzę i Siłę; za niemi postępuje smutny Hefostos, z walskiami przyborami w ręku).

Władza. W dalekiej świata stoimy krainie:
 To nieprzebyte Scytyjskie pustynie.
 Hefescie! idąc za ojca rozkazem,
 Ty powinienes najtwardszem żelazem,
 Przekutem w łańcuch niespożycie trwały,
 Przybić złoczyńcę do tej stromiej skały.
 Bo on twe wykradł najświetniejsze kwiecie,
 Ogień wszechtwórczy, — rozrzucił po świecie
 Między śmiertelnych i zbrodnia niesłychana,
 Która chęć pomsty w nieśmiertelnych budzi.
 Niech się tu uczy czcić Zewsa, wszechpana,
 Ukróci kres swój miłości dla ludzi.

Hefestos. Zewsovy rozkaz, dla was, Władzo, Siło,
 Już się wypełnił, wszystko się skończyło.
 Lecz ja, by siłą kuć do strasznej skały
 Boga krewnego, nie jestem dość śmiały;
 A muszę zażyć śmiałości koniecznie,
 Bo z wolą ojca igrać niebezpiecznie.
 Prawej Temidy synu twórczej głowy,
 Ja cię przykuję twardemi okowy,
 Wbrew woli twojej i mojej, do góry
 Bezludnej, kędy żar, który przenika
 Od blasków słońca, zmieni kwiat twój skóry;
 Gdzie nie usłysz głosu śmiertelnika,
 Ludzkiej nie ujrysz postaci; zawczasie
 Rosę ci ranną słońce płoszyć zacznie,
 Zaslaniać światła noc strojna dziwacznie;
 Ciężar zła będziesz odczuwał boleśnie,
 Bez końca, póki na świat nie powstanie
 Ten, co ci przynieść ma uratowanie.

To skutki twojej dla ludzi przyjaźni.
 Sam bóg, bez bożej działając bojaźni,
 Bezprawnie w wielkiej stawileś ich chwale.
 Za karę, będziesz na okropnej skale
 Stróżował stojąc, bez snu i bez ruchu,
 Jęk nieczyjego twój nie dojdzie słuchu,
 Bo bezlitosnym jest umysł Zewsovy,
 I twardym wreszcie każdy władzca nowy.

Władza. Poco te zwłoki, po co nad nim jęki?
 Nie nienawidzisz, więc tego, co bogiem
 Sam będąc, bogów stał się istnym wrogiem,
 Gdy skarb twój boski ludziom dał do ręki? ¹⁾

Hefestos. Krewieństwo, przyjaźń,—silne to ogniwa.

Władza. To prawda; ale przeciw ojca woli
 Wykroczyć, czyż cię nie więcej zaboli?

Hefestos. Tyś zawsze śmiała i nielitościwa!

Władza. Bładanie nad nim, to nie żadna rada;
 Tobie też próżno stękać nie wypada.

Hefestos. Przekleństwo tej kowalskiej sztuce mojej!

Władza. Przecz ją przeklinasz? Prawdę rzec, to wcale
 Ona za powód w tej sprawie nie stoi.

¹⁾ Według teogonii Hezyoda, Prometeusz zwrócił tylko ludziom ogień zabrany im przez Zeusa, za karę podstępny w rozłożeniu objat. Eschylos, dla wzmożenia zasługi Tytana, przedstawia tę okoliczność tak, jakby on to dopiero przyniósł ludziom ogień z nieba, którego przedtém nie znali.

- Hefestos.** Czemuż jój inny nie dostał w rozdziale!
Władza. Wszechmoc udziałem jest bogów, a przecie Wolnym Zews tylko jeden we wszechświecie.
- Hefestos.** Widzę z wypadków, i przeczyć nie myślę.
Władza. Czemuż nie spieszysz, by go okuć ściśle Nim ojciec zwłokę zauważy twoją.
- Hefestos.** Patrzaj, obręcze gotowe już stoją.
Władza. Weź je, a ręce ująwszy w opaly, Młotem obręcze te przykuj do skały.
- Hefestos.** Toż to się robi: niepróżna robota.
Władza. Tłucz mocniej, ściskaj, by nie rozluźniały; Bo on tak biegły w środkach, że się gotów Z nierozwikłanych wywikłać kłopotów.
- Hefestos.** Nic nie wywikła ręki tak przykutęj.
Władza. Przykuj i drogą; choć zręczny, lecz trzeba By on się słabszym znał od władzcy nieba.
- Hefestos.** On jeden mógłby czynić mi wyrzuty.
Władza. Teraz pierś jego przygwoździ do ściany, Sztaby stalowój zęb nieublagany.
- Hefestos.** O! Prometeju, boleję nad tobą!
Władza. Nad wrogiem Zewsa znów jęczysz żałobą? Obyś nad sobą nie zajęczał w czasie!
- Hefestos.** Czy to co widzisz nie straszne ci zda się?
Władza. Zuchwałca tylko widzę kaźń surową, Lecz lędzwie jego ty ściśnij okową.
- Hefestos.** Zbyt nie rozkazuj, a to się wykona.
Władza. Będę; i nadto krzykiem cię udręcę. Zstąp niżej, weź mu golenie w obręcze.
- Hefestos.** Ot, trud niedługi; robota skończona.
Władza. Teraz mu do nóg przymocuj okowy, Bo sędzia robót twoich jest surowy.
- Hefestos.** Toż się z obliczem godzą słowa twoje!
Władza. Bolej, lecz zbyt niżej srogości i buty Mnie nie zarzucaj.
- Hefestos.** Późmy ztąd oboje:
 Na całym ciele już on jest okuty.
- Władza.** (*do Prometeja*). Teraz ty bluźnij bogom według woli, Z oznak czci ich odzieraj, aby niemi Zdobić mieszkańców jednodniowych ziemi, Choć ci niezdolni są ulżyć twój doli. P r z e z o r n y m cię nazwały bogi w niebie, Ale niesłusznie: terazby się tobie Przydał przezorny, coby o sposobie Zerwania oków uwiadomił ciębie.

(*Władza Siła i Hefestos odchodzą*).

Prometej. Boski eterze, skrzydlate oddechy
 Wiatrów, fal morskich nieskończone śmiechy!
 Rzeki, wszechmatko ziemio! wszechwidząca
 Tarczo słoneczna! wzywam was, przez bogi
 Bóg udręczony, rozdarty, a srogięj
 Męczarni mojej czas nie ma mieć końca.

Dla mnie to bogów władzca nowy
 Haniebne wymyślił okowy.
 Nad dolą mą zawodzę jęki,
 Obecną, przyszlą. Gdzież kres męki.

Co mówię? Przyszłość widzę ja dokładnie,
 I niespodziany cios na mnie nie spadnie.
 Cierpliwie znosić muszę co los zsyła,
 Bo nieprzepartą jest wyroków siła.
 Milczeć ni mówić nie mogę o doli
 Mojej, niestety! Wszystko co mnie boli
 Dzisiaj, pochodzi z tych darów, jakimi
 Uposażylem ród ludzki na ziemi.
 Pierwiastek ognia ja wykradłem, który
 W łodydze trzciny sprowadzony z góry,
 Przydał się ludziom jako środek wielki
 I stał się dla nich mistrzem sztuki wszelkiej.
 Za taką zbrodnię ponoszę te kary,
 Przygwożdżon w pętach na chłody i żary.

Lecz cóż to? Dziwa!
 Duch nieznany ku mnie sływa.
 Bóg li to, człowiek, mieszaniec jaki,
 Na odległe zaszedł szlaki?
 Czy to przypadkiem,
 Czy cierpień moich chce on być świadkiem?..
 Patrzcie! to ja podeptany
 Bóg i zakuty w kajdany,
 Zewsowi wrogi,
 Znienawidzony przez bogi
 Które do jego chodzą przybytku,
 Za to żem ludzi kochał do zbytku...
 Ah! Znów szelest ptasi słyse:
 Lekki ich skrzydeł szum się kołysze
 W powietrzu. Cobądź się zdarza,
 Wszystko mnie teraz przeraża.

(Ukazuje się na wozach chór nimf skrzydlatych).

Chór (strofa 1) Próżno się lękasz. Tłuszcza życziwa
 Żywym wysiłkiem skrzydeł przybywa
 Na szczyt tej skały, a trudu siła
 Było, nim wolę ojca zmiękczyła.

- Pęd rączych wiatrów tu mie przysła.
 Gdy żelaznego huki kowadła
 W nasz jaskiniowy wtargnęły dom,
 Mnie wraz opuścił dostojny srom;
 Na wóz skrzydlaty jam bosa wsiadła.
- Prometej.** Oh! oh! oh! Płodnej Tetydy córy
 I Okeana rodzica, który
 Fale swe toczy dokoła ziemi
 Bez wypoczynku, — patrzcie jakiem
 Okowy do tej skalistej góry
 Przywoźdżon, na jej urwisku dzikiem
 Nie do zazdrości mam być strażnikiem.
- Chór** (antistrofa 1). O, Prometeju! widzę, na oczy
 Chmura się zgrozy łez pełna tłoczy,
 Gdy patrzę jak się lżąco na skale
 W żelaznych pętach wędzi twe ciało.
 Inne w Olimpie władztwo powstało;
 Zewa nowe prawa, niesłuszne wcale
 Pozaprowadzał; pod jego siłą
 Niknie co przetem wielbione było.
- Prometej.** Ten, co mi straszne pęta nakłada,
 Czemuż nie strącił mnie w głębię ziemi,
 Nawet poniżej dzielnicy Hada,
 Który panuje nad umarłemi,
 W tonie Tartaru, gdzieby ni bóg
 Ni inny ze mnie niemiał uciechy.
 Lecz nie! Jam pastwą wiatru, a wróg
 Nad mem cierpieniem zawodzi śmiechy.
- Chór** (strofa 2). Czy jest który między bogi
 Coby umysł miał tak srog
 By się cieszył z twój niedoli,
 Nie odczuwał co cię boli,
 Oprócz Zewa? On gdy wstanie
 By niezłomne wyrzec zdanie,
 Zawsze w uściech jego gniew,
 Niebian rad ujarzmić krew.
 I to póty będzie trwało,
 Aż się zjawi ktoś, co śmiało
 Sięgnie po to panowanie;
 Choć niełatwo to się stanie.
- Prometej.** Iście chciałem ja zelżony,
 Silnie skuty z każdej strony,
 Ten król niebian jeszcze będzie
 Potrzebował mnie we względzie
 Zimowy która ma za treść
 Berło odjąć mu i cześć.

Lecz nie wzruszy mnie namowa
 Strojna w czar słodkiego słowa,
 Nie przestraszą mnie niczyje
 Ostre groźby; nie odkryję,
 Aż z pęt strasznych wyswobodzi
 Mnie i krzywdę mą nagrodzi.

Chór (antistrofa 2). Zawsześ dumny i zuchwały,
 Mimo że ból ci doskwiera
 I twa mowa niezbyt szczerą.

Mnie zaś ima lęk niemały,
 Drzę o los twój: bo i kiedy,
 Możesz dojrzeć kres swój biedy,
 Gdy syn Chrona narów hardy
 Ma, a w sercu równie twardy!

Prometej. Ja niezłomność Zewsa znam;
 Prawem on jest sobie sam.
 Lecz nań przyjdzie ciężki czas,
 To i serce zmięknie wraz,
 Gniew uparty się ukoi;
 Z gotowością równą mojej
 Przyjaźń ze mną on zabierze
 I sam wezwie o przymierze.

Chór. Jeśli-ć przykości to nie sprawi wielkiój,
 Powiedz nam, proszę, wyjaw szczegółów wszelki,
 O co oskarża cię, za jaką zbrodnię
 Zews się tak srogo mści i tak niegodnie?

Prometej. Mówić czy milczeć, ból mi niesłychany,
 Ból w każdym razie. Pomędzy niebiany
 Jęła się szerzyć nienawiść, a dalej
 Wybuchł i rozbrat. Jedni namawiali
 By Chrona zrzucić z tronu i Zewsowi
 Oddać rząd; inni, przeciwnie, gotowi
 Byli wojować ile siły stanie
 Aby powstrzymać Zewsa panowanie.
 Ja wystąpiłem z rady przezornemi,
 Ale Tytanów, tych Nieba i Ziemi
 Synów, przekonać nie mogłem: forteli,
 Butni umysłem, używać nie chcieli,
 Gardząc zręcznością, pewni byli że się
 Przez samą siłę zwycięztwo odniesie.

Ja od méj matki, Prawości, czy Ziemi
 (Jednej osoby jest imion niemało),
 Słyszałem wszystko to co stać się miało
 W przyszłości, i to że z potężniejszymi
 Na nic się przyda ni buta ni siła,
 Lecz trzeba sztuki aby zwyciężyła.

Jam im to słowem wykladał, lecz ani
 Raczyli na mnie patrzeć ci Tytani,
 Skoro tak, mnie też najlepszem się zdało,
 Z matką, po stronie Zewsa stanąć śmiało,
 Iść ręką w rękę z nim. Moja to rada
 Że stary Kronos na głowę zapada
 W czarną Tartaru otchłań ze współniki.
 Tą oto dzielną przysługą przezemnie
 Zobowiązany król bogów, wzajemnie
 Odpląca, dręcząc mnie w sposób tak dziki.
 Snadź się wszechwładztwu choroba udziela
 Ta, by niewierzyć w prawość przyjaciela.
 A co pytacie, za co mnie w tej sprawie
 On tak znieważa, zaraz wam wyjawię.
 Załedwie zasiadł Zews na owym próżnym
 Tronie ojcowskim, wnet jał różne różnym
 Bogom rozdzielać dary i urzędy,
 Urządził państwo; tylko jego względy
 Ludzkie nieszczęsne pominęły plemię:
 Zniszczenie miało być jego udziałem,
 I Zews chciał nowe wytworzyć na ziemię.

Nikt nie sprzeciwiał się, prócz mnie... **Ja śmiałem!**

Że plemie ludzkie w Piekło nie runęło,
 Spiorunowane, — jest to moje dzieło.

Za to spotkała mnie ta kaźń głęboka,
 Bolesna ciała, nieznośna dla oka,
 Cierpię przez litość dla śmiertelnych ludzi,
 A mój stan w nikim litości nie budzi.
 Dziko przez Zewsa zgnębniony w boleści,
 Przedstawiam widok który go bezcześci.

Chór.

Z żelaza serce miałby lub ze skały
 W kimby twe męki żalu nie sprawiały,
 Jaby im widzieć nie chciała, przyznając:
 Lecz skoro widzę, serce mi się kraje.

Prometej.

Zyczliwych, widok mój iście zaboli.

Chór.

Nie zadalekoś zaszedł w swoim trudzie?

Prometej.

Owszem, jam sprawił że nie mogą ludzie
 Nieuniknionej przewidywać doli.

Chór.

Jakżeż zakryłeś im przyszłe koleje?

Prometej.

Tak, żem w nich ślepa umieścił nadzieję.

Chór.

To dla śmiertelnych korzyść jest nielada.

Prometej.

A nadto z nieba ogień im przyniosłem.

Chór.

Więc ród znikomych dziś ogień posiada?

Prometej.

Przezeń niejednem wzmacnia się rzemiosłem.

Chór.

Za takie tedy Zews zbrodnię cię nęka,
 Nie przerywając cierpień ani chwilką?

- Nigdyż mieć kresu nie będzie twa męka?
Prometej. Jój kres od niego zależnym jest tylko.
Chór. Zechceż on? Jakaż nadzieja cię krzepi?
 W działaniach twoich czy błędu nie było?...
 Lecz mówić o tém wcale mi nie miło,
 A tobie słuchać; więc przestańmy. Lepiej
 Pomyśl jak pozbyć się niewoli srogiej.
Prometej. Temu kto w biedę nie uplątał nogi
 Łatwo przemawiać do tych co zbłądzili
 I radzić. Ja zaś wiedziałem co robię.
 Błąd mój umyślny był,—nie przeczę tobie,—
 Umyślny. Ludziom by pomódz w złej chwili,
 Popadłem w zgubę. Tego jednak wcale
 Nie przypuszczałem co mi dziś przypada,
 Ze tu schnąć będę na wyniosłej skale
 Wpółśród samotnych szczytów: bez sąsiada.
 Lecz nie bolejcie nad mą dolą srogą
 Obecną, raczej nadół stąpcie nogą
 I posłuchajcie przyszłej doli mojej.
 Nie odmawiajcie! Wzbudźcie litość w sobie
 Dla cierpiącego strasznie. W każdej dobie
 Nieszczęście ptakiem oblata dokoła,
 Tego, owego, czepiając się czoła.
Chór. O, Prometeju! życzenie twe,
 Jako słyszałam. tak spełnić chcę.
 Z lotnych więc siedzeń ja lekką nogą
 Skoczę; powietrzem, przezczystą drogą
 Ptaków, się przemknę na stromy złam,
 Byś całą klęskę dał poznać nam.

(*Na koniu skrzydlatym przybywa Okeanos*).

- Okeanos.** Po długię ja tu drodze,
 Prometeju, przychodzę,
 Przez ptaka szybkie skrzydła niesiony,
 Kierując go w te strony
 Bez uzdy, mocą woli.
 A wiadomo ci ninie
 Jak współczuję twój wielkięj niedoli.
 Z pokrewieństwa zapewne to czynię;
 Lecz, bez względu na wspólność tój krwi,
 Milszym niktby mi nie był niż ty.
 Pochlebniemi nie igran ja słowy,
 Wkrótce poznasz prawdziwość mój mowy...
 Natychmiast tylko mi wskaż
 W czém pomoc ma pożądana,

A nigdy nie powiesz że masz
Przyjaciół trwalszych nad Okeana

Prometej. Przybywasz widzieć męczarni mój brzemię!
Jak śmiałeś rzucić twe imienne fale,
Grot samorodnych pełne, kutyh w skale,
By zwiedzić tę żelazodajną ziemię?
Przybywasz, ciekaw mych losów, atoli
Przyjmując udział zarazem w niedoli:
Przypatrz się tedy. Druh Zewsa: a oto
Jaką mnie straszną obarczył sromotą,
Za to że pomógł mi osiągnąć władzę.

Okeanos. Tak Prometeju, widzę to i radzę
Ci jaknajlepiej, ile mi się zdaje,
Choć przezornemu. Ty zmień obyczaje,
Wejdz w siebie, skoro wznosił się władca nowy.
Jak będziesz miotał zuchwałemi słowy,
Zews je usłyszy choć z wyżyn, a wtedy
Igraszką zdadzą-ć się dzisiejsze biedy.
Porzuć, nieszczęsny! gniew co tobą miota,
Staraj się pozbyć utrapień żywota.
Brednią starego zdają-ć się me słowa.
Lecz zważ, co w zysku ostry język chowa.
Tyś przed nieszczęściem nie uchylił głowy,
Jakbyś do dawnych chciał dodać cios nowy;
Lecz jeśli miłą tobie moja rada,
To przeciw ostrzu nie wyciągniesz nogi,
Widząc że ninie na tronie zasiada
Władca jedyny, bezwzględny i srogi.
Teraz ja pójdę, spróbuję ażali
Moje wstawienie ciebie nie ocali.
Ty zaś bądź cicho, nie nadużyj słowa:
Jako biegleszy, wiesz pewnie że mowa
Pociąga karę jeśli jest zuchwałą.

Prometej. To szczęście twoje że cię niespotkało
Nic złego, chociaż równość winien ze mną; ¹⁾
Ale daj pokój, nie trudź się daremno.
Ty go nie zmiękczysz, bo to twardy władzca,
Jeszcze co złego ztąd na ciebie spłynie.

Okeanos. Lepszy ty innym niż sobie doradzca:
Mam tego dowód nie w słowie lecz w czynie.
Mnie zaś nie wstrzymuj. Tuszę sobie, tuszę,
Ze mi Zews twoje daruje katusze.

Prometej. Za dobre chęci twe niewyczerpane
Wdzięczny ci jestem i być nie przestanę;

¹⁾ Niewiadomo dla czego. W walce Zeusa z Tytanami udziału Okeanos nie przyjmował.

Lecz nie wysilaj się: usiłowanie
 Twe najzyczliwsze daremném się stanie.
 Siedz więc spokojnie, trzymaj się w oddali.
 Ja, nieszczęśliwy, pragnę, —niech się strzegą
 Inni, w nieszczęście by nie popadali.
 Jeszcze mnie gryzie dola brata mego
 Atlasa, który, na zachodnim kresie, ¹⁾
 Nieba i ziemi słup dźwigając, gnie się
 Bo ciężar to nielada. Niedaremnie
 Mieszkaniec pieczar Cylicyjskich we mnie
 Budzi téż litość: Ziemi syn, złowrogi
 Olbrzym, stugłowy Tyfon ów zuchwały,
 Siłą powalon. On na wszystkie bogi ²⁾
 Powstał, śmierć straszne jego szczęki ziały,
 Z oczu Gorgoński szedł ogień, jak gdyby ³⁾
 Miał Zewsa władzę skruszyć bez ochyby.
 Lecz czujny podisk, zionący płomieniem,
 Ozwał się w górze i pokrył milczeniem
 Zuchwałę groźby: w samo wnętrza ciała
 Rażon, spopielał, siła uleciała.
 Teraz bezwładném cielskiém, wzdłuż wybrzeży
 Morskich, pod Etny korzeniami leży
 Przybity, Hefest zaś na samym szczycie
 Siedzi i kuje. Ztąd kiedyś obficie
 Luną potoki ognia i straszniemi
 Zębami zniszczą piękno płodnej ziemi
 Sykelskiej pola szerokie. To iście ⁴⁾
 Tyfon, choć Zewsa piorunem zwęglony,
 Prąd swój wściekłości puści tak ogniście,
 Odmęt płomieni miotając na strony.
 Lecz ty, doświadczon, bez mojej nauki
 Potrafisz sobie radzić jak należy:

¹⁾ Atlas, syn Japeta, skazany na to ażeby wiekuiście stał na krańcach zachodu i dźwigał na barkach skłopionie nieba (właściwie góra w Afryce północnej).

²⁾ Tyfon, syn Ziemi i Piekła (Tartaru), posiadał właściwości tak straszliwe i budził nadzieje tak przerażające, że gdyby mu dozwoloném było doczekać się rozwoju sił, nikty nie był zdolnym mu się oprzeć, i on zagarnąłby najwyższą władzę. Obawiając się tego Zeus, strącił go z Olimpu uderzeniem piorunu i zwałił w Podziemie.

³⁾ Gorgony—trzy Jędza, istoty najendowniejsze z całej legendy grockiej w utworzeniu których wyobraźnia pozwoliła sobie najszerszego udziału; mają one nawet pewną cechę oryginalną, stanowią zaś przeważnie wyobrażenie klęsk wszelakiego rodzaju, pomsty za winę lub błąd, i t. p.

⁴⁾ Jest to oczywiście alluzya do wybuchów wulkanicznych Etny, które przypisuje posta podmuchom pogrzebanego pod nią Tytana.

- Ja zaś z mą dola zgodzę się, dopóki
Zewswy na mnie gniew się nie uśmierzy.
- Okeanos.** Więc nie uznajesz że mogą być słowa
Lekarstwem duszy, jeżeli niezdrowa?
- Prometej.** Tak, gdy ktoś słowa rzuca w dobrą porę,
Nie czyniąc gwałtu sercu, które gore.
- Okeanos.** Co widzisz złego w tém, powiedz, jeżeli
Ktoś się przezornie wybadać ośmieli?
- Prometej.** W tym razie zachód daremny i głupi.
- Okeanos.** Niechże się na mnie to złe dzisiaj skrupi;
Ja się nie trwożę, bo najlepsza sprawa
Gdy się rozumny rozumnym nie zdawa.
- Prometej.** Mnie to za winę poczyta się nową.
- Okeanos.** Prawda: do domu zwraca mnie twe słowo.
- Prometej.** Oby ci żal twój nie przysporzył wroga!
- Okeanos.** W tym co siadł świeżo na wszechmocnym tronie?
- Prometej.** Strzeż się zadrażnić dumę w jego łonie.
- Okeanos.** Nieszczęście twoje, dobra to przestroga.
- Prometej.** Jedź zatem, spiesz się, a zachowaj w sobie
Wszystkie uczucia obecne.
- Okeanos.** Tak zrobię.
Rzekłeś, gdy ja się gotuję do drogi,
Już tnie skrzydłami mój ptak czworonogi
W przestwór powietrzny: rzecz mu pożądana,
W domowej stajni rychlej zgiąć kolana.

(Okeanos odjeżdża).

- Chór** (strofa 1). Prometeju, ja boleję
Nad niedolą wielką twą
Z mych się słabych oczu leje
Płaczu zdroj, wilgotną łzą
Roszę lica; bo Zews srogi
Swoje tylko prawa głosi,
A zuchwałe berło wznosi
Nad dawnemi bogi.
- (antistrofa 1). Jękiem kraj rozbrzmiewa cały!
Starożytnój, świetnej chwały,
Czci wspaniałej, którejś wprzód
Ty zażywał i twój ród,
Strata ciężko boli.
Każdy naród, który blisko
Świętej Azyi ma siedlisko,
Współczuje twój niedoli.
- (strofa 2). Płaczą dzielne dziewoje
Którym pilno na boje,
Mieszkające w Kolchidzie; a z niemi
Liczna Scytów gromada,

Ta co w bagnach zasiada
 Meotyjskich, na krańcu gdzieś ziemi. ¹⁾
 (antistrofa 2). I ci, którzy na stromiej
 Twierdzy mają swe domy
 Pod Kaukazem, Arabskiej znów ziemi
 Kwiat wojenny: zuchwała
 Ta drużyna, lśni cała
 Zbrojna w dzidy z koleyma ostremi.
 (epodos). Znałam ja przedtém jednego boga,
 Którego dola zgnębiła sroga:
 To Tytan Atlas wzięty w kajdany,
 Na mękę wieczną skazany.
 Na barkach,—okropne brzemię!
 Potężny biegun łączący ziemię
 I nieba strop,
 Dźwiga on jęcząc bez miary.
 Prąd morza pluszcze u jego stop,
 Drgają Hadesa czarne pieczary,
 Ryczą przepaści, a święte źródle
 Rzek smutne skargi zawodzą swoje.

(Dok. nast.).

¹⁾ Morze Azowskie.

Poświęcenie Kazi.

OBRAZEK POWIEŚCIOWY.

PRZEZ

M. Grzymałę.

Z poźółkłym ze starości listem w ręku, wpatrzona w jego poważne karty, zapłakana, siedziała Kazia w skromnej swój bawialni wiejskiej, zaniedbanej w tój chwili, czego dawniej nigdy tutaj nie bywało. Kurz pokrywał świecące niegdyś podłogę i mebelki i popoźółkłe więdnące kwiatki na okienkach; ale bo tóż i Kazię samą okrywała czarna ponura suknia, z szerokim białym lampasem, *ploureuse* ą dziś u nas nazywanym; a jedno tłómaczyło drugie. Trzój chłopcy, od dziewięciudo trzynastu lat wieku, bawili się w konie, brykając i swawoląc przed oknami dworku na podwórzu. Kazia spoglądała na nich. — To dobrze — myślała, a nawet i szeptała do siebie—to bardzo dobrze, że nie czują i nie rozumieją: po co mają cierpieć... ja czuję i rozumiem i nie poradzić nie mogę, jak i wprzódy nie poradzić nie mogłam, czy nie umiałam,

„W przódy“ odnosiło się do czasu, w którym należało ratować matkę, upadającą pod brzemieniem trosk i obowiązków. I znowu oczy Kazi zwracały się od braci na list stary, trzymany w ręku. List ten, który matka w przeddzień śmierci kazała Kazi wyszukać w skrytce staroświeckiego biurka i odpisać nań, opiewał w tych słowach:

Droga panno Anielo!

Nie po to znaliśmy się od niemowlęcych latek, abyśmy dzisiaj nie mieli się rozumieć: pojmuję najzupełniej, że Ty, pod naciskiem opiekuńczej władzy i okoliczności, nie możesz dłużej czekać na spełnienie kiedyś tam moich wielu wątpliwych nadziei. Widzę Cię oczyma duszy, bladawy pączku polnój róży, chwiejący się pod wiatru powiewem. Wymagać od Ciebie, w imię dziecięcych przyrzeczeń,

abyś nie chwiała się, byłoby okrucieństwem despotyzmu miłości; tém bardziej, że opiekunowie Twoi mają słuszość. Tak jest. Któż zaręczy?... A zatem, zwalniam Cię z dziecięcych przyrzeczeń, zwalniam bez cienia goryczy, choć z żalem serdecznym; a także z prośbą, na którą wszystkich wspomnień powagą nastaje. Oto, jeżelibyś kiedy, od czego niechaj Cię Bóg chroni, znalazła się w potrzebie wiernój braterskiej dłoni, zwróć się do mnie. Błagam o ten dowód, że nigdy nieporozumienie nie istniało między nami. Błagam i żądaję w zamian za zwiędłe nadzieje moje. Pamiętaj, że jestem Ci krewnym, i że szczerze uznaję, iż Ty musisz i powinnaś poświęcić się dla rodziny,

Maryan.

Data powyższego listu dowodziła, że był pisany przed dwudziestu laty, a dziesięć dni temu Kazia, za dyktowaniem matki napisała nań odpowiedź, która była wezwaniem o pomoc dla sierot pozostających bez opieki.

Dziesięć strasznych dni i nocy już upłynęło; już chłopcy bawili się w konie, a Kazia dotąd płakała bezradnie, wyrzucając sobie, że płacze, gdy działać powinna i — płacząc, że działać nie umie.

— Co czynić? Co czynić o Boże? — pytała sama siebie po tyśiąć razy i odpowiadała sobie:

— Przedewszystkiēm myśleć o wychowaniu chłopców; ostatnie słowa matki o tēm były.

Tak, myśleć; Kazia myślała i płakała, ale zrobić nie umiała nic więcej, jakkolwiek jako pomocnica i wyręczycielka matki bywała czynną i energiczną. Ale bo też wówczas nie była tak strasznie nieszczęśliwą, nie była sierotą. Zresztą, Kazia miała dopiero szesnaście lat. Maszyna gospodarcza skrupulatnie nakręcana i pilnowana od kilkunastu lat przez wążką i prostoduszną, lecz żyjącą dla dzieci swych kobietę, szła jeszcze dotąd jako tako mocą nadanego jēj popędu, ale wkrótce musiała ustać oczywiście, jeżeli energiczna ręka nie zajmie się nią znowu. A przecież od jēj funkcyonowania, od zysków osiągniętych z tēj wioseczki skrounnej, acz nazywanj przez sąsiadów złotēm jabłkiem, zależało wychowanie chłopców. Chwilami przystępowala do Kazi bohaterka odwaga:

— Co tam, zabiorę się do roboty całą siłą — myślała — wszak matka ledwo pięć lat była starszą, gdy wdową z dziećmi została, widziałam jak rządziła, będę robić wszystko tak samo, będę składać grosz do grosza, żeby chłopców do szkół pooddawać... — Tak, ale jakże tu wziąć się do dzieła, kiedy Jantek, rachując na brak doświadczenia paniēnki, myli się nosząc owies do arendarza zamiast do stajni. Gdy mu się tego dowiedzie, łapiąc go na uczynku, gotów porzucić służbę jako obrażony na honorze, przez to, że złodziejstwo jego odkryto, a w tedy... trudno się będzie obejść bez niego, a innego nie ma na zawołanie...

Przy najpierwszym nastęrczającym się szkopule drobiazgowego gospodarstwa Kazia uczuwała swą bezradność i powstrzymywała

się od działania właśnie dla tego, że miała już pewne doświadczenie i rozsądku tyle, aby z góry bez próby oceniać właściwie i położenie i swą bezsilność. I znowu brała do ręki ów list stary, patrząc nań przez łzy, bo nie miała w nim żadnej nadziei, tylko matka stała jej przed oczyma, matka, jakże osamotniona i nieszczęśliwa w ostatnich chwilach, jeżeli aż w tych kilku ulotnych wyrazach z przed dwudziestu laty musiała położyć ufność.

Trzaśnięcie z bata przerwało te rozpaczliwe dumania, i zgrabny powozik w parę siwków bystrolotnych zatrzymał się przed gankiem. Kazia cofnęła się od okna mocno zdziwiona. Z kądże bo wzięło się panu Janowi z Wiśniówki przyjeżdżać tutaj, gdzie nigdy dotąd, prócz jednej jedyną próby, nie bywał? Pan Jan Wiśniewski, ten najbliższy sąsiad, który, jak utrzymywała matka, przeszedł w krótkie na dzieciństwo ładną acz niewielką fortunę, zostawioną mu przez stryja, raczył zauważyć Kazię po raz pierwszy przed miesiącem dopiero, gdy z woli matki—włożywszy po raz pierwszy długą suknię i całe ubranie skromne, lecz prosto z magazynu przystane, pojechała w niedzielę z nią do kościoła wystrojona jak nigdy w życiu. Pan Jan w kościele patrzył wtedy na Kazię przez binokle, co tak oburzyło matkę, że zakazała jej pokazywać się, gdy nazajutrz przybył w odwiedziny z księdzem proboszczem.

A teraz oto wchodzi Jaguś pokojowa, oznajmując z wielkiem własnym zdziwieniem, że pan z Wiśniówki przyjechał i pyta czy może się widzieć z panienką?

— Powiedz, że przepraszam, że bardzo mi jest to przykro, ale widzieć się z nikim nie mogę, gdyż...—bez namysłu zaczęła Kazia, lecz urwała nagle, bo gość stał już we drzwiach, nie czekając odpowiedzi na swe pytanie. Lekceważenie to dotknęło młodą panią domu, ale zbytnia śmiałość gościa zakłopotala ją jednocześnie; nie wiedziała biedaczka co począć na razie, choć stanowczo idąc za natchnieniem matki, unikać chciała wszelkich stosunków z tym „kawalerem“ wziętym w okolicy, i oglądającym panny w kościele przez binokle. On tymczasem rzekł:

— Pani, wiem, że przybywam nie w porę, ani potrzebny tu wcale, lecz nie mogłem się dłużej powstrzymać. Matka pani nie chciała pamiętać, że istnieje pomiędzy nami powinowactwo, które dawało mi prawo przynajmniej starać się o jej łaski. Nie wątpię, że musiałem zasłużyć, acz niechęcy na jej niechęć, niewiem przez co, ale dla tego właśnie przybywam, aby naprawić krzywdę, wyrządzoną przez to samemu sobie: powiedz mi pani moje winy, albo pozwól sobie przypomnieć, że i jam sierotą po stryju, godnym nazwy ojca najlepszego, jak ty jesteś sierotą po najlepszej z matek, pozwól sobie przypomnieć, że sieroctwo i powinowactwo, pokrewieństwo, zarówno czynią mię bratem twoim!.. i tych sierot... — Gość wskazał przez okno na trzech rozswawolonych chłopców; Kazia spojrzala na nich, spojrzala w jego lżą zaszele oczy, chciała coś odpowiedzieć, usta jej

zadrżały i zalała się łzami. Osunęła się na krzesło, zakryła twarz chustką i płakała. Pan Jan przysunął sobie krzesło, siadł tuż naprzeciw niej, położył delikatnie rękę na jej lewej ręczce, opuszczonęj bezwiednie na poręcz fotelu, i powstrzymując głębokie westchnienia w męskiej piersi... czekał...

Jadąc w te odwiedziny, pomyślał mimowoli, że jedzie na zdobywie twierdzy małej, a ujrawszy ły Kazi, poznał, że twierdza kapituluje, i nie pomylił się. Teraz dawał czas załodze do rozmyśłu, nie wątpiąc, że rozmyśl na jego korzyść wypaść musi. I znowu się nie mylił. Bywają bo geniusze strategiczne domorośle, nieomylnie, wtedy zwłaszcza, gdy działają w dobrzej wierze. A takim właśnie był pan Jan. Był on młodym, co niczego nie dowodzi, ale wiele tłumaczy; stryj jego był istotnie w dalekiem powinowactwie z matką Kazi; Kazia podobała się istotnie panu Janowi wówczas, gdy patrzył na nią przez binokle a widziana teraz nieuzbrojonem okiem, nie traociła wcale. Zatem wszystko, co p. Jan nie tylko mówił, ale nawet co myślał o braterstwie, jeżeli nie z Kazią to z jej braćmi, było szczerą prawdą, dla tego właśnie tém pewniej do celu trafiło. Znękane dziewczętko pozwoliło sobie zabrać obietnicę tegoż popołudnia, że będzie ufać panu Janowi jak starszemu bratu, którego tak bardzo potrzebowała w istocie. Wprawdzie po jego odjeździe, zastanowiwszy się, zdumiała i przelęknęła się razem, iż mogła czuć, myśleć, i działać cokolwiek tak przeciwnego woli matki, ale cofnąć się trudno było; tém trudniej właśnie, że z pozoru nie zaszło nic stanowczego, nie coby można nazajutrz zniweczyć. Pan Jan ze swęj strony kładąc się spać w swoim dworku przerobionym z lekka na pałacyk, myślał, tworząc jednocześnie artystycznie dokładne kółka z tytoniowego dynu:

— Wiśniówka zaszargana jak sto diabłów... Niech ją diabli porwą!.. sam niewiem jak to się zrobiło. Kazia miłe dziewczętko, a złote jabłko niedarmo złotem jabłkiem nazwane. I w istocie mam dla tych sierot obowiązki, bo są mi krewni. Co tam, poświęcę się! Wezmę Kazię, oddam do szkół tych żbików jej braci, tylko... tylko wprzód choć na jeden rok muszę odetchnąć w Paryżu... Choć jeden rok! Ach! Paryż!..

W chwili, gdy p. Jan tak dumał, a Kazia oburzona mocno na siebie samą kłęzczała w swęj sypialni, usiłując w modlitwie wynaleźć ucieczkę przed dręczącemi ją myślami, psy ozwały się ujadając gwałtownie i Jagusia wbiegła szepejąc.

— Proszę panienci... jakiś pan przyjechał!.. — W bawialni chodził tam i napowrót nierównym krokiem mężczyzna już nie młody i za wejściem Kazi podał jej list przez nią samą przed dziesięciu dniami pisany, mówiąc stłumionym głosem:

— Spóźniłem się, bo list nie zastał mię w domu. A ile was jest, dzieci? — wziął dziewczynę za obie ręce i poprowadził ku skąpemu światłu, przypatrując jej się z ciekawością.

Kazia ptryzała także, odpowiadając na krótkie pytania, starając się nie płakać.

— Stało się — rzekł po chwili, zaczynając znów chodzić tam i napowrót po bawialni — straciliście matkę, pozostaje wam wuj! Pamiętaj, że mam wujem. Nie odjadę ztąd, chyba chwilowo, aby zajrzeć do własnej chaty, — dopóki nie oddam cię uczniemu mężowi, a chłopców nie postawię na własnych nogach. Tu na strychu — wskazał palcem w górę — musi być niezajęta ta izdebka, w której za studenckich czasów sypiałem podczas wakacyj? Tam zamieszkać. Dzieci śpią? Jutro z nimi się poznam. Dobrej nocy, o ile może być dobrą dla ciebie teraz, moje dziecko. Śpij, jeżeli zdołasz. — Położył dłoń na jej głowie i zdjął ją natychmiast, kierując się ku drzwiom:

— Jaktó, panie, chciałbyś się zupełnie dla nas poświęcić? — wyjąknęła Kazia, odurzona stanowczym zachowaniem się pana Maryana i czując, że należy przecieź coś powiedzieć. On zadrzał i szybko się ku niej zwrócił z takim wyrazem gniewu w błyszczących oczach, że aż się cofnęła:

— Tylko ten wyraz wymaż, proszę, z twego słownika, gdy do mnie mówisz! — zawołał — bo profanowanie go gniewa mię, tém bardziej, że mać słabe głowy: nie ma poświęcenia w zakresie praw tego świata, położcie na jego miejscu „obowiązki“ a będziecie w porządku; obowiązek jest tak bezbrzeżnie rozległym, że na poświęcenie nie starczy miejsca ani pojęcia. To też poświęcenie jedyne, rzeczywiste musiało koniecznie przyjść z poza granic doczesności, a wszelkie ofiary poprzednie były jego figurą tylko, jak wszelkie następne są pamiętką. Ogromu nieszczęść uniknąłby człowiek, gdyby poświęcenia nie pomieszał z obowiązkiem; i zwycięży nieszczęście, gdy kiedyś dwa te wyrazy mieszać przestanie!

Wuj Maryan wyszedł szybko, a Kazia została przez chwilę nieruchoma, potem z wrażeniem jakby zawrotu wróciła do sypialni swjej, wspólnej dawniej, z matką i mimo wzruszeń całodziennych zasnawszy w krótko, uczuła się we śnie dzieciną małą, siedzącą jak przed laty u kolan matki, z uczuciem dziecięcego spokoju, jakiego od dawna już nie znała. Wstawszy nazajutrz, nie zastała już wuja, jak częstokroć nie zastawała matki, dozorującej pozadomem gospodarstwa, i jak za czasów matki — sama zajęła się domowem. Zaciekawieni chłopcy i służba dopytawali, chodząc na palcach, o tego wuja, o którym nikt dotąd nie słyszał, a którego Kazia przedstawiła całemu domowi w kilku słowach:

— To jest nasz wuj, który zamieszka z nami. — Nazajutrz służba zdecydowała, że pan — pasuje do naszego domu jakby tu urósł — i przestano się dziwić. Gospodarka weszła w karby ściślejsze niż kiedykolwiek.

Na trzeci dzień po przybyciu wuja Kazia otrzymała z Wiśniówki bukiet i list, oddane jej z pewną tajemniczością w sadzie

przez małego lokaika, którego pan Jan niewiadomo czemu zamiast zwać jak należało Wojtusiem, zwał grumem, co cała wieś przerobiła na „guma“

„Pani — pisał pan Jan — w chwili, gdy pozwoliłaś mi powziąć nadzieję, że ufać mi możesz, i gdy ja szalony zaczynałem już marzyć, że z czasem ufność Twoja da mi prawo do ściślejszych jeszcze niż braterskie węzłów.., niespodzianie przyjechałaś obcą jakąś opiekę, nie wspomniawszy mi o tém postanowieniu. Co mam myśleć? Nic innego jak tylko, że lekceważysz najświętsze moje uczucia, że poświęcenie życia mego i pracy dla dobra Twego i Twoich braci uważasz za lekkomyślną gawędę z méj strony. Dotknięty do głębi duszy zrywam z przeszłością, porzucam rodzinne gniazdo, gdzie nie mógłbym żyć dłużej po doznanej zniewadze; jeżeli dość powierzchowne w istocie wykształcenie moje było przyczyną lekceważenia, jakiego zawsze doznawałam od ś. p. matki twojej, Pani, to szkopił ten, tama ta, musi zniknąć między nami: jadę pracować, uczyć się; nie śmiać ani spodziewać się ani prosić, abys z ostatecznym twém zdaniem o mnie poczekała aż do powrotu

poświęconego i oddanego Ci w każdym razie na resztę życia

Jana

Nie wiadomo jak długo byłaby Kazia stała w sadybie nierucho-
ma z tym listem w ręku, wodząc po nim oczyma od początku do
końca i napowrót, gdyby w drzwiach dworku nie pojawił się
wuj Maryan wracający z pola na śniadanie; dziewczyna mimowo-
li skryła list w dłoni i pospieszyła do obowiązków.

— Czyliż więc istotnie to, co wówczas mówił pan Jan, mia-
ło znaczyć to, co teraz napisał? — myślała krzątając się. — Ale cóż
on napisał?..

Kazia w żaden sposób nie umiała sobie odpowiedzieć jasno
i dokładnie na to pytanie. Gdyby miała jeszcze matkę pokazała-
by jęj ten list tajemniczy; była chwila, w której już wujowi Ma-
ryanowi pokazać go chciała, wstrzymał ją wzgląd na wyraz
„poświęcenie“ w liście użyty a mający przywilój gniewania wuja;
kto wie zresztą, czy to ten wzgląd jedynie ją powstrzymywał, ale
to pewna, że ona sama tak sądziła.

— Rozgniewałby się, po co go gniewać — myślała. Takim
sposobem, nie mając nikogo, z kimby mogła listem się po-
dzielić „ogadać“ go i przestać o nim myśleć, Kazia myślała o nim
właśnie bezustannie, przypominając i komentując teraz dopiero
troskliwie najdrobniejsze szczegóły owęj pierwszój i jedynój roz-
mowy z tym kandydatem na brata, który teraz o jakichś bliższych
węzłach wspominał. Takie ciągle myślenie o jednym i tym sa-
mym przedmiocie doprowadziło przecież wreszcie do stanowczych
następstw. Dziewczyna wytkómaczyła sobie, że pan Jan pokochał
ją stanowczo wówczas, gdy jęj się przez binokle przyglądał, że

miał zamiar z nią się ożenić i że ona, gąska biedaczka, nie zrozumiałwszy na razie przezroczywych jego oświadczeń, podała się niechęć w podejrzenie, iż te jego zamiary lekceważy. Ale bo też i ten wuj Maryan tak jakoś spadł z nieba niespodzianie. A także i pan Jan, żeby też tak odrazu zrozpaczyć i wyjechać: czemuż nie przybył jeszcze raz? czemu nie poznał się z wujem? Czemu nie zażądał wyjaśnień, jeżeli sądził się lekceważonym. Ostatecznie, tak jak się okoliczności złożyły, on biedak za swe szczerze zamiary poświęcenia się, został we własnych przynajmniej oczach znieważony. Kazia uczuła się winną nieszczęścia pana Jana i doszła w końcu do przekonania, że tylko poświęceniem całego życia jemu lub jego pamięci zdoła okupić winę, jaką popełniła, depreczując bezwiednie szlachetne poświęcenie się jego. Zaczawszy tedy niejako uważać się za narzeczoną pana Jana, zaczęła Kazia prawie niechęć, po trochu zajmować się jego interesami, które on z rozpaczy porzucił. Zawiązały się zwolna stosunki z Wiercińskim, zaufanym rządcą Wiśniówki, który jakby przeczuwając tajemny proces rozmysłów Kazi, począł odnosić się do niej w wątpliwościach gospodarskich, zwłaszcza gdy można było coś zyskać dla Wiśniówki. Co prawda, kierunek odpowiedni mógł mu być nadany słowami pana, ostatnimi podobno w chwili wyjazdu z domu:

— Hej, Wiercińskil.. A jeżeliby przypadkiem zapytano o mnie od hm... hm... sąsiadów pamiętaj, że jadę do genewskiego uniwersytetu: rozumiesz?

Wierciński uklonił się.

Kazia nie korespondując wcale z tym idealnym *par excellence* narzeczoną, wiedziała przeto wszystkie, z małym wyjątkiem, dotyczące go okoliczności, i kłopotłała się nie żartem, bo pan Jan z rozpaczy, zaciekł się dziwnie w nauce. Uczył się i uczył a nauka ta pochłaniała nie tylko dochody, ale i samą Wiśniówkę. Szło to zwolna, ale przyszło do tego, że pewnego pięknego poranku, Wierciński łamiąc ręce pokazał „swojej pani“ oryginalny list pryncypała, żądającego gwałtem pieniędzy na dalsze studia, gdy tymczasem Wiśniówce groziła już subhasta. Kazia bez namysłu natenczas oddała swoje drobne, ale latami wzrosłe oszczędności gospodarskie na ołtarz nauki w Genewie. Odwlokło to katastrofę, ale jej nie usunęło. Za następnym terminem w obec rozpaczy nieoszacowanego Wiercińskiego Kazia oddała mu skromne klejnoty ciki po babce i matce, mając w oczach ich obecnej właścicielki daleko większą niż rzeczywista wartość:

— No—mówiła sobie przytem poeichu — czy ten Wierciński tak gorąco przywiązany do swego pana i do mnie, czyste ma przytem ręce i sumienie, to już rzecz jego sumienia... Ja pragnę tylko odwlec wywłaszczenie, byle odwlec, byle zyskać na czasie, bo przecież te tam nauki kiedyś skończyć się muszą, pan Jan powróci a wtedy, zobaczymy! Ja jestem winna rozpaczy, która rzuciła go

na niewłaściwą drogę, słusznie zatem karę ponoszę. O ciężkich choć skrytych zgrzyotach Kazi nie wiedział nikt prócz jednego Wiercińskiego może. Trzej jój bracia uczyli się w szkołach pilnie; gospodarka szła żwawo, tak, że nawet grosza cokolwiek zbierać się zaczynało, gdy Wierciński tajemnie jak zawsze; pod pozorem zakupu ziarna przybył, błagając o pomoc przed nowym licytacyjnym terminem. Kazia ciężko westchnęła:

— Teraz nie już nie poradzę — rzekła. Wierciński się zdziwił:

— Ależ państwo stoicie teraz lepiej niż kiedykolwiek — zauważył z cicha wdychając także.

— Z własności moich braci, nad której pomnożeniem pracuje wuj nasz, nie mam prawa ująć nic: bo co dotąd dawałam było moją własnością; bo wuj wyznaczył mi sumkę na moje potrzeby i w dodatku nie wgląda wcale w moje gospodarstwo, z którego ja staram zyskiwać ile sił i pracy mi starczy.

— No, toż, proszę łaski panienki, przecież w ogólnej massie jest jeszcze całkowita własna scheda panienki! — szepnął przypatrując jój się z niezromiałem dla niej zdziwieniem.

Ona zamysliła się. Po chwili rzekła, z cięższem niż kiedykolwiek westchnieniem:

— A więc, dobrze, opowiem raz wszystko wujowi i poproszę...

— Niech Bóg broni, proszę pani; jeżeli ma przyjść do tego, to już ja cofam pokorne prośby moje i wolę radzić sobie inaczej: mój panicz tylko od panienki jedynie mógł pomoc przyjmować, bo, no,.. hm... hm... przecież. Do panienki wuja mój panicz ma żal, i toby z ubliżeniem honoru było dla mego panicza cośkolwiek od pańskiego wuja przyjąć, i dla tego ja w imieniu mego panicza protestuję najpokorniej przeciw temu i już postaram się inaczej sobie radzić. Całując nóżki panienki, ścieleć się do stopek łaski pański — i spiesznie odjechał pan Wierciński.

— Z pewnością ma nieczyste sumienie, a pan Jan oczywiście traci na tém, gdy Wierciński mię wyzyskuje — powiedziała sobie Kazia. — Najoczywiściej boi się on, aby wuj nie wglądnał bliżej w tę sprawę. Wielka szkoda, że odrazu nie powiedziałam wujowi wszystkiego. Ale jakże mu powiedzieć, że pan Jan chciał poświęcić się dla nas a ja zdeptałam jego poświęcenie, a potem zrozumiawszy co uczyniłam, postanowiłam poświęceniem całego życia okupić moją nierozwagę; z czego wypada, że wuj ma część mojej schedy posłać panu Janowi sam, a nie przez ręce Wiercińskiego, na ukończenie raz już tych nauk nieszczęsnych. Wuj się niechybnie gniewem miesie i na wspomnienie poświęceń i o gotówkę, którą z takim ciężkim trudem tak skrzętnie zbiera. Co tu robić... Nic nie pomoże trzeba narazić się na gniew i wszystko powiedzieć co prędej, przy jakiej sposobności, za nim z Wiśniówką przyjdzie do katastrofy.

I z myślą, pośpiechu wyszła Kasia naprzeciw wuja, powracającego zazwyczaj o tój godzinie z pola. Zadumana minęła już chaty wioskowe, gdy przeraźliwy krzyk i duży pies, pędzący z blizkich zarosli jednocześnie zwróciły jój uwagę. Krzyczało dwoje dzieciaków i kobieta wiejska, uciekając przed psem:

— Czyżby to był pies wściekły?.. prawda, że jest obcy jakiś... pomyślała Kazia zdziwiona i zarazem ujrzała jak kobieta dopędzana już przez psa zwróciła się się nagle ku niemu:

— Uciekajta!.. — krzyknęła na dzieci i grabiami trzymanemi w rękę natarła na wroga, krzyząc ciągle ratunku, podczas gdy malcy zmykali co siły. Rozpaczliwa obrona nie wiele pomagała, już krew ukazała się na białem odzieniu waleczącej, gdy huk wystrzału rozległ się, zwierze padło, tarzając się w cierpieniach, z zarosli wyszedł wuj Maryan ze strzelbą w rękę, a Kazia zbliżając się do miejsca walki dopiero w mniemanym psie poznała wilka, gościa nieznanego prawie w okolicy.

— Musiał być zkądś magnany — zauważył pan Maryan. Kobieta owiązała skaleczoną nogę, uchwyciła wilka za ogon i powlokła go wedle pańskiego rozkazu do dworu. Kazia, ochłonawszy ze strachu i patrząc za nią, pomyślała, że nadarza się żądana sposobność do rozpoczęcia drażliwej rozmowy i rzekła:

— Wuju, czy widziałeś równie dobrze jak ja, jak to było z tym wilkiem?

— Widziałem: Stachowa biła go grabiami a on usiłował ją gryźć:

— Tak, ale wprzód?..

— Cóż wprzód?

— Stachowa mogła była uciec, ale dzieci nie mogły, ciągnęła ich za ręce nie mogąc na ręce wziąć obu, aż gdy wilk ich dopędzał, wtedy kazała im uciekać, a sama rzuciła się na wilka, aby im dać czas do ucieczki,.. bo przecież nie mogła przypuszczać, że się wilkowi obroni.. nie mogła wiedzieć, że jesteś w pobliżu z twoją nieomylną kulką, wuju!

— No tak; i cóż ztąd?..—powiedział, przyzwolicie podtrzymując rozmowę, widocznie zajęty czém innym.

— To, że chciałabym wiedzieć, jak ty, wuju, nazwiesz to, co uczyniła ta kobieta?

— Co ona uczyniła? — powtórzył ze zdumieniem, przypatrując się po raz pierwszy uważnie wychowance. — A cóż miała uczynić? Co mogła uczynić innego? Uczyniła z porządku rzeczy— musiała uczynić: o czém ty myślisz? czego się tak czerwienisz Kaziu?

— Jakto — zawołała z wybuchem. Czyliż i w tym wypadku zaprzeczysz poświęcenia, mój wuju? Czy zaprzeczysz, że to jest najszczytniejsze z poświęceń, poświęcenie macierzyńskie? Czy i to nazwiesz jeszcze obowiązkiem?

Kazia płonęła rumieńcem, gdyż usiłowała sprowadzić rozmowę

do niebezpiecznej z wujem kwestyi poświęceń, a to po to, ażeby zahaczyć sprawę poświęconego jej pana Jana. Wuj jednakże zamiarów i celów jej nie przeczuwał, wzruszenie jej przeto przypisał uniesieniu jedynie nad czynem Stachowy, i, oburzony o mało że nie splunął z gniewu. Powstrzymał się na czas jednakże, poskromił wybuch i pobłażliwie rzekł:

— Nie, moje dziecko; nie nazwę tego obowiązkiem. O ile poświęcenie wyższem jest nad obowiązek, o tyle obowiązek góruje nad instynktem, a to, o czém mówisz, jest tylko instynktem, ni mniej ni więcej. Sprostujcież raz błędne wyobrażenia.

— Co? — jęknęła Kazia, także w najwyższem oburzeniu dotknięta w najpospolitszych i przeto najgłębiej zakorzenionych przekonaniach. Zanicmówiła ze wzruszenia; wuj Maryan tymczasem zlekka wzruszając ramionami, rzekł:

— Nie przeczę, że istnieją matki pojmujące szczytnie swe obowiązki, takich jednakże w ogóle jest mało, a we względzie obrony swoich małych, kobiety nie stoją wcale wyżej od lwic, tygrysic, i tej o to... — palcem wskazał na wlokącą się za nim wylicę z opuszczonym ogonem, zawstydzoną wielce, iż się spóźniła na sprawę z wilkiem, które to opóźnienie miało wszystkie cechy tchórzostwa. Kazia zamilkła jak kamień, bo jakże tu było rozmawiać o poświęceniach jej własnych dla pana Jana, i pana Jana dla niej, z takim człowiekiem?..

Nazajutrz przez dzień cały nie widziała wuja, bo gdzieś jeździł, a na trzeci dzień, gdy wyszedłszy znów naprzeciw niego usiłowała związać rozmowę odpowiednią, on odrzekł:

— Dajno mi dzisiaj pokój moje dziecko, bo widzisz kupiłem wam dziś z waszych oszczędności sąsiednią wioskę wystawioną na licytacją, Wiśniówkę, i bardzo jestem z tego zadowolony, bo dobrze kupiłem, ale mam głowę zajętą tém kupnem i dotyczącemi go drobiazgami. Do widzenia!

Kazia osłupiała. Nie dość więc, iż miała na sumieniu zwichnięte życia pana Jana, trzebaż jeszcze, aby w jej imieniu skupowano po nim spuściznę? Ha, snadź pan Wierciński mimo zaręczeń, nie umiał jakoś sobie poradzić bez pomocy Kazi i dopuścił licytacją.

Stosunki z panem Wiercińskim zerwały się nagle, a natomiast zjawił się młody a poważny obywatel, o którym nazajutrz po pierwszej jego bytności pan Maryan powiedział wychowawce, że zna go z najlepszej strony i życzy, aby w nim męża znalazła. Kazia miała wówczas lat dwadzieścia jeden; poprzednie przejścia utrudziły i wyrobiły ją jednocześnie, to też bez wahania powiedziała teraz wujowi, nie wtajemniczając go zresztą, że ma zobowiązania dawniejsze i sądzi, że ich dotrzymać powinna, pomimo, że obecnie niema żadnych wiadomości od przyjaciela lat młodocianych, urażonego może o kupno Wiśniówki. Pan Maryan wysłuchał, namarszczył brew,

i następnego dnia rozpoczął energiczne staranie celem sprawdzenia, co się dzieje w Genewie z byłym sąsiadem.

Szukał nie długo; niebawem wyjaśniło się wszystko, tajemnicza mgła opadła z przed oczu Kazi: Jan Wiśniewski, student uniwersytetu genewskiego, przed rokiem przy doświadczeniu chemicznem doznał porażenia oczu i odtąd, jako chory na oczy leczył się u miejscowych lekarzy a obecnie po zdecydowaniu operacyi, gwałtownie pragnie odbyć ją w kraju rodzinnym jako decydującą: brak środków jedynie wstrzymuje podróż jego do kraju, przedłużając jednocześnie i pogorszając cierpienie.

Kazia spojrzała tylko na wuja, a ten raz usłyszawszy o zobowiązaniach i powinnościach, nie wahał się wcale. Sumka na przyjazd do kraju została natychmiast wysłaną i chory w krótkce zamieszkał w instytucie dla ociemniałych w Warszawie, pełen wdzięczności, błagając tylko o uściśnienie dłoni dalekich krewnych, którzy mu przyszli z pomocą. Niestety, nie mógł błagać o ujrzenie ich, gdyż przy najgorętszem pragnieniu, małą miał tego nadzieję i operacya mogła się nie udać.

Raz przełamawszy lody milezienia i opierając się zawsze na obowiązku i powinności a mileząc o poświęceniach, Kazia zapragnęła być obecną przy narzeczonym w chwili stanowczej, i wuj ani myślał się opierać. W krótkce znalazono się w Warszawie, wuj Maryan poszedł natychmiast do instytutu i wrócił w daleko lepszym humorze niż poszedł.

— Ten chłopak—rzekł do Kazi—ma tam w rodzinnych stronach opinią próżniaka, i nieponi, i słusznie podobno, sądząc wedle przeszłości, ale nauka i nieszczęście uszlachetniły go i poskromiły jak się zdaje: dzielny to i zacny człowiek i... i... no, niech Ci tam resztę własne serce dopowie, moje dziecko... A pragnie on pomówić z tobą serdecznie.

Jakoż przyszedł nareszcie dzień, w którym Kazia po pięciu latach znalazła się znowu w obec człowieka nieznanego jęj prawie, który od tych pięciu lat bezustannie zajmował jęj myśli. W mocno zaciemionym pokoju i z daszkiem nad oczyma siedział biedny człowiek ofiara niezrozumianego poświęcenia, ujął drżącą małą rękę Kazi, gdy na jego wychudłej ręce spoczęła i rzekł:

— Niechaj Ci Bóg wynagrodzi wszystko co uczyniłaś i dotąd czynisz dla mnie. Kazi łyzy się do ócz rzuciły na sam drżący dźwięk tego głosu zmienionego cierpieniem, i pomimo postanowienia, że spokojnie zachowywać się będzie, aby chorego nie wzruszać, płakała przez chwilę serdecznie, osunąwszy się na stojące obok krzesło. On tymczasem trzymał jęj rączkę w swojej a potem zaczął ostrożnie i delikatnie wypytywać, i nie tylko ostrożnie, ale nawet i zręcznie, widocznie chciał wywiedzieć się roli Wiercińskiego w tój sprawie i wywiedział. Gdy zaś w dalszym ciągu rozmowy podał w wątpliwosć jedno z wyrażeń swego jedyne go pisanego do Kazi listu, a ona mu go powtórzyła z pamięci od początku do końca, dodając, że ten

to list otworzył jęj oczy i wpłynął na resztę jęj życia, to chory za-
niemówił na chwilę ze wzruszenia tak, aż się Kazia o niego przełę-
kła. Przeszło to jednak i narzeczeni rozstali się dopiero na wezwa-
nie doktora, lękającego się wyczerpania sił swego pacyenta.

Wyrzucając sobie, iż poddając się wzruszeniu narażała nań
i Jana, Kazia nie chciała już widzieć go przed operacją, zapewnia-
jąc tylko przez wuja, że nawet w razie, czego Boże broń, ostateczne-
go nieszczęścia, ona nie wyrzeczy się prawa osładzania życia biedne-
mu kalcece.

— Bardzo dobrze — rzekł wuj Maryan, przyjmując od nięj
w komis to zapewnienie, ale zastanów się dobrze, córeczko, czy tylko
nie zdaje ci się utartym ludzkim obyczajem, że w takim razie po-
święcać się będziesz dla męża?

— O nie! — z przekonaniem odparła — przeciwnie, czuję że
prawdziwą i jedyną ulgą byłoby mi wtedy pielęgnować tego które-
go niedoli stałam się pośrednią przyczyną.

— No, chyba że tak, bo gdybyś miała się poświęcić, dalibóg,
nie pozwoliłbym na to... przez litość nad tym biedakiem.

Z nieopisaném wzruszeniem oczekiwano operacji, a gdy na-
reszcie odbyła się szczęśliwie Kazia znajdująca się w sąsiednim po-
koju, po raz pierwszy w życiu zemdlala. Chory pragnął ją widzieć
a raczej mówić z nią tylko, bo przywróconym wzrokiem nie wolno
mu było jeszcze się posługiwać, lecz doktorzy nie pozwolili i Kazia
sama obawiała się być mu posłuszną. Dzień po dniu mijał, wpły-
wając uspakajająco na uczucia narzeczonej pary i nareszcie otrzy-
mawszy zapewnienie, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, Kazia
zdecydowała się odwiedzić znów pana Jana w jego celi szpitalnej
o co tak błagał usilnie. Prosiła, aby wuj Maryan jęj towarzyszył
a to dla ostatecznego ułożenia interesów i wyznaczenia dnia ślubu,
co się bez niego obyć nie mogło.

— Przyjdę tam w krótee po ciebie—odparł—teraz mam ko-
nieczny terminowy interes. Wuj Maryan, nie podlegając niebez-
piecznym dla chorego wzruszeniom, odwiedzał go po kilka razy
i skutkiem bliższego poznania powziął dlań uczucie zbliżone do
ojcowskiego a przytem pełne szczerzego szacunku, nie chciał więc
ujmować mu uroczych chwil narzeczeństwa. Kazia zatem została
sama tylko wprowadzona przez doktora do pokoju chorego i zdziwi-
ła się, ujrawszy go w półcieniu i z daszkiem na oczach.

— Sądziłam, że pan już zupełnie zdrów jesteś i że te środki
ostrożności nie są potrzebne—powiedziała zasmucona trochę.

— I nie myliłaś się, pani — odrzekł — a jeżeli ich jeszcze
używam to tylko dopóki nie rozmówimy się w przedmiocie niezmiernie
ważnym dla mnie, dla czego też tak usilnie prosiłem od dawna
o chwilę rozmowy... jeżeli, wysłuchawszy mię, każesz je pani odrzu-
cić, będę posłusznym natychmiast.. Głos Jana drżał mocno. Kazia
kiwnęła mądrze główką.

— Bądź pan spokojny—zapewniła stanowczo—domyślam się o co chodzi...

— O, gdybyż tak było!—z wybuchem zawołał.

— Tak jest—odparła—wypadek, który o mało nie pozabawił cię wzroku, zeszcpecił cię także, panie Janie... oto cała tajemnica, nie stanowiąca żadnej różnicy.

— Na nieszczęście nie w tém szkopał...—wstrząsając smutnie głową, rzekł pan Jan—a zanim się wytłómaczę, błagam panią w imię tej anielskiej dobroci i ufności, które, jak wuj twój utrzymuje, odziedziczyłaś po matce, błagam, chciej mi wierzyć, że w tém, co się stało nie zawiniłem rozmyślnie: mam istotnie podobno jakichś nieznanych dalekich powinowatych w kraju i gdyście państwo podali mi zdaleka braterską rękę, święcie byłem przekonany, że jesteście tymi krewnymi, byłem téż wówczas tak zrozpaczony, pewny, że operacya się nie powiedzie i spragniony wrócić do kraju, aby w nim umrzeć z rozpaczy, że skwapliwie bez granic pochwyciłem pomoc waszą. Nawet po rozmowie z wujem Maryanem jeszcze w dobrą wierzę działałem, dopiero rozmawiając z panią za najpierwszém spotkaniem spostrzegłem nieporozumienie a raczej domyślać się go zacząłem, i podstępniemi pytaniami wybadawszy wszystko, przeląknłem się.

— O czém pan mówisz?.. Ja nie rozumiem!.. — szepnęła bez tehu dziewczyna, powstając z krzesła gwałtownie, pod wpływem niepojętego dla niej saméj przestachu.

— Zrozumiesz natychmiast — odszepnął i odjąwszy zielony daszek z nad oczu odsunął ciemną u okna firankę. Kazia cofnęła się, a potem osunęła na krzesło niema i bezsilna na chwilę: młody sympatycznej powierzchowności i poważnego wyrazu człowiek stojący przed nią, nie był wcale jej dawnym sąsiadem, dla którego życie swe poświęcić czuła się przez długie lata obowiązana.

— Bardzo wielu istnieje Wiśniewskich, a Janów jeszcze więcej, nazywam się istotnie Jan Wiśniewski — dodał w rodzaju postscriptum—ale imiennika w genewskim uniwersytecie nie miałem. Czekał długą chwilę, patrząc uważnie na Kazię, spodziewając się może choć słówka, któreby mu dodało otuchy w drażliwém położeniu, lecz ona mileżała, wsparta lekko o krzesło, z oczyma spuszczone w ziemię i ze ściśniętymi dłońmi i ustami. Więc mówił znowu:

— Po rozmowie z panią, zrozumiawszy pomyłkę, natychmiast odniosłem się do życzliwych mi profesorów i kolegów w Genewie, prosząc o wiadomości o tym, kogoście państwo szukali. Wysłuchano mię chętnie, i, po niejakiem poszukiwaniach znaleziono istotnie żądaną osobistość nie w Genewie wprawdzie, lecz trochę dalej na świcie...

Pan Jan zamilkł nagle mocno zmieszany, bo Kazia patrzyła mu teraz w oczy badawczo.

— Przez miłosierdzie, powiedz mi pani, że mię nie posądzasz o podstęp! — zawołał z wybuchem rozpaczonym.

— Ani na jedną chwilę nie przyszło mi na myśl wątpić o prawości pana!.. — powiedziała wyraźnie i z przekonaniem. Mimowoli upadł na kolana i ucałował jej ręce; oczy od tak niedawna po raz drugi na świat patrzące zaszły mu łzami.

— Na dowód jak znam pana, powiem, że natychmiast napisałeś pan do niego—rzekła z uśmiechem, podając mu rękę, aby powstał—czy odpisał?

Pan Jan nie dosłyszał pytania, i zajęty własną myślą mówił żywo dalej:

— Pierwszym moim zamiarem było uwiadomić o wszystkim wuja Maryana, ale, po namyśle, miarkując z poprzedniej z panią rozmowy, iż nie jest on weale wtajemniczony w szczegóły tej sprawy, i że cały stosunek pani z owym sąsiadem, widzianym raz jeden w życiu, był tylko wymarzoną i bez żadnego serca udziału, bo pokochać go ani skłonną nie byłaś ani miałaś ku temu sposobność, postanowiłem rozmówić się wprost z panią, ufając jej rozsądkowi, że sama potrafisz załatwić rzeczy, jeżeli tylko nie uznasz za stosowne uwiadomić sama ze swojej strony pana Maryana.

Pan Jan wymówił ostatnie wyrazy z pewnym poważnym naciskiem. Kazia patrzyła mu znowu prosto w oczy:

— Pan do niego pisał i on panu odpisał; czy mogę prosić o ten list? — spytała nie zważając na jego poprzednie wyrazy. Ale on znowu nie słyszał:

— Kwestya pieniężna — mówił dalej żywo — jest tu najmniej znacząca, jakkolwiek dużo kosztowała państwa moja podróż i tutajsza kuracya: jestem gruntownie wykształcony i pracowity, jeżeli tylko zechcecie dać mi zajęcie na wsi u siebie, będziecie mieli wiernego sługę, który z czasem niechybnie z długu wam się wypłaci, jeżeli tylko żyć będzie. Ale inną jest kwestya wdzięczności, pod tym względem chcąc nie chcąc muszę pozostać na zawsze pani dłużnikiem i na to nie ma już rady: żadna wdzięczność, żadne wysługi nie zrównoważą przywrócenia światła moim oczom!..

— Mylił się pan, kwestya wdzięczności nie istnieje tu weale, gdyż nie panu miałam zamiar się przysłużyć—żywo odparła Kazia— wdzięczność od pana może się należeć chyba przypadkowi i pomyłce, sądząc zatem, że sprawa ta jest już załatwioną i nie potrzebujemy więcej do niej powracać. A teraz proszę jeszcze raz list, o który już prosiłam!

— Nie daruję sobie nigdy doprawdy, że ze zwyczaju zniszczyłem go po przeczytaniu ani pomyślawszy, że pani go żądać możesz! zawołał pan Jan z żalem:

Kazia powstała prosta i sztywna:

— Czy należy mi wątpić w prawość i prawdomówność pana, o której nie wątpiłam dotąd? — spytała. Pan Jan zaczerwienił się mocno:

— Ten człowiek nie kochał pani nigdy, a teraz nie jest jój godnym,—rzekł.

— Być może, ale to nie niweczy mego prawa do jego listu, mnie dotyczącego — odparła.

Pan Jan wahał się na chwilę, bardzo zakłopotany, dopiero spotkawszy badawcze Kazi spojrzenie, nabrał nagle odwagi, i wyciągając list z pugilaresu oddał go szepejąc:

— Istotnie, przekonanie, że pani nie kochałaś go nigdy, że cały twój do niego stosunek wywołany tamtym pierwszym jego listem, był nacechowany tą konieczną potrzebą jakiegoś idealnego uczucia, jakiej doznają częstokroć wyborowe młodociane serca, powinienby dodać mi odwagi...

Kazia usiadła, wsparła się o stół i uważnie czytała:

Homburg 28/7.

Nieznany Szanowny Imienniku!

Odebrawszy list twój, wzmiankujący o pomyłce sąsiadów wiojski Wiśniówki, biorących twoją osobistość za moją, pospieszam z odpowiedzią. Tak jest, ja to istotnie byłem posiadaczem Wiśniówki, dopóki jój niezlicytowano. Co do owych sąsiadów, tych mało sobie przypominam, widzę wprawdzie jak przez sen jakieś powabne dziewczątko, którego imię nawet pamiętam jako przypominające mi dwie najnieznośniejsze pod słońcem rzeczy, katar i kaszę i do którego napisałem na odjeźdźnym dowiejny liścik... ale to już wszystko. Nie pamiętam nic więcej, nie mogę cię przeto eo do tych ludzi poinformować. W każdym razie, jeżeli szukasz chleba w tamtych stronach, to radzę ci bezinteresownie porzuć tę myśl: tam świat jest zabity deskami. Przyjeżdżaj lepiej tu do Homburga a ja pierwszy po koleżeńsku znajdę ci tu zajęcie.

Uniżony Imiennik.

Jan Wiśniewski.

P. S.

W obecnej chwili potrzebujemy nawet sprytnego przyzwoitój powierzehowności agenta.

— Czém właściwie trudni się Jan Wiśniewski w Homburgu i w jakim interesie potrzebuje agenta? — spytała z zimną krwią Kazia, patrząc znów w oczy panu Janowi, bo już wiedziała z doświadczenia, że on nie umie oprzec się takiemu patrzeniu. Może pan tego nie wiesz? — dodała podstępnie. Pan Jan zaczerwienił się, mileżał chwilę usiłując oczy od jój oczu odwrócić, ale nie dokazał tego i z ciężkiem westchnieniem rzekł:

— Pan Jan Wiśniewski w Homburgu zajmuje stanowisko do-brze płatnego współdziałacza przy zakładzie istniejącej tam gry hazardownej; obowiązkiem jego jest zręcznie i potajemnie wsuwać rulony złota do kieszeni zgranych do grosza samobójców, ażeby samobójstwo nie wyglądało na następstwo zgrania się i nie odstra-

szalo graczy, którzy się jeszcze nie zgrali, prawdopodobnie i mnie ofiaruje pan Wiśniewski po koleżeńsku posadę takiego właśnie agenta.

Kazia milczała chwilę, patrząc na list w to miejsce, gdzie stały wyrazy „katar“ i „kasza“ potem nagle, opierając oba łokcie na stole, ukryła twarz w rękach, wołając żałośnie:

— I co ja teraz mam zrobić!.. powiedziec wujowi wszystko, czy nie nie mówić?

Jeżeli nie nie powiem, to będzie żądał, abym pana poślubiła jak to było ułożonem, gdy sądził cię tym, którego szukał; jeżeli powiem wszystko, to wuj wyśmieje mię za moje poświęcenia dla tamtego Jana, a przecież ja szczerze sądziłam, że obowiązana mu jestem poświęcić życie całe i mienie w dodatku.

— A jednak bez dokładnych objaśnień interes skomplikuje się okrutnie — szepnął pan Jan pocichu sam do siebie. Kazia zarmieniona odkryła twarz i rzekła:

— A przecież względem takiego zacnego wuja może z obowiązku należy się szczerłość.. ale znów, czyliż względem tamtego zgubionego człowieka nie powinnam zdobyć się na ostatnie poświęcenie, okrywając wieczną zasłoną milczenia jego czyny?

— Ależ w takim razie jakże wybrniemy z kłopotu?.. szepnął pan Jan.

— Albo co? Z jakiego kłopotu? — spytał wuj Maryan wchodząc niespodzianie. — Czy nie możecie zgodzić się na wyznaczenie dnia ślubu? Ja wam pomogę: przypuścmy że od dziś za tydzień; czy zgoda?

— Zamiast dnia ślubu, wuju — zaczęła zwolna Kazia — wyznacz ty mi lepiej raz dokładną różnicę, tylko się nie gniewaj, pomiędzy obowiązkiem i poświęceniem, abym wiedziała czego mam się trzymać w tej chwili... — On popatrzył na nią zdziwiony.

— Czyliż po tylu utarczkach między nami — rzekł — nie zdołałem cię jeszcze przekonać, że ten wyraz w sferze spraw ludzkich niema racyi istnienia?

— Nie, mój wuju — zawołała z zapalem — nie zdołałem mię przekonać, że oprócz zimnego obowiązku nie istnieje na świecie żaden potężniejszy motor działania!

— Gdybyś użyła wyrazu „wznioślejszy“ zaprzeczyłbym, bo niema wznioślejszego nad obowiązek; ale jeżeli mówisz o potężniejszym, przyznając że ten istnieje, — powiedział wuj Maryan szydlerczo.

— Aha, a ten nie jest poświęceniem? — zawołała zwycięzcko. Nie; ten motor potężniejszy od obowiązku, niestety, to fantazyja ludzka, podszyta całą czeredą żądz, wad, a nawet próżnością.

— Najczęściej próżnością... — szepnął cicho pan Jan. Kazia spojrzała nań i zapłonęła bardziej jeszcze, wołając ze łzami prawie:

— Ależ po czémże ja odróżnię fantazyą z tą jój podszewką, od tego obowiązku?

— Najprostszym w świecie środkiem, córeczko — zapewnił wuj Maryan — oto uważaj tylko a zoczysz, że fantazyja zawsze każdą zawiłą sprawę czyni zawiłą jeszcze, gdy tymczasem obowiązek jakkolwiek nieraz cięższy i trudniejszy od niej przecież prostuje i rozjaśnia ścieżyny żywota ludzkiego.

— Ha, niechże już będzie obowiązek! — jęknęła Kazia, opierając splecione dłonie na ramieniu wuja Maryana, przytuliła do niego twarz tak, aby jój widać wcale nie było i w tej pozycyi opowiedziała mu szczerze cały romans swoich poświęceń.

On z początku marszczył brwi, pomrukując półgłosem.

— Gdyby twoja matka żyła nie przyszłoby do tego; snadź nie umiałem wywiązać się z obowiązku. Ale później zaczął wzruszać ramionami, a gdy Kazia zakończyła, podając mu oba jedyne listy pana byłego sąsiada, wzruszył ramionami jeszcze raz po przeczytaniu i zapytał patrząc z zimną krwią na wzruszoną młodą parę:

— No, a więc, ślub od dziś za tydzień: czy tak? Nikt nie protestował.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Prace filologiczne wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego, i L. Malinowskiego. Tom II. Warszawa 1887—1888.
str. 881.

Czasopisma, któreśmy przed paru laty powitali radośnie, jako objaw budzących się u nas i jednoczących studyów w dziedzinie filologii słowiańskiej a przedewszystkiém polskiej, leży właśnie przed nami tom II, przewyższający I. objętością i obfitością prac z różnych dziedzin językoznawstwa. Przypatrzmy się im podług tego, do jakiego działu gramatyki należą.

Ogólne znaczenie ma „Szkic gramatyczny na podstawie języków indoeuropejskich” tak wczesnie dla nauki zmarłego ś. p. Jana Hanusza. W dokończeniu tego artykułu, podobnie jak w poprzedniej części w tomie I „Prac”, chodzi autorowi o praktyczne przedstawienie polskiej terminologii językoznawczej na gruncie ostatnich rezultatów nauki. Dotyczy to obecnie tylko deklinacji i konjugacji, które autor krótko nazywa „odmiennią” rozróżniając w niej „skłanianie” i „czasowanie.” W deklinacji idzie porządkiem przypadków w liczbach, wykazując pierwotne końcówki i przemiany ich w różnych językach indoeuropejskich; w konjugacji dzieli czasowniki na klas 15, celem przedstawienia jak największej różnorodności w szczegółach. W zakończeniu mówi o t. zw. partykułach a przedewszystkiém o spójnikach i o przycisku czyli akcencie, podaje spis ważniejszych dzieł, na których szkic ten oparty. Składnią i znaczenie (semazyologią) odłożył na później, nie mając ich już nigdy opracować. O wartości tego szkicu pod względem naukowym wypowiedzieliśmy zdanie przy ocenie Tomu I. zesz. 2 i 3. (zob. „Bibl. Warsz.” 1887. tom I zesz. 2, str. 276); co do terminologii wyręczył nas Szan. Redaktor w przypisku o kartę dalej umieszczonym, z którego osnową się zgadzamy. Wszystkie właściwości gramatyczne, nie wyłączając właściwości składniowych zabytku języka pol. w rękop. bibl. Jag.

N-r 2503. przedstawia prof. L. Malinowski, jako dokończenie pracy w poprzednim tomie pomieszczonej. Począwszy od skrótów i grafiki tego zabytku, przechodzi następnie głosownią, etymologią, formy deklinacyjne i konjugacyjne, kończąc uwagami z zakresu składni.

W podobny sposób opracował prof. A. A. Kryński „Glosy w dziele Baltazara Opecia z roku 1522 p. n. „Żywot Pana Jezusa Krysta” — znajdujące się w egzemplarzu bibl. uniwersyteckiego a pochodzące od nieznanego autora z końca w. XVI, lub początku XVII. Celem tych gloss było zastąpienie wyrazów przestarzałych i może już niezrozumiałych nowszymi, zgodnymi ze stanem języka w końcu w. XVI, i to też jest jedyną wskazówką czasu ich powstania. Najliczniejsze są glossy, dotyczące zmian tematowych i leksykalnych a jakkolwiek ich opracowanie stanowi cenny przyczynek do historii języka polskiego, mimowoli nasuwa się pytanie, czemu sz. autor nie opracował przedewszystkiem rzeczy o języku samego „Żywota” Opecia, skoro miał sposobność korzystania z jednego z niewielu (5) egzemplarzy tego starego druku. Wszakżeż te stare druki aż do połowy w. XVI, mają prawie tę samą wartość, co rękopiśmienne zabytki polskie, i na równe, jeśli nie staranniejsze jeszcze zasługują opracowanie, na które dotąd daremnie czekać się zdają.

Z zakresu fonologii porusza prof. A. Kalina kwestyą słowiańskiego *ch*, które jest wymianą indoeurop. *k*—*a* nie, jak dotąd mniemano, indoeurop. *s*. (Słowiańskie *ch* indoeurop. *k*.) Do tego przekonania dochodzi prof. K., drogą zestawienia tych wyrazów, w których indoeurop. *s*—w nagłosie = słow. *s*; poczem rozbiera wyrazy indoeurop. z *k* = słow. *ch*, w nagłosie i w środku wyrazów i dochodzi do rezultatu, że przyczyną tego jest natura dźwięku *k*. Ponieważ podług najnowszych badań w indoeurop. prajęzyku było *k* podwójne, jedno czyste (*k'*) drugie z oddźwiękiem wargowego — *n* (*k*²—*łać*.*qu*), przeto prof. K. wykazuje, że tylko to *k* pozostało nietknięte w jęz. słow., które w innych językach występuje z oddźwiękiem wargowym (*k*²), podczas gdy czyste gardłowe *k* przeszło w jęz. słow. w *ch*.

W kwestyi „Samogłosek długich w języku polskim przed w. XVI”, zabiera głos p. Jan Łos. Zbadawszy pomniki języka w. XIV i XV, nie uwzględnione przez Senowicza (Ueb. d. vermeintl. Quant. Lipsk 1872), dochodzi do wniosków, że epoką kwitnienia długich samogłosek był wiek XII i poprzednie i dopiero w w. XIII zaczęły się samogłoski długie pochylać; że jednak samogłoski długie jeszcze istniały w wieku XIV i XV. Z tych wniosków wyprowadza autor między innymi tezy: 1) kiedy powstały samogłoski długie — nie wiemy; 2) samogłoski długie istniały do w. XV, w którym ich resztki znikły; 3) samogłoski pochylone powstały w końcu w. XII i początku

XIII, a najsilniejszy ich rozwój przypada na wiek XVI. Na powyższe twierdzenia oparte na dedukcyi, a więc tylko prawdopodobnie (jak sam autor zaznacza) można się w pewnej mierze na nie zgodzić dlatego, że im nie można przeciwstawić dowodów dla braku materiału; nie można tego atoli uczynić co do dwu ostatnich wniosków autora, nie wiadomo z kąd tu przyłączonych i co gorsza, gołosłownych. Autor twierdzi, że samogłoski pochyłone „znikły w wieku XVIII, kiedy *á* stało się *a*, *ó* przeszło w *e*, a częścią w *i* (*y*), i *ó* zaczęło się wymawiać jak *u*; i że „teraz ani samogłoski długich ani pochyłonych nie ma zupełnie w języku literackim.” Co do pierwszego. to cóż powie autor o całej pracy ks. Koczyńskiego, oznaczającego skrupulatnie *á é ó* i zestawiającego całe szeregi wyrazów z *a i á, e i e, o i ó* w tablicach swój gramatyki pozgonnej, i jak pogodzi swój wniosek ze zdaniem Deputacyi Warsz. Tow. Przyj. nauk (Rozpr. i wnioski str. 543), że samogłoski *o, e, mające brzmienie ścisłe nie kreskować należy? Byłoby ó i é w w. XVIII, o i e jeżeli w r. 1830 Deputacya stanowczo zaznacza ich istnienie? Co do drugiego, to nie potrzeba dowodzić, że twierdzenie autora jest mylne. I w mowie i w piśmie istnieje dzisiaj ogólnie *ó*, a chociaż jest skłonność do pogrzebania *é*, utrzymuje się ono jeszcze silnie i trudno mu odmówić istnienia. Prof. Malinowski podaje zjawisko „Dyalektycznego wtórnego przedłużenia *on* (*ą*) na *an* (*an*) w języku polskim” mianowicie na Litwie i na Białej Rusi. Dzieje się to w tworzeniu słów częstotliwych od czasowników, mających w temacie samogł. nosowe; rzędzić brzmi tam rzondzić i od tego częstotl. urzandza, jontrzy, rozjantrza, łonczy, załancza, sondzi, przesandza, trombi, roztrambia it. p. Tylko cięży i mąci mają przecionza, zamonce (nie *an*).*

Teorii konjugacyi poświęcony jest (obecnie już kilkunastotomowy a jeszcze niedokończony) „Przyczynek do historii konjugacyi słowiańskiej” prof. A. Kaliny. Rzecz ta oparta na rezultatach najnowszych badań, rzuca wiele światła na liczne zjawiska konjugacyjne, których wytłomaczenie na wiele napotyka trudności. Dość wspomnieć o zawsze spornej kwestyi pochodzenia końcówek osobowych (szan. autor nie dość ściśle zowie je z a k o ŋ c z e n i a m i) i o stosunku końcówek słowiańskich do pierwotnych; dość przypomnieć podział słów na klasy, do których każda prawie gramatyka oryginalne podaje zasady. Kwestyi tych rozprawa prof. K. dotyka z bliska; szkoda tylko, że zbyt szerokim płynąc korytem utrudnia często orientowanie się i uchwycenie głównego toku argumentów. Oprócz tego styl rozprawy bardzo zaniedbany (prof. K. pisze: *dodają się zakończenia* (str. 1); przyrostki *używają się* (2); *za najstarszy typ.. muszą się uważać te utwo-*

ry... (3) pierwiastki... wydały się... za niewystarczające (5); właściwość nie stoi odosobnioną (! 11); biorąc pod uwagę (13); według czasów, które zachodzą (! 13)... i t. d.), dziwne sprawia wrażenie, zwłaszcza w obec rzeczywistości, że to w „Pracach filolog.”, badaniu języka polskiego poświęconych!

Dr. Józef Polivka doc. Uniw. w Pradze, rozbiiera „Czas przyszły w języku starosłowiańskim.” Na podstawie materiału ze znanych zabytków stł. zestawił autor użycie czasu przyszłego prostego, mającego postać terażniejszości czasowników dokonanych (napiszę, podam i t. p.) i złożonego czyli opisanego różnymi sposobami, a najmniej przez słowo posiłkowe: być z imiesławem czynnym przeszłym. Pokazuje się z tego, że w stł. szukano dopiero odpowiedniej formy na czas przyszły, a trudno dotrzeć różnicy między oznaczeniem czynności przyszłej dokonanej a niedokonanej.

Prof. Kryński podał rzecz „O aoryście w języku polskim”, w której wykazuje, że formy takie jak: rzeczy, wyniesie, wynidzie, postawi, zawoła, zapyta, dosłucha... i t. p., odpowiadają w zupełności formom aorystu w innych jęz. słow. i w jęz. greckim, a łacińskiemu perfectum lub praesens historicum. Stało się to w ten sposób, że po zniknięciu form aor. w staropolskim, przeniesiono tę rolę na formy terażniejszości drogą tożsamości brzmienia form 3 os. sg. aor. z 3 os. terażniej. a na odłamie czynności przeszłej chwilowej pojawiły się formy terażn. słów dokonanych, którymi od dawna język polski wyraża również czas przyszły. Nie są to tedy aorysty co do formy etymologicznej, ale co do znaczenia wewnętrznego. Cały szereg przykładów ze wszystkich okresów języka popiera twierdzenie szan. autora.

W dalszym ciągu „Studyów nad etymologią ludową” wykazuje Prof. L. Malinowski ciekawe sposoby przyswajania wyrazów obcych i niezrozumiałych w wojskowości, nauce, urzędach, narzędziach, odzieży i t. p. I tak wyraz urzędowy: okólnik, przemieniono na ogólnik pod wpływem wyrazu ogół. (Mógł tu jednak zajść i prosty proces przemiany *k* na *g* jak (wielki-wielgi) linijuszki—na lennieszki (leniuch); tekturę na dykturę (dychtowny), masztalnię na mastajnię (stajnia); pastewnik na pasternik (pasterz); kalkfass na kajfasz; nähzeug na niciajnik; procesya na prosacyja i w. i. Przy téj sposobności winniem sprostować twierdzenie szan. autora, oparte zdaje się na nawiasowym wyrazie (einnahme) przy enema w mojej „Gwarze brzezińskiej”, jakoby lud brzeziński z nazwy poboru podatków (einnahme) zrobił był enemę. Dodatek ten niemiecki w nawiasie pochodził z mego domysłu przed 10 laty; dziś sądzę, że błę-

dny, chociaż pochodzenia wyrazu *enema* wytłómaczyć nie umiem.

W innym małym artykule przedstawia prof. M. „Kilka wyrazów polskich z litewskiego przyswojonych”, między innymi używany na Litwie przymiotnik *rupliwy* (lit. *rupus*), żywioł w znac. bydło domowe (lit. *gýwo-lis*), pakuły (lit. *pakuła*); zwraca uwagę na przekształcenie stpol. wyrazu *mleziwo* (mléko pierwsze po ocieleniu, siara) na Litwie i Białej Rusi na *młodziwo* pod wpływem białorus. *maładziwa* i błędnego poczucia etymologicznego z tematem *młod*; nakoniec, analizując wyrazy takie, jak *błotnisty*, *wodnisty* i *lisowczyk*, *towiańczyk*, dochodzi do przekonania, że w pierwszych przyrostek pochodny-nisty powstał przez analogią do wyrazów: *wapnisty*, *cienisty*, *ognisty*, które mają *n* w temacie a przyrostek *isty*, w drugich występuje czyk zam. *szczyk* jak w *krawczyk*, *kupeczyk* i t. p. Do tego działu etymologii należą prof. Kryńskiego „Postaci osobliwe przysłówków staropolskich i dzisiejszych gwarowych” np. *małżeński*, *poliski*, *babski*.. *owszejki*, *pieszki*, *precki*, w *dyrecki* i t. p., które autor tłómaczy jako instr. plur. dekl. rzeczow. przymiotników. W drugim artykule prof. Kr. zwraca uwagę na „Przyrostki pochodne: -eństwo, arnia” w wyrazach takich jak *człowieczeństwo*, *koleżeństwo*, *małeństwo* (tem. *człowiek*, *koleg.-mał.*) powstałe podług wyrazów: *bezpieczeństwo*, *duchowieństwo*, *posłuszeństwo* (tem. przymiotnikowy: *bezpieczen.*, *duchowien.*, *posluszen.*) i w wyrazie *latarnia* (zam. *laternia* jak u *Knapskiego*), który się upodobił co do zakończenia do wyrazów rodzimych: *piekarnia*, *spizarnia*.. Dr. J. Karłowicz wyjaśnia nakoniec etymologią wyrazów *słańtuch*, (*wańtuch*) *zańtuch* z niem. *Landtuch*, i *Regentuch* (bardzo wątpliwe!) i podaje dodatki i sprostowania do I t. „Prac” mianowicie do wyrazów i nazwisk litewskiego pochodzenia.

Przyczynki leksykalne podali Dr. Karłowicz i Dr. Bystron, pierwszy w przedruku „Łacińsko-polskiego słowniczka roślinnego”, pochodzącego z końca XV albo początku XVI w. a znajdującego się w rękopisie obecnie biblioteki uniwersyteckiej w Pradze a dawniej klasztoru franciszkanów w Przemyslu, drugi w „Wokabularzu łacińsko-polskim z połowy XVI w., przedrukowanym z rękopisu zbiorów po ś. p. Al. hr. Przezdzieckim.

W dziale zabytków i przedruku dziełek rzadkich opisuje Dr. Jan Leciejewski „Trzy zabytki słowiańskie w Dubrowniku” w bibliotece franciszkańskiej, a mianowicie „Dictionarium latino-rutenicum”, pierwodruk z r. 1595: *Dictionarium quinqu...*

lingnarum, i rękopis głągoliccki z r. 1761 zawierający „Plač blažene dievice Marie” przez Piotra Szangulina.

Prof. W. N e h r i n g podał z uwagami językowymi „Osm kartek z nieznanéj staréj książeczki do naboženstwa.” Kartki te znaleziono w oprawie wewnętrznej Adagiów Erazma Rotterdamskiego (wydane z r. 1515), będącego własnością biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu; pochodzą one z nieznanego starego druku r. 1515 albo i wcześniejszego.

Prof. A. K a l i n a znalazł w rękopisie papierowym Cesarskiej biblioteki publicznej w Petersburgu „Komedya o miésopuście”, pochodzącą z początku w. XVI i podał ją w „Pracach” w wiernym odpisie. Komedya ta w 3 aktach z chórami, które się tu „pieśni i a m i” zowią, powinna zwrócić na siebie uwagę naszych badaczy literatury, jako najstarszy znany dotychczas utwór dramatyczny. Osoby występujące są: Pleban, Hanusz, Cantor, Locath. (?) Campanator, Mistrz, Suffletha, Succentor, Kucharka i Student. Maciejowski (Dod. 150) podał parę wyjątków i odniósł tę komedya z niewiadomych przyczyn do r. 1530. Pod względem językowym jest komedya ta ciekawym zabytkiem żywego współczesnego języka i szkoda, że szan. profesor nie dodał do jej przedruku obszerniejszych uwag albo lepiej jeszcze wyczerpującego opracowania gramatycznego. Nakoniec Dr. K a r ł o w i c z podał w całości „Pieśń staroczeską o narodzeniu Jezusa” jako pierwowzór pieśni staropolskiej, i przedrukował z *Altpreuss. Monatschrift XXI t.* „Dziesięć pieśni mazurskich”, dodawszy kilka do nich uwag. Niepowetowana to strata dla dyalektologa, że pieśni te Dr. Jul. Ossowski „przejrzał... zacierając drobniejsze odcienie wymawiania gwarowego.”

Do działu literatury słowiańskiej należy obszerna rozprawa p. Bronisława Kamińskiego p. t. „Ostatni zwrot w sporze o starożytność rękopisów krółodworskiego i zielonogórskiego.” Ponieważ sprawę tę miałem zaszczyt przedstawić szan. czytelnikom „Biblioteki” w r. 1888 w zesz. I. w osobnym artykule, nie uważam za stosowne streszczać tu pracy p. K., dodając tylko, że praca jego jako przeznaczona do fachowego a naukowego czasopisma jest w wielu miejscach gruntowniejsza i więcej uwzględnia głosy obrońców autentyczności. Jeżeli dodamy do tego jeszcze drobne przyczynki i uzupełnienia do tomu I. Prac, nadesłane przez D-ra Karłowicza i p. St. Ciszewskiego i zaznaczymy sympatyczne nekrologi ś. p. D-ra J. Hanusza przez prof. A. A. Kryńskiego a ś. p. Mikołaja Kruszewskiego przez prof. Baudouina de Courtenay, tośmy treść Prac t. II nader bogatą i wszystkich prawie działów gramatyki dotykającą w zupełności wyczerpali. Zbyteczna nakoniec jest wzmianka, że ten tom równie jak poprzedni zamyka nader staranny wykaz przedmiotów, wyrazów i nazwisk autorów. Wydawnictwu temu życzyć należy tylko parcia na pożytek i chwałę polskiej nauki. *Roman Zawiliński.*

„Rachunkowość rolnicza, ułożona na podstawie buchalteryi podwójnej“. Opracował Konstanty Sękowski przy współudziale sił redakcyi „Rolnika i Hodowcy.“ Nakład redakcyi „Rolnika i Hodowcy“ Warszawa 1889 r.

Do elementarnych zasad ekonomii należy zdanie, że rachunkowość jest pierwszym warunkiem dobrej administracyi równie publicznej jak i prywatnej. W zastosowaniu do rolnictwa pojmowano jednak bardzo powierzchownie tę zasadę, na którą się wszyscy zgadzali, a jedną z główniejszych przyczyn niepowodzenia w przedsiębiorstwie rolniczém była wadliwa, powierzchowna i zbyt uogólniona rachunkowość. Błędnie sądzono, że dosyć będzie ustawić szmatycznie cyfry obrotu danego przedsiębiorstwa, ażeby mieć pojęcie, w jakim stanie ono się znajduje, jakim jest bilans ostateczny, z którego wyciągnąćby można przekonanie o zyskowności naszego nakładu iłożonej pracy. Takie ogólne ustawienie przychodów i rozchodów niczego jeszcze nie uczyło, brak krytycznego przedstawienia stanu gospodarstwa, z któregooby rolnik mógł wywnioskować, czy stosowane przez niego dotychczas systematy są odpowiednie, czy też zmienić je należy; brak, mówię, takiego jasnego poglądu na stan i rozwój interesu rolniczego, wywoływał to następstwo, że w razie straty rolnik nie wiedział, które gałęzie produkcyi stratę tę spowodowały, a którym, jako korzystnym, powinien w latach następnych oddać pierwszeństwo.

Dopóki produkcyja rolna opierała swą wytwórczość główną na produkcyi zboża, dopóty mogła rachunkowość pojedyncza do pewnego stopnia wystarczać; z chwilą jednak, gdy rozwijać się zaczęła w kierunku przemysłowym, konieczność rachunków specjalnych, obejmujących nie tylko całe przedsiębiorstwo, lecz wszystkie jego gałęzie, stała się nieodzowną. Iluż jednak do tej pory mamy jeszcze rolników, utrzymujących, że chcąc znać stan swego majątku, nie potrzeba skombinowanych rachunków; dość jest przeliczyć kasę, wiedzieć stan hipoteki i t. p. Tak nie jest. Majątek tworzy nie tylko kapitał; lecz reprezentuje równocześnie wszystkie wartości, które do właściciela majątku należą. By posiadać dokładne wyobrażenie o położeniu, należy mieć ściśle przedstawienie wszystkich tych wartości, tą drogą bowiem tylko wytworzyć sobie można pojęcie o stanie czynnym i biernym majątku, o korzyściach lub stratach, które pewne wartości przynoszą.

Metody ogólnie przyjęte w rachunkowości są dwojakie: rachunkowość pojedyncza i rachunkowość podwójna. W pierwszej zapisujemy dzień po dniu w registrach obrót kasy i wszelkich przedmiotów przedsiębiorstwo tworzących. W rachunkowości tej jeśli popełnimy omyłkę, dojsć ję trudno, gdzie szukać niewiadomo, straty zaś lub zyski nie wiadomo do której gałęzi produkcyi odnieść. By zapobiedz temu wynaleziono metodę, która pomyłki w rachunkach czyni niepodobnemi lub bardzo

rzadkimi, a rozdzielając rachunki na pojedyncze Conta, z całą ścisłością i jasnością je przedstawia. Metoda ta zwie się: włoską czyli podwójną.

W rachunkowości podwójnej każda rzecz zapisana jest dwukrotnie, a raczej kontrolowana jedna przez drugą. System ten opiera się na zasadzie, że w każdym przedsiębiorstwie istnieje wymiana, czyli dwa czynniki, z których jeden otrzymuje wartość, drugi jej dostarcza, że zatem oprócz się potrzeba na metodzie: obciążającej czynnik otrzymujący wartość i kredytującej czynnik drugi, który jej dostarczył. Rachunki w ten sposób prowadzone, każdej chwili dają jasny obraz stanu majątkowego, gdyż mając dla każdego przedmiotu osobny rachunek w księdze głównej, można dokładnie obrać chować za pomocą tego rachunku, co dana produkcya kosztowała, a ile z niej dochodu osiągnięto, ile produktu jakiego znajdować się powinno i t. p.

Metoda ta powszechnie już przyjętą została w przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych. W rolnictwie ogólniejszego zastosowania nie znalazła z tego względu, że rachunkowość podwójna potrzebuje specjalnego uzdolnienia i zabiera dużo czasu. Zarzut ten w żadnym razie nie da się zastosować do majątków z kilku folwarków złożonych, gdzie rachunkowość, jako z natury rzeczy bardziej obszerna, prowadzoną jest przynajmniej przez jednego rachmistrza. Co się zaś tyczy folwarków pojedynczych, w których jedna osoba prowadzi gospodarstwo i rachunkami jednocześnie się zajmuje, w nich rachunkowość podwójna stanie się umożliwioną z chwilą, gdy zapowiedziane biuro rachunkowości rolniczej w Warszawie, na podstawie dostarczanych przez rolników rachunków, zwykłym systemem pojedynczym prowadzonych, układać je będzie metodą buchalteryi podwójnej.

Reforma tak upragniona dla majątków ziemskich, następująco korzyści zapewnia: *a)* w każdej chwili wykazuje rzeczywisty stan majątku; *b)* objaśni czy przedsiębiorstwo w ogóle i w szczególności przynosi zyski lub straty; *c)* rachunki szczegółowe każdej gałęzi produkcji przedstawią się jasno, tak że po odjęciu sum jednej strony rachunku od drugiej („Winien“ i „Ma“), w każdej chwili można wiedzieć, jakim jest stosunek tego rachunku do ogólnych wyników — dobry czy zły; *d)* rachunkowość podwójna, dobrze prowadzona, w sposób ścisły i jasny, wskazuje przyczyny zysków i strat i cyframi poucza jak pierwsze utrzymać, drugie usunąć; *e)* wreszcie ostatecznym rocznym sprawozdaniem, wykazując rezultaty każdej gałęzi przedsiębiorstwa, pozwala czerpać nadzwyczaj pożyteczne wskazówki porównawcze z szeregiem lat ubiegłych i z rezultatami gdzieindziej otrzymanymi.

Choć metoda rachunkowości podwójnej w praktyce rolniczej nie ma jeszcze u nas zastosowania, prace teoretyczne, acz nie liczne, od dość dawna w języku polskim się pojawiały. Pierwszą

z nich była: „Rachunkowość podwójna zastosowana do fabryk i gospodarstw wiejskich,“ przez A. Barcińskiego, (Warszawa 1835), następnie: „Rachunek podwójny dla gospodarzy, czyli zasady rachunkowości handlowej, zastosowanej do rolnictwa,“ (Wilno 1859), wreszcie ze świeższych: Wędrychowskiego „Teoria rachunkowości wiejskiej, podwójnej.“ Były to jednak dzieła teoretycznemu wykładowi poświęcone i nie zastosowane do stosunków miejscowych. Na praktyce ściślej opartymi dziełami, są Przygodzkiego: „Rachunkowość Smilańska“ i „Przewodnik rachunkowości gospodarskiej, wzorowany na rachunkowości dóbr Stawiszcz.“ Ale i na tych ostatnich pracach na wielkich gospodarstwach wzorowanych, trudno się było opierać, bo buchalterya dóbr Smilańskich i Stawiskich potrzebowała do obsługi całego biura i dla przeciętnych gospodarstw nie była dostępną. Chcąc spopularyzować metodę buchalteryi podwójnej, należało ją uprościć, bez naruszenia zasady, a szematami praktycznymi unaocznić sposoby prowadzenia ksiąg buchalteryjnych i korzyści tą drogą osiąganę. Było to t \acute{e} m konieczniejsze, że nieumiejętność liczenia należy u nas do ważniejszych ujemności administracji roln \acute{e} j. Bo chociaż mamy wielu rolników, zatapiających się całymi dniami w rachunkach, chociaż kancelarye gospodarcze przepelnione są księgami kontroli, wykazów i t. p., wynik ostateczny t \acute{e} j mozolnej pracy jest prawie żaden. Jeslibyśmy zapytali takiego móla rachunkowego, ile go kosztuje produkeya fury nawozu, co wart jest dzień konia roboczego lub wołu, ile zamortyzowano z kapitału, wydanego na kupno maszyn i narzędzi, które produkeye zboża przynoszą straty a które zyski, czy pole bardziej oddalone a słabiej sterkoryzowane nie opłaciłoby się rozsprzedać,—otrzymamy odpowiedź albo bardzo niedokładną, lub t \acute{e} ż żadną. Chcąc zatem taką wadliwą i czas tylko próżno zaprzątającą rachunkowość usunąć, prócz wykazania teoretycznej wyższości rachunkowości podwójnej, należało objaśnić przykładami j \acute{e} j zasadność, ścisłość i możność w przeprowadzeniu.

Celowi temu odpowiada poważna praca, której tytuł w nagłówku niniejszego sprawozdania wymieniliśny. Jako pierwsze dzieło, szerzące światło nieznan \acute{e} j metody, praca p. S \acute{e} kowskiego może pod pewnym względem potrzebować uzupełnienia i sprostowania, lecz t \acute{e} lo, na któr \acute{e} m opierają się wskazówki i nadzwyczaj upraktyczniony wykład, zrozumiały nawet dla nieobznajomionego z rachunkowością, podwójną i poparty licznymi szematami, bardzo ułatwią zapoznanie się i manipulacye rolnikom. W pierwszej części „Buchalterya rolnicza“ pana S., obznajmia z wiadomościami wst \acute{e} pniemi o buchalteryi, naturalnie z zastosowaniem ich do celów rolniczych i podaniem odnośnych szematów. Są to wiadomości, oparte na najnowszych zasadach nauki buchalteryjnej, w sposób jasny wyłożone. Gł \acute{o} wne jednak zaciekawienie obudza w czytelniku-rolniku część druga, obejmująca wiadomości stosowane i grupująca dotychczasowe ra-

chunki pojedyncze gospodarstw w odmienny zupełnie sposób, wprowadzający ład, jasność i szczegółowe rachunki każdego odłamu produkcji, tam gdzie do tej pory panowały: dowolność, brak krytycznych wniosków i uogólnienie. Za bardzo dobrze ułożone uważamy rachunki: kosztów stałych i niestałych, w których Conto kosztu produkcji np. zboża wykazuje szczegółowo kosztu produkcji 1 morga, 1 puda, zysk z morga i puda. W rachunku inwentarzy po szczególe mamy wykazane „winien“ i „ma“ każdego rodzaju zwierząt, to samo stosuje się do zakładów przemysłowych, lasów i t. p. Największym szkopułem w rachunkowości podwójnej, jak wiadomo jest rachunek nawozów, z tego względu, że kwestya ta przedstawia tyle subtelności, iż niepodobna uchwycić ich w cyfry, określające dokładnie wartości pieniężne. Jedni są zdania, by nie liczyć zupełnie nawozu, nie posiada on bowiem ceny handlowej, a co najwyżej liczyć kosztu podściółki, wywózki i rozrzucania nawozu; inni sądzą, że należy szacować nawozy według ich wartości, przez porównanie wydajności roślin zasianych na nawozie i bez nawozu, lub przez obliczanie wartości nawozu, podług jego części składowych. Ze jednak systematy te albo są zupełnie błędne, lub z technicznych względów do wykonania niepodobne, p. Sękowski, idąc za radą członków redakcyi „Rolnika i Hodowcy,“ przyjął za zasadę nie szacunek, lecz kosztu produkcji nawozu zwierzęcego. Ponieważ w naszych warunkach inwentarz trzyma się przeważnie dla nawozu i jako czynnik siły pociągowej, bez względu na to, czy inwentarz przynosi zyski lub straty — tak dobrze, jak każde narzędzie rolnicze, przeto koszt utrzymania inwentarza, po potrąceniu przychodu z zarobkowych dni roboczych, przychowku, mleka, wełny i t. p., jest kosztem produkcji nawozu. Są to główne działy pracy pana S., naszym zdaniem zupełnie praktycznie i rozumnie pomyślane, a jeśli tu i owdzie pragnęlibyśmy w jego rachunkowości widzieć jeszcze dostępnejsze sposoby prowadzenia buchalteryi podwójnej, należy się spodziewać, że zastosowanie praktyczne tej metody rachunkowości, pożądana zmiany z łatwością wprowadzi.

W każdym razie pomyślnym jest fakt, że literatura nasza posiada nareszcie podręcznik, przy pomocy którego jaśniej zdołamy oceniać działalność pracy rolniczej i posiłkując się cyframi zapobiegać stratom lub rozwijać gałęzie produkeyi, zysk przynoszące.

C. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólna sytuacja polityczna.—Powikłanie stosunków międzynarodowych utrzymuje narody w oczekiwaniu nowych wstrząśnień politycznych.—Kłopoty ligi pokojowej.—Ucioczka Boulangera.—Przesilonia rządowe we Włoszech, Rumunii i Węgrzech.—Polityka gabinetu petersburskiego.—Polityka ludów bałkańskich.—Zapowiadany uroczysty obchód 500-letniej rocznicy bitwy na Kossowem polu.—Rzeczpospolita francuzka.—Włochy w obec spraw afrykańskich.—Konferencya w Berlinie w sprawie wysp samoafskich.—Ustanowienie szkoły górniczej w Dąbrowie górniczej.—Sprawozdanie kasy imienia J. Mianowskiego.—Sprawozdanie z odczytów na dochód osad rolnych: Jawornicki „O kulturze ludów afrykańskich“;—Władysław Szajnocha „O geologii w początkach bieżącego wieku“;—Plebiński „O naszych instytucjach fabrycznych“;—Suligowski „Jak my mieszkamy.“—H. Sienkiewicz „O powieści historycznej“ (na dochód Tow. Dobroczyńności).—Posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie: a) Komisji historii sztuki dnia 21 lutego i 9-go marca; b) Wydz. histor. filozof. dn. 12-go marca; c) Wydziału filolog. dn. 13 marca; d) Komisji antropologicznej dn. 29 marca.—Konkurs z fundacyi Franc. Kochmana ogłoszony przez Wydział krajowy w Galioyi na 2 nagrody (złr. 1,000 i 500) za dzieła polskie.—Archeologia: Wykopaliska we Włoszech.—Z ekonomiki: Sprawozdanie z czynności sekcji rolnej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu dn. 9-go kwietnia, (Sprawa kwestyonaryusza rolnego; giełda zbożowa; Stacja doświadczalna w Sobieszynie; Kwestya wystawy rolniczej w r. b.; Znaczenie nowego prawa gorzelniczego.—Prof. Okolski „O szwedzkim systemie propinacyjnym“ (Rola).—Sprawa irygowania okolicy podmiejskiej w Warszawie za pomocą ścieków kanalizacyjnych.—Wspomnienie pośmiertne: Michał Eugeniusz Chevreul; Ks. Franciszek Floryan Roemer.

Jakkolwiek na pierwszy rzut oka ogólne położenie stosunków politycznych w Europie, nie zmieniło w miesiącu kwietniu swojej fizyognomii pokojowej, to zastanowiwszy się głębiej nad istotą międzynarodowych i wewnętrznych interesów politycznych, przychodzi nam do wniosku, że ogólna sytuacja stosunków państwowych ma cechy nie tylko poważnego zakłócenia, ale nawet niebezpiecznego za-

ostrzenia współzawodniczących z sobą interesów ekonomicznych, społecznych, międzynarodowych i politycznych. Po szeregu nagłych i niespodziewanych wypadków (katastrofa arcyks. Rudolfa, abdykacya króla serbskiego Milana, awantura „wolnego kozaka” Aszynowa w Sagallu, rozwiązanie „ligi patriotycznej” w Paryżu, ucieczka Boulanger’a, przesilenie rządowe w Rumunii, sprawa wysp Samoa itd.), które od dosyć dawna utrzymują całą zachodnią Europę w nerwowém niemal pobudzeniu — odzywają się coraz nowe niespodzianki, utrzymujące społeczność zachodnio-europejską w oczekiwaniu nowych politycznych wydarzeń. Narody zdają się instynktowo przeczuwać kruszenie się dotychczasowego porządku, ustanowionego w ostatnim dziesięcioleciu najprzód przez dwu-przymierze austriacko-niemieckie, potem w krótkiej dobie przez związek austriacko-niemiecko-ruski — a w końcu przez t. zw. ligę pokojową austriacko-włosko-niemiecką — i przez wynikłe ztąd ustosunkowanie reszty mocarstw europejskich, wodzonych bez wytchnienia od owych trzech ligistów na pokuszenie zachwalanemi widokami jaknajpomyślniejszej przyszłości. Najpoważniejszą siłę oporną stanowi tu bez zaprzeczenia pokojowa polityka gabinetu petersburskiego, imponująca w wysokim stopniu matactwom politycznym poważnego kierownika dyplomacyi europejskiej.

W obec podobnego położenia rzeczy, ujawniły się w lidze pokojowej takie poważne sprzeczności wewnętrzne (gwałtowne wzburzenia włoskie i węgierskie), że trwałość potęgi środkowego trójprzymierza ujrzała się w pewném zakłopotaniu, z którego nie wyprowadzi ligistów ociążałość gabinetu Salisburego. Równocześnie rozwijają się w dalszym następstwie stosunki na półwyspie bałkańskim w tym kierunku, który nie przedstawia pomyślnych widoków dla polityki ligi pokojowej, ale też nie uprawnia nadziei agitatorów współzawodniczących z dotychczasowemi autonomicznemi i narodowemi aspiracyami ludów półwyspu bałkańskiego. Prezes gab. serbskiego Gruicz, wystosował do regencyi pismo, w którym przypomina, że d. 15 czerwca r. b. przypada 500 letnia rocznica bitwy na Kosowém Polu, w której runęła korona carów serbskich. Dzień ten ważnym jest dla każdego serba, ponieważ budzi wspomnienia wielkości i cnót bohaterów kosowskich, oraz z powodu, że właśnie owo wspomnienie podtrzymywało ducha narodowego przez wieki w pośród walk nieustających. Tym tylko sposobem odzyskano niepodległość Serbii, oraz zwycięstwo serbskiego poczucia narodowego. Dzisiejsze tedy państwo serbskie nie może nie obchodzić téj rocznicy narodowej w sposób uroczysty i najgodniejszy. Z tego względu prezes gabinetu, Gruicz, proponuje, ażeby w dniu 15 czerwca, w całym kraju odbyły się obchody pamiątkowe na cześć króla Łazarza i bohaterów, poległych na Kosowém Polu za wiarę i ojczyznę, ażeby tego samego dnia położony został kamień węgielny pod pomnik dla poległych bohaterów w Krusewacu, ażeby dalsz, kosztem państwa wydana została książka ludo-

wa, zawierająca wszystkie pieśni ludowe, odnoszące się do bitwy na Kosowém Polu, opatrzona odpowiedniami ilustracyami. Następnie projektuje Gruicz ustanowienie orderu Łazarza o jednej tylko klasie, któryby nosili jedynie panujący serbscy i ich następcy tronu, w końcu zaś, z powodu tój uroczystości, żąda, ażeby król Aleksander dnia 20 czerwca s. s. w klasztorze Zica przyjął pomazanie. Ponieważ regenci zgodzili się na wnioski Gruicza, osobna komisya, na której czele stanie minister wyznań, zajmie się obmyśleniem szczegółów, odnoszących się do obchodu uroczystości na pamiątkę bitwy na Kosowém Polu.

Wewnętrzne zamieszki francuzkie wykreślają rzeczpospolitą francuzką z koncertu europejskiego; kłopoty finansowe krepują Włochy w śmielszém postępowaniu wśród zawichrzeń afrykańskich, któreby mogły nastreczyć Crispi'emu sposobność zdobycia pewnych korzyści na polu polityki kolonialnej. Rozpoczynająca się w Berlinie konferencya w sprawie wysp Samozańskich zajmuje w tój chwili uwagę polityków berlińskich, waszyngtońskich i londyńskich, przystępujących do swego dzieła ugodowego z nadzwyczajną przezornością i z niemniejszą ostrożnością.

W G o ń c u U r z ę d o w y m z dnia 6 (18) kwietnia r. b. ogłoszono Najwyżej dnia 13 (25) lutego r. b. zatwierdzoną uchwałę rady państwa, ustanawiającą w Dąbrowie „Szkołę Górniczą“. Podajemy w streszczeniu rzeczoną uchwałę:

Szkoła Górnicza otwiera się w Dąbrowie w pow. Będzińskim, gub. Piotrkowskiej. Zadaniem „Szkoły Górniczej“ jest kształcenie sztygarów i majstrów, mających pracować w zakładach przemysłowo-górniczych. Szkołą zawiaduje ministryum dóbr państwa; bezpośrednim zaś jój zwierzchnikiem jest naczelnik rządowych zakładów górniczych w Królestwie Polskiem. Szkołę utrzymuje skarb państwa. Na czele szkoły stoi dyrektor i rada szkolna. Dyrektor prócz zarządzania szkołą jest obowiązany wykładać jeden ze specjalnych przedmiotów, wchodzących w zakres programu. Radę szkolną stanowią: professorowie, dwaj okregowi inżynierowie w Królestwie Polskiem i dwaj członkowie, wybierani przez miejscowych przemysłowców górniczych. Rada szkolna przyjmuje i uwalnia kandydatów, wydaje świadectwa na sztygarów, wybiera podręczniki naukowe, rozdziela wykład przedmiotów między nauczycieli, rozstrzyga wszelkie kwestye, odnoszące się do prawidłowego wykładu nauk. Większość głosów w radzie rozstrzyga; w razie równości, głos przewodniczącego jest decydującym. Wszelkie uchwały rady dyrektor szkoły komunikuje naczelnikowi zakładów górniczych w Królestwie Polskiem; jeżeli się zaś ten ostatni na uchwałę nie zgodzi, zaskarża ją do departamentu górniczego.

Dyrektora szkoły mianuje minister dóbr państwa z pośród inżynierów górniczych. Nauczycieli i lekarza mianuje departament górniczy, na przedstawienie naczelnika zakładów górniczych w Kró-

leństwie Polskiem; pozostałych pracujących w szkole mianuje jej dyrektor. Program nauk jest następujący: religia (prawosławna i rzymsko-katolicka), język ruski i polski, arytmetyka, algebra, trygonometria, początki fizyki, chemii, geodezyi, mechaniki, budownictwa, mineralogii, geologii, sztuki górniczej i markszajderskiej, metalurgii, sztuki probierczej, rysunki, buchalterya, prawo górnicze, wskazówki jak ratować tych, którzy ulegli wypadkowi. Niezależnie od nauki teoretycznej, będą prowadzone zajęcia praktyczne z dziedziny chemii, sztuki probierczej, mineralogii, markszajderstwa, ciesielstwa, stolarstwa, ślusarstwa i kowalstwa.

Kurs w szkole jest czteroletni. Klasa 3-ia i 4-ta składa się z dwóch oddziałów: przemysłowego i górniczego. Jako podręczniki naukowe uczniowie będą mieli: bibliotekę, zbiory mineralogiczne, geologiczne, różne narzędzia, używane w górnictwie, rozmaite modele górnicze, laboratorium chemiczne i warsztaty.

Do szkoły będą przyjmowani poddani rusy bez różnicy pochodzenia i wyznania, z wyjątkiem jedynie Żydów.

Przyjęty być może do szkoły, kto skończy lat 15 wieku i nie jest starszy nad lat 20; kto nie ma takiej wady fizycznej, iż w przyszłości nie mógłby być sztygarem; kto skończył najmniej dwuklasową szkołę miejską. Niezależnie jednak od kwalifikacyi naukowych, każdy kandydat musi składać egzamin z języka ruskiego i arytmetyki. Opłata szkolna będzie wynosiła rocznie 20 rubli; ma być wnoszona półrocznie z góry.

Kończący szkołę, po zdaniu egzaminów, jeżeli chce otrzymać stopień sztygara musi pracować najmniej przez rok w jednym z zakładów górniczych; dopiero po złożeniu świadectwa, iż praktycznie obeznał się ze swoim zawodem, otrzymuje patent sztygarski.

Na utrzymanie szkoły ministryum dóbr państwa asygnuje co-rocennie 7,700 rubli.

Zarząd kasy im. Mi a n o w s k i e g o ogłosił drukiem sprawozdanie z siódmego roku działalności tej instytucyi.

Liczba członków rzeczywistych, która w r. 1887-ym spadła z 750 do 741, w roku ubiegłym wzrosła do 753, a ci wnieśli tytułem składek rs. 4239. Nadto wzięło w roku zeszłym z wkładów nowego członka-zalóżyciela rs. 200 oraz od 3 członków honorowych rs. 300. Ze zwrotu pożyczek wpłynęło rs. 1120 kop. 44, a z zapomóg warunkowo-zwrotnych rs. 4024 kop. 8.

Wydatki administracyjne uczyniły rs. 658 kop. 78; zapomogi bezzwrotne, warunkowo-zwrotne i pożyczki wyniosły ogółem rs. 9988 kop. 93, a mianowicie: zapomogi bezzwrotne rs. 6383 kop. 95, zapomogi warunkowo-zwrotne rs. 2804 kop. 98, pożyczki rs. 800.

Zapomogi na cele naukowe otrzymali:

1) p. J. I. Boguski rs. 250 na badania naukowe w dziedzinie fizyki; 2) dr. Odon Bujwid rs. 600 na wyjazd w celu dalszych stu-

dyów w zakresie bakterjologii; 3) p. Karol Drymmer rs 300 na dwie wycieczki botaniczne do puszczy Białowieskiej; 4) dr. zoologii Józef Nussbum, rs. 460 na kupno narzędzi do pracowni zoologicznej; 5) p. Michał Rowiński rs. 200 na studia nad filologią klasyczną; 6) p. Józef Siemiradzki rs. 300 na dokonywanie badań geologicznych części kraju, położonej między Wartą i Prosną; 7) dr. Witold Szumlański rs. 300 na wyjazd w celach naukowych; 8) prof. uniwersytetu, Jan Trejdosiewicz rs. 400 na dalsze studia geologiczne w guberni lubelskiej; 9) p. Aleksander Walicki rs. 400 na wycieczkę naukową.

Oprócz zapomóg i pożyczek na wydawnictwa naukowe, wypłaconych na rachunek już przyznanych w latach poprzednich, postanowiono udzielić następujące zasiłki:

1) p. Baudouin de Courtenay rs. 676 kop. 20 zapomogi zwrotnej na dalszy ciąg wydawnictwa „Prac filologicznych“.

2) b. prof., Feliksowi Berdau, rs. 400 na dokończenie druku „Flory tatrzańskiej“.

3) Józefowi Blizińskiemu rs. 800 pożyczki na wydawnictwo p. t.: „Przyczynki do słownika języka polskiego“.

4) p. Š. Dicksteinowi około rs. 200 zapomogi warunkowo-zwrotniej na wydanie przekładu dzieła Gino Loria pod napisem: „Przeszłość i stan obecny najważniejszych teorii geometrycznych.“

5) pp.: Maksymilianowi Flaumowi i Wacławowi Mayzłowi zapomogi zwrotnej około rs. 900 na wydanie przekładu dzieła Bunge'go p. n.: Wykład chemii fizjologicznej“

6) p. J. F. Gajslerowi rs. 419 kop. 10 zapomogi zwrotnej na dzieło p. t.: „Rys dziejów czeskich“.

7) p. Janowi Karłowiczowi pożyczki rs. 600 na wydawnictwo p. n.: „Biblioteka Wisły“.

8) p. Kazimierzowi Kleczkowskiemu pożyczki rs. 100 na ogłoszenie drukiem pracy p. n.: „Piękno u domowego ogniska“.

9) p. Maryi Weryho zapomogę bezzwrotną rs. 100 na wydawnictwa pedagogiczne.

10) p. Bronisławowi Znatowiczowi, redaktorowi „Pamiętnika fizyograficznego“, zapomogi bezzwrotnej rs. 1500 na dalsze wydawnictwo tego dzieła.

Pożyczek i zapomóg dla osób, które już poprzednio dały się poznać z prac naukowych, udzielono w ilości sześciu na sumę ogólną rs 1350

Wreszcie z pomogi z procentu od wieczystego funduszu im. J. Nep. Jaśkowskiego wypłacono rs. 708 kop. 95 bezzwrotnie p. Oskarowi Kolbergowi na wydawnictwo p. t.: „Mazowsze“, a z funduszu, przeznaczonego na tłumaczenie dzieł lekarskich zgodnie z pierwotnym życzeniem ofiarodawcy, rs. 300 zapomogi bezzwrotnej d-rowsi Ottonowi Hewelke na wydawnictwo „kroniki lekarskiej“.

Obrót kasowy funduszków wykazał w roku zeszłym rs. 42988 kop 27 dochodu i rs. 4168 kop. 98 wydatków, tak że w gotowiznie pozostało u kasyera rs 1819 kop. 38

Trzy odczyty p. Aleksandra Jawornickiego o kulturze plemion pierwotnych w Afryce nie zgromadziły licznój publiczności do ratuszowej sali. A jednak warto było posłuchać opowiadań podróżnika, który w rozwijanym przez siebie przedniocie mógł od czasu do czasu własne wygłosić zdanie, jako naoczny świadek i samodzielny badacz; nie często przecież zdarza nam się obcować z rodakami, którzy zwiedzili część afrykańskiego kontynentu.

Zaznaczywszy na wstępie powolność w rozwoju cywilizacji pierwotnych plemion afrykańskich a w szczególności plemienia Bantu, prelegent przeszedł do zasad religijno-moralnych, mówił o pojęciu bóstwa, jako czegoś raczej wrogiego niż opiekuńczego, o tłumaczach woli tychże bóstw (fetyszach), wyzyskujących wiarę tłumów na swą korzyść, a skojarzonych z sobą, jakby w wielkie bractwo. Jak niegdyś wyrocznie greckie, tak dziś dowcipni śludzy fetyszów unieją skłonić „wielkiego ducha“ do wygłoszenia przepowiedni zawsze dwuznacznej a zwykle zawiłej, a jak w wiekach średnich próba ognia lub wody orzekała o sprawidliwości lub zbrodni skazańca, tak dotąd podobne sądy boże na wielką skalę są stosowane wśród różnych afrykańskich plemion z tą jedynie różnicą, że wodę i ogień zastępuje gwałtowna trucizna. Jeżeli poddany próbie, po wypiciu jej doła przejść wskazaną odległość, jest niewinnym, a wówczas ratują go podaniem stosownej odtrutki. Działanie wszakże trucizny jest tak gwałtowne, że ten, co ją przyjął, niezdola zwykle kilku kroków postąpić o własnej sile, pada, a obecny próbie tłum rzuca się na ofiarę i rozrywa ją na sztuki. Pojęcie nieśmiertelności istnieje wśród plemion afrykańskich, ale przedstawia się zwykle, jako dalszy ciąg ziemskiego życia, tylko, że bezcielesnego; wiara w amulety, udzielane przez fetyszów szeroko jest rozwiniętą.

Naczelnikiem rodziny jest ojciec, kilkanaście rodzin, zamieszkujących wioskę, tworzy gminę, bardziej ogólnych pojęć uspołecznienia plemiona afrykańskie nie posiadają. Ojciec jest panem nieograniczonym nad swemi żonami i dziećmi dopóki te ostatnie nie założą własnych domostw. A dzieje się to wcześniej: chłopcy już w 15-ym a dziewczęta w 12-ym roku zawierają związki małżeńskie. Narzeczony kupuje sobie oblubienicę, lecz u jednych plemion bez jej wiedzy i woli u innych musi występować w roli konkurenta i starać się o względy swój przyszlęj. Liczba żon jest nieograniczona, jednak tylko pierwsza korzysta z zaufania męża, inne uważają się za jej niewolnice. W ogóle los żon nie jest u afrykańskich plemion do pozazdrosczenia; prócz bezustannej pracy niczego spodziewać się nie mogą, chyba czynnych objawów gniewu swego małżonka

i pana. Małżeństwa między krewnymi są surowo prawem zwyczajowem karane, dziwna rzecz jaką drogą doszli murzyni do sformowania podobnego zakazu. Rozerwanie małżeństwa może nastąpić z winy żony a wtedy małżonek odsyła ją do domu rodziców i żąda zwrotu poniesionego okupu. Zerwanie prawie nigdy nie jest wynikiem zazdrości ze strony mężczyzny, lub zdrady ze strony kobiety, bo wykroczenia przeciw czci małżeńskiej karzą się tylko na równi z kradzieżą.

Nad sprawami, obchodzącymi ogół gminy, czuwa sąd, zwany „palabromy“, złożony z ojców rodzin pod przewodnictwem naczelnika osady. Ludność murzyńska dzieli się zwykle na wolnych i niewolników, ci ostatni są wojenną zdobyczą zwycięzców, to też nie ma ich u tych plemion, które nie biorą niewolników. Na wyspie Fernando-Po u plemienia Bubisów ludność składa się z gminu i uprzywilejowanych, którzy zakrawają na szlachtę. Mieć znaczny osobisty majątek i nic zgoła nie robić, jest dewizą tych czarnych dyjamantów. Osady murzyńskie są zwykle zakładane na wzgórzach według jednego typu. Dwa szeregi zwartych domów tworzą ulicę zamkniętą z obu stron z kilkoma przejściami bocznymi. Osada wygląda na obwarowaną i byłaby nią w istocie, gdyby posiadała strzelnice, dotąd jednak murzyni nie zdobyli się na podobny pomysł. Domy zbudowane są z trzciny, pokryte dachem z liści bambusowych, nie ma w nich ani okien, ani kominów. Wewnętrznie urządzenie chat nader proste, trochę naczyń gospodarskich, nieco broni na ścianie, kilka ławek i małych stołeczków a wreszcie skrzynia z towarami oto i całe umeblowanie. Osobliwą jest rzeczą, że nawet u ludów, stojących na tym stopniu cywilizacji jak murzyni, chęć wywyższenia się odgrywa znaczną rolę, p. Jawornicki zapewniał, że niektórzy murzyni zakupują puste paki po towarach, byleby mieć w chacie dowód zamożności, ci zaś, których nie stać nawet na kupno kufrów, nabywają pęki kluczków i noszą je na szyi, byle tylko okazać, że są właścicielami odpowiedniej liczby kufrów, napełnionych, rozumie się, towarami.

Pokarmy, któremi się murzyni przeważnie żywią, zależą od miejscowości a raczej od tego, co łatwiej mieć można. Wogóle murzyn nie jest wybredny, a w razie głodu jada nawet padlinę. Rum i tytoń są dlań przedmiotami zbytku nader pożądanymi.

Niektóre gałęzie przemysłu były już od dawnych czasów uprawiane, obecnie rzecz można uległy stagnacji skutkiem europejskiego dowozu. I tak wytapianie surowca z rudy i przeróbka na żelazo kute jak niemniej wyrób z tegoż nieczków, noży, siekier, motyk, wyrób naczyń glinianych, wyrób łyżek i kubków z drzewa, muszli a wreszcie tkactwo różnokolorowych płócien, należą do najpowszechniejszych a trzeba przyznać, że wyroby te w wielu razach niepozbanione są pewnego gustu. Ze sztuk pięknych, jak to się w Europie mówić zwykło, kwitną tu śpiew, muzyka i taniec, lecz niepodobna

pochwyć w nich czegoś, co by było rytmem a tem mniej harmoniją. Z instrumentów muzycznych używane są: bęben, piszczałka, róg, a u niektórych plemion siedmiostrunowa arfa. Na zakończenie prelegent mówił o moralnej stronie murzyna, zwracał uwagę na jego łagodność, brak zawziętości i gościnność, zaznaczył dążność do rozwoju i postępu, które gdyby znalazły istotne poparcie w misyjnych ekspedycjach starego ładu, mogłyby z czasem wytworzyć nowe narody, wykołysane europejską kulturą, niestety ekspedycje te mają zwykle handel na celu, dążą do wydarcia najcenniejszych płodów czarnym synom tej ziemi, a w zamian rozpajają ich wódką i odurzają tytoniem a wypierając powoli z siedzib, grożą zupełnym zagładzeniem czarnego szczepu podobnie jak to się stało z wieloma plemionami amerykańskiego kontynentu.

Odczyty p. Jawornickiego były ilustrowane różnemi okazami przemysłu oraz rysunkami chat, osady i t. p.

P. Władysław Szajnocha, profesor wszechnicy Jagiellońskiej, znany geolog i autor licznych prac specjalnych (Górnictwo naftowe w Galicyi wobec ustawodawstwa górniczego“, 1881. „Studia geologiczne w Karpatach Galicyi wschodniej“. Część I, okolica Żywca i Białej, 1884. „Przyczynek do znajomości faunacefalepedów z karpackiego piaskowca“, 1884. „Studia geologiczne w Karpatach Galicyi zachodniej“. Część II, okolica Gorlic, Jasła i Krosna, 1886. „O kilku gatunkach ryb kopalnych z Monte Bolca pod Weroną“, 1886. „Przemysł górniczy na wystawie w Krakowie“, 1887), miał dwa odczyty na temat „Nauka geologii w początkach bieżącego wieku“. Jako o rzeczy specjalnej, która zapewne ukaże się w druku, wspominaliśmy tylko o jej treści, pocieszając się nadzieją, że poważna praca sz. profesora wydrukowana nastarczy nam sposobność do szczegółowszego jej rozbioru. Prof. Szajnocha mówił najprzód o życiu Stan. Staszycy i jego stosunku do Buffona, d'Alemberta i Raynolda. Potem ocenił dzieła Staszycy: „Epoki natury Buffona“, „O ziemiородztwie Karpatów i innych gór i równin Polski“. Carta geologica totius Poloniae, Moldaviae, Transsilvaniae et partis Hungariae et Valachiae.“

Z szeregu następnych odczytów wspomniemy o dwóch więcej ogólniejszego znaczenia, pozostawiając temata specjalniejsze pismom fachowym. Zamierzamy powiedzieć słów kilka o prelekcjach pp. Plebińskiego, który dotknął kwestyi „Instytucyi fabrycznych“ i Suligowskiego, zastanawiającego się nad tém: „Jak my mieszkamy.“

Adwokat przysięgły i publicysta p. Edward Plebiński żywotny przedmiot obrał, mówiąc o sprawach nader ważnych w ustroju socyjalnym społeczeństw, zwracających na siebie uwagę rządów, ekonomistów i przyjaciół ludzkości. Mówca poprzedził ocenę tutejszych stosunków

robotniczych szkicem urządzeń za granicą istniejących i wskazał na ujemne następstwa, które wytwarza wielki przemysł XIX stulecia, monopolizujący pracę i oddający robotnika na łaskę i niełaskę chłébodawcy. Porównanie między dawnym przemysłem warsztatowym i domowym a obecnym fabrycznym, nie zupełnie na korzyść tego ostatniego wypada. Przemysł fabryczny wytwarza szybciej i taniej, daje towar doskonały i wykwintniejszy, ale odrywa robotnika od rodziny, stawia go w zależności od fabrykanta i wywołując częste nadprodukcyc, przyczynia się do przesileń handlowych i przemysłowych.

Rządy, zwróciwszy uwagę na położenie robotników, wydały tak zwane ustawy fabryczne, mające stanowić ochronę robotnika przeciwko wyzyskowi fabrykanta. Pierwsze w tym kierunku ustawy wydane zostały w Anglii, w 1802 r. a odtąd stosować je zaczęły u siebie także inne państwa, nie z taką jednak bezwzględnością jak ks. Bismarck, który aż do socjalizmu państwowego dąży. Celem ustaw fabrycznych jest opieka nad kobietami i dziećmi, nadzór nad zdrowiem robotnika, zajęcie się jego losem w razie choroby i kalectwa, oraz uregulowanie stosunków między fabrykantem i klasą robotniczą.

Z kolei przechodząc do stosunków tutejszych, prelegent miał sposobność stwierdzenia bardzo przyjaznego dla naszego ustroju socjalnego faktu, mianowicie wykazał zadawalniające położenie robotników fabrycznych. Chociaż nie istnieją u nas specjalne prawa, opiekujące się robotnikami (prócz przepisów o małoletnich, wydanych przed trzema laty), stosunki tych ostatnich do przemysłowca są u nas nierównie lepsze niż za granicą, oparte na zaufaniu wzajemnym, czego dowodem zawieranie umów nie na piśmie; płaca dostaje się robotnikowi regularnie; a dzień roboczy krótszy jest aniżeli w innych krajach. Wiele z fabryk tutejszych posiada kasy oszczędności, kasy dla chorych, stowarzyszenia spożywcze, ubezpieczenia robotników od choroby i kalectwa, a spotykamy się nadto z instytucjami fabrycznymi, zakładanymi bądź przez samych robotników, bądź ze współdziałaniem właścicieli.

Prelegent opisał urządzenie zakładów Żyrardowskich, będące wzorem przezorności i opieki właścicieli tych fabryk nad robotnikami. Zakłady Żyrardowskie zatrudniają 6000 robotników, a właściciele zrobili bardzo wiele dla zapewnienia potrzeb duchowych i materialnych robotnika, poświęciwszy w tym celu znaczne kapitały. Wybudowali w osadzie kościół katolicki i kaplicę protestancką, założyli 10 szkół i ochronę, utrzymują dwóch lekarzy, wybudowali 840 mieszkań, w cenie 5 rubli miesięcznie za mieszkanie, urządzili targ na specjalny użytek robotników, rzeźnię, młyn turbinowy, nadto zorganizowali rozmaite instytucje oszczędnościowe i corocznie rozdają książeczki oszczędności 60 najstarszym z kolei robotnikom.

Na tym jednym przykładzie ograniczywszy się, choć mamy ich więcej, jak np. w hutach szklanych braci Hordliczków, w zakładach na Solcu w Warszawie, w fabrykach Sscheiblerów w Łodzi, prelegent mimo tych przyjaznych okoliczności, uważa, że w sprawie stonków robotniczych nie jedno jest jeszcze do zrobienia. Społeczeństwo powinno się więc gorliwie zająć wprowadzeniem tych reform, które zapewnią dobrobyt robotników i usuną obawy zejść tak często powtarzających się na zachodzie.

Ciekawy i pięknie wypowiedziany odczyt p. Plebińskiego, szkoda że nie został uzupełniony niektórymi cyframi, jaśniej objaśniającymi kwestyę robotników fabrycznych u nas. Z jednym tylko ciekawym spotkaliśmy się obliczeniem, z wykazaniem udziału sił swoich w dziedzinie tutejszego przemysłu. Otóż w warszawskim okręgu fabrycznym na 160 zakładów, znajduje się w rękach angielskich 1%, polskich 18%, niemieckich 16%, a w żydowskich aż 62%, zakładów.

Dwa odczyty p. Adolfa Suligowskiego, musiały wyrzeźwić wrażenie na publiczności warszawskiej, rozprawiającej dużo o kwestyi higienicznej.

Prelegent nie zajmował długo uwagi słuchaczy teoretycznym znaczeniem dobrych mieszkań w życiu człowieka, ale przystąpił do praktycznego wykazania „Jak my mieszkamy” w Warszawie i przez to tem dobitniej zaznaczył ujemności istniejące u nas w tym kierunku. Głównym powodem złych warunków mieszkalnych Warszawy, jest coraz większe ścieśnianie się domów na przestrzeni rogatkami zamkniętej, a obawa przekroczenia granicy rogatek wytwarza kasowanie placów, ogrodów, podwórz, co na higienę miasta nadzwyczaj ujemnie wpływa. Od r. 1868-go np. liczba domów wzrosła na tej samej przestrzeni o 4,200 (mamy obecnie domów razem 12,100), a ludność się podniosła. W tém miejscu prelegent słusznie zarzucił właściwym sferom, że zamiast starać się o tworzenie ogrodów i skwerów, wywierających na zdrowotność wpływ zbawienny, niasto zamierza zabudować plac Zielony, skwer ewangelicki, plac Krasiński, a wszak niedawno głośnym był zamach na ogród Saski.

Będąc bezwzględny zwolennikiem kanalizacji i pomawiając obywateli miasta, jej przeciwnych, o egoizm, p. Suligowski twierdzi, że prócz kanalizacji należy zwrócić uwagę na urządzenie wewnętrzne mieszkań. Poglądy w tej kwestyi wyrażone dostarczają nadzwyczaj ciekawych objaśnień nie tylko w zdrowotnych sprawach miasta, ale i pod względem społeczno-ekonomicznego ustroju. Owa bieda, o której tak wiele mówimy, wtedy dopiero z całą grozą występuje, gdy ją w oświeceniu cyfr zobaczymy. W 1882 r. było w mieście 79,000 mieszkań a 207,000 izb. Z nich było 46% mieszkań jednoizbowych, 33% dwuizbowych, czyli przeszło $\frac{2}{3}$ mieszkań biednych i nędznych. Co do mieszkań 3 i 4-roizbowych te również do biednych

zaliczyć należy, wiele z nich bowiem zajętych jest na warsztaty, fabryki i t. p., część zaś znaczna wynajęta sublokatorom. Tych ostatnich Warszawa liczy 49,000, nadto w suterynach i poddaszach mieści się 64,000 osób, często bez światła i ciepła, i w ciasnocie niesłychanej. Od 1868 r. ludność suteryn pomnożyła się o 9 razy. Naturalnym następstwem takich urządzeń są znaczne straty, które miasto ponosi skutkiem śmiertelności nadmiernej. Prelegent oblicza, że na złym stanie sanitarnym miasto ponosi deficytu 8,100 ludzi rocznie, co przedstawia ekonomiczną stratę $3\frac{1}{2}$ miliona rubli.

Gdy warstwy uboższe w tak opłakanych warunkach żyją, warstwy zamożniejsze nad możność wydatkują na lokale. Chociaż dobrobyt tych warstw wiele pozostawia do życzenia, zamiłowanie do zabaw, komfortu i fałszywego blichtru wywołuje ten fakt, że gdy w Berlinie i Lipsku np. mieszkanie 4 i 5 pokojowe stanowi 12% ogółu mieszkań, u nas stosunek ten wynosi 19%. To samo ma miejsce ze służbą. Mamy w Warszawie 71,000 gospodarstw, a 35,000 sług, że zaś większość tych gospodarstw sług nie utrzymuje, cały więc kontyngens służbowy usługuje znacznej mniejszości. Zupełne tu przeciwieństwo z zagranicą, gdzie w Berlinie wypada 1 sługa na 4 gospodarstwa, w Hamburgu na 3, w Lipsku na $2\frac{1}{2}$. Słusznie też prelegent charakteryzuje nasze stosunki mieszkalne, słowami: „U dołu nędza, u góry marnotrawstwo.“

Po takim przedstawieniu kwestyi naszych mieszkań, prelegent w drugim odczycie przedstawił środki, dążące do usunięcia złego. Co się tyczy zbytku, ujawniającego się w rozmiarach lokali warstw zamożniejszych, tylko naciskiem moralnym zdziałać coś można. Prasa, opinia, powinny potępiać zbyteczne zamiłowanie do zabaw, a zwłaszcza karcieć życie nad stan. Środki takie bardzo problematycznymi nam się wydają, natomiast rady podane w celu usunięcia nędzy mieszkalnej uznajemy za wiele praktyczniejsze.

Ze względu na znaczny przyrost ludności miasta, wywołany ruchem handlowo-przemysłowym, należało przypuszczać, że zabudowywanie Warszawy będzie szło równomiernie z zaludnieniem. Stało się jednak przeciwnie, bo skutkiem niedostateczności lokali cena ich poszła w górę, a zarobki po chwilowej zwyżce unormowały się w kierunku niżkowym, co naruszyło równowagę między wysokością zarobku a ceną mieszkania. Jedną tu więc tylko jest rada, mianowicie: rozwinąć ruch budowlany w kierunku małych mieszkań, jako najpotrzebniejszych i zapewniających zysk przedsiębiorstwom, stawiającym domy dla robotników. Korzyści takiego kierunku ilustrował prelegent przykładem Anglii, gdzie niezależnie od inicjatywy państwowej, społeczeństwo własnymi siłami nadzwyczaj wiele zdziałało. Prelegent zalecał zatem utworzenie przedsiębiorstw, z których jedne budowałyby domy z wyłącznie małymi i tanimi mieszkaniami, drugie ulepszałyby mieszkania już istniejące w kierunku rzeczywistych potrzeb większości

mieszkańców. Kapitał potrzebny dałby się zebrać stopniowo z tą pewnością, że przyniesie uczestnikom przedsiębiorstw budowlanych najmniej 6^o/. Szkoda, że prelegent nie wspomniał o spółce od dość dawna istniejącej w Warszawie, która wybudowała parę domów z mieszkaniami dla robotników, w celu sprzedawania ich zaraz po wybudowaniu i za otrzymany kapitał budowania nowych. Wprawdzie nie znaleźli się chętni do kupna i domy do spółki po dziś dzień należą, ale stanowią one wzór—zwłaszcza domy przy ulicy Rozbrat, jak należy stawiać domy na użytek uboższej ludności.

Wkońcu prelegent, kładąc nacisk na studia, któreby dokładnie wyjaśniły sprawę mieszkań uboższych, radzi zarządzenie zbadania tej sprawy, odwołuje się do prasy, by zainteresowała ogół a ciągłym trzymaniem na porządku dziennym kwestyi ściśle związanej z pomyślnością miasta, przyczyniła się do jej szczęśliwego rozwiązania.

Rozprawa p. Suligowskiego wypowiedziana z wielkim przejęciem się przedmiotem i w bardzo pięknej formie, podniosła kwestyą pierwszorzędną i należy do najlepszych z odczytów, które wypowiedziano w roku bieżącym na rzecz osad rolnych.

Nie mniejszy interes obudziła prelekcya p. Henryka Sienkiewicza „O powieści historycznej“, na dochód Tow. Dobroczynności, w której znakomity nasz powieścio-pisarz zbijał zarzuty podnoszone w ostatnich latach przeciw temu rodzajowi utworów literackich. Ponieważ „Słowo“ rozpoczęło już druk tego poważnego studyum, możemy w tej chwili poprzestać na tej kronikarskiej wzmiance, z postanowieniem szczegółowszego rozbioru tego wykładu, skoro zostanie wydrukowany.

Dnia 21 lutego b. r. w Akademii umiejętności w Krakowie, odbyło się posiedzenie komisji historii sztuki, na którym przewodniczący prof. Łuszczkiewicz przedłożył streszczenie nowo wyszłego zeszytu „Sprawozdań kom. hist. szt.“ Jest on poświęcony badaniom nad zabytkami stylu romańskiego w Polsce (portal w kościele na Zwierzyńcu, kościół w Prandocinie pod Słomnikami, kościół w Starem mieście, słup drogowy w Koninie, kościół w Kazimierzu biskupim, kościół klasztorny w Czerwińsku), nadto zawiera protokoły z posiedzeń komisji od marca 1887 do kwietnia 1888 r., liczne tablice litografowane i ryciny w tekście. Na wniosek prof. M. Sokołowskiego postanowiono prosić bawiącego w Anglii p. Kaltenbacha, aby oprócz zamówionych już poprzednio podobizn z rękopiśmiennego modlitewnika Zygmunta I, polecił zrobić fotografie z miniatur modlitewnika Bony, znajdującego się w Oksfordzie, a pochodzącego z ręki tegoż samego monogramisty I. C., ale o wartości artystycznej podobno wyższej. Hr. K. Przezdziecki, okazując kilka dawnych rycin z widokami różnych budynków w Polsce, podnosi ważność takich świadectw przeszłości dla historii zabytków archi-

tektury i oznajmił, że zajmuje się zgromadzeniem większego takiego zbioru rycin. Prof. M. Sokołowski wspomniał o założoném w zbiorach Akademii archiwum po ś. p. Antonim Schneiderze, które obecnie zupełnie jest nieprzystępném, a obok wielu rzeczy mniejszej wagi ma zawierać niektóre akta ważne nawet dla history sztuki w Polsce. Pr. Łuszczkiewicz, przedstawiając ze swoich dawniejszych studyów zdjęcie rysunkowe postaci ś. Anny z M. Boską i Chrystusem na rękę, do niedawna widzialnej na ścianie krużganku OO. Franciszkanów w Krakowie, objaśnił, że w starym inwentarzu tegoż klasztoru jest mowa o freskach, okrywających całe ściany krużganków. Hr. Al. Przeddziecki i ks. Jerzy Lubomirski odkrobaliby przed laty z pod tynku kilka ułamków tych malowań z XV wieku, między nimi ślady dawniejszych portretów biskupów krak., malowanych al fresco. Także w klasztorze św. Katarzyny widzieć można było fragmenta malowań takich z XVI wieku na krużgankach. Wszystko to dziś częściowo zamalowane, częściowo zniszczone bezpowrotnie. Prelegent okazywał też dawniej zrobione zdjęcia laskowania okiennego z epoki wczesno gotyckiej, znajdującego się w zamurowaném teraz oknie kościoła Franciszkanów. Prof. Łuszczkiewicz zawiadomił w krótkości o odkryciach poczynionych przy obecnej restauracji prezbiterium kościoła Najśw. P. Maryi w Krakowie. Sekretarz kom. p. Tomkowicz, przedłożył i objaśniał zdjęcia architektoniczne z wnętrza sal gotyckich, znajdujących się w wieży ratuszowej krakowskiej, po raz pierwszy obecnie dokonane z jego polecenia przez architekta p. Zubrzyckiego. Rysunki te przeznaczone są do publikacji o budownictwie świeckiem Krakowa. Wreszcie odczytano komunikat bar. Gustawa Manteuffla o nagrobku rodziny Tyzenhauzów z r. 1611 w kaplicy téjże rodziny w Rydze.

Dnia 9 marca odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie drugie posiedzenie komisji historii sztuki, na którém prof. M. Sokołowski streszczał nader ciekawe i cenne komunikaty, nadesłane przez p. Wł. Łozińskiego ze Lwowa. Są to wypisy z archiwów lwowskich, odnoszące się do historii sztuki i przemysłu artystycznego, a obejmujące okres od r. 1404 do 1630. Znajdujemy w nich daty z życia malarzy i innych artystów, wzmianki o dziełach sztuki i t. d. Jak wcześnie i w jakiej mierze sztuka stała się potrzebą życia mieszkańców Lwowa, świadczą zapiski o przedsięwziętej w roku 1408 odnowie obrazu „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy“, umieszczonego na zewnętrznej ścianie ratusza i już cztery lata przedtém nakrytego daszkiem. W tymże ratuszu w sali ławników sprawiają opońę do zasłaniania obrazu „Sąd ostateczny“. Jeden z najwcześniejszych zapewne przykładów zamiłowania do archeologicznych zbiorów podaje zapiska z r. 1470 o malarzu Bartoszu, który robiąc na zamówienie nowy obraz do ołtarza w Sądowej Wiszni, przyrzekł dodać jeszcze świeczniki, pod warunkiem, żeby mu odstąpiono starożytny obraz z tegoż ołtarza.

Z pośród licznych dalszych zapisek z lat późniejszych na szczególną uwagę zasługują mozolnie zestawione daty z życia i działalności słynnego za granicą malarza i sztycharza polskiego Jana Ziarnki. Pokazuje się, że pochodził on z rodziny niemieckiej Kernerów, urodził się prawdopodobnie w Krakowie; ku końcu XVI wieku przybył z ojcem do Lwowa, gdzie go nazywano Ziarnko, alias Kernerowicz i gdzie posiadał dom własny. Roku 1598 już akta lwowskie wspominają o jego wyjeździe do Paryża, a jeszcze 1622 r. o jego pobycie tamże; około r. 1600 był wedle tychże źródeł we Włoszech. Brat jego Marcin również był malarzem. Zapiski te, które zawierają także cenne przyczynki do historyi i urzędzenia cechów, wejdą do wydawnictw komisji. Hr. Zygmunt Cieszkowski, przedstawiając akwarelową podobiznę klejnotu złotego z emaliami i rzeźbą, będącego w posiadaniu antykwarza, a rzekomo wykopanego w Płocku, odczytał nadesłany przez ks. Michała Radziwiłła szczegółowy opis, wedle którego przedmiot ten zaliczać wypada do artystycznie najcenniejszych ze znanych wyrobów sztuki złotniczej z końca średniowiecza. Prof. Łuszczkiewicz zastanawiał się nad dziwnym u nas brakiem wiadomości co do autorstwa wielu najznakomitszych pomników nagrobkowych. Wiadomości te byłyby zaś bardzo nieraz ważnym przyczynkiem do historyi sztuki. W braku innych wskazówek czasem może wielkie usługi oddać tu podobieństwo czy to techniki rzeźbiarskiej, czy materiału, użytego do dwóch pomników, z których jeden jest autora wiadomego. I tak: zestawił mówca niewiadomego pochodzenia nagrobek arcybisk. Dzierzgowskiego w Gnieźnie z r. 1559 z ołtarzem Ciboryum w kościele Najśw. Panny Maryi w Krakowie, wykonanym w r. 1555 przez Giov. Maria Padovano i zachęcał do podobnych dalszych badań porównawczych. W dyskusji p. Demetrykiewicz zwrócił uwagę na analogie między tymże ołtarzem Ciboryum a pomnikiem bisk. Maciejowskiego w katedrze krak.; prof. M. Sokołowski, różnice między temi dwoma zabytkami, oddzielonemi kilku dziesiątkami lat, starał się wytłómaczyć tém, że niejednokrotnie dłuższy pobyt artystów włoskich w naszym kraju zmieniał ich pojęcia, a nawet obniżał poziom ich natchnienia. Prof. Łuszczkiewicz zaś zwrócił uwagę na to, że rzeźbiarze włoscy mieli zwyczaj podpisywać się na plincie górnego gżemsu pomników i wyjaśnił zagadkowy napis na nagrobku Tarnowskich w Tarnowie: „*Joannes Paneczek renovatum Joannis Mariae Patavini opus A. D. 1764,*“ w ten sposób, że tylko wyrazy środkowe są pierwotne, a odnowiciel włączył je nieumiejętnie w swój późniejszy napis. Także wyjaśnił mówca, że zagadkowe przypuszczenie ks. Bylickiego w monografii Tarnowa o jakimś kasztelanie wojnickim imieniem Groffer powstało po prostu ze złego odczytania skrócenia w napisie tegoż nagrobku: „*per illustrem olim D. Joannem Christophorum (sc. Tarnowski) cast. Voynic.*“ Wniosek p. Wł. Bartynowskiego o podjęcie przez komisję wydawnictwa „Encyklopedyi archeologii i hist. sztuki w Pol-

scę", wywołał dłuższą dyskusyą i stanowczo załatwionym nie został, zgodzono się tylko, aby materyały do niej, o ile są nowe i oryginalne, pomieszczać jako komunikaty w sprawozdaniach z posiedzeń komisji. Wreszcie p. Piekosiński przyniósł odczytany po raz pierwszy rzeźbiony napis gotycki drewnianych odrzwi kościoła św. Bernardyna w Grybowie, z którego wynika data budowy r. 1455, fundatora zaś imię „per me Branirium“, zdaje się być popsutem i przedstawia jakąś zagadkę.

Wydział historyczno-filozoficzny Akademii umiejętności w Krakowie odbył d. 12 marca b. r. posiedzenie, na którym prof. Smolka jako sekretarz zdał sprawę z czynności komisji do wydziału należących, tudzież z publikacji wydziału, i zawiadomił, iż ukończono druk IX tomu Voluminów Legum. Zawiera on konstytucye sejmowe, które nie weszły już w skład pijarskiego zbioru Vol. Legum; mianowicie konstytucye sejmów z r. 1782, 1784, 1786, oraz sejmu czteroletniego. Dziesiąty tom Vol. Legum wydano nakładem funduszu, który na ten cel przeznaczył ś. p. Adam Jakubowski. Następnie odczytał sekretarz referat prof. Liskiego o nadesłanej przezeń rozprawie p. Antoniego Borzemskiego p. n. „Rozbiór krytyczny kroniki Miechowity“. Autor miał przy tej pracy sposobność korzystać z wielu niewydanych dotąd źródeł, zwłaszcza zaś z obfitego zasobu aktów, zgromadzonych staraniem Szujskiego, które złożone są w zbiorach komisji historycznej Akademii umiejętności.

Główną zasługą tej pracy jest dokładne po raz pierwszy wykazanie, jaki stosunek zachodzi pomiędzy pierwszą częścią kroniki Miechowity (do r. 1480) a Długoszem. Wyjaśnwszy, o ile i w jaki sposób Miechowita z Długosza korzystał, wykazuje nam autor jeszcze w tej pierwszej części swęj rozprawy, jakich prócz tego źródeł Miechowita używał i jakie tutaj posiada własne wiadomości. Następuje rozbiór drugiej części kroniki, zajmującej się czasami podługoszowymi, Miechowicie współczesnymi 1480 — 1506. Sprawy tutaj rozbiegane podzielił autor na pojedyncze drobniejsze grupy i kategorie, które składają się na dwa działy, spraw politycznych i spraw pomniejszych. Kończy się zaś cała ta monografia niezmiernie cennym dodatkiem, zawierającym: Tablice do krytycznego rozbioru Miechowity do roku 1480, zapomocą których można, zdanie za zdaniem, ustęp za ustępem, wykazać, jakim źródłem posługiwał się kronikarz lub też, iż ta lub owa wiadomość jest jego własnością. Oczywiście do części drugiej od 1480 — 1506 nie dała się taka tablica sporządzić, tutaj chodziło o wykazanie tych ustępów, których nie znajdujemy w znanych nam dotąd współczesnych źródłach; do tej epoki więc autor zestawił treściwie ważniejsze wiadomości Miechowity i cenzora, słusznie odróżniając osobę kronikarza od osoby tego, który poprawiał pierwsze skonfiskowane wydanie jego kroniki.

Sekretarz streścił pracę dr. Feliksa Konecznego p. n. „Polityka Zakonu niemieckiego w 1389 i 1390“, a w dyskusyi prof. dr. Lewicki zwrócił uwagę na nieznanie dotąd dokumenta, wydrukowane już na pierwszych arkuszach II tomu Cod. epist. saec. XV, nadmieniając, że może w nich znajdują się jakieś przyczynki do uzupełnienia rozprawy dr. Konecznego.

Wydział filologiczny akademii umiejętności w Krakowie odbył d. 13 marca b. r. posiedzenie, na którym prof. Morawski referował o pracy d-ra Kawczyńskiego p. t. „Porównawcze badania nad rytmem i rytmami.“ Część III. Rytmika prowansalska i francuska, w której autor co do rytmiki prowansalskiej i francuskiej w miejsce dzisiejszych hipotez stawia naukę średniowiecznych pisarzy Ue Faidita i Moliniera. Uwydatniając wspólne a wybitne znamiona, wiążąc rytmikę francusko-prowansalską z przemienioną łacińską, wywodzi pierwszą z ostatniej i wykazuje, z których rytmów łacińskich pochodzi aleksandryn, dekasylab i wszystkie inne wiersze francuskie i prowansalskie, począwszy od tetrasylabu, aż do wiersza szesnastozgłoskowego. W zgodzie z wynikami poprzednich części swój pracy akcentowi w wierszach romańskich nie przyznaje znaczenia rytmicznego, lecz melodyjne. W ostatnim rozdziale przedstawia autor zmiany, które zaszły w wierszowaniu francuzkiem od początku literatury aż do naszych czasów, a nadto podaje główne prawidła techniki wierszy francuskich.

Prof. Morawski odczytał dalej rozprawę swoją p. t.: „Wprowadzenie greczyzny do Polski,“ w której wykazał, jak sprawa zaprowadzenia nauki greczyzny zajmuje w początku XVI wieku wszystkie uniwersytety. Najczęściej humaniści, sprowadzani z Włoch, dawali na północy pochop do dalszego w tym kierunku rozwoju. Podobnie i u nas się stało. Po wątpliwych i nieudanych próbach ożywił ruch na tem polu i dał podstawę tej nauce boloński uczony Constantio Ceariti dei Cancellieri. Sprowadzony on zapewne został do Polski przez Erazma Ciolka, biskupa płockiego, w r. 1505. Łącznie z Janem Sylwusem Amatussem zawiązał tu stosunki z Aldusem Manucyuszem, aby pozyskać druki greckie do nauki potrzebne. Księgarz Jan Haller służył za pośrednika przy sprzedaży. W r. 1507 chwalił się już Ceariti w liście do Aldusa, że sprawa jest na dobrej drodze i nauka greczyzny ustalona w Polsce. Od r. 1520 począwszy, ruch ten zaznacza się na kartach Liber diligentiarum, dzięki zabiegom i staraniom Jerzego Libanusa z Lignyicy.

Sekretarz przedstawił piśmienną wiadomość p. Ferdynanda Menczika, skryptora biblioteki nadwornej w Wiedniu p. t.: „Pieśń kościelna polska z w. XV“, podającą fragment znaleziony przez tegoż na pergaminowej karcie, która tworzyła niegdyś oprawę nieznaną bliżej księgi w bibliotece nadwornej w Wiedniu. Pergamin sam jest ułomkiem jakiegoś dokumentu, tycającego się krakowskiej dyecezyi, jak można

sądzić ze słów: Cracoviensis dioecesis, które jeszcze dadzą się wyczytać. Jak z charakteru pisma wnosić można, zabytek polski pochodzi z drugiej połowy XV wieku. Zawiera on pieśń kościelną, podobną do tej, którą prof. J. Szujski ogłosił w t. I Rozpraw wydz. filolog. Ak. um. (str. 41). Nie jest to jednak przekład hymnu kościelnego: Veni sancte Spiritus, ale raczej, jak się zdaje pieśń, która bywała śpiewana przed kazaniem.

Komisya antropologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie odbyła posiedzenie w d. 29 marca r. b. na którym przewodniczący dr. Majer wyraził ubolewanie: że stosunkowo zbyt mało dotychczas dostarczono materiału w przedmiocie zbadania życia płciowego u niewiast różnego stanu i narodowości, mimo że wielu lekarzy zobowiązało się do tego. Wobec tej obojętności na tém większe uznanie zasługuje kilku, którzy wywiązali się z przyrzeczenia, a nadewszystko dr. Hryncewicz ze Zwinogródki na Ukrainie i dr. Oettinger w Krakowie. Sekretarz komisji prof. Kopernicki przedstawił nadesłane z zakresu archeologii przedhistorycznej wykopaliska, opisy oraz ogłoszenia przesyłek od pp. M. Kuścińskiego z Inflant, K. Pułaskiego i Cz. Neymana z Podola ros. P. Cz. Neyman nadesłał także rysunki i wiadomości o śladach kilku zamczysk z czasów historycznych. — Dr. Oettinger złożył dalszy ciąg spostrzeżeń z zakresu Antropologii właściwej. — Z zakresu etnografii przysłali ważne przyczynki pp.: M. Dowojno Sylwestrowicz i Leon Magierowski; p. J. Leszczyszak zbiór Krakowiaków i innych pieśni górali ruskich z Bieliczyna (pow. Gorlicki); p. J. Kulesza Sylwestrowicz wiadomość o świecznikach do świecenia łuczywem, używanych u ludu na Żmudzi i Litwie; p. J. Leszczyszak 165 Krakowiaków i 68 innych pieśni górali ruskich Lemków, należycie teraz uporządkowany zbiór pieśni ludowych z melodyjami ze wsi Chodowic w okolicy Stryja, oraz opis obrzędów ludu ruskiego w tejże wsi; p. Z. Rokossowska ze wsi Jurkowszczyzny w pow. Zwiąhelskim na Wołyniu nowy zbiór pieśni, przysłów i gadek ludowych, tudzież wiadomości o roślinach, używanych do leczenia i różnych praktyk przesyadnych, z dołączeniem ich okazów; p. J. Franko ze Lwowa rękopism, zawierający 1450 przysłów, dykcji, zdań i t. p. wyrażen ludowych, ułożonych w porządku alfabetycznym, co razem stanowi bardzo poważny przyczynek do etnografii ludu ruskiego. Godnym uwagi był także nadesłany przez dra Karłowicza z Warszawy, łącznie z prof. Baudouinem de Courtenay z Dorpatu zbiór 1740 melodyj pieśni litewskich, spisanych przez ś. p. X. Juszkiewicza, a odnoszących się do tekstów, ogłoszonych w zbiorze ś. p. brata jego, prof. w Kazaniu. Komisya powierzony sobie materiał oddała 2 członkom do bliższego rozpatrzenia i do wniosku co do publikowania.

P. G. Ossowski przedstawił na témże posiedzeniu obok mapy

okolic badanych w roku przeszłym, pozyskane wykopaliska z kurhanów w Stanisławce, Sokołówce, Łosiatynie, Kiryłówce i Antonówce, tudzież z osady przedhistorycznej w Żarzczu i grodziska w Sokołówce, w przedmiotach ceramicznych, kamiennych i bronzowych, oraz formy do odlewania bronzów. Złożył wreszcie ofiarowane do zbiorów Akademii dary pp. Witkowskiego, Rulikowskiego i ks. Siarkowskiego.

Galicyski Wydział krajowy rozpisuje konkurs, upływający z dniem 31 marca 1890 r., na dwie nagrody z fundacji Franciszka Kochmana: jedną w kwocie pięciuset (500) złr. w. a., drugą w kwocie tysiąca (1000) złr. w. a., dla dwóch dzieł w języku polskim za najlepsze uznanych i wzywa wszystkich literatów polskich, bez różnicy, w którym kraju i pod jakim rządem żyją, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te nagrody, przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału krajowego. W myśl statutu fundacji, mogą być dopuszczone do konkursu wszelkiego rodzaju płody autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej.

Wykopaliska we Włoszech. Senator Fiorelli, naczelny dyrektor wykopalisk, zawiadomił Akademią Ostrowidzów o nowych odkryciach archeologicznych w różnych prowincjach włoskich i w samym Rzymie. W Rzymie około willi księcia Wołkońskiego znaleziono cały rząd starożytnych grobów, ciągnących się wzdłuż dawniej „Via Labicana“; a przy nich, oprócz wielu tablic marmurowych z napisami, odgrzebano także piękne gliniane płaskorzeźby i marmurowe popiersie młodej kobiety, bardzo pięknej roboty. Koło „Via dei Selei“ znaleziono kilka napisów na cześć Herkulesa, jeden poświęcony przez prefekta rzymskiego Lolliana, drugi przez pretora Munniusza Maksymusa Faustyna i t. d., tudzież ułamek słonecznego zegaru, na którym wskazane są miesiące luty i marzec, i widać znaki wiosny. Na Forum Augusta koło „Arco dei Pautani“ wyszły na jaw postumenta z napisami na cześć Augusta. Inne rzeźby wydobyto także koło świeżo zniszczonej na budowanie ekonomicznych mieszkań pięknej willi Ludovisi. Na placu zaś San Carlo a Catenari wykopano marmurowe podnoże z napisem greckim, wysławiającym Merkuryusza pod postacią Antinusa.

Zekonomiki. Czekaliśmy dość długo na zebranie sekcji rolniej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu istniejącej, dziś gdy sekcya zebrała się by sprawom rolnictwa nieco czasu poświęcić, przyjrzyjmy się co było przedmiotem narad rolników. Pomijając sprawy drugorzędного znaczenia wskazujemy następujące sprawy, które uważamy za główne.

Dowiedzieliśmy się przedewszystkiém o losie kwestyonaryusza, którego rezultat zaciekawia oddawna rolników. Przyczyna zwłoki sprawozdania wywołana została opieczetowaniem papierów po śmierci ś. p. Adama Goltza, między którymi i kwestyonaryusz się znajdował. Za parę jednak miesięcy zostanie on podany do wiadomości publicznej. Oprócz tego jedną z najważniejszych i gorąco dysputowanych spraw była kwestya założenia w Warszawie giełdy zbożowej. Wiadomemi są dotychczasowe usiłowania w tym kierunku, nie uwieńczone pomyślnym rezultatem, naturalnie z tej przyczyny, że królowanie hałatowej rzeszy na naszych rynkach zbożowych zbyt jest potężne, by mogło je obalić niedostateczne, chwiejne i nieświadomie próby przeciwdziałania ze strony zainteresowanych producentów. Na zebraniu sekcji, pierwszy głos w tej sprawie miał p. Plewako, wykazując korzyści, które rolnicy osiągnąć mogą z giełdy, jako środka jawności i ożywienia handlu. Odpowiadał referentowi dr. Dominirski, w zasadzie przychylny giełdzie, ale sprzeciwiający się wszelkim tranzakcyom terminowym i utrzymujący, że rolnik winien sprzedawać zboże wtedy, gdy je ma gotowe. Niebysmy nie mieli przeciwko tak objawionemu życzeniu, gdyby nie okoliczność, że musimy się rachować z aktualnym położeniem rolników, którzy pozbawieni wszelkich źródeł krótkoterminowego kredytu, muszą go wyszukiwać w sprzedażach terminowych zboża. Niedogodność ta wreszcie, którą z czasem usunąć zdołamy, byle nam nie towarzyszył pesymistyczny pogląd, wiejący ze słów p. Wieniawskiego, który utrzymywał, że wszelkie usiłowania w celu zwalczania handlu pokatnego są daremne, że brak nam poważnych handlujących i t. p. Taki pogląd nie objaśnia społeczeństwa myślącego poważnie o zreformowaniu urzędzeń, obezsilających jego pracę i chcącemu wykorzenie nałogowe przyzwyczajenia do tranzakcyi małomiasteczkowych. Zanim jednak sprawa giełdy zbożowej, oddana pod rozpatrzenie specjalnej komisji, zostanie ostatecznie rozstrzygniętą, bardzo słuszną była uwaga F. hr. Czackiego, by na razie rolnicy korzystali z nowego prawa, które pozwala kolejom dawać zaliczenia na zboże, złożone a do chwili sprzedaży zostające w rozporządzalności właściciela. Ze względu na to, że stacye kolejowe nie posiadają jeszcze dostatecznych na pomieszczenie zboża składów, hr. Czacki radził zakładanie wspólnemi siłami producentów kolejowych małych spichlerzy przy stacyach. Czy ta rada zostanie należycie ocenioną i zastosowaną, czas niedługi pokaże.

Stacya doświadczalna w Sobieszynie, jedyna w kraju naszym tego rodzaju instytucya, rozporządzająca odpowiednimi środkami, nieznana jeszcze z rezultatów szerszemu ogółowi. Na zebraniu sekcji postanowiono wyjazd do Sobieszyna, w celu obej-

rzenia działalności stacyi na miejscu. Pożądaném jest, by stacya ogłaszała swoje sprawozdania częściej, w broszurkach oddzielnych by urozmaicała doświadczenia w rozlicznych kierunkach, ze względu, że jest jedyną instytucją na podstawach naukowych rozstrzygającą kwestye praktyki i nikt jój w tém nie zastąpi.

Sprawa wystawy inwentarzy w Warszawie, była przedmiotem ożywionych dyskusyi zebrania. Chętniebyśmy tresć ich tu podali, gdyby nie okoliczność, że gorące uznanie i poparcie słowne dla wystaw do niczego nie doprowadzi, gdyż jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, dalsze istnienie wystaw, a zwłaszcza tegorocznej, bardzo jest wątpliwe. Z chwilą, gdy Towarzystwo wyścigów Konnych usunęło pomoc swą wystawom, egzystencya ich dalsza stała się utrudnioną, naturalnie z braku odpowiednich funduszów, a w roku zeszłym z wielką trudnością zebrany fundusz gwarancyjny nie został pokryty dochodami z wystawy, co pociągnęło za sobą wstrzemięźliwość w ponowném zaofiarowaniu go na rok bieżący. Fakt ten niech będzie dowodem naszej dojrzałości i ofiarności... Trudno wymagać, by kilku ludzi dobrej woli, którzy w roku zeszłym złożyli fundusz gwarancyjny w ilości kilku tysięcy rubli, mieli z niego tracić corocznie część czwartą lub piątą, jak to miało miejsce; jeśli jednak ogół ziemianstwa zechciałby z drobnymi ofiarami pospieszyć, utworzyłby się z tego fundusz stały, raz na zawsze zapewniający podstawę wystawom i nie narażający Komitetu Wystawowego na zależność od ofiarności dobroczynnej. Ale takiego pojęcia obowiązków, w drobnych wreszcie rozmiarach, u nas jeszcze nie ma.

Niepocieszające wrażenie w kraju wyrzucić musi opinia o znaczeniu nowego prawa dla gorzelni rolniczych, którą objawił dr. Kowalski, delegat z Królestwa Polskiego do komisji gorzelniczej, obradującej w Petersburgu. Od chwili pojawienia się projektów reform dla gorzelni, projektów mianem ulg oznaczonych, z powszechném zainteresowaniem śledził ogół za postępem tej sprawy, przekonany, że jeden z ważniejszych przemysłów krajowych skutecznej dozna opieki. Rezultat wręcz pokazuje się przeciwnym. Dr. Kowalski, doskonale naturalnie obeznany z nowymi przepisami, utrzymuje, że nie będą one stanowiły żadnej ulgi dla gorzelni, że zniesienia superat obecne prawo swemi przepisami nie wyrówna, że zatém o podniesieniu produkcyi okowity myśleć nie można, ale ją ograniczyć i cały handel okowitą ująć w prawidłowe formy. Tak więc nadzieje pokładane w reformie gorzelniczej okazały się płonnemi i ku niemałej szkodzie gospodarstwa krajowego, przemysł ten rozwijać się nie może.

Rezultat posiedzeń był głównie informacyjny; to i owo przekazano delegacyom do oceny.

Prof. Ant. Okolski ogłosił („Rola“ Nr. 3, 4, 5, 7, 10, 13, 14-ty z r. b.) nader ciekawe studjum „O szwedzkim systemie propinacyjnym“, które, w obec usiłowań prawodawstw europejskich uporządkowania najkorzystniejszego tego źródła dochodu państwowego, zasługuje na jak najpilniejszą uwagę poważnych kół społecznych. Z tego powodu podajemy w „Kronice niniejszej“ treściwą osnowę pracy, odsłaniającą nam praktyczny zmysł rządu i narodu szwedzkiego, umiejących godzić interes państwa z dobrem społecznem narodu.

Szwedzki systemat propinacyjny dąży do osiągnięcia dwóch celów, mianowicie: do zapewnienia państwu i społeczeństwu pewnego dochodu z wyrobu i sprzedaży napojów spirytualnych, a następnie do zmniejszenia pijaństwa. Pierwszy cel osiągną Szwedzi za pomocą stosownych opłat, które idą na korzyść państwa lub społeczeństwa, drugi za pomocą rozmaitych środków, ograniczających sprzedaż spirytualiów. Opłaty są dwojakie, mianowicie od wyrobu tych napojów i od sprzedaży. Pierwsze idą wyłącznie na korzyść państwa, które, podwyższając je, podniosło znacznie dochody swoje z tego źródła. Państwo podwyższyło swe dochody z wyrobu wódki w przeciągu ostatnich 30 lat, to jest od 1855—1885 r. przeszło siedm razy, mianowicie do 15,150,986 koron.

Opłaty od sprzedaży spirytualiów idą na korzyść społeczeństwa, są zaś tak skombinowane z innemi środkami, ażeby współdziałać do osiągnięcia drugiego celu, to jest do zmniejszenia pijaństwa. Dla tego w każdej miejscowości może być tyle tylko handlów napojów spirytualnych, ile władza miejscowa, miejska lub gminna, uzna za potrzebne ze względu na miejscowe warunki, ilość ludności i t. p. Prawo prowadzenia handlu takimi napojami udziela się na skutek licytacji, której właściwością jest to, iż licytantom otrzymuje nie ten kto ofiarował najwyższą cenę, ale ten, kto się zobowiązał wyszynkować większą ilość tych napojów, która w żadnym razie nie może być mniejsza w miastach od 3000 litr. a po wsiach od 1500 lit. Opłata uiszcza się w stosunku do ilości litrów, za którą przysądzenie nastąpiło. Warunek ten pociąga za sobą ten skutek, że w małych miejscowościach wcale nie ma szynków, kuszących ludność do pijaństwa, w ludniejszych zaś jest ich tylko tyle, ile miejscowe potrzeby wymagają. Najważniejsza zaś właściwość systematu propinacyjnego szwedzkiego polega na tém, iż w celu usunięcia szynkarzy od sprzedaży napojów spirytualnych, to jest tych, którzy bezpośrednio są zainteresowani w tém, ażeby ludność jak najwięcej piła, wszystkie handle temi napojami w mieście mogą być oddane w dzierżawę za sumę ryczałtowo oznaczoną, towarzystwom akcyjnym. Towarzystwa te, po potrąceniu kosztów eksploatacji i 6% od kapitału na czysty zysk, powinny zobowiązać się resztę zysku oddać na cele użyteczności publicznej. Systemat ten został przyjęty już w 74 miastach szwedzkich, tak, że tylko 18 trzymało się jeszcze starego

systematu. Korzyści tego systematu polegają na zmniejszeniu ilości szynków i na ograniczeniu skutek tego pijaństwa. Systemat ten okazuje się więc zbawiennym pod względem moralnym, przez zmniejszenie pijaństwa, i pod względem materialnym, przez zmniejszenie proletaryatu. Najważniejszą zaś korzyścią jest to, iż cały dochód z licytacji pojedynczych handlów, z summ, ofiarowanych przez towarzystwa za prawo sprzedaży i z czystego ich zysku, obracany jest na cele użyteczności publicznej. Prawo z 1885 r. wskazało szczegółowo stosunek, w którym różne instytucje mają brać udział w tym dochodzie. Że zaś nie jest to rzeczą bagatelną można przekonać się z tego, że w 1886 r. dostały z tego źródła rady prowincjonalne 974,140 koron, towarzystwa rolnicze 728,543 kor. miasta 3,235,611 kor. i gminy wiejskie 725,079 kor. (korona równa, się 1 frankowi 40 centymom).

Systemat ten okazał się tak zbawiennym i korzystnym w Szwecyi, że został przyjęty także w Norwegii: Od 1 stycznia 1889 r. wszystkie miasta norweskcie oddały u siebie sprzedaż napojów spirytualnych wyżej wzmiankowanym towarzystwom.

Kanalizacya miasta, jako sprawa pierwszorzędnego znaczenia, nie przestaje wywoływać dysput ożywionych, zabarwionych często-kroć skrajnemi lub nieuzasadnionemi zapatrywaniami. Obowiązkiem więc jest, w miarę możności, komunikować ogółowi wiadomości, rzucające nieco światła na tę kwestyą. Nie dotykając znaczenia kanalizacyi dla samych mieszkańców Warszawy, pragniemy parę słów podać o jednem z jej następstw, przez niektórych higienistów i lekarzów uważanem za zabójcze dla zdrowotnych stosunków okolicy podmiejskiej, tej mianowicie części, której pola poddane zostaną z czasem i r y g a c y i wodami kanałowemi. Ważną w tym względzie wskazówką może być postanowienie powzięte w powyższej kwestyi przez m. Paryż, gdzie również sprawa irygowania pól wodami kanałowemi przedmiotem była gorącej dyskusyi w izbie deputowanych, następnie w senacie. Po długich rozprawach, francuzka izba deputowanych zatwierdziła nakoniec prawo, upoważniające miasto Paryż do odprowadzania wód kanałowych na pola okolicy podmiejskiej Achérci, senat jednak powstrzymywał się z wydaniem opinii. Pragnąc ją jednak oprzeć na wszechstronnej znajomości przedmiotu wyznaczył komisją pod prezydencyą p. dr. Cornil'a, profesora anatomii patologicznej wydziału medycznego i członka akademii medycznej. Komisya ta postanowiła udać się do Berlina, by zbadać na miejscu sprawę tańtejszej irygacyi. Referat komisyi, który mamy przed sobą, zawiera opinie, wyrażone dr. Cornil'owi o znaczeniu irygacyi przez dwóch znakomitych uczonych berlińskich, d-rów Virchowa i Kocha. Przypomnijmy przedewszystkiem, że Berlin liczący obecnie przeszło 1,300,000 mieszkańców leży na obu brzegach Sprei, otoczony wielką płaszczyzną pól piaszczystych i mało

urodzajnych, że do 1874 nie posiadał kanalizacji podziemnej, że dziesięć jedenastych miasta nie posiada jej do tej pory, że odchody 1,050,000 mieszkańców spływają wprost ściekami za miasto a ztamtąd na pola, że wody zanieczyszczone i przefiltrowane przez grunt wpadają do drenów otwartych i następnie rozlewają się po polach w kierunku ich spadku. Dr. Virchow, zapytany przez członków komisji o położenie obecne, dał odpowiedź w tym duchu.

Bezwzględnie nie zabrania się osobom, zamieszkującym grunta podmiejskie pić wodę drenową (wodę zanieczyszczoną odchodami i przefiltrowaną przez grunt), wszyscy ją piją i znajdują dobrą, trwa to zaś lat kilka i nigdy nie spostrzeżliśmy najmniejszego w tym niebezpieczeństwa. Co więcej, miasto na gruntach irygowanych ściekami kanałowymi, założyło przytułki dla rekonwalescentów. Wody z drenów, skierowane do małych rzeczek, jak Fliesse, Panke, i t. d., nie mogą ich zanieczyścić, gdyż nie zawierają materii organicznych nieodsalonej. Niektóre z tych strumyków, otrzymujących wodę drenową z okolic północnych, wpadają do Sprei w górze rzeki, w Stralau, gdzie właśnie ma miejsce czerpanie wody na użytek miasta. Nikt nie uważa tego za niebezpieczne. Regulując umiejętnie ilości, jak to robią w Berlinie, dochodzi się do zupełnego przetworzenia materii organicznych, nie zmieniając w niczem natury gruntu, który nie może się przesycać stopniowo. Berlin jest świetnym dowodem doskonałych rezultatów, otrzymywanych z oczyszczania wód kanałowych ziemią. Miasto otrzymuje tylko 65 litrów wody dziennie na mieszkańca, podczas gdy w Paryżu ilość ta wynosi 200 litrów a mimo to śmiertelność Berlina o wiele jest mniejszą aniżeli Paryża.

Przytem komisja miała sposobność oglądania w północnych miejscowościach Berlina na polach irygowanych przepysznych urodzajów zbóż: owsa, jęczmienia, pszenicy, szkółki rozmaitych drzew ozdobnych i drzew owocowych, pola obsiane kwiatami i roślinami lekarskimi, konopie, rzepaki, warzywa, etc., oglądała odkryte łożysko, w którym płynie rzeczka Graben, utworzona ze zbiegu drenów odprowadzających wodę kanałową przefiltrowaną. Woda ta jest tak czysta, tak kryształowa jak tylko sobie życzyć można. Komisja kosztowała ją, a analiza nie wykazała w niej materii organicznych i mikrobów w ilościach większych aniżeli w wodach zwykłych źródeł. Na polach Malchow, łąki rajgrasowe zachwyciły zwiedzających. Na łąkach tych sprzęt siana odbywa się siedm razy do roku, skutkiem czego ceny tej paszy znacznie w okolicy spadły. Dreny malchowskie, ściekają do jeziora, mającego około 8 morgów obszaru, w którym prowadzona wzorowa hodowla karpi, przynosi miastu 1000 marek rocznie. Lecz co najbardziej zainteresowało komisję, to wybór miejscowości, położonych w środku lub na krańcach pól irygowanych, używanych wodą kanałową i na których pobudowano domki dla rekonwalescentów. Ten jeden fakt świadczy w sposób

decydujący, że sąsiedztwo pól tych nie jest szkodliwe. Dr. Koch kilkakrotnie interpelowany, zapytywał, czy oponujący przeciwko projektowi miasta Paryża, opierają się na sprawie zdrowotności chcąc projekt usunąć? Jego zdaniem, paryzka woda kanałowa mniej jest zanieczyszczoną aniżeli berlińska, grunt lepszy, warunki klimatyczne bardziej sprzyjające. Paryż według Kocho—prześladowany jest febrą tyfoidalną i chcąc chorobę tę zwalczyć, należy bezwzględnie uznać dobrodziejstwa kanalizacji i nie obawiać się projektowanej irygacji pól podmiejskich.

W d. 9-ym Kwietnia r. b. zmarł w Paryżu M i c h a ł E u g e n i u s z C h e v r e u l, zasłużony badacz na polu nauki chemii. Wiadomość podały nam przed kilku dniami telegramy. Zmarły, zajmując jedno z najwybitniejszych stanowisk w nauce, doczekał się niezwykle późnego wieku, przy czém zdrowie i czerstwość towarzyszyły mu do ostatniego tchnienia. Urodzony w Angers d. 31-go sierpnia r. 1786-go (a więc liczył 102 lat 7 miesięcy i 9 dni) początkowe nauki pobierał w szkołach miejscowych. W r. 1803-im wszedł do fabryki wyrobów chemicznych Vauquelin'a. W roku 1810-ym został preparatorem kursu chemii w muzeum historii naturalnej, a w kilka lat później profesorem chemii w liceum Karola W-go w Paryżu, tudzież dyrektorem farbiarni i profesorem chemii specjalnej w fabryce gobelinów. W r. 1826-ym, po śmierci Proust'a, zajął krzesło w Akademii nauk, a po Vauquelin'ie katedrę chemii stosowanej w muzeum historii naturalnej. Następnie został członkiem Towarzystwa królewskiego w Londynie i prezesem Towarzystwa rolniczego. W roku 1852-im Towarzystwo zachęty przemysłu krajowego w Paryżu przyznało mu nagrodę 12,000 fr. Już w r. 1823-im Chevreul ogłaszał badania swoje nad ciałami tłustymi pochodzenia zwierzęcego, które w dziedzinie chemii organicznej i w rozmaitych gałęziach przemysłu zupełnie nowe pole działania odkryły. Oprócz tłuszczów, przedmiotem szczególnych badań uczonego były kolory. Wielka ilość artykułów, rozpraw naukowych, przedstawianych akademii, dzieł fachowych, jako też wszystkie artykuły, dotyczące chemii, w słowniku nauk przyrodzonych „(Dictionnaire des sciences naturelles)” stanowią spuściznę wiekowej niemal działalności Chevreul'a.

Ks. Fr. Floryan Römer, znakomity badacz starożytności na Węgrzech, zmarł w końcu marca w Wielkim Warażdynie. Urodzony w r. 1815, kapłanem był przez lat przeszło 50, a jako badacz przeszłości zażywał w świecie naukowym wielkiej powagi. Dla Węgier był tém, czém S. Hanusz i Wocel dla Czechów. Urządzał kilkakrotnie wystawy starożytności i był konserwatorem zabytków. Jego to w znacznej części dziełem był zjazd międzynarodowy an-

tropologiczno-archeologiczny w Peszcie w r. 1876. Wszedł on wtedy w bliższe stosunki z uczonymi polskimi, z którymi pozostawał dotąd w ścisłych stosunkach naukowych, za co krakowska akademія mianowała go swoim członkiem zagranicznym.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

P. Maury Stankiewicz w Krakowie, znany chlubnie z prac bibliograficznych w zakresie bibliografii literatury Mickiewiczowskiej, otwiera w Krakowie instytut bibliograficzny, który będzie się także zajmował kupnem i sprzedażą rzadkości bibliograficznych.

Biblioteka po dominikańska z Lublina, przesłana do departamentu wyznań w ministeryum spraw wewnętrznych, została obecnie wcielona do biblioteki publicznej w Petersburgu. Zbiór ten zawiera wiele rękopisów i ksiązek nader cennej wartości.

Rękopis miniaturowy Baltazara Behma, będący jednym z największych klejnotów Biblioteki Jagiellońskiej, doczekał się nareszcie wydania. Dokonało go w księdze pamiątkowej, ogłoszonej z okazji jubileuszu cesarskiego, Muzeum austryackie dla sztuki i przemysłu w Wiedniu p. t.: „Die alten Zunft-und Verkehrs-Ordnungen der Stadt Krakau, nach Balthasar Behem's Codex Picturatus in der Jagellonischen Bibliothek.“ Wspaniałe wydanie in folio, na zbyt kłownym papierze, ozdobione jest 27 tablicami światłodrukowymi, które odtwarzają miniatury kodeksu naszego. Publikacją zajął się będący powagą w rzeczach przemysłu artystycznego Bruno Bucher, kustosz Muzeum austryackiego, który też opracował tekst i dał objaśnienia. Jak wiadomo, miniatury rękopisu Behma odnoszą się do zajęć każdego cechu, o którym jest mowa w tekście, a odznaczają się dobrotą pędzla i stanowią ilustracją obyczajów, kostyumów, sprzętów, narzędzi, wnętrz domów i widoków miast w XVI wieku w Polsce. Z tego powodu publikacja niniejsza żywo obchodzi naszych badaczy przeszłości, którzy zajmują się historią Krakowa, cechów w Polsce i malarstwa miniaturowego. Nader niska cena dzieła, bo 10 zł. przyczyni się niewątpliwie do jego rozpowszechnienia.

Wydawnictwo pomnikowe dzieł Jana Kochanowskiego o tyle postępuje, iż w komitecie wydawniczym, na posiedzeniach, odbywanych tygodniowo, przystąpiono do czytania Zyciorysu poety, który, obok prac innych, wypełni większą połowę tomu IV-go. W skład jego, oprócz owego zyciorysu, skreślonego przez R. Plenkiewicza,

wejdą następujące jeszcze studia, odnoszące się do utworów, lub osobistości poety: „Bibliografia wydań dzieł J. Kochanowskiego“ przez J. Przyborowskiego; „Rozprawa o języku poety“ przez Ad. Ant. Kryńskiego; „Rozprawa o budowie i rytmiczności wiersza J. Kochanowskiego“ przez L. Jenikego; „Rozprawa krytyczna o domniemywanych wizerunkach poety“ przez Cezarego Biernackiego; „Słownik, mający ułatwić zrozumienie wyrazów, wyszłych z użycia“ ułożony przez Ad. An. Kryńskiego, oraz t. z. Indeks, czyli spis alfabetyczny osób i miejscowości, wymienionych w utworach polskich poety, w życiorysie lub innych studiach, odnoszących się do niego przez R. Plenkiewicza (t. I, II, i IV). Nadto w tomie IV pomieszczone zostaną: „Nowy charakter,“ w opracowaniu Ad. An. Kryńskiego, „Dwa utwory poetyczne,“ uwieńczone nagrodą konkursową, a napisane na obchód trzechsetnej rocznicy śmierci poety przez M. Konopnicką i Stefana z Opatówka, oraz plan sytuacji Czarnolasu.

Wydanie, na taką stopę pomyślane, dokonane zostanie trudem kilkunastu pracowników, mających obok tego inne jeszcze obowiązki. Nic dziwnego przeto, że się jego ukończenie opóźnia, wskutek przeszkód, których wydawcy nie zawsze są w możności usunąć. Sama zresztą myśl wydawnictwa wywołała tyle monografij, odnoszących się do życia poety lub do epoki, w której swą działalność rozwijał, tyle wydobyla na jaw materiału, który zużyć w życiorysie oraz innych studiach należy, iż na samo ich opracowanie niemało czasu potrzeba. W każdym razie, można mieć pewność, iż wydawnictwo to, pierwsze u nas w tym rodzaju, wkrótce ukończone zostanie i da nam poznać nie tylko, jak dotąd, należycie opracowane dzieła poety, ale i samą jego osobistość, rysującą się na tle jednej z najciekawszych epok w naszej literaturze. Po wydaniu t. IV, komitet ma się zająć przygotowaniem popularnego wydania dzieł poety w 2 tomach.

Akademia Umiejętności w Krakowie rozpoczęła zapowiedziane (zob. Bibl. Warsz. 1888 r. t. III-ci str. 313, 314) wydawnictwo „Biblioteki pisarzy polskich,“ mającej objąć przedruki rzadkich utworów literatury polskiej, pominiętych w Bibliotece polskiej Turrowskiego—oraz dawne zabytki literatury, dochowane w rękopisach. Pierwszy zeszyt, co tylko ogłoszony, zawiera przedruk dzieła, przechowanego do naszych czasów w jednym egzemplarzu w Bibliotece Kórnickiej w W. Ks. Poznańskim, przysposobił do druku p. St. Ptaszycki z Petersburga pod tyt. „Fortuny i cnoty różność, w historii o niektórym młodzieńcu ukazana 1524.“ W Krak. 1889. Tekst wydrukowano terazniejszą pisownią Akademii z zachowaniem wszelkich cech językowych, przez co osnowa dziełka stała się przystępniejszą dla szerszego koła czytelników a nie straciła swojej wartości

naukowej. P. Ptaszycki w odpowiednim „Wstępie“ porównywa za-
bytek polski z czeskim tekstem, z którego został przerobiony, poda-
je główne cechy pisowni pierwodruku i załącza w końcu spis wyra-
zów przestarzałych oraz takich, które Słownik Lindego pominął.

N e k r o l o g i a.

— D. 1-go kwietnia 1889 r. zakończył życie we Lwowie Dr. **Alfred Biesiadecki**. W d-rze Biesiadeckim zgasł umysł, obejmują-
cy najszersze horyzonty wiedzy, zgasło serce pełne najczystszej mi-
łości dla całej ludzkości. W najszerszych też kołach, gdzie tylko
rzetelny humanizm nie jest czczym wyrazem, wiadomość o zgonie
ś. p. Biesiadeckiego wywołała żal szczerzy i rzewne współczucie.
Ś. p. Alfred Biesiadecki urodził się w Dukli 12 marca roku 1839
z ojca Franciszka, inżyniera rządowego i matki Anny z Henigów.
Po ukończeniu gimnazjum we Lwowie, studia medyczne odbywał
w Wiedniu, gdzie w r. 1862 uzyskał dyplom lekarski. We trzy
lata później młody uczony, powołany został na asystenta przy ka-
tedrze anatomii patologicznej, zajmowanej przez słynnego d-ra
Rokitansky'ego. Po trzyletniej pracy przy boku tej pierwszorzę-
dnej wówczas powagi naukowej, ś. p. Biesiadecki objął katedrę
tego samego przedmiotu w Uniwersytecie Jagiellońskim r. 1868.
Był też czynnym członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności
od chwili jej założenia. W maju r. 1876 powołany na urząd pro-
tomedyka krajowego, sprawował go z największym pożytkiem ogó-
łu aż do śmierci. A kiedy nad Europą całą w marcu r. 1879 zawisło
złowrogie widmo dżumy azyatyckiej i jak najbardziej zatrwają-
jące wieści o tej chorobie dochodziły z okolic nadwołżańskich, wier-
ny celom swego zmułnego zawodu i szczerzy przyjaciel ludzkości
ś. p. Alfred nie wahał się ani chwili: zapomniał o swojej osobie
i o rodzinie, której był tak drogim—przyjął misję delegata c. k. rzą-
du dla zbadania dżumy na miejscu i skwapliwie pospieszył do zapo-
wietrzonej Wetłanki. Głośne uznanie całego świata naukowego,
wdzięczność ludów i rządów europejskich były uczonemu zasłu-
żoną za tę niebezpieczną misję nagrodą i wysoko podniosły sła-
wę nauki. Przed dwoma niespełna laty, 14 kwietnia 1887 r. czci-
godny protomedyk, już niedomagający na zdrowiu, obchodził 25-letni
jubileusz swój pracy zawodowej. Koledzy lekarze złożyli pomiędzy
sobą sumę 6,000 zł. na cel utworzenia wieczystej fundacji dobro-
czynnej imienia Biesiadeckiego.—Dotknięty chroniczną chorobą ner-

kową ś. p. Alfred d. 6 marca 1888 zaskoczony został ciężkim atakiem podczas podróży w Samborze. Usunięto wprawdzie na razie bezpośrednio niebezpieczeństwo i czcigodny mąż w lecie tegoż roku mógł stanąć na czele komitetu Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich oraz wystawy przyrodniczo-higienicznej. Niestety, w jesieni, mianowicie 23 października, ś. p. Biesiadecki stałe już zaniemógł na różę w twarzy i krwotoki płuc, następstwa wspomnianej choroby chronicznej; katastrofa stała się nieuniknioną...

Z szeregu rozpraw naukowych zmarłego, wydanych przeważnie w rocznikach Akademii umiejętności w Wiedniu i dla tego pisanych po niemiecku, wymieniamy najważniejsze, jako to: „Beiträge zur physiologischen und pathologischen Anatomie der Haut“ (1867), „Ueber Blasenbildung bei Verbrennung der Haut“ (1868), „Ueber das Chiasma nervorum opticorum der Menschen und Thiere“ (1868), „Ueber Tuberkelbildung in Blutcoagulis“ (1868) i t. d. Pierwszą pracą naukową zmarłego uczonego, napisaną w r. 1858, kiedy więc autor liczył zaledwie 19 lat, była rozprawa, dokonana wspólnie z Augustem Heringiem p. t. „Die verschiedenen Formen der quergestreiften Muskelfasern. Cześć i pokój znakomitemu uczonemu.

— W dniu 2-m kwietnia zmarł w Warszawie ś. p. **Roman Ignatowski**, doktor medycyny, wieloletni lekarz zdrojowy w Ciechocinku. Ś. p. Ignatowski, urodzony w pow. Lubelskim w roku 1805, uczęszczał do szkół w Lublinie. Po skończeniu kursów licealnych wstąpił na wydział lekarski do b. uniwersytetu Aleksandrowskiego w Warszawie, doktoryzował się w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie. Służąc wojskowo, otrzymał zaszczytny znak „Virtuti Militari“ i „Krzyż Zasługi.” W r. 1832 powrócił do Warszawy, poczem osiadł na stałe w Ciechocinku. Obok bardzo rozległej praktyki, zajmował urzędy naczelnego lekarza w miejscowym zarządzie. Historya rozwoju zakładu leczniczego w Ciechocinku ściśle się wiąże z osobą ś. p. d-ra Ignatowskiego. Jego inicjatywie, jego staraniom, wpływom i zabiegom zakład ten zawdzięcza rozgłos, wziętość i na szeroką skalę rozwinięte w nim urządzenia. Oddany ciężkim obowiązkom zawodu swojego i wywiązując się z nich z godną najwyższego uznania sumiennością i bezinteresownością przez pół wieku, odbierał zasłużony hołd wdzięcznego społeczeństwa. Odtąd ś. p. dr. Ignatowski przeszedł w stan dobrze zasłużonego wypoczynku, przeniosłszy się na mieszkanie do Warszawy. Ubiegłego lata odwiedził jeszcze ulubiony Ciechocinek. Lecz jeżeli ś. p. dr. Ignatowski wziętym był w swoim czasie lekarzem, niemniej dla rzadkich przymiotów towarzyskich był duszą wszystkich zebrań ciechocińskich, i pod tym względem następcy po sobie nie zostawił. Pokój wieczny jego szlachetnej i czystej duszy!

† W dniu 3 kwietnia r. b. zmarł we Lwowie **Wawrzyniec Żmurko**. Znakomity mąż nauki, jeden z filarów współczesnej wie-

dzy ścisłej w Europie, jeden z tych niewielu, z którymi liczą się w areopagu zagranicznym, głośny matematyk, profesor uniwersytetu lwowskiego i politechniki tamtejszej.

Nie możemy w tej chwili zastanawiać się nad biegiem tego żywota, poświęconego wyłącznie ścisłym badaniom matematycznym; gdzieindziej oceniamy, ile Wawrzyniec Żmurko do skarbcza wiedzy dołożył z własnego funduszu duchowego, a ile przyczynił się do wyjaśnienia lub uzupełnienia licznych teorii naukowych. Poważny rozgłos budziły w szerokich sferach nauki jego badania nad teorią rachunku różniczkowego, którym przyznano charakter odkryć, wzbogacających zapas wiedzy w tym dziale. Liczne towarzystwa uczonych, krajowe i zagraniczne zaliczyły Żmurkę w poczet swoich członków, bez względu na krytykę częstokroć ostrą, na jaką narażały się jego prace. Zmarły uczony, wybitny przedstawiciel nauki ścisłej, urodził się r. 1824 w Jaworowie w Galicyi. Do szkół średnich uczęszczał w Przemyślu, matematykę studiował na uniwersytecie wiedeńskim. W stolicy też państwa rakuskiego został w r. 1848 docentem matematyki wyższej w c. k. Politechnice, w roku 1851 objął katedrę matematyki w Akademii technicznej lwowskiej, która przekształconą została następnie na Politechnikę. W r. 1871-ym uniwersytet lwowski powołał Żmurkę do swego łona i odtąd wykładał on aż do ostatniej chwili wyższą matematykę w tej szkole. W r. 1870-ym został wybrany członkiem towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, a w r. 1872-ym członkiem Akademii umiejętności; oprócz tego należał do wielu towarzystw naukowych. Z licznych prac jego wyróżniają się zwłaszcza następujące: „Wykład matematyki na podstawie ilości o dowolnych kierunkach przestrzeni“ (2 tomy, Lwów. 1861—64); „Ueber die Flächen zweiter Ordnung“ (w XXVI-ym tomie „Pamiętników wiedeńskiej Akademii umiejętności“); „Beitrag zur Theorie des Groessten und Kleinsten der Functionen“ (tamże); „Beitrag zur Erweiterung der Operationslehre der constructiven Geometrie“ (jest to opis i teoria narzędzi przez Żmurkę pomyślanych, jak cykloidograf, elipsograf, parabolograf, które na wystawie powszechnej w r. 1873-ym w Wiedniu zyskały medal zasługi); „Teorya największości i najmniejszości funkcyi wielu zmiennych“. (Pamiętnik tow. nauk ścisłych w Paryżu). „O styczności stożków obrotowych“ (Kraków 1874); „Przyczynek do rachunku przemienności“ (Pamiętniki krak. Akademii umiejęt. 1875). „Uber Kriterien relativer Maxima und Minima bestimmter Integrale“. (Pamięt. wiedeńskiej Akademii umiejętności, 1876). Cześć pamięci zasłużonego uczonego.

† W dniu 10 kwietnia r. b. przeniosła się do wieczności zasłużona autorka wydawnictw dla dzieci, oraz popularyzatorka, umiejętności przyrodniczych, ś. p. **Marya Julia Zaleska z Perłowskich**. Urodzona w r. 1831-ym we wsi Medwedówce, gub.

kijowskiej, otrzymała na wsi od rodziców swoich nadzwyczaj staranne wychowanie domowe, które własnymi studjami, przy wrodzonym zamiłowaniu, rozwinęła i ku nauce zwróciła. Poślubiwszy dra Zaleskiego z Niemirowa, syna naczelnego lekarza przy szpitalu św. Duchy, pracowała pod jego kierunkiem nad umiejętnościami przyrodniczymi i zapoznała się z niemi gruntownie. Jój pierwsze utwory pod formą powiastek ukazały się w r. 1870-ym. Z ważniejszych wymieniamy: „Listki i ziarnka“ 1874, „Nauka o rzeczach“ t. r., „Obraz świata roślinnego“ 1875, „Pogadanki naukowe“ 1876, „Świat zwierzęcy“ 1877, „Wędrowka po niebie i ziemi“ 1873, „Wieczory czwartkowe“ trzy edycje. W 1868-ym r. wystąpiła z dziełem systematycznym p. t. „Przewodnik wychowania“, którym na siebie zwróciła uwagę znawców. W r. 1874-ym do wspólki z panią Borkowską wydała powiastki dla dzieci. Z ostatnich jój prac odznaczyła krytyka: „Listki i ziarnka“ 1881, „Świątek Zosi“ t. r. oraz obszerną powieść dla młodzieży p. t. „Dwie siostry“ 1887. Od 4-ch lat wydawała z panną Hauke *Wieczory rodzinne* w duchu chrześcijańskim i z poszanowaniem obyczaju dawnego i tradycyi. Nadto wydała wiele tłumaczeń z angielskiego, zwłaszcza Mayne-Raida i Coopera. Od lat kilkunastu prowadziła z talentem rubrykę nauk przyrodniczych w *Kłosach* p. t. „Kroniki“, od znaczącej się niepospolitą poczytnością.

† Dnia 19-go kwietnia zmarł w Poznaniu zasłużony chlubnie nauczyciel matematyki w szkołach gimnazjalnych w W. Ks. Ponańskim, długoletni radzca szkolny dr. **Witold Milewski**. Zmarły ur. się dnia 4-go października 1817 r. w Poznaniu, gdzie też pobierał w gimnazjum Maryi Magdaleny pierwsze nauki szkolne. Ukończywszy uniwersytet w Berlinie, na którym poświęcał się matematyce, był najpierw nauczycielem gimnazjalnym w Ostrowie, a następnie w Poznaniu. W r. 1853 mianowany został dyrektorem gimnazjum w Trzemesznie, a w kilka lat później radczą regencyjnym i szkolnym. Nie było też stowarzyszenia naukowego w W. Ks. Ponańskim, w którymby ś. p. Milewski czynnego nie brał udziału. Oprócz zasług położonych na polu pedagogiki praktycznej, pozostawił następujące prace na polu literatury matematycznej: 1) *De ramis infinitis curvarum algebraicarum ordinis IV*. Dissert.—Berol. 1842. 2) Wykład rachunków praktycznych, szczególniej dla klas niższych szkół gimnazjalnych. Z niemieckiego (H. A. Brettnera). Wrocław 1846.—Toż samo, i dla szkół realnych i gimnazyów i szkół miejskich. Poznań 1859. Wyd. 3-ie Poznań 1865. 3) Wykład arytmetyki literowej i algebry. Z niem. (H. A. Brettnera). Cz. I, Berlin 1850. Wyd. 2-ie Berlin. 1865.

KWESTYA LICHWY W OBECNEM PRAWODAWSTWIE.

NAPISAŁ

Antoni Okolski.

I. Wstęp. II. Pogląd historyczny na lichwę. III. Skutki uchylenia praw o lichwie. IV. Uzasadnienie potrzeby praw o lichwie. V. Stan obecny prawodawstwa o lichwie. VI. Pojęcie lichwy i ogólne wnioski.

I.

Nie ma pojęcia w prawodawstwie, któreby ulegało, w różnych epokach, takim zmianom, jak pojęcie o lichwie. Każde społeczeństwo, doszedłszy do nieco wyższego stopnia rozwoju, jednomyślnie widziało w zabójstwie, kradzieży, oszustwie lub innym podobnym czynie, przestępstwo, zasługujące na karę. Przyszedłszy atoli ostatecznie do takiego zapatrywania, nie opuściło go już nigdy w przyszłości. Zadanie następnych pokoleń polegało tylko na coraz lepszym, dokładniejszym określeniu takich przestępstw, na wyciągnięciu z ich pojęcia dalszych wniosków i na stosowaniu odpowiedniej kary. Inaczej było z lichwą, co do której spotykamy w historyi prawodawstwa różnorodne i często sprzeczne zapatrywania. Prawodawstwa łącząc niewłaściwie pojęcie prawne lichwy z pojęciem ekonomicznym procentu, w określeniu pierwszej wpadało z jednej ostateczności w drugą.

Raz pobieranie procentu od wypożyczonego kapitału było zupełnie zabraniane, wskutek czego za lichwę uważano w ogóle branie procentu, bez względu na jego wielkość. Innemi czasy prawo oznaczało wysokość stopy procentu, którą można było przy pożyczkach zastrzeżać. Wskutek tego za lichwę uważano pobieranie procentu, przewyższającego dozwoloną przez prawo normę. W nowszych cza-

sach zupełnie zniesiono stopę procentu, dozwalając stronom umawiać się o jego wysokość według uznania. Wskutek tego wszakże przepisy prawa karnego, odnoszące się do lichwy, straciły wszelkie znaczenie. Z tego powodu nowsze prawodawstwa karne zupełnie nawet opuszczały przepisy o lichwie. Jakkolwiek więc lichwa w rzeczywistości istniała, jakkolwiek sumienie publicznie oburzało się przeciwko lichwiarzom i ścigało ich pogardą, lichwa stanowiła czyn, nie podchodzący pod przepisy prawa karnego. Prawo karne nie chciało wcale znać pojęcia o lichwie.

W ostatnich wszakże czasach nastąpił nowy zwrot pod tym względem. Zaprowadzona przez prawodawstwa wolność umawiania się o stopę procentu doprowadziło do krzyczących nadużyć, do straszego nieraz wyzyskiwania jednych przez drugich. W obec tego prawodawstwo nie mogło pozostać obojętnem, nie mogło pozwolić na to, ażeby pod powagą prawa i sądów, działały się nadużycia, ażeby jedni byli doprowadzani do ruiny majątkowej, nieraz nawet do utraty czci i życia, przez chciwość innych, ażeby wyzysk lichwiarski zapanował w stosunkach pieniężnych bez żadnego hamulca i ograniczenia. Dla tego też i publicyści i prawnicy zaczęli zastanawiać się nad tém, czy lichwa jest objawem patologicznym społecznym, której nie wytepić nie jest w stanie, czy też złem, zagrażającym interesom ekonomicznym i dobrobytowi społeczeństwa, przeciw któremu należy przedsięwziąć koniecznie pewne środki, czy też przestępstwem, wymagającym represyi karnéj, kary. Rezultatem tego było, iż w najnowszym prawodawstwie zaczęły się pojawiać rozmaite prawa przeciwko lichwie, które pojęcie tego przestępstwa starały się oprzeć na zupełnie innych, jak dawniej, podstawach. Ruch ten przybiera nawet coraz szersze rozmiary, tak że sądząc z dotychczasowego jego przebiegu, można przewidywać czas, kiedy stanie się ogólnym, wskutek czego, w niebardzo odległej przyszłości, wszystkie prawodawstwa cywilizowanych narodów pomieszczą w swych kodeksach przepisy karne przeciwko lichwie. Wskutek też tego kwestya, co należy rozumieć pod lichwą, staje się coraz ważniejszą.

I dla nas też kwestya ta nie jest pozbawiona interesu. Dla oceny tego dosyć przypomnieć, że u nas prawo z 15 grudnia 1811 roku i 26 kwietnia 1818 r. ustanawiało stopę legalną procentu w zobowiązaniach cywilnych na 5%, w handlowych na 6%. Wskutek tego pobieranie wyższego procentu uważane było za lichwę. Tak też określał to przestępstwo tak kodeks karny z 1847 r. (art. 1217) jak i kodeks z 1866 r. (art. 1707). Tymczasem zdanie rady państwa z 17 grudnia 1885 r., zuiosło wyżej powołane prawa z 1811 i 1818 r. Wskutek tego art. 1707 kod. kar. z 1866 r. stracił znaczenie i przestał być stosowanym w praktyce sądowój, lichwa zaś mogła bez obawy kary, bez żadnego ograniczenia, zapuścić szeroko swe korzenie.

Nie ulega wątpliwości, że prawodawca stanowiąc tak, poszedł

torem utartym na zachodzie Europy, a wskazanym przez ekonomistów, którzy, uważając pieniądze za towar, domagali się zniesienia wszelkich ograniczeń tamujących tylko, ich zdaniem, wolny obrót kapitałów, i ścieśniających operacje kredytowe. Stał się jednak dziwny wypadek. Na zachodzie bowiem Europy rok 1867, kiedy zostało wydane prawo dla związku północno-niemieckiego zaprowadzające wolność procentu, należy uważać za ostatni kres tego kierunku, wskazanego przez ekonomistów. Z drugiej strony już rok 1877 kiedy ustanowione zostało prawo przeciwko lichwie dla Galicji i Bukowiny, jest pierwszym objawem przeciwnego kierunku, według którego, przy całym poszanowaniu dla wolności umów co do wysokości procentu, lichwa nie miała korzystać z poprzedniej bezkarności. Prawo więc z 1885 r. u nas było, że się tak wyrazimy ostatniem echem kierunku, który przeważał w prawodawstwie zachodnio-europejskiem do 1867 r., ale już w 1877 r. ustąpił miejsca innemu nowemu, wskutek nastania innych poglądów i zapatrywań, a zarazem lepszego zrozumienia istoty lichwy.

W takim stanie rzeczy i dla nas także nie małej wagi jest pytanie, czy pożądanem byłoby zostać przy prawie z 1885 r., czy też, idąc w tém za zachodnią Europą, wyglądać prawa przeciwko lichwie. Bo że lichwa u nas jest, chociaż działa po większej części w ukryciu, że ofiary ję są liczne, o tém zdaje się nikt chyba nie wątpi.

Dla gruntowniejszego wyjaśnienia tak ważnej kwestyi nieodrzeczy będzie rzucić okiem na rozwój prawodawstwa, odnoszącego się do lichwy w przeszłości. Następnie zwróciny uwagę na skutki, jakie wynikły z powodu zniesienia wszelkich ograniczeń przy zaciąganiu pożyczek, tudzież na przyczyny, które wywołały potrzebę nowych praw przeciwko lichwie. W dalszym ciągu przedstawimy rozwój prawodawstwa o lichwie w ostatnich czasach. Wreszcie, opierając się na prawodawstwie obowiązującym już w niektórych krajach, postaramy się wyciągnąć pewne wnioski, co do tego, jak na lichwę zapatrywać się należy.

II.

Nie będziemy tutaj wdawać się w szczegółowe przedstawienie kwestyi lichwy historycznie, gdyż nie mamy zamiaru pisać jęj historyi. Celem naszym przedewszystkiem zbadanie stanu tęg kwestyi obecnie, dla tego tęg ograniczymy się na tych tylko wskazówkach historycznych, które są konieczne do dokładnego wyjaśnienia dzisiejszego jęj stanu. Bez poznania tego, co było, nie będziemy w możności zdać sobie sprawy z tego, do czego prawodawstwo dąży obecnie.

W Grecji z rozwojem handlu i nagromadzeniem kapitałów w rękach spekulantów, musiała także pojawić się lichwa. Przedo-

wszystkiem dało się to czuć w prowadzącej rozległy handel Attyce, gdzie lichwa, jak chwast zjadliwy, wysysała z kraju najpożywniejsze soki. ¹⁾ Lud jęczał pod ciężarem lichwy. Kapitałiści egzekwując z bezwzględną surowością wierzytelności, gromadzili w swoich rękach własność ziemską; drobni właściciele byli wywłaszczani, albo pozbawiani wolności. Stan taki zmusił już Solona do przedsięwzięcia rozległych reform pod tym względem. Reforma przez niego dokonana, miała na celu nie tylko przeobrażenie polityczne, ale i socyalne. Uważając klasę drobnych właścicieli za niezbędną dla normalnego i spokojnego rozwoju państwa, Solon przedsięwziął wiele środków, mających przynieść im ulgę (Seisachteia) i uchronić od grożącej zagłady. Prawo zastawu było przez niego ograniczone tak, iż nie mogło być stosowane do osoby dłużnika i jego rodziny. Wskutek tego wierzyciel nie mógł już dłużnika swego zamienić w niewolnika lub zaprzedać w niewolę. ²⁾ Prócz tego w celu ułatwienia dłużnikom spłaty długów Solon zaprowadził reformę monetarną, wskutek której dłużnicy otrzymali prawo, długi, zaciągnięte w ważniejszych pieniądzech, zwrócić mniej wartującami. Różnica na tej operacyi miała wynosić 27%. Prócz tego były ustanowione rozmaite ulgi w terminach wypłaty, a nawet jako środek czasowy, zaprowadzona stopa procentu. Państwo wreszcie uwolniło swych dłużników i rzekło się należnych mu kar pieniężnych. ³⁾

W każdym razie ani stopa procentu nie była stale zaprowadzona, ani też kary za lichwę naznaczone.

W Rzymie kwestya lichwy grała bardzo ważną rolę, była ona bowiem jedną z przyczyn zaciętych walk plebejuszów z patrycjuszami. I w Rzymie tak jak w Grecyi, nie było początkowo żadnych ograniczeń co do umawiania się o procent. Z tego powodu bogaci patrycjusze nakładali lichwiarskie warunki na plebejuszów przy udzielaniu im pożyczki. Często, też straszniem było położenie tych ostatnich, wskutek zwłaszcza bezwzględnej surowości z jaką były egzekwowane długi. Dłużnik, nie mogący zaspokoić wierzyciela, stawał się jego niewolnikiem, którego wierzyciel miał prawo wtrącić do więzienia, sprzedać, a nawet w ostatnim razie zabić. Ucisk, wywierany przy patrycjuszów za pomocą lichwy, doprowadził do rewolucyi już w 259 r. od założenia Rzymu. ⁴⁾ Wtedy bowiem lud, przyprowadzony do ostateczności zdzierstwem patrycjuszów, opuścił miasto i usadowił się na górze świętej. Wypadek ten doprowadził najprzód do ustanowienia trybunów ludu, a następnie i do innych reform politycznych i socyalnych.

¹⁾ Curtius, Griechische Geschichte. 1888 T. I str. 299.

²⁾ Curtius l. c. str. 299.

³⁾ Curtius l. c. str. 300.

⁴⁾ Mommsen. Römische Geschichte. T. I. Rozdz. XI.

Jedną z tych reform było prawodawstwo 12 tablic, w którym, jak twierdzą, była w prawodawstwie rzymskiem po raz pierwszy oznaczona stopa procentu, jaką strony mogły zastrzegać przy pożyczkach. Pierwotnie stopa ta wynosiła 10^o/_o, później jednak, w 407 r. była zmniejszona do połowy. Prawodawstwo to, ustanowiwszy stopę procentu, pobieranie wyższego procentu uważało za lichwę, za którą wymierzali karę pieniężną edyłowię, obracając pochodzące z tego źródła fundusze na upiększenie miasta. ¹⁾

Tym sposobem już prawodawstwo 12 tablic wystawiło pojęcie, że prawo może oznaczać wysokość procentu, a zarazem że pod lichwą należy rozumieć pobieranie procentu w ilości większej od dozwolonej przez prawo. Pojęcie prawne lichwy połączone zostało z pojęciem ekonomicznym procentu, i w tém połączeniu przetrwało przez wiele wieków, aż do ostatnich prawie czasów. Nie można jednak powiedzieć, aby połączenie to było jedną z udatniejszych kreacji prawodawcy rzymskiego, gdyż, jak późniejszy rozwój tej kwestyi przekonywa, dało ono najsilniejszą broń ekonomistom XVIII i XIX wieku do zniesienia nie tylko wszelkich ograniczeń procentowych, co było słusznym, ale i prawa przeciwko lichwie, co się okazało szkodliwym. Było też ono główną przeszkodą do wyrobienia pojęcia lichwy, tak, jak ją rozumieć należy.

Pomimo to, że w Rzymie bardzo wczesnie oznaczono stopę procentu i ustanowiono kary za lichwę, pobieranie procentu wyższego, lichwa, była zjawiskiem powszedniem przez cały czas istnienia tego państwa, czynem, którego się dopuszczali ludzie, stojący na czele społeczeństwa. Toż powiadają, że Brutus pożyczał na 48^o/_o a Cato na 60^o/_o ²⁾.

Nie zatrzymując się dłużej nad kwestyą procentów i lichwy w Rzymie, poprzestaniemy tylko na powiedzeniu, że zapatrywania, których podstawą było prawodawstwo 12 tablic, utrzymało się do końca rozwoju prawodawstwa rzymskiego. Jeszcze w prawodawstwie Justyniańskiem znajdujemy szczegółowe przepisy o procentach. Zwykłą stopą procentu było 6^o/_o kupcom jednak i rzemieślnikom wolno było brać 8^o/_o, posyłającym za morze 12^o/_o. Z drugiej strony osoby znakomitsze mogły brać tylko 4^o/_o. Taki sam procent wolno było brać od włościan. O karze za lichwę prawodawstwo to nie czyni żadnej wzmianki. Pod tym względem moż-

¹⁾ K. v. Lilienthal. Die wuchergesetzgebung in Deutschland unter besonderer Berücksichtigung der Entwicklung derselben im Preussischen Staate (Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik von J. Courad, Neue Folge, I Band 1880) str. 141.

²⁾ I. Kirszrot. Prawa o procentach ze stanowiska historycznego, prawnego i ekonomicznego 1868 str. 10.

na tylko przypomnieć, że Dyoklecjan za lichwę nazaczył infamią, a Teodozjusz wznowił dawniejszą karę pieniężną *quadrupli* ¹⁾.

W średnich wiekach społeczeństwo cofnęło się, w ogóle mówiąc, na drodze rozwoju. Stosunki ekonomiczne, wskutek najazdu barbarzyńców, wróciły do stanu pierwotnego, w którym nie było mowy o przemyśle i handlu. Pod względem ekonomicznym znajdujemy wtedy zupełny zastój. Z drugiej strony społeczeństwo średniowieczne było, wskutek zmienionych pojęć religijnych, reakcją względem świata starożytnego. Następstwem zastoju ekonomicznego było to, że w społeczeństwie średniowiecznym sama potrzeba korzystania z kredytu nie była tak naglącą, jak w społeczeństwach wyżej stojących pod względem ekonomicznym. Następstwem znów zmienionych zapatrywań religijnych było to, że kościół który piętno swe wycisnął na wszystkich stosunkach i urządzeniach średniowiecznych, patrzył nieprzychylnie na pożyczki procentowe, uważając procent bez względu na jego wysokość, za lichwę. Według pojęć kościoła samo pobieranie procentu było lichwą uważaną za grzech. Pożyczka winna była być udzielaną bezprocentowo, stanowić uczynek miłosierny. ²⁾

Z tego powodu już u ojców kościoła spotykamy stanowcze potępienie procentu czyli lichwy, jakkolwiek ustępy z pisma świętego na które się w poparciu tego powoływali, jak np. *mutuum dato nil inde sperantes*, były nader wątpliwéj wartości. Były bowiem inne, jak np. przypowieść o słudze, któremu dano do przechowania pieniądze, przemawiające na korzyść prawności procentu. Bądź co bądź średniowieczne prawo kanoniczne wzbraniało najprzód duchownym, a następnie i świeckim osobom pożyczania pieniędzy na procent. Duchowni za branie procentu czyli za lichwę ulegali zawieszeniu w pełnieniu obowiązków; świeccy wierzyciele nie mieli prawa domagać się zwrotu kapitału. Prócz tego nie byli dopuszczani do sakramentów, a nawet byli pozbawieni chrześcijańskiego po- grzebu. ³⁾

Pod wpływem prawa kanonicznego i świeckie prawodawstwo zabraniało także lichwy, to jest wypożyczenia na procent. Tytułem przykładu można by przytoczyć kapitularz Karola W. z 813 r. prawa angielskie z 1015 i 1341 r. francuzkie z 1312 r. i wiele innych. ⁴⁾

Zapatrywania takie wszakże nie mogły się na zawsze utrzymać stanowczo bowiem sprzeciwiały się rozwojowi stosunków ekonomicznych społeczeństwa. Rozwijający się handel, przemysł, rzemiosła,

1) Lilienthal l. c. str. 141.

2) Do przedstawicieli takiego zapatrywania jeszcze teraz można zaliczyć J. Morel. *Du pret a intérêt ou des causes théologiques du Socialisme*. Paris 1875

3) Kiszrot l. c. str. 16.

4) Kiszrot l. c. str. 16.

czyniły pożyczki i w ogóle obroty pieniężne, operacye kredytowe co raz częstszymi. Przeciwnie zakazy prawa kanonicznego, nie uwzględniając tego, utrudniały je tylko i hamowały. Z tego powodu wynikło przeciwieństwo między zapatrywaniami świeckimi społeczeństwa i religijnymi kościoła. Oznaką opozycyi świeckiego społeczeństwa były rozmaite umowy, ukrywające pod formą sprzedaży lub innego zobowiązania cywilnego, pożyczkę na procent. Do takich umów należały kupno renty, kupno z prawem odkupu, czyli tak zwany u nas wyderkaś, i inne. Nie ulega wątpliwości, że taki stan rzeczy, wskutek którego pożyczka mogła mieć miejsce tylko w pewnych warunkach i przy zachowaniu pewnych formalności, utrudniał kredyt i stanowił jedną z najważniejszych przeszkód ekonomicznego rozwoju narodu.

Z tego powodu prawodawstwo świeckie było zmuszone odstąpić od zbytniej surowości prawa kanonicznego i ustanowić pewne wyjątki, kiedy pożyczka na procent mogła mieć miejsce. Jednym z takich wyjątków było dozwoleństwo handlującym pobierania procentu w zobowiązaniach wekslowych, bez czego handel nie mógłby istnieć. Drugi wyjątek był ustanowiony na korzyść pewnych klas ludności, którym dozwolono zajmować się wypożyczaniem pieniędzy na procent czyli lichwę. Klasą tą byli tak zwani w niektórych krajach zachodniej Europy lombardowie, czyli zamieszkali tam włosi, zajmujący się operacyami bankierskimi, wekslarstwem, tudzież żydzi. I pierwsi i drudzy otrzymywali nie tylko od panujących, ale od papieżów i soborów przywileje, na mocy których mogli pożyczać na procent. Można by tu przytoczyć przywileje wydane żydom przez papieża Innocentego III (1199), Innocentego IV (1491 r.), przez koncylium laterańskie (1215 r.), cesarza Fryderyka II (1238 r.), Rudolfa Habsburskiego (1277 r.), Kazimierza W. u nas (1347 r.) i wiele innych. ¹⁾

W ten sposób prawodawstwo samo, zabraniając innym klasom ludności pożyczania na procent i usuwając je od konkurencyi, pozwalając tylko żydom zajmować się tym procederem, przyczyniło się zakomicie do zrobienia z nich lichwiarzy. Jeżeli przytém wspomniemy, że w średnich wiekach nie rzadkiem zjawiskiem było wypędzanie żydów, konfiskowanie ich majątków, umarzanie długów względem nich przez osoby prywatne zasiągniętych, to łatwo zrozumiemy, że inaczej nawet być nie mogło. ²⁾ Żydzi bowiem, narażeni na takie niebezpieczeństwa i straty, nie mogli zadawałniać się umiarkowanym zyskiem, ale byli zmuszeni wymagać ogromnych nieraz procentów. Wszystkie te jednak okoliczności, razem wzięte, wpływały

¹⁾ Kirszrot l. c. str. 28.

²⁾ G. Schmoller. Die öffentlichen Leihhänser sowie das PfandleihRückkaufsgeschäft überhaupt. Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft im Deutschen Reich) IV Jahrgang 1880 str. 90.

na to, że w średnich wiekach operacye kredytowe były nadzwyczaj utrudnione; jeżeli zaś potrzebujący chciał zaciągnąć pożyczkę, zmuszony był zapłacić za nią wysoki lichwiarski procent.

Coraz bardziej rozwijające się stosunki ekonomiczne nie mogły poprzestać na tak ograniczonym kredycie, spotykającym na każdym kroku jakąś przeszkodę, zawadę. Z tego powodu i prawodawstwo świeckie i duchowne zaczęło stosować i do reszty ludności środek, stosowany poprzednio wyjątkowo tylko do żydów przy pożyczkach. Wszystkim więc pozwolono pożyczać, ale na procent, nie przewyższający ustanowionej przez prawo normy. Tym sposobem prawodawstwo powróciło do ustanawiania na wzór prawa rzymskiego stopy procentu. W Niemczech w każdym prawie mieście stopa procentu inaczej było oznaczona. Tak np. w Kolonii w 1373 r. był 55% w Ratyzbouie 1392 r. 75%. W ogóle stopa procentu w Niemczech chwiała się między $21\frac{2}{3}$ i 75%¹⁾.

We Francyi już w 1311 r. ustanowiono stopę procentu na 20% później jednak z mniejszo ją stopniowo do 5% w 1665 r. W Anglii Henryk VIII dozwolił pobierać 10% ale za Anny stopa ta została zniżona do 5%. W Polsce dla miast Gdańska i Torunia oznaczono w 1569 r. stopę procentu na 8%, w 1670 r. żydom pozwolono brać 20%, a w 1775 r. oznaczono stopę procentu na 5%, przy czém w razie uchybienia terminu zapłaty, wolno było podnieść ją do 7%. Duchowni mogli pożyczać na 3%, a w razie zwłoki w uiszczeniu na 5%²⁾.

Jednocześnie z tém i prawodawstwo kościelne, ulegając duchowi czasu, czyniło ustępstwa, na korzyść wolności operacyi kredytowych. Tak np. papież Grzegorz XIII (1474 r.) i Mikołaj V (1542 r.) pozwolili neapolitańczykom pożyczać na 10%. Synod w Brixen (1603 r.) pozwolił pożyczać na 6% albo 7% a sobory w Konstancyi i Bazylei na 5%³⁾.

W ogóle wskutek tak zmienionych zapatrywań pożyczki na procent przyznane były za rzecz dozwoloną, pobieranie tylko procentu wyższego od ustanowionej normy było zabronione. Pobieranie takiego procentu uważane było za czyn karygodny, za lichwę, za którą winny powinien był uleść przepisanej przez prawo karze. Takie zapatrywanie na lichwę utrzymało się w prawodawstwach obowiązujących aż do ostatnich prawie czasów.

Przeciwko takiemu zapatrywaniu na lichwę wystąpili ekonomiści końca XVIII wieku jak np. Turgot⁴⁾ i inni którzy dowodzili jego bezzasadności, a zarazem domagali się zniesienia wszel-

¹⁾ G. Schmoller l. c. str. 89.

²⁾ Kirszrot l. c. str. 39.

³⁾ Kirszrot l. c. str. 40.

⁴⁾ Turgot. Mémoire sur les prêts d'argent.

kich ograniczeń procentowych, i pozostawienia stronom wolności pod względem umawiania się o procent. Najświetniejszym najwymowniejszym przedstawicielem tego kierunku był Bentham, który w swojej obronie lichwy ¹⁾ z nieubłaganą logiką wykazał bezzasadność wszystkich motywów, przytaczanych na korzyść ograniczenia wysokości stopy procentu.

Wszyscy pisarze, którzy wypowiedzieli walkę ustalonym zaopatrywaniom na kwestyę procentów i lichwy, dowodzili, że pieniądź są towarem, którego cena jest zmienną, stosunkowo do zasadniczego prawa ekonomicznego o zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu. Wykazywali oni, że procent jest wynagrodzeniem wierzyciela, słusznie należącym mu od dłużnika, za wypożyczenie kapitału, z którego przez pewien czas ciągnął zyski. Wykazywali, że wysokość procentu nie może być naprzód unormowana przez prawo, ale że zależy od obfitości kapitałów, ilości osób żądających kredytu, a w ogóle od stosunku między zaofiarowaniem i zapotrzebowaniem. Im więcej będzie kapitałów do wypożyczenia, mówili, tem procent musi być niższy. Przeciwnie; im mniej kapitałów a więcej żądających pożyczki, tem bardziej procent musi się podnieść. Wierzyciel miał, zdaniem ich, prawo żądać wyższego procentu jeżeli, pożyczając kapitał, narażał się na większe niebezpieczeństwo utracenia go. Słusznie też mógł żądać znaczniejszego procentu, jeżeli kapitał pożyczony przyniósł dłużnikowi większe zyski. Dowodzili więc, że winna być stronom pozostawiona zupełna wolność umawiania się o procent, bez względu na jego wysokość. W skutek tego pobieranie wyższego, jak prawo dozwalało, procentu nie zawierało, zdaniem ich, nic karygodnego, ani nagannego.

Pobieranie wyższego procentu nie było lichwą, ale zjawiskiem ekonomicznem, którego główną przyczyną, były właśnie ograniczenia procentów. Niech prawodawca zniesie te ograniczenia procentowe, mówili, nie tylko zniknie lichwa, ale nawet obniży się zwykła stopa procentu, na targu bowiem pieniężnym pojawi się masa kapitałów, pozostających dotąd w ukryciu, z przyczyny właśnie ustanowionych przez prawo ograniczeń. Podług nich prawodawstwo samo tworzyło lichwę, stanowiąc sztuczne przeszkody, ograniczenia, tamujące tylko wolną cyrkulacją kapitałów, usuwając od konkurencyi uczciwych kapitalistów, zmuszając ich do ustąpienia z pola nieuczciwym lichwiarzom.

Takie, mniej więcej, zasady przytaczano w obronie wolności procentu i zniesienia tamujących ją ograniczeń. Ponieważ zaś pod lichwą pojmowano pobieranie wyższego od stopy prawnej procentu, widocznem jest, że przez to samo podkopywano w samej zasa-

¹⁾ Jeremy Bentham. Defence of Usury. 1787.

dzie pojęcie lichwy. Ze zniesieniem stopy procentowej upadło też i pojęcie tak rozumianej lichwy, wszelkie zaś przepisy karne odnoszące się do tego traciły znaczenie. Największy nawet procent nie stanowią lichwy.

Pod wpływem takich zapatrywań powstało w nowszym prawodawstwie dążenie do zniesienia wszelkich ograniczeń co do umawiania się o wysokość procentu, które, wypełniło historią procentów i lichwy aż do ostatnich prawie czasów. W skutek tego strony miały mieć zapewnioną zupełną wolność pod tym względem. Zauważyć jednak należy, że prawodawstwo, ustępując ekonomii politycznej, popełniło błąd, gdyż zaniedbało inne strony téj kwestyi, np.: etyczną ¹⁾, i zamiast zreformować tylko prawa o lichwie, zupełnie je zniósł. W tém tkwiła przyczyna i początkowych niepowodzeń prawodawczych na tém polu, i tego że obecnie prawodawstwo zmuszonym jest do stanowienia nowych praw przeciwko lichwie.

Pierwszą próbkę zniesienia praw o procentach i lichwie zrobił w Austrii Józef II jeszcze w 1787 r. ²⁾ pod wpływem nowatorskich idei swego czasu. Cesarz ten zniemił poprzednie, nader surowe prawa o lichwie Maryi Teresy z 26 kwietnia 1751 r., które karało nie tylko dającego ale i biorącego lichwiarską pożyczkę, a nawet, w celu zapewnienia wykonania go, naznaczało wysokie nagrody dla donosicieli.

Prawo Józefa II nie wywarło żadnego wpływu na inne kraje, gdyż chybiło zupełnie swego celu. Nie ułatwiło ono ani operacji kredytowych, ani zmniejszyło lichwy. Do jakiego stopnia było ono nie udaną próbą można się przekonać z tego, że już w 1788 r. minister sprawiedliwości przedstawił potrzebę powrotu do dawnego prawa, naznaczającego karę za lichwę, na co oczywiście cesarz nie mógł się zgodzić. ³⁾ Później dopiero 2 grudnia 1803 r. wydane zostało, z ogólnym uradowaniem ludności, nowe prawo o procentach i lichwie, mało co ustępujące w surowości terezańskiemu prawu z 1751 r. Stanowiło ono kary nie tylko na lichwiarzy, dających pożyczkę na wyższy procent od normy dozwolonej. I ci, którzy przez lekkomyślność przy zaciągnięciu pożyczki, lub przez złe użycie po-

¹⁾ K. Eherberg. Ueber den gogonwürtigen Stand der Wucherfrage. (Jahrbuch für Gesetzgebung und Volkswirtschaft im Deutschen Reich von Holtzendorf und Brentano. IV Jahrgang 1880) str. 60.

²⁾ Gr. Chorinsky. Der Wucher in Oesterreich. 1877. str. 12.

³⁾ W skutek tego tylko ogłoszony został konkurs na rozprawę pod tytułem: „Was ist Wucher und durch welche Mittel ist demselben ohne Strafgesetze Einhalt zu thun.“ Nie doprowadziło to wszakże do żadnego praktycznego rezultatu. Eherberg, str. 57.

życzonych pieniędzy, dowiedli niskiego stopnia moralności, mieli uleść karze od 1—6 miesięcy aresztu. ¹⁾ Prawo to obowiązywało do 14 czerwca 1868 r. kiedy zaprowadzona została zupełna wolność procentu, a w skutek tego i przepisy karne przeciwko lichwie straciły praktyczne znaczenie.

Drugą nieudaną próbę zniesienia stopy procentu zrobiono we Francji w końcu XVIII wieku.

We Francji branie procentu było niejednokrotnie zabronioném przed rewolucyą na drodze prawodawczej. ²⁾ Dopiero prawo z 3 października 1789 r. dozwoliło pożyczać pieniądze na procent, stanowiąc tylko, że w stosunkach cywilnych procent nie może być wyższy od 5⁰/₀. W skutek tego za lichwę uważano branie wyższego procentu. Prawo jednak z 11-go kwietnia 1793 r. powiedziało wprost, że *l'argent était marchandise*, w skutek czego zniesione zostały wszelkie ograniczenia co do wolności umawiania się o procent. ³⁾ Wprawdzie prawo z 6 Floréala II r. wznowiło dawniejszą stopę procentową 5⁰/₀, ale prawo to było zniesione przez prawo z 5 Thermidora IV i 15 Fructidora V, które przywróciły wolność procentu. Nawet kodeks cywilny (art. 1907) nie ustanowił stopy procentowej w pożyczkach. Dopiero prawo z 3 września 1807 r. oznaczyło stopę prawną procentu w zobowiązaniach cywilnych na 5⁰/₀, w handlowych na 6⁰/₀. Prócz tego prawo to przepisało karę pieniężną, nie przewyższającą połowy kapitału danego na lichwę na tego, kto brał procent wyższy od stopy prawnej, a więzienia jeżeli z tém połączone było oszustwo. Prawo z 19 grudnia 1850 r. obostrzyło nawet karę za lichwę, pod którą ciągle rozumiano pobieranie procentu wyższego od normy, dozwolonej przez prawo. Na tém stanowisku zatrzymało się prawodawstwo francuzkie aż do obecnej chwili, stanowiąc, tym sposobem wyjątek wśród innych prawodawstw europejskich, które jedno za drugim znosiły stopę procentu. Tylko w 1857 r. uznano za stosowne nadać Bankowi francuzkiemu przywilej nieściesniania się w swoich operacjach prawną stopą procentu. ⁴⁾

¹⁾ Lilienthal. I. c. str. 143. Chorinsky. I. c. str. 22.

²⁾ Np. rozporządzenie z 10 stycz. 1777 r. Lilienthal. I. c. str. 158.

³⁾ Eheberg. I. c. str. 57. Lilienthal. I. c. 158.

⁴⁾ Ponieważ w tém okazała się cała niekonsekwencya uważania za lichwę wyższego od normy prawnej procentu, gdyż Bankowi było dozwolone to, co osobom prywatnym poczytywane było za przestępstwo, przeto cyrkularz z 4 list. 1857 r. do prokuratorów generalnych polecił nie wszczynać dochodzenia sądowego o lichwę przeciwko bankierom i kupcom, którzyby w operacjach swoich stosowali się do sposobu postępowania, przyjętego przez Bank. Z tego też powodu ilość spraw o lichwę znacznie się zmniejszyła, kiedy bowiem w peryodzie od 1853—1857 r. wynosiła 870, w peryodzie od 1858—1864 spadła do 349. Lilienthal I. c. str. 159.

Podobnie i u nas kodeks Napoleona, który zyskał moc obowiązującą, od 1 maja 1808 r., zaprowadził wolność umawiania się o procent. Wolność ta wszakże była wkrótce ograniczona przez prawo z 16 grudnia 1811 r. Prawo to ustanowiło na wzór francuzkiego z 1807 r. 5% w zobowiązaniach cywilnych i 6% w handlowych, stanowiąc zarazem, że w razie sporu sąd nie może przysądzić więcej od procentu prawnego. Prawo z 26 kwietnia 1818 r. utrzymało w swęj mocy poprzednie rozporządzenia, z tą tylko różnicą, że według niego jeżeli strony umówiły się o wyższy procent i procent ten był już zapłacony, nie ulegał już w żadnym razie zwrotowi. Ztąd wypływało, że i prawodawstwo u nas obowiązujące, za lichwę uważało pobieranie wyższego od prawnie dozwolonego procentu. ¹⁾ Nie można było jednak domagać się zwrotu zapłaconego z góry procentu, chociażby był lichwiarskim.

Zresztą i u nas także, tak jak we Francyi, nadany był, przez postanowienie komitetu rządzącego z 1 (13) grudnia 1867 r., przywilej b. Bankowi Polskiemu nieścieśniania się prawną stopą procentu. ²⁾

Silniejszy ruch w prawodawstwie do zniesienia ograniczeń procentowych przejawiał się dopiero później na skutek zniesienia ich w Anglii.

W Anglii w 1833 r. postanowiono, że prawa o lichwie nie stosują się do weksli i rewersów kupieckich z krótkim terminem, nie przenoszącym trzech miesięcy. W 1838 r. zaprowadzono wolność procentu w zobowiązaniach cywilnych i handlowych z tém ograniczeniem, że w pożyczkach zabezpieczonych hipotecznie, tudzież mniejszych od 10 fun. szterlingów, można było zastrzegać tylko procent prawny. Nareszcie prawo 17 et 18 Vict. cap. 90 (10 Sierp. 1854 r.) zniosło i te ograniczenia i zaprowadziło zupełną wolność umawiania się o procent. Wszelkie też prawa przeciwko lichwie zostały jednocześnie z tém odwołane.

Przykład dany przez Anglią naśladowały powoli i inne kraje. Do tego przyłączyła się i okoliczność, iż w nowych kodeksach handlowych możność zobowiązywania się weksłowo zaczęto rozszerzać i do innych osób, nie tylko, jak przedtém, do handlujących. Weksle

¹⁾ Za zupełną wolnością procentu przemawiali u nas, oprócz Kirszrota, w wyż powoływanej rozprawie, jeszcze A. Markusfeld. O wolności stopy procentu. (Odbitka z Gazety Handlowej) 1868. Przeciwnie Prokopowicz w rozprawie o lichwie (Przegląd Sądowy 1868 str. 367) był za utrzymaniem stopy prawnej procentu, pod warunkiem podniesienia jej stosownie do uznanej potrzeby większego procentowania kapitałów lokowanych hipotecznie, otworzenia szerszego pola kredytu osobistemu, tudzież zrobienia ulg dla handlu.

²⁾ Dziennik Praw. T. LXVII str. 355.

zaś służyły za najlepszy środek do ukrycia lichwy ¹⁾. Prawodawca więc cofał się od walki z nią, uważając usiłowania swe pod tym względem za bezużyteczne.

W Prusach, przed wprowadzeniem Allg. Landrechtu, w każdej prowincyi bądź na mocy zwyczaju, bądź na mocy jakiegoś przepisu prawnego, obowiązywały różne stopy procentu. Według Allg. Landr. ²⁾ procent miał wynosić w zobowiązaniach cywilnych 5%, w handlowych 6%. Żydzi i wypożyczający na zastaw mogli brać 8%. Kara za lichwę następowała wtedy, kiedy zobowiązanie o wyższy procent było ukryte w umowie symulacyjnej lub pod ukrytą nazwą. Przy rewizyi jednak kodeksu karnego w 1827 r. projektowano wprowadzenie doń artykułu, który był bardzo blizki pojęcia lichwy, tak jak ją rozumieć należy. Tyt. II Rozdz. 11 § 67 projektu brzmiał bowiem: kto, nadużywając potrzebę drugiego przy udzieleniu mu lub prolongowaniu kredytu, zastrzeże dla siebie lub osoby trzeciej, pod jakimkolwiek pozorem lub formą, korzyści, przewyższające procent prawny, winien jest lichwy ³⁾. Określenie to, gdyby nie wtrącenie wzmianki o procencie prawnym, psującej wszystko, byłoby rzeczywistym postępem w porównaniu z poprzednimi zapatrywaniami na lichwę, a zarazem przygotowałyby grunt do wyrobienia lepszego o nią pojęcia. Projekt ten wszakże nie przyszedł do skutku. Późniejsze projekty z 1830, 1833 i 1836 r. odstąpiły od tego zapatrywania i widziały lichwę wyłącznie w braniu wyższego procentu. Przy tém zajmowanie się lichwą zwyczajowo, miało ulegać wyższej karze. Tak samo zapatrywał się na to przestępstwo kodeks karny z 1850 roku. ⁴⁾

Inne niemieckie kodeksy również patrzyły na lichwę jak na przekroczenia prawnej stopy procentu. Tylko kodeks karny państw turyngskich (§ 286), w określeniu lichwy zwracał uwagę na znaną lichwiarzowi lekkomyślność albo trudne położenie dłużnika. W badeńskiem znów, gdzie nie istniały ograniczenia procentowe, kodeks z 1845 r. (§ 533): pod lichwą pojmował zastrzeżenie nadmiernych korzyści ⁵⁾.

Dążenie do zniesienia ograniczeń procentowych, a w skutek tego i praw o lichwie nabrało większej siły w Prusach, dopiero w 1856 r. Wtedy pruska izba deputowanych, na skutek jednomyślnego wniosku swęj komisji sprawiedliwości, uchwaliła rezolucyę, polecającą uwadze rządu zniesienie praw przeciwko lichwie.

¹⁾ Ekeberg. l. c. str. 58.

²⁾ Allg. Landrecht. Th. 1 Tit. 11 § 804.

³⁾ Lilienthal. l. c. str. 145.

⁴⁾ Lilienthal. l. c. str. 146.

⁵⁾ Lilienthal. l. c. str. 149.

Przesilenie przemysłowe i handlowe w 1857 r. spowodowało rząd do wydania rozporządzenia z 25 listopada 1856 r., mocą którego prawa o lichwie były na trzy miesiące zawieszane. Rozporządzenie to miało na celu przyjść z pomocą kredytowi prywatnemu przez wywabienie, że się tak wyrazimy, z ukrycia, nadzieją większych zysków i puszczenie w obieg kapitałów, o których przypuszczano, że się schowały z powodu przesilenia ekonomicznego i ograniczeń procentowych. Rząd w obronie tego rozporządzenia powoływał się prócz tego na statystykę, wykazującą niewielką stosunkowo ilość oskarżeń o lichwę, i jeszcze mniejszą liczbę skazań. ¹⁾ Rozporządzenie to posłużyło za jedną broń więcej stronnikom stanowczego zniesienia praw procentowych i przeciwko lichwie, powołując się bowiem na nie, wskazywali na nielogiczność, z jaką prawodawca postępował, raz karząc pewien czyn, nawet karą hańbiącą, a drugi raz, zapewniając mu zupełną bezkarność. Ci więc uważali rozporządzenie z 1857 r. za pierwszy krok do zniesienia wszelkich pod tym względem ograniczeń.

Pomimo to projekty zniesienia stanowczego praw przeciwko lichwie upadły w sejmie pruskim tak w 1860 r. jak i w 1862 r. ²⁾ Wydany w tymże czasie kodeks handlowy zapewniał handlującemu zupełną wolność procentu. Kiedy więc w 1866 r. znów powtórzyły się nadzwyczaj krytyczne stosunki ekonomiczne, wydane było rozporządzenie 12 maja 1866 r., mocą którego zaprowadzona została wolność stopy procentu, we wszystkich zobowiązaniach, za wyłączeniem mających zabezpieczenie hipoteczne, nie czasowo, jak przedtém, ale na zawsze ³⁾. W następstwie w 1867 r. rząd przedstawił projekty do praw, znoszących stopę procentu, które jednak bądź były odrzucone przez jedną lub drugą izbę, bądź nie mogły ze względów formalnych stać się prawem. Dopiero projekt, wniesiony przez Laskera na pierwszym posiedzeniu parlamentu związku północno-niemieckiego, został przyjęty przez izbę deputowanych 12 października 1867 r., a przez Radę związkową 14 listopada t. r. ⁴⁾ Prawo to ustanawiając zupełną wolność umawiania się o procent, zastrzegало tylko na korzyść dłużnika możliwość wcześniejszej spłaty kapitału, kiedy procent umówiony przewyższał 6%, za poprzedniem wypowiedzeniem go wierzycielowi na 6 miesięcy ⁵⁾.

¹⁾ Lilienthal, l. c. str. 151.

²⁾ Lilienthal, l. c. 154.

³⁾ Lilienthal, l. c. str. 155.

⁴⁾ Lilienthal, l. c. str. 156.

⁵⁾ Hinschius. Das Gesetz für den Norddeutschen Bund betreffend die vertragmässigen Zinsen und seine Einwirkung auf das bisherige Civilrecht. (Zeitschrift. für Gesetzgebung und Rechtspflege. 1868 T. II).

Zresztą wolność umawiania się o wysokość procentu wpływała w Niemczech nie tylko z prawa z 14 listopada 1867 r., ale i z tego, że kodeks karny niemiecki z 31 maja 1870 r. wypuścił zupełnie przepisy odnoszące się do lichwy. Kodeks ten na mocy prawa z 22 kwietnia 1871 r. zyskał moc obowiązującą w Bawaryi, na mocy prawa z 15 maja t. r. w reszcie Cesarstwa, a na skutek prawa z 30 sierpnia 1871 w Alzacji-Lotaryngii ¹⁾.

W tymże samym, co i w Niemczech ²⁾, czasie i w innych krajach europejskich przejawilo się dążenie do zniesienia praw procentowych i przeciwko lichwie. W skutek tego wszędzie prawie zostały zniesione.

Tak np. w Norwegii już 1842 r. była ustanowiona wolność stopy procentu w zobowiązaniach wekslowych i innych pieniężnych, nie zabezpieczonych hipotecznie, których termin nie przenosił sześciu miesięcy. Wprawdzie prawo to było uchylone w 1851 r., ale zostało przywrócone 1857 r. Następnie ograniczenia procentowe były zniesione w Szwecyi w 1864 r.

W Danii prawo z 6 kwietnia 1855 r. zniosło ograniczenia procentowe z wyjątkiem zobowiązań hipotecznych. Toż samo miało miejsce w Hiszpanii na mocy prawa z 14 maja 1856 r., w Portugalii jeszcze na skutek art. 279 kod. handl. z 1833 r., w Sardynii na mocy prawa z 5 czerwca 1857 r., zastosowanego do całego królestwa włoskiego przez prawo z 1865 r. W Holandyi wolność procentu była zaprowadzona przez prawo z 29 grudnia 1857 r. ³⁾, a w Belgii przez prawo z 5 maja 1865 r. Pomimo to art. 494 kodeksu karnego belgijskiego zatrzymał art. 2 tegoż prawa, stanowiący kary za lichwę. Podług tego kto dostarczyłby drugiemu jakichkolwiek wartości na procent, przewyższający stopę prawną, nadużywając przytem jego słabości lub namiętności, podlegał karze więzienia od 1 mies. do roku i karze pieniężnej od 1000—10,000 franków albo jednej tylko z powyżej wymienionych kar.

I w Szwajcaryi także w niektórych kantonach, jak np. w ge-

¹⁾ Annuaire de législation étrangère. X Année. str. 78.

²⁾ W każdym razie należy zauważyć, że w niektórych państwach niemieckich prawa o procentach i o lichwie były zniesione jeszcze wczesniej. Tak np. w Wirtembergu na mocy prawa z 1 maja 1849 r., które nadało wolność zobowiązania się wekslowo wszystkim, bez żadnego ograniczenia; w Sachsen-Wejmar-Eisenach (1858 r.), w Oldenburgu (18 czerwca 1868 r.), w wolnym mieście Bremie (27 grudnia 1858 r.), w Sachsen-Coburg (10 lutego 1860 r.), w Frankfurcie (2 lutego 1864 r.), w kr. Saskiem (25 października 1864 r.) w Lubec (31 czerw. 1862 r.), w Hamburgu przez § 33 prawa o zastosowaniu niemieckiego kod. handl. z 22 grud. 1865 r. Lilienthal. l. c. str. 156.

³⁾ Lilienthal. l. c. str. 157.

newskim, nefszałeńskim, graubündeńskim, walijskim zostały zniesione ograniczenia procentowe ¹⁾.

W Austrii prawo z 14 grudnia 1866 r. zniosło, ograniczenia procentowe, ustanowione 1803 r., ale utrzymało przepisy karne o lichwie. I te jednk przepisy były uchylone przez prawo z 14 czerwca 1868 r. ²⁾

W Rosyi zdanie Rady Państwa z 6 marca 1879 r. uchyliło przepisy o stopie prawnej procentu. Zdanie zaś tójże Rady z 7 marca 1879 roku zniosło przymus osobisty za długi. Zdanie Rady Państwa z 28 grudnia 1882 r. ³⁾ dozwoliło w guberniach nadbaltyckich umawiać się o wysokość procentu, i oznaczać go w aktach i umowach. W razie niezachowania tego warunku, a także w wypadkach kiedy liczył się procent prawny, procent ten był oznaczony na 6%. Wreszcie zdanie Rady Państwa z 17 grudnia 1885 r. ⁴⁾ uchyliło obowiązujące w Królestwie Polskiem prawa z 16 grudnia 1811 i 14 (26) kwietnia 1818 r. o procencie i dozwoliło stronom umawiać się o jego wysokość z tym tylko warunkiem, że gdyby procent umówiony przewyższał 6% wolno było dłużnikowi spłacić kapitał w sześć miesięcy po zaciągnięciu pożyczki, za poprzedniem zawiadomieniem o tém wierzyciela na trzy miesiące. Tym sposobem i w Cesarstwie i w Królestwie, jakkolwiek przepisy kodeksu karnego z 1866 r. o lichwie (art. 1707) ⁵⁾ nie zostały bezpośrednio uchylone, straciły jednak praktyczne znaczenie, w skutek zniesienia ograniczeń co do wolności umawiania się o procent.

Wreszcie, uzupełniając wymienienie państw, w których stopa procentu została zniesiona, i w których w skutek tego lichwa mogła się rozszerzyć bez żadnego ograniczenia, należy wspomnieć, że i w wielu krajach pozagranicami Europy toż samo miało miejsce, nawet jeszcze wcześnięj. Tak np. w Brazylii (24 paźdź. 1832 r.), Ekwadorze (7 paźdź. 1833 r.), Peru (1852 r.), Urugwaju (2 kwiet. 1838 r.), Nowej Grenadzie (1835 r.) i rozmaitych stanach Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki ⁶⁾.

¹⁾ Lilienthal. l. c. str. 157.

²⁾ Lilienthal. l. c. str. 158.

³⁾ Sobranie uzakonionii i rozporiażeńii prawitielstwa 1885 Nr. 187.

⁴⁾ Sobranie uzak. i rozpor. prawit. 1885 Nr. 1046.

⁵⁾ Według tego artykułu przekonany o pobranie wyższego nad stopę procentu winien ułudz: za pierwszym razem karze pieniężnej, nie przewyższującej trzy razy pobranego nadprawnie procentu, za drugim razem, oprócz powyższej kary pieniężnej, arosztowi od 3 tyg. do 3 miesięcy, a za trzecim, oprócz kary pieniężnej, zamknięciu w więziouiu na czas od 8 mies. do 1 roku i 4 miesięcy.

⁶⁾ Lilienthal. l. c. str 157.

W skutek tego, z ważniejszych krajów tylko Francya pozostała przy dawniejszym systemacie prawnej stopy procentu i uważania za lichwę pobieranie wyższego procentu. Pomimo tego i tam spotykamy próby odstąpienia od niego. Tak np. ordonansa z 7 grudnia 1835 r. zniosła prawną stopę procentu w Algierze. W 1854 roku udzielony był, jak zauważyliśmy wyżej, Bankowi francuzkiemu przywilej w razie potrzeby przekroczenia tój stopy. W 1864 r. na wniosek Juljusza Favre, domagający się uchylenia praw przeciwko lichwie, było wyprowadzone staranne śledztwo, które wykazało ¹⁾ że wszędzie, gdzie istniały częste obroty pieniężne, wielki ruch przemysłowy i handlowy, prawa o lichwie uważano za bezużyteczne i życzone sobie zniesienia ich. Tak oświadczały się Izby handlowe. Przeciwnie notaryusze, mający stosunki z mniejszemi kapitalistami, rzemieślnikami i właścicielami ziemskimi, uważali utrzymanie istniejących ograniczeń za pożądane ²⁾.

Tym sposobem walka podjęta przez ekonomistów w końcu XVIII wieku zakończyła się zupełnem ich zwycięstwem. Wykazując niestosowność i bezzasadność prawnej stopy procentu, dobili się oni zniesienia wszelkich pod tym względem ograniczeń. W skutek tego też upadły i prawa o lichwie, pod którą pojmovano właśnie branie wyższego procentu. Oceniając tę walkę, nie można powiedzieć, żeby była zbyt trudna. Stosunki bowiem pieniężne i ekonomiczne naszego społeczeństwa tak się z gruntu zmieniły, że nie można było dawniejszych zapatrywań stosować do czasów obecnych. W średnich wiekach przy małym rozwoju ekonomicznym, nader rzadkich pożyczkach i w ogóle obrotach pieniężnych, prawodawstwo mogło oznaczać stopę procentu. W nowszych czasach, przy olbrzymim rozwoju ekonomicznym, oznaczanie stopy procentu byłoby podobne do ustanowienia taksy na chleb, mięso albo inne środki żywności. Ale tak jak taksy nie osiągały swego celu, nie były w stanie zabezpieczyć tanich środków żywności, tak samo i prawna stopa procentu, mająca na celu dostarczyć potrzebującym taniego kredytu, raziła swoją niekonsekwencyą. Jak tylko bowiem prawodawca raz uznał, że pobieranie procentu jest godziwem, że wierzyciel, wypożyczając swój kapitał, ma prawo żądać od dłużnika słusznego za wyświadczoną mu usługę wynagrodzenia, nie było żadnej racjonalnej przyczyny do oznaczenia wysokości tego wynagrodzenia. Nie można było przytoczyć żadnej zasługującej na uwzględnienie zasady, na podstawie której 5% należało uważać

¹⁾ Enquête sur la législation relative au taux de l'intérêt de l'argent. Paris. 1865 II. vol.

²⁾ Lilienthal. l. c. str. 159.

za sprawiedliwe wynagrodzenie, a 6% albo 10% za karygodną lichwę, wtedy, kiedy dłużnik, obracając wypożyczonym kapitałem, zarabiał na nim 20, 30, 50% albo nawet i więcej. Jedyny przykład, przytoczony przez Turgot o handlarzach jarzyn w Paryżu, którzy pożyczając 3 franki na tydzień, płacili od nich dwa su procentu czyli 173 $\frac{1}{3}$ % na rok, i nie tylko nie skarżyli się na to, ale owszem widzieli w tém swoją korzyść, należałoby uważać za dowód dostateczny do przekonania się o bezzasadności praw procentowych, a zarazem i o całej wadliwości pojęcia lichwy, rozumianej jako pobieranie wyższego od normy dozwolonej procentu.

Rok 1867, kiedy uchwalone zostało prawo o wolności procentu w Niemczech, albo 1868, kiedy zniesiono prawo o lichwie w Austrii, należy uważać za koniec tej walki ekonomistów z zastarzającymi się pojęciami na Zachodzie Europy. Wtedy święcili oni zupełny swój tryumf. Dosięgli oni swego celu, — wolności stopy procentu. Ale jednocześnie z tém miał miejsce i inny rezultat — zniesienie praw przeciwko lichwie, pojęcie której pozostawało w najściślejszym związku z prawami o procentach. Nastął więc czas, który miał wykazać, czy prawodawca dobrze postąpił, znosząc z ograniczeniami procentowemi i prawo o lichwie, czy przez wyzwolenie operacji kredytowych od wszelkich ograniczeń i lichwa została wytepioną, czy przeciwnie nie należało wystawić innego, jak dotychczas, pojęcia o lichwie i zagrozić jej odpowiedniemi karami. Na wszystkie te pytania niedaleka przyszłość miała odpowiedzieć.

III.

Ekonomiści wypowiadając walkę prawom procentowym, mieli na widoku dwa cele. Najprzód dążyli oni do wyzwolenia kapitałów od wszelkich tamujących go ograniczeń, spodziewając się, że reforma taka będzie miała tylko dobroczynne następstwa. Sądziłi bowiem że jak tylko będzie zaprowadzona wolność procentu, wszystkie stosunki między kapitalistami i potrzebującymi kredytu załatwią się naturalnie, stosownie do prawa o zaoftarowaniu i zapotrzebowaniu. W skutek tego spodziewali się zniżenia stopy procentu, a zarazem i osiągnięcia drugiego swego celu, to jest wytepienia lichwy. Myślano, że przy większej obfitości kapitałów, potrzebujący będą zawsze mogli dostać pożyczki za umiarkowanym procentem, a wszelkie prawa o lichwie okażą się zbytecznemi.

Zo zniesieniem ograniczeń procentowych, nastął czas doświadczenia, mający wykazać, czy zapatrywania te były słuszne, czy dwa te cele zostały osiągnięte.

Nie będziemy tu obszernie zastanawiać się nad tém, o ile pierwszy cel został w zupełności osiągnięty, rozbiór bowiem tej kwestyi ze stanowiska ekonomicznego, nie jest główném naszym zadaniem. Zresztą brak dotychczas w ogóle dostatecznego matoryału do roz-

strzygnięcia stanowczo pytania, czy uchylene praw procentowych wpłynęło dodatnio lub ujemnie na wysokość stopy procentu. W ogóle zdania co do tego są podzielone. Jedni twierdzą, że stopa procentu od czasu zniesienia ograniczeń procentowych obniżyła się, drudzy są przeciwnego zdania ¹⁾. I z urzędowych nawet wiadomości nie można dojść do stałego pod tym względem przekonania. Tak np. w Niemczech kiedy kwestya przywrócenia praw o lichwie została podniesioną, rząd zażądał od rozmaitych instytucji kredytowych wyjaśnienia co do tego, czy zniesienie ograniczeń procentowych wpłynęło na obniżenie stopy procentu. Z zapytanych instytucji 41 zaprzeczyło podniesienia się stopy procentu od chwili zaprowadzenia wolności procentu, niektóre sądziły nawet że stopa ta obniżyła się. Ośm instytucji było zdania, że procent w ogóle podniósł się, ale tylko dwie podwyżkę tę przypisywało bezpośrednio uchyleniu ograniczeń procentowych, inne zaś innym okolicznościom. Wątpliwą jednak jest rzeczą, czy przedstawiałby się taki sam rezultat, gdyby zapytywano także notariuszów lub inne osoby, mające styczność nie tylko z światem handlowym, ale z innymi potrzebującymi kredytu klasami społecznymi, rolnikami, rzemieślnikami, urzędnikami i t. p. ²⁾. Z drugiej strony komisya sprawiedliwości austriackiej Izby panów stanowczo była zdania, że od chwili zniesienia ograniczeń procentowych stopa procentu podniosła się do nieślachanej przedtém wysokości ³⁾.

Nie bierzemy na siebie rozstrzygnięcia stanowczego téj kwestyi. Pomimo to, nie możemy wstrzymać się od wypowiedzenia subiektywnego przekonania, nabytego na podstawie osobistych spostrzeżeń, zrobionych w naszym kraju. Podług tego sądzilibyśmy, że od czasu zniesienia ograniczeń procentowych u nas, stopa procentu nie zniżyła się, ale podwyższyła. A pochodziło to ztąd, iż kapitaliści w ogóle, zyskawszy możność wypożyczania na procent wyższy od 5%, korzystali z téj sposobności, czego zresztą nie można im brać za złe, gdyż nawet trzymając papiery publiczne mieli przed tэм więcéj jak 6%. Podwyższenie to procentu wszakże było bardziéj pozorne, aniżeli rzeczywiste. I poprzednio bowiem, przy istniejących ograniczeniach procentowych, ciż sami kapitaliści nie poprzestawali na prawnej stopie procentu, ale brali więcéj, 7%, 8%, 10% w miarę okoliczności. W aktach tylko była oznaczona prawna stopa procentu, wyższy zaś

¹⁾ Chorinsky, l. c. str. 92 powiada, że „nach genauon Erkundigungen, der Zinsfuss im Allgemeinen bedeutend höher geworden ist.“ — Eheberg l. c. str. 63 mówi: „Jedenfalls wird gegenwärtig Niemand behaupten, dass das Gold billiger der Zinsfuss niedriger geworden sei.“

²⁾ Lilienthal, l. c. str. 368.

³⁾ Derselbe (Zinsfuss) zu einer Höhe und zu einem Drucke, wie nie zuvor gestiegen ist. Eheberg l. c. str. 63.

procent był brany z góry, w skutek czego, w myśl prawa z 1818 r., nie ulegał zwrotowi.

Inaczej się ma z drugą kwestyą, to jest wpływem jaki zniesienia praw procentowych wywarło na lichwę. Pod tym względem zdania są jednoznaczne, że lichwa od chwili uchylecia tych praw rozpanoszyła się w sposób niesłychany ¹⁾. Na poparcie tego możnaby przytoczyć wiele faktów, z których jednak słabe tylko, przypuszczalne można utworzyć sobie pojęcie o spustoszeniach, wyrządzanych w społeczeństwie przez lichwę. Słabe pojęcie dla tego, że ze wszystkich wypadków lichwy tylko niektóre wyjątkowo dochodzą do wiadomości publicznej, reszta zaś, ogromna większość, pozostaje nie wykryta. Tém bardziej można to powiedzieć o krajach, w których kary za lichwę zostały zniesione, gdzie w skutek tego wypadki lichwy ujawniane bywają zupełnie przypadkowo, w razie np. dochodzenia sądowego z innego powodu np. oszustwa. Są jednak i pewne urzędowe dane, z których można wyciągnąć wnioski o rozmiarach tej klęski społecznej.

Chorinsky, który jeden z pierwszych zwrócił uwagę na to w Austrii, powiada, że jeżeli wypadki krzyczącej lichwy, o których rozwiły się pisma wiedeńskie, ujawnione z innego powodu i zakończone na ławie sądu przysięgłych, zaliczyć należy do wyjątków, w Wiedniu wypadki takie są ogólnym prawidłem w innych częściach monarchii. Chorinsky wszakże zdaje się zbyt różowo patrzeć na stosunki wiedeńskie, inny bowiem poważny autor Stein, powiada wprost, że w samym Wiedniu przeszło 1,000 rodzin utrzymuje się wyłącznie z lichwy ²⁾. Według Chorinsky'ego listy płacy urzędników np. w Galicyi, pomimo zakazów aresztowania pensyi, znajdowały się w rękach lichwiarzy, zabierających większą część pensyi na pokrycie swoich procentów; położenie zaś urzędników pod tym względem było jeszcze daleko lepsze od położenia małomiasteczkowego obywatela albo nieoświeconego włościanina. W całej wschodniej Galicyi systematyczne postępowanie lichwiarzy doprowadziło włościan do stanu, przechodzącego surowością dawniejszą pańszczyznianą zależność. Lichwiarz bowiem, obciążwszy osadę wiejską swoją wierzytelnością, wstrzymywał się z licytacją, pozostawiając tymczasowo grunt w posiadaniu włościanina, i zmuszając go do pracowania na

¹⁾ Lilienthal l. c. str. 370 wyraża się, że „nouordings der frechste Wucher unortrüglich breit zu machen beginnt.“ Eheberg l. c. str. 119 mówi: „Niemand wird nun leugnen dass notorisch ganze Gegenden unter schwerer Bewucherung zu leiden haben.“ K. O. v. Schwarze, Reichsgesetz betreffend den Wucher vom 24 mai 1880 — 1881, str. 11 powiada: „Die Ueberhandnahme des Wuchers, welcher zu einer Landescalamität sich entwickelt und einen allgemeinen Nothschrei erweckt hat.“

²⁾ L. v. Stein. Der Wucher und sein Recht. Wien. 1880, str. 63.

swoję korzyść w charakterze parobka ¹⁾). Włościanin żeby nie stracić dachu nad głową i nie pójść z rodziną z torbami, był zmuszony wyteżać wszystkie siły, pracować dla tego tylko, żeby opłacić z roku na rok procent lichwiarzowi, nie będąc nigdy w stanie zwrócić mu kapitału. Był on nawet pozbawiony możności zmienić swego pana, poddaństwo zaś jego było tém gorsze od średniowiecznego, że nowy jego pan miał względem niego tylko prawa, ale nie miał żadnych obowiązków. Procent był taki, że pożyczki zamożnych nawet włościan ze 100 guld. powiększały się zwykle do 300 w ciągu roku ²⁾).

Wiadomości podane przez Chorinskiego były potwierdzone i z innej strony. Prof. Pilat powiada „że proste uchylenie ograniczających postanowień prawa cywilnego i karnego przez ustawę z 14 czerwca 1868 r., przyniosło w istocie korzyść tej tylko części ludności, która umiała wyzyskać dla siebie zupełną swobodę umów. Natomiast najliczniejsze stosunkowo, niższe warstwy ludności, których umysłowy i gospodarczy poziom nie usposabiał ku temu, aby umiały należycie posługiwać się kredytem, skutkiem uchylenia owych ograniczeń, zostały jeszcze bardziej narażone na niebezpieczeństwo zawierania umów, których doniosłości nie mogły ocenić, a skutkiem tego na dostarczanie ofiar wyzyskiwaniu, które korzystając z zupełnej swobody umów, coraz jawniej i coraz szerszej rozpuszczało swe zagony“ ³⁾).

Statystyczne dane co do sprzedaży przez publiczną licytacją za długi nieruchomości w Galicyi, potwierdzają w zupełności powyższe twierdzenie.

W 1864 r. było tylko 164 sprzedaży sądowych, a w 1868 roku 271 ⁴⁾). Później jednak, po uchyleniu praw ograniczających lichwę, liczba sprzedaży za długi wzrastała w przerażających rozmiarach.

W 1873 r. było ich	614
„ 1874	1,026
„ 1873	1,326
„ 1876	1,433
„ 1877	2,139
„ 1878	2,450
„ 1879	3,164
„ 1880	3,240
„ 1881	3,083
„ 1882	2,474
„ 1883	2,288 ⁵⁾).

1) Chorinsky, l. c. str. 93. 2) Chorinsky, l. c. str. 95.

3) Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. d-ra Tadeusza Pilata. Rocznik VIII zes. III. Lwów 1884, str. 139.

4) Annuaire de législation étrangère VII année, str. 217.

5) Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych i t. d. str. 141.

Wartość wszystkich nieruchomości, wystawionych na sprzedaż w ciągu jedenastu lat, które przeważnie w skutek lichwy przeszły w obce ręce, wynosiła blisko 23 miliony złotych reńskich ¹⁾. Ze zaś klęska ta dotknęła najbardziej niższe klasy społeczeństwa, małopolskich włościan, można się przekonać z tego, że z ogólnej liczby nieruchomości, wystawionych na sprzedaż, największy procent przypadł właśnie, na drobne posiadłości. Biorąc za miarę sumę, od której zaczynała się licytacja, widzimy, że procent nieruchomości wystawionych na sprzedaż od najniższej sumy do 1000 złr., wahał się między 71,05% w 1874 r. i 79,59% w 1881 r. Procent nieruchomości, których licytacja zaczynała się od 1,000—5,000 złr., chwiały się między 17,89% w 1881 r. i 25,47% w 1874 r. Wreszcie procent nieruchomości większych, których licytacja zaczynała się od wyższej sumy, wahał się między 1,86% w 1877 r. i 3,78% w 1873 roku ²⁾. Znaczna część tych nieruchomości sprzedawaną była w poszukiwaniu bardzo małych wierzytelności. Tak np. na 2,923 wypadków licytacji w 1880 r. było sprzedawanych za długi:

	niziej 25 złr.	205	czyli 7 procent
od	26— 50	„ 327	„ 11 „
„	51— 100	„ 541	„ 19 „
„	101— 500	„ 1,471	„ 50 „
„	501—1000	„ 217	„ 7 „
	wyżej 1000	„ 162	„ 6 „ ³⁾ .

Były nawet licytacje nieruchomości w poszukiwaniu 5, 4, 3, 2 a nawet 1 złr. ⁴⁾. Według Gazety lwowskiej w razie nieprzedsięwzięcia żadnych środków przeciwko lichwie, drobna własność ziemska w przeciągu 13 lat przeszłaby w inne ręce ⁵⁾.

Ze wszystkich tych danych można, zdaje się, przyjść do przekonania, że wolność zupełna stopy procentu okazała się szczególnieź z gubną dla nieoświeconych, niższych klas społeczeństwa, nie będących w stanie i nie umiejących bronić się przeciwko wyzyskowi.

Inne dane urzędowe wykazywały, że zysk kapitalisty w Galicyi był 3, 4, 5, a nawet 10 razy większy od zysku rolnika i rzemieślnika. W niektórych powiatach najniższy procent wynosił 20%, zwykle zaś płacono 30 — 40%. Stopa procentu wzrosła do 50, 100, 500 a nawet 1,000% ⁶⁾. Przytaczano przykłady, że pierwotny dług 300 — 400 złr. wzrósł w ciągu dwóch lat do 15,000 — 20,000 złr., w skutek doliczania do niego procentów i kar umownych. Były wypadki że za 60 złr. pożyczonych 1 marca 1873 r., dłużnik wystawił weksel na 600 złr. płatny 1 sierpnia t. r. Za pożyczkę znów 80

¹⁾ Wiadomości statystyczne i t. d. str. 147. ²⁾ Tamże str. 148.

³⁾ Tamże str. 153. ⁴⁾ Tamże str. 155.

⁵⁾ Chorinsky l. c. str. 94.

⁶⁾ Dane to wyjęte są z raportu komisji parlamentu przy obradowaniu nad prawem z 1877 r. *Annuaire de législation étrangère*, VII an., str. 217.

złr. i porękawicze w ilości 20 złr., sprzedano 11 morgów ziemi z warunkiem odkupu w ciągu roku, ale za 900 złr. ¹⁾).

Podobne stosunki wytworzyły się i w innych prowincjach monarchii austryjackiej. Platter, na podstawie starannie zestawionych prywatnych i urzędowych wiadomości, nakreślił doskonały obraz stosunków kredytowych w Bukowinie, jakie się wyrobiły na skutek zniesienia ograniczeń procentowych 14 czerwca 1868 r. ²⁾). Jako typowy fakt tego rodzaju, przytacza on wypadek pewnego Wasila Skalata, który od pożyczki 100 złr. zastrzegł 45% oprócz kary umownej po 2 złr. za każdy dzień opóźnienia. Tym sposobem wygzekwował w końcu 2,095 złr.

Jeden z najbardziej charakterystycznych wypadków lichwy, przedstawiła sprawa karna wytoczona w 1881 r. przeciw lichwiarzowi Selingerowi w Wiedniu, która uchyliła trochę zasłony na środki jakich używa lichwa i wykazała następstwa do jakich może doprowadzić ³⁾). Lichwiarz ten za specjalny cel swoich operacji wziął wychowalców tamtejszej szkoły kadetów. Znaczna część jego ofiar, częścią przez swoją lekkomyślność i nieświadomość, głównie zaś przez jego podstępne i systematyczne machinacje, była doprowadzona do zwichnięcia kariery wojskowej, a nawet do samobójstwa, rodzice zaś ich byli przyprawieni o znakomite straty materialne. Tak np. jeden z tych młodych ludzi wszedł w stosunki pieniężne z Selingerem, pożyczając od niego drobne kwoty, a nawet biorąc towary, jak kawę, cukier i t. p. Ogółem wybrał od niego 500 złr., za co, pomimo że upłacił na rachunek 100 złr., był zmuszony wystawić zobowiązanie na 2,500 złr. od których liczył się 20%. Od 1871 r., kiedy ten młody człowiek został oficerem, Selinger pobierał na rachunek swjej wierzytelności trzecią część jego płacy, pomimo to dług wcale się nie zmniejszył. Słuchany w tej sprawie jako świadek, komendant korpusu kadetów wyjaśnił, jak oskarżony Selinger używał wszelkich podstępów, ażeby młodych ludzi przyprowadzić do ruiny, jak udzielał im małych pożyczek, które następnie prolongował, dopóki nie zostali oficerami. Wtedy dopiero zabierał im nieraz całą otrzymywaną pensją. Tytułem przykładu przytoczył fakt, że z pożyczki 45 złr., Selinger w krótkim czasie potrafił dojść do wierzytelności 6,000 złr. z procentem po 5% na miesiąc. Takie fakty zmusiły władzę wojskową do zapowiedzenia kadetom, że każdy, kto będzie zaciągał długi, będzie bez żadnego pobłażania wykluczony ze szkoły. Doprowadziło to do tego, że 39 młodych ludzi, w przeddzień prawie zostania oficerami, było wydalonych, i karjera

1) Chorinsky l. c. str. 102.

2) Platter. Der Wucher in der Bukowina, 1879.

3) Ebeberg. Die Wucher Frage. (Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft, 1884), str. 117.

ich wojskowa złamana. A nieszczęście to dotknęło nie tylko tych, którzy sami robili długi, ale i takich, którzy z koleżeństwa ręczyli za swoich towarzyszków, często najlepszych uczniów, gdyż Selinger nie przyjmował poręczenia złych. Inny świadek w tejże sprawie słuchany podał, że sam był zmuszony pogroźkami Selingera do wystawienia mu zobowiązania na 1,600 złr. za pierwotny dług 500 złr. a zobowiązanie to musiało poręczyć 17 kolegów.

Podobnie i w Węgrzech zniesienie kar za lichwę wywołało jak najgorsze następstwa. Na dowód tego możnaby przytoczyć, że już w dziewięć lat potem ministeryum węgierskie uważało za stosowne przedstawić parlamentowi projekt prawa przeciwko lichwie. W motywach do tego projektu powiedziano, że lichwiarze korzystając z trudnego położenia i nieświadomości ludu, wykonywali lichwę w najstraszliwszy sposób. Uchylenie praw o lichwie w 1868 r. miało to tylko następstwo, że przemysł lichwiarski był prowadzony zupełnie jawnie i publicznie. W hypotecę bardzo często zastrzegano 30--50 procent, a zastrzeżenie 200% wcale nie należało do rzadkości. Najsmutniejszym zaś objawem, zdaniem ministra sprawiedliwości, było to, że lichwa, tak jak jakaś choroba zaraźliwa, udzielała się tym klasom społecznym, które dotychczas wcale się nią nie zajmowały, że wskutek tego nastąpił ogólny upadek pojęć moralnych, tak że w społeczeństwie zaczęło wyrabiać się przekonanie, że czyny, nie prześladowane przez prawo karne, mogą być usprawiedliwione i ze stanowiska moralności ¹⁾.

Nie lepiej było i w innych krajach monarchii. Chorinsky przytacza całe okręgi Morawii zubożone przez lichwę. Przytacza też naprzykład lichwy w Morawii, tak zwane pożyczki na raty (Ratenbriefe), według których w zobowiązaniu samem był obliczony procent za kilka lat z góry, jeżeli zaś dłużnik uchybił, choćby pierwszego terminu, lichwiarz ogzekwował kapitał z tak obrachowanym procentem, i z procentem od całej tej sumy ²⁾. Z tego też powodu i w innych krajach monarchii sejmy prowincjonalne domagały się jednomyślnie przywrócenia praw przeciwko lichwie.

Nie ulega wątpliwości, że podobne stosunki wyrobiły się i w Niemczech, pod wpływem zniesienia ograniczeń procentowych. Co do tego nie ma różnicy w zapatrywaniach. Tak np. Eheberg stwierdza, że lichwa szczególniej stała się niebezpieczną dla drobnych właścicieli ziemskich i dla drobnych rzemieślników. Z tego powodu sprzedaż z publicznej licytacji takich własności znakomicie wzrosła we wszystkich krajach niemieckich ³⁾. Zarządzone przez bawarskie ministeryum spraw wewnętrznych śledztwo, wykryło, że w Bawaryi istnieją całe stowarzyszenia lichwiarzy, które w więk-

¹⁾ Chorinsky, l. c. str. 125. ²⁾ Tamże str. 100.

³⁾ Eheberg, l. c. IV Jahrg. 1880, str. 63.

szych miastach np. Norymberdze, obierają sobie główne siedlisko, i ztamtąd rozciągają swe operacye na całą okolicę. Członkowie takiego stowarzyszenia, stosując do siebie zasadę podziału pracy, dzielą między sobą różne miejscowości, w których operują. Następnie zaś, skoro swemi machinacyami doprowadzili dłużnika do ruiny i publicznej sprzedaży, na skutek znowy wstrzymują się od licytacyi, dopóki szacunek nie będzie niżony. Wtedy dopiero nabywają majątek za bezcen, dowodząc przez to, że zasada wolnej konkurencyi nie wszędzie znajduje bezwzględne zastosowanie. Na skutek tego, minister spraw wewnętrznych był zdania, że z powodn przyjęcia przez lichwę niebywałych rozmiarów, państwo w własnym swoim interesie zmuszone jest przedsięwziąć przeciwko niej pewne środki, gdyż wskutek niej cierpią całe klasy ludności, a to znów wpływa na zdolność jej w opłacaniu podatków ¹⁾. Klasa drobnych rzemieślników cierpi w skutek lichwy, bo rzemieślnicy ci zmuszeni są za gotówkę kupować surowy materyał, potrzebny do ich przemysłu, następnie zaś nieraz długo muszą czekać na spieniężenie wyrobionych produktów. Klasa urzędników często w skutek lichwy doprowadzona jest do ruiny majątkowej i moralnej, która w przystępie rozpaczy prowadzi nieraz do samobójstwa ²⁾. Fakty te zdaniem Eheberga, są niezbite ³⁾, są zaś stanowczą klęską nie tylko dla pojedynczego człowieka, ale dla całego społeczeństwa. Prowadzą one do rozkładu stanu średniego, tak ważnego dla państwa i społeczeństwa i do zupełnego zniszczenia go. Następstwem tego może być tylko powiększenie się proletaryatu, coraz bardziej niestosowny podział majątków, coraz większa przewaga i potęga kapitału, i coraz silniejsze rozgoryczenie klas uboższych ⁴⁾. Tenże autor, rozbiegając wypadki lichwy, dochodzonej sądownie na mocy prawa z 1880 r., przytacza fakt, w którym lichwiarz, zaczynając swój proceder z kapitałem 20,000 marek, w krótkim czasie powiększył go 30 razy ⁵⁾. W innym wypadku dług zaciągnięty w 1877 r. w ilości 6,000 marek, doszedł w 1880 r., na skutek najgorszego rodzaju machinacyi, do 27,879 marek ⁶⁾. W sprawach, wytoczonych przed sąd, okazało się, iż lichwiarze niejednokrotnie skłaniali swoje ofiary do krzywoprzyśięstwa i innych przestępstw.

Do takich samych wniosków, co do rozpanoszenia się lichwy w Niemczech, w skutek zniesienia ograniczeń procentowych, dochodzi Lilienthal. Lilienthal, powołując się na Plattera co do rozszerzenia się lichwy na Bukowinie, powiada wprawdzie że to, co autor

¹⁾ Eheberg, l. c. str. 66.

²⁾ Zgnębny wpływ lichwy na upadek materyalny tych klas społecznych przyznaje także Ortman. Zur Wucherfrage (Archiv für Gemeines Deutsches und für Preussisches Strafrecht von Goldammer, XXVII B.), 1871, str. 410. Stein l. c., str. 167, klasyfikuje lichwę stosownie do klas społecznych, wśród których operuje

³⁾ Eheberg l. c. str. 66. ⁴⁾ Tamże, str. 67. ⁵⁾ Tamże l. c. VIII Jahrgang, III Heft., 1884, str. 115. ⁶⁾ Tamże str. 120.

ten mówi o tamtejszych stosunkach, nie da się bezwarunkowo zastoso-
wować do Niemiec z powodu, że w tym ostatnim kraju nie ma tak
upadłej szlachty, ani tak nieoświeconych włościan. W gruncie rze-
czy jednak, rezultaty są te same. I tu bowiem i tam postępowanie
lichwiarzy jest jednakowe, tak jak i cel, do którego dążą, jest wszę-
dzie ten sam—to jest otrzymanie z małej sumy w jakikolwiek spo-
sób jak największego zysku ¹⁾).

Na poparcie tego twierdzenia, Lilienthal przytacza rozmaite
fakty. Tak np. w Berlinie jeden lichwiarz, który operował niższych
urzędników i nauczycieli, jednemu z nich pożyczył 45 marek za pro-
centem 6 marek na 4 tygodnie i karą umowną 20 marek za każdy
dzień opóźnienia. Wskutek tego po 10 tygodniach pretensya jego
wzrosła do 891 marek. W okręgu wrześnińskim (w Poznańskim) by-
ło wiele wypadków pożyczania na weksel 150 marek, od których za-
strzegano 5 marek dziennie za opóźnienie, co stanowi 1150%. Na
dowód ogromnego rozgałęzienia się lichwy przytacza, że przed wy-
daniem prawa o lichwie w najpoczytniejszych dziennikach berliń-
skich, jak np. Kladderadatsch; często były pomieszczane ogłoszenia,
w których na rozszerzenie interesu pożyczania na zastaw, żądano od
1000—5000 talarów, dając za to po 80 talarów od 1000 miesięcznie.
Jakież więc procenty musiał brać lichwiarz, kiedy sam płacił 96%
od pieniędzy, które obracał? W innych ogłoszeniach, pomiesz-
czanych w Intelligenzblatt, i w anonsach ulicznych, były wskazane
adresy osób, pożyczających na procent, od 5—10 fenigów od marki
na miesiąc, czyli od 60—120% rocznie. Były wypadki w których
wprost zastrzeżono 1,200% ²⁾ Skoro zaś deputowany v. Kleist Re-
tzow wyrzucił stowarzyszeniu berlińskich pożyczających na zastaw
(Rückkaufshändler), liczącemu przeszło 1000 członków, że zajmu-
je się lichwą, pobierając zwykle 200%, stowarzyszenie to przysłało
do niego deputacyą, która w obronie swęj przyznała, że członkowie
jego przecięciowo biorą tylko od 60—80%, a przy mniejszych su-
mach 100% ³⁾.

Schmoller przytacza interesujące szczegóły co do przemysłu
tak zwanych „Rückkaufshändler“ ⁴⁾, który rozwinął się w ostatnich

¹⁾ Lilienthal, l. c. str. 370. Einzelne Zahlen (z pracy Plattora) passen
ausserdem auf Deutschland noch keineswege. Ein so unwissender Bauernstand, ein
so verkommenor Adel, eine solche Anzahl von Geschäftsleuten, deren einzige Thä-
tigkeit der Wucher ist, fehlt bei uns glücklicher Weise. Was dort die Regel, ist
bei uns die Ausnahme—aber das Verfahren des Wucherers ist hier nicht wesent-
lich anders wie dort. Es muss dasselbe sein, denn die Interessen sind identische.
Es gilt für eine kleine Summe, möglichst grosse Vortheile zu erzielen. Ob dieser
Zweck etwas schneller oder langsamer erreicht wird, ob das ursprünglich herge-
gebene Capital ein wenig grösser oder kleiner sein musste, darauf kommt nicht an.
Uebrigens steht auch die Höhe wucherlicher Forderungen in Deutschland den in der
Bukowina üblichen mitunter kaum nach.

²⁾ Lilienthal, l. c. str. 371. ³⁾ Tamże, str. 372. ⁴⁾ Schmoller, l. c. 112

czasach w Niemczech, na skutek zniesienia właśnie ograniczeń procentowych. Według niego wielka różnica istnieje między lombardami (Leihhäuser) i pożyczającym i na zastaw (Pfandleiher) a Rückkaufshändler, pomimo to, że publiczność bierze je zwykle za jedno. Pierwsze bowiem instytucje wypożyczają na zastaw, biorąc od pożyczki procent. drudzy zaś, od chcących w gruncie rzeczy pożyczki, kupują przedmiot, przyniesiony na zastaw, z prawem odkupu w krótkim terminie, ma się rozumieć za wyższą cenę. Zwykle od każdego talara wartości rzeczy sprzedanej liczy się 5 sr. gr. wynagrodzenia za miesiąc przy odkupie, czyli 200% na rok. W ten sposób jeżeli ktoś prolonguje sześć razy taką pożyczkę, już po upływie sześciu miesięcy zmuszony jest przy wykupie zapłacić drugi raz cenę sprzedażną. Jeżeli się zaś wspomni, że taka operacja odbywa się bez żadnej taksy, na podstawie dowolnego oszacowania kredytującego, że pożyczający pozbawiony jest jakiegokolwiek gwarancyi przeciwko udzielającemu jej, nie można niezgodzić się ze zdaniem Schmollera, że cała ta operacja ma na celu tylko lichwiarski zysk spekulanta. A takich spekulantów liczą w Niemczech na tysiące; już bowiem w 1861 r. w obrębie związku celnego było 14,962 zakładów do pożyczania na zastaw ¹⁾, z których, po wyłączeniu pewnej liczby lombardów i instytucji lub osób, rzeczywiście pożyczających na zastaw, reszta należała do kategorii „Rückkaufshändler.“

Z innych krajów europejskich, w których ograniczenia procentowe zniesiono, nie mamy dokładniejszych wiadomości o skutkach, ztąd wynikłych. Nie brak wszakże pewnych wskazówek, że i tam nie jest lepiej, że i tam lichwa, korzystając z nadanej jej zupełnej wolności, rozgałęziła się niepomiernie. Tak np. we Włoszech, jakkolwiek kwestya praw o lichwie nie przysłała jeszcze na porządek dzienny, i w opinii publicznej i w nauce odzywają się głosy, domagające się ustanowienia odpowiednich przepisów przeciwko lichwie, która rozpanoszyła się przedewszystkiém po wsiach, w niektórych prowincjach. Tak np. w Bari, Bazilikacie, Abruzzach, Kalabryi, Benewencie, procent dochodzi do 40%. W Weneckim od pożyczek nawet zabezpieczonych hipotecznie, płaci się od 12 — 20%. Wieśniacy, pożyczający zboże w naturze na zasiew, płacą 37,5%. We Włoszech, według Vidari, lichwa, opierając się na przepisach prawa cywilnego, rozpowszechniła się bardzo pod formą sprzedaży z prawem odkupu ²⁾.

A u nas czy jest lepiej jak w Austrii albo w Niemczech? Czy u nas wcale lichwy nie ma? Wprawdzie nie interesujemy się tak bardzo tém, co sprowadza ruinę tysięcy, nie tylko majątkową ale i moralną. Pomimo to, od czasu do czasu umieszczam wzmianki w dziennikach, przypominają, że tak dobrze nie jest. Tak np. jed-

¹⁾ Schmoller, l. c. str. 115.

²⁾ Vidari. Di alcune nuove leggi contro l'usura (Ferrari Annuario delle scienze iuridiche, sociali e politiche, Milano, 1881) str. 1.

no z pism warszawskich donosi o wypadku, że dług pewnego nieopatrzego młodzieńca z 6,000 rs. w ciągu dwóch lat wyrósł do poważnej sumy 63,000 rs. ¹⁾ Praktyka sądowa także przypadkowo uchyli czasem zasłonę ze świata lichwiarzy, przedstawiając zdziwionym oczom fakty, w któreby się nie chciało wierzyć, gdyby nie były aż nadto niestety, prawdziwemi, gdyby nie były sądownie stwierdzone, a fakty te wykazują do jakiego stopnia rozpanoszyła się u nas lichwa.

Jednym z takich faktów, charakteryzujących doskonale stosunki te u nas, była sprawa Jankla Tenenwurcla, prowadzona w sądzie okręgowym lubelskim, a następnie w izbie sądowej warszawskiej, na którą w skutek tego należy zwrócić uwagę ²⁾.

W sprawie tej śledztwo sądowe wykryło, że Tenenwurcel, zacywszy z kapitałem 1,000 rub., wziętym w posagu za żoną, doszedł w krótkim przeciągu czasu, za pomocą rozmaitych lichwiarskich operacyi, do znakomitego majątku. Z rachunków jego było widać, że 1 lutego 1882 r. majątek jego stanowił już („na szczęście,” jak się wyrażał przy każdym swoim rachunku) 166,000 rubli, 30 stycznia 1883 r. 199,000 rub.; 1 lutego 1884 r. 220,000 rub., a 1 lutego 1885 r. 242,400 rub. Ze śledztwa też okazało się, że Tenenwurcel nie brał nigdy mniej jak 24%, zwykłym zaś jego procentem było 30, 36, 48, a nawet 72 (od pana M.) i 100% (od pani Chudzińskiej). Przy tem procent liczył się nie tylko od kapitału, ale i od procentu. Rzadko też która z ofiar Tenenwurcla, dostawszy się w jego ręce, a byli to po większej części więksi właściciele ziemscy gubernii lubelskiej, wychodziła z nich cała. Większość kończyła na zupełnej majątkowej ruinie. Z wypadków podobnych, wykazanych przez śledztwo sądowe, można przytoczyć p. Bobrowskiego, właściciela dóbr Piaski Wielkie, który w 1881 r. pożyczył od Tenenwurcla 22,500 rub. Dług ten 1 lutego 1882 r. wzrósł do 28,000 rub., 30 stycznia 1883 r. do 37,600 rub., 1 lutego 1884 r. do 53,740 rub. a 1 lutego 1885 r. do 58,000 rub. Skończyło się zaś na tém, że Tenenwurcel w poszukiwaniu tej wierzytelności przystąpił do sprzedaży za długi majątku p. Bobrowskiego, wartującego około 250,000 rub. i sam go nabył na licytacyi. Jeden z obywateli, pożyczwszy od Tenenwurcla 6,000 rub., zdołał ująć ruiny, płacąc mu po pięciu latach 30,000 rub. Tenenwurcel, nie poprzestając na zastrzeżeniu w akcie pożyczki wysokich procentów, brał zwykle od obywateli dla pokrycia swoich operacyi symulacyjne kontrakty na kupno zboża, na podstawie których dochodził sądownie szkód i straconych korzyści, jak tylko dług nie został zapłacony w terminie. Tak np. od obywateli Kondrackich, którym pożyczył 6,000 rub., odebrał po ro-

¹⁾ Kurjer Warszawski, 1889 nr. 14.

²⁾ Sprawa ta była gruntownie, tak ze stanowiska faktycznego jak i prawnego rozelbrana przez Tiutriumowa, w rosyjskiem piśmie prawném. Juridiczeskij Wiestnik, 1889 g., mart, str. 467.

ku takim sposobem w zbożu i pieniądzech 10,000 rub. Od p. Grabowskiego, któremu pożyczył 2,400 na 54%, odebrał przeszło 6,000 rub. Wszystko to jednak wykryło się nie z powodu oskarżenia Tenenwurcla o lichwę, gdyż o to w obec zniesionych ograniczeń procentowych nie można było pociągnąć go do odpowiedzialności, ale z powodu, że tenże obciął na zobowiązaniach wydanych przez obywateli Sierakowskiego i Bielskiego dopiski, zabezpieczające ich interesy, i skorzystawszy z tego, wygzekwował od nich daleko więcej, jak mu się należało.

Godną zastanowienia przy tém okolicznością, była różnica w zapatrywaniach na tę sprawę ze stanowiska prawnego. I tak śledztwo widziało w tém czyn, przewidziany w ust. 2 art. 1622, t. j. uszkodzenie cudzych dokumentów w celu osiągnięcia ztąd nieprawego zysku. W akcie oskarżenia Izba sądowa znalazła cechy oszustwa, podchodzącego pod art. 1666. W czasie rozpraw prokurator żądał zastosowania art. 1692 za fałsz w aktach sporządzonych prywatnie. Sąd okręgowy wreszcie zastosował ust. 2 art. 1622. Pogląd ten podzieliła i Izba sądowa w wyroku zapadłym na skutek apelacji Tenenwurcla. W tymże samym sądzie okręgowym była sądzona 8 list. 1888 r., sprawa włościanina Stanisława Wójcika, oskarżonego o zabójstwo lichwiarza Niedermana, z którym w ten sposób załatwił rachunki, będąc przez niego przyprowadzony do ostateczności¹⁾.

A czy sprawy podobne są jedyne w swoim rodzaju albo rzadkie? Sądzimy, że każdy, mający jakiegokolwiek doświadczenie życiowe, mógłby z własnego otoczenia przytoczyć daleko więcej podobnych wypadków, sądzimy, że z każdego sądu możnaby dostarczyć daleko więcej faktów, stwierdzających straszne rozgałęzienie się lichwy u nas. Sądzimy nawet, że nierachującą się z niczém lichwę, znajdującą podatne pole w nieogłędności ludzkiej, uważać należy za jedną z najważniejszych przyczyn podupadania u nas większej własności ziemskiej, może jeszcze zgubniej działającą od osławionego życia nad stan.

Wszystko to winnoby nas doprowadzić do wniosku, że drugi cel, do jakiego dążyli ekonomiści w domaganiu się uchylenia praw procentowych, nie został osiągnięty. Lichwa nie tylko że istnieje obecnie, jak istniała przedtém, ale przybrała jeszcze straszniejsze, jeszcze groźniejsze rozmiary. Jeżeli bowiem poprzednio pod obawą kary działała w ukryciu, wyszukiwała środków i pozorów do uwolnienia się od odpowiedzialności, po zniesieniu ograniczeń procentowych zaczęła działać zupełnie jawnie, z najstraszniejszą bezwzględnością. Fakt ten dowodzi, że prawo o zapotrzebowaniu i zaofiowaniu, po którym ekonomiści spodziewali się tyle dobrego, i zniżenia w skutek swobodnej konkurencji stopy procentu, i zniknięcia lichwy, nie jest tak bezwarunkowo prawdziwem, jak o niem dawniej sądzono. Dość było kilkoletniego zaledwie doświadczenia, ażeby

³⁾ Tiutriumow. Iz roztowszcziczeskago mira, str. 480.

się przekonać, że prawo to może znaleźć zastosowanie tylko przy nadzwyczaj wysoko rozwiniętych stosunkach ekonomicznych, na giełdzie, ale nie stosuje się do tysięcy wypadków codziennego życia, zwłaszcza tam, gdzie stosunki ekonomiczne nie rozwinęły się jeszcze należycie. A fakt ten można zauważyć nie tylko w krajach niżej stojących pod względem ekonomicznym w ogóle, ale i w krajach bogatych, obfitujących w kapitały, żądające produkcyjnego pomieszczenia, wśród klas społecznych, które nie doszły jeszcze należytej samodzielności, ani pod względem moralnym, ani materyalnym. W klasach tych pożyczki zaciągane bywają często w ostatniej potrzebie, nieraz na cele nieprodukcyjne, prawie zawsze pod uciążliwymi warunkami. Pożyczającym brak nawet zupełnej świadomości o tém, jakie zobowiązania zaciągają i na jakie niebezpieczeństwo narażają się. Pochodzi to ztąd, że lichwiarze, jakkolwiek mogą działać z wszelką swobodą w obec prawa, czując mimowolnie całą wstrętność swego rzemiosła, starają się ukryć przed ich oczyma doniosłość następstw pożyczki. Dla tego też prawie zawsze ukrywają lichwę pod niewinnemi formami, udzielając np. pożyczki na krótki tylko termin, na tydzień, miesiąc, i licząc od niej niewielki napozór procent, zastrzegając wysoką karę umowną tylko na wypadek opóźnienia, o którym wiedzą, że musi nastąpić i t. p. Wskutek też tego we wszystkich pożyczkach, zaciągniętych przez ludzi należących do tych klas społecznych, albo w krajach, pozostających na niższym stopniu rozwoju, wysokość procentu nie zależy wyłącznie od wolnej konkurencyi, od stosunku między zapotrzebowaniem i zaofiarowaniem ¹⁾, ale od dotkliwosci potrzeby pożyczającego z jednéj i większój lub mniejszój chciwosci zysku kapitalisty, z drugiejj strony ¹⁾.

Zniesienie więc wszelkich ograniczeń procentowych obróciło się na korzyść tylko jednéj strony—lichwiarzy. Oni też tylko są najbardziej zainteresowani w tém, aby stan taki utrzymał się i nadal. Przeciwnie, inne klasy społeczne, które przez to zostały pokrzywdzone, nie mają w tém żadnego interesu. Dla nich byłoby pożądaném przedsięwzięcie środków, będących w stanie ograniczyć wolność lichwy, zabezpieczyć społeczeństwo od niebezpieczeństwa, grożącego mu od niczém nieskrępowanego wyzysku i zdzierstwa lichwiarzy. Patrząc na to, mimowoli nasuwają się na myśl słowa Iheringa: „Nieograniczona wolność operacyi kredytowych jest patentem na wyzysk, upoważnieniem dla rozbójników i piratów, nadającym im prawo do ograbiania bez przeszkody każdego, kto dostał się w ich ręce. Nieszczęsne ofiary. Jeżeli wilki krzyczą o taką wolność, łatwo zrozumieć; jeżeli jednak wtórują im owce, jest to tylko dowodem, że są prawdziwemi owcami“ ²⁾. (dok. n.)

¹⁾ Pod tym względem porównaj artykuł d'Aulnis de Bourouill: Der Zinsfuß. Die Ursachen seines Sinkens und seine nächste Zukunft (Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik von Conrad XVIII Band. 1889) str. 377.

²⁾ Ekeberg, l. c. str. 68.

³⁾ R. v. Ihering. Der Zweck im Recht, I Band. 1877, str. 146.

KALENDARZE W POLSCE WIEKU XVIII.

(Przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wieku XVIII).

PRZEZ

Władysława Smoleńskiego.

W pierwszej połowie wieku XVIII wyłącznie prawie produkował kalendarze Kraków i Zamość. Układali je „w przesławnej akademii“ nauk wyzwolonych i filozofii, niekiedy medycyny doktorowie, matematyki lub botaniki profesorowie, „astrophile“ lub, „jastrologiści“ w Zamościu Ormiński i Niewieski, od r. 1725 Duńczewski, w Krakowie Jan Józef Przypkowski, Ignacy Paweł Michałowski, Antoni Mikołaj Krzanowski, Józef Grzegorz Więczkiewicz i t. p. Sam tytuł: „Kalendarz, w którym święta roczne y biegi niebieskie, aspekty, wybory z czasem siania, szczepienia, krwie puszczania, lekarstw zażywania, wschód i zachód słońca... należytym porządkiem położone i opisane,“ albo: „Kalendarz polski i ruski, w którym.. etc. dostatecznie informuje o treści. Oprócz informacji, zapowiadanych w tytule, wykazywał kalendarz dnie feralne i lata klimakteryczne, rozvodził się nad wpływem planet na zdrowie i życie człowieka, z zaćmień i komet o odległej wróżył przyszłości. Najprzedniejsze punkta kalendarza: cyclus solaris, aureus numerus, epakta, indykcyja rzymska, litera niedzielna, litera martyrologii—wymagały istotnie pewnej wiedzy astronomicznej; autorowie jednak główną wagę przywiązywali do prognostyków, którym obszernie, zwłaszcza z okazji mającego przypaść zaćmienia, ukazania się komety, lub innego w świecie planet zjawiska, poświęcali rozprawy. Przypkowski dał na rok 1731 „Konjekturę astrologiczną uniwersalną, i „Konjekturę astrologiczną partykularną o codziennój powietrza odnianie.“ Michałowski skomponował „P r a e l u d i u m albo progno-

styk influencyi niebieskich na horyzont Polski i prowincye jęj przyległe ściągający się w r. p. 1734.“ Inni drukowali „prognostyki roczne,“ różne „konjektury“ i „praktyki.“ Taki sam miały charakter kalendarze, układane przez profesorów filii akademickich: lwowskiej, poznańskiej i bialskiej, wydawane we Lwowie, Poznaniu i Supraślu. Kolonii akademickiej bialskiej dyrektor i astrolog Sałtszewicz umieścił w *Kalendarzu polskim y ruskim* „Wici z pospolitego niebieskich planet na r. p. 1735 ruszenia uchwalone;“ filozofii doktor, w akademii poznańskiej matematyki profesor, Józef Chojnacki dał na rok 1736 „Uniwersalną konjekturę astrologiczną“ z takimi samymi cechami, jak „praktyki“ kolegów krakowskich. Kalendarze, wydawane przez różne zgromadzenia zakonne w Wilnie, Częstochowie, Toruniu, Lwowie, Poznaniu podobnie, jak akademickie, poświęcone były wieszczbiarstwu. Nauk wyzwolonych doktor, Jan Adam Kulmiesz, w wytłoczonym u jezuitów wileńskich „Kalendarzu świąt rocznych, biegów niebieskich, z wyborem czasów, z aspektami... służącym na horyzont wileński, a oraz litewski, żmudzki, ruski, kurlandzki, inflancki na r. p. 1730“ w „Prognostyku generalnym astronomicznym“ najróżnorodniejsze przepowiadał zdarzenia. Dopiero około roku 1740 ukazują się kalendarze „polityczne,“ które poczynają z tradycjami astrologicznymi zrywać, występują nawet przeciwko przesądom zaczepnie.

Pierwszy *Kalendarz polityczny* wydał w Wilnie na rok 1737 jezuita, Jan Poszakowski. Pomieścił w nim „rewolucye roczne, lunacye, zaćmienia słońca i księżyca, koncylia powszechne, herezye, zakony, s e r i e m królów polskich, dzień narodzenia panów i inne rzeczy ciekawe, do politycznych rozmów służące,“ lecz astrologii i prognostykiarstwa zaniechał. Prawdopodobnie ulegając wymogom powszechności, wydrukował w „Kalendarzu politycznym y historycznym na r. p. 1738“ obok chronologii zdarzeń ważniejszych, odkrycia Ameryki, bitwy grunwaldzkiej, założenia akademii królewieckiej i t. p. „Prognostyk niechybny o sukcesach rocznych“ i „Prognostyk o odmianie powietrza,“ w następnych jednak rocznikach nie uwzględnił znowu wieszczbiarstwa, a dał przewagę historii. W „Kalendarzu historycznym y politycznym“ na rok 1739 rozpoczął Poszakowski dzieje powszechne: zaznaczył, że świat stworzony został „in aequinoctio autumnali in Octobri“ i dociągnął wykład do czasów rzymskich. Na rok 1740 wydał „Kalendarz jezuicki większy“ i „Kalendarz mniejszy jezuicki prowincyi litewskiej“ oba z okazji dwustu lat od założenia zakonu. Poświęcił je wyłącznie sprawom jezuitów: wymienił świętych z tego zakonu, kardynałów, generałów, przełożonych prowincyi, rektorów kollegiów i t. p. Z prognostykiarstwem zerwał zupełnie.

„Zwyczajnie tę naturę kalendarzom dały,

By co nowego komu prognostykowały.

W dnie feralne nie wierzy: „dobre, powiada, być mienia

dni lunarne: 6, 11, 12^a i t. p. Zapowiada zaćmienie księżyca na 13 stycznia „per oppositionem terrae“ i nie wywodzi z niego wróżb żadnych. Ciężej przychodziło Poszakowskiemu zrywać z panegiryzmem, niż z prognostykarstwem. W „Kalendarzu mniejszym“ wyliczył osmnastu przodków Hieronima Floryana Radziwiłła, dwunastu żony jego Sapieżanki, — jednych zaś i drugich wywiódł od towarzyszyw Palemona. Piętnastu znowu wymienił przodków wojewodziny trockiej, Franciszki Radziwiłłowej w „Kalendarzu prześwietnych dam na r. p. 1741“, w którym oznacza wielkość planet według Tycho Brahe i atakuje przesąd, jakoby rok klimakteryczny wiódł za sobą nieszczęścia. „Mnie się zda, powiada Poszakowski, że ta obserwacya pochodzi z superstyciey pogańskiéy, którzy uważali imparem numerum albo nierówną liczbę; ani godna jest uwagi dobrego chrześcijanina, który powinien zgadzać się zwolą Pana Najwyższego, w którego rękę są losy życia naszego.“ W kwestyi procesu stworzenia świata trzyma się podań biblijnych, w obrót ziemi nie wierzy. „Słońce ubiega co minuta mil 4320.“ Od roku 1742 drukuje Poszakowski w Warszawie. „Kalendarz rzymski historyczny na r. p. 1742“ zawiera artykuł o poprawie kalendarza przez Grzegorza XIII, wiadomości o wynalazkach: prochu, druku, nut muzycznych i t. p. i kontynuuje rozpoczętą w r. 1739, przerwana w latach następnych historią. „Kalendarz rzymski na r. p. 1743“ opowiada w dalszym ciągu historią rzymską i podaje „Bezpieczny sposób pływania“ — pomysłu dyrektora generalnego fabryk kanclerzyny Radziwiłłowej, Jana Fryderyka Bacchstrona. „Kalendarz rzymski III na r. p. 1743“ ma obok zwykłych informacyi „Komput starodawnych domów albo famulii szlachty rzymskiéy stante republica przez alphabet ułożony;“ „Kolenda papieska na r. p. 1745“ podała życiorysy papieżów. Tyłoczona w Wilnie w latach 1746—1749 „Kolenda cesarska“ unikała również astrologii, a poświęcała uwagę historii.

Śladem Poszakowskiego poszli jezuita poznańscy, lubelscy i kalisy, chociaż nie wszyscy w reformie kalendarza dorównali mistrzowi.

W rok po wileńskim zaczął wychodzić „Kalendarz polityczny“ poznański, na rok 1740 p. t. „Calendarium politicum... ex gallico latine redditum.“ Rocznik 1739 ma wielkość planet według Tycho Brahe i „Dyssertacyę o chronologii;“ inne obok zwykłych informacyi—spisy monarchów, kardynałów i biskupów, bez astrologii i prognostyków.

Od roku 1741 wychodzi „Kalendarz historyczno-polityczny“ jezuitów lubelskich, pod zmienionym od 1743 tytułem „Kalendarz polityczny.“ Nie uprawiał astrologii, lecz hołdował z początku przesądowi. Na rok 1743 podał „Tablicę pożyteczną, wyjętą z kalendarza węgierskiego Soc. Jezu, w której czas sposobny do phlebotomii t. j. krwi z żył puszczania wyraża się na każdy dzień;“ pomiędzy „ewentami“ od 1741 do 1742 zamieścił wiadomość, jako w Manhejmie ży-

dowi róg wyrósł z oka... Wspomniany rocznik ogłosił także nienapotykaną w innych kalendarzach osobliwość: modlitwę do patrona lub patronki przy wykazie świętych z każdego miesiąca. Nie brak w kalendarzu lubelskim, obok zwykłych informacji „Instrukcyi o księgach drukowanych w r. 1745 i 1746, w drukarni lubelskiej znajdujących się“ (1747), oraz artykułów takich, jak: „Geografia królestwa polskiego z przydatkiem niektórych historycznych wiadomości“ (1746 1747), historia biskupstwa krakowskiego (1743) i t. p. Egzystencyę swoją ciągnął do r. 1760.

W Kaliszu jezuita Bystrzonowski ogłosił Honor Najswiętszéy Maryi historycznie wyrażony... przy tym kalendarz osobliwy na r. p. 1741. Oznacza zaćmienia, podaje wielkość planet według Tychona Brahe i „Dyssertacyę o ziemskim okręgu,“ lecz nie uznaje krążenia globu i wierzy we wpływ planet na zdrowie. Wię jakie i w którym dniu po nowiu przypadają choroby i ogłasza ową „Tablicę pożyteczną,“ przedrukowaną w „Kalendarzu politycznym“ lubelskim na rok 1743. Wydawany przez jezuitów kaliskich od r. 1742 do 1746 „Kalendarz polityczny“ z przesądami nie zrywał. Na rok 1746 podał „Opisanie geograficzne Europy przez pytania rozłożone, zebrane z książki, łacińskim językiem wydanej p. t. Rudimenta geographica,“ obok tego przecież pomieścił tablicę, oznaczającą czas puszczenia krwi, zażywania lekarstw, brania łaźni i t. p.

Poszakowski pierwszy zerwał z astrologią i prognostykarstwem, pierwszy miał odwagę podać w kalendarzu w wątpliwość wpływ dni lunarnych i roku klimakterycznego na losy człowieka i przykładem swoim pociągnął innych. Jest niezaprzeczenie reformatorem kalendarza; że jednak zapatrywaniom swoim na proces stworzenia i budowę świata daje podkład biblijny; że przeciwko dniom feralnym i latom klimakterycznym występuje nie ze stanowiska umiejętnego, lecz z punktu widzenia religijnego,—na wysokości nauki, podobnie jak naśladowcy jego w Poznaniu, Lublinie i Kaliszu, nie stoi. Jemu zasługę inicjatywy, udoskonalenie zaś kalendarza przyznać należy pijarowi warszawskiemu, Antoniemu Wiśniewskiemu i jezuitcie wileńskiemu, Franciszkowi Paprockiemu.

Wiśniewski wydawał od roku 1752 „Kolędę warszawską,“ kontynuowaną po śmierci jego, zaszłej w 1774, a przeobrażoną w r. 1788 na „Kalendarzyk polityczny.“ Pierwszy rocznik *K o l ę d y* podał „Informacyę o sejmach polskich“ i wiadomość o księstwie kurlandzkim; drugi „Osobliwości w Polsce, które się w innych krajach nie znajdują,“ — wskazywał na źródła nafty na Pokuciu i w województwie krakowskim. „Na Pokuciu, pod Ropenką i Rungunami są jeziora, po których tłustość klejowatą w beczki zbierają, która do światła i skór miękczenia służy. Także pod Drohobyczą doły kopią, w których, nalanych wodą, tłustość spływa, do smarowania wozów zgodna. Niedaleko stamtąd pod Głowienką i Turaszowską są źró-

dła do zapalania, jak spirytus jaki tęgi, sposobne. Takież źródło znajduje się w województwie krakowskim pod górą, Dźwina nazwana, które przed lat 70, czy to piorunem, czy ze swywoli pastuszej zapalone, w podziemne lochy tak zabrało ogień, że cały las bliski w perzynę obróciło i ledwie po trzech leciech ten podziemny pożar ugaszono.“ Po „Osobliwościach“ idą „Ciekawości fizyczne:“ 1) Jak z jednego szóstaka lub czerwonego złotego dwa zrobić? 2) Poznać miejsce ziemi, gdzie się metale lub pieniądze zakopane znajdują. 3) Jak poznać, czy w winie lub w mleku jest woda i jak wyprowadzić wodę z wina lub wino z wody. 4) Wodę w lód obrócić lub trunek jaki zimnym uczynić w lecie albo w ciepłej izbie. 5) Pisać list, żeby go nie każdy, chyba tylko sekret wiedzący, mógł czytać. 6) Jak zrobić machinę elektryczną, przez którą skry lecą z człeka, z żelaza, z wody, z lodu i z różnych innych rzeczy za dotknięciem się ich? *Kolęda* na rok 1754 ma „Ciekawości fizyczne o niebie,“ które składa się: 1) z powietrza napełnionego waporami i ekshalacyami, 2) *aetereum*, otaczającego okrąg powietrza i wszystkie światła luminarze; 3) *empyreum* „gdzie Bóg nieograniczony świat cały istnością, obecnością i mocą swoją napełniający, aniołów i świętych swoich jasnym siebie samego widzeniem wiecznic cieszy i zupełnie nasycy.“ Charakterystyczną jest odpowiedź Wiśniewskiego na pytanie: co jest podobniejszego do prawdy: czy że słońce, czy że się ziemia obraca? „Niczycie o tém zdanie nie może być cale pewne. Nikomu z ludzi dotąd nie jest wiadome ułożenie świata, gdzie jest i co jest centrum jego i jakim porządkiem pryncypalne części jego są dysponowane, Bóg bowiem (jako twierdzi *Pismo święte*) podał świat ludziom do dysputowania o nim... Zaszczyt narodu polskiego, nieśmiertelny Mikołaj Kopernicki, kanonik warmiński pracą przez trzydzieści lat i wielu księgami za pobudką Tydemana Giżyckiego, biskupa natenczas chełmińskiego, wuja swego i z aprobacją Pawła III papieża r. 1540 jasnie oświecił i mocno utwierdził, że słońce jest w środku czyli centrum świata tak, że teraz ledwie niepospolicie wszyscy uczeni za nim idą i że takowe systema czyli ułożenie świata jest podobniejsze do prawdy, prócz wielu niezbitych astronomicznych racyi... fizycznemi uwagami probują... Piśmo św. często się do zdania i pojęcia ludzkiego akkomoduje... Wierzyć mamy, iż Jozue i inși słudzy boscy byli święci i przyjemni Bogu; lecz możemy nie wierzyć, iż astronomi umieli. Jozue mówił, jak się zmysłom jego zdawało, a Bóg uczynił, co trzeba było uczynić. I dlatego papieże, poczawszy od Pawła III, w tę się nigdy dotąd nie wdawali dysputę. Ta zaś sama kardynałów kongregacya, która systema to zakazała była za rzecz pewną uznawać, potem go r. 1640 za rzecz bardzo do prawdy podobną publicznie uczyć i utrzymywać pozwoiliła... Z Galileuszem podobnie się stało, jak z Wirgiliuszem, biskupem niegdyś salisburskim, który r. p. 745 za heretyka był osądzony, nie tak za to, iż utrzymywał, że są antypody, jako raczój, iż je przeciw wyraź-

nemu Zacharyasza papieża zakazowi upornie utrzymywał; tak Galileusz nie na to był między heretyków od inkwizycyi florenckiej poczytany, iż naucza, że się ziemia obraca, lecz iż tego nauczał przeciw poważnych inkwizytorów zakazowi. Wszakże to i teraz trafia się, że rzecz, lubo prawdziwa i święta, póki nieznaną i nową jest, częstokroć bywa podejrzana.“¹⁾ Uważa Wiśniewski za rzecz prawdopodobną istnienie mieszkańców na księżycu i gwiazdach, bo pocóżby je Bóg stworzył? „I jeżeli to jest także podobną do prawdy, co się Kartezyuszowi bardzo podobna zdaje, że ile jest gwiazd, tyle jest słońców, koło których się znowu różne obracają planety: toć i na tych planetach musiałby ktoś... chwalić Boga“..

Następne roczniki są bardzo obfite pod względem najróżnorodniejszych informacji, dotyczących spraw bieżących zagranicznych i krajowych. Mają „Imiona panów europejskich i ich familii, obyczaję, tudzież religiję i liczbę biskupstw w państwach onychże“ (1760); wymieniają dygnitarzy Rzeczypospolitej, wskazują miejsca sejmikowania szlachty i liczbę posłów; dają artykuł „O monecie w Polsce“ (1762), „Krótkie opisanie ustaw i zwyczajów publicznych podczas interregnum“ (1764), konstytucye sejmu konwokacyjnego (1766), w 1781 „Zbiór ustaw sejmu ordynaryjnego r. 1780“ i t. p. Uwzględniają historiją Rzeczypospolitej w artykułach: „Avulsa od królestwa polskiego“ (1757), „Batalie znaczniejsze w Polsce, waleczności Polaków dowody“ (1758), „Epoki znaczniejsze w Polsce“ i „Sejmy w Polsce“ (1759). Polityce poświęcają „Zastanowienie się nad każdego państwa szczęśliwością, wziętością i powagą“ (1780). Obok

¹⁾ „Pierwsi pijarowie — pisze Kitowicz (Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. Petersburg i Mohylew 1855 t. I. str. 19), jakoś około r. 1749, czyli trochę wyżej, odważyli się wydrukować w jednym kalendarzyku politycznym niektóre kawałki z Kopernika, dowodzące, że się ziemia obraca, a słońce stoi. Czegoś ledwo dostrzegli jezuita, nie omieszkali nie tylko swoich rozumów, co ich tylko mieli najbystrzejszych, użyć przeciwko pijarom, ciężkim przeciwnikom swoim, ale też inne zakony przeciw nim poburzyć o takową hypothezom czyli zdanie, dawnej nauce przeciwne. Rozruch ten po szkołach był nakształt pospolitogo ruszenia przeciwko pijarom i wydawali książki, zbijające takową opinią, zapraszali pijarów na dysputy i najwięcej z tej materji pijarom dokuczyć usiłowali. Ci atoli, coraz nowy jaki kawałek wyrwawszy z torażniejszych wodzów filozoficznych: Kopernika, Kartezjusza, Newtona i Leibnitsza, dokazali tego, że wszystkie szkoły przyjęły neoteryzm, czyli naukę *recentiorum*, według której ziemia się obraca koło słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczeń obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni.“

Kalendarzyki pijarskie przed r. 1752 nie wychodziły, przypuścić przeto wypadn, że opowiadanie Kitowicza dotyczy „Kołędy warszawskiej“ z r. 1754, która teorią Kopernika podawała za pownik. Nie pierwsi zresztą pijarzy stawali w kalendarzu w obronie Kopernika; wcześniej, bo w r. 1749, system jego, lubo z pewną oględnością, zalecał Duńczewski.

„ciekawości holenderskich:“ sposobu pozbycia się much i pcheł z izby (1757); „ciekawości z historyi naturalnej:“ o własnościach leczniczych wody zimnej (1770); „ciekawości i nowych wynalazków pożytecznych:“ o użytku „jedwabnych robaczek“ i morwach (1778),— poduła K o l e d a cały szereg artykułów z fizyki i astronomii, mających na widoku zastosowanie wiedzy ludzkiej do celów praktycznych, popularyzowanie nauki i tępienie przesądów. Na rok 1767 w dziale „ciekawości fizycznych“ podaje sekrety: na wynalezienie maszyny do pływania, zachowania żelaza od rdzy, robienia miodu do win hiszpańskich wcale podobnego, oczyszczania zboża ze śmiecia i ochronienia od robactwa, odwilżania zmarzłych fruktów i t. p. „Uwagi fizyczne“ na rok 1768 zawierają: o waporach i ekshalacyach, o mgłę, chmurach, deszczu, tęczy, rosie, śniegu i gradzie, o piorunach grzmotach i błyskawicach. Genezę piorunów grzmotów i błyskawic w następujący wyklada sposób: „W piorunach uważać mamy materię, z której formują się, sposób, którym zapalają się; huk i grzmoty, które z piorunami bywać zwykły; miejsce, z którego wypadają i skutki, które z nich pochodzą. Materyą piorunów są ekshalacye siarczyste, saletrzane, z innymi ekshalacyami kwaśnymi mieszaną się, co sam fetor rzeczy, piorunem uderzonych, oczywiście pokazuje. Ekshalacye siarczyste i mineralne każdego prawie czasu z ziemi wychodzą i w powietrzną atmosferę wzbijają się... Ażeby się zaś pomienne ekshalacye zapaliły, nie im więcej niepotrzeba, tylko ażeby się z sobą pomieszały i ażeby ich dostatkiem było. Dowodem tego są doświadczenia chymiczne. Wszak trociny żelaza z olejem, nazwanym vitrioli, zmieszane, zapalać się zwykły... Huk zaś ten, który przy bijących piorunach słyszeć się daje, z gwałtownego poruszenia powietrza pochodzi, gdy się owe partykuły, z sobą się mieszając, zapalają... Miejsce, z którego pioruny wypadają, być może lub w obłokach lub blisko ziemi t. j. gdzie owe wapory i ekshalacye zbiegną się i zapalają. Droga także piorunów lub prosta lub często kręta bywać zwykła, do czego nie sam tylko wiatr pomagać się zdaje, ale téż partykuły ekshalacyi, ciągnącej się podług różnych linii, które, gdy zapalą się, ogniste owe, jak się widzieć dają, formują wężyki...“ Na rok 1771 rozprawia K o l e d a o przyczynach, objawach, procesie i skutkach trzęsienia ziemi; na 1773 podaje rezultaty badań nad elektrycznością. Artykuł z r. 1780: „Zastanowienie się nad przedziwnym ułożeniem świata i nieustannym jego obrotem“ przy wykładzie teoryi Kopernika skrupuły teologiczne pomija zupełnie. Wydawany od roku 1788 zamiast „Koledy“, „Kalendarzyk polityczny“ uprawiał wyłącznie prawie sprawy bieżące. Na rok 1792 pomieścił „Cztery przedniejsze konstytucye narodów wolnych“ t. j. angielską, amerykańską, francuską i polską; na 1793 „Zjazdy, sejmy i konfederacye narodowe, od pierwszej o nich wzmianki w dziejach polskich,“ na 1794 „Zbiór ustaw sejmu grodzieńskiego w r. 1793.“

Po „Kolendzie cesarskiej“ Poszakowskiego wydane w Wilnie: „Kalendarz polityczny z opisaniem dziewięciu elektorów niemieckich

na r. przybyszowy 1758⁴ i „Kalendarz polityczny z opisaniem miast, znajdujących się w Europie na r. 1759“ poprzestawały na zwykłych informacjach, lecz z astrologią zerwały. Publikowany od roku 1759 „Kalendarzyk polityczny“ Franciszka Paprockiego pod każdym względem, zwłaszcza w latach późniejszych, mógł się równać „Koleździe warszawskiej.“ Pilną zwracał uwagę na rzeczy bieżące: z okazji zejścia Augusta III i pokoju hubertsburskiego publikował na rok 1764 „Wiadomości o rzeczach polskich po śmierci króla“ i „Wojna ostatnia między potencjami europejskimi w r. 1756 zaczęta, a w r. 1764 skończona krótko opisana.“ W rocznikach 1765—1767 drukował sumaryusze ustaw sejmu: konwokacyjnego, koronacyjnego i Celestyna Czaplica. Od r. 1768 zmienił tytuł na „Kalendarz wileński,“ w którym podawał „Przypadki znaczniejsze“ z każdego roku, sumaryusze konstytucyi, wiadomości o odkryciach i wynalazkach, przepisy robienia sosów i likierów (1784), kleju, bulionu i konserwowania borówek, a między nimi wskazał „Sposób, za którego pomocą najdawniejsze rękopisma i już przez starość albo złe chowanie zgoła nieczytelne łącno ożywione i wyczytane być mogą“ (1786). Podawał niekiedy artykuły z dziedziny mechaniki, jak „Krótka informacya o regulowaniu zegarków“ (1772), medycyny, jak „O morowem powietrzu“ (1771), historii, jak „Dyssertacya historyko-krytyczna, napisana po niemiecku przez pana Schloezer, historyi profesora w Petersburgu, w której autor dowodzi, że Lech ani przed rokiem 550, ani po nim, ani żadnego innego czasu w Polsce nie powstał i że cała o nim bajka około XIV urosła wieku“ (1774), lub skrót dzieła Burzyńskiego „Zebranie wszystkich sejmów i praw“ (1780—1784). Najważniejsze są jednak w „Kalendarzu wileńskim“ rozprawki z astronomii, geografii i fizyki: „O przejściu planety Wenus przez płaszczyznę słońca, roku terażniejszego 1769, d. 3 czerwca przypadającym“ (1769), „Krótka wiadomość o kometach“ (1770), „Wiadomości astronomiczne o gwiazdach, słońcu i planetach“ (1775), „Szerokość geograficzna miejsc determinowanych z rozkazu J. K. M. P. N. M. przez astronomów akademii wileńskiej Soc. Jezu“ (1768, 1770, 1771), „Geograficzna szerokość“ (1769) i „Długość geograficzna miasta Wilna“ (1770), według obliczeń Poczobuta w latach: 1766 i 1768; „Krótkie wiadomości z geografii o w. ks. lit.“ (1773), „Odmiany barometryczne, przestrzegające rolników pewniej, niż najlepsze kalendarze i jakiegokolwiek praktyki gospodarskie o pogodzie lub niepogodzie, w kilkanaście godzin nastąpić mającej, a osobliwie przy końcu wiosny i przez całe lato, jako w czasie dla sianozęcia i żniwa gospodarzów najbardziej interesującym“ (1788). W artykułach historycznych i astronomicznych „Kalendarz wileński“ walczył przeciwko przesądom. „Darmo się prawda sili:—głosił z okazji rozprawy Schloezera o Lechu—liczny gmin, upoczywy w swém ulubioném zdaniu, na jój głos uszy zatyka, na jój jasne i oczywiste dowody i patrzeć nie chce, aż zjawi się mąż jaki zacny i wzięty

w swój ojczyźnie, który uciśnioną prawdę powagą swą na nogach postawi i onę do stłumienia zastarzałych błędów wesprze.“ Wyśmiewał (1770) „nietylko filozofskiego, ale nawet i ludzkiego imienia niegodne pragmatyki z różnych światel, kolorów i ogonów formowane. Daje li się widzieć kometa bladawy? — musi on koniecznie za sobą ciągnąć letargi, pleury, suchoty... i inszych chorób wojska. Ma światło czerwonawe? — grozi ogniem, wojną i gorączkami. Jest koloru złotawego? — biada królom i monarchom. Ma coś błękitnego? — pewna susza, głód, powietrze, zaraza. Taki ma ogon, przez te lub owe gwiazdy przechodzący? — takich a takich znakiem jest nieszczęśliwości. Prawie nie było na świecie znaczniejszego przypadku, któryby albo nie był oznajmiony, albo nie stał się pamiętny przez kometa“... Wielbi astronomią (1769), „żeśmy za jej powodem wybrnęli z ciemności, które na dawniejsze wieki sprowadziła gruba niewiadałość... Ona oswobodziła nas od panowania Jowisza, Saturna i t. d., które, niewiem jakim prawem, dotąd nad nami mieli tak, że życiem, zdrowiem i szczęściem naszym władali. Ciekawie teraz patrzemy na zaćmienie, żaden nas nie straszy kometa, by był najkosmaty i z najdłuższym ogonem. Bierze nas dziś politowanie nad ostatniem głupstwem tych ludzi, którzy (jako o nich czytamy) szelest, wrzaski i grzmoty podczas zaćmienia księżycowego sprawowali, chcąc tym sposobem odstraszyć smoka, który wedle ich słońcmanii to tak piękne pożerał światło.“ Informację o gwiazdach, słońcu i planetach (1775) kończy pytaniem: jakież stąd prognostyki i na co się zda to wszystko? „Bardzo pewny i niezawodny prognostyk: że jeśli to wszystko przeczytamy i zrozumiemy, nie będziemy szukali w kalendarzu prognostyków, które o swoim uszczęśliwieniu nie z światel i fenomenów niebieskich, ale z oświecenia rozumu, nie z prostości serca, z dobroci spraw swoich promować należy. Jeśli to przeczytamy i zrozumiemy, poznamy wielkość światel niebieskich, które nad głowami naszymi wiszą i z pospółstwem na nie patrzeć jak na sadła nie będziemy; poznamy wielkość świata tego, którego jesteśmy mieszkańcami i, rozum nasz rozszerzywszy, do fizyki niebieskiej i ziemskiej gustu nabierzemy, poznamy wielkość dzieł boskich a wielkiego Stwórcę pochwalimy“.. Podziwia dzieła Newtona, w których „świat ujrzawszy prawdziwą kopię swoją, wydziwić się dotychczas nie może doskonałości własnej“ (1770), nie ma słów podziwu dla Mikołaja „Kopernickiego“ (1775). „Ani śmierć, ani czas, ani grubość nieumiejętnych wieków nie trafiły zagrzebać w ciemnej niepamięci tej teorii i tej sławy, którą wielkie tego Polaka imię na cały świat jaśnieje, w potomne wieki jaśnieć będzie i niezgaśnie, chyba razem ze słońcem i gwiazdami...“ Barwę taką zachował „Kalendarz wileński“ do końca, do roku 1794.

Wydawnictwa Wiśniewskiego i Paprockiego nietylko zerwały z wieszczbiarstwem lecz nie uwzględniały i teorii biblijnych. Walczyły przeciwko przesądom w imię nauki i nie pozostały bez wpływu.

„Kalendarz warszawski“ wydawany początkowo (1760—1762) przez prokuratora jezuitów prowincyi mazowieckiej, ks. Karola Wyrwicza, nie odznaczał się obfitością treści, lecz bałamutnych wiadomości nie rozsiewał. W artykule p. t. „Uwagi ekonomiczne“ (1765) poruszył potrzebę podniesienia rolnictwa krajowego przez uwolnienie chłopów od poddaństwa; na rok 1770 dał „Zbiór pism publicznych, do prawa narodów ściągających się i traktatów znaczniejszych, od początku wieku teraźniejszego zawartych, porządkiem latopisarskim ułożony;“ na 1772 „Sposób leczenia ospy od JP. Tissot, sławnego w Europie lekarza, przepisany i od niego samego za wsze pomyślnie doświadczony;“ na 1773 katalog książek, wydanych od r. 1764 i księdza Jana Bohomolca „Odpowiedź deistom.“

„Kalendarz polityczny“ (1754, 1759) jezuitów lwowskich ubogi był pod względem informacyjnym, lecz przepowiedni nie dawał. Na rok 1754 ma „Wiadomości ciekawsze od grudnia r. 1751 do grudnia r. 1753, przez miesiące krótko zebrane;“ na 1759 podał „Opisanie krótkie Rusi Czerwonej.“ Wydana we Lwowie również na wzór warszawskiej „Kolęda albo kalendarz polityczny“ (1759) pomieściła zamiast astrologii artykuł: „Punkta niewierni kontraktalmudzystowe podają.“

Akademik krakowski, Józef Alojzy Putanowicz, rozpoczął w roku 1754 wydawać na wzór warszawskiej „Kolendę krakowską albo kalendarz astronomiczno i geograficzno-chronologiczny.“ W miejsce prognostyka wydrukował na rok 1757 „Chorografię afrykańskich państw“ i „Chronologię Azji, krótko zebraną;“ na 1758 „Chorografię Ameryki“ z bałamutnym zakończeniem p. t. „Relacya ciekawa o niektórych dziwnych znakach i predykcjach, które poprzedziły przyjście Hiszpanów do Ameryki i zaprowadzenie wiary św. w te kraje“ „Kolenda krakowska albo kalendarz astronomiczno-chronologiczno-polityczny na r. p. 1763“ Jana Kantego Nepomucena z Piszczyna Sucharzewskiego zawiera „Materyę polityczną o pokoju i przymierzach;“ oraz „Ciekawości z nauki geograficznej wyjęte, a przez pytania zadane i przez odpowiedzi literą o wyrażone.“ Nie wszystkie pytania były w równym stopniu rozsądne: 1) Na wiele mil się rozciąga własność dziedzictwa, którego grunt np. ma 100 kroków lub więcej wdłuż i wszereż? 2) Jak daleko jest do piekła? 3) Przez jak długi czas koło całej ziemi i okrągu może kto odprawić drogę? 4) Jeśli więcej odległości miejsca głową niż nogami czynią ci, którzy pielgrzymują? 5) Z której strony świat jest okrągły? 6) Czemu podziemne ludzkie, do nas nogami chodzący, nie patrzą na niebo? Na pytanie o ludziach „podziemnych“ odpowiada w duchu teoryi Newtona: „padliby do góry, gdyby do nieba padli; albowiem od środka ziemi musieliby odstąpić, to zaś sprzeciwia się istocie ciężkich rzeczy, między którą i ludzie podziemni są policzeni, ani mniejby im gwałtowniejsza była rzecz z miejsca swego na niebo upaść, jako i nam do nieba“... W materyi piekła rozsądniejszą od

pytania była odpowiedź: „Jeżeli w środku ziemi jest położone, jako wielu trzymają, odległe jest od powierzchni ziemskiej na mil niem. 860, którą drogę po ziemi, na jedną milę po $\frac{1}{2}$ godziny rachując, odprawić można za dni 18.“ „Koleśda krakowska“ (1771, 1774) podala słabe „Opisanie Europy“ (1771), trzymała się gruntu czysto informacyjnego, lecz astrologii nie miała.

Ogół akademików zamojskich i krakowskich głuchy był na reformę jezuitów i pijarów, uprawiał astrologią bez przerwy. Najgorętszym jej obrońcą i krzewicielem był filozofii i obojga prawa doktor, astronom akademii zamojskiej, J. O. Trybunału kor. geometra przysięgły—Stanisław z Łazów Duńczewski, autor kalendarzy z lat czterdziestu (1725—1766), kontynuowanych pod jego nazwiskiem aż do r. 1775. Wydawnictwo jego nosiło tytuł: „Kalendarz polski y ruski,“ często z dodatkiem „astrologiczny i polityczny;“ na rok 1749 zwało się „Kalendarz albo kolendarz uczony, ciekawy i pożyteczny,“ na 1754 „Almanach świąt polskich i rzeczy politycznych, nie mniej ciekawych, jak potrzebnych.“ Wychodziło w Zamościu, w drukarni bł. Jana Kantego, niekiedy we Lwowie (1738 in 4-o, 1741 in folio) w formacie arkuszowym lub ćwiartce, czasem na jeden i ten sam rok w kształcie dwójakim. Kalendarze Duńczewskiego odznaczały się obfitością artykułów z dziedziny dziejów, geografii i historii naturalnej. Zawierają „Chronologię synoptyczną starożytniej prosapii Jaśnie Oświeconych książąt Ichmościów Radziwiłłów“ (1741), „Skróconą geografję politicam et civilem“ (1749), „Wiadomość o monecie polskiej i cudzoziemskiej... z redukcją staropolskich pieniędzy“ (1747) i „z większą informacją, niżeli dawniej“ (1753), „Chronologię najjaśniejszych książąt i królów korony pol. i w. ks. lit.“ (1769); pod ogólnym zaś tytułem: „Geografia polska i w. ks. lit. z swojemi prowincjami i należytościami według stanu dawnego i terażniejszego z różnych autorów spisana“ (1755—1770) podają biografie królów i wykład prawa publicznego polskiego. W „geografii“ owęj rozpisuje się Duńczewski o religii pogańskiej w Polsce, o bezkrólewiu, konwokacyi, kapturach, elekcyi i koronacyi króla, o królowej i dzieciach królewskich, o urzędach nadwornych i dobrach stołowych, o popisach rycerstwa i kwarcie, o prerogatywach szlachty, senacie, prymasach, kardynałach, biskupach, opactwach, annatach, starostwach, o religii, świętych, błogosławionych i pobożnych polakach, miejscach i obrazach cudami sławnych i t. p. W artykule: „Skarb koronny i w. ks. lit., z wielkim detrymentem monarchów polskich i całej Rzeczypospolitej niezającywany, teraz publicznie i każdemu z osobna dla dobra pospolitego i zachęcenia do potrzebnego naśladowania cudzoziemskiego nie bez pożytku daleko więcój królestwu polskiemu importującego według łatwej możności wyjawiony“ pisze o poszukiwaniu kruszców w Polsce; w „Praktyce gospodarskiej każdemu na zawsze potrzebnej“ (1751—1753) daje różne wskazówki rolnikom. w każdym zaś roczniku drukuje prognostyk. Na rok 1741 podał „Informacją o aspektach, cha-

rakterze planetów, aspektów i znaków“ z różnemi przepowiedniami; „Prognozyk astrologiczny... z gwiazd wyrozumiany,“ a obok tego „Respons astrologiczny z sensem doktorów kościoła bożego i zdaniem poważnych autorów stosujący się“—artykuł wymierzony przeciwko kalendarzom, które z astrologią zerwały. Astrologowie—dowodzi Duńczewski — zowią się od astrów, że obserwują astra; kalendarznicy od kalendów, że obserwują kalendas t. j. dni miesiąca. „Ci tedy, co nic nie piszą w kalendarzach astrologicznego, zowią się p u r e kalendarznicy, którzy dla mizernego zysku albo próżnej chwały tę sobie profesyą przywłaszczają, która do nich bynajmniej nie należy. I tak, niejako naśladując naszych starych akademików, dla praktyki matematycznej do Krakowa i do Zamościa z inszemi doktorami i nauk magistrami sprowadzonych, ulokowanych, uprowidowanych i ufundowanych, do tego prawami kościoła bożego, najjaśniejszych królów polskich i najjaśniejszej Rzeczypospolitej obwarowanych, — już to tytułem, już to kształtem i formą wydają swoje kalendarze, w jedném naśladując, co mogą, a w drugiem prześladując, czego nie mogą praktykować... Umyśliłem za rozkazem starszych to dystyngować i pokazać, w czém terazniejsi kalendarznicy przyjętych od kościoła bożego matematyków prześladują.“ Dowodzi różnicy między astrologią naturalną i judycyarną: pierwsza „naturalne tylko gwiazd obserwuje influencye i impresye,“ druga zaś „zaniedbawszy naturalnych influencyi, obserwuje defluksye niejakie konstelacyi, przez geniusz tylko imaginowanych, albo też ozionienie niejakie gwiazd i planetów przy narodzeniu człowieka... Naturalni diwinatorowie akcyę niebieskich imprezyi tak do ludzkiego ciała aplikują, iż directe toż ciało ludzkie podległe jest niebieskim influencyom.; zmyślający zaś judiciales — influencye mocy i qualitatiwy niebieskie primo per se a c n e c e s s a r i o, niemniej umysłowi, jako i ciału aplikują.“ Duńczewski broni astrologii naturalnej i dowodzi, że „każda konstelacya ma swoje virtutes speciales, jak np. Siriusz t. j. kanikuła sprawuje szaleństwo, gorąca i ognie; Orion, Plejady, Hiady, — deszcze i powodzie.; ani im też inszych cnót niewyliczonych może kto przeczyć.“ Można ze znaków różnych prognostykować nowonarodzonemu dziecku „albowiem funduje się ta eksperyencya na tekstach św. Tomasza.“ Słuszny jest podział planet na niewieście, jak księżyc i Wenus i mężkie jak Saturn i Mars: „albowiem niewiasty więcej partycypują z humorów jeszcze w żywocie macierzyńskim; mężczyźni zaś nie tak, według asercyi mędyków. Zaczóm i księżyc i Wenera jest humory sprawująca, nietylko na świecie ale i w człowieku, jako planetowie wilgotni... zowią się niewieściami; Saturnus zaś opacznie i z Marsem, iż pierwszy jest suchy i zimny, drugi suchy i gorący, zowią się mężkami. Przedtem—kończy—akademie, jako a q u i l a e, dwiema po świecie skrzydłami szeroko latały, t. j. panegirycznemi i astronomicznemi piórami: pierwsze dawno opaliła zazdrość, drugiemu teraz dogrzewa. Tacy bowiem zazdrościcy gryzą się w sobie, iż tego mieć u siebie

nie mogą, co mają chwalebniejsi: zaczem tentują, jakoby inszych niemi obrazić i fałszem, u siebie zmyślonym, z gradusu im własnego zepchnąć, a potem osiąść ten-że sam urząd“...

W kalendarzu na rok 1742 podał Duńczewski „Ewenta skutków zaćmienia z różnych kolorów,“ „Respons obiecany fizygnomiczny, chiromantyczny, klimakteryczny, krytyczny o prognostykach, ze snu formowanych“ i „Respons na respons, racya na racya rzetelniejsza“—znowu artykuł polemiczny, wymierzony przeciwko Łazowskiemu, który w swojej „Praktyce astronomicznej“ astrologów przezwiał szalbierzami i oskarżał ich o bałamucenie prostaków. W rozprawie: „Wiadomość osobliwsza o meteorach t. j. o dziwnych atmosfery geokosmicznej spektrach“ (1745) rozwodzi się o: 1) początku meteorów, 2) zimnie, mrozie i lodach, 3) upałach, gorącu i ciepłe, 4) rosie i szronie, 5) chmurach i mgłach, 6) deszczach ordynaryjnych, 7) deszczach ekstraordinaryjnych, 8) inundacyach i powodziach, 9) śniegach, 10) gradach, 11) tęczy, 12) słońcach i księżycach, 13) meteorach ognistych, 14) błyskawicach, piorunach i grzmotach i przy każdej „ciekawości“ podaje prognostyk. Na r. 1748 drukował „Wiadomość o fizygnomii naturalnej, z uformowania statury i członków ciała ludzkiego prognostykującej z dziwnie ciekawemi i wiedzenia godnemi, a bardziej potrzebnemi ludzi w różnych krajach artykułami;“ na 1749 „Systema Kopernikanów o niebie, planetach i ziemi.“ „Do takiój Kopernik doskonałości nauki astronomicznej przyszedł, że ni przed nim kilka tysięcy lat od stworzenia świata, ni po nim już dwa wieki równego nie było. On albowiem pierwszy wszystkich ludzi uczonych na świecie od błędu tego oczywistego odwiódł (jak twierdzą jego sektorowie), że nie słońce rusza się z miejsca swego, ale ziemia... Tego sławnego Polaka, kanonika warmińskiego, za życia jego ogłoszone systema, potema odrzucone, teraz w Rzymie, Paryżu, w Anglii i całej Europie kwitnie... Zaraz albowiem poszli za nim najbieglejsi astronomowie z różnych krajów, jak to: Leibnitz, Newton, Mallebranche, etc... Rzecz bardzo ciekawa, lubo do zrozumienia i wierzenia trudna, iż ziemia, w 24 godzin ubiegając gradusów 360 codziennie, ubiega pod cyrkułem porównania dnia z nocą mil niem. powszechnych 5400“... Podaje w tymże roczniku „Plunctów wielkość, odległość i rewolucye według najświeższej obserwacyi Kopernikanów“ i artykuł o kometach, którym przypisuje różne własności. „Jeżeli jest koloru cytrynowego z inflamacją i sucho przeznacza i wielkie wiatry; koloru śniadego i ciemnego—trzęsienie ziemi i zarazy powietrza prognostykuje, z kąd śmierci wiele; koloru białego — ominuje deszcz.“ O gwiazdach latających powiada, że są to ewaporacye tłuste, na atmosferze zapalone, które „ominują nawałności, a potem zdrowe powietrze.“ W „Wiadomości o nocnym luminarzu nieba t. j. księżycu, z niemniej ciekawemi, jak potrzebnemi relacyami napisanej“ (1754) rozwodzi się o wpływie księżycy w różnych stanach jego na zdrowie „o lunatykach długospijących i snach.“ A l m a n a c h na r. 1754 zawiera „Prognostyk

wieczny względem urodzajów w pospolitości z panującymi planeta-
mi," a także „Znaki szczęśliwe i nieszczęśliwe.“ „Częstokroć na
paznogciach u ręki pokazują się kropki białe lub inne. Białe na
wielkim palcu znaczą rozkosz, zysk białogłowski i córki. Na dru-
gim: honor, pożytki, fortunę księżą, senatorską, sądową lub szlachec-
ką. Na średnim zysk i szczęście gospadarskie... Z początku pa-
znogcia — przyszłe, w środku — teraźniejsze, na końcu — przeszłe
sukcesy znaczą... To wszystko trwa najwięcej przez miesiąc, dłu-
sze lub naturalne pokazują affekcją humorów wewnętrzną.“
Prognostykami swemi ogarniał Duńczewski odległą przyszłość.
W „Prognostyku siedmioletnim według obserwacji starożytniej,
które, wyprobowawszy, i na dalszy czas służyć mogą“ (1756) prze-
powiada, jaką w każdym roku będzie zima, wiosna, lato i jesień; jaką
ozimina i jarzyna, jakie frukta, nawałności, gadziny i choroby—
i t. d. nietylko w Polsce, lecz i w krajach postronnych. Z mają-
cych przypaść zaćmień przepowiada stan powietrza, urodzajów,
śmiertelność i stan polityczny. W relacji: „O błędach zabobon-
nych, na prowincjach polskich znajdujących się“ (1758) wylicza 43
przesady i szydzi z tych, co wierzą: 1) że bydłeta, urodzone w roku
przestępnym, nie chowają się; 2) że co piąty rok zboże rodzi się
w czwórnasób; 3) że robota w pewne dni nie udaje się i t. p. Drwi
szczególnie z przesądów niewiestic: „wstyd mnie już pisać więcej
kobiecych zabobonów, które w każdym miesiącu obserwować zwykły,
częścią, iż z tąd żadnej nauki nie masz, częścią, iż sam szatan na
wołowej skórze nie spisałby wszystkich.“ W czary jednak Duń-
czewski wierzy. Wylicza różne sprawy czarownic i podaje prze-
ciwko nim różne „remedy“ kościelne i medyczne, np. podkurzać
człowieka oczarowanego zębem nieboszczyka, włożyć ekskrement
czarownicy w prawy but oczarowanego i t. p.

Nie z takim zapalem, uprawiali przeciw astrologią i akademi-
cy profesorowie — matematycy krakowscy. Antoni Mikołaj Krza-
nowski i Michał Józef Rembecki w r. 1737, Andrzej Lipiewicz
w 1744, Mateusz Temprowski 1746, Adam Szczepan Jagielski 1751,
Jakób Franciszek Niegowiecki 1752, Józef Tomasz Szabel 1763
drukowali ciągle: „Praktyki generalne“, „Kompromis siedmioletnie-
go planet koła na skutki roczne z sytuacji 12 znaków na zodyaku
w konklawe niebieskiem uformowany, a na r. p. 1746 konjektural-
nym stylem opisany“, „Konjektury astrologiczne generalne“, w któ-
rych straszylili ludzi najróżnorodniejszymi, zwłaszcza z okazji zaćmień,
wróżbami. Zdaniem Szabla, zaćmienie słońca 13 kwietnia r. 1763,
„z jednej strony niewiele trwożyłoby nas powinno: częścią stąd, że
małe, częścią, że przez czas krótki trwać będzie; atoli jednak... nie-
których niepomyślnych sukcesów obawiać się potrzeba.“ To samo
czynili akademicy krakowscy w filiach: poznańskiej, lwowskiej i biał-
skiej, drukujący kalendarze w Poznaniu, Lwowie i Suprasłu. „Ka-
lendarz na rok p. 1766“ przez M. Mrugaczewskiego w przesławnój

akademii krakowskiej nauk wyzwolonych i filozofii doktora, w poznańskiej filozofii i matematyki profesora, geometry przysięgłego podobniuteńki jest do pierwowzorów krakowskich. Niektórzy naśladowali kalendarze zamojskie. „Kalendarz polski y ruski na rok p. 1772“ przez M. Franciszka Krzysztofa Liebmana, w przesławnéj akademii krakowskiej nauk wyzwolonych i filozofii doktora, matematyki i niemieckiego języka profesora, geometry przysięgłego, kolonii akademickiej szkoły lwowskiej rektora ma artykuł: „Ekonomia o rolnictwie, czyli sposoby gospodarskie do należytego uprawiania wszelkiego gatunku gruntów, polepszenia roli, łąki, ogrodów, sadów, folwarków prowadzące“, lecz pod względem obfitości prognostyków rywalizuje z Duńczewskim. Jan Śniadecki, który z obowiązku, jako profesor matematyki w akademii krakowskiej układał kalendarz, chciał zamiast „prognostyka“ dać „domysł astrologiczny“, lecz napotkał na opór. Rękopis kalendarza na rok 1776, przedstawiony do aprobaty prof. Niegowieckiego, jako matematyka ordynaryusza, z powodu proponowanego przez Śniadeckiego „domysłu“ poruszenie w całej prawie akademii, a najbardziej wśród członków fakultetu filozoficznego, wywołał wielkie. „Domysł“ musiał ustąpić przed „prognostykiem“ zarówno w 1776, jak i w r. 1777. Uzcinił Śniadecki kalendarz na r. 1777 przez umieszczenie w nim rozprawki „O wodach mineralnych“, lecz „domysł“ przeprowadzić zdołał dopiero w 1778. „Domysł astrologiczny siedmiu gwiazd błąkających się skutkowania i dwunastu znaków mierzących ułożenia na r. p. 1778“ ile możności przepowiedni unikał. Podczas porównania dnia z nocą „astrologowie—pisał Śniadecki—różne ułożenia gwiazd i domów niebieskich wystawują w swoich wyobrażeniach, z którychby rozporządzenia wnioski swoje układali. Ale tych wyobrażeń opisanie, że nie ma mocy objaśnić nieoświeconego lub mądrego zatrudnić, dla tego się opuszcza“. Niedostatek prognostyków zastąpił obfitemi wiadomościami o porach roku i dalszym ciągiem rozprawki o wodach ¹⁾).

Pokuszenia reformatorskie Śniadeckiego znachodziły poparcie w publicystyce polskiej, która w tej właśnie dobie prognostyki kalendarzowe potępiała surowo.

„Jmć Pan Staruszkiewicz—pisał Niewiernicki w *Monitorze* z 20 sierpnia r. 1766—miał wydać swą córkę za Żalotnickiego. Kazał mu dla ślubu w ten dzień do siebie przyjeżdżać, który najpierwszy według kalendarza miał być pomyślny dla skojarzenia związków małżeńskich. Żalotnicki, zaprosiwszy na ten akt całe swe pokrewieństwo, przyjeżdża z wielką zgrają do niego, będąc upewnionym od swego kalendarza, iż ten dzień był szczęśliwy do ożenienia. Zdziwiony Staruszkiewicz niespodzianym jego przyjazdem,

¹⁾ Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim. I, str. 15, II, str. 3 i 4.

pyta, czemu by nie czekał dnia pomyślnego, Złotnicki mu dowodzi z swego kalendarza, iż miał na to baczość i pilność wszelką. Staruszkiewicz przeciwnie swym kalendarzem, iż ten dzień był krytyczny. Gdy zaczną znosić wszystkie tych kalendarzów prorocstwa, poznają jawnie, iż się całe ze sobą nie zgadzają. Staruszkiewicz dowodzi, iż jego kalendarz jest prawdziwy, a Złotnicki swojego honoru utrzymuje. Stąd żywa dysputa, potem zwada, nakoniec zerwanie przyręczonego z obu stron małżeństwa. Omijam inne wróżki, któremi kalendarze niejednego szpetnie zawiodły; ani myślę tu wiadomych W. M. Panu przeciw tym fałszerzom przywozić zarzutów: ponieważ i miernie oświecony człowiek widzi próżność przepowiadania przyszłych rzeczy, wyczerpnionego z konstelacyi Jowisza, Merkuryusza, Wenusa etc. Podziwienia jednak mego zamilczeć nie mogę, że autorowie tych fałszywych prorocstw, lubo się i z sobą sami nie zgadzają i drugich zawodzą, przecież nie przestają swego rzemiosła, od wszystkich krajów polerowniejszych wyśmianego!.. Powyższe refleksye nie były zbyt cenne i w kilkanaście lat później, powtórzone też zostały w „Monitorze“, z 17 marca r. 1779.

W „Monitorze“ z 10 sierpnia r. 1776 bezimienny z Kamieńca podolskiego również strofował wieszczbiarstwo. „Zdaje się rzecz niepodobna, pisał, by słabość takowa (wróżenia) mogła znajdować się w wieku terażniejszego ludziach; aby tak grube błędy miały nad nimi panować, a przecież nietylko znajdują się, ale co dotkliwsza, że jeszcze i drugich tą zarażają ślepotą. Cieszy atoli mnie to w tém zdrożeniu, że ten błąd tylko rozciąga się na prędkokierne niewiasty, albolitéż te ślepe krety, którzy w wieku oświeconym przy tak jawném świetle dawniejszój pozbyć się nie mogą pomroki.“

W tym samym roku „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ (t. XIII, część I, str. 77—81) pomieściły „Astrologiczne przepowiadanie kalendarzom, na sto lat następujących służące, o znakach chronologicznych,“ wydrwiwające pragnostyki astrologów krakowskich.

„O literę niedzielną więcej na potém ludzie dbać nie będą, jak w niedzielę o chodzenie do kościoła. Liczbę złotą lichwiarze oberzną, a skąpcy w ciemnych sklepach chować będą, z oczu zaś ludzi ubogich wcale zniknie. Epakty (kontrakty małżeńskie) większa ludzi część świątobliwiów przestrzegać nie będzie, jak szóste przykazanie.

O planetach: Saturn panować będzie w domach mężów starych, młode mających żonki; Jowisz w pałacach pańskich, Mars w polu, Wenus w łożnicach, Merkuryusz w sklepach kupieckich, słońce we dnie, a księżyc w nocy.

O słońcu i księżycu z osobna. Słońce w wiosnie kochającym, w lecie szynkarzom, w jesieni winiarzom, a w zimie ubogim najpożądanejsze będzie. Nie będziemy mieli nowego miesiąca, ale z starym obejść się będzie trzeba. To zaś nieomylna, że co cztery niedziele będzie przy pełnej, atoli sobie nie podpije.

O porach czasu. Kiedy niebo będzie wypogodzone, a przy cichem powietrzu słońce będzie świeciło, niezawodnie dobra będzie pogoda; skoro zaś kropić zacznie deszcz, niewątpliwie będzie pożar. Nadchodzący mróz i śnieg znakiem będzie, że zima niedaleka. Ktokolwiek na przechadzkę pójdzie z nowo-kreowanym bakalarzem, z Polakiem, paryżaninem albo z młodym bohaterem, z pierwszej swojej powracającym kampanii, — przy uciszonym nawet powietrzu za każdym krokiem na uprzykrzony wiatr narzekać będzie.

O urodzajach. Rola kamienista pracowitemu rolnikowi więcej przyniesie urodzajów, niż najżyźniejsza niedbałemu. Ktokolwiek skąpo siew, niech się obfitego nie spodziewa żniwa. Płodność pożyteczniejsza będzie ogrodowi i łąkom, niżeli pannom. Wino niejednego wprawi w szaleństwo, od orzechów niejednego zęby będzie miał szczerbate, a od bżowych jagód czarną gębę. Bądź urodzajny, bądź nieurodzajny rok, kto wszystkiego ma dostatkiem, niesłusznie na nieurodzaj uskarżać się będzie.

O zdrowiu i chorobach. Slepym obawiać się nietrzeba, aby na wzroku szwankowali, niemi słowa nieforemnego nie przemówią i głuchym niepotrzeba będzie zatkać sobie uszy przed niemądrym bezbożników szyderstwem albo głupimi figlarzów fraszkami. Między ludźmi wszelkiego stanu, od najpierwszego aż do najpodlejszego, zaraźliwa będzie panowała choroba, która to sprawi, że żaden z kondycyi swojej kontent nie będzie.

O wojnie i pokoju. Psy i koty, pająki i muchy, namiętność i sumienie; niemało małżonków, a tylż żwawych w rzeczy uczonej wojowników w ustawicznej będą wojnie. Atoli, choćby najdłużej trwała wojna, nakoniec pokój stanie wieczny, a ter pokój wieczny trwać będzie póty, póki jedna z partyi zerwać go nie zechce.

O stanach ludzkich. Królowie najwyszszymi w państwach swoich będą osobami; a jeżeli wysoką swoją godność dobroczynnością ozdobią, niewątpliwie też ze wszystkich najukochańszymi będą. Panowie, w sercach poddanych swoich panujący, spokojniéj sypiać będą od tych co obronie najemniczej dufają straży. Nie jeden sędzia ukarze zbrodnie, których się sam bez kary dopuszcza. W kraju, którego obywatele miernie żyją i są pracowitymi, medykowie żadnych nie nabitierają bogactw. Handlujący towarami cudzoziemskimi, rozpuszcicie słuźącami, z całym krajem cudzym narodom hołdować będą musieli. Rzemieślnicy, najmniéj ochoty do roboty mający, najbardziej na to uskarżać się będą, że roboty nie mają. Dziadowi zdrowemu chleb suchy bardziej do gustu przypadnie, niż poźądliwemu bogaczowi najwyborniejsze łakotki.

Wydany w r. 1785 w przekładzie z francuskiego „List o kalédarzo-dziejach wszystkich krajów dawnych, terażniejszych i przyszłych“ (Bez m. 8-o, kart nłb. 11) podaje treść bajki Woltera (Le roi de Boutan), wyszydzającej astrologów i układaczów kalendarzy drwi niemiłosiernie. „Ci to są, którzy rzadkim przykładem wszystkich

prawie nauk założyli w pośród mózgu swego skarbnicę; którzy otworzyli sobie niedostępne wrota do niewiadomój innym ludziom przyszłości, a zapatrując się nadal przez bystre teleskopy rozumu, sprowadzają na ziemię pioruny, ognie, deszcze, upały, wiatry, zdrowie, choroby, obfitość, nieurodzaj, szczęście i przypadki fatalne. Ci to są, nakoniec, od których dobry lub zły byt świata zawisł zupełnie. Nazwisko ich wdzięczno-brzmiające, któremu wszyscy winny hołd podległości oddają, nie wspominając go, tylko z najgłębszem uszanowaniem, — mocniej nierównie uderza słuch nasz, niż gdyby kto wymówił imię Des Cartów, Wolfów, Newtonów, Dalambertów, Eulerów i t. p... Horacyuszowie, Wirgiliuszowie, Cyceronowie, Demostenesowie, Helwecyuszowie, Wolterowie, Russowie i t. p. wszystko to oszusty równie niebezpieczne, jest godne wzgardy: to nieprzyjaciele i gorszyciele narodu ludzkiego. Umiejętności, na których mędrki życie swe namiętnie trawili, nie są zdatno, jak tylko do podżegania namiętności, a namiętności są zbiorem wszystkich występków. Ale kalendarze, ho! kalendarze są to coś inszego: dobro, którem one obficie szafują, nie jest żadnym podobnych złości przyrównaniem; o! są to książki najpotrzebniejsze, jedynie interesujące, jedynie dążące do polepszenia losu świata, miasto uczynienia go niespokojnym i burzliwym, jakim go wiele pism uczyniło... Gdyby urzędy, które potępiły na śmierć Bernevelta w Holandyi, Tomasza Morusa w Anglii, Calas we Francyi, Jana Husa w Niemczech, księdza Waniniego we Włoszech, Łyszczyńskiego w Polsce i wiele innych niewinnych ofiar w innych krajach; gdyby te urzędy samych tylko kalendarzów czataniem były się zatrudniały, nigdyby tak okropna w ich wyroki nie była się wdarła niesprawiedliwość. Gdyby Karol IX król francuski miał w swojej bibliotece same kalendarze, nie byłby postanowił pamiętnej epoki św. Bartłomieja; Henryk VIII nie byłby skazał na stos dwóch kochanych żon swoich; Marya, córka tego króla i godna ojca swojego rywalka, nie byłaby kazała wygubić 600 przeszło poddanych za to, że nie wierzyli w czyściec św. Patrycyusza; pobożny Konstantyn nie byłby wytruł trzech części swojego krewieństwa, swoich do tronu współubiegaczy, nałożnic nawet swoich i tych wszystkich, jednym słowem, którzy zdawali się być przeciwni jego ambicyi; sławny rozumem Karol W. nie byłby tyle postanowił okrucieństw w tym samym czasie, kiedy zakładał zgromadzenia uczonych i budował kościoły; nakoniec królowie wszystkich wieków i narodów nigdyby tak sprośnemi i niezwykłemi występkami nie byli zeszkuradzili ziemię, gdyby w ich młodości nie dopuszczano im było czytać innych książek, prócz kalendarzy“...

Po zreformowaniu akademii krakowskiej prognostykarstwo znika z kalendarzy zupełnie. Oprócz pijarskiej „Kolędy warszawskiej“, zmienionej od r. 1788 na „Kalendarzyk polityczny“, wychodziła w ostatnich latach wieku XVIII znaczna liczba kalendarzy nakładem księgarzy i zgromadzeń zakonnych.

Gröll wydał w Warszawie „Etrénnes mignonnes curieuses et utiles pour l'année 1770“ z artykułem: „De la grandeur, de la distance et de la révolution des Planètes,“ później ogłaszał „Kalendarz polityczny dla królestwa polskiego i w. ks. lit.“ (1771—1794). Rok 1771 ma „Tabełę ułożenia słonecznego“ z objaśnieniem obrotu ziemi około słońca; ma „Najznaczniejsze epoki nauk i umiejętności wynalezionych, tudzież mężów sławnych od najdawniejszego aż do naszego wieku,“ gdzie zaznacza główne wyniki badań nad elektrycznością, podaje daty działalności filozofów, jak Krystyan Wolf „największy matematyk,“ Mojżesz Mendelsohn „cud filozofów największych,“ Kopernik „rodziciel dzisiejszej astronomii i ułożyciel prawdziwego systemu świata,“ Thomasius „pierwszy, który znosił zwyczaj zabobonów, palenia czarownic i pedantyzmu,“ Leibnitz, Newton, Lippersheym, Harwey, Dabbel, Torycelli i t. p. Na rok 1788 dał „Wiadomości potrzebne żonom czyli sztuka odzyskania serca mężowskiego“ — powiastkę, mającą na celu „ściśnienie tak świętego związku, jakim jest małżeństwo,“ na 1789 „Obraz historyczno-polityczny r. 1788,“ na 1791 „Uwagi nad stanem miejskim w Polsce,“ „Prawo człowieka i obywatela, ustanowione przez Zgromadzenie narodowe w Francyi i utwierdzone od króla,“ oraz pouczający artykuł p. t. „Coś o kometach.“ „Ponieważ ostrzeżenie astronomów angielskich o przechodzie komety, w miesiącu lutym r. 1791 podług ich rachuby nastąpić mającym, na lekliwych umysłach, a mniej może wiadomych natury i biegu kometów, mocne sprawiło wrażenie; przeto osądziliśmy za rzecz potrzebną dać tu jakiegokolwiek wyobrażenie tych ciał niebieskich... Twórca najwyższy wyznaczył kometom bieg niezbochny w nieograniczonej światówprze-strzeni, w której niedościgłą mocą, tak jak inne ciała świata tego, są kierowane; obawiać się więc nie należy, aby nadto do ziemi zbliżone, onęj szkodliwemi się stały. Jest wprawdzie zdanie starożytności, silnie od najpoważniejszych wieku naszych filozofów poparte, że największe klęski, jako to: potopy, nawet atlantydy były skutkiem kometów, nadto ku ziemi zbliżonych:

Lecz niech to nie czyni trwogi:

Od wieków krążą komety,

Nie zbaczając z swojej drogi,

Dążą do niechybnej mety.

Więc nas kometa nie zgniecie,

Jak było — będzie na świecie.“

„Kalendarzyk polityczny na rok przestępny 1776“ (w druk. nadw. JKM-ci), zamieniony dla odróżnienia od pijarskiego na „Kalendarzyk polityczny warszawski“ (1777—1794), oprócz zwykłych informacyi ma „Ciekawości użyteczne o zachowaniu zdrowia z fizyki,“ „Rada o zachowaniu zdrowia, dana przez doktora i profesora

medycyny pana Tyssot“ (1779), „Ciekawości wybrane z najprzedniejszych autorów o napojach“ (1782), „O trzęsieniu ziemi“ i t. p.

„Kalendarz na rok przestępny 1776 tudzież na rok 1777 i 1778 służyć mający“ (druk. nadw. JKM-ci) zawiera rozprawę „O zaćmieniach słońca i księżyca“ z mapkami zaćmienia księżyca, przypadającego na horyzoncie warszawskim 4 lutego i 30 lipca r. 1776, oraz artykuły o gwiazdach i planetach, skreślone na podstawie dzieł astronoma paryzkiego De la Lande. Podaje wiadomość o obserwatorium zamkownem Stanisława Augusta i życiorys „wielkiego astronoma Kopernika“, którego obserwacje „wszystkie akademie i narody, w tym wieku oświecone utrzymują i nauczają.“

Oprócz powyższych wychodziły w Warszawie nakładem księgarzy kalendarze: „gospodarskie“, „ekonomiczne“, „nowe“, „krajowe i zagraniczne“, „narodowe i obce“, „amerykańskie“, „dokładne“, „ciągłe“, „zabawiające“, „ciekawe“, „użyteczne“, „kieszonkowe“, „małeńkie“, „memoryaliki“ i wiele innych. Podawały obok informacji kościelnych, astronomicznych, politycznych i conceptów artykuły z fizyki i historii naturalnej, rozprawki z dziedziny przemysłu i handlu. Niektóre tendencją zwalczania przesądów zaznaczały w tytule: okładka „Kalendarza gospodarskiego na rok 1778“ (Posera) głosiła, że jest „zprzydaniem na każdy miesiąc obserwacji gospodarskich, do których dodane są niektóre wątpliwości z krytyką wieszczbiarskiej nauki i przyłączeniem niezawodnych obserwacji.“

Produkcya kalendarzy krakowskich w końcowych latach wieku XVIII zmalała. Po reformie akademii, zamiast kilku wychodzi w Krakowie Dębskiego „Kalendarz dla Królestwa polskiego“, później May'a „Kalendarz krakowski.“ Przystosowały się do warszawskich, osobliwości nie miały żadnych. Wyšlo zony w r. 1796 w drukarni Anny Dziedzickiej p. t. „Prognostryki, na miesiące i dni podzielone, które w sobie zawierają różne ciekawości t. j. o zaćmieniach i cztery pory roku tegoż, obserwacje o życiu ludzkim i doświadczenia gospodarskie“ walczył przeciwko wieszczbiarstwu. Zaznaczywszy przypadające na rok 1796 zaćmienie pyta:

Czego się lękać, gdy słońce zakryto?

Alboż ciemności kogo zabijają?

Choć kwiaty w pączki brudne są uwite

Jednak, obdarte z powłok, wdzięki mają.“

Zamiast prognostryków umieszcza pod każdym miesiącem sentencję moralną: „Utraciłeś przyjaciela, toś i szczęścia postradał; brakuje pomyślności, gdzie pracy użyć nie chcemy.“ Podaje sentencje i na każdy dzień miesiąca: „Pomyślność rozpędzi chmury; chwalić się nie trzeba, kogo same dzieła wielbią; żałujmy upadku poprawną“ i t. p.

Wychodziły kalendarze we Lwowie, Przemyślu Łowiczu (Kalendarz polityczny na rok 1775“), Supraślu, Mohilowio (Kalendarz

dla namiestników białoruskich 1782.“ „Kalendarz białoruski“ 1789) w Połocku („Kalendarz Połocki“ 1795), najsystematyczniej jednak w Berdyczowie i Grodnie.

Berdyczowski, wydawany przez miejscowych karmelitów, informował głównie w materji nabożeństw, podawał sumaryusze konstytucyi, niekiedy artykuły: „Opisanie krótkie historii domu loretańskiego N. P. M.“ (1780), „Ciekawości osobliwsze Rzymu starego i Rzymianów“ (1781), najrozmaitsze zaś nosił tytuły: „Rok pomyslny, przy płynących łaskach Maryi dla sarmackiëy oyczyzny w tronie Berdyczowskim jaśniejący“ (1778), „Bieg roku, przez codzienny obrót łask Maryi Berdyczowskiëy Polaków uszczęśliwiający“ (1780) „Marya z Watykanu, koroną uwieczona w Berdyczowie, Polakom rok szczęsny rządząca“ (1789), „Królowa Polski Marya, w obrazie Berdyczowskim łaskami hojnie panującego, senat y poddanych wspierająca (1785), „Kalendarz polityczny“ (1787—1792) i t. p.

„Kalendarz grodzieński“ wydawać począł w r. 1776 ks. Karol Malinowski. Drukował, oprócz zwykłych informacyi, konstytucye sejmowe i różne na temat rzeczy bieżących rozprawki, jak: „O zniesieniu zakonu Societatis Jesu“ (1776—1779), „Jezuici za kordonem na Białej Rusi“, „Podróż Najjaśniejszego pana do Lublina, Włodzimierza, Wiśniowca etc.“ (1783), o procesie Dugrumowëj (1786), podróżach Cooka, wojnie amerykańskiej (1781), „Zycie Fryderyka W-go króla pruskiego krótko zebrane“ (1787) i t. p. Zaszczytnie się odznaczył polemiką w sprawie głośnych wówczas przepowiedni Zieheha.

Superintendent związku ewangelickiego Zellerfeldzkiego, Ziehen, w r. 1779 i 1780 przepowiadał na podstawie apokalipsy wielkie trzęsienie ziemi, które miało połowę Europy zniszczyć i rozerwać je na dwoje. Alpy w bliskości góry ś. Gotarda pierwsze uledz miały wstrząśnieniu, po nich pograniczne pasy francuzkie, włoskie i niemieckie nad górnym Renem. Początek katastrofy przepowiadał Ziehen na rok 1783, koniec na 1786. 22 lutego r. 1786 około godziny 7 wieczorem przejdzie przez południk nad Alpami, wprost nad górą ś. Gotarda olbrzymia kometa i ona to będzie zwiastunem zniszczenia. 25 lutego znaczny obszar skorupy ziemskiej w niezgłębioną zapadnie przepaść. Przepowiednie superintendenta napełniły Europę przestachem, który za pośrednictwem czasopism i broszur dosięgnął i Polski. Niektóre czasopisma polskie uspakajały umysły: 1) rzeczywiście rok 1783 minął szczęśliwie, lecz zdarzenia lat następných poważną budziły obawę. 22 sierpnia r. 1785 o godzinie 7 rano miało miejsce trzęsienie ziemi w krakowskim. W Krakowie i okolicach drżały szyby w oknach, kołysały się meble. W nocy z 26 na 27 lutego r. 1786 nawiedziło znowu trzęsienie całe Podgórze, Śląsk górny i Morawy. Tłómacz polski broszury o przepowiedniach Zie-

1) Pamiętnik polityczny i historyczny z r. 1783 t. II str. 162.

hena ¹⁾ zmienił przez pomyłkę dzień 25 lutego na 27; to samo uczynił Gröll w publikacji z r. 1785 ²⁾ i w „Kalendarzu politycznym dla królestwa polskiego i w. ks. lit.“ na r. 1786, to samo Kalendarz supraślski. Ze w tej właśnie dacie miało miejsce trzęsienie powtarzane, przeto ziszczenie prorocstwa wydawało się niezawodnym i uzasadniony powód do obaw. Dla uspokojenia umysłów „Kalendarz grodzieński“ na rok 1786 wystąpił przeciwko supraślskiemu z polemiką.

„Wiek XVIII—pisał, prawie nieskończonością jest odległy od owych, które się lękały zaćmień i komet. A ziemia, jeśli się wzmochniła rządem oświeconym przeciw zabobonom, to przynajmniej ma polor przed czasem siebie nie męczyć wróżbami. Prawda, iż od owiej strasznie prognostykującej śmierć Juliusza Cezara komety, Seneka i Lukan wróżyli, że bieguny niebios spadną na ekwator, podpory ziemi złamią się, gwiazdy zlecą, ludzie poschną, a bogowie zniszczą ją. Mogłoby to nastąpić, choć nie całe, gdyby komety wystrzelone były na ziemię prosto: ale w biegu swym za cóż tak mają być złośliwe, iżby, z dróg swoich ustępując, nam szkodzić miały? A i gwiazdy po co mają zrzucać się? mając swoje okręgi i systemy grawitacji. Pozwoliłbym prędzej te biedy na księżyc, na którego się skarżą astronomowie, że się chwieje. Komety mogłyby jego niestałość zaciągnąć swoim ogonem do syberyi Saturna, żeby tam czy trząśił się od strachu, czy zmarł od zimna... Lecz Supraśl nie miał myśli o kometach, ale naturalniej, że we wnętrzu ziemi siedzi jej zguba tak, jak bywa u ludzi, że dosyć być zgryzionym w sobie albo występny, żeby wszędzie widzieć i nieszczęście i występki. Centralnie tu ognie nabawiły strachu. A ze strachu kalkulacja chce pociągnąć w zgubę Włochy, Niemcy, Szwajcaryę, Czochoy, Węgry i część Polaków... Przyznam się z doświadczenia, co strach umie. Rok z trzema haczkami był strasznym dla niektórych Polaków t. j. 1777, a jednak dobrze minął dla dobrych i ja w r. 1783, widząc atmosferę ziemi pełną siarki i saletry, z których się robią ognie i pioruny, a z tych wichry i burze, przez sen widziałem, że ziemia będzie albo spalona, albo rozdmuchana. Lecz na jawie spostrzegłem, iż ziemia, jak była, jest dotąd, a kilka domów zgorzało i stara się karczma zawałiła. I teraz tłómaczowi wrózek piwnicznych albo zellerfeldzkich mam honor donieść, że we wszystkich na świecie prochowniach nie tak wiele jest prochów, żeby mogły Europę wystrzelić gdzieś tam za atmosfery Saturna. Supraśl z wulkanów t. j. z kominów ziemi sądzi, że piec mu-

¹⁾ Wypis z książki p. t. „Nachricht von einer bevorstehenden grossen Revolution der Erde die insonderheit das Südliche Europa und einen Theil Deutschland trifft.“ To jest: Opowiadanie bliskiego losu, albo odmiany postaci ziemi, która ma nastąpić w Europie południowej i w części Niemiec. W Frankfurcie nad Meynem. 1783. 8-a stron 15.

²⁾ Wiadomości zględem (sic) zdarzeń w przyrodzeniu. Tudzież uwagi do nich się ściągające. Warszawa, 1785. Gröll 16-a, stron 30 (Odbitka z „Kalendarza politycznego“ na r. 1786).

si być pod Europą, który przez chymię piwniczą ma oną połączyć w r. 1786. Cóż za złość, pod nas piece podsadzać! Lepiej pod ocean, gdzie więcej jest likworów... Kończę prawdziwszem ostrzeżeniem kalendarza supraślskiego, że nie wszystko jest prawda, co bają. Niewszystko jest ciekawością, co jest straszdyłem i co prostota wierzy; że Alboroła, klacz Mahometa, na której jeździł do siedmiu niebios, u Turczynów tylko ma przewodnika z 70 tysiącami głów i że sprężyny natury nie jedynie są tylko w czopkach butelkowych, ani rozum w wieszczbiarstwie.“

Odzwierciadlają się w kalendarzach polskich z wieku XVIII zasadnicze prądy ówczesnej umysłowości, przenikające szkołę i piśmiennictwo. Kierunek krytyczny budzić się począł około roku 1740 i znalazł wyraz w kalendarzu Poszakowskiego, który z teoryjami biblijnymi nie zrywał, z gruntu teologicznego nie schodził, lecz ze stanowiska dogmatu wolnej woli człowieka-astrologią potępił. W następnym dziesięcioleciu astronomia i fizyka doświadczalna zrobiły postęp niemały, użyte też zostały za narzędzia do walki przeciwko wieszczbiarstwu. Pijańcy warszawscy z zamięłowaniem oddawali się fizyce, jezuiti wileńscy chlubnie się odznaczyli na polu obserwacji astronomicznych,—jedni i drudzy w wydawanych przez siebie kalendarzach wymierzili swą wiedzę przeciwko przesądom. „Koleśda warszawska,“ obficie podawała „ciekawości fizyczne,“ „Kalendarz wileński“ artykuły astronomiczne,—dopełniały się wzajemnie, do jednego zmierzając celu. Oporem stanęli reprezentanci kierunku scholastycznego—akademyści świeccy, lecz Komisya edukacyjna astrologią z Krakowa wypłoszyła na zawsze. Od tego czasu kalendarz przestaje bałamuścić umysły prostaków, służy popularyzowaniu wiedzy z dziedzin przeróżnych, niekiedy czynny przyjmuje udział i w rozstrzyganiu zagadnień społecznych. Podobnie jak książka do nabożestwa, wciskał się do sfer, do których dostęp dla słowa drukowanego był trudny, spełniał przeto ważne zadanie oświecania padołów. Kalendarze z wieku XVIII zażęgnywały trwogę, jaką szerzyły w społeczeństwie tradycje astrologiczne, przyczyniały się do tępienia przesądów, w procesie krzewienia oświaty wśród mass odegrały rolę niemałą.

W ŚRODKOWEJ AFRYCE *).

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

Nyangwa leży niemal w samym środku pomiędzy wschodnim a zachodnim brzegiem Afryki. Przed 20 laty Abed-bin-Salim założył tu osadę, potem przybył Dugumbi, później Djumma-bin-Salim, podczas gdy Tibbu-Tibb i inni arabowie osiedli w południowym Kassongo. Miasto rozpada się na trzy części: północną, w której dowodzi Muharra, od środkowej Abeda dzieli błotnista dolina; o 6 km. opodal mieszka Djumma-bin-Salim. Każdy z tych cyrkułów składa się z domów arabów, ich krewnych, klientów, kupców, przybywających od brzegu Afryki, tudzież z chat niewolników. Domy są po większej części murowane, pokryte trawą i zaopatrzone w werandę. Stoją bez ładu, otoczone ogrodami i laskami bananów. Na polach uprawiają ryż; wszelka inna żywność sprowadzana z daleka, kupuje się na targach, odbywających się z kolei w każdym z trzech cyrkułów. Na tych targach można nabyć wszystkiego. Przekupieć zanim zajmie miejsce, stróżom trzech wymienionych magnatów opłaca podatek w ilości $\frac{1}{6}$ do $\frac{1}{10}$ części wartości wystawionego na sprzedaż towaru. Za to na targowiskach jest zapewnione zupełnie bezpieczeństwo. Kłótnie i użycie broni podlegają ciężkiej karze. „Nie można zaprzeczyć, że arabowie, dokądkolwiek przybyli, wprowadzają pewne reformy, co jednak zawsze dzieje się w sposób tak szorstki i egoistyczny, że te reformy, korzystne dla arabów, nie uszczęśliwiają tubylców. Z wszystkich ulepszeń, które spostrzegamy w Nyangwie, prawie żadna nie przeniosła się do ościennych plemion, co uderza, zważywszy długi czas istnienia osady, choć w części tłómaczy się to indyferentyzmem murzynów.“

Zewsząd podróżnicy otrzymywali podarunki, tak że dom ich stał się podobnym do składu wiktuałów. Kozy, owce, ryby, owoce, ryż, miód, warzywa, słodkie pieczywo, jaja i kawa zapełniały izby

*) Dokonczenie. Zob. Zesz. na m. maj r. b.

i werandę. Dnia 17 kwietnia od sędziwego gospodarza byli zaproszeni na obiad. Zastali go przy modlitwie, którą skończywszy prosił ich, aby usiedli, i uczęstował gości wyborną potrawą z ryżu, gołębi i mleka, poczem podano cukierki i kawę. Panowie Wissman i Pogge przywieźli mu kilka drobnostek, szczyzoryk, obraz sułtana Zanzýbaru Said-Bagasza wycięty z dzieła Stanleja, kilka kołczyków i szklanych krzyżyków dla żon jego. Niezwłocznie zawołał ich 8 i przedstawił gościom, wyliczając, jak basza w „Fatinicy“, ich wiek, pochodzenie i cenę nabycia. Były to wszystko bardzo ładne kobiety pomiędzy 15 a 30 rokiem życia. Najstarsza z nich obdarzyła męża trzema synami, z których najstarszy, 16-to letni zupełnie czarny, znajdował się wtedy w Udżyży nad jeziorem Tanganiką; drugi 8-ioletni Salim, całkiem biały, był bardzo piękny; trzeci 2-letni, znów zupełnie czarny. Szeik następnie gościom okazał swe skarby. Było tam nagromadzonych 263 sztuk kości słoniowych, z których od czasu do czasu posyłał kilka do Udżyży, aby zakupić towaru; do brzegu Afryki nie może niczego wysyłać, bo tak się zadłużył u In, dyjezyków w Zanzýbarze, zwłaszcza iż od 24 lat nie płaci procentu że wszystkiemi swemi skarbami nie mógłby uiścić się z długu.

Zaopatrzywszy się powoli w zasoby, potrzebne na dalszą podróż, dnia 5 maja r. 1882 Wissmann rozłączył się z Poggem. Ten z Kalambą i Balubami wracał do Lubuku. Wissmann zamierzał wyruszyć do Zanzýbaru. Zostali przy nim „chorąży“ Humba, odważny i odznaczający się talentem do języków murzyn, młody, potulny Ioachim Nuranda, i stary, nader brzydki ale odważny Kawuansa, murzyn z Ambriz. Wszyscy trzej zatrzymali żony u siebie, Młody służący Pilli i niedawno kupiony 12letni chłopiec Sankurru uzupełniali orszak trzech mężczyzn, trzech kobiet i dwojga dzieci. Nadto Wissmann pożyczył sobie od Abeda 14 niewolników do przeniesienia towarów aż do Udżyży.

Dnia 1 czerwca wyruszył w podróż znanemi już drogami, bo pomiędzy Nyangwą a Zanzýbarem często obiegają karawany. D. 18 lipca przybył nad jezioro Tanganika, gdzie w angielskiej stacyi Plymouth-Koukh doznał gościnnego przyjęcia ze strony misyonarza, p. Griffitha, pierwszego (pominąwszy Poggego) Europejczyka, z którym się spotkał od roku. Odpocząwszy tu kilka dni i odesławszy nosicieli do Nyangwy, Wissmann 1 sierpnia przeprowił się przez jezioro i nazajutrz dotarł do Udżyży, gdzie stanął w missyi katolickiej. Udżyża podobniejsza do miast arabskich, aniżeli do murzyńskich. Pięciu czy sześciu magnatów arabskich, do których się przyłączyli handlarze od wybrzeża tudzież bastardzi, stanowią pierwszą klasę mieszkańców; druga składała się z tubylców, wolnych ludzi plemienia Wadżyżów, po większej części majtkowie w służbie u arabsów; trzecią najliczniejszą tworzą niewolnicy. Ku wielkiemu oburzeniu Arabów, sułtan Zanzýbaru żadnego z nich, lecz murzyna z plemienia Suahelich, Heriego zamianował naczelnikiem miasta. Krwawo-

żółta flaga sułtana powiewała nad jego domem. Sam naczelnik wyruszył był z 7 czółnami na północ celem ukarania królika wojowniczych Warandów. Na odbywających się codziennie targach można nabyć wszystkiego, czego dostarcza okolica: owoców z ogrodów Arabów, ryb, wyborniej soli z Uhy, masła i miodu, niewolników i kości słoniowej z północy i z brzegów Lualaby. Najdrobniejszą monetę wyobrażają czerwone i niebieskie szklane perły w paczkach po 10 sznurów o 10 perłach. Materye bawełniane i krzyżyki miedziane odpowiadają naszej monecie srebrnej, niewolnicy, kość słoniowa i rogacizna złotu.

Nająwszy 15 nosicieli z plemienia Waniemwesów, dnia 2 sierpnia Wissmann ruszył w dalszą podróż i 28-go stanął w Urambo, rezydencyi potężnego króla i sławnego wojownika Miramba. Z po za płotu zagrody — opowiada Wissmann — w towarzystwie dwóch starców, wyszedł na moje spotkanie Mirambo. Chwilę badawczym wzrokiem spojrzeliśmy na siebie, potem przystąpił do mnie, i przez dwa obwarowane dziedzińce zaprowadził mnie na plac przed domem swoim, gdzie usiedliśmy pod cienistym drzewem. Mirambo był mężem około 50 lat, wysokiej postawy, odziany chustką około bioder, i szarym tużarikiem. Pochylając nieco głowę i z uprzejmym uśmiechem na twarzy, na której znać było ślady cierpienia, cichym głosem i wolną mową witał mnie. Potem wyraził zdziwienie z powodu długiej podróży, którą odbyłem, a zwłaszcza, że z tak szczupłym orszakiem przeszedłem przez kraj Uha. W tym skromnym, niemal bojaźliwym człowieku, nikt nie byłby się domyślał wielkiego wojownika, przed którym drżała cała wschodnia Afryka ¹⁾.

¹⁾ Dnia 21 kwietnia r. 1876 Stanley spotkał się z Mirambą w Sorombo u naczelnika Udegi, spokrownionego z „Marsom afrykańskim“. Gdy sobie uściśnęli dłonie, Mirambo z uśmiechem zauważył: „Mąż biały ściska dłoń jak wierny przyjaciel“. Osobistość Miramby natychmiast ujęła Stanleya, bo co do swęj powierchowności był to „zupołny afrykański gentolmann“ i całkiem różny od obrazu sławnego bandyty, jaki sobie był o nim wyrobił podróżnik angielski w swęj wyobraźni. Natomiast ukazał mu się piękny, około 33-letni mężczyzna o regularnych rysach twarzy, miękkim głosem, łagodnej mowie i z wzięciem, które można było nazwać miłem, przytém wspaniałomyślny i hojny. Wieczorem Stanley oddał naczelnikowi wizytę w obozie przed miastem, gdzie go spotkał w namiocie, mającym kształt dzwonu, otoczonego starszymi. Tu tłumacz Manwa-Sora dokonał obrządku zawarcia „przyjaźni krwi“. Stało się to w ten sposób, że Stanley i Mirambo usiedli na przeciwno siebie na kobiercu z słomy, poczem Sora każdego z nich zranił w prawą nogę i wydobytą krew zmieszał mówiąc: „Jeżeli jeden z was to zawarto teraz braterstwo złamie, niechaj go low pochłonie, wąż go otruje, niech gorycz stanie się jego żywnością, niech go przyjaciele opuszczą, niech karabin pęknie mu w dłoni i zrani go, i niech mu się wydarzy wszelkie nieszczęście, aż zginie“. Potem nastąpiła wymiana podarunków, przy czém Mirambo okazał się nader hojnym. Stanley: „Przez ciemny kontynent“, t. I, rozdz. IV.

Większą część dnia Mirambo spędza w nawpół zapadłej i mocno odbijającej od ościennych większych zabudowań chacie, w której pono umarła matka jego. Tu załatwia sprawy publiczne i przyjmuje prośby. Poddani chodzą w zgarbionej postawie, klaszcząc wielokrotnie w dłonie, na co kacyk odpowiada nieznaczającym skinieniem głowy. Piękny stary murzyn o orlim nosie i z wyrazem przebiegłości na twarzy, zdaje się być jego głównym doradcą. Mówi płynnie i z naciskiem, nie spoglądając na władzcę, bo wie, że nawet najmniej spodziewane wieści nie wywołałyby żadnej zmiany w jego spokojnej twarzy. Podług prawideł retoryki afrykańskiej, zdobi swą mowę porównaniami, używa obrazów, umyślnie w żywych barwach przedstawia wypadki nieprzyjemne, aby następnie wieści korzystne tęp silniejsze sprawiły wrażenie. Często nagle urywa mowę i śpiewa którą z pieśni, któremi Waniemwesowie sławią wielkość swego Miramby. Wissmanowi ten starzec wydawał się być, jak na murzyna, niepospolitym dyplomatą. Sam Mirambo porucznika pruskiego wypytywał o szczegóły wojskowe, wiedział o wojnie niemiecko-francuzkiej, dziwił się, gdy usłyszał, że Wissmann zamierza odwiedzić misjonarzy francuzkich w Taborze, i powiedział mu, że w ciągu 3 dni może wystawić 10,000 żołnierzy. Pomiedzy podarunkami Mirambo przysłał porucznikowi 2 butelki szampana firmy Pomery i Greno, które niewątpliwie pochodziły z łupu, zabranego zamordowanym latem r. 1880 przywódzcom wyprawy belgijskiej Carterowi i Catanheadowi. Gdy jednak Wissmann pragnął dowiedzieć się szczegółów o ich śmierci, Mirambo prosił nie wspominać o tęp, i zapewnił, że w tęp sprawie jest całkiem niewinny. Zdaje się, że w bitwie pomiedzy pewnym oddziałem wojsk Miramby a ościennymi murzynami, dwaj wymienieni oficerowie przypadkiem znaleźli śmierć ¹⁾.

Podług podania, Mirambo, syn naczelnika wioski, w służbie pewnego araba kilkakrotnie zwiedził Zanzibar. Razu pewnego pan uderzył go w gniewie laską, za którą to zniewagę murzyn okrutnie się zemścił. Uszedł do lasów pomiedzy Taborą a Ugogo zebrawszy zgraję łupieżców, napadał karawany. Zdobywszy znaczną ilość broni, opanował swą dzisiejszą rezydencją Urambo. Naczelników, zaprzyjaźnionych z arabami, wygnał, następców ich sobie schołdował. Tak powoli rozciągnął swe panowanie nad ogromną

¹⁾ W dziele „La vie en Afrique“, 2 tomy, Bruksella r. 1887 dokładnie to zajęcie opisuje porucznik artylerji Hieronim Becker, członek trzeciej wyprawy belgijskiej, która 4 stycznia r. 1880 pod przewodnictwem kapitana Bamackerra z polecenia „Internacyjonalnego towarzystwa afrykańskiego“ wyruszyło z Brukselli, aby przez Zanzibar dotrzeć do jeziora Tanganika i zabezpieczyć założoną tam przez kapitana Cambiera stacyę Karema (napołudnie od Udżyży).

przestrzenią; na północ często podejmował wyprawy aż do Ukerewe, na wschód aż do kraju Waków, ku południowi wpływ jego sięgał aż do 6^v poł. szerokości, tylko na wschodniej stronie nie zdołał podbić Taborów, potężnej osady arabskiej.

Tu Wissmann stanął 5 kwietnia i ze strony przełożonego misyi katolickiej O. Haut Coeur doznał przyjaznego przyjęcia. W dwa dni potem w niedalekim obozie poznał sławnego handlarza arabskiego Tibbu-Tibba czyli Hamed-bin-Mahometa, który Stanleyowi z znaczną siłą zbrojną towarzyszył przy odkryciu rzeki Kongo, „Jest to mężczyzna około 45 lat i całkiem czarnej cery, choć ojciec jego był czystym arabem. Trochę otyły, a jednak żywy, jest gładki i grzeczny, stanowczy w swoich ruchach, jednakże tak samo jak syn jego Zebu (którego W. poznał w rezydencji Miramba) ma coś bawczego i podstępnego w wzroku i lubi wyszydzać.“

Przylączywszy się do karawany Tibbu-Tibba, Wissmann dotarł 14 gr. do wschodniego brzegu morza, 18 dopłynął do Zanzylaru. Podróż w poprzek Afryki z Loandy do Zanzylaru trwała 2 lata (od 7-go stycznia 1881 do 18 grudnia 1882 r.). Wyznaczona na pierwszy rok przez niem. stowarzyszenie afrykańskie suma 20,000 marek starczyła aż do Nyangwy, tam Wissmann pożyczył 10,000 marek na dalszą drogę.

Tymczasem dr. Pogge, rozłączywszy się dnia 5 maja z Wissmanem w Nyangwie, z synami Riamby wracał do Lubuku i to prawie zawsze temi samymi drogami, któremi karawana dotarła do Nyangwy. Już drugiego dnia spotkał dążące do Nyngwy oddziały Tibbu-Tibba z ujętymi niewolnikami. Gruzy spalonych siół oznaczały krwawą drogę łupieżców arabskich. Na rzekach ukryto czółna, tubylecy podejrzliwie śledzili ruchów karawany, niekiedy trzeba było użyć broni palnej, staczać istne bitwy, aby wymusić przejście. Kalamba i jego wojownicy w tych potyczkach składali ciągle dowody odwagi i zimnej krwi, tylko trudno ich było powstrzymać od pądrowania siół pobitych wrogów.

Dnia 20 lipca karawana przepłynęła się przez rzekę Luluę. Liczyła ona wtedy 135 mężczyzn, 80 kobiet, 50 dzieci, 1 niemowlę. W drodze umarli 3-jej towarzysze Kalamby, 1 niewolnik i dwie niewiasty. Niewolnik z Malanzy został rozszarpany przez jaguara, nosiciel z Mieketty i niewolnik z Mukengi zostali zamordowani, kobieta i dwoje dzieci zginęły. Na zapłatę karawany Pogge otrzymał w Nyangwie 320 łokci materii bawelnianej, 2 faszendy z Malanzy po 18 łokci, 40 funtów kauris i około 10 funtów pereł. Pochód z Lubuku do Nyangwy trwał 4½ miesiąca (od 3 grudnia r. 1882 do 15 kwietnia r. 1883), powrót tylko 2½ miesiąca.

Około ćwierci mili przed stolicą Kalamby zatrzymała się karawana (21 lipca), aby się przystroić na uroczysty wjazd. Nagle wszystkie te czarne postacie zamieniły się w różnobarwne karykatury.

Ku wielkiemu zdziwieniu Poggego, jedna po drugiej materye, które otrzymali w Nyangwie na utrzymanie się, wydobyły się na wierzech. Z czegoż ci ludzie żyli podczas podróży? Prawda że w okolicach, gdzie przeważa wpływ arabów, owoce w pobliżu siół uważane są jako *res nullius*, z której każdy korzystać może, byle nie przywłaszczając sobie zwierząt domowych, żywili się też owadami, których pełno było w gęstej trawie, wyrosłej na pogorzeliśkach, i ceny żywności były też o połowę niższe, aniżeli np. w kraju Kioków. Z tém wszystkiém Pogge nie posiadał się z zdziwienia, spostrzegając, jak oszczędnie ludzie ci żyć umieją. Gdy się wszyscy ubrali w najrozmaitsze kostyummy, orszak uporządkował się i dwa wielkie bębny zabrzmiały; sędziwy naczelnik Kinene, którego faworyta ostatniej nocy umarła w skutek ciężkiego połogu, ukazał się w czarnym mundurze huzarskim i czerwonych pantalonach z flaneli. Sangula-Meta wystąpiła w czarno-jedwabnej mentyli i starych skarpetkach, które jej darował Wissmann. Słowem wielka była okazałość ubiorów. Trzój murzyni z ozdobionemi wstążkami chorągwiemi, krzyżując wesoło, wyskoczyli naprzód. Za nimi postępował poważnie król Kalamba, potem bębny, wojownicy, na końcu Pogge. W mieście zapanowała tém większa radość, ponieważ część mieszkańców mniemała, że Kalamba znikł z białymi w morzu.

W czasie niebytności Poggego, tłumacz Germano założył stacyę, przestronny dom z gliny na niewielkim, czworograniastym placu, piękne drogi, zarośla bananów, trzody kóz i t. d. Dom był 10 m. długi, 5 m. szeroki. Ganek dzielił dwie wielkie izby, zaopatrzone w stoły, ławy i łózka z palów i liścia palmowego. W jednym pokoju zamieszkał Pogge, drugi był magazynem towarów i sypialnią Germana, na ganku sypiali dwaj pacholki. Nie daleko domu znajdowała się kuchnia i słomiana szopa dla kóz.

Pogge mieszkał tu aż do 9 listopada r. 1883, czekając na następcę, którego miało przysłać niemieckie towarzystwo afrykańskie. Pierwszy czas spłynął mu tak przyjemnie, że pod koniec r. 1882 zauważył w swoim pamiętniku: „Żyję tu tak pięknie, tak spokojnie, otaczają mnie czarni ludzie, czegoż więc pragnąć?, to jest ta jednostajność, którą lubię“. Obserwował pilnie stosunki krajowe, klimat, ¹⁾ charakter mieszkańców. Wyznawcy kultu riamby—powiada—t. j. ta cześć szczepu Balubów, która najczęściej handluje z Kiokami i Bangalami, mojem zdaniem, posiada więcej zdolności przyrodzonych, niż którekolwiek inne plemię, które poznałem w środkowej Afryce. Nie są bez wad. Oburzającą jest ich niemoralność i bezwstydnosc, tudzież tak wygórowana namiętnosc

¹⁾ Przy wschodzie słońca termometr wskazuje 19 do 21^o, w południe 27—30^o, o 3-giej popołudniu 29—32^o, przy zachodzie słońca 21—25^o.

handlu, że mąż sprzedaje żonę i dziecko, byle nabyć kilka łokci płótna lub karabin. Ale czują potrzebę podnieść się, wywyższyć, często względem kwestyi religijnych zadawali mi pytania, świadczące o żywej wyobraźni. To też misjonarz znalazłby tu obszerne pole działania. Ich prawa są łagodne i nie uciążliwe dla podróżników. Ludzi, którzy nie utrzymują stosunków handlowych z Kiokami lub z Europejczykami, uważają za barbarzyńców. Ich domy, sprzęty, instrumenta muzykalne etc., wszystko jest kopią wyrobów Kioków lub Bangalów. Królik Kalamba istotnie jest poczciwym człowiekiem, nie znam poczciwszego pomiędzy naczelnikami murzyńskimi. Jednakże podróżnicy, którzyby przybyli do Mukengi, nie powinni mniemać, że w Kalambie znajdują anioła. Jest to czysty murzyn, gdyby jednak opisując charakter murzyna, można mówić o tych przymiotach duszy, które zowiemy cnotami, powiedziałbym, że Kalamba posiada niektóre. Dla stacyi to wystarcza. Przyjmuje on rady od białych, nie jest dotąd uciążliwym w żebraniu, gotów białym dostarczyć ludzi na podróż—oczywiście za odpowiednią zapłatą, która atoli na teraz jest bagatelą. Odemnie za podróż do Nyangwy wzięł towarów wartości 1250 marek. Że synowie Riamby w tych stronach są przydatniejsi, niż nosiciele od wybrzeża, tego dowiedli w tej podróży.

Wszystkich nosicieli z Malanży, którzy w grudniu mieli powrócić do domu, Pogge zastał w Mukenge. Każdy z nich nabył żonę za karabin lub 16 łokci fasendy. Według obliczeń Poggego, w ciągu ostatnich 10 miesięcy z kraju Lubuku, obejmującego 20 do 30 mil kwadratowych, wywieziono około 300 kobiet. Jeżeli to tak pójdzie dalej, musi nastać wyludnienie. Od sierpnia r. 1882 do paźdź. 1883 przybyły do Mukengi cztery karawany Kioków, karawana Ambaquistów i Bangalów, nadto dwie bardzo liczne karawany Kioków i Ambaquistów nieco na północ przepawiły się przez Lulug, aby się udać do Moansangomy. Wszyscy ci handlarze robią dobre interesa. Fakt jednak, że Kalamba często już jako haracz otrzymuje karabiny (zamiast kobiet) i że obcy chłopcy wciskają się pomiędzy mieszkańców kraju, świadczy o niedostatku kobiet. Zdaniem Poggego, niewolnictwo dostało się do murzynów centralnej Afryki od arabów lub pośrednio od Europejczyków. Plemię Beneki nad Lukassim, które nie miało żadnych stosunków ani z arabami, ani z Kiokami, nie zna niewolnictwa. Ale już król Kaszie nad Lubilaszem, wszedłszy w stosunki z Kiokami, sprzedawał niewolników.

Przyjemne z początku pożycie Poggego, z czasem stało się bardzo przykrém, gdy z Europy nie dochodziły żadne wiadomości. Pisał wtedy w swym pamiętniku. „Waleśam się tutaj gorzej, niż najwięcej obdarzy żebrak w Europie.“ Przynętem był chory, wskutek niefortunnego wyrwania kilku zębów cierpiał na zapalenie dziąsła. Wreszcie tłumacz Germano przywiózł z Malanży towarów, Pogge mógł obdarzyć swych gospodarzy i 9 listop. r. 1883 udał się w podróż do zachodniego brzegu. Dnia 16 grudnia przepawił się przez rzekę

Kassaj, następnie krótszą drogą, niż w r. 1881 dotarł pod koniec stycznia r. 1884 do Malanzy, gdzie się spotkał z wracającym z Europy na nową wyprawę Wissmannem. Już wtedy Pogge był bardzo cierpiący, mocny kaszel dokuczał mu i nie pozwalał mu mówić długo. Schudłe jego ciało, istny kościotrup, świadczyło o niedoli i niedostatku, jakie przeżył, jednak był pełen nadziei na przyszłość i uszczęśliwiała go myśl, że wkrótce ujrzy rodzinne strony. Dnia 28 lutego przybył do Loandy, gdzie umarł 17 marca w faktoryi holenderskiej—jeden z tych licznych odważnych Europejczyków którzy odsłonięciem tajemnic afrykańskich przypłacili życiem.

3. Kassaj.

Odbyta w r. 1881 — 1882 przez Wissmanna i d-ra Poggego podróż, na której wypadło przepawić się przez rzeki Kassaj, Sankurru i Lomani, w kołach zajmujących się geografją środkowej Afryki, ożywiła życzenie dokładnego zbadania biegu rzek wymienionych. Przypuszczano wprawdzie, że wszystkie te rzeki wpadają do Kongo, nie było jednak żadnych pewnych wiadomości ani co do ich biegu, ani co do ich ujścia. Livingstone, chociaż przez Kassaj przepawił się na miejsca, posuniętem dalej na południe, niż Pogge i Wissmann, jednak o dalszym biegu rzeki zdołał zasięgnąć najdokładniejszych wiadomości. „Kassaj powiada, później przybiera nazwę Zaira, zwraca się ku północy, potem ku zachodowi, a pod nazwą Kongo pod miastem Banana wpada do morza.“ Stanley, odkrywca na swój pamiętnej wyprawie po rzece Kongo ujście rzeki Ikelembi, uważał je za ujście Kassaju. Później wszelako domyślał się, że Kassaj wpada do nieznanego jeszcze jeziora i stąd w kilku ramionach łączy się z Kongo.

Hojny protektor odkryć afrykańskich, król belgijski Leopold II powierzył Wissmannowi rozwiązanie tych zagadek, mianowicie zbadanie biegu Kassaju, i zaopatrzył go w odpowiednie zasoby. Do tej nowej ekspedycyi oprócz Wissmanna, jako wodza, weszli pruski lekarz sztabowy dr. Ludwik Wolf, który już odbywał podróże w Afryce, pruski kapitan Curt von François, pruscy porucznicy Franciszek i Hans Mueller, cieśla okrętowy Bugslag, który towarzyszył był majorowi Melchowskiemu w podróży do Afryki, tudzież puszkarze Schneider i Meyer. W Hamburgu zaopatrzone się w stalowe, składane czółno, które otrzymało nazwę „Paul Pogge“, w 500 karabinów i działa, darowane przez Kruppa. Dnia 16 listop. r. 1883 ekspedycyna na parowcu „profesor Woermann“ odpłynęła z Hamburga, dnia 17-go grudnia przybyła do osady niemieckiej w Kamerunie, d. 17-go stycznia r. 1884 stanęła w Loandzie, dnia 23 stycznia na parowcu „Serpa Pinto“ wyjechała na rzece Kwanza do Dondo, dokąd przybyła 27 stycznia.

Dondo leży na 100 — 150 m. wysokiem wzgórzu na prawym brzegu rzeki Kwanzo, i z trzech stron otoczone jest wysokimi górami. Jest to miasteczko bardzo ożywione. Nieustannie bowiem przeprawiają się tędy karawany z gumą, kawą, woskiem, kością słoniową, skórą, tudzież wyborną kawą z Kassengo. Rzeka roi się od czółen, na których wiosłarze z Libotto i Kijssamy przywożą olej i ziarna palmowe. Ponieważ żadnemu przybyszowi tych plemion nie wolno w Dondo ukazać się z nabitym karabinem, zanim się przeprowią przez rzekę, wystrzałem oczyszczają broń z naboju, ztąd cały dzień słychać huk broni. W nocy zaś ulice grzmia od śpiewu nosicieli, którzy się bawią tańcem i handlarzom, którym sprzedali towar, wyprawiają serenady, za co są częstowani wódką.

Po 4½ tygodniowym pobycie w Dondo podróżnicy przewóz swych towarów powierzyli kupcowi portugalskiemu i wyruszyli do Malanzy. W drodze spotkali się z wracającym z Lubuku Poggem. Miasto Malanża stanowi najdalej na wschód wysuniętą pozycję portugalczyków w prowincyi Angoli. Naczelnik portugalski, posiadający stopień kapitana, rezyduje w fortalicyi, i dowodzi oddziałem 50 żołnierzy, murzynów. Wielką trudność sprawia mu ściąganie podatków (5 makuty czyli 67 fenigów od zagrody), gdyż naczelnicy siół zawsze na termin przybywają do fortalicyi, aby oświadczyć, że nie mogą zapłacić podatku. Osadzenie tych panów w więzieniu na nic się nie przydało, wreszcie naczelnik portugalski wpadł na szczęśliwy pomysł. Tych naczelników, którzy regularnie płacą podatki, mianuje majorami i obdarza starami angielskimi mundurami podoficerskimi. Dumni z tego wyszczególnienia naczelnicy uiszczają się sumiennie z podatków. Większa część murzynów w Malanży przyjęła chrzest, nie wyrzekając się różnych zwyczajów i przesądów pogańskich. Obrotu handlowego w Malanży mało, bo karawany nie zatrzymują się tutaj, jak w Dondo. W Malanży umarł puszkarz Meyer.

Zaopatrzywszy się w 320 nosicieli, towary, byki do konnej jazdy i t. d., karawana 16 lipca r. 1884 opuściła Malanżę i w północno-wschodnim kierunku, tą samą drogą, którą Pogge był powrócił dążyła do Kassaju, do którego przybyła 18 października. Przed rozpoczęciem zbadania dalszego biegu rzeki, trzeba było zająć bezpieczną pozycję i zapewnić sobie spółdziuł znacznego oddziału tubylców. Przeprowiwszy się więc przez Kassaj, dnia 8-go listop. karawana dotarła do znanego nam już miasta Mukengi. O kilka kilometrów przed stolicą Kalamby rozdano naboje, kucharzy, służących i chorążego ubrano w białe bluzy majtków, poczem orszak ruszył naprzód. Na czele postępował chorąży, potem tłumacze i europejczycy na bykach, za nimi kucharze i słudzy, w końcu nosiciele. Skoro się ukazały z daleka domy Mukengi, karawana wydała kilkadziesiąt wystrzałów, na co niebawem odpowiedzia łokilka salw z miasta. Śród radosnych okrzyków ludności, tworzącej przed miastem

i w ulicach szpaler karawana udała się na kiotę, gdzie czekał na gości Kalamba z starszymi, pomiędzy którymi znajdował się także znany nam już rywal jego, naczelnik Czyngenge, internowany wtedy i Mukendze.

Gdy się ukończyło hałaśliwie przy licznych wystrzałach i huku bębnów przywitanie, Wissmann zawiadomił Kalambę i Sangula-Metę, że zamierza osiąść opodal stolicy nad brzegiem rzeki Lului i tam przedsięwziąć potrzebne przygotowania do wyprawy po rzece Kassaju, przy czém liczy na pomoc Kalamby. Po niejakiem wahaniu, naczelnik przyrzekł, towarzyszyć Wissmannowi na tój niebezpiecznej wyprawie.

Następne miesiące zeszyły na budowaniu stacyi Luluaburgu, śród których to prac umarł porucznik Franciszek Mueller, na eksploracjach, dokonanych przez oficerów ekspedycyi w ościennych krajach i na wyprawach wojennych, podjętych celem utwierdzenia zwierzchnictwa Kalamby nad rokoszanami, wreszcie na budowaniu czółen. Dnia 9 kwietnia r. 1885 Kalamba przybył na ostateczne narady do Luluaburgu, gdzie go Wissmann przywitał następującą przemową: „Witaj Kalambo, pójdziemy razem, aby zwiedzić wielką wodę; daleko do niój, ale zaprowadzę cię tam i pokażę ci rzeczy, których jeszcze nie widziałeś. Dziś spotkałimy się, aby się nad wszystkiem dokładnie zastanowić. Skończyłem.“ Narady rozpoczęły się od prośby Kalamby o wołu dla siebie i o spódnicę dla siostry, której to prośbie Wissmann natychmiast uczynił zadość. Następnie minister Kakoba dowodził, że lud życzy sobie, aby Kalamba nie podejmował się wycieczki na Kassaju, lecz aby tam posłał Kalambę-Muanę (następcę tronu). Atoli władzca oświadczył stanowczo: „Kalamba osobiście odbędzie podróż i cieszy się zobaczyć wielką rzekę. Tchórz, kto się boi przed wodą, niech pozostanie w chacie. Kalamba pójdzie a będąc w drodze, nie wróci przed dojściem do celu. Kalamba-Muana pozostanie w Mukendze a lud będzie go słuchać aż do mego powrotu.“ Wypowiedziawszy swą wolę tak dobitnie, głęboko odetchnął i spojrzał po obecnych z wyrazem dumnego zadowolenia, poczem rozpoczęła się wielka pijatyka synów Riamby.

Dnia 15 maja r. 1885 Wissmann przybył nad rzekę, gdzie wystawiono 10 wielkich, 6 małych czółen, które z czółnem stalowém, przywiezioném z Hamburga, tworzyły okazałą flotyllę. Niebawem nadszedł Kalamba z Sangula-Metą, Czyngengiem i około 1000 ludzi, którzy wszyscy pragnęli towarzyszyć swemu królowi na wyprawie. Wybrano z nich kilkuset, najsilniejszych; nowa nastąpiła trudność, gdy każdy z wybranych pragnął zabrać ze sobą po kilka żon. Kalamba i w tój kwestyi okazał się umiarkowanym, gdyż poprzestał na jednej żonie, za którym to pięknym przykładem poszli także inni naczelnicy. Tylko Czyngenge uparł się i trzeba było pozwolić mu zabrać dwie towarzyski. W Luluaburgu jako naczelnik stacyi pozostał cieśla Buslag.

Dnia 28 maja flotyla odbiła od brzegu w tym porządku: na czele płynął Wissmann w czółnie „Paul Pogge,” Wolf, François i Mueller dowodzili każdy wielkiem czółnem o 14—18 zbrojnych Balubach puszkarz Schneider, i tłumacz Kunja prowadzili wielkie czółna z towarami i żywnością. Kalamba, Czyngenge i inni naczelnicy dowodzili resztą. Rzeka Lulua w tych stronach jest 300 m. szeroka i przecięciowo 6 m. głęboka. Na brzegu widać to okryte lasami wzgórze to dalekie stepy. Na lewym brzegu mieszka szczep Balubów, na prawym wojownicze plemię Bakubów. Liczne, gwałtowne wodospady utrudniają żeglugę.

Dnia 5 czerwca flotyla dotarła do miejsca, gdzie Lulua wpada do Kassaju (kilka mil na południe od 5 stopnia poł. szerokości). Na wielkiej wyspie 2000 m. szerokiego tu Kassaju założono obóz. Niebawem zbliżył się ostrożnie z orszakiem uzbrojonych w łuki i dzidy tubylców naczelnik miejscowy. W niemém zdumieniu patrzyli na białych podróżników. Gdy im pokazano różnobarwne materyc, perły i muszle, powoli stawali się poufalszymi i z wielką ciekawością przypatrywali się wszystkim przedmiotom. Gdy porucznik Mueller zaczął grać na harmonijce, wszyscy pierzełli, uspokojeni powrócili niebawem i przysłuchiwali się grze, zdradzając kurczowém drganiem twarzy głęboką boleść. W końcu prosili podróżników, aby tu zabawili dłużej. Na prośbę o żywność, natychmiast rozesłano gońców i wkrótce nadeszły kobiety z kurczętami, rybami, kukurydzą, maniokiem etc., za które jednak żądali znacznej zapłaty w perłach, muszlach i płótnie. Targ ten dostarczył sposobności, dokładnie przypatrzeć się tubylcom. Byli oni średniego wzrostu, kobiety przystojniejsze, niż mężczyźni. Biodra mieli opasane materyą z włókien palmowych. Z gorszącą bezwstydnością kobiety narzucały się gościom. Broń tego plemienia Bakubów składa się z strzał, łuków, dzid i nożów. Kassaj nazywają tu Uszari albo Nszale-Melle, i opowiadają że dalej na północ mieszka dzikie plemię ludożerczych Bas-sango-Minów, od których Bakubowie za muszle, towary i niewolników nabywają kości słoniowój.

Dnia 7 czerwca flotyla ruszyła w dalszą drogę. Rzeka urozmaicona licznymi wyspami i ławami piasku, to rozszerza się do 2000 m. szerokości, to zwęża do 900 m. Z lewej strony lesiste wzgórze, wysokości 50—100 m. zbliżają się do samego brzegu rzeki. Trzody hippopotamów na ławach piaszczystych sypiają w słońcu. W wysokić trawie na brzegu pasą się trzody bawołów. Często spotyka się ślady słoniów. Ilekroć flotyla mijała stojące na brzegu sioła lub rybackie chaty na wyspach mieszkańcy w niemém zdumieniu przypatrywali się niepojętemu zjawisku.

Dnia 11 czerwca Wissmann założył obóz w pobliżu sioła Bakongów, Muczaczy, osiadłém na wysokićm wzgórze śród lasu palmów. Około 80 — 100 chat otaczał wysoki płot z gałęzi. Stojące przy prostych ulicach chaty podobne były do europejskich strzech

wiejskich. Sciany, złożone z grubych żeber liścia palmowego, otaczały przestronną, wygodną izbę. Obok chat stoją spichlerze do przechowania żywności i narzędzi. W bocznej ulicy przed jedną z chat Wismann spostrzegł zawieszzone czaszki, pochodzące według opowiadania mieszkańców od zabitych a następnie spożytych wrogów. Kóz, świń i owiec plemię Bakongów nie zna. Natomiast posiadają niepospolite kurczęta, kapłony, tuczne psy, jagły, maniok i wino palmowe. Mężczyźni i kobiety noszą włosy zwinięte w piramidę, niektórzy także warkocze. Jedyne odzienie stanowi czerwona opaska z krajowej materii mabeli. Kobiety na piersiach i brzuchu są tatuowane. Broń tego plemienia składa się z strzał, luków i noży, które zatykają za opaskę bioder.

W następnych dniach Kassaj rozszerzał się aż do 4000 m. Nad brzegiem roily się słonie, bawoły, hipopotamy, pelikany, bociany, jastrzębic, ibisy, hałaśliwe papugi, oraz najrozmaitszego rodzaju ptaki.

Dnia 17 czerwca flotyła dotarła do ujścia płynącego od wschodu Sankurru czyli Lubadyi do Kassaju. Tu podróżnicy zatrzymali się 4 dni, usilnie ostrzegani przez miejscowego naczelnika Kakuntego przed dalszą podróżą na zachód, gdzie napotkają na dzikie plemię Bassongo-Minów. Dotąd nie udało się Wissmannowi zczerpnąć żadnej wiadomości, co do dalszego biegu Kassaju, mianowicie czy wpada do Konga? Wszelkie wiadomości tubylców kończyły się na Bassongo-Minach. Co było dalej, to dla tubylców stanowiło tajemnicę. Zdawało się, że tam albo niekorzystne stosunki topograficzne uniemożliwiały wszelką przeprawę, albo też, że tam mieszkał szczep, zdolny z bronią w ręku odeprzeć przychodźców. Ponieważ jednak powrót po gwałtownym Kassaju z tak wielkimi czółnami był niemożliwy, trzeba było koniecznie dążyć naprzód.

Mijając liczne sioła, dnia 20 czerwca flotyła zawitała do sioła Ngung, za którym z lewej strony wpada do Kassaju rzeka Loango, którego czerwono-żółte fale mocno odbijają od ciemno-brunatnej wody Kassaju. Obóz odwiedził tu naczelnik Badingów Makeba, mąż około lat 35, dobrze zbudowany, z orlim nosem i brodą. Na głowie miał czapkę z włókien palmowych, czerwoną opaskę w koło bioder, w dłoni trzymał długą dzidę. Towarzysze jego mieli opaski niekolorowane. Broni palnej nie znają. Kóz tu nie widać, tém więcj kurcząt i świń. Badingowie żywią się głównie kukurydzą, jagłami i bananami, uprawiają też tytoń. O dalszym biegu rzeki i od nich nie można było niczego dowiedzieć się. Za siołem Ngung Kassaj znowu rozszerza się do 5000 metrów. Nad brzegiem widać liczne sioła, z których mieszkańcy za zbliżeniem się flotyli spiesznie uchodzili.

Wreszcie dnia 24 czerwca podróżnicy mieli przybyć do osławionych Bassongo-Minów. Kassaj tu ciągle bardzo szeroki, zapelniony obszernemi wyspami i ławami piasku, które koryto rzeki dzielą na liczne ramiona a czasem na wązkie kanały. Wysokie brzegi wieńczą pokryte palmami wzgórza. Płynąc blisko lewego brzegu z rana podróżnicy spostrzegli dwa stojące blisko obok siebie sioła, których mieszkańcy zebrali się na brzegu. W miarę zbliżania się czółen, wzrastało pomiędzy nimi wzburzenie. Na znak nienawiści i pogardy pluskali wodą na przybyszów, kobiety uchodziły z głośnym krzykiem, mężczyźni dziko skacząc i grożąc łukami, zwolna cofali się. W siołach grzniały rogi wojenne, na które zdaleka odpowiadały podobne odgłosy. Widocznie sygnały alarmu wyprzedzały flotylę. Wszelkie usiłowania porozumieć się z Bassongo-Minami były daremne, odpowiadali tylko: grożąc łukami. Zwłaszcza lewy brzeg rzeki zdawał się być mocno zaludnionym. W krótkim czasie flotyla minęła jeszcze cztery sioła, wszędzie przyjmowana temi samemi groźbami. Jednak po południu przybiła do prawego brzegu, gdzie na łące, otoczonej lasem, rozłożono obóz.

Niebawem nadjechały trzy czółna z murzynami, którzy z bronią w rękę podejrzliwie zbliżali się. Gdy im pokazano muszle (kaurin) i perły, stali się poufalszymi. Powiedzieli podróżnikom, że się nazywają Bassongo-Mino albo Bakutu; że ich szczep osiadł na obu brzegach Kassaju, nad którym panuje. Jako oznakę szczepu swego śpiczasto zaostwiają dwa środkowe zęby. Bassongo w narzeczu miejscowem znaczy człowiek, zaś mino: ząb, a zatem Bassongo-Mino mniej więcej: ludzie zębaci. Przekonawszy się o pokojowem usposobieniu przychodniów, stali się śmielszymi tém więcej, że nie usunąjąc wcale broni palnej, uważali karawanę jako bezbronną. Bassongowie są średniego wzrostu i odznaczają się silnemi muszkułami. Kobiety noszą włosy w tyle zawinięte, na szyi łańcuszki białych pereł tudzież miedziane naramienniki. Odzienie ich stanowią dwa czarne kawałki miejscowego płótna, przywiązane sznurem do bioder. Strzały i łuki bardzo starannie wyrabiają. Brudem i podstępny wyrazem twarzy odstręczają.

Gdy nazajutrz karawana zabierała się do dalszej podróży, nadeszli do obozu ci sami Bassongowie, którzy poprzedniego wieczora odwiedzili obóz i otrzymali podarunki w zamian za żywność. Ale teraz występowali zuchwale, żądając głosem rozkazującym, aby karawana pozostała na miejscu lub powróciła, skąd przybyła; w dalszej drodze naprzód, mówili, spotka samych nieprzyjaciół, którzy ją przywitają zbrojną ręką i zniszczą. Coraz to przemawiali zuchwulej i nadechodziło coraz więcej wojowników, którzy pomiędzy sobą złowrogo szeptali. Na hasło „naprzód” cała karawana rzuciła się do czółen. Wismann w czólnie stalowem i Wolf w wielkiem czólnie drewnianem znajdowali się na końcu flotyli. Równocześnie Bas-

songowie wsiedli do swoich czółen, w środku rzeki kobiety osadzili na wyspie, potem odgrażając się, otoczyli tylną straż flotyli i nagle poczęli strzelać z łuków na Wismanna i Wolfa. Teraz trzeba było działać energicznie. Po kilku salwach napastnicy cofnęli się do brzegu. Tu zagrzmiały trąby wojenne. Co chwila nieprzyjacielskie czółna zbliżały się do dążącej szybko naprzód flotyli, którą obypywano chmurą strzał, po każdym wystrzale karabinów napastnicy rzucali się do rzeki, ukrywając się po za czółnami. Przed każdym siódem powtarzała się walka. Gdy wreszcie pod wieczór flotyła przybiła do wyspy w środku niemal 4 klm. szerokiej tu rzeki, i część załogi już była zajęta zakładaniem obozu, nagle ze wszystkich stron gęste tłumy Bassongów z ogłuszającym okrzykiem: „Niana, Niana!” (mięso, mięso!) rzucili się na karawanę. Półgodzinna, ostra walka zakończyła się porażką napastników, którzy poszli w rozsypkę, gdy zginął ich naczelnik. Bez żywności, otoczeni tysiącami nieprzyjaciół, podróżnicy spędzili przykrą noc na wyspie. Jednakże następnego dnia napady już się nie powoły, a w dwa dni później, flotyła przybiła do gęsto zaludnionej osady plemienia Bangułów, gdzie mieszkańcy dostarczyli manioku i bananów.

Odtąd mieszkańcy bez broni zgromadzali na brzegach, w czółnach wozili za flotyłą banany, maniok i inną żywność, aby je sprzedać podróżnikom przy założeniu obozu. przypatrywali się im ciekawie. Na niektórych wyspach znajdowało się 4—6 wiosek rybackich, a oba brzegi były mocno zaludnione. Kassaj, który w kraju Bassongominów rozciągał się aż do 6 klm., tutaj zwęzał się aż do 350 m.

Dnia 1 lipca flotyła minęła 9 siół na lewym i 3 na prawym brzegu rzeki. Mieszkańcy uzbrojeni stali nad wodą i podejrzliwie spoglądali na przybyszów. Kilka czółen zbliżyło się do flotyli, ale skoro murzyni ujrzeli twarz białą, otworzyli szeroko gębę i w niemęj trwodze spiesznie uchodzili. Około południa podróżnicy zatrzymali się na wyspie. Niebawem dwa czółna z tubylcami ostrożnie nadjechały, na znak, że potrzeba żywności, pojętnie skinęły głową i natychmiast odpłynęły do siół. Wkrótce potem powrócili z maniokiem i bananami i bez trwogi przechodzili się po obozie. Główną ozdobę tego plemienia stanowią obręcze miedziane, zakładane na szyi, na ramieniu i u kostek. Niektóre kobiety nosiły aż 3 takich obręczy, ważących przeszło 3 kilogramów. Opaski z czerwonej materii mabele przywiązują pasem z skóry bawołów. Najciekawszą dla podróżników rzeczą było, że na niektórych tubylcach spostrzegli spódniczki z europejskiego płótna. Kilka kobiet okrywało nawet piersi lub miało na sobie długie koszule, znane na zachodnim wybrzeżu afryki pod nazwą „pannos.“ To zapowiadało, że cel podróży był bliski, bo tylko od rzeki Kongo mogły się tu dostać te materye. Także karabin o skałce, pierwszy na jaki napotkali podróżnicy od chwili opuszczenia kraju Balubów, świadczył o bli-

skości potężnej rzeki i wybrzeża. Po południu zjawił się w obozie murzyn, który twierdził, że dotarł do rzeki Kongo. Według jego twierdzeń, pięć dni marszu wystarczało, aby dopłynąć do Kongo. Słyszał o białych mężach w Gobile (nad Kongo) i opowiadał, że jeździli na osłach. Te opowiadania mocno ożywiły nadzieje podróżników. Nie brakowało atoli oznak odstrasżających. I tak, mieszkańcy siola wzbraniali się wymienić swą nazwę, nie chcieli dostarczyć żadnych wyjaśnień co do biegu rzeki, a gdy się dowiedzieli, że karawana zamierza dotrzeć do „wielkiej wody,” spoglądali po sobie pytająco a potem głośnym buchnęli śmiechem. Trzeba było przypuszczać, że przyjdzie jeszcze przewyciężyć wielkie przeszkody.

Zaopatrzywszy się w żywność, dnia 2 lipca flotyla wyruszyła w dalszą drogę. Po godzinie jazdy, rzeka z razu tylko około 300 m. szeroka, nagle rozszerzyła się do 4,000 m., mnóstwo pokrytych lasami wysp i ławy piaszczyste dzieliły koryto na kilka ramion, ogromne lasy nad brzegiem nadawały okolicy znamię wielce malownicze. Niezliczone papugi przebywały na wyspach i w zaroślach nad brzegiem, zapelniając powietrze hałaśliwem krakaniem. Od uroczego krajobrazu nad Luluą, pomiędzy Czyngenge a Luluaburgiem, podróżnicy nie widzieli tak romantycznej panoramy, nawet synowieriamby, zwykle nieczuli na wdzięki przyrody, zdumieli i radość swą wyrażali głośnymi okrzykami. Z poza gęstych zarośli nadbrzeżnej doliny wychylały się liczne siola. Mianowicie na lewym brzegu wioska stała przy wiosce. Mieszkańcy bez bronii stawali nad wodą i milcząc spoglądali na flotylę.

Około 9-tej z rana zatrzymała się ona przy ławie piasku, aby spożyć śniadanie. W oddaleniu 2—3 klm. naprzód w poprzek rzeki świeciła jasna smuga. Gdy wyruszywszy w dalszą drogę, flotyla dotarła do tego miejsca, pokazało się, że to potężna rzeka, Kuango, tu wpada do Kassaju. O 3 klm. opodal ujścia karawana stanęła na nocleg. Niebawem przybył naczelnik Bateków Mikundu z liczną switą. Wszyscy mieli na sobie materye europejskie, perły, karabiny, miedziane pierścienie na szyi, ramieniu i kostkach. Od Bateków podróżnicy dowiedzieli się, że nie dawno temu parowiec wpłynął do Kuango, z czego mogli wnioskować, że znajdują się blisko celu i nie napotkają już na nieprzewyciężone przeszkody. Kalamba uwiadomił o tём swych poddanych i wyraził nadzieję, że niebawem staną w mieście białych. „Wtedy—dodał—parowiec mój odwiezie mnie, uwiecznzonego sławą, do domu.“ Uważał bowiem jako rzecz niewątpliwą, że w podarunku otrzyma jedno z „czółen ogniowych,“ o których mu Wismann powiadał i o których urządzenie pilnie się wypytywał.

Dnia 4-go lipca flotyla przybyła do osady leżącej na prawym brzegu Kassaju, w pobliżu połączenia się z nią rzeki Mfiri, która wypływa z odkrytego przez Stanleya w roku 1882 jeziora

Lepolda II ¹⁾. Złożona z 12 siół o czworograniastych, wygodnych domach osada nazywa się Muszą. Mieszkańcy w zgrabnych czółnach towarzyszyli flotyli aż do obozu i powiadali, że po dwóch dniach dotrą do Kongo.

Gdy flotyla 5 lipca z rana o godzinie 6-jej ruszyła z miejsca, Kassaj niebawem rozszerzył się z 600 na 7000 m. tak że przybrał rozmiary jeziora. Około południa flotyla zatrzymała się na lewym brzegu, w pobliżu trzech siół, których mieszkańcy, należący do plemienia Bassongów zaopatrzyli gości w kukurydzę, maniok, jagły, trzcinę cukrową i kurezcęta, przyjmując w zamian europejskie materye, perły, gwoździe etc. Opaski ich składają się z czarnego mabele i sięgają od piersi do kolan. Tu karawana odpoczęła przez 6 lipiec.

Nazajutrz udało się podróżnikom ubić aż 7 słoni, po czém założono natychmiast obóz, aby rozdzielić mięso, które mogło starczyć na kilka tygodni, i uraczyć się sutym obiadem. Synów riamby ta nagła i niespodziana po dotkliwym niedostatku obfitości żywności wprawiła w tak wielką wesolość, że wszyscy śpiewali, śmiali się i tańczyli przez całą noc. Nazajutrz w dalszej podróży flotyla spotkała 5 słoni, przepływających się przez ramię rzeki, w krótko potem minęła trzodę około 80 hipopotamów, w 10 minut potem znowu 13 słoni przechodziło przez rzekę, w pobliżu nich osiadło stado dzikich gęsi. Było to istne eldorado na łowy.

Około południa flotyla spotkała 10 czółen miejscowych handlarzy. Mężczyźni, kobiety, dzieci, towary i sprzęty szczelnie zapełniały czółna. Kobiety w krótkich, czarnych opaskach, często z niemowlem na plecach, pracowały wiosłami. Niektórzy z tych murzy-

¹⁾ Zajęty zakładaniem stacyi nad rzeką Kongo, Henryk Stanley dnia 19 maja r. 1882 wypłynął na parowcu „En Avant“ z stacyi Msueta celom zbadania rzeki Kwa. Według opowiadań tubyleców postawała ona z dwóch rzek, z których jedna Mbike (Kassaj) o ciemnej wodzie, jest bardzo szeroka, gwałtowna i niebezpieczna dla czółen, gdy druga Mfini o białej wodzie, płynąca spokojnie, znika wskutek ściśnięcia brzegów. Wpłynąwszy do rzeki Kwa, Stanley zauważył, że przy ujściu do Kongo jest 410 m. szeroka, o wodzie ciemniejszej jeszcze, niż w Kongo, i o wysokich niemal prostopadłych brzegach z czerwonych kamieni. Dnia 21 maja „En Avant“ dotarł do ó-tój wyspy Komeh, na której pod wysokimi palmami spoczywają w grobie królowie i królowe Wabumów, i tegoż dnia przybył do osady Muszy, położonej przy połączeniu się Mfiniego i Mbihago (Kassaj). Sławna królowa Gankobi nie znajdowała się wtedy w miście, ale zaledwo następnego dnia „En Avant“ wpłynął do rzeki Mfini, spotkał wracającą do swój stolicy królowę, która daremnie usiłowała powstrzymać Stanleya od dalszej wyprawy. Dnia 26 maja z rzeki Mfini wpłynął do wielkiego jeziora, którego okrążenie trwało kilka dni. Z ciężką srebą Stanley 7 czerwca powrócił do Msuata, a następnego dnia prawie nieprzytomny, do Leopoldville. Stanley: „Der Kongo“, I, rodz. 21.

nów całe ciało pomalowali czerwoną farbą, co im nadawało dziki, wojowniczy charakter.

Dnia 9 lipca przy silnej burzy, flotyla puściła się w dalszą drogę. Kassaj teraz płynął w południowo-zachodnim kierunku. Koryto jego ścieśniło się do 350 m. Wielkie wzgórza zbliżyły się do samego brzegu. O godzinie 12¹/₂ podróżnicy ujrzeli daleko przed sobą grupę zabudowań, nad którymi powiewało coś jakby flaga. Za pomocą dalekowidzów dostrzegli stacyi, a nad nią błękitny sztandar z złotą gwiazdą (godło nowoutworzonego wolnego państwa Kongo). „Powstał ogromny zapal, dotarliśmy do celu. Przed nami spoczywała majestatycznie szeroka powierzchnia wody, z którą tutaj łączył się Kassaj. Wskutek strzelania i okrzyków radości naszych towarzyszy, wkrótce ożywiło się na stacyi. Wśród gęstego tłumu tubylców, czekało na nas na brzegu dwóch białych, którzy zdawali się być równie zdumieni, jak my. Po wyładowaniu i wymienionym przedstawieniu się, poznaliśmy w wymienionych panach dwóch angielskich urzędników Burtona i Swinburna nowego państwa Kongo, o którym przedtém nigdy nie słyszeliśmy. Pierwsze pytanie nasze dotyczyło leżącej przed nami 15—1800 m. szerokiej rzeki, do której wpadał Kassaj. Był to Kongo.“

Stacya nad ujściem Kassaju do Kongo nazywa się Kwa-mouth. Ze strony wymienionych białych dowódców podróżnicy doznali gościnnego przyjęcia. Miejscowi murzyni nie mogli się dosyć nadziwić dzikim, tatuowanym Balubom i nie umieli sobie wytlómaczyć nagłego nadejścia flotyli z nieznanych sobie okolic. Kongo nazywali „Nszarzi“, „Kassaj“ zaś „Kwa.“

W stacyi podróżnicy dowiedzieli się o utworzeniu państwa Kongo oraz, że król Leopold nakazał wszystkim naczelnikom stacyi przyjąć karawanę Wissmanna gościnnie i dostarczyć jej wszelkiego, wsparcia, powszechnie jednak przypuszczano, że podróżnicy zginęli i nikt nie przypuszczał, aby rzeka Kwa była Kassajem. Następnego dnia Wissmann na czółnie „Paul Pogge“ z p. Swinburnem odpłynął naprzód do stacyi Stanley Pool, aby tam przygotować kwatery dla karawany, która wyruszyła 11 lipca pod dowództwem Wolfa, 16-go stanęła w stacyi Kinszassa nad Stanley-Poolem, czyli jeziorem, utworzonym przez Kongo, a nazajutrz dotarła do Leopoldville. Tu podróżnicy spotkali kilku eksploatatorów, poruczników Kunda i Tappenbecka, d-ra Bültnera, kapitana Massariego, tudzież zamieszkałego na przeciwległym brzegu rzeki w Brazzaville Savorgana de Brazza.

Stosownie do rozkazów króla Leopolda, generalny administrator państwa Kongo, pułkownik Francis de Winton oddał do dyspozycji karawany nowy parowiec „Stanley“, na którym Wolfz Balubami 5 paźdz. 1885 wyruszył napowrót do Luluaburgu, podczas gdy Wissmann powrócił do Europy.

Udało się więc rozwiązać zagadkę biegu Kassaju. Hydrogra-

fia południowego bassenu rzeki Kongo przedstawia się teraz całkiem odmiennie, aniżeli na kartach, dołączonych do wydanego w r. 1885 dzieła Stanleya „Kongo.“ Kassaj nie wpada do Kongo przy stacyi zwrotnikowej, Sankurru nie łączy się bezpośrednio z Kongo, Muansangoma nie jest identycznym z Sulongiem, Loango nie wiedzie do odpływu jeziora Leopolda, Kuango nie stanowi rzeki samodzielnej. Cztery wielkie systemy rzeczne, Kuango, Kassaju, Muansangomy i Sankurru, które przedtém uważano jako samodzielne, zwały się w jeden system Kassaju. Pod 6° 16' połudn. szerokości podróznicy w drodze do Mukengi 18 paźdz 1884 przepawili się po raz pierwszy przez Kassaj, 0,135 klm. na północ, pod 5° 4' poł. szerokości wpłynęli znowu do niego z rzeki Lului, dnia 5 czerw. r. 1885. Aż do połączenia się z Lulua, Kassaj płynie w północnym kierunku, odtąd w północno-zachodnim, wreszcie po połączeniu się z odpływem jeziora Leopolda w zachodnim. Przy ujściu do Kongo głębokość wynosi przeszło 25 metrów. Szerokość koryta Kassaju rozszerza się od 350 m. do 15,000 m. i niekiedy przybiera rozmiary jeziora. Im więcej się koryto rozszerza, tém liczniejszemi stawają się wyspy i ławy piasku, dzielące rzekę na kilka ramion.

Ludność nad Kassajem należy do szczepu Bantu. Każde plemię ma własny język, tak że pomimo ich pokrewieństwa do porozumienia się potrzeba tłumaczy. Najwięcej zbliżone do siebie są języki Bakubów i Baketów, natomiast pomiędzy narzeczem Bakubów a ich wschodnich i południowych sąsiadów zachodzą stanowcze różnice. Najludniejsze są okolice, zamieszkałe przez Bangodów, Badingów i Bassongo-Minów, najmniej zaludnione w kraju Baganów, chociaż tam najwięcej zwierzyny a ziemia zdaje się być żyzną.

Z czasem Kassaj niezawodnie stanie się jedną z głównych arteryi handlowych środkowej Afryki. Wiedzie on wzrost od Kongo do targowisk Kioków i Kalundów, swą wielką rzeką przyboczną Lulua do przystępnego szczepu Balubów, drugą potężną rzeką poboczną Sankurrem do dziewiczych jeszcze stron, zamieszkałych przez wielkie plemię Bakubów.

Bismarck *contra* Fryderyk III *).

PRZEZ

Konrada Machczyńskiego.

IV.

Nigdy, zapewne, szyderstwo losu nie było tak zjadliwem jak w chwili, kiedy spełniały się życzenia tych wszystkich, którzy pragnęli panowania dotychczasowego następcy tronu; nigdy może zabójcza choroba nie wzięła tak fatalnego udziału w losach wielkiego mocarstwa i nie zawiodła tylu nadziei, jak właśnie w czasie tego krótkiego przełomu w dziejach nowozjednoczonych Niemiec, którego apostołem i twórcą miał być Fryderyk III. Zwiastun nowej ery pokoju, rozumnych swobód, prawa, sprawiedliwości i miłosierdzia wstąpił na tron będąc już prawie zupełnie pozbawiony głosu wskutek operacyi tracheotomii, pozbawiony niemal snu i pokarmu, zagrożony lada chwila uduszeniem, nurtowany nieuleczalną i wycieńczającą siły życiowe chorobą i nadto, świadomy swojego stanu. Wstąpił on na tron nie po to, żeby włożyć na głowę koronę cesarską i pruską, lecz żeby dźwigać dalej ten krwawy wieniec cierniowy, który, od dawna wpił mu się w skronie; wstąpił nareszcie na tron, gdzie go czekała nie purpura cesarska, ale całun śmiertelny, nie blaski i potęga cesarskiego majestatu, który, w ciągu dłuższego żywota, dałby mu moc do urzeczywistnienia wzniosłych ideałów, ale zaledwie studniowe panowanie fizycznego i moralnego męczeństwa. Wielki

*) Ciąg dalszy. — Patrz zeszyt za m. maj r. b.

już chyba wagi były powody, dla których Fryderyk III nie wyrzekł się takiego panowania i dla których pragnął go nawet, jeżeli prawdą było, co w swoim czasie głosiły dzienniki gadzinowe, że gdy w San Remo doktor Mackenzie obiecywał mu jeszcze cztery lata życia, miał przyszyść cesarz sam, czy ktoś z jego najbliższego otoczenia, odpowiedzieć: choćby cztery miesiące byle na tronie!

W obec nieuniknionej i bliskiej śmierci tracą zupełnie wartość wszelkie powaby ziemskiego życia, nawet te, które dać może potężnego państwa korona, a człowiek pragnie już tylko umrzeć bez cierpień i w spokoju. Jedną tylko jakąś czystą i szlachetną ideą, mającą na celu dobro całej ludzkości albo własnego narodu, może nawet w umierającego wlać tyle siły duchowej, że dla tej idei wyrzecz się przedgrobowego spokoju, dźwignie z łoża boleści i resztkami gasnącego życia walczyć jeszcze będzie za prawdę, w którą uwierzył i którą szczerze ukochał. Ale do takiej ofiary zdolne są tylko wielkie charaktery i serca, które dają się poznać dopiero w przeciwnościach i nieszczęściu. Do takich charakterów należał niewątpliwie Fryderyk III. Wierzył on w te wzniosłe idee, które wypielegnował w swęj szlachetnej duszy, wierzył w ich pożyteczność dla własnej ojczyzny i społeczeństwa europejskiego, i dla tego pragnął im służyć do ostatniego tchnienia. Wiedział dobrze ukoronowany humanista, że mu zabraknie czasu do ich urzeczywistnienia, pragnął jednak chociaż kosztującą już dłonią rzucić z wysokości tronu kilka ich ziarn na ojczystą i wszechświatową głębię, w nadziei, że jeżeli sam nie ujrzy z nich owoców, to przynajmniej ziarna tych idei zdążą zakiełkować pod opiekuńczą osłoną jego berła, a po nim, znajdując już takich, którzy je będą dalej chodować. Znał i oceniał trudności jakie napotka i przeszkody, z jakimi walczyć będzie zmuszony. Znał zadawnioną, głęboką a niedość nawet ukrywaną niechęć, jaką ks. Bismarck żywił dla niego, dla cesarzowej i dla tych idei, które on właśnie wyznawał, a mimo to, oceniał geniusz polityczny, doświadczenie i ogromne zasługi kanclerza, i rozumiał, że po za sferą osobistych sympatyj i antypatyj, są jeszcze wyższe interesy państwa, z powodu których nie można pozbawić się usług takiego ministra. Znał potęgę ks. Bismarcka, który trzymał w swych rękach wszystkie nici zagmatwanej polityki zagranicznej, posiadał wszystkie tajemnice stanu, niedostępne dla innych, a zarazem kierował całą skomplikowaną maszyną rządową. Było to, rzeczywiście, zadanie, przechodzące siły gasnącego już cesarza, wymagające długiego czasu, w każdym razie dłuższego niż zakresiony jego życiu, zadanie, połączone z ciężką i uporczywą walką, która mu też zabrała ostatnie chwile. Podjął ją wszakże Fryderyk III w imię swych idei, i rozpoczął przygotowując się, stopniowo, oględnie, i z zupełną świadomością celu, do jakiego dążyć powinien. Nowy cesarz jeszcze przed wyjazdem z San Remo wyraził

telegramem swoje wdzięczność ks. Bismarckowi i ministrom za wierność i przywiązanie, z jakim służyli nieboszczykowi cesarzowi, dodając, że i sam liczy na ich współdziałanie, a pierwsze jego rozporządzenia, w których nie wyznaczał czasu trwania żałoby po zmarłym monarsze, lecz pozostawiał własnemu uznaniu każdego Niemca przez jak długo i w jaki sposób chce wyrazić swój żal po tej stracie, zostały przyjęte przez naród z wielkiem uznaniem i rozrzewnieniem. W Lipsku, dokąd ministrowie wyjechali na spotkanie monarchy, oboje cesarstwo przyjęli ks. Bismarcka bardzo łaskawie, cesarz kilkakrotnie go uściskał, długo z nim za pomocą kartek rozmawiał i zatrzymał go w swym wagonie aż do przyjazdu do stolicy. Gdy jednak kanclerz wspomniał o projekcie odezwy nowego monarchy do narodu, Fryderyk podał mu przygotowany już przez siebie, następujący manifest, i polecił go ogłosić.

Do mojego narodu!

„Zakończył dni pełne chwały cesarz Wilhelm. W ojcu ukochanym, którego oplakuję, i nad którego stratą cały mój dom królewski pogrążony jest w największym bólu, utracił wierny lud pruski swojego sławę uwieczzonego króla, naród niemiecki założyciela swęj jedności a państwo wskrzeszone pierwszego cesarza Niemiec.

Pamięć jego świetnego nazwiska połączy się nazawsze i nierozzerwanemi węzłami ze wszystkim, co stanowi wielkość ojczyzny niemieckiej, w której odrodzeniu wytrwała praca ludu pruskiego i jego monarchów znalazła swoje najpiękniejszą nagrodę.

Podniosłszy niesłabnącą ani na chwilę pieczołowitością ojcowską armią niemiecką na wyżynę siły, zgodnej z jej wielkiem powołaniem, umożliwił on zwycięztwa broni niemieckiej, odniesione pod jego dowództwem, z których wyszło zjednoczenie narodowe, zapewnił przez to państwu stanowisko potęgi, o jakiej każde serce niemieckie przedtem marzyło, jakiej wszakże nawet spodziewać się nie miało odwagi.

A co w ciężkich, pełnych poświęceń wojnach dla narodu swego zdobył, to pozwoliła mu Opatrzność pracą pokojową długich, uciążliwych lat utwierdzić i rozszerzyć.

Opiernąjąc się bezpiecznie na własnej potędze, stoją Niemcy dzisiaj poważane w radzie narodów i pragną tylko, ażeby w dalszym pokojowym rozwoju mogły radować się bezpiecznie uzyskanem dobrem. Że tak jest, zawdzięczamy cesarzowi Wilhelmowi, jego nigdy nie dającej się zachwiać wierności dla obowiązków, jego niezmordowanej, wyłącznie dobru ojczyzny poświęconej zabiegliwości, opartej na stwierdzonej przez naród pruski, zarówno jak przez wszystkie szczyty niemieckie, gotowości do ofiar.

Na mnie przeszły obecnie wszystkie prawa i obowiązki, połączone z koroną mojego domu, których wiornie przestrzegać zamysłam w okresie czasu, wymierzonym dla mnie przez wolę bożą. Prze-

jęty wielkością mego zadania, będę żarliwie starał się rozwijać dzieło w tym samym duchu, w jakim zostało stworzone, ażeby z Niemiec uczynić strażnicę pokoju i wspólnie ze sprzymierzonymi mocarstwami, tudzież z konstytucyjnymi organami cesarstwa i królestwa pomyślność ich zapewnić.

Mojemu wiernemu ludowi, który przez długie wieki dziejów, w złych jak dobrych czasach wiernie stał przy mojej rodzinie, oddaję się z nieograniczonym zaufaniem, będąc przekonany, że na podwalinie nierozdzielonego związku między księciem i narodem, stanowiącego niezależnie od zmian przejściowych w życiu państwowym nienaruszone dziedzictwo szczepu Hohenzollernów, korona moja spoczywa również bezpiecznie, jak powodzenie kraju, do którego rządów zostałem powołany, i któremu przysiągłem być sprawiedliwym, w dobrej i złej doli oddanym królem. Oby Bóg użyzył mi swojego błogosławieństwa i siły do spełnienia dzieła, któremu oddaję moje życie poświęcam. Berlin, 12 marca 1888 roku Fryderyk III.“—

Jednocześnie z tym manifestem wydał cesarz Fryderyk reskrypt na imię kanclerza państwa następującej osnowy:

„Kochany Księżę!

„Ująwszy w ręce wodzę rządu, uczułem potrzebę zwrócenia się do Pana, wieloletniego, zasłużonego pierwszego sługi mego zmarłego ojca. Pan byłeś zawsze jego wiernym nieustraszoną doradcą, któryś cele jego polityki wielił w określone realne kształty bytu i uwarunkował ich urzeczywistnienie. Ja i dom mój winni jesteśmy Panu uczucie gorącej wdzięczności. Dla tego też Pan masz prawo najpierw dowiedzieć się, jakimi poglądami kierować się będę w rządach moich.

„Konstytucja i prawne postanowienia Cesarstwa mają być zachowywane ponad wszystko, z należnym im poszanowaniem, aby się zrosły z obyczajami i zwyczajami narodu. Dla tego też należy o ile możności starać się unikać wstrząśnień, które wywołują częste zmiany instytucji państwowych i praw. Powodzenie zadań rządu cesarskiego nie powinno wstrząsać tych mocnych podstaw, na których państwo pruskie spoczywało dotąd stale i mocno. W Cesarstwie należy również sumiennie szanować prawa konstytucyjne wszystkich rządów związkowych, jak i prawa „rajchstagu“, ale i od tej i od tamtej strony należy domagać się poszanowania praw cesarza, przyczem należy mieć na uwadze, że obustronne te prawa mają służyć wyłącznie ku rozwojowi dobrobytu społecznego, gdy tymczasem prawem najwyższem będzie zawsze to, że nowopowstające niewątpliwe potrzeby narodu mają być w zupełności zaspakajane. Jako konieczną i najpewniejszą rękojmię rozwoju tych zadań uważam nietykalność sił zbrojnych państwa i wypróbowanej mej armii i rozwijającej się floty, która będzie miała poważne

zadanie do spełnienia w skutek nabycia posiadłości zamorskich. Armia i flota powinny być zawsze na wyżynie doskonałości swęj organizacji, która była podstawą ich sławy i zapewnia im przyszłe powodzenie.

Postanowiłem rządzić Cesarstwem i Prusami sumiennie, zachowując przepisy konstytucyi Cesarstwa i konstytucyi pruskiej. Instytucye te, stworzone przez moich przodków, którzy na tronie zasiadali, w mądrém poczuciu nieodwołalnych potrzeb i nastęrczających się do rozwiązania trudnych zadań społecznego i państwowego życia, powinny być szanowane przez wszystkich, ażeby mogły wykazać swą siłę i dobroczynną działalność. Pragnę, ażeby zasada tolerancyi religijnej, przez dom mój przez wieki ściśle zachowywana, służyła i w przyszłości jako obrona dla wszystkich moich poddanych, do jakiegokolwiek kongregacyi religijnej należećby mogli i jaką-bądź wyznawaliby religią. Każdy z nich jednak jest blizki sercu mojemu, gdyż wszyscy w jednakowym stopniu dowiedli w dniach niebezpieczeństw swego zupełnego oddania się. Zgodnie z poglądami zmarłego ojca mego, gorąco będę podtrzymywał wszystkie dążenia, któreby mogły przyczynić się do ekonomicznego dobrobytu rozmaitych warstw społecznych, będę godził wszystkie ich wręcz przeciwne sobie interesa, i według sił będę łagodził złe konieczne, nie budząc jednak nadziei, jakoby drogą interwencyi państwa, można było zniszczyć wszystkie smutne strony ustroju społecznego. Staranie i opiekę, nad wychowaniem dorastających pokoleń, uważam za ściśle złączone z kwestyami społecznymi. Jeżeli z jednej strony koniecznie uprzystępnic należy wyższe wykształcenie dla coraz szerszych kół, z drugiej jednak należy przedsięwziąć środki zaradcze, ażeby wykształcenie połowiczne nie wytwarzało poważnych niebezpieczeństw, ażeby nie wzbudziło żądań, których nie mogą zadowolnić ekonomiczne siły narodu; również należy starać się, aby wobec jednostronnego dążenia do pomnażania wiedzy, nie zapomniano o zadaniach wychowania młodzieży. Jedynie tylko wówczas młode pokolenie będzie posiadać dostateczną siłę odporną, konieczną do zwalczania niebezpieczeństw, które — w dzisiejszych czasach szybkich ruchów ekonomicznych, dzięki przykładom wysoko sięgających żądań od życia oddzielnych jednostek, — powstają dla społeczeństwa, jeśli wyrosnie w zasadach bojaźni bożej i w prostocie obyczajów. Pragnę, ażeby przy każdej zdarzonej okoliczności, w służbie rządowej dążono do przeciwdziałania pokusie niepomiernego wydatkowania pieniędzy. Zapewniam z góry zwracać pilną uwagę z męj strony na każdy projekt reform finansowych, jeżeli oddawna i z powodzeniem praktykowana w Prusach oszczędność nie pozwoli uniknąć nałożonych albo nie doprowadzi do ulżenia dawniejszych podatków. Udzielony większym i mniejszym gminom samorząd uważam za dobry w swych skutkach, ale uważam za konieczne zastanowić się nad tém, czy nie zdarzają się wypadki nieproporcjonalnego opodatkowania

wania jednostek w skutek tego, że gminom udzielono prawo nakładania podatków, z którego one korzystają, nie zwracając dostatecznej uwagi na podatki jednocześnie ustanawiane przez Cesarstwo i przez każde odzielne państwo. Również należy zastanowić się nad tem, czy nie można zaprowadzić pewnych uproszczeń w ustroju władz administracyjnych, a w takim razie zniżenie liczby urzędników pozwoliłoby zwiększyć im pensyą. Jeżeli w ten sposób uda się zachowanie w pełnej sile podstawy społecznego i państwowego życia, będę miał szczególną przyjemność w pomaganiu zupełnemu rozwojowi sztuki i nauki niemieckiej, które już osiągnęły tak wysokiego stopnia doskonałości. W celu urzeczywistnienia moich zamiarów liczę na pańskie, tak często dowiedzione oddanie się, na pomoc pańskiego doświadczenia. Oby mi było danem doprowadzić Niemcy i Prussy drogą pokojowego rozwoju do nowych zaszczytów, przy pomocy jednomyślnego, wspólnego działania organów rządowych Cesarstwa, przy udziale przedstawicieli narodu, jak również i wszystkich władz administracyjnych, przy współudziale wszystkich warstw ludności. Nie troszcząc się o blask wielkich czynów, godnych chwały, będę zadowolony, jeżeli z czasem o rządach moich można będzie powiedzieć, że były one zbawienne dla narodu mojego, były dla kraju mego pożyteczne, a szczęściem były Cesarstwa. Berlin, 12 marca 1888 r. Dobrze życzący *Fryderyk III.*“

Obadwa te, wielkiej doniosłości dokumenty historyczne, nie zawiodły nikogo: ani przyjaciół ani nieprzyjaciół cesarza. Pierwsi znaleźli w nich to, czego spodziewali się po nim, gdy był jeszcze następcą tronu, drudzy to, czego się mogli obawiać i dla czego nie chcieli żeby panował.

Przedewszystkiēm nie mogły podobać się ks. Bismarckowi same już narodziny tych aktów, które poczęły się, dojrzały i przyszły na świat bez jego wpływu i udziału. Taka samodzielność nowego monarchy nie mogła być pożądaną dla tych wszystkich, którzy od lat przeszło dwudziestu przyzwyczajeni byli widzieć w kanclerzu wyrocznię, bez woli, a przynajmiej bez poradzenia się którejś, nic się nie działo za Wilhelma I; tēm bardziej zaś nie mogła być miłą samej wyroczni. Więcej jeszcze dawała im do myślenia osnowa obudwóch dokumentów, a szczególnie reskrypt cesarski do ks. Bismarcka.

Manifest do narodu musiał zawrzeć się w sferze większych lub mniejszych ogólników, utartych już i przyjętych w aktach tego rodzaju, ale i nie mógł pominąć tego, co w uroczystej chwili objęcia tronu i w okolicznościach ówczesnych, musiało być w nim wypowiedziane. Złożył więc nowy monarcha hołd pełen największej czei swojemu poprzednikowi i ojcu, za którego panowania tylu wielkich dzieł dokonano i który wyniósł państwo do potęgi przechodzącej najsmielsze oczekiwania, oddał w gorących wyrazach sprawiedliwość armii i jej wyborniej organizacji, która tyle zwy-

cięztw odniosła i nie mógł pominąć wytrwałej pracy ludu pruskiego i jego monarchów, która przygotowała zjednoczenie niemieckie. Syn i następca Wilhelma I miał obowiązek wypowiedzieć, że będzie się starał rozwijać dzieło swojego ojca w tym samym duchu, w jakim zostało stworzone, i zaraz dodał—jakby dla zapobieżenia domysłom o jakichbądź dalszych intencjach zaborszych: że dzieło to zostało na to stworzone, aby było strażnicą pokoju. Swoje usposobienie pokojowe zaznaczył nawet po raz drugi, zapewniając, że Niemcy pragną tylko radować się w pokoju wszystkiemi już dobrem. W tym, stusunkowo krótkim i treściwym nanifeście, nie pominął także konstytucyjnych organów cesarstwa i królestwa, dając im wybitny udział w pracy nad pomyślnością Niemiec. Nareszcie, to oddanie się cesarza z nieograniczonym zaufaniem swojemu ludowi, któremu tak uroczyście przysięga być sprawiedliwym i w dobrej czy złej doli oddanym królem, wychodzi niemal z tonu chłodnej i majestaticznej powagi, w jakim piszą się zwykle tej doniosłości odezwy, i uderza już wprost w strunę wzniosłej i szlachetnej serdeczności. Jedną z nader ważnych zalet tego manifestu stanowi szczerość i prawda, które go wyraźnie cechują, i dla tego słowa cesarskie wzbudziły tém większe zaufanie. Widnieje w nim wielka godność majestatu, ale bez groźby i z gotowością poświęcenia się dla narodu, jest w nim poczucie rzeczywistej siły państwowej, ale tej nadano charakter wyłącznie obronny. Z natury rzeczy, manifest ten musiał mówić dużo o wojnach, zdobyczach, zwycięztwach i tryumfach, a mimo to wszystko jest on na wskróś pokojowy. Co więcej w tém skromnym wyznaniu, że Niemcy marzyły wprawdzie o potędze, do jakiej doszły, ale że spodziewać się jęj nie miały nawet odwagi, można dopatrzeć m e m e n t o l dane przez stojącego nad grobem cesarza zaślepionej powodzeniem zarozumiałości i bucie junkierstwa prusko-niemieckiego.

Reskrypt do ks. Bismarcka—to już nie ogólniki manifestowe, ale program rządowy, nakreślony zasadniczo, stanowczo i w tonie prawie rozkazującym. Sprawiedliwość nakazała Fryderykowi III podnieść ogromne i niezaprzeczone zasługi kanclerza, jakie położył dla Pruss, Niemiec i domu cesarskiego, oraz wynurzyć mu za to uczucie gorącej wdzięczności; ale to s u m c u i q u e zastosował nowy monarcha i do własnej samodzielności, zapowiedziawszy jednocześnie, że na sprawy państwa ma swoje własne poglądy, którymi kierować się będzie w rządach swoich, i że te poglądy tak dalece wolne są od dotychczasowych zwykłych wpływów na panującego, iż ks. kanclerz pierwszy dowiaduje się o nich. Wprawdzie, powiedziano to w innym zwrocie, w uprzejmiej i pochlebnej formie, ale głównej myśli tego ustępu reskryptu trudno inaczej rozumieć.

Reskrypt Fryderyka III ma za przedmiot tylko rządy wewnętrzne Pruss i cesarstwa niemieckiego, gdyż polityka zagraniczna i kwestye narodowościowe są w nim zupełnie pominięte; dotyczy

więc wyłącznie tych spraw państwowych, w których najbardziej uwydatniała się różnica, zachodząca między poglądami na nie nowego monarchy a kanclerza i jego systematem rządzenia. Wiadomo dobrze, jak niewiele robił sobie ks. Bismarck z pruskiej i niemieckiej konstytucyi, jak lekceważył obadwa parlamenty, jaki nacisk umiał wywierać na reprezentatów państw związkowych; jak pomysłowym był w sztuce przeprowadzania bądź groźbą i naciskiem, bądź łudząc, rozbijając i paraliżując stronnictwa polityczne—licznych praw wyjątkowych, które krępowały wolność prasy, sumienia, głosowania i wyborów, i mocno nadwężyły zasadnicze podstawy rządów konstytucyjnych i liberalnych. Wiadomo również, jak zawzięcie stronnictwa wolnomyślnie i liberalnie walczyły przeciwko temu nadużywaniu przewagi, jaką posiadał kanclerz przez swe zasługi i talenta, który dla przeprowadzenia swych planów nie wahał się nawet wciągać osoby zmarłego cesarza do walk stronnicych i uciekać się aż do zagranicznej interwencyi Ojca Świętego. Tymczasem nowy monarcha wyraża stanowczo i po czterykroć swoje, wprost przeciwne temu wszystkiemu poglądy, i zapowiada kanclerzowi: że konstytucya i prawne postanowienia cesarstwa mają być zachowywane po nad wszystko i z należnym dla niej poszanowaniem; że należy, ile możności, starać się unikać wstrząśnień, które wywołują częste zmiany praw i instytucyi państwowych; że w cesarstwie również sumiennie należy szanować prawa konstytucyjne rządów związkowych i prawa parlamentu cesarstwa, i jeszcze raz powtarza, że postanowił rządzić cesarstwem i prusami sumiennie, zachowując postanowienia konstytucyi cesarstwa i konstytucyi pruskiej. Trudno już dobitniej wyrazić dezaprobaty dla dotychczasowego sposobu rządzenia państwem i trudno z większą stanowczością ogłosić się obrońcą zasad liberalnych i lepszego postępowania. Było to rzeczywiście, rzadkie w swoim rodzaju zjawisko, że w państwie, bądź jak bądź konstytucyjnym, nie ministrowie widzą się być zmuszeni do przedstawiania monarsze obowiązku szanowania ustaw konstytucyjnych i uchwał sejmowych, ale przeciwnie, sam cesarz kładzie veto przeciwko dotychczasowemu antikonstytucyjnemu postępowaniu swoich ministrów i zapowiada im, że nadal tak być nie może. I oto, te same poglądy, przekonania i idee, które następcę tronu wyznawał, w obronie których napróżno walczył i protestował, za które dużo cierpiał, dzisiaj już cesarz ogłasza uroczystie jako program swych rządów i stosowanie się do nich poleca głównemu ich przeciwnikowi. Był to punkt kulminacyjny reskryptu cesarskiego, a zarazem, obok innych jeszcze powodów, bodaj czy nie najgłówniejszy punkt sporny tego dziejowego procesu, który ks. Bismarck przez wiele lat toczył skrycie z następcą tronu i cesarzem, a w końcu jawnie już i publicznie z jego pośmiertnym wspomnieniem w skandalicznej sprawie Geffken'a.

Nie mogła również podobać się kanclerzowi bezwzględna zasada tolerancyi religijnej, wygłoszona przez Fryderyka III, ani jego pogląd na interwencyą państwa w kwestyach ekonomiczno-społecznych. To uroczyste zapowiedzenie wolności sumienia z jednej strony, było niemiłym przypomnieniem i jakby pośrednią naganą owęj niefortunnej walki o kulturę, tylko co zakończonej ciężkim kosztem stosunków poznańskich, a z drugiej wola cesarza, aby zasada tolerancyi religijnej służyła w przyszłości za obronę dla wszystkich jego poddanych, dawała rękojmię, że nowy monarcha nie dopuści więcej wywoływania niebezpiecznych i niesprawiedliwych sporów kościelnych i używania ich za narzędzie w widokach czysto politycznych. Poglądy reskryptu na stosunki ekonomiczno-społeczne nie godzą się także z osławionym socjalizmem państwowym, za pomocą którego ks. Bismarck mniema wyleczyć Niemcy z jednej z najcięższych chorób społecznych. Cesarz pragnie gorąco przykładać się do dobrobytu ekonomicznego, godzić przeciwne sobie interesy i łagodzić zła konieczne, nie budząc jednak nadziei, jakoby interwencya państwa była w stanie usunąć smutne strony społecznego ustroju, i pod tym względem posiadała cudowną siłę uniwersalnego lekarstwa. Skuteczniejszy środek przeciwko chorobliwym żądaniom, których nie mogą zadowolnić siły ekonomiczne narodu, widzi on raczej w wykształceniu naukowem i w wychowaniu pokoleń. Żeby jednak jedno i drugie prowadziło do celu, reskrypt cesarski wymaga, ażeby to wykształcenie było gruntowne i zupełne, wymaga zatem, żeby nie dawało tylko połowicznej oświaty, wytwarzającej półmędrków i niedouczonek, w których głowach powstają najeżęściej idee niemożliwe i utopie, a którzy stanowią zwykle główny ferment, wywołujący niebezpieczne wstrząśnienia społeczne. Młodzież powinna być wychowywaną w bojaźni bożej i prostocie obyczajów, bo tylko wtedy znajdzie w sobie siłę odporną przeciwko tym niebezpieczeństwom i pokusom. Obok tych poglądów, które cechują wytrawnego myśliciela i męża stanu, zaleca reskrypt oszczędność, uproszczenie administracyi i t. d., a za szczególną dla siebie przyjemność uważać będzie monarcha pomaganie rozwojowi nauki i sztuki niemieckiej.

Fryderyk III, jako król pruski, musiał pamiętać o tém, że militarizm, gospodarność, oszczędność i wyborna administracya Pruss, oraz racya stanu, jaką kierowały się w swoim państwowym rozwoju, były dźwignią, która zjednoczyła Niemcy i stworzyła cesarstwo, i dla tego zastrzega, żeby dla powodzenia zadań rządu cesarskiego nie naruszać tych podstaw, na których królestwo pruskie dotąd spoczywało mocno i trwale. Władca znów państwa, które doszło do takiej potęgi i wzrosło siłą oręża i zwycięztwami na polach bitew, miał bardzo naturalnie obowiązek zastrzedz nietykalność sił zbrojnych i utrzymanie ich na wysokości swęj doskonałej organizacyi, ale te siły uważa Fryderyk III tylko za konieczną rękojmię bezpieczeństwa i wewnętrznego rozwoju państwowego. Zakończenie wresz-

cie reskryptu, że jeżeli powiedzą o jego rządach, iż były zbawienne dla narodu, dla kraju użyteczne i szczęśliwe dla cesarstwa, to będzie chwałolony, nie troszcząc się już o blask wielkich czynów, godnych chwaly, jest niejako uroczystym wyrzeczeniem się polityki zaborczej i nosi na sobie w wysokim stopniu charakter pokojowy.

Całe Niemcy liberalne, prasa europejska i opinia publiczna przyjęły słowa cesarskie z głębokim uznaniem i prawdziwą radością. Program ten nowego panowania rozbiegano i komentowano wszechstronnie i zawsze dochodzono do konkluzji, że jest on uroczystą inauguracją rządów liberalnych, rządów sprawiedliwości i ludzkości, a zarazem inauguracją ery jakiegoś lepszego i na trwalszych podstawach opartego pokoju. Wnioseków tych nie osłabiała bynajmniej okoliczność, że obydwie odezwy cesarskie nie dotyczyły polityki zagranicznej, albowiem samo już tak silne zmanifestowanie w nich usposobień pokojowych Fryderyka III, wróżyło nietylko utrzymanie i utrwalenie już silniejszych politycznych przyjaźni, ale jeszcze i polepszenie stosunków międzynarodowych tam, gdzieby tego zachodziła potrzeba. Nowy cesarz nie był podobno zbyt gorliwym rzecznikiem niemiecko-austriackiego związku, nie szedł przecież tak daleko, żeby nie uznawał korzyści istniejącego od lat dzie więciu przymierza. Nie trudno mu było również zastosować się do ostatniej woli Wllhelma I, który zalecił staranie się o utrzymanie dobrych stosunków z Rosją, którą nowy cesarz znał bliżej, gdyż ją sześć razy odwiedził, będąc jeszcze następcą tronu. Do potrójnej więc ligi pokoju przybywała nadzieja ściślejszego zbliżenia się Niemiec z ich wschodnim sąsiadem, a nadto jeszcze dość prawdopodobne widoki politycznego zbliżenia się i z Anglią, której instytucje liberalne wysoko cenił Fryderyk III i w czem rozumna cesarzowa Wiktorya mogła być ważnym czynnikiem. Wobec prawdopodobieństwa takiego obwarowania się Niemiec, nie mogło być mowy o wojnie odwetowej i zaczepnej ze strony Francji, chociaż zadana jej rana zaborem Alzacy i Lotaryngii pozostaje nie zagajoną i jak groziła tak i wciąż grozi pokojowi europejskiemu niebezpiecznym zagrożeniem. Czy w głębi planów pokojowych Fryderyka III istniała myśl zagojenia tej rany, nie było na to wskazówek za jego krótkiego panowania; dopiero w ostatnich czasach doszły do wiadomości publicznej, chociaż nie sprawdzone jeszcze krytycznie rewelacje, podług których miał on myśleć bardzo poważnie o tej kuracji, która ostatecznie wyszłaby i Niemcom na zdrowie.

Ze ks. Bismarck nie zbudował się odezwaniami cesarskimi, na to zdaje się, nie potrzeba już dowodzenia. Reskrypt, jakim go Fryderyk III zaszczycił, był pewno najsilniejszą z tych „frykcyi,“ na które kanclerz lubił użalać się nawet w parlamencie, i jakimi nazywał każdy poważniejszy opór u dworu, stawiony jego działalności lub planom; zwykle jednak żalił się dopiero wtedy, gdy już przemógł napotkane zapory. Tym razem jednak nie już nie mówił o „frykcyach;“ prasowe zaś jego

organy, z małym wyjątkiem, albo zachowywały milczenie, albo nie śmiejąc zwracać się do samego cesarza, robiły liche alluzye do cesarzowej, albo wreszcie, jeżeli odzywały się przychylnie i przyzwolicie napozór o reskrypcie do kanclerza, czyniły to zwykle z tak wyrafinowaną obłudą, że w tym razie możnaby zastosować do nich trafne i głębokie La Rochefauculd'a wyrazy, że „L'hypocrisie est un tribut que le vice paye à la vertu.“ Tylko humorystyka pozwoliła sobie puścić w kurs po Europie wiadomość, że kanclerz otrzymawszy reskrypt cesarski, zapytał żony czy go czytała, a gdy otrzymał odpowiedź potwierdzającą, miał powiedzieć: „No, to kaź kupić wiołoncezę, będziemy teraz rządzić państwem, wygrywając trylle!“ Czy księżna kupiła zalecony sobie instrument, dalsza historia nie już o tém nie mówi. Natomiast zaczęły zaraz obiegać wieści, że ks. Bismarck jest chory, że cierpi szczególniej na chorobę w e w n e t r z n ą i potrzebuje wypoczynku, że jednak co do stanu zewnętrznego, to trzyma się jeszcze niezłe, że szczególnym zbiegiem okoliczności, na tę samą słabość niedomaga jeszcze bardziej minister spraw wewnętrznych, hr. Puttkamer, powinowaty i prawa ręka kanclerza, i to tak silnie, że grozi mu niebezpieczeństwo zakończenia ministeryalnego żywota. Były to jednak raczej p i a d e s i d e r i a tylko, oparte loicznie na zapowiedzianej zmianie systematu rządu, ale nie dające urzeczywistnić się tak odrazu, zwłaszcza, że i stosunek gabinetu do monarchy przedstawiał się przynajmniej na pozór zupełnie normalnie. Właśnie cesarz tylko co zatwierdził całe dotychczasowe ministerstwo, odbył już parę z niemi posiedzeń i wydał dwie jeszcze odezwy: do sejmu pruskiego i do niemieckiego parlamentu, które w jednym i drugim zostały odczytane 19 marca. Obydwie te odezwy, kontrasygnowane już przez ks. Bismarcka i podpisane przez innych członków gabinetu, były właściwie parafrazą i streszczeniem, z małemi tylko zmianami, dwóch wyżej podanych dokumentów. W pierwszej z nich Fryderyk III ponawia zapewnienie, że konstytucyą będzie szanował ściśle i zarazem będzie strzegł praw korony, i że z bożą pomocą, przy współdziałaniu sejmu, spodziewa się osiągnąć pomyślność i szczęście narodu, które są celem jego panowania. W drugiej odezwie tak samo uroczyście zapewnia o szanowaniu konstytucyi cesarstwa i opartych na umowach, odrębnych praw innych państw niemieckich. Ponieważ nowy monarcha, ze względu na stan swojego zdrowia, nie może zaraz zaprzysiąc osobście konstytucyi pruskiej, przeto i dla uniknienia wszelkich co do swoich intencji wątpliwości, teraz już daje pod przysięgą przyrzeczenie, że rządzić będzie zgodnie z prawami i zachowa świącie i nieetykalnie ustawy organiczne królestwa. W odezwie do parlamentu rzeszy niemieckiej oświadcza, że za przykładem swojego ojca, wspólnie z innymi monarchami i wolnemi miastami niemieckimi, oraz przy poparciu parlamentu, zgodném z konstytucyą cesarstwa, będzie się starał zapewnić zarówno pokój kraju i jego pomyślność jak i ubezpieczyć

swobody, porządek, prawa i honor cesarstwa. W tej samej odezwie wspomina jeszcze, że jednomyślna gotowość parlamentu, która właśnie umożliwiła rozwój sił zbrojnych Niemiec, była radością zmarłego cesarza, i że nowy monarcha postęp armii uważa za swój obowiązek, przekazany mu testamentem ojca. Wreszcie, wyraża jeszcze dla parlamentu swoje uznanie i zapewnia, że w przywiązaniu narodu i jego przedstawicieli pokłada zupełne zaufanie. Obydwie te odezwy przyjęte zostały także dobrze, gdyż zasadniczo nie różniły się od tamtych. Ze jednak manifest do narodu i reskrypt do ks. Bismarcka były objawem samodzielnych i osobistych przekonań Fryderyka III, nie krępowanych żadną jeszcze przeciwwagą, zaś odezwy ostatnie były wydane już za współudziałem kanclerza i ministrów, zatem do pewnego stopnia i pod ich wpływem, dla tego też bezwarunkowo pokojowy ton, jakim odznaczały się tamte, został poniekąd obniżony w odezwach do sejmu i parlamentu, a natomiast mocniej zaakcentowano w nich wyrażenia, dotyczące orężnych nabytków Wilhelma I, siły zbrojnej i armii niemieckiej. Nie uszła też uwagi publicznej ta różnica tonu, i dopatrywano w niej zaraz robotę ks. Bismarcka i wpływ rycersko usposobionego następcy tronu, a zatem przewagę ich realnych dążeń nad ideami schorzałego cesarza.

Były to pierwsze, rzeczywiste i faktyczne objawy tego ciągłego pasowania się z sobą sprzecznych zasad i przekonań, dotyczących najwyższych zadań społeczno-państwowych w sferze wewnętrznej i zagranicznej polityki, które zapełniło całe to trzymiesięczne panowanie. Z jednej strony Fryderyk III i cesarzowa Wiktorya, z drugiej ks. Bismarck i bezwarunkowy jego wielbiciel następca tronu, a po nad całą sytuacją górująca śmiertelna choroba cesarza, która, w miarę swojego przebiegu, zaostrzała lub łagodziła starcie, podniecała lub osłabiała opór wzajemny, dawała przewagę to jednej to drugiej stronie, stosownie do polepszenia się, chociażby tylko pozornie, lub pogorszenia zdrowia Fryderyka III, dopóki ostatecznie nie oddała i nadal losów Niemiec w ręce zawsze szczęśliwego ks. Bismarcka. Ztąd to owe ciągle objawy sprzecznych z sobą prądów i faktów, ztąd postanowienia nawet, z których jedne nie odpowiadały duchowi drugich, ztąd krzyżowanie się niezgodnych z sobą wieści, w których trudno było odszukać prawdy, ztąd wreszcie rozmaite symptomata otuchy, zwątpienia, zadowolenia albo złego humoru, które tłumione i ukrywane z jednej albo podnoszone i rozgłaszane z drugiej strony, dochodziły do wiadomości publicznej powiększone, zmoderowane lub przekształcone. Zaraz po przyjeździe cesarza z San-Remo, buletyn urzędowy z 12 marca ogłosił, że pomimo utrudzającej podróży, monarcha spędził noc bardzo dobrze, od-dycha bez trudności i żadnych cierpień nie czuje, a pod d. 14 t. m. rozesłano „z wiarogodnego źródła“ zapewnienie, że ma duży apetyt, w skutek czego sił mu przybywa i czuje się zupełnie dobrze. Jed-

nocześnie z temi pomyslnemi doniesieniami o zdrowiu Fryderyka III i po ogłoszeniu jego manifestu do narodu i reskryptu do ks. Bismarcka, rozeszły się, jak zwykle „z najlepszych źródeł“ czerpane wieści, że stronnictwo narodowo-liberalne żąda nowego ministerstwa z wyłączeniem z niego żywiołów junkierskich, które zawsze posiadały sympatyje kanclerza, a nadto, że następca tronu został mianowany szefem pułku, stojącego w Królewcu i otrzymał rozkaz stałego tam przebywania, co by znaczyło, naturalnie, usunięcie go od wpływu na sprawy państwa. Tymczasem gazety barwy gadzinowej i odpowiednio telegramy podawały, że cesarz bardzo źle spędził noc ostatnią, że o jego życie zachodziły poważne obawy, że miał silny atak gorączki, i że niebawem zająć może konieczność dokonania ciężkiej operacji, to jest wycięcia krtani, co groziło prawie niechybną śmiercią. Partya narodowo-liberalna nie wystąpiła z przypisywanym jej stanowczém żądaniem, poprzestając na puszczaniu balonów próbných, w swoich organach prasowych i w sejmie, a nadto d. 21 marca ogłoszono z całą formalnością urzędową następujący reskrypt cesarski do następcy tronu: „Pragnę, ażeby Wasza Cesarsko-Królewska Wysokość obeznała się ze sprawami stanu przez bezpośrednie w nich udział. W tym celu polecam W. O. K. Wysokości rozpatrywać i rozstrzygać te ze spraw państwowych, przedstawionych do mojej decyzji, które przesłane będą przezemnie Waszój C. K. Wysokości. Będziesz W. O. K. Wysokość podpisywać za mnie niezbędne w takich razach papiery, bez osobnego na każdy wypadek upoważnienia.“ I oto zamiast spodziewanej nielaski, ks. Wilhelm został zastępcą cesarza. Wprawdzie było to zastępstwo upozorowane potrzebą obeznania się młodego księcia z interesami, wprawdzie było ograniczone i warunkowe, gdyż mógł on rozstrzygać te tylko sprawy, jakie mu cesarz powierzy; wprawdzie cesarz wyjeżdżał na miasto, stawał w historycznym oknie, gdzie zwykle ukazywał się ludowi jego ojciec, był na posiedzeniu sejmu i jednego dnia zdecydował, pisząc na kartkach rezolucye przeszło pięćset ineresów, mimo to wszystko, reskrypt jego do następcy tronu był znaczącą wskazówką, że Fryderyk III coraz bardziej upada na siłach, że nie jest w stanie pełnić niepodzielnie swych obowiązków, że jego idee i osobiste przekonania nie mogą zapanować nad przeciwnymi im prądami, które ujawniały się w większych i w mniejszych sprawach. Wynagradzając poświęcenie się bez granic, wierną przyjaźń, wytrwałość i rozumne rady cesarzowej, nadał jój Fryderyk III najwyższy order Orła Czarnego; ten sam zaszczyt spotkał następnie ministra sprawiedliwości Friedberga; a wreszcie hr. Radoliński został mianowany wielkim marszałkiem dworu a później jeszcze podniesiony do godności książęcej. Przeciwno odznaczeniu cesarzowej Wiktoryi trudno już było oponować, przyprawiło to jednak prasę bismarckowską o zły humor, który przebiegał się w nędznych jój insynucjach to o wpływach angielskich, to o „rządach fartuszkowych“ i t. p. Minister

Friedberg musiał zaprzeczyć urzędownie, żeby kiedy bądź była mowa o skłanianiu cesarza, gdy był jeszcze następcą tronu, do zrzeczenia się korony, gdyż otrzymaną przez tego ministra nagrodę przypisywano powszechnie temu, że on właśnie oparł się kiedyś owęj wymaganej abdykacji. Co zaś do ks. Radolińskiego, to kanclerz żądał wprost i usilnie jego dymisyi, cesarz wszakże stanowczo jej odmówił. Tak więc nie tylko idee Fryderyka III i ich życiowe objawy były zaraz krępowane i paczone, ale nawet najbliżsi mu i najwierniejsi, których ukochał, i wszystkie osobistości, które położyły jakie bądź względem niego zasługi i na których przywiązanie mógłby liczyć, stawały się przedmiotem niechęci i prześladowania.

Wyżej już (III) staraliśmy się określić i scharakteryzować te delikatne i trudne stosunki, jakie wytworzyły się oddawna pomiędzy cesarzem Wilhelmem I, ówczasowym dziedzicem jego korony dziś już Fryderykiem III, teraźniejszym następcą tronu księciem Wilhelmem i głównym politycznym działaczem kanclerzem, oraz wykazać różnice lub podobieństwa, jakie zachodziły między ich poglądami na sprawy państwa. Jeżeli ks. Fryderyk-Wilhelm za życia ojca pozostawał przez długie lata w odosobnieniu i szukał pociechy w naukach i w gronie najbliższej sobie rodziny, chociaż nie wszyscy z niej mogli mu ją przynosić, za to znów na jego najstarszego syna przelał cesarz Wilhelm I całą swoją życzliwość, gdyż poglądy i upodobania wnuka więcej odpowiadały zasadom i poglądom dziada, zwłaszcza z jego czasów dawniejszych, niżeli ideom następcy tronu. Również i ks. Bismarck, o ile oddalał się od ojca o tyle zbliżał się do syna, którego stał się politycznym nauczycielem. Opatrzność spowodowała tę trzy miesięczną przerwę w przeszło dwudziestoletnich dyktatorskich niemal rządach kanclerza, którą mniej więcej miało zapełnić zastępstwo, oddane świeżo przez Fryderyka III swemu synowi. Jak niegdyś ks. Fryderyk-Wilhelm nie zaniedbał protestować w wielu razach przeciwko działalności ks. Bismarka, tak znów obecny następcą tronu nie pomijał sposobności, przy której mógłby wyrazić swój wysoki szacunek i gorące sympatyje dla kanclerza. Znalazł ją właśnie ks. Wilhelm podczas uczty w dniu urodzin ks. Bismarcka, gdzie wypowiedział krótką, lecz pańiętną mowę na cześć solenizanta, której tekst stał się przedmiotem licznych poprawek, zaprzeczeń i sprostowań w organach półurzędowych i był komentowany na wszelkie sposoby i nie bez złośliwości, przez prasę niezależną. Podług półurzędówki *Post*, miał ks. Wilhelm porównać cesarstwo z korpusem armii, której wódz poległ, a najstarszy po nim oficer, chociaż nie przestał wolać: naprzód! jest jednak ciężko ranny, że więc w takim położeniu, do kogożby należało udać się jeżeli nie do wielkiego chorążego zjednoczonych Niemiec, który potrafił zatknąć sztandar ojczyzny na wyżynach potęgi, dotychczas niedostępnych dla niemieckiego plemienia, i dla tego następcą tronu życzył ks. Bismarkowi, ażeby

w silnej swój dłoni trzymał jak najdłużej ten sztandar. Według innej, z tych samych źródeł płynącej wersji, nie powiedziano nawet, ażeby ów oficer najstarszy wołał naprzód, tylko że leży chory, i że serca 46 milionów Niemców zwracają się w bojaźni i zaufaniu ku wielkiemu chorążemu, po którym wszystkiego się spodziewają. „Tym chorążym — miał mówić ks. Wilhelm — jest nasz wielki kanclerz, niech on nam drogę wskazuje, a my zawsze za nim pójdziemy!“ Inne dzienniki jeszcze inne podawały warianty tej mowy. Pospieszyła niebawem na ratunek tym tekstom najbardziej półurzędowa *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, wyszykowawszy swój tekst w ten sposób: „Mości książę! w szeregu lat 40 twojej służby, żaden rok z pewnością niebył tak ciężki i w następstwa brzemienny jak obecny. Cesarz Wilhelm, któremu tak wiernie przez lat 27 służyłeś, zeszedł ze świata. Naród z entuzjazmem wita naszego dzisiejszego pana, który tak przyłożył się do dzisiejszej wielkości ojczyzny naszej. W. ks. M. na równi z nami wszystkimi służyć mu będziesz z tą samą staroniemiecką wiernością, jak nieboszczykowi. Chcę użyć tu porównania wojskowego. Położenie nasze dzisiejsze równa się położeniu pułku, idącego do ataku. Dowódca pułku upadł, następca jego do komendy, lubo ciężko ranny, śmiało na czele pułku kroczy. Spojrzenie wszystkich zwraca się ku chorążemu, który odważnie sztandar w górę nosi. Tak i ty M. K. wznosisz sztandar państwowy. Obyś — i to życzeniem serc naszych — długo jeszcze, wspólnie z wielbionym, i ukochanym cesarzem naszym, chorągiew tę mógł wysoko dźwigać.“

Chociaż ks. Wilhelm otrzymał prawo zastępstwa, nie zawsze przecież reprezentował cesarza. W wielu razach, zwłaszcza gdy szło o instytucje dobroczynności publicznej, mające znaczenie humanitarne, o otarcie łez i niesienie pomocy nieszczęśliwym, jeżeli to było połączone z większym utrudzeniem i wyjazdami, których chory monarcha musiał unikać, czyniła to zwykle cesarzowa Wiktorya. Właśnie nadzwyczajny przybór Warty zalał połowę Poznania i około 10 mil kwadratowych nadwodnych okolic. Rozmiary klęski były tak wielkie, że konieczność odwiedzenia przez panującego dotkniętą nią miejscowości stała na porządku dziennym. Stronictwo kanclerza chciało podobno, żeby to zrobił następca tronu, na wyraźne jednak życzenie Fryderyka III udała się tam cesarzowa. Ludność miejscowa wdzięczna za tę troskliwość i pamiętna na dawniejszą w tamtych stronach bytność cesarza, gdy był jeszcze następcą tronu, zgotowała jej owacyjne i serdeczne przyjęcie. Krótki pobyt cesarzowej w pośród powodzian i licznej gromady dam, które przybyły na jej powitanie, wywarł bardzo dobre obustronne wrażenie. Odwiedzinom tym przypisywano nawet głębsze znaczenie, licząc bowiem na ludzką i sprawiedliwą obojga cesarstwa, spodziewano się, że jeżeli nie ustanie zupełnie, to przynajmniej złagodnieje walka rasowa, prowadzona z taką zaciętością przez Niemców przeciwko ży-

wiołowi polskiemu. Lecz i ten nawet, niewinny objaw z jednej strony miłosierdzia a z drugiej wdzięczności nie podobał się stronnictwu bismarckowskiemu, którego dzienniki, nie mogąc dotknąć wprost cesarzowej, powstawały z ferworem na ofiarowane jój bukiety, na przemówienia do niej w języku francuzkim i t. p. zapominając z umysłu, że i cesarzowa używała tego języka. Były to jednak tylko drobne nieprzyjemności w porównaniu z udęczeniami, jakie właśnie przechodziła monarchini w najbliższej macierzyńskiemu sercu sprawie małżeństwa córki swój księżniczki Wiktoryi z ks. Aleksandrem Battenberskim. Pomimo że młoda księżniczka, cesarzowa matka i królowa angielska, babka — trzy; jak zauważyli dowiecpiście, Wiktorye, oznaczające i jakby wróżące potrzykroć zwycięstwo — życzyły sobie tego związku, pomimo że sprzyjał mu i cesarz Fryderyk, jednakże ks. Bismarck stanowczo zaoponował przeciw niemu, przytoczył mnóstwo argumentów i rozumowań na poparcie swój opozycyi, a nawet zagroził podaniem się do dymisyi, gdyby to małżeństwo przyszło do skutku. W obszernym memoriale, złożonym w tój kwestyi cesarzowi, przedstawił on jako główny powód swój opozycyi obawę narażenia dobrych stosunków z Rosyją, przez małżeństwo ks. Battenberga, uważanego jeszcze za kandydata do tronu bułgarskiego, z córką cesarza Niemiec, i około tego zasadniczego motywu obraca się cała argumentacja kanclerska. Ze ks. Bismarckowi chodziło i chodzi o te stosunki, nikt nie wątpi; ale również wiadomo, że przyjaźń potężnego mocarstwa nie zjednywa się taką drobnostką, która w ówczasowém położeniu rzeczy nie miała odpowiedniej wartości. Ks. Battenberski skończył już był swoję polityczną karyerę i chociażby kanclerzowi podobało się nazywać go kandydatem na księcia bułgarskiego, mało to obchodziło politykę zagraniczną z kimby się był ożenił. Tak też mniej więcej na tę uprzejmość bismarckowską zapatrywała się prasa ruska. W każdym razie był to bardzo przebiegły manewr, którym ks. Bismarck, za jednym zwrotem, obrobił kilka interesów. Właściwym i rzeczywistym powodem całej tój bardzo poważnej scyssyi między nim a dworem nie było projektowane małżeństwo, tylko polityka wewnętrzna, którą cesarz, zgodnie ze swoim programem, postanowił wprowadzić na właściwe bardziej konstytucyjne tory, przeciwne dotychczasowemu systematowi rządu. Nowo utworzona rada korony, którą postawiono po nad zwykłą radą ministrów, była uważana ze zmniejszenie prerogatyw kanclerza. Fryderyk III znajdował potrzebę usunięcia niektórych ministrów, ale ks. Bismarck zaślaniał ich swoję osobą, oświadczając, że solidaryzuje się z nimi; a gdy znów cesarz uważał za właściwsze, żeby sprawy były decydowane przez ministeryum kolegialnie, nie zaś, jak dotąd, że każdy minister odpowiadał tylko za swój wydział, kanclerz opierał się i temu. Udzielona przez Fryderyka III bardzo rozległa amnestya, która obejmowała przestępstwa polityczne i rozciągała się na zabrane Francyi pro-

wincye, nie zupełnie odpowiadała widokom kanclerza. Różnice przekonań coraz bardziej ujawniały się w faktach, cesarz, kosztem ostatnich wysiłków swego życia, starał się przeprowadzić pożądane reformy, a ks. Bismarck widział, że co do rządów wewnętrznych w Niemczech, chwilej mu się grunt pod nogami. Sytuacja więc była już bardzo napreżana, gdy przyszła na stół kwestya projektowanego małżeństwa, która jeszcze bardziej skomplikowała położenie. Ale kanclerz skorzystał właśnie z tej kwestyi, i wybrał ją za arenę do stoczenia stanowczej walki o własną przewagę w rzeczach polityki wewnętrznej, zaś polityka zagraniczna służyła mu jedynie za tarczę, którą się w tej walce osłaniał, i za widome godło, pod którym walczył. Było to starcie najniebezpieczniejsze z dotychczasowych, gdyż obiedwie strony stały wytrwale przy swoim. Tym razem kwestya kanclerska stanęła naprawdę na porządku dziennym, i szło już nie o małżeństwo księżniczki, lecz o rozwód z ks. Bismarckiem. Stronnictwa liberalne, konstytucyjne, katolickie, narodowościowe zaczęły występować coraz śmielej, i wypłynęło na wierzch między innymi nazwisko barona Roggenbach'a, ministra badeńskiego, znanego później z sekretnej korespondencji z tajnym radcą Geffcken'em, który znów był zaufanym cesarza — jako domniemany następca kanclerza. W sprawie tej miał ks. Bismarck kilka posłuchań u obojga cesarstwa i chwilowo znalazł się w błędnem kole. Fryderyk III oświadczył mu, że sprawy domowe swój rodziny pozostawił zupełnie cesarzowej, cesarzowa znów na wszystkie wywody i rozumowania kanclerza odpowiedziała wręcz, że jej wcale nie przekonały, a gdy ten zagroził dymisją, odrzekła mu po prostu; żeby sobie załatwił tę rzecz z cesarzem, bo to wcale nie jej wydział. Mimo to wszystko czy wpływ następcy tronu, czy pośrednictwo księcia badeńskiego, czy wyczerpanie się sił opornych coraz słabszego cesarza, czy że go przekonały dowodzenia kanclerza, czy wreszcie, i najprawdopodobniej, broń najeźdźczego kalibru, jakiej użył i w tej walce — podanie się do dymisyi, sprawiły, że ostatecznie szlachetna cesarzowa Wiktorya widziała się zmuszoną powiedzieć ze łzami w oczach do ks. Bismarcka: „Dla dobra ojczyzny składam w ręce pańskie szczęście mojego dziecka!“ i małżeństwo nie przyszło do skutku. Znowu więc kanclerz zwyciężył, nabrał jeszcze większej pewności, że nawet za panowania Fryderyka III jest mężem stanu niezbędnym i opatrnościowym dla Niemiec, zasłużył się, w swoim rozumieniu, potężnemu mocarstwu, i sprawił nową boleść cesarzowej.

Nie było to jednak zwycięstwo tak zupełne jakby się zdawało, gdyż było więcej zadowoleniem osobistej niechęci i miłości własnej kanclerza, niżeli rzeczywistym tryumfem jego wewnętrznej i zagranicznej polityki. Przeszkodzenie małżeństwu ks. Battenberga z córką cesarską, wydęte do rozmiarów wielkiej ofiary dla Rosyi, nie sprawiło pożądanego efektu i przyjęte zostało przez prasę ruską dość obojętnie, w obec niezałatwionych, daleko ważniejszych i wikłających

się ciągle finansowo - ekonomicznych porachunków z Niemcami. Angielski dom panujący został mocno dotknięty t \acute{e} m wmi \acute{e} szaniem się ks. Bismarcka w jego sprawy rodzinne i dalszemi jeszcze przykrościami, których nie szczędzono cesarzowej Wiktorii i po śmierci j \acute{e} j m \acute{e} ża, jak to p $\acute{o$ źniej dała uczu \acute{c} sama kr $\acute{o$ lowa niemieckiemu ambasadorowi nadzwyczajnemu, gdy przybył do Londynu z notyfikacją o wstąpieniu na tron Wilhelma II. Niezadowolenie taką czcig $\acute{o$ otaczanej przez nar $\acute{o$ d kr $\acute{o$ lowej angielskiej oraz ks. Wallii, następcy tronu, nie pozostało bez poważnego w $\acute{p$ ływu na oziębienie stosunków z Niemcami, czego kanclerz musiał chyba \acute{z} alować po niewczasie, gdy rozpocz $\acute{a$ wszy usilne starania i zabiegi o polityczną przyjaźń Wielkiej Brytanii, spotkał się z licznemi trudnościami, które szachują kolonialne zachcianki niemieckie i trzymają Angli \acute{a} zdala od potr $\acute{o$ jnego przymierza. Te usilne starania przekonywają zarazem, że gł $\acute{e$ bszą i bardziej przewidyjącą była polityka Fryderyka III, który właśnie na ścisłej zwi $\acute{a$ zku z Angli \acute{a} , na radykalniejsz \acute{e} m załatwieniu sprawy o Alzacy \acute{a} i Lotaryngi \acute{a} i w og $\acute{o$ lności na swych pojednawczych angielsko-francuzkich widokach chciał podobno oprzeć utrwalenie europejskiego pokoju, jak tego wskaz $\acute{o$ wki, do pewnego przynajmniej j stopnia, znajduj \acute{a} się w og $\acute{o$ lzonej ju \acute{z} po procesie Geffckenowskim korespondencyi Geffckena z Roggenbach'em oraz w rewelacyach broszury: „Auch ein Programm der 99 Tage,“ przypisywan \acute{e} ks. Ernestowi Koburskiemu. Tem te \acute{z} dziwniejsz \acute{e} m i bardziej niepojęt \acute{e} m staje się owo poczytywanie Fryderykowi III i jego małżonko niemal za zbrodnię stanu ich sympatyj angielskich przez prasę bismarckowską i kanclerza, skoro on sam właśnie tak usilnie starał się o pozyskanie tych sympatyj. Trudno przypisać, a \acute{z} eby tak znakomity m \acute{a} ż stanu, jak ks. Bismarck, dla nasycenia osobistych niech \acute{e} ci podkopywał swoj \acute{e} m zachowaniem się wzgl $\acute{e$ dem rodziny cesarskiej przymierze, o kt $\acute{o$ rego zawarciu tak gorliwie zabiegał, i mo $\acute{z$ na by racz \acute{e} j mniemać, że była to jakaś gra podw $\acute{o$ jna, na kt $\acute{o$ rej jednak poznali się i kr $\acute{o$ lowa i gabinet angielski. Nie na wiele te \acute{z} przydały się owe długie posłuchania, jakie kanclerz wyrabiał sobie u kr $\acute{o$ lowej Wiktorii, gdy 24 kwietnia przybyła do Potsdamu dla odwiedzenia ukochanego zięcia, a właśnie dla pożegnania się z nim na wieki, i dla przyniesienia pociechy, a mo $\acute{z$ e i pomocy córce, nietylko zbolałej, ale i w trudn \acute{e} m znajdując \acute{e} j się polo $\acute{z$ eniu. Zaraz jednak po tych odwiedzinach cała prasa kanclerska i dzienniki torysowskie zaczęły szeroko rozpisywać się o porozumieniu angielsko-niemieckim, o serdecznych stosunkach obu gabinet $\acute{o$ w, o bli $\acute{s$ kim przymierzu, słowem kokietować z sobą na dobre, a to wszystko na t \acute{e} j podstawie, jakoby porozumienie się ks. Bismarcka z kr $\acute{o$ lową rzeczywiście ju \acute{z} nastąpiło. Z tego te \acute{z} powodu i angielski Times, który mile przyjmował bismarckowskie zalecanki, omawiając mo $\acute{z$ ność przystąpienia Anglii do potr $\acute{o$ jnego przymierza, wr \acute{e} cz oświadczył, że w sprawie t \acute{e} j wszystko zależy od woli monarchini.

„Porozumienie między kanclerzem a królową—pisał—jest w każdym razie pierwszorzędném wydarzeniem polityczném. U nas w Anglii rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby zdanie i życzenie królowej nie wywierało żadnego wpływu na politykę państwa, ponieważ dziwna nasza konstytucya, pozwala monarsze panować ale nie rządzić. Mylność tego poglądu wykaże się zapewne jasno w najbliższej przyszłości, na razie pragniemy zwrócić tylko uwagę na to, że w parlamentarnym systemie Anglii, królowa jest właściwie jedyną stałą i od chwilowego położenia zupełnie niezależną władzą.“ Widocznie *Times* nie omylił się, czyniąc przymierze zależném od woli królowej Wiktoryi, tylko że rezultat tój woli okazał się wprost przeciwnym temu, czego tak pragnął ks. Bismarek: pomimo posłuchań i czczych uprzejmości, porozumienie się z nią królowej, po tém, co względem jój rodziny zawinił, było dla niój aż nadto wstrętném, i przyłączenie się Anglii do ligi pokoju dotąd nie nastąpiło.

Ustępstwo zrobione w sprawie małżeństwa, także nie zapewniało jeszcze tryumfu polityce wewnętrznej kanclerza, gdyż cesarz tém wytrwałój nalegał o stosowanie się do programu, jaki nakreślił w sławnym swym reskrypcie do niego. Z zasad, w tym dokumencie wskazanych, wypływała konieczność reformy systematu rządowego, a z tą znowu łączyła się ściśle kwestya osób, mających pozostawać u władzy. Dotychczasowe postępowanie jednych potrzeba było naganic lub wskazać im drogę legalną, na którą teraz wejść powinny; inne, których zasady liberalne więćiej odpowiadały widokom cesarza, trzeba było osmielić, nagrodzić, zachęcić i wydobyć z niezasłużonego zapomnienia, w które je zepchnął antikonstytucyjny sposób rządzenia; wreszcie jedne z tych osób należało wprost usunąć, a inne powołać na ich miejsce do zajęcia odpowiednich stanowisk. Rozumiał to dobrze Fryderyk III, i gdyby nie był tak ciężko chorym, gdyby posiadał zdrowie i więćiej czasu po temu i gdyby nie miał przeciwko sobie takiej potęgi jak ks. Bismarek i cała jego falanga, mógłby był niewątpliwie zrobić wiele dobrego dla kraju. Cóż, kiedy ilekroć dźwignął się z łoża boleści, straszna choroba kładła go na nie napowrót, jego życie liczyło się już na dnie tylko, a każdy jego zamiar, projekt, żądanie spotykało się z opozycją kanclerza, który na jój usprawiedliwienie znalazł zawsze jakąś racją stanu, zwłóczył, odkładał lub rzecz paraliżował, wyczekując, bodaj czy nie z niecierpliwością, ostatniego i niowątpliwego już rezultatu choroby; a jeżeli chwilowe polepszenie się zdrowia dozwoliło Fryderykowi III zdobyć się na jaki krok samodzielny i stanowczy, wtedy cała prasa gazetinowa tak się o nim odzywała, jak gdyby był wrogiem państwa. Mimo to wszystko, upadając na siłach, nie upadał nigdy na duchu. Przeciwko opozycji kanclerskiej stawiał znów swoje cesarskie *vetó*, opierał się każdemu arbitralnemu postępowaniu, naganiał lub powstrzymywał objawy nietolerancji religijnej, nie dopuszczał samowoli w postępowaniu organów rządo-

wych i z nadludzkiem wysileniem pragnął, usiłował i pracował, znosząc z męczeńskim heroizmem fizyczne i moralne cierpienia.

W ostatnim miesiącu panowania Wilhelma I uchwalone zostało prawo, przedłużające do lat pięciu poprzedni trzyletni okres prawodawczy sejmowy, które jednak nie miało jeszcze sankcyi monarszej. Była to ważna zmiana konstytucyjna w duchu rządowo-konserwatywnym i na korzyść ówczesnego gabinetu oraz tej jego większości parlamertarniej, którą kanclerz umiał tak zręcznie wytwarzać sobie w izbie, i z której wielu znów członków minister Puttkamer wprowadzał do sejmu za pomocą przeróżnych sztuczek przy wyborach; z drugiej strony, prawo to było ciężką klęską dla obozu liberalnego. Prawa tego nie chciał podpisać Fryderyk III, a jego monarsze veto rzuciło popłoch na całe stronnictwo junkierskie, które spostrzegło, że musi liczyć się z jego wolą. Dopiero po dwóch przeszło miesiącach usilnych starań, poparty, jak zwykle, groźbą gabinetowego przesilenia i na skutek przedstawień jednego z ministrów, posiadającego zaufanie cesarza (prawdopodobnie Friedberg'a), udało się kanclerzowi wyjednać podpis cesarski, i to nie bez ważnych ustępstw, z swój strony. Sankcyonując wstępnie sobie prawo, chciał Fryderyk III przynajmniej, żeby nadał zupełną niezależność wyborów do sejmu była szanowana, i wprost od siebie wydał reskrypt do hr. Puttkamera, w którym p. minister spraw wewnętrznych znalazł gorzkie dla siebie prawdy, naganę swego dotychczasowego w tym przedmiocie postępowania i rozkaz, ażeby w przyszłości cień nawet nie padał na swobodę zdania i głosu wyborców. Był to wstęp do dymisji ministra, który był najwierniejszym mamelukiem i niejako wcieleniem polityki kanclerza w sprawach wewnętrznych.

Objawy samodzielnosci monarszej okazały się i w innym kierunku. Przyjmując deputacyą jednego z miast, cesarzowa w surowych wyrazach potępiła nietolerancyą religijną, a niezbyt liberalny minister oświecenia i wyznań, Gossler, znalazł się, z wyższego rozkazu, w konieczności zakazania przedstawienia jednego z takzwanych „Lutherfestspiele,“ to jest dramatów z czasów reformacyi, który był nacechowany fanatyczną nienawiścią katolicyzmu i pełny scen skandalicznych, w których osoby należące do katolickiego obozu były wystawione w najgorszem świetle.

Kwestya osób stanęła także na porządku dziennym. Były minister marynarki v. Stosch, używający powszechnój sympatyj, który za Wilhelma I posiadał jego względy i był popierany przez silne stronnictwo dworskie, został, bez żądania audencyi, wezwany przez cesarza i głośno zaczęto mówić o jego wejściu do ministerstwa. Zrobiło to wielką sensacyą, gdyż v. Stosch otrzymał był dymisya, właśnie na domaganie się kanclerza i pomimo wstawiania się za nim ówczesowego następcy tronu. Dymisya ta wywołała wtedy oburzenie narodu, szczególnież zaś sfer przemysłowych, które zawdzięczały temu

ministrowi niesłychany rozwój przemysłu okrętowego. Bliską też była dymisya naczelnika admiralicyi v. Caprivi, wyprotegowanego na to stanowisko przez ks. Bismarcka, oraz generała Albedyll'a, szefa gabinetu wojskowego, który, jako długoletni powiernik zmarłego cesarza, zapewnił sobie ogromny wpływ na wszystko, co odnosiło się do stosunków oficerskich, i nie zawsze tego wpływu godnie używał. Następcą Albedylla miał zostać generał v. Winterfeld, osobisty przyjaciel cesarza. Z kwestyą osób łączyła się kwestya nagród, którymi cesarz chciał odznaczyć ludzi zasłużonych i godnych; ale i na tym punkcie miał stoczyć walkę z kaclerzem, tak, że życzenie cesarza jedynie w połowie mogło się spełnić. Tylko na skutek zaciętej opozycyi ks. Bismarcka, takie osobistości: jak znakomity historyk Mommsen, prawdziwy liberał, poseł Hänel, jeden z przywódców wolnomyślnych, i baron Stauffenberg, wódz opozycyi bawarskiej—nie otrzymali przeznaczonych im przez cesarza orderów. Otrzymali je wszakże, pomimo opierania się kancle-rza, znany liberał v. Forckenbeck, nadburmistrz Berlina, i znakomity mąż polityczny i patolog dr. Virchow, ale z tą wyraźną i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi wyjednaną przez ks. Bismarcka wzmianką, że są udekorowani: pierwszy za energiczną akcyą ratunkową dla powodzi, a drugi za zasługi, jakie położył podczas choroby monarszej; chodziło bowiem kanclerzowi o to, ażeby nie myśla-no, że te niemiłe mu osobistości wynagrodzone zostały za swą działalność i przekonania polityczne. Wiadomo wreszcie, że Fryderyk III miał zamiar znieść zupełnie osławiony fundusz galdziński i obrócić go na inne, godniejsze cele. Istotnie, wymagała tego najprostsza moralność publiczna. Fundusz ten zdemoralizował prasę niemiecką i z płatnych bismarckowskich dzienników zrobił nietylko quasi-advokatów, zdolnych bronić choćby najgorszej, poleconej im sprawy, ale poprostu bandę podszezwaczy, oszczerców i denuncyantów, dla których nie było nic świętego, i gotowych rzucić się na wszystko, byleby służyć chlebobdawcy, któremu sumienie i godność swą zaprzędali. W prawdzie były to wszystko drobne fakty; miały one przecież dyplomatyczne znaczenie. Były to dopiero objawione zasady, projektu, kreślone plany, przygotowania i początkowe reformy systemu rządowego, który przecież nie mógł być zmieniony w ciągu niecałych trzech miesięcy strasznej choroby, i przy takim oporze, jaki cesarz na każdym kroku spotykał: wszystko jednak było rozpoczęte — tylko śmierć nie dała niczego dokończyć. Rzeczywisty dopiero wyłom w polityce wewnętrznej kanclerza zdołał Fryderyk III zrobić w ostatnich dniach swego życia przez usunięcie największego i najniebezpieczniejszego tej polityki narzędzia. Zaraz po ogłoszeniu znanego reskryptu cesarza do ks. Bismarcka, dymisya hr. Puttkamera stała się nieuniknioną koniecznością, tyle grzechów antikonstytucyjnych ciążyło na p. wiceprezesie gabinetu pruskiego i ministrze spraw wewnętrznych.

Filar ten i przywódzca partyi junkierskiej, czystej krwi pomorczyk jak i sam kanclerz i z nim spowinowacony, zajmował od początku swej karyjery nader wybitne i krańcowe stanowisko, wprost przeciwnie liberalnym stronnictwom niemieckim. W zasadzie był on poprostu wrogiem liberalizmu i konstytucyi i posunął biurokracyzm prawie do granic niemożliwych. Za jego rządów policya była narzędziem, za pomocą którego wywierał taki wpływ i nacisk na wyborców, że swoboda wyborów stała się tylko złudzeniem. W Szwajcaryi utrzymywał agentów prowokacyjnych, w Berlinie, zawiadamiając izbę o śmierci cesarza Wilhelma I, z a p o m n i a ł oznajmić, że na tron wstąpił Fryderyk III, tak mało już liczył się z chorym cesarzem, wreszcie, będąc już zagrożony dymisyą, wypowiedział w sejmie, pruskim gwałtowną i obrażającą reprezentacyą narodową mowę, w której zarzucił parlamentowi, że nie ma prawa kontrolować czynności gabinetu i rządu. Mimo to wszystko, długo cesarz musiał walczyć z kanclerzem, zanim postawił na swoim. Prasa bismarckowska usprawiedliwiała w najwykretniejszy sposób ministra, czepiała się cesarzowej i groziła dymisyą całego gabinetu, hr. Puttkamer składał Fryderykowi III usprawiedliwienie się swoje na piśmie, a ks. Bismarck występował z kwestyą kanclerską. Ostatecznie jednak, prawdopodobnie na skutek kompromisu między cesarzem a kanclerzem, osławiony minister musiał podać się do uwolnienia, i w d. 8 czerwca dostał dymisyą. Było to jednak wycofanie się ze wszystkimi honorami: ks. Bismarck wyrobił Puttkamerowi wysoki order i zaraz po dymisyi, w chwili kiedy cesarz był prawie konającym, wyprawił dla oddalonego ministra wspaniały obiad, na którym znajdowało się całe ministerstwo i wszyscy sekretarze stanu.

Była to prawdziwa stypa pogrzebowa, wyprawiona zawczasu nad otwartym grobem żyjącego jeszcze cesarza przez „pierwsze jego sługi“, a raczej, były to nowego rodzaju wstrętne saturnalia, któremi obchodzono niowątpliwy już zachód gasnącego słońca. Była to jaskrawa ilustracya stanowiska, nie osłanianego już nawet pozorami najprostszj przyzwoitości, jakie ks. Bismarck i jego mamełucy zajmowali względem monarchy, a przeciw zbyte jeszcze blada w porównaniu z prawdziwie gadzinową rolą, którą cała prasa kanclerska i różnych odcieni dzieniki, zostające pod brzęczącym wpływem jego komendy, odgrywały wobec cesarza, a szczególnie wobec cesarzowej Wiktoryi. Czytając te wszystkie najgorszego smaku koncepta i płaskie docinki to o rządach kobiecych i fartuszkowych, to o polityce sercowej w spódnicy i polityce tylnych schodów, albo nadawanie panującemu takich przezwisk, jak „Friedrich der Britte, Juden-König,“ lub wreszcie takie podstępne, dla ukrycia własnej winy i przewrotności insynucyje, jakoby niektóre tajemnice stanu dostawały się do wiadomości publicznej od najbliższego otoczenia Fryderyka III, — czytając to wszystko i wiele innych w tym rodzaju szkalowań, trzeba

się dziwić bezkarnemu zuchwalstwu i bezczelności jawnych lub zamaskowanych organów rządowych, i żałować, że do takiego słuźalstwa zesła i tak nisko upadła godność i moralność inspirowanej prasy niemieckiej. Całe to zaś rusztowanie szkalowań opierało się znowu na innej, równie potwarczej insynuacji i szkodliwym jakoby na sprawy państwa wpływie „Angielki“, a więc i na konieczności, przynajmniej takimi sposobami, zwalczania nowo-wynalezonego „Reichsfeinda“, któremu nie można było wytoczyć procesu o zdradę stanu. Na czém jednak polegał i w czém rzeczywiscie szkodził ten wpływ mniemany, tego nikt i nigdy nie zdołał dowiedzieć się od gadzinowców, którzy za pomocą półsłówek i niedomawiań, dających się dwóznacznie tłómaczyć i zabezpieczających odwrót w razie odpowiedzialności, właściwie przesuwali tylko przed oczami filstrów chińskie cienie i straszili ich, jak w znanj bajce, dytkiem na słomianych nogach. Mówiliśmy już zresztą o tym wpływie, który nie był niczém inném jak tylko harmonijném zsolidaryzowaniem się i zespoleniem cesarzowej Wiktoryi z przekonaniami i zasadami politycznymi Fryderyka III, które oddawna jawnie wyznawał, a następnie z wysokości tronu ogłosił. Dla tego też cesarzowa tak wytrwale stała przy swoim małżonku przez całe jego życie, tak po bohatersku walczyła obok niego w najcięższych chwilach, i wzorowa pod wszelkimi względami małżonka, dochowała mu i téj wiary politycznej do śmierci. Ciężka choroba Fryderyka III i wielkie a trudne obowiązki, jakie z tego powodu spadały na cesarzową, wysunęły ją mimowoli i z konieczności na szerszą widownię i wystawiły na wszystkie przykrości tego wyjątkowego położenia. Obdarzona wyższym umysłem oraz bogatym zasobem fizycznej i moralnej energii, przygotowana gruntownie wychowaniem i wykształceniem do wysokiego stanowiska, jakie zajęła, posiadała cesarzowa te wszystkie przynioły, które ją uczyniły najlepszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem i przyjacielem jej małżonka, ale zarazem przedmiotem pocisków wrogiego mu obozu. Gdyby cesarzowa nie z takim nadzwyczajnym wysiłkiem i poświęceniem ratowała była chorego małżonka, gdyby mniej nad nim ezuwała i mniej była baczna na wszystko, co około niego się działo, gdyby nie była zdolną przyswoić sobie jego szlachetnych idei i nad ich urzeczywistnieniem wspólnie z nim pracować, gdyby jej przekonania różniły się były od przekonañ Fryderyka III i gdyby można było pozyskać ją, chociaż w części, dla przeciwnego stronnictwa—jakkżé inném byłoby wtedy zachowanie się względem niój organów kanclerskich, a hymnom pochwalnym nie byłoby końca! W napaściach na cesarzową zdawało się, że przemawia jakaś ukryta złość z powodu, że Fryderyk III, pomimo wszystkiego, wstąpił na tron i że już za długo panuje. Im więcej, chociaż pozornie, poprawiło się jego zdrowie, im wytrwalej stał przy swoim programie, im więcej okazywał samodzielności lub oporu przeciwko niezgodnemu z jego przekonaniami

systemowi rządowemu, tém bardziej wzmagały się owe napaści, gdyż nadzwyczajną siłę woli i moc charakteru Fryderyka III, przypisywali gadzinowey wytrwałości, energii i radom cesarzowej Wiktoryi.

Wszystko to jednak uchodziło prawie zupełnie bezkarnie, po prostu dla tego, że polecenie ścigania oszczerców zależało od tych, pod których byli opieką. Raz tylko, gdy lipski tygodnik *Gr en z b o t e n* w bardzo nędnym artykule napadł na cesarzwą i to wywołało wielkie oburzenie, miał ks. Bismarck — jak twierdził inny jego organ berliński — bardzo się na to oburzyć a nawet w ostrym liście skarać redaktora i... na tém się skończyło. Nie mogło też być inaczej, gdyż głównym, choć tajnym redaktorem dziennika *Gr en z b o t e n* jest osławiony Busch, b. sekretarz i zauszniak kanclerza, i dla tego opinia publiczna przypisywała ks. Bismarckowi autorstwa artykułu, ale zarazem nie mogła się i dziwić, że sam sobie sprawy kryminalnej nie wytoczył.

Owczasowe stosunki wzajemne najwyższych instytucji państwowych przedstawiały rzadkie i anormalne widowisko: kanclerz stał na czele opozycji przeciwko liberalnym dążeniom cesarza, rząd cesarsko-królewski za pośrednictwem swoich organów napadał w najniełojalniejszy sposób na parę monarszą, w której obronie występowała znów opozycja parlamentarna. Otóż, na posiedzeniu sejmu 27 maja, wódz téj opozycji, gromki i znakomity mówca Eugeniusz Rychter, krytykując zachowywanie się stronnictwa kanclerskiego, oraz wystosowane, za jego agitacją i wpływem, adressy z Lipska i Wrocławia za utrzymaniem ks. Bismarcka u władzy z powodu grożącego przesilenia gabinetowego, nacechowane antydynastyczną tendencją i oszczercze artykuły przeciwko obojgu cesarstwu, jakie zamieścili *D r e s d e n e r N a c h r i c h t e n* i *G a z e t a K o l o Ń s k a*, — skruszył prawdziwie po rycersku kopię w obronie Fryderyka III i jego dostojnej małżonki. Było to, podług znanego wyrażenia ks. Bismarcka, „pranie“ na wielką skalę, tylko że z tego prania i sam kanclerz i jego stronnicy wyszli... porządnie usmoleni. Mowa ta, nie wykwitna ale dosadna, wywołała prawdziwą burzę w parlamencie i w swoim czasie zrobiła ogromne wrażenie; dlatego przytaczamy chociaż parę jej ustępów w treści i możliwém skróceniu. Otóż stosując rzecz do owych adressów, powiada Rychter: „...Byłbym wtedy już życzył, żeby z góry, urzędownie potępiono niecną tę agitacją, którą ośmielono się prowadzić... Tego nie zrobił rząd, nie zrobiły stronnictwa prawicy... W obec naszego, ciężko chorego monarchy, jesteśmy podwójnie obowiązani dobitnie wyrazić nasze uczucia lojalności. I w prasie i w stowarzyszeniach byłoby do wielu rzeczy brakło odwagi, gdybyśmy mieli zdrowego cesarza. Gdyby cesarz nie był chory, byłoby do swoich nor powłaziło to plugawe robactwo...“ Następnie, przechodząc do artykułów oszczerczych w *D r e s d e n e r N a c h r i c h t e n*

ten, gromi narodowo-liberalnych, z którymi ta gazeta w bliskich jest stosunkach, że nie wyrazili swego oburzenia już wówczas, gdy się w niej ów nikezemny artykuł przeciwko cesarzowej ukazał, a dalej powiada: „Czyż można wymyśleć podlejsze insynuacje od tych, jakie *Gazeta Kolońska* na cesarza podała? Alboż nie pamiętacie, jak ta gazeta dosłownie wspomniała o wprowadzeniu fartuszkowo-osobistych żywiołów do polityki i trwonieniu skarobów polityki bismarckowskiej. Czyż nie jest prawdą, że w pismach tak zwanych narodowych była mowa o wysoko stojących kobietach, które dla sercowych interesów zapominają o polityce i o swych obowiązkach względem dynastji i ojczyzny? Czyż nie wspomniano w gazetach kanclerskich o tém, że Niemcy muszą się ugiąć pod jarzmo kaudyńskie Anglii. Ludzie, którzy każdemu stronnictwu wstydy przynieśli, oszuści, krętacze, karani za sprzeniewierzenia stali na czele tej systematycznej hecy prasowej przeciwko cesarzowej i przeciwko stosunkom domu cesarskiego do Anglii. Mógłbym wam przeczytać te nikezonne artykuły, które gazetom nadesłano z berlińskiego biura prasowego. Dalej wspomina *Richter* o *Freisinnige Zeitung* (swoim organie), która ostro wystąpiła przeciwko tym oszczerstwom i powiada: „Ta gazeta nikogo nie zadenuncyowała przed prokuratorem, jak to czyni *Gazeta Kolońska*, ale jest obowiązkiem prasy stawiać bezczelność prasy pod pręgierzem opinii publicznej. Nie znajdzie prasa szlachetniejszego zadania nad postawienie w właściwym świetle tak niecnych zarzutów, aby dowieść, co za zgraja podnosi głowę przeciwko domowi cesarskiemu. Do dziś dnia nie możemy sobie wytłómaczyć, jakim sposobem w sprawie zaręczyn ks. Battenberga, wyciągi z aktów i urzędowe poglądy, które właściwie tylko ks. Bismarckowi i parze monarszej mogły być znane, zostały ogłoszone przez organ nadreński. Jakże ciężki sąd w swoim czasie wydano na hr. Arnima za zdradę tajemnic państwa. Obecnie *Gazeta Kolońska* przez wielkie nadużycie tajemnic stanu, puszcza w obieg wiadomości o najtajniejszych sprawach cesarskiej rodziny. Wiadomości te mają na celu odwrócić wszystkie serca od cesarskiego domu, a najszkaradniejszym jest to, że cała wiadomość podana została do gazet wtedy dopiero, kiedy już rzecz załatwiono między tymi, których dotyczyła. Czyż takie opublikowanie post factum nie mogło cesarza naszego Fryderyka postawić w fałszywym świetle w obec Rossyi? Gdyby na ks. Bismarcka ośmielano się powiedzieć setną część tego, co na cesarzową Wiktoryę, wtedy liczylibyśmy na setki skazanych do więzienia. Wolnomyślne gazety, za najmniejsze przewinienia bywają już karane, za większe dostaje im się po parę miesięcy więzienia: nie pamiętam w Prusach grubszego przewinienia nad to, co od tygodnia kanclerz w prasie drukuje.“ Trzeba przyznać, że poseł *Rychter* wcale nie dobiórał wyrazów, na komplementa się nie sadził, nazwał każdą rzecz po imieniu, dosadnie i nie robił sobie ceremonii

nawet z ks. Bismarckiem, którego w postaci wcale niezaszczytnej i nie pięknej wyciągnął na scenę i jako głównego sprawcę oszczerstw przedstawił.

O ile łatwą, chociaż tak poniżająco-służalczą rolę odgrywała prasa inspirowana i gadzinowa, o tyle znów mało co da się porównać z ciężką rolą i stanowiskiem lekarzy, od których zależało jeżeli już nie uratowanie, to przynajmniej przedłużenie życia cesarza. Mówiąc o chorobie Fryderyka III, kiedy był jeszcze nas tępcą tronu, zaznaczyliśmy wtedy to ich niesłychanie trudne położenie i straszną z tego powodu odpowiedzialność: obecnie jedna i druga powiększyły się jeszcze, albowiem zabójcza choroba zrobiła postępy, a następca tronu był już cesarzem. Wprawdzie cesarz ten panował, ale nie rządził, gdyż istotne rządy, z całą ich potęgą i wpływami, sięgającymi do najskrytszych tajników, znajdowały się w ręku nieprzyjaznego mu stronnictwa, zawsze przecież jego osoba była tak wielkim skarbem, że strzedz go, pielęgnować i bronić od wszelkich względem niego pokuszeń było świętym obowiązkiem tych wszystkich, którym ten zaszczyt przypadł w udziale. Około dwudziestu najznakomitszych lekarzy niemieckich było w ciągu choroby używanych do porad, i wybrani z pomiędzy nich leczyli początkowo dostojnego pacjenta, ostatecznie jednak kuracja powierzona została dwom lekarzom angielskim: Mackenzie'mu i Hovell'owi. Jakiegokolwiek mogły być tego powody, czy większe zaufanie do ich wiedzy, doświadczenia i koniecznej w tym położeniu rzeczy dyskrety, czy inne, głębsze pobudki, i chociaż lekarz pruski Bergmann dość jeszcze długo pozostawał także przy chorym, jednakże to pierwszeństwo oddane cudzoziemcom wywołało wielkie niezadowolenie ich niemieckich kolegów. Był to może najważniejszy materiał dla prasy gadzinowej do jej szkalowań na temat sympatyj i szkodliwych wpływów angielskich, która miała możność obrabiania go przez całe panowanie Fryderyka III, gdzie doktor Mackenzie posiadał zaufanie obojga cesarstwa i objął kierunek kuracji jeszcze w czasie następstwa tronu. Niebawem też zaczęły pojawiać się wiadomości i artykuły w prasie niemieckiej i angielskiej o rodzaju i przebiegu choroby, o jej różnych objawach i sposobie traktowania, w których nie brakowało dwuznacznych niedomówień, przycinków i nagan dla angielskich lekarzy. Artykuły te były nie tylko w wysokim stopniu niewłaściwe i niezgodne z etyką lekarską, ale miały jeszcze brzydkią cechę jakby złośliwego znęcania się, gdyż chory cesarz mógł je czytywać. Z tego powodu cesarzowa Wiktorya widziała się być zniewoloną do napisania odpowiedniego listu do ministra sprawiedliwości i zdawało się, że dr. Manckenzie wytoczy proces o oszczerstwo. Nie zrobił przecież tego, ale z wszelką oględnością i umiarkowaniem wykazał, że niedyskretyce popełniał i wiadomości niewłaściwie udzielał prasie dr.

Bergmann, który naturalnie był niebawem zmuszony usunąć się „dobrowolnie“ od udziału w kuracyi. Powiększyło to, rozumie się, niechęci i złość przeciwnego obozu, i o rozpaczliwym stanie cesarza zaczęły coraz wyraźniej obiegać alarmujące wiadomości, które bardzo szkodziły jego najlepszym zamiarom i usiłowaniom. O ile bowiem każde przedstawienie w korzystniejszym świetle jego zdrowia dodawało otuchy tym, którzy pokładali w nim nadzieję lepszej politycznej i społecznej przyszłości i ośmielało ich do silniejszego skupiania się około niego, a nieprzyjaciół zmuszało do umiarkowania, o tyle znów złe wieści uzuchwalały obóz przeciwny, zachęcały do oporu i paraliżowania usiłowań reformy. I na tём więc polu toczyła się walka polityczna, w której musieli brać udział i lekarze. Dr. Bergmann i kilku innych lekarzy niemieckich nie ukrywali bynajmniej, że cesarz cierpi na raka, a przeciwne choremu stronnictwo i jego prasa trzymało się głośno téj dyagnozy. Czegóż gorszego można się było spodziewać po dziennikach gadzinowych, skoro taka gazeta dworska, jak *Kreutzzeitung*, przedstawiała Fryderyka III jako chorego nieuleczalnie, jako już prawie nieżyjącego, omawiając to ubolewaniem, że co do charakteru choroby nikt już nie robi sobie złudzeń i do chwilowego polepszenia żadnej nie przywiązuje wagi. Najprzykrzejszém było położenie dr. Mackenzie'go, który przecieź najlepiej znał stan chorego, i pomimo szyderstw i czynionych mu zarzutów, wytrwał do końca przy swém twierdzeniu, że cierpienie Fryderyka III nie jest tём, za jakie je dr. Bergmann tak ostentacyjnie przedstawia. Przychodził mu z pomocą znakomity patolog, zacy i poważny dr. Virchow, który zaraz po swym powrocie z Egiptu, będąc wezwany na konsultacyą do cesarza i po jój odbyciu, ogłosił w dzienniku pośta Rychtera, że „choroba cesarza może posiadać charakter rakowaty, lecz rakiem nie jest, i nie widzę żadnego powodu do obliczania czasu, pozostającego jeszcze monarsze, na tygodnie lub miesiące, jak to z pewnej strony miało miejsce. Cesarz może żyć jeszcze cały szereg lat.“ Opinia takićj powagi naukowej i lekarskiej była ciężką karą dla dr. Bergmann'a za brak uczuć ludzkości i dyskrecyi, była reabilitacyą dla Mackenzie'go i bardzo pożyteczną dla chorego. Nie wchodząc w to, o ile wypowiedane głośno zdania Mackenzie'go i Virchowa zgodne były z ich najgłębszemi przekonaniem—co zresztą, bardzo być mogło—stawały one przecieź ich obudwóch bez porównania wyżej od lekarzy przeciwnego obozu w oczach każdego, kto na wszystko, co się tam działo, zdolnym był patrzeć ze stanowiska etyki lekarskiej, moralności i chrześcijańskiego miłosierdzia. Była to, być nawet może, tylko zaena ofiara z miłości własnej i tak słusznie nabytej sławy, dla spokoju, szlachetnych dążeń i osłodzenia ostatnich chwil cesarza-męczennika. Ani prawda, ani właściwa w wyjątkowém położeniu chorego kuracya nie na tём nie cierpiały, gdyż lekarze, stojący przy dyagnozie raka nie mogli nie lepszego wynaleźć nad pra-

wie niechybnie zabójczą, a zawsze bezpożyteczną, operacją wycięcia całej krtani. Oparł się temu cesarz, jego najbliższe otoczenie, a głównie dr. Mackenzie, który dalej podług swojej metody podtrzymywał życie chorego. Bądź co bądź, na korzyść lekarzy angielskich i ich sposobu traktowania pacjenta przemawia ten zwyczajki argument, że z chorobą nieuleczalną, która blisko od roku łąda miesiąc lub tydzień groziła śmiercią, umieli walczyć tak skutecznie, że następcą tronu doczekał się korony i mógł jeszcze kilka miesięcy panować. Powstrzymywało to nawet do pewnego stopnia wrzące i zaledwie tłumione wzajemne niechęci i nienawiści lekarzy, które dopiero po zgonie Fryderyka III wybuchnęły z niesłychaną gwałtownością.

Dr. Mackenzie, z rozkazu Wilhelma II, w ciągu nader krótkiego czasu i zanim dozwolono mu wyjechać, musiał złożyć opis choroby cesarza. Posypały się następnie rozbiory, krytyki, broszury i między lekarzami wywiązała się polemika w najwyższym stopniu skandaliczna. Dość powiedzieć, że londyński dziennik *Daily News*, jednocześnie z ogłoszeniem odpowiedzi Mackenzie'go na czynione mu zarzuty przez lekarzy niemieckich, wydrukował wyjątki z listu cesarzowej Wiktorji do napastowanego lekarza, z których okazało się, że dr. Mackenzie, zaraz po pierwszym obejrzeniu gardła następcy tronu, powiedział do cesarzowej te słowa: „gdziekolwiek mogłoby istnieć pewna niewytłomaczona a fatalna choroba, która szczególnie w wieku księcia, staje się złowrogim elementem.“ Na tę „niewytłomaczoną chorobę“ u następcy tronu położył Mackenzie w swojej broszurze nader silny nacisk; tak silny, że jeden rozdział tej jego książki nosi tytuł: „Sztuczne wytworzenie raka.“ Oględna dyskrecya i cierpliwość, jaką zachowywał lekarz angielski za życia i w czasie choroby cesarza, opuściła go widocznie po zgonie nieszczęśliwego monarchy, skoro nie wahał się wprowadzić polemiki aż na tak wstrętne i niegodne pamięci zmarłego tory. Z zestawienia owych słów, wyrzeczonych kiedyś do cesarzowej, z tym rozdziałem broszury i w ogólności z całej ciemnej i zagmatwanej polemiki między specjalistami chorób gardlanych, dochodzi się do smutnego wniosku, że dr. Mackenzie chciałby uczynić swoich kolegów berlińskich odpowiedzialnymi za to, że symptomata owęj „niewytłomaczoną i fatalną chorobę,“ traktowali w ten sposób, że w końcu wytworzył się z niej rak w gardle chorego.

Dymisyja hr. Puttkamer'a była jakby ostatnim wysiłkiem woli i sił życiowych cesarza Fryderyka. W drugim tygodniu czerwca, życie jego liczyło się już tylko z dnia na dzień, a ostateczne rozwiązanie zbliżało się powoli i spokojnie. Chory widocznych cierpień nie doznawał, tylko od czasu do czasu zapadał w stan nieprzytomności i omdlenia, który przechodził, i cesarz znów odzyskiwał całą swoją świadomość. Na kilka dni przed zgonem wezwał do siebie następcę tronu, długo z nim, w obec cesarzowej, o sprawach pań-

stwa rozmawiał, i radził mu, ażeby był monarchą kochającym ludzi i pokój. W wigilią śmierci, z powodu urodzin młodszej swej córki, nakreślił jej na kartce te słowa: „Bądź zawsze wspaniałomyślną i dobrą,—jest to ostatnie życzenie twego konającego ojca.“ Tegoż dnia kazał przywołać służbę pałacową i pożegnał się z nią: każdemu podał rękę i pocałował go w czoło. Cesarzowa, jak zwykle, czuwała nieustannie przy chorym małżonku i noc, poprzedzającą zgon jego, przepędziła w sąsiednim pokoju, do którego udała się dopiero o 1-ej po północy. W godzinę później dr. Hovell, który pozostał przy chorym, zauważywszy puls coraz słabszy i widoczne już opadanie sił, wezwał dr. Mackenzie'go, a ten, widząc zapowiedź konania, zawiadomił o tém cesarzową, która na tę wiadomość, nie mogła już zapanować nad sobą i upadła zemdlona. Przyszedszy jednak do siebie, siadła przy łożu męża, ujęła jego rękę w obie swe dłonie i załzawione swe oczy pograżyła z niemą boleścią w twarzy tego, którego była w ciągu długiego męczeństwa główną pociechą i osłodą. Dnia 15 czerwca 1888, około godziny 10 rano, zebrała się przy łożu umierającego cała rodzina cesarska, duchowni i lekarze, a na dziedzińcu pałacowym generał i fligel-adjutanci, marszałek dworu ks. Radoliński, minister domu cesarskiego i inni. Umierający cesarz co chwila brał ołówek do ręki i ruchem oraz gasnącym wzrokiem żegnał obecnych, a o godzinie kwadras na 12-tą już nie żył. Duch jego, w największym spokoju przynosił się do wieczności, a zgon nie był walką ze śmiercią, tylko powolnem gasnięciem oddechu życia.

(dok. nast.)

KOPALNIE KLUCZA SŁAWKOWSKIEGO. *)

(Ustęp z dzieła, poświęconego poszukiwaniom przemysłu górniczego w dawniej Polsce).

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

Łatwo ubogiemu gwarkowi było dostać pieniędzy, jeżeli ich potrzebował, skoro się poddał uciążliwym warunkom, które mu narzucił kapitalista, nie chcący nie ryzykować a spekulujący na jego pracę i na powodzenie przedsiębiorstwa. Kmieć, otwierający górę, mógł osobistego majątku nie posiadać, albo posiadał go tyle, iż to zaledwie starczyło na opędzenie pierwszych kosztów, ale flegar, dający mu pieniądze, zabezpieczał je najpierw na wszystkim, co gwarek mógł wyprodukować, czy to był kruszec surowy czy też ołów. Dłużnik zeznawał do akt górnych, że przyjmował pieniądze na flegarstwo, a już przez to przyznanie flegar nabywał prawa przed wszystkimi innymi wierzycielami do urobku. Jedni tylko leuszofnicy i w ogóle robotnicy mieli pierwszeństwo przed flegarem. Nie wolno było zatem gwarkowi ruszyć urobku, jeżeli nie zaspokoił wpierw flegara. Zazwyczaj dawano pieniądze pod warunkiem zapłaty długu nie pieniędzmi, lecz kruszczem albo ołowiem, naznaczając ich cenę z góry. Urobiwszy pewną ilość kruszczu, lub wytopiwszy ołowiu, należało dać o tém wiadomość do urzędu górnego i dostawić do wagi, dla wyznaczenia téj części, która przypadła na olborę. Żupnik, pobrawszy olborę, dawał „z w o l e n i e”, po którym dopiero gwarek stawał się panem swego urobku. Ale flegar pilnował téj chwili, i jeżeli gwarek nie zaspokoił go przed dostawieniem do wagi, co było często niemożliwem, kładł areszt sądowy na urobku, znajdującym się na wadze. Mogło się jednak zdarzyć rozmaicie: mógł się flegar w właściwej chwili nie dopilnować, z czego korzystając gwarek niesumienny, podniósł z wagi i sprzedał swój towar zwołony. Mogła góra, na którą dał pieniądze, być jałową lub z innych powodów nie dopisać, w przewidywaniu zatem podobnych ewentualności dłużnik zapisywał flegarowi bezpieczeństwo na całym

*) Dokończenie. Zob. Zeszyt na mies, Kwiecień r. b.

swoim majątku ruchomym i nieruchomym,—wreszcie, gdyby i to nie wystarczało, zobowiązywał się pójść sam do kaźni i siedzieć w więzieniu o własnym koszcie tak długo, pókiby dług nie został w całości zapłacony. Tak skrępowany dłużnik, dawał dopiero wierzycielowi zupełną pewność kapitału. Byłoby to słuszne i sprawiedliwe, gdyby nie straszny wyzysk, jakiego się flegarzy dopuszczali na gwarkach, potrzebujących ich pomocy. Rzadkie bowiem są akta zastrzegające zwrot pożyczki w pieniądzech, natomiast wymagano zazwyczaj od dłużnika przyznania, iż się zapożyczył u N. N. tytułem flegarstwa na tyle a tyle niecek kruszcu, mniej często na oznaczoną ilość cetnarów ołowiu. W każdym razie cena równie jednego jak i drugiego zgóry bywała ustanawiana. Nie dosyć na tém, bardzo często flegar z tytułu swojej uprzywilejowanej wierzytelności, zastrzegał sobie prawo wyłączności w nabywaniu, po naznaczonej cenie, wszystkiego kruszcu dobyć się mogącego — i to była prawdziwa niewola, w jaką popadali gwarkowie niezamożni. Z długu bowiem pieniężnego, albo téż mającego się uiszczyć w kruszcu lub ołowiu, jeżeli ilość onego była oznaczona, można było wyjść choćby z pomocą ogromnej lichwy, ale w tym ostatnim razie gwarek zaprzedawał flegarowi swoją pracę i nadzieje bez żadnych praw i bez wyjścia. Wyżej już nadmieniliśmy, że na 400 blisko gwarków, przeszło $\frac{1}{4}$ część t. j. 104 było zadłużonych. Z téj liczby 29 miało spłacić swój dług w pieniądzech, 34 w ołowiu a 41 w kruszcu. Stosunek ten, jak zobaczymy, jest bardzo pouczający. Pomijając gwarków pieniężnie zadłużonych, przypuścić można, że ci, którzy mieli oddawać dług w urobku, stanowili dwie kategorie przemysłowców, to jest takich, którzy przedstawiali na samém tylko eksploataowaniu gór dla rudy—i takich, którzy nietylko rudę dobywali, ale ją w hutach przetapiali na ołów. Prawda, że i urobek pierwszych ostatecznie nie miał innego celu, tylko wytopienie, wszakże była to już dalsza manipulacja, której dopełniali flegarzy, i oni też z niej a nie gwarkowie zysk odnosili. Przetopiwszy na ołów 239 niecek kruszcu, wyprodukowanego przez 41 gwarków, można było otrzymać 821 $\frac{1}{2}$ cetnarów ołowiu, wartującego flor. 1643; ale zysk, jaki się z tego dał osiągnąć, był dla gwarków straconym, bo go się musieli wyrzec za dług, który prawdopodobnie nie wynosił i 200 florenów, otrzymanych jako zaliczkę ¹⁾. Inni gwarkowie w liczbie 34 wytopili dla flegarów ołowiu cetnarów 710 $\frac{3}{4}$, wartującego w rzeczywistości florenów 1420 gr. 22 $\frac{1}{2}$, na który otrzymać mogli zaliczenia co najwyżej około 1136 florenów. Z tego widzimy różnicę nakładu pracy w kopalniach jednych a drugich gwarków, oraz korzyści, które z ich pracy ostatecznie zawsze flegar odnosił. On to bowiem,

¹⁾ Przyjąć można na pewno, że przecięciowo na 1 nieckę kruszcu flegar nie zaliczył wyżej nad 24 grosze, a na 1 cetnar ołowiu, 1 markę.

oprócz procentów i obniżenia ceny urobku, zabierając gwarkom rudę i wytapiając ją, osiągał te zyski, które powinny były służyć ku podniesieniu kopalnictwa. Najzgubniejsze więc było narzucanie gwarkom obowiązku wypłacania się koniecznie rudą, posuwane nieraz aż do ostatnich granic wyzysku, przez zobowiązanie gwarka, iż całą produkcją winien był sprzedawać nie komu innemu, tylko swojemu flegarowi i to po cenach często niemożliwych. Co do kruszcu, cena wprawdzie trzymała się około 1 florena za nieckę, posuwano ją niekiedy do flor. 1 gr. 5, a nawet do flor. 1 gr. 5½, raz do flor. 1 gr. 6 (3 fertony), ale też niektórzy flegarowie obniżali ją do 24 groszy, a nawet trafiają się akta, w których cena jest niemożliwie nisko naznaczoną na gr. 15.—Wyżej opowiedzieliśmy, że około r. 1551 od 1 niecki kruszcu płacono lenszofnikom po gr. 24; cena ta w przeciągu lat 24, około r. 1575, spadła na gr. 15¹⁾. W pierwszym razie, jeżeli gwarek oddawał flegarowi nieckę po 1 florenie, zostawało mu za jego pracę i ryzyko po gr. 6, a więc cztery razy mniej aniżeli robotnikowi. Nie wiemy na pewno, jaka była rzeczywista wartość niecki kruszcu, ale przyjmując choćby tę cenę, na którą niekiedy wyjątkowo sami flegarzy godzili się z dłużnikami, to jest po flor. 1 gr. 6; to flegar, biorąc rudę po 1 florenie, z czego odchodziło 24 gr. na lenszofnika, potraçał 6 gr. na swoje wierzytelność, a 6 gr. miał zysku, wynoszącego 100 proc. Bywało jeszcze gorzej, kiedy cenę niecki naznaczano na gr. 24, a nawet w obliżu jednym z r. 1551, gwarek Stanisław Grabowski zobowiązał się Stanisławowi Biegajowi, karczmarzowi z Bolesławic, za 5 florenów długu oddać 10 niecek kruszcu, jedną nieckę co tydzień. Musiał przeto ów gwarek dopłacić do każdej niecki 15 groszy, czyli oprócz procentu doliczonego w obliżu do sumy kapitałnej, oddać jeszcze 100 za 100.

Lichwa, którą flegarzy obciążali gwarków, była tak niepomniernie wysoką, że to dawało im nawet możność robienia dłużnikom pozornie hojnych ulg bez szkody dla swoich interesów, zachęcając tym sposobem dłużników do punktualnej zapłaty długów. I tak np. w r. 1551 Stefan Ossowski, któremu się Jan Morawiec zadłużył na 13½ niecek kruszcu i 8 groszy, obiecywał temu Morawcowi odpuścić 3½ niecek i 8 groszy, jeżeli mu zapłaci dług w terminach w obliżu wyznaczonych. Tak samo w drugim akcie z Górskim, tenże Ossowski od 11 niecek długu, obiecywał odpuścić 2 niecki. Jakiż więc musiał być zysk czy procent, jeżeli można było odstąpić od niego tak znaczną część długu? W tymże samym r. 1551 Paweł Byczek z gór Łuszkowskich, zapożyczył się u Doroty Gładyszowej na 27 cetnarów i 1 achtel ołowiu. Od tego Gładyszowa odstępowała w razie

¹⁾ Jest to do zastanowienia, że cena pracy w kopalniach w przeciągu tego czasu tak bardzo spadła, różnica bowiem wynosi około 38 proc.

punktualnej zapłaty po 2 grosze od cetnara. Na odwrót zaś, jeżeliby dłużnik nie płacił w terminach, do których się zobowiązał, podlegał niezmiernie srogim karom, jako to r. 1551 Fabian Ploczek z Luszowic, dłużny Gładyszowej 17 cetnarów ołowiu, gdyby ołów, zamiast jej go oddać w terminie, sprzedał komu innemu lub w jakibądź sposób usunął, zapłaciłby kary tyle, ileby wart był ołów sprzedany. Jerzy Pietka i Urbanek z Łąki dłużni 5 niecek rudy, gdyby jej nie oddali w terminie, mieli zapłacić „summam duplam, hoc est alveos octo.” (Prawdopodobnie dług wynosił 4 niecki a piąta przypisana została za procent). Walenty Strzemeski dłużny Janowi Ogon, obywatelowi Sławkowskiemu, 12 cetnarów ołowiu, gdyby uchybił w zapłacie raty, podpadał karze podwójnej ilości raty uchybionej. R. 1564 Jan Pieczonka z Luszwic dłużny Sebastyanowi Makolowi „dlugu istego a sprawiedliwego y porachowanego zlotich czterdzieszczyj piecz gr. szesnasczije ij pol” poddał się zastrzeżeniu, iż: „iesliżeby pijerwszj raczije doszicz nie uczmil, tedij mu druga rata nijema bijcz trzimana alije zupełną sume zarazem ma zaplaczicz.”

Rygor na niewypłatnych gwarków regulowany był także do wszelkiego majątku przez nich posiadanego. I tak w roku 1551 Wincenty ze Strzemieszyc, zwany Więczek, dłużny Maciejowi Płachetce z Sikorki 10 centnarów ołowiu, gdyby mu się nie wypłacił w terminie, dopuszczał wraz z żoną swoją Katarzyną wolnej intromissyi do wszystkich swoich dóbr ruchomych i nieruchomych, a mianowicie „pecora et pecudes“, które Płachetka mógł trzymać i użytkować, pókiiby cały dług nie został zapłacony. Tak samo Jan Strzeżydziurka, późniejszy żupnik i żona tegoż Urszula, zezwalała na zajęcie ich domu z ogrodem, jeżeliby nie oddali temuż Płachetce w terminie 30 centnarów ołowiu. Dawano prawo intromissyi do gruntów, do łąk, do inwentarza. Opatrzny Wawrzyniec Dymek z Łąki (r. 1551) za 14 cetnarów ołowiu forlegarstwa, otrzymał intromissyą do wszystkich dóbr ruchomych i nieruchomości swych dłużników, Macieja i Doroty Wierzbów, składających się z domu, ogrodu, łąki i ośmiu krów.

Często stawiano za siebie poręczycieli, zazwyczaj dwóch posesyjonatów, co przecież nie każdemu się udawało, bo poręczenie (fideiussoria) czyli rękojemstwo, pociągało za sobą dla poręczycieli też same skutki, co dla dłużników. Zwykle dłużnik, mający za sobą poręczenie, wolny bywał od innych rygorów powyżej opisanych. Nakoniec jako „ultima ratio” na niepłacących przychodziło więzienie, na które w razie bezskuteczności wszelkich innych rygorów, gdyby dług „quod absit” miał pozostać niezapłaconym, zapisywano się w obligach w ten sposób: „a iesliże bij temu dossicz nie uczinil slubuije dobrowolnie do kaźnie ijszcz a tam sijedziecz o swim własnim gr. do tąd do kąd sije niestanije zupełną

z aplatha vissij opissalemu S. Makolowij etc. (Recognitio debiti per Joannem Pieczonka de Liuszowicze D-no Sebastiano Makol facta roku bozego 1554). W jaki sposób ten najtwardszy z rygorów w praktyce był stosowanym, dowiadujemy się ze sprawy niejakiej Zofii Głowieńczykowej, sądzonej w r. 1557, która była następująca: Wojciech Głowieńczyk był gwarkiem o tyle zamożnym, że puszczał się sam na flegarstwo. Flegował w r. 1552 górę Matiasa Nowaczka do summy fl. 2 gr. 12, za co wziął temuż Nowaczkowi w zastaw łąkę, tak samo flegował górę Zamczyska na Tłukience, należąca do Stanisława Garncarza, który mu się z tego tytułu zadłużył na 4 niecki kruszcu. Przez 3 lata, od 1551 do 1553 Głowieńczyk był żupnikiem, (akta wszystkie z owego czasu rozpoczynają się od formuły: „coram me Alberto Głownitano protunc Zuppano Ślawkowiensi“), ale zeszedłszy z końcem 1553 r., z tego wysokiego w rzeszy gwareckiej stanowiska, doznał przedko zmienności rzeczy ludzkich i znalazł się w położeniu, które dawnego dygnitarza i kapitalistę przywiodło w niedługim czasie do upadku. Dobywając nie tylko kruszec, ale także i ołów wytapiając, zadłużył się u najpotężniejszej ze wszystkich miejscowych i okolicznych finansistów. Doroty Gładyszowej, na 9 centnarów ołowiu — i nie zdołał już wybrnąć z tego długu. Przyszło do tego, że w r. 1557 Gładyszowa przez swojego plenipotentę dopominała się o swoją należność, pod rygorem, który w obliżu był zastrzeżony, osadzenia dłużnika w kaźni. Sąd górny, powołując się na niezaprzeczalność długu i na mocy jakowychś listów biskupa Krakowskiego, zawyrokował, ażeby dług Gładyszowej natychmiast był zapłacony, lub postawiony poręczyciel. pod rygorem osadzenia dłużnika niewypłatnego w kaźni. Głowieńczyk był właśnie złożony bardzo ciężką chorobą, a ponieważ nie znalazł się na razie poręczyciel, przeto zatrzymano bezzwłocznie żonę za męża i Zofią Głowieńczykową „pisarkę” — jak ją teraz tytułowano, osadzono w więzieniu. Przesiedziała w niem trzy dni tylko, gdyż znalazł się przecież poręczyciel w osobie Stefana Deszyńskiego, rajcy Ślawkowskiego, który się zobowiązał Gładyszowej 9 centnarów ołowiu oddać za 4 tygodnie. Był to jednakże tylko środek obmyślany w celu wydobycia Zofii Pisarkowej z matni, gdyż Deszyński o dotrzymaniu swojego rękojemstwa nie myślał. Po 4-ch tygodniach plenipotent Gładyszowej wytoczył też przeciwko niemu sprawę, która przecież do roku następnego 1558 się przewlekła. Ostatecznego jej rozwiązania, z powodu zniszczenia i nieczytelności pisma, nie mogliśmy się doczytać.

Ciekawe i godne uwagi jest to, że już wówczas, w połowie w. XVI własność górna podlegała zasadom, odzywającym się w nowoczesnych pojęciach prawa hipotecznego. Wierzyciele mieli swoje pierwszeństwo numerów. Pierwszy flegar nie szedł wcale do równego podziału z późniejszymi od niego wierzycielami, jak się to

działo u nas przed zaprowadzeniem prawa hipotecznego, przy exdywizjach t. j. sprzedażach dóbr nieruchomych na satysfakcją wierzycieli. Jako „prior ac principalis” miał on prawo lepsze od wszystkich. Ztąd pochodzi, że w obligach spotykamy dość często powołanie się na toż prawo, wobec którego każdy późniejszy wierzyciel musiał poprzestać na tém, co mogło pozostać po zaspokojeniu pierwszej uprzywilejowanej wierzycielności.

Wierzyciel uprzywilejowany mógł pierwszeństwa swojego ustąpić innemu, posiadającemu niższy numer, na co robił zeznanie do akt górnych. Takich ciekawych zeznań nie brak w aktach Sławkowskich ¹⁾. Jedne dopuszczały pierwszeństwa dla pewnej oznaczonej summy, drugie ustępowały pierwszeństwa na pewien czas, po upływie którego prawo pierwszego flegara odzyskiwało swoją siłę.

Księga zapisów górnych prowadzona przez żupnika, była zbiorem najpewniejszych dowodów wszelakich praw nabytych,— jednakże jeżeli nie było zapisu, można było dochodzić swojego, powołując się na różne dowody: na rejestra, które każda kopalnia,

¹⁾ „Anno D-ni 1551 die 13 Decembris — Coram me Alberto Zuppario Sławkowiensi Constitutus personaliter Stanislaus Pietka de Bukowno libere et per expressum recognovit se toneri veri, certi et iusti debiti Domini Mathie Plachetka de Sikerka sex centenarios plumbi ponderis iusti montanici forlegarstwa. Quos se eisdem solvere promittit et praesenti inscriptione obligat in et pro festo divi Stanislaei in estate proximo futuro Anni dni 1552 sine aliquo impedimento sui primi ac principalis forlegatoris D-ni Laurentii Kaptur, Civis Sławkowiensis, nam diebus Laurentius Kaptur ad praefatos sex centenarios plumbi illi accipere apud quempiam consensit et admisit.”

„Inscriptio Jacobi Piech cum Laurentio Kaptur. Anno D-ni 1551 feria secunda post Lucae quod erat 14 Decembris. Coram me Alberto Glownitano Zuppario Sławkowiensi Constitutus personaliter Laurentius Kaptur, Civis ac Consul Sławkowiensis libere recognovit. Quia quemadmodum Jacobus Piech ei tenet certam sumam plumbi forlegarstwa ab aliquo iam tempore transacto. Volens itaque eius rebus consulere praefatum Jacobum Piech liberum fecit, et praesenti inscriptione eum fecit illum sibi posse aseq. ac ordinare alium quempiam forlegatorem sive ad mineras sive ad plumbum, iuxta velle suo, ab hinc ad festum Divi Martini proximo venturum, ita quod is modernus forlegator, quem praefatus Jacobus Piech sibi ordinaverit, liber ac potens erit ab eo tollere sive mineram, sive plumbum ab hunc ad festum Martini anni 1552, sine impedimento praefati Laurentii Kaptur tanquam primi forlegatoris. A festo vero divi Martini iam denique forlegatio Laurentii Kaptur habebit vim et robur tanquam prioris forlegatoris, praeter omnibusque aliis creditoribus. Diebus etiam Jacobus Piech submitit se libero, dare dieto suo priori forlegatori Laurentio Kaptur in et pro festo praefato, .. divi Martini aliquot centenarios plumbi, ad rationem sui debiti principalis.”

a szczególnie ta, na której ciążył flegar, posiadała ¹⁾; na świadków, ostatecznie zaś na przysięgę. Rejestra nie zawsze mogły być rzetelne; jakkolwiek zaś flegarowie nieraz powoływali się na nie, to prawdopodobnie nie były to żadne akta pisane, a tylko całkiem pierwotne tak zwane *karby* drewniane, na każdej kopalni się znajdujące, o których wielokrotnie w aktach jest mowa. Przedając lub przekazując komuś kopalnię, jeden drugiemu oddawał kopalnię wraz z *karbem* ²⁾. Na karbie znaczyły się dnie albo szychty robotników, — na karbie znaczył flegar pieniądze, które flegował, płacąc zamkosta, albo zarobek lenszofnikom. — na karbie oznaczano to, co przez gwarka zostało na kosza długu zapłacone. Takim karbem były jak się zdaje deseczki lub laski podwójne, —jedne u gwarka, drugie u flegara, na których wspólnie kładziono znaki i podług tych się później rachowano.

Po nad ten dowód wyższą moc miała przysięga, która spór zwykle kończyła ostatecznie. Jeżeli się też znalazło na jednej kopalni dwóch flegarów i jeden po nad drugiego dowodzić chciał pierwszeństwa, a więc lepszego prawa, w braku innych dowodów decydowała przysięga, którą gwarek składał publicznie w obec sądu ³⁾. Różnorodne stosunki, zachodzące na kopalniach, już to między gwarkami samymi, już między gwarkami a flegarami,

¹⁾ „Stanosch cum Jacobo Bijlijna. Anno 1552 die 13 Martii Coram etc. D. Jacobus Bylyna conquestus est contra Laurentium Stanosch pro certam summam debiti in plumbo forlegarstwa. Ex adverso itaque Stanosch negavit se eam summam tenere, quod Jacobus Bylyna suo registro aprobari voluit ac paratus est. Jurati itaque decreverunt ac mandaverunt, ut Stanosch sub pena zupparij ad triduum cum D. Jacobo calculum faciat, atque quidquid debiti inventum fuerit, ut satisfaciat“.

²⁾ Roku bozego 1569 feria quarta die S. Apolonie Virginis. Coram Zuppariatu Sławcowiensi. Stanawsi oblicznie barbara Litwina gornika pozostala wdowa po mezu swim własnim Stanislawie Litwie dobrowolnie podala iesth czesczi wsistki jakije ijedno niebosezik mijal Gwarkom, tho iest Jakubowi Ikowi, Matiasowi Phelezo, Janowi Smartwistalowi, wospolek ij z naczinom naleziaczim ku gorom. Oni sie jej tez pozwolili za tho placiez dlug Valentomu Kmiotkowi pozostali po mezu, tho iesth pulczwartij nieczok krusezu. Kthora ijm zarazem oddala *karb*.

³⁾ „Actum 1575,—2 die Octobris. Stanawсий przed mie zupnika iako pozwany Stanislaw Kozera ij bioniasz obadwa z nikowa ij zoznaly pod swą cielesną przysięgą podniowsy dwa paleza ku panu Bogu ze ony nie braly na flegarstwo nabiskupij grunt na krusecz do gorij mianowitzey Bozo wspomno u pana Gabriela Starczinowskiego ijedno u pana smolczerza Marcina z elkus a any ich yescze nikt nie flegował gdij ostaly panu Marczinowy flegarstwa 14 ktore zesnanie pan Marczin dal zaplaczacz“.

spory sąsiedzkie i t. d., ujawniały się często w księdze zapisów w formie aresztów, odpowiadających w wielu razach dzisiejszym ostrzeżeniom, zapisywanym do działu III wykazów hipotecznych. Areszt taki ostrzegał o pretensyi, którą rozpoznawał sąd w czasie właściwym — i albo ją uchylał, lub zatwierdzał. Strona wnosząca pretensyą i żądająca aresztu sądowego, stawiała osobście lub przez plenipotentą przed żupnikiem, który, pozwalając na zapisanie odpowiedniego aktu, wyznaczał częstokroć „rok“, czyli termin dla sprawy. Niekiedy, jeżeli szło o niedopełnianie jakiegos warunku, albo o niezapłacenie długu, należało areszt po czterokroć ponowić w odstępach dwutygodniowych, poczem dopiero sprawa szła pod rozpoznanie sądu.

Areszt posiadał niekiedy rygor przedstanowczy, jak się to okazuje z zapisów sądowych np. wstrzymanie robót w kopalni, zatrzymanie kruszcu albo ołowiu na wadze, aż do prawa. Na skutek też tego rygoru samo zapisanie aresztu powodowało często bezzwłoczną zgodę między stronami, zmuszając je do układów. Można było w akcie „uczynić pilność do prawa“ to jest żądać terminu skróconego. Można było uzyskać decyzją żupnika, pozwalającą robić w górze albo szlamiskach „k t ó r e m u i n n i e“, jak mienił gwarek skarżący, „p o s i e d l i n i e p r z y s t o j n i e“ albo „n i e s ł u s z n i e“. Żupnik przeto, mając władzę dozwoleń aresztu z rygorem tymczasowym, posiadał nie byłę jaką moc dyskrecjonalną, skoro na żądanie skarżącego mógł wstrzymać w kopalniach roboty nawet najważniejsze, np. bieg kołowrotów wodnych.

Strona niestawiająca się na roki, wyznaczone przez żupnika, traciła bliższość dowodu, którą zyskiwała strona przeciwna. Od skutków rygoru tymczasowego można było się obronić, stawiając za siebie rękojmię. Wreszcie zdarzało się i to, że na areszt kładziono ze strony przeciwnej znowu areszt, a w takim razie rzecz sporna musiała zostawać w zupełném zawieszeniu, aż do wyroku sądowego. Zazwyczaj przecież aresztu, jakkolwiek liczenie zapelniające księgę zapisów górnych, kończyły się polubownie i liczba spraw wyrokowanych nie była zbyt liczną. Wpływała na to niewątpliwie owa władza dyskrecjonalna żupnika, o której tylko co wspominaliśmy.

Opowiedzieliśmy poprzednio czém był żupnik i jakie miał atrybucye w królewstwach, przy czém nadmieniliśmy i to, że prawo górne było wszędzie jedno, w górach królewskich czy prywatnych. Tak to niby było w zasadzie, ale w praktyce ogromna pod tym względem zachodziła różnica. Kiedy królowie usiłowali urząd górny i jego jurysdykcją wyosobnić z pomiędzy innych władz krajowych — i licznemi w ciągu wieków, szczególnie XV i XVI, mandatami utrzymać powagę prawa górnego i jego przedawicieli, w górach prywatnych było całkiem inaczej.

W górach sławkowskich urząd żupnika był dobry dla kmieci, karczmarzy, rzeźników i obywateli małomiasteczkowych, trudniących się gwarantem, ale w stosunku do władzy dominialnej—i w obec najniższych choćby jej organów, był prawie niczém. Stosunek ten najwybitniej się zarysował w sprawie, która się toczyła w sławkowskim sądzie górnym w r. 1561, to znaczy jeszcze za Jagiellonów, w połowie XVI w., kiedy przewaga szlachty nie doszła jeszcze do szczytu i nie sponiewierała praw i urządzeń, przeciwnych jej samowoli.—Niejaki pan Maciej Pieczanowski, niegdy starosta sławkowski, zadłużył się Janowi Litwinkowi, obywatelowi krakowskiemu na 30 florenów liczby polskiej. Dług ten zaciągnięty był przez Likowskiego, który był sługą i plenipotentem Pieczanowskiego. Likowski prowadził, jak się zdaje, roboty w górach, należących do Pieczanowskiego, wytapiał ołów i dostawił właśnie do wagi dwa bochny tegoż kruszcu. Otóż Litwinek, nie mogąc doczekać się zwrotu swój należności, położył na ten ołów w r. 1560 cztery areszta w odstępach dwutygodniowych, po czém w miesiącu styczniu 1561 r. stawił się w urzędzie żupnym „urodzony Gregorius Szlamnicki, plenipotent sławetnego pana Joannis Litwinek“—i powołując się na dopełnione areszta, żądał przysądzenia sobie na własność bezsporną swojego mandatu owych dwóch bochnów ołowiu, znajdujących się na wadze, w urzędzie żupnym. Ale sąd górny nie spieszył się z wyrokiem;—musiał być pod wpływem jakichś krepujących go w tym razie okoliczności, aż nareszcie po paru miesiącach zjawił się w urzędzie górnym wójt sławkowski i zeznał, że pan Jan Kwaśniewski, sługa zamkowy, wyzwolił z pod aresztu sądowego owe dwa bochny ołowiu i wydał je Likowskiemu, co i sam Kwaśniewski osobiście potwierdził. W skutek czego urząd górny zawyrokował: „że my sędzić pana Jana Kwaśniewskiego nie możemy, albowiem on jest sługą zamkowym, a jeżeli tenże jest komu co winien, niechaj z ni ego czyni sprawiedliwość pan starosta lub jego komisarz“. Poczém „tenże urząd przysądził ołów, będący pod aresztem, panu Janowi Likowskiemu, jako jego własny.“—Było to zupełne sponiewieranie żupnika i sądu górnego, a nawet i wszelkiej sprawiedliwości przez famulusa zamkowego, a musiała to być rzecz bardzo zwyczajna, skoro ją urząd w podobny sposób mógł załatwić. Dla zrozumienia tego wyroku trzeba wiedzieć, że sprawa zachodziła nie między dwoma równymi sobie gwarkami stanu kmiecego, ale szło o uczynienie sprawiedliwości ze szlachcica, który był przed tém starostą. W obec tego władza żupnika i jego urzędu była całkiem bezsilną.

Wzniosłym był przykład bezwzględnej sprawiedliwości oraz równości w obec prawa, który pozostawił król Kazimierz Jagelloń-

czyk w sprawie przed sądem górnym olkuskim, pomiędzy Janem Pileckim wojewodą ruskim—króla samego dotyczącej, a ubogą wdową po górniku. Niemniej przecież do obowiązku się poczuwamy wytknąć te groźne rysy, które już w złotym wieku Zygmunta pojawiały się w politycznej budowie dawniej Polski.

Że tak było w istocie, że prawo górne i urząd żupny, o ile nie osłonięte opieką królów, tak samo jak wszelkie inne władze gminne w stosunkach z innymi władzami, a zwłaszcza też z dominialną, nie miały żadnej powagi, dowodzi tego choćby sam sposób zaciągania do akt wniosków i zeznań, odnoszących się do osobistości, pochodzących ze sfer szlacheckich. Np. wszelkie zapisy i zeznania do akt górnych, rozpoczynały się od uświęconej formuły: „*Coram me N. N. zuppario Slawkowiensi, comparens personaliter N. N. publice recognovit*“ etc.; jeżeli przecież akt pochodził od kogoś, który sobie niewiele robił z powagi żupnika, chociaż go nawet potrzebował, pomijał formułę, która mu niby kazała stawiać się przed majestatem jego władzy, a poczynał sobie tak jak np. starosta sławkowski w r. 1556 Piotr Ligeza, który, kupując góry lub biorąc fryszt na takowe, kazał pisać do księgi wprost: „*Feria sexta post festum S-i Nicolai proxima, facta est emptio et venditio partium inter generosum etc.*“;—w końcu tylko dla prawności zapisu nadmieniono: „*cirea quod erat famatus Joannes Strzezidziurka zupparius Slawkowiensis, Joannes Dziadek, factor arcis Slawkowiensis, Joannes Quasniowski rybitw etc.*“ — ci dwaj ostatni ludzie służebni starosty, nie wspólnego z urzędem górnym nie mający.

Był zatem ów urząd w dobrach prywatnych i duchownych bez żadnego znaczenia, dobry dla ludzi tylko stanu gminnego i całkiem podległy władzy starościńskiej. Z akt sławkowskich nie można wiedzieć, przez kogo bywali stanowieni jego członkowie przysięgli (*jurati*), których bywało siedmiu, niekiedy pięciu tylko. Czy z wyborów? Ale co do samego żupnika, ten najprawdopodobniej naznaczany był przez starostę, jak wnosić można zład, że na dostojenstwo to wychodzili ludzie bez kwalifikacji, famulusy i słudzy zamkowi, jakim był np. wspomniany powyżej famulus Jan Kwaśniewski, z powołania nie żaden górnik tylko rybitw, który jednak w roku 1568 został żupnikiem i był nim przez 3 lata.

Rozliczne sprawy do kompetencji urzędu górnego należące, podług księgi sławkowskiej podzielićby można na dwie grupy, mianowicie: natakie, dla których załatwienia wystarczała decyzja żupnika samego t. j. prezydyalna, i na sprawy, wynagajające decyzji kolegjalnej czyli właściwe sprawy sądowe, wnoszone przed sąd górny, złożony z żupnika i 5 lub 7 górników przysięgłych. Do pierwszej grupy należały przeto wszelkie kupna, sprzedaże, darowizny, działy między gwarkami, obligi, protesta, areszta, badanie

świadków, rękojemstwa, frysztzy nowe i poprawiane, dozwoleń na prowadzenie robót w górach kwestyonowanych, wstrzymywanie takowych; — to wszystko załatwiał pisarz górny w imieniu żupnika samego i pod jego powagą. Niekiedy obecni przy tém byli jeden lub dwóch przysięgłych. Sprawy zaś wnoszone „do prawa,“ które trzeba było „rozeprzeć prawem,“ kiedy jedna ze stron występowała z akcją a druga jej przeczyła, lub nie czyniła zadosyć zobowiązaniu, kiedy należało między spierającymi się wyjaśnić prawdę i wydać dekret do „ortelów“ prawa górnego, sprawy tego rodzaju rozpoznawano i decydowano na posiedzeniach sądu wielkiego, gajonego „juditium montanicum, bannitum“, na których zasiadał żupnik i pięciu przysięgłych. Były też pewne terminy wyznaczone na odbywanie tych sądów w ciągu roku, ze źródła atoli, z którego czerpiemy, dojść tego nie można, gdyż w całej księdze przez lat 25 zapisanych jest tylko 6 sądów gajonych. Ale na uwagę zasługuje to, że za Wojciecha Głowieńczyka, który był żupnikiem w latach 1551—1553, znajdujemy zapisane 2 sądy gajone, jeden pod d. 12 stycznia 1552 r., drugi 1 lutego 1553 r., za Matisa zaś Obermana, gdy był pierwszy raz żupnikiem w latach 1553 i 1554, zapisano 3 sądy gajone i to w jednym tylko roku 1554. Nieprawdopodobnym więc jest, ażeby w innych latach i za innych żupników sądy gajone się nie odbywały, a że nie natrafiłszy na nie, to tylko dowodzi, że księga, która nam się do rąk dostała, jest niekompletną. Jakoż po innych żupnictwach, a mianowicie w żupnictwie checińskim, podług ustawy dla gór tamtejszych z r. 1608, sądy gajone winny były co 2 tygodnie się odbywać ¹⁾. Być może, że i w żupnictwie sławkowskiem nie bywało też inaczej.

Zadaniem sądu górnego było sprawę poznać, strony, które stawały same lub przez plenipotentów, wysłuchać, kwestyą wyjaśnić i na zasadzie tego badania, oraz przepisów prawa górnego, zwanych „ortelami,“ wydać wyrok. Ortele te, czyli prawo, podług statutu dla gór checińskich z roku 1608, winny były zawsze znajdować się w izbie sądowej, na środku stołu, ażeby sędziowie na oczach je zawsze mieli. Kto jednak rozczytywał się w tych ortelach i stosował je do nadarzających się spraw, kto wpisywał wyroki i utrzymywał akta, prowadzone w języku łacińskim, nateczas oficjalnym, pytania te następują: się same w obec tego, że o ile wiemy w górach sławkowskich i żupnik i przysięgli byli to ludzie prości, górnicy, często może, jakby się zdawało, i niepiśmienni. A zaś o tem, żeby który z nich miał tak biegle władać łaciną, żeby w niej wyroki i akta miał zapisywać, o tém rozumie się nie było co i myśleć. A jednak wyjaśnienie tego punktu byłoby dość ważne, ze względu na historią naszą kulturę i roz-

¹⁾ Rubrycola Włocławsku za r. 1887. Monum histor. dioec. Vladisl.

powszechnienie się nauk, bo trzeba tylko się zastanowić, że najmniejsze nawet a tak liczne u nas niegdyś miasteczka i osady na prawie magdeburjskim posadzone, sprawy swoje załatwiały i rejestrowały po łacinie. Oczywiście, że musiała być niezmiernie liczna falanga ludzi do tego uzdolnionych, pełniących funkcyje pisarzy przyurzędach nietylko grodzkich, ale także wójtowskich, a tak samo téż i żupniczych. Otóż w księdze sławkowskiej uderzające jest to, że akta z lat 1550 i 1551, z czasów pierwszego pozostawiania na urządzie Jana Porębskiego, pisane są nie jedną ręką, nieporządnie i nieczytelnie. Po nich idące akta w liczbie 86 Wojciecha Głowieńczyka, odznaczają się pismem czytelnym, dość dobrą łacina, biegłą redakcją i w ogóle starannością w ich prowadzeniu. Ponieważ Głowieńczyk, kiedy zeszedł z żupnictwa, turbowany o długi tak, iż nawet żona jego została za to uwieziona, utrzymywał się pono z pisarstwa (żonę jego w aktach procesowych zwano „pisarzową“ i „pisarką“). zatem jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż to wprawne pismo, ta staranna i dość biegła redakcja i ta znajomość łaciny, dowodząca nauki stosunkowo wysoko posuniętej, są właśnie dziełem nieszczęśliwego Głowieńczyka, jednego z licznej rzeszy gwarków sławkowskich. Po nim idące akta Matisa Obermana, Jana Strzeżydziurki i innych żupników, nie posiadają już tych zalet. Niektóre wprawdzie odznaczają się pismem bardzo pięknym i bardzo czytelnym, ale téż bardzo wiele jest i takich, których niełatwo odczytać, a ze względu na redakcję i ortografią, zrozumieć trudno. Zaznaczamy téż, że do r. 1554 nie ma w księdze ani jednego wpisu polskiego, później aż do r. 1568 wpisy polskie mieszają się z łacińskimi, poczem łacina całkiem ustaje i wszystkie akta po polsku już tylko spisywano.

Wracając do sądów gajonych, pozostaje jeszcze do wyjaśnienia kwestya egzekucyi wyroków, ogłaszanych przez te sądy. Z przytoczonej powyżej sprawy Głowieńczyka, o dług należny Gładyszowej, dowiadujemy się, że Głowieńczykowa zaraz na posiedzeniu sądu przytrzymana, odprowadzona została do kaźni ¹⁾. Była tu więc jakaś egzekucya doraźna, jakaś siła, będąca w bezpośredniej dyspozycyi sądu górnego. Były kary, które żupnik wymierzał; dłużnicy winni byli płacić zasądzone od nich należności „sub pena zupparii.“ Gwarek czyniący gwałt robotnikowi, jeżeli mu tego dowiedziono, winien był „penam sucubuisse zupparii.“ Ale jeżeli skazany wyrokiem sądu górnego, nie czynił zadosyć temu wyrokowi, jeżeli nie stawał do sądu, choć pozywany był przez człowieka przysięgłego, podpadał winie i jako nieposłuszny sprawę przegrywał, a nadto sąd górny odsyłał go przed starostę, ażeby się przed nim z postępków swych uspra-

¹⁾ „Officium decrovit, ut ont ad carceroz donec satisfaciat vel fideiussorum statuat. Quae statim est detenta in carceribus cum fideiussores non habet.“

wiedliwił ¹⁾. Gwarkowie, zalegający w zamkostach, podpadali z wyroku sądowego karze starościńskiej, wreszcie, gdyby to nie skutkowało, żupnik miał moc pociągania ich pod rygor statutu królewskiego ²⁾.

Starostowie nader pilnie naglądali za żupnikami i za tém, co się działo na sądach, biorąc często sami udział w wyrokowaniu, czego wcale nie kładziemy na karb ich gorliwości. Sądy żupnicze, górne, były różne od starościńskich, powinny téż były od nich być niezależne, bo atrybucye żupnika często mogły bywać w kolizyi z pretensyami starostów, tém bardziej, że ci ostatni biorąc w górach achtele, jako gwarkowie, powinni byli podpadać razem z drugimi pod prawo górne. Tymczasem widzimy, że władza starosty zawsze ciążyła na żupniku, który był przez nią krępowany, nadto znajdujemy w aktach fakta szczególne, np. starosta Prokop Zbierkowski pilnował obligów, zeznawanych na korzyść najbogatszej kapitalistki, operującej między gwarkami sławkowskimi, jaką była mieszcza krakowska, Dorota Gładyszowa. Obligi na nią były zeznawane „in presentia Gn-rosi D-ni Capitanei“ który sam stanowił termina i układał warunki oraz rygory na dłużników; z jego to rozkazania „ex mandato domini Capitanei“ dłużnicy, oprócz innych zastrzeżeń, dawać musieli poręczycieli, według upodobania p. Doroty, „tales quales ei placuerint.“ Nie leżało to chyba w obowiązkach urzędu starościńskiego. Inni starostowie podobnież sobie poczynali, biorąc udział nietylko w sądach gajonych, ale i w aktach pozasądowych, od osobistej decyzji żupnika zależących. Tak robił starosta Andrzej Gorecki, poprzednik Zbierkowskiego, później jeszcze więcej pozwalał sobie Piotr Ligęza, który w r. 1554, kiedy żupnikiem był Matis Oberman, jeździł z p. Jerzym Jarockim, starostą będzińskim, nie troszcząc się wcale o urząd górny i żupnika, i we dwóch przyjmowali do akt obligi, naznaczali roki, przysięgi, rękojemstwa, wydawali wyroki, które następnie żupnik musiał przyjmować do akt, a sąd górny przyznawać im moc prawną, ortelami je po-

¹⁾ „Cum Simon Lijsz succumbit poenam dum non comparuit iuri, non persolvit sic, quomadmodum persolvere est decretus, jus orthilogio suo dedit, quod Liesz cadit noxam dum non comparuit iuri, non solvit secundum decretum iuris, et nos eundem ad dominum Capitaneum decernimus, illi sese iustificet“. (Akt z roku 1554). „Jus orthilogio suo decrevit quod praedicta Katharina Miseszjina dum sic est inobediens et aliquoties ad jus erat officiose (per hominem juratum) concitata et non comparuit, totaliter et cum effectu cadit in sua re et amittit suam causam sicut inobediens.“ (Akt z r. 1554).

²⁾ „Zupparius ei iussit persolvere sub poena d-ni Capitanei, ad ratham trium Dierum et ipse non persolvit. Zupparius ante supradictis cultoribus decrevit, facere secundum statutum rogalom.“ (Akt z r. 1559).

twierdząc¹⁾. Nie zaniedbywali przytém starostowie, jak to dopiero co nadmieniliśmy, pamiętać o sobie i brać pożytki w górach. Piotr Ligeza wziął w r. 1556 u góry Kieradnej na Tłukience trzecią część tejże „tr z e c i n e g o r i”, za co zapłacił Jałowczykowi 8 cetnarów ołowiu bez achtelu, a Falbowskiemu przyjął „alias przestąpił” 2 cetnary długu od Jałowczyka. Tenże wraz z 3-ma gwarkami położył fryszt na 5 górach spadłych na Tłukience, zachowując z nich dla siebie 3 achtele. Pieczanowski kopał rudę i ołów wytapiał. Zadłużywszy się na 30 florenów, nie płacił ich, a wierzyciel daremnie kładł areszta sądowe na jego ołowiu na wadze się znajdującym, bo choć już wtedy Pieczanowski nie był starostą, ale przed skutkami prawa górnego osłoniła go przecież opieka starościńska, udzielona mu za pośrednictwem jednego ze sług zamkowych. Joachim Żeromski trzymał w r. 1568 góry na Niewiernój. W r. 1574, gdy Jego Mość pan Jan Kmita, starosta sławkowski i pisarz ziemi krakowskiej, wyjechał do gór na Stimbarku przy Tłukience, pisarz sztolny Kieriin „darował temuż p. Kmicze czesciami na trzech gorach nijanowitich u Piatkow, u Soboty u niedziel u kazdei gorei zosobna po pultoru achteliju.” Tacy gwarkowie, jakimi byli owi starostowie, nie wiele sobie chyba robili z prawa górnego i ze wszystkich onego przedstawicieli, jeżeli wola ich była wyższą nad owo prawo a przedstawiciele onego zależni od lada kaprysu, mogącego każddej chwili zrzucić żupnika z jego stolka, a posadzić na jego miejscu pierwszego lepszego famulusa.

Wszystko, cośmy dotąd opowiedzieli, wykazuje, że gwarkowie sławkowscy w wieku XVI, w czasie ponownego eksploataowania tańszych gór, nie świetnie stali. Korzyści, które niektórzy z nich mogli mieć z górnictwa, były dość skromne, wielu pracowało nie dla siebie, lecz dla flegarów, nie wiele też sobie z nich, jak i z całego ich przemysłu robiono, jakkolwiek przy większém poparciu i dbałości ze strony dziedziców i panów zwierzchnich, jakimi tu byli biskupi krakowscy, rezultata otrzymywane z gór sławkowskich, mimo wszystkiego nie ostatnie, mogły być być w trójnasób większe. Ale w takich okolicznościach, w jakich się górnictwo sławkowskie znajdowało, dziwić się potrzeba téj ruchliwości, która tam przez kilkadziesiąt lat panowała. Można wprawdzie przypuścić, że źródła, któreśmy posiadli i z któ-

¹⁾ „Coram eodem Iudicio. Dnus Capitaneus decreto suo invenit, quod Stanislaus Potchupok de montibus Lijssowskije elaborando, alias „zasthopuijacz” alios debitores, debet persolvere dno Stanislaw Monczok de Chrzannow debiti liquidi et certi in actis zapparialibus descripti tredecim centenarios plumbi per quatuor septimanas immedinto sese sequentes, quod decretum Dni Capitanei Ius in robore reliquit et in ortilegio suo confirmavit.”

rych czerpiemy wiadomości, odnoszące się do owych miejsc i czasów, jakkolwiek szacowne, są niedostateczne i nie rozjaśniają należycie przeszłości. Z drugiej strony, chociaż tam panował przez długi czas szczególnie ruch i życie, wszystko zdaje się nam potwierdzać, że to był objaw dość drobiazgowy. Zwróciliśmy up. uwagę na akta, zawierające sprzedaże i darowizny gór, a jest ich liczba dość pokaźna. Otóż ceny sprzedażne były nader rozmaite, co zapewne zależne było od bogactwa góry, a także i od okoliczności, w jakich się sprzedający znajdował. Nie mówimy o darowiznach, jakkolwiek i pod tym tytułem dokonywały się sprzedaże, bez wyrażenia wszakże ceny, co zaś do sprzedaży jawnych, to ceny w ogóle były dość niskie. W roku 1551 dnia 8 grudnia, Jan Porebski, były żupnik, sprzedał górę swoją w Kawie leżącą „cum omni jure dominio et proprietate, ad habendum, tenendum, utifruendum et possidendum“ Janowi Piętce za 3½ niecek kruszcem czystego (około 4 floreny). Tenże Porebski w r. 1568 sprzedał pół góry „Jakuby“ Marcinowi, górnikowi, za co „tenże Marczin obligował się iest panu Janowi Porebskiemu, iż za też gori nijema ijdzie kruszcza obracacz, ijedno w racze Jego a Porebski bedzie powinowath kazde niecke kruszcza placicz po 30 gr.“ R. 1556 starosta sławkowski, Piotr Ligeza, kupił u Stanisława Jałowczyka u góry „Kieradnej“ na Tłukience „trzeczone gori“ — trzecią część, posiadaną przez Jałowczyka za 8 centnarów ołowiu bez jednego ahtela, nadto „suscepit alias przestąpił“ 2 cetnary ołowiu, dłużnego panu Fałbowskiemu. R. 1569 „Barbara Litwina górnikowa pozostała wdowa... podała iesth czesczi wsistki, kedibi ije ijedno niebosczik mijal.. wespolek ij z naczi niem należaczim ku gorom... za dług pozostali po mezu, tho iesth pulczwartej nieczek kruszcza.“ R. 1574 sprzedano ahtel u gorey „Podrozney“... na Stinbarku za 3 wiardunki, — „ahtel u goreij ijanow na Tlukience za niecek 4 krusca ij za 10 grossij,“ — czescij u gorij czwartkow, piatkow, sobot, nijedziel za nijeczek krusca 16.“ — czescij na gruncie ijego M. x. biskupa Krakowskiego u gori bartłomiei szichtę... za sumę zlotich 8,“ — „czesczi u gorij czechow ahtel ijeden za slotich 20, ktore czesczi zarass jemu anfarkowal.. wolne niezawiedzione.“ Inny znowu ahtel na Tlukiece za złotych 3.—Także Jan Krwat darował Janowi Zakowi ahtel na Tlukience z obowiązkiem iż Zak „zamkost ma placicz grossij 26 od dnia dzisiejszego, ktore czesczij ijemu anfarkowal niezawiedzione anij flegowane.“ Tegoż roku sprzedano jedne górę za złotych 10 i zamkosta 23 gr. i „založili miedzi soba zaklad przepatku taliarow 20 ktora hi sie strona kayala do pierwszej niedzielle. Bieniasz (kupujący) sie stronie tego podswolyli ijeslij zebij uty gore pozitku niebilo on stronie zaplate powinien nacasz słowni dacz.“ Jedyna sprzedaż za sumę poważniejszą, wynoszącą 100 talarów „kazdi po fl. 35 comptando“, dopełnioną została w r. 1582, którą to sumę, na owe czasy nader znaczną, kupujący Matis Słowak, gwarek u koła

na Tłukience zaraz wypłacił. Przedmiotem wszakże kupna nie była w tym razie góra, tylko część „u koła Tłukience“ zbudowanego — jakeśmy to wyżej opowiedzieli, wspólnemi siłami i kosztem gwarków tam kopiących. Utworzyli oni w tym celu spółkę i znaczne złąd, to jest z osuszania kopalń kieratem odnosili korzyści, jak tego nawet dowodzi wysoka cena, za jaką sprzedany został jeden udział. Ostatnie akta księgi, z której wyczerpaliśmy wszystkie powyższe wiadomości, wzmiankują o jakichś sprawach granicznych, toczących się między gwar-kami gór spólnych Olkuskich czyli królewskich a sławkowskich, na gruncie biskupim położonych. Sprawa zaczęła się zwyczajnym porządkiem od aresztów do akt wniesionych. Pierwszy i wtóry areszt uczyniony był w r. 1574 od Kierlina z Ujkowa na górę „Graniczną.“ „W piątek wieczor dzien S. Holzbietij, przisedsi oblicznie sluga albo robotnik kierlinow Lorencz do mnie M. K. Zupnika Slawkowskiego y arestowal gore Graniczną tem spossobem ze Gwarczy od gorej Lwow polożili szwą robotę abij tez u gorey Granicznejey robotha zadna nije bila az do rozgodj albo rozmiar, przy ktorim areście szlozilem ijm rok na pierwszą niedzielie po S. Helzbiecie anno ut supra.“ W terminie więc naznaczonym przed Matissem Klińczowskim żupnikiem, odbyła się pierwsza sądowa rozprawa:

„Stanąwszy oblicznie sławnij panowije, ijako jadam Czarnij ij przisięgli gornij Ilkuski ij ijnuszniej gwarczy sznijm, prij bitnoscij pissarza, albo porucznika gwarków opolnijch, zwalego Lorincza gorej. mijanowitej Lwij ijze onij z urzedu Jo M-ci księdza biskupa ij Zupnika Slawkowskiego arestowali gore na dziedzinije biskupi liczącą na ijmije Graniczna, ktorem przerwennim Gwarkom bil naznaczon rok na dzien dzisiejszy ut sup. ku rozprawije ij rozparciu prawa. Thedi czis tho Gwarczy Gorej Granicznejey bili ij sąz gotowi rozeprecz sije prawem z przerweczoninij gwarki ospolnini. I opowiadali szije ijako na stronę powodną ze onij gotowi sąz ij bilij rozeprecz sije z nimij ij opowiadali sije tamze prij bitnoscieij pissarza Lorincza przerweczonich gwarkow wsistkich ktorzi to gwarczy gorej granicznejey swiatcili sije y swiatczą na gwarki oppolne, ijze onij nijeslusznije arestowalij gore na dziedzinie Je M-ści K. biskupa, w ktorej ssobie szkode pokladają ij saczniją, okrom cielinesnej przisięgieij, ze sije ijm stala skoda przez arest ijako 200 dwieszcze złotych. Tho sobie sąz oszwiatcili przed urzedem Jęgo M-czi k. biskupijem gornim ij actij Slawkowskiemij gornimi. Gdzie nij ijednak za rekoijemstwem, — zwolienija wirecilisznij... gorij ij roboth... do sta... prawa do Jęgo M-czij pa. Stharostij Slawkowskiego albo do przyrodzonego pana k. biskupa, za co reczili dwa mezowije Szczesnij Břewka a Wocziesch Spruszek gorniczi sąmsziedzij w Slawkowije ossyedlij.“

Przystąpiono potem do wybadania świadków:

— „Actum d. feria secunda ante Katerinae A. d. 1574. Przed mije M. Kluczowskiego, Zupnika w Sławkowie. Za żądaniem sławnego Adama Czarnego, myesczanina ij przysięgłego gornego ylkuskiego ij ijszych gwarkow przij niych stojących żądań z urzedu gornego Sławkowskiego ku przidaniju woznego slugi gornego tho ijesth abij bili zapozwanij robotniczij, ktorzi robili u goreij Piotrow przij graniczej biskupiej na krolewskim w wijechawszij w thez dziedzie biskupią, o czo... ij urząd ijch ijest przimuszil, abij oniż urzedniże zeznały czo ijm wiadomo ijesth. Kedij pirwsi swiadek Szczesnij Brewka, stojąc oblicznije zeznal pod szwą przisięgą czijelijeszną, podniowski 2 palca ku Panu Bogu, ijzem ija niygdziej ijdziye nijekopal krusca, ijedno na gruncie Jego M. k. biskupa spotkiem u... latrow, ktore przecij... cznej ijesth. A steize dziedzineij dawano przetsije kruszcz do komoreij krolijewskiej tamze robiąc. Thakze wthorij swiadek stojąc obliczniji, Wocziech Spruszek, urzedniże pozwanij; pod summienijm szwim podnijowski 2 palca ku Panu Bogu, ijako ij Szczesnij Brewka de verbo ad verbum wiznal ijesth. Thakze trzecij swiadek, ijan Krwaczijk urzedniże pozwanij pod swim summiejem podnijowski 2 palca ku Panu Bogu, wijznal ijesth de v-o adverbum ijako ij Szczesnij Brewka ij Wocziech Spruszek pirwsi dwa swiathkowiże wiznali a zeznali szą.“

Epilogiem téj sprawy był walny zjazd w Sławkowie, na który z jednéj strony zapisali się „za rozkazaniem J. M-ci pana Jana Kmity, pisarza ziemi krakowskiej, urzędnicy sławkowscy, jako to: szlachetnie urodzony pan Sobestjan Niskowski, podstarości, pan Szczepan Ossowski, wójt, p. Jan Kwasniewski, burmistrz, p. Matis Kluczowski, Zupnik, a obok nich ludzie, „stare godne“ swiadome tych miejsc i granic, jako to Jan, sołtys, Stefan Smoleń, natenczas stary rzanca i inni.—z drugiey znów zjechali: z Olkusza pan Walenty Słonka, burmistrz, p. Wojciech Bornek, rajca, ur. pan Jurek Sitko Olbornik J-o k. jasności, — pan Stanisław... Podzupek, także z gromadą ludzi starogodnych i przysięgłych. „Tedy obyedwyé stronic przestrzegayasz jako urzedniczij gornij, aby w czim nie bylo ublizenie w. olborze tak J-o Kr. ijasnoszci jako tesz J-o M-ci ksiedza biskupa krakowskiego, zgodzily szie na to spolnie Aby thy gorij byli na on czas powijnny dacz J-o Krolewskiej yasnoszci spolowicze gdy miara bedzie J-o M. księdzu bijskupowij z drugiej polowicze, zostawiacz ijch tesz przy wselakijm prawije etc.“

Pozostawaloby rzecz o górach Sławkowskich zamknąć wiadomością, jak długo trwała ich eksploatacyja, oraz kiedy i w jakich okolicznościach się zakończyła. Pierwszy i najważniejszy akt, który nazwalismy erekcyjnym, to jest przywilej postanowienia kunstwerku na Tłukiencie, wydany został przez biskupa Piotra Myszkowskiego w Krakowie d. 15 maja 1544 r. Od tego

czasu ruch w kopalniach, znajdujących się na gruncie biskupim, t. j. w obrębie klucza sławkowskiego, wzmagał się we wszystkich kierunkach, co wywołało drugi nie mniejszej wagi przywilej na postawienie koła wodnego w górach na Niewiernój. Akt ten pod datą 17 czerwca 1563 r. wydany został w Krakowie przez Joachima Żeromskiego, natenczas starostę sławkowskiego i był treści następującej: „Prawo na Gori, które leżą na Niewiernij, dane od urodzonego pana Joachima Żeromskiego, starosti Sławkowskiego. Ja Joachim Żeromski, włodarz Biskupstwa Cracowskiego i Starosta a Arendarz klucza Sławkowskiego, chcząc rozmnożić y oszlavic grunt Je-o M. Xiedza biskupa Crac. M. pana iako ten, ktoremu J. M. raczel zwierzyć ij poruczcz, ij na ten czas Arendator wszistkich pozitkow ij dochodow dobr klucza Sławkowskiego Dozwalam ij dozwoilem, kolo gorne albo waszernotowe postavicz na gruncie J-o M-szczi a mijszczu ktore zową Niewierną przy Boliślawiu wpiączy gor wymierzonych wedlug mijarij ij rozmierzenia waszernotowego, dajacz ij dozwoilajacz gjm, od tich przerzeczonych piączy gor uzivacz, wedlug praw gornich, ku pozitkom naliepsym, darujacz ijm pul olborij od przerzeczonych pijaczij gor do skonieczenia ij wzieczija pozitkow. A gdzie bij ijm kostij snozicz nijemoglij, abij przerzeczoni gwarcom wolno bilo swym kolem wlasnijm, gdzie bij ich wolija bila przewiescz ku pozitkom swijm naliepszijm obroczicz. A dla liepszij pewnosczii pieczecz swą prziczisnałem. Datum Cracoviae XVII die Junij Anno 1563.”

Na nieszczęście nie wiele już mamy wskazówek i wiadomości o dalszej eksploatacji gór sławkowskich. Nieprzerwany ciąg zapisów i akt, który nam dał możność wejścia w tajniki i drobne szczegóły dawnego życia i stosunków górniczych i dozwolił pozyskać dość ważny, jak nam się zdaje, materiał do historii przemysłu górniczego dawnej Polski, urywa się z końcem r. 1575 na przytoczonym powyżej akcie odbytego w Sławkowie zjazdu, poczem następuje jeszcze jedno poprawienie frysztu na 3 szlamiska na Niewiernój, z datą 1 stycznia 1576 r., jedno świadczenie dwójga pola u góry Piotrów przy Tłukience z d. 24 stycznia tegoż roku, i reszty brak. Wreszcie jedna ostatnia kartka, będąca dalszym ciągiem zaginionych zapisów z peryodu 7-mioletniego, do połowy zniszczona, zawiera dwa akta z r. 1582. Pierwszy z miesiąca czerwca, którym Adam Raczkowski zapisał „iż dal obwoliwacz stirij razij przez X. w koszcziele... tij slamijska, ktore fristowal ultima Januarij”, drugi z dnia 17 lipca zawiera sprzedaż części u koła na Tłukience Matisowi Słowakowi przez Adama Raczkowskiego za 100 talarów. Ostatnie więc akta dowodzą, że w tym czasie t. j. w r. 1582 eksploatacja gór sławkowskich wcale się jeszcze nie miała ku końcowi.

W lat 86 później t. j. w r. 1668 góry sławkowskie jeszcze produkowały. W rękopiśmie znajdującym się w Archiwum Ka-

pituley Krakowskiéj, zatytułowanym: „Inventarium Epptus Cracoviensis Anno Dni 1747 compactum” — zawierającym opis szczegółowy dóbr i prowentów biskupich z r. 1668, znajdujemy dokładny i nader drobiazgowy opis hut ołownych pod Sławkowem. O kopalniach, ani téż o olborze z nich żadnej tu nie ma wzmianki, skoro jednakże huty ołowne i piece próbowne na srebro były tu czynne, nie ulega wątpliwości, że i w górach miejscowych musiano także robić.

Podług opisu powyższego, kruszec, który wtedy kopano, i który był przeznaczony do wytopienia w miejscowych hutach, zwożono do budynku zwanego k r a n i s k i e m, stojącego wedle huty staréj na piaskach, o troje staj za miastem. Daléj na wodzie nad sadzawką, do którój woda puszczana była rurą ze stawu, była huta zwana starą. Była to szopa, gontami kryta, z jedną izdebką o 2-ch oknach i z jedną komórką. Pieców szmelcowych było 2 „bardzo złych, które arendarze za dzierżawy całe w niwecz spustoszyli.” Miechów przy tychże piecach 2, koła wodne i cewiane na wale jednym i osobno koło pałeczne, wreszcie stępka do tłuczenia węgla z gliną. Daléj o staje ku Olkuszowi na piasku przy gościńcu na rzece Przemszy była h u t a n o w a, porządnie zbudowana, gontami pobita, w téj izba o 2-ch oknach, mających błony miasto szyb, piec, komin „do swieczenia” i 2 komory. Pieców szmelcowych było 2 dobrych, a trzeci „próbowny na srebro.” Tuż obok szorownia. Miechów przy piecach szmelcowych 4, przy próbownym 1, koła: wodne jedno, cewiane drugie, na wale jednym oboje. Koło pałeczne na wale drugim. Stępka pod miechami do gliny z węglem tłuczenia dla zaprawy pieców szmelcowych. Wreszcie wagi dwie dębowe, jedna duża, druga mała, porządnie okowane z indexami, wiszące u belki na łańcuchach, z kołowrotem do zatrzymania. Do tychże wag przynależnych było centnarów żelaznych 21 i jeden ahtel ołowiany. Naczynie hutne było także w komplecie ¹⁾.

Ale na tém kończy się ostatecznie wszystko, czegośmy się dotąd mogli dowiedzieć o górach sławkowskich, najstarszych w dziejach naszego przemysłu górniczego, eksploatowanych co najmniej przez 6 wieków. O tém, kiedy zostały zaniechane, od jak

¹⁾ Przy starej huczi było: Koszturów do szmelcugi 3, młot 1, rączka 1, widły do węgla 1, do gierzyny z osobna drowniane 1. — Naczynie rusztowe: wideł żelaznych 2, sito żelazne do siania kruszczu 1, niczki do odmierzania kruszczu okowane 1. — Przy nowéj hucie: szmelcowego pieca gracie do plokania kruszczu 2, wideł do szmelcu 2, warzącha żelazna 1, koszturów 3, stosyógów 2, grubi do gierzyn 3, kilof 1, młotów 2, rączka 1, rozeń do przebicia 1, oskard albo młotek 1, cętnarka 1, cecła 1, siekiera do zacinania 1, sit drutowych do przesiewania popiołu 3, pazurów 2, obręcz na wał dla potrzeby 1. — Naczynie pieca próbowego: glejtaki 2, zygulec 1, hak 1, rurak 1, kłoszcze 1, rynoczka do zalewania srebra 1, ruraczek do mieszania srebra 1. — Naczynie drowniane: kary do wożenia drew 1, drabin drownych 4, skrzynia do popiołu okowana 1, lgi 1.

dawna stoją opustoszałe, doczekawszy się zupełnego już dzisiaj zapomnienia, nic nie wiemy. Większa część tych rozgłośnych przez długie wieki miejscowości, dziś z nazwiska nawet została zapomniana. Gdzie była Niewierna, na której w XVI a nawet i w XVII wieku takie minóstwo szybów się znajdowało, gdzie był Stimbark, Dąbkowska, Cienka, Stąpłowka, Pinice, Chojny, nikt dziś nie wie. Z domysłu tylko, ze wskazówek podanych przez stare akta, zdołałem odnaleźć niektóre z owych miejscowości. Do najruchliwszych i najproduktywniejszych należały kiedyś kopalnie na Tłukience, na Stimbarku i na Niewiernej. Dziś całe to pole eksploatacyjne, mieszczące się na przestrzeni, mogącej wynosić około 200 morgów, zajęte jest w jednej części przez rządowe kopalnie galmanu „Ulisses” i „Jerzy”, w drugiej przez płuczkę galmanu i kopalnie na terytoryum dóbr Bolesławia, należących do SS-rów Kramsty. Jest to wyniosłe płaskowzgórze pomiędzy wsiami Krązek, Tłukienka i Bolesław, którego stoki przeciwległe schodzą: północny ku nizinie bolesławskiej, południowy ku Starczynowu i Tłukience. Otóż całe to płaskowzgórze nosi na sobie ślady dawnych dukli i szybów, znajdujących się tuż jeden obok drugiego i zasypanych trzaskami wapienia z głębi szybów wyrzucanego. Dotąd dotrwała jeszcze w południowej nizinie wieś Tłukienka; na przeciwległym stoku pod Bolesławiem była Niewierna, w środku pomiędzy temiż, na wyniosłości, był Stimbark (może kiedyś nazwany tak od Steinbergu)?

Na kopalni Ulisses schodziłem do wnętrza szybem, mającym 20 sążni głębokości. W tej głębokości znalazłem chodniki idące za kierunkiem żył kruszczośnych bez kropli wilgoci, całkiem suche, co zawdzięczać należy stariej sztolni Bolesławskiej, niedawno kosztem skarbu i p. Kramsty wspólnie oczyszczonej i pogłębionej. Okazuje to, że kopalnie te były daleko łatwiejszemi dla eksploatacyi aniżeli kopalnie mieszczące się w polu podolkuskim. Objasniłoby to mnie przecież, że obecna eksploatacyja pokładów galmanu nie schodzi niżej dawnego zwierciadła wód, które mogłoby być o wiele więcej obniżone, co gdyby kiedykolwiek nastąpiło, umożliwiłoby dostęp do pokładów niżej się znajdujących, dotąd nietkniętych i przypuszczalnie bardzo bogatych tak w rudę cynkową, jak i w błyszcz ołowiany.

Roboty, które w kopalniach rządowych na dotychczasowym poziomie się prowadzą, spotykają się częstokroć z dawnymi chodnikami, noszącymi wyraźne ślady sposobów, jakimi starzy górnicy przed wiekami sobie pomagali, t. j. ognia i narzędzia, zwanego „żelazkiem.” Na tym poziomie jest obecnie rudy ołowianej już bardzo mało, starzy wybrali to wszystko, pracując skrzętnie przez tyle wieków. Ale gdyby sięgnąć, jakieś to już powieździeli, głębiej, prawdopodobnie znalazłyby się zasoby o wiele bogatsze, przechowane dla następnych kiedyś pokoleń.

Z WYSTAWY PARYŻKIEJ.

I.

Kto nie zna proroczych słów Mickiewicza, zapisanych w roku 1828, w „Historji przyszłości,“ niestety zagubionj, o której Odyniec wspomina w ciekawych listach swoich? W czasach, kiedy parowozy nieznanne były jeszcze, kiedy elektryczność objawiała się tylko piorunami i gradem a zastosowanie jój nie wychodziło poza obręb fizycznych laboratoryów, nasz wieszcz, mierząc orlim wzrokiem tajemnicze drogi przyszłości, widzi jak domy całe toczą się po szynach żelaznych na jarmark do Liczbony, jak miłośnik muzyki, siedząc spokojnie przy kominie, chwytą uchem arye i chóry, śpiewane gdzieś na dalekich teatrach, widzi nakoniec jak powódź żółtych plemion, pędzona uraganem, stacza się na zachodnią Europę, burzy w niwecz pomniki cywilizacyi, nagromadzone długowiekową pracą ludów.

Olbrzymia wystawa tegoroczna, nie jestże w wielkiej części urzeczywistnieniem proroczych słów wieszca naszego? Tysiące domów, ładownych towarem, przytoczyło się tu ze wszystkich krańców świata; udoskonalony fonograf Edissona pozwala oddawać najdokładniej wszelkiego rodzaju dźwięki, przechowywać je, powtarzać wielokrotnie; co zaś do ostatniej wróżby, azaliż te rojące się tłumy Egipcyan, Chińczyków, Arabów, Anamitów, Japończyków, Negrów i innych plemion, nie wydają się oczom naszym, jakoby przednią strażą owych wschodnich hord, gotowych rzucić się na świat ucywilizowany, czekających tylko nowego Dżingis-chana? Słońce tak jasno świeci, kwiaty rozsiane po unajonych kobiercach tak uroczą buchają wonią. W złoconych galeryach i przed rozkosznymi kioskami, przy dźwięku gędźby, uczują różnoplemienne Lukullusy, jak ucztowały w starj Rómie, gdy Attyla poił bachmaty w falach błękitnego Dunaju, z pięścią na zachód wymierzoną.

Odkąd Paryż istnieje, takie gwarliwe jarmarki były ulubioną jego zabawą, ramy ich tylko rozszerzały się coraz bardziej w miarę przemysłowego rozwoju. Zobaczmy oto jak Loret, wydawca rymowanej gazetki, jednej z dwóch, jakie podówczas wychodziły w Paryżu, opisuje jarmark na targowisku S o Germana, w dniu 10 sierpnia 1664 roku.

Istna arka miły Boże,
 Kto te dziwy zliczyć może?
 Moc gawiedzi różnych stanów,
 Setki błaznów, szarlatanów,
 Wielkie panie, można pany,
 Z afrykańskich puszczy zwierzęta.
 I zamorskie koczokodany.
 Wszystko strojne jak od święta.
 Wtem na deskę kuglarz skoczy,
 Wytrząsaczyli wszyscy oczy,
 Plecie, co myśl w usta poda:
 Czy pokaże im Heroda?
 Nie... to kolos on wysoki,
 Co Rodyjskiej strzegł zatoki,
 I sześć innych widzę cudów,
 Dzieła sławnych w świecie ludów,
 Prace mistrzów pełnych chwały,
 Za pieniądze widzę mały!

Czyż w gruncie rzeczy ów jarmark, opisany wierszem Loreta, nie przypomina dzisiejszego? Cała różnica spoczywa w podniesionym blasku i rozszerzonych olbrzymio ramach. Ciekawość, jaka pędziła tłumy na plac ś. Germana, popycha je dziś na pole marsowe, na wzgórze Trokadero i esplanadę inwalidów. Co zaś do cudów świata, jakie ukazywał kuglarzówczesny, te, zdaniem tutejszych estetyków, zgasły w obec dzisiejszego postępu. Co tu pokazywał odwieczne świątynie i mauzolea, utworzone geniuszem Helenów, kiedy geniusz francuzki dziwi świat nowymi cudami? Alboż tu niema przepysznej galerii pełnej machin? alboż to nie ma wieży Ejjfel, wyższej od piramid Egiptskich i Rodyjskiego kolosu?

Od czego tu zacząć? pytamy sami siebie. Jeżeli trudno pisać, kiedy brak wątku zastępować potrzeba pustą frazeologią, to znowu zbyt duża obfitość przedmiotów, przytłacza na chwilę myśl naszą i wprowadza ją w jakiś stan chaotyczny. Takiego wrażenia doznaliśmy przy pierwszym zwiedzeniu tegorocznej wystawy.

Od czego zacząć? powtarzamy, czy od tej olbrzymiej wieży Ejjfel, którą nowy Babilon zatryumfował nad starożytnym, doprowadziwszy ją do końca, wbrew tyłu złowrogim przepowiedniom? czy od olbrzymiego globu, obejmującego milionową cząstkę kuli ziemskiej, który Francya rzuca w oczy światu, na dowód, że nie gardzi geografją, jak jój to częstokroć zarzucano? czy od owej olbrzymiej beczki na 200,000 litrów szampana, przysłanej z Eperney, którą dziesięć wołów i tyleż koni przyciągnęło w tryumfie na plac Inwalidów? czy wreszcie od owej olbrzymiej galerii, pełnej ogromnych machin, przedstawiających ostatni wyraz cywilizacyi kończącego się wieku?

Olbrzymy te zdumiewają nas, patrzymy na nie z poszanowaniem, jako na tryumf nauki nad materją, ale krew nie zakipi nam w żyłach na ich widok, bo tylko to, co żar miłości wyrwał z ludzkiego ducha, wstrząsa nami do gruntu. Nie mają tój siły najwspanialsze dzieła, do których pobudką pycha i chciwość zysku czysto pieniężnego. Wieść o tych dziełach przebrzmi jak miedź brząkająca, głośniejszy dźwięk przygłuszy ją niebawem. „Bywa kuglarz nad kuglarza, wyrzekł niegdyś Krasiecki, to też nie wątpimy, że za jaki lat dziesiątek, na powitanie dwudziestego stulecia, Ameryka strzeli w niebo wyższą wieżycą, niż ta, jaką chlubi się dzisiaj Ejjfel, że wymyśli setki nowych machin, o jakich nie śniło się inżynierom dziewiętnastego wieku.

Pycha i chciwość zysku, to dwie pobudki wystawy tegorocznej. Jeżeli przemysłowcy obliczali złote plony, jakie zbiorą na wielkiem targowisku, politycy ze swój strony wzięli sobie za cel uczcić stulecie wielkiej rewolucyi, która pod hasłem wolności, równości i braterstwa, miała przywrócić ziemi zatracony od wieków Eden. O ile cel dziś osiągnięty, niech odpowie Francya, szarpana walką stronnictw, utopiona w samolubstwie, odarta z wiary, przywiedziona do chorobliwego pesymizmu.

Jakkolwiek bądź ta wystawa ma i dodatnie strony. I któż wie czyli bliższe zetknięcie się ludów, czy tysiące pytań, podjętych na czterdziestu zapowiedzianych kongresach, nie wykrzesze jakiegóś iskierki, co w danój chwili zaświeci blaskiem prawdy, rozjaśni wiidnokrag, ukaże na przyszłość nowe drogi, i zażegna w chmurze piornuny, grożące społeczeństwu.

Ożywieni tą nadzieją, rzućmy okiem na ową wystawę, która wspaniałością, blaskiem i rozmiarami przechodzi dwie poprzednie, jakie widzieliśmy w Paryżu od lat dwudziestu z górą. O uroczystej inauguracyi wspominać nawet nie będziemy, uprzedziły nas w tém codzienne i tygodniowe pisma. Wszystko zresztą odbyło się zwyczajnym trybem przy napływie trzechkroć stotysięcy widzów, a jeżeli książęta krwi królewskiej i ambasadorowie obcych państw nie otaczali prezydenta rzeczypospolitej, za to słońce świeciło pełnym blaskiem i huk piorunu nie połączył się z tryumfalnym grzmotem armat, jak to było przed jedenastu laty.

Mimo pozornój oglady, zaprowadzonej z wysileniem na dzień otwarcia, żaden prawie dział dotąd nie wykończony, z wyjątkiem chyba niezliczonych bufetów i restauracyi. W chwili, gdy to piszemy, wieża Ejjfela zamknięta, windy dotąd nieurządzone. W pałacu sztuk pięknych ściany po części puste, oczekują na obrazy mistrzów, spoczywające jeszcze w pakach. Galerye przemysłowe tenżesam przedstawiają bezład, z rozwiniętej czynności robotników łatwo jednak odgadnąć, że zanim kronika nasza wyjdzie z druku, braki te w wielkiej części zapelnione zostaną. Wiemy jednakże od samych wystawców, że niektóre działy jak naprzykład antropologiczny, będą zaledwie gotowe w drugiej połowie czerwca.

Jeśli wnętrza pałaców galeryi, i pawilonów, wiele jeszcze pozostawiają do życzenia, za to wewnętrzna ich strona wykończona najdokładniej. Cała przestrzeń, zajęta pod wystawę, obejmuje osm- kroć sto tysięcy metrów kwadratowych, to jest o dwakroć stotysię- cy więcej niż w roku 1878. Do pola marsowego i wzgórza Troka- dero dołączono jeszcze całą espladę Inwalidów, do której prowa- dza, przez długi rząd okazów rolniczych galerye osłonięte od słoń- ca, lub też małe parowozy, kursujące co dziesięć minut.

Kiedy od mostu Jena wchodzimy na pole Marsowe, uderza nas przedewszystkiem w oczy ogromna wieża Ejjfel, zajmująca hektar powierzchni, łuk jej wysoki na sto metrów, tworzy olbrzymie ramy do wspaniałego obrazu. W głębi zatrzymuje wzrok piękny fronton pałacu przemysłowego, uwieńczony kopułą szaro-złotawej barwy. Na szczycie jej posąg Francyi, wykuty z cynku, według modelu Delaplancha, trzyma korony dla zwycięzców. Architektoniczne ozdoby na frontonie, z terrakoty powleczonej emalją, mimo rozma- itości barw, dziwnie harmonijną stanowią całość. Skrzydła pałacu rozpostarte szeroko a potem wysunięte naprzód w kłamrę, obejmu- ją przemysłowe wyroby, tak francuzkie jak i nadesłane z różnych krajów. Pomiedzy temi skrzydłami wznoszą się dwa kształtne pa- wilony miasta Paryża, a w pośrodku monumentalny wodotrysk, bijący w górę na czterdzieści przeszło metrów, ozdobiony okazałą grupą rzeźbiarza Conton. Widzimy tu uosobioną Sekwanę, powyżej wynurza się okręt z fali, na pokładzie stoi Francya z pochodnią w rękę, wysoko do góry podniesioną. Orszak jej tworzą cztery symboliczne figury: nauka, przemysł, sztuka i rolnictwo. Rudlem kieruje geniusz Francyi z rozwiniętymi skrzydłami. Czarodziejsko wygląda ten wodotrysk przy świetle elektryczném, mieniącym się we wszystkie barwy tęczy.

Pomiedzy fontanną a wieżą Ejjfel, ciągnie się prześliczny ogród, wysłany niską murawą, jakby zielonym pluszem. Po mura- wie rozsiane malownicze grządki tulipanowe, hiacyntów i lewkonii. Dodajmy tu nawiasem, że w dniu otwarcia grządki te niemiłosiernie podeptano; gdy to piszemy, ogrodnicy naprawiają szkodę, obli- czoną na kilkanaście tysięcy franków.

Po dwóch bokach ogrodu, wznoszą się dwa pałace jednako- wego kształtu; każdy z nich uwieńczony trzema kopułami barwy jasno-błękitnej. Frontony ozdobione wytwornemi płaskorzeźbami z terrakoty; połączenie to ceramiki z żelazem w pałacach i pawilo- nach, zbudowanych na tegoroczną wystawę, uważają estetycy tutejsi, jako szczęśliwy pomysł, jako nową ewolucyą w sztuce architektury. Kamień—jak mówią, pięknie błyszczący na tle jasnego-błękitu, pod promieniem greckiego słońca; traci zaś wszelki urok na mętném tle nie- ba, pokrytego mgłą lub chmurami, a skutkiem częstych ślot przybiera ton szary i niemily dla oka, gdy przeciwnie, emaliowana ceramika tém świetniej wygląda im częściej oplukana deszczem; można ją

przycém urozmaicać według gustu i fantazyi. Zdaje nam się, że do rozpowszechnienia i udoskonalenia ceramicznych ozdób nie mało przyczynił się ów wspaniały fronton pałacu perskiego, odkopany parę lat temu w Suzie przez małżonków Dieulafoy, ułożony w całość z rozbitych cząstek, przedstawiający luczników, w malowniczych strojach z epoki Daryusza.

Pałac sztuk pięknych, położony po lewój ręce, obejmuje dzieła sztuk wszystkich europejskich krajów. Obrazy, jak mówiliśmy, w części dopiero zawieszono; brak numerów i katalogu nie pozwala nam wchodzić w szczegóły, powiedzmy tylko, że z niewymowną radością spotkalimy tu ostatnią pracę Mutejki.

Takiż sam pałac po prawój ręce, zwany *palais des arts liberaux*, przedstawi historyczny rozwój pracy ludzkiej, od czasów najdawniejszych, wszystkie zdobycze twórczego geniuszu. Obejmuje zarówno wydział antropologiczny i etnograficzny: urządzenie jego zajmie jeszcze nie mało czasu.

Oprócz tych głównych gmachów, bijących naprzód w oczy, mnóstwo luźnych pawilonów i pałacyków wypełnia pole Marsowe. Zwracając się od pałacu sztuk wyzwolonych, ku prawój galerii gmachu przemysłowego, napotykaemy najrozmaitsze typy zamorskiej architektury; te wytworne kioski i pawilony obejmują płody Indyi, Chin, Meksyku, południowo-amerykańskich republik, wyspy Śt. Domingo, a nakoniec Egiptu. Trzy części kuli ziemskiej wysypały tu swe bogactwa. Egipt szczególną zwraca uwagę, widzimy odtworzoną uliczkę Kairu, ze sklepami, szkołą i meczetem: przemysłowcy z cerą miedzianą, wyrabiają i sprzedają drobny towar; — fellahy przeprowadzają białe osiodlane osiołki. Uliczka ta należy do głównych osobliwości na wystawie, później wrocimy do niej.

W samej głębi poza pałacem przemysłowym, przez całą szerokość pola Marsowego, ciągnie się olbrzymia galeria machin, najrozleglejszy gmach, jaki dotąd z żelza zbudowano, pokrywa bowiem sześćdziesiąt jeden tysięcy metrów kwadratowych; połowę zajmują maszyny francuzkie, drugą angielskie, amerykańskie, belgijskie i szwajcarskie.

Po tym pobieżnym rzuceniu oka, powróćmy na wybrzeże Sekwany. Tu pomieszczono dział nadzwyczaj ważny w oczach naszych, pokazuje bowiem człowieka, walczącego z żywiołami przyrody, aby zabezpieczyć się od ich złowrogich wpływów i utworzyć rodzinne ognisko. Wysiłenia w tym dwoistym kierunku, to dwie główne podstawy cywilizacji ludów. Dział ten zupełnie prawie ukończony, dłużej więc zatrzymamy się nad nim.

„Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej!“ stare przysłowie nasze określa wybornie wrodzoną miłość, jaką człowiek ma do ogniska swego, przy którym znajduje spoczynek i bezpieczeństwo. Z życiem też zajęciem przebiegamy szereg domów, ciągnący się szeroko

nad rzeką. Szereg ten zaczyna jaskinia we wnętrzu skały, równie zapewne droga temu, co otwór jój zawałił kamieniem, przysłonił gałęziami, jak drogim był patrycyuszowi XVI wieku wytworny pałacyk w stylu *renaissance*, którego fronton podziwiamy opodal.

W czterdziestu domkach, otoczonych odpowiednią im roślinnością, widzimy rozwijającą się historią sztuki budowniczój, w ciągu długich wieków. Pomysł ten powziął i wykonał słynny architekt Karol Garnier, któremu Paryż zawdzięcza gmach opery. Dyrekcya wystawy przeznaczyła na te domki około 500,000 fr. Przyjrzymy im się bliżej.

Poza jaskinią, tą pierwszą ostoją przedhistorycznego człowieka, widzimy jakiś stożkowaty ul, posyty wkoło trzcina, z jedynym otworem, na który spuszcza się kłapa, upleciona z sitowia, wsparta na drągach. Widoczny tu już postęp. Ale człowiek nie czuł się jeszcze dość zabezpieczonym od zwierząt, i od napadu dzikich, jak on sąsiadów. Począł więc budować nawodne domki na długich palach. Helweci, osiedleni wśród gór i wielkich jezior, rozwinęli szczególnie to budownictwo w czasach przedhistorycznych. Archeolog Joly, r. 1853, odkrył pierwszy w głębi Zurychskiego jeziora, mnóstwo zatkniętych palów, ściśle poszukiwania pokazały, że istniały całe osady, budowane w ten sposób: nazwano je *cites lacustres*, od wyrazu *lac* (jezioro). Odkryto w Szwajcaryi szczątki dwustu podobnych osad. Były one, jak wiadomo i w naszym Gople.

Widzimy na wystawie taką nawodną cytadelę na palach, wbitych w stawek umyślnie wykopany; składa się z trzech bundynków: mieszkalnego domku, stajenki i obory. Mostek pierwotnego kształtu prowadzi do wybrzeża. Na stawku kołysze się łódka, to jest pięć drzewa, wypalony w pośrodku.

Ztąd przechodzimy do zapadłej, ale historycznej już starożytności. Rozpoczyna ją dom Egipski z epoki Sezostrzyza. U wąskich drzwi i rozszerzonych u dołu czuwa sfinks z wyciągniętymi łapami. Domek cały jak skrzynka z przezroczystą w górze galerią, okna maleńkie wysoko pomieszczone. Na zewnętrznych ścianach pomalowane zwierzęta domowe i ptaki, narzędzia gospodarze, słowem wszystko, z czém się łączyło codzienne życie Egipcyanina.

Wyższy, ale ciemniejszy jeszcze domek assyryjski, wygląda raczej na grobowiec niż na ludzką siedzibę. Domek fenicki koloru zorzy, przedstawia się weselęj; słońce wnika przez szereg okien, osadzonych w górze, dół tylko całkiem ciemny. Hebrajski domek podobny do egipskiego, lecz bardziej przysiadły do ziemi. Wszystkie te typy odnoszą się do epoki, poprzedzającej o tysiąc lat erę naszą.

O pięć wieków późniejszy dom starożytnych Hindów, dziwacznie się przedstawia: u dołu ciemny bez okien, w górze ma dwie jasne wystawki, w kształcie dwóch osobnych gołębników. Piękniejszy nierównie dom perski, z jasno błękitną kopułą, wsparty na krę-

conych kolumnach. Cały ten dział wschodni uległ surowej krytyce archeologów: zarzucają naprzód panu Garnier zbyt ogólne typy, bez ścisłego określenia miejscowości. Indyjska naprzekład architektura, tak rozmaita na ogromnej przestrzeni kraju, ukazana tu w jednym z tysiącznych wzorów, i do tego wcale nie udatnym; zarzucają też, że pomieszał typy, przez co właściwy odebrał im charakter. O ile słusznym ten ostatni zarzut, trudno nam o tym sądzić, łatwo przypuścić jednak, że ludy wschodnie skutkiem bezustannych walk i handlowych stosunków oddziaływały na siebie, co musiało odbić się w ich budownictwie i w ogólności w sztukach pięknych.

Wiadomo, że starożytni Grecy czerpali pierwotne wzory w sztuce egipskiej, którą geniusz Helenów wyzwolił z krępujących ją pęt, i podniósł do idealnych wyżyn. Widoczna to w domu starożytnych ateńczyków, płaskim jak typ egipski, ale przystrojonym artystycznie w lekkie gzymsy i piękne popiersie Peryklesa.

Dom rzymski nosi znów wydatne piętno geniuszu greckiego, z tą różnicą, że Roma, pyszna pani świata, mierząc wszystko na własną modłę, rozszerzyła ściany, podniosła w górę wrzęby; cztery równoległe skrzydła otaczają wewnętrzny dziedziniec, w głębi wznosi się ołtarz, na którym rzymianie składali swe penaty.

Wszystkie te domy, po większej części puste, zaludnią się niebawem. W jednych rzenieślnicy różnych plemion wyrabiać będą i sprzedawać rozmaite drobnostki, w innych urządzono bufety i kawiarnie. Taki los spotkał siedzibę rzymskiego patrycyusza. Pocięźnie przedstawiają się garsoni w czerwonych i błękitnych tunikach, z szyją obnażoną, wyobrażający starożytny plebs rzymski. Organizatorom wystawy szło widocznie o skorzystanie z miejsca, przez co popsuli ogólną harmonią. Niemniej śmiesznie wyglądają pseudo-etruskowie, przybrani żółto i zielono, krzątający się z butelkami przed odwiecznym domem, jakoby egipskim u podstawy, w górze z dachem wystającym jak u szwajcarskiego szaletu.

Gallo-rzymski dom różni się od rzymskiego, mniejszym tylko rozmiarem i dachem, podniesionym w górę z powodów klimatycznych. Nie tu już nie przypomina chaty starych Gallów, jaką widzimy nieco dalej. Ta chata obszerna, okrągła, zbudowana z nieociosanych pni, sterzących pionowo, ma dach wysoki, stożkowaty, pokryty zlepem z krótkiej słomy i gliny. Przez szeroki otwór w dachu wybiegał dym z ogniska. Zestawienie owęj chaty z gallo-rzymskim domem świadczy, do jakiego stopnia cywilizacya zdobywców pochłonęła lud ujarzmiony. Różnica w budownictwie tażsama, jaka istnieje między językiem łacińskim, narzuconym Galii, zamienionym w dzisiejszą francuzczyznę, a mową tubylców bretońskich, przechowaną dotychczas między wieśniaczym ludem. A jednak, mimo tych zmian zewnętrznych, cechy charakteryzujące pier-

wotnych Gallów, tak w złém jak w dobrem, zostały dotąd niezatarte w narodzie. Tenże sam nadmiar życia, tenże dowcip sarkastyczny, taż gadatliwość i skłonność do przechwalek, poprostu mówiąc blagerya, taż sama lwia odwaga w powodzeniu, po klęskach zaś upadek ducha, posunięty aż do zaparcia się godności narodowej, wszystko to puścizna odziedziczona po galskich prapradziadach. A owa niesforność, owo anarchiczne rozpasanie, które rzuciło klasy Galskie pod stopy Cezara, mimo bohaterskich wysiłków Brennusów i Wercyngetoryksów, azaliż nie jest powodem, że ów rewolucyjny przewrót z końca zeszłego wieku, którym tak się szczycą Francuzi, którego stulecie obchodzą dziś z takim tryumfem, zamienił się w stan chronicznego bezrządu, i nie zdołał odtrącić damoklesowego miecza, zawieszzonego nad karkiem Francyi.

Ale czas nam wrócić do różnorodnych domów, ciągnących się rzędem nad Sekwaną. Od typów, wykwitłych z cywilizacji starożytniej, wpadamy nagle w czasy zamętu, kiedy rzesze germańskie, pchnięte powodzią barbarzyńców wschodnich, wyległy z ciemnych lasów i rzuciły się na panią świata, Romeę. Widzimy drewnianą budę, podłużną i ciemną, istny sarkofag, w jakiej druzyny Allaryka naostrzały topory; widzimy niski namiot, pokryty skórą, pod jakim Attyla obliczał przyszłe łupy.

A oto z tego odngętu wynurza się nowy rzeczy porządek. Na gruzach rzymskiej potęgi powstają nowe społeczeństwa, krzepką pierśią chwytają powiew cywilizacyjny świata starożytnego. W architekturze powstaje styl romański, przedstawia go piękny typ domu z epoki Karola Wielkiego, z szeroką arkadą, dużemi oknami i krużgankiem. Obok pomieszczony dom średniowieczny; jaśniejszy, wyższy, z łukiem ostro w górę podniesionym, dalej ukazuje się śliczny domek w stylu odrodzenia. Pan Garnier odbudował go według wzoru przechowanego dotąd w Orleanie. Domek ten lekki, pełen harmonii połączonej z prostotą, jest perłą w tym dziale wystawy. Przeznaczono go też na miejsce spoczynku dla prezydenta. Sprzęty i draperye, zdobiące go wewnątrz, noszą charakter tejże samój epoki. Bramę opleciono festonami róż, które dotychczas nie rozkwitły.

Typowy pawilonik chiński, z dachem na kształt rozwiniętego parasola, pociągnięty jaskrawemi barwy, przedstawi się w całym blasku, gdy go otoczą szerokie liście bambusów, krzowy herbaty i różnokolorowe azalie. Chińczyk z żoną sprzedaje tu herbatę, porcelanę i różne lakierowane sprzęciki. Śliczny pięcioletni ich synek, w błękitnym szarafaniku na białej jedwabnej sukience, z warokczykiem, wybiegającym z pod czerwonój czapeczki, to najcenniejszy klejnocik ich wystawy.

Wyżej podnosi czoło pawilon japoński, dotąd niezaludniony, o wielkich oknach, kwiecistemi ozdobionych storami. Wpływ Euro-py widocznie się w nim odbił. — S any zewnętrzne powleczone barwą różową, gdy śnieżna białość cechowała dawne japońskie domy.

Główną jego ozdobą będą kłaby kwiatów, mianowicie chryzantum, sprowadzonych zpoza oceanu — te kwiaty wiele ucierpiały w przeprawie, ztąd ich jeszcze nie posadzono.

W maurytańskim domku, ozdobionym w różnobarwne arabski, założyła bazar para dorodnych algerczyków. Oboje w białych haftowanych burnusach, z śpiczastym kapturkiem na głowie, przedstawiają najdoskonalszy typ piękności wschodniej. Czarnooka arabka, od szyi do stanu pokryta sznurami złotych cekinów, objęta lekko złocisto purpurowym pasem; nie pokrywa twarzy zasłoną, ale w rysach jęj szczególna odbija powaga. Mimo uśmiechu na ustach nie dopatrzeć w nięj najmniejszego cienia zalotności.

Charakterystyczne domy Asteków i Inakasów meksykańskich, przypominają ciężkim wrębem, kształtem drzwi i okien, architekturę egipską i assyryjską. Napotykamy dalej wrosłe w ziemię siedziby Laponczyków, otulone od mrozu skórą renifera, a za niemi budy czerwonoskórych Indyan. Te ostatnie byłyby już zaludnione, przybyła bowiem do Paryża rodzina kanadyjskich Indyan, ale ci biedacy, niepokieszeni po stracie dziecka zmarłego podczas przeprawy, nie chcą pokazywać łez swoich przed światem. To pokolenie, złagodzone wpływem religii katolickiej, różni się zupełnie od koczowniczych braci, przepędzanych z miejsca na miejsce, przez chciwych i niehumanicznych Jankesów.

Dalej sterczą budy negrów afrykańskich, niby stogi pokryte długą trawą. Te ostatnie wywołały silną protestacyą archeologów, którzy przypominają, że podróżnik Schwajnfurt znalazł u ludożerców afrykańskich oryginalne typy architektury, a mianowicie dachy z wikliny miejscowej R a p h i a, uplecione z wytwornym gustem.

Domek rybaków islandzkich, zbudowany z ociosanych okrągłaków, przypomina szwajcarski szalet. Zamieszka go wkrótce rodzina skandynawskich przemysłowców. Pawilonik rosyjski o piętrze zarówno z drzewa; pełen piramidalnych wieżyczek i wystawek na dachu w stylu wschodnim, przedstawia się też oryginalnie. Tu kaczap sprzedaje malowane miseczki i inne drobnostki, wyroby miejscowych wieśniaków. Zapytany czy ciepło w takiej chacie, kiwnął głową z uśmiechem:

— To sobie, rzekł, dobre dla zabawki, ale zmarzlibyśmy na wskroś, gdyby przyszło zimą tu mieszkać.

Pomieszczona obok chata, nosi nazwę słowiańskiej. Dach jęj grubo posztyt słomą, schody zewnętrzne prowadzą na piętro, wystające szeroko do koła, podparte rzędem niezgrabnych słupów. Ściany pomalowane w jakieś dziwaczne gzygzaki, czarną i żółtą farbą. I który to z krajów słowiańskich mógł dostarczyć tak potwornego wzoru?

Zbliżywszy się nieco odczytaliśmy na ścianie napis, że w tym słowiańskim domku, urządzoną będzie dystylarnia essencji z róż, wyrosłych na dolinie Messanliku. A więc to słowiańszczyzna poza-balkańska, nominalna raczej niż rzeczywista. Zarzut czyniony panu Garnier o uogólnianie typów bez określenia miejscowości, dotyczy w szczególny sposób słowiańszczyzny, której cechy cywilizacyjne są dla etnografów przedmiotem badań i sporów, dotąd nierozstrzygniętych.

Pomijając te drobne usterki, przyznać musimy, że pan Garnier wykonał piękne dzieło, którem wystawa tegoroczna może pochlubić się przed światem.

Od mostu Jena zamierzamy puścić się koleją żelazną na esplanadę Inwalidów. Pytamy: gdzie dworzec, ale rzecz dziwna, nikt wskazać go nie umie. Na próżno zaczepiamy służbę miejscową i policyantów, każdy odpowiada: „nie wiem,“ i rusza w swoją stronę. W obec chaotycznego stanu wystawy i pytań śpiących się bezustanku, snąc dozorecy potracili głowy. Zażalenia na ich nieświadomość czytamy po dziennikach. Zapytaj o co chcesz, odpowiedzą wręcz: nie wiem; zaledwie że wiedzą, gdzie stoi wieża Ejjfel.

Dopytawszy się wreszcie, biegniemy do pociągu, gdzie nas już tłum poprzedził. Miejsca pozajmowane, wciskamy się przebojem do jednego z małych wagoników, otwartego po bokach. W dziesięć minut wysiadamy na esplanadzie.

Nowe dziwy! nowe czarodziejstwa! Azya i Afryka jaskrawością barw przyćmiła tu starą Europę. Przy blasku kolonii swoich, zgasła metropolia. Szereg egzotycznych gmachów rozpoczyna Algierski pałac, za nim idzie tunezyjski meczet z wysokim minaretem. Żywszemi jeszcze barwy biją w oczy pagody Kochinchiny, Kambodży, Anamu i Tonkinu. Gdzie rzuci okiem—smok z rozwartą paszczą, rozpostartemi skrzydłami, gdzie spojrzeć—posąg Budy w mniej lub więcej potwornych przedstawiony kształtach. Po nad tém wszystkim góruje piramidalna wieża sławnej pagody Angor-Wat, odkrytej niedawno w głębi lesistej puszczy. Odtworzono tu tylko bramę, gmach w całości zajmujący tysiąc dwieście metrów, nie znalazłby dość miejsca na wystawie. W pośród tych pałaców i pagód, roją się arabi, ananici, tonkinczyce i negry z cerą żółtą, miedzianą i hebanową. I któżby odgadł; jest pomiędzy nimi murzynka, która lat kilka przebywała w Warszawie. Gdyśmy stanęli z towarzystwem naszym nad jej straganem, pełnym bananów i innych przysmaków afrykańskich, i rozmawiali między sobą—odzywa się do nas z uśmiechem, pokazując białe zęby, „i ja także mówię po polsku.“ Opowiadała nam, jak przyjęta w Paryżu za bonę do dzieci — służyła po lat kilka w dwóch domach. Utrzymuje, że w Polsce nierównie cieplej niż we Francyi, stąd zapewne, że piece lepiej tam urządzone. Łatwo pojąć dziwienie cudzoziemców, którzy z ciekawością przysłuchiwali się rozmowie naszej.

Powrócimy tu jeszcze, przepyszne te pałace pagody i meczety zasługują na szczegółowy przegląd.

Poza długim ich szeregiem wznosi się okrągły budynek, to panorama zatytułowana *Tout Paris*: wystawiona przez malarza Castellani. Weszliśmy po ciemnych wschodach do wysokiej i szerokiej rotundy. Nagle ujrzelśmy się na wielkim bulwarze, przed gmachem Opery Paryżkiej. W ogromnym rojowisku osób portretowanych mniej więcej dokładnie, uderzyło nas mnóstwo znanych postaci, które zresztą wymieniał przewodnik. Wszystko, co w Paryżu zdobyło jakiś rozgłos, znalazło się tu razem, podzielone na mniejsze lub większe grupy. Jedni jadą kareta lub odkrytym kabryoletem, inni przechadzają się pieszo. Tu jedzie poważny kardynał Lavigeries, arcybiskup Algeru i Kartaginy, promotor krucjaty w sprawie wytepienia czarnego niewolnictwa, tam idą dwaj dobroczyńcy ludzkości, Pasteur i głośny alienista Chareot. Środkiem bulwaru przejeżdża konno Lesseps, otoczony dziesięciorgiem dzieci na kucykach. Snują się tu przedstawiciele wszystkich władz wojskowych i cywilnych, ministrowie, deputowani, przewodnicy politycznych stronnictw różnych barw i odcieni; książę Broglie, zawołany Orleanista, Paweł de Cassagnac, zawzięty szermierz Napoleoński, Deroulode, mieniący się nowym Tyrteuszem, Naquet zapaśnik rozwodów, Hugues Clovis, zapalony komunard. Świat sztuki reprezentowany w najwybitniejszych osobistościach; muzykę przedstawia Gounod i Massenet, malarstwo Carolus Duran i Bonnat, rzeźbę Chapu i Mercier; dziennikarstwo: Albert Wolf, Sarcey, pani Adam; literaturę powieściową: Alfons Daudet, Zola, Maupassant; sztukę dramatyczną: Aleksander Dumas, Wiktoryn Sardou, Halevy, Sara Bernard a za nią całe grono aktorek, śpiewaczek, baletniczek. Błyszcą tu również koryfeusze sportu i klubów, a między nimi książę Walii, często nawiedzający Paryż. Przyćmione nawet osobistości występują tu na widownię, jak ex-prezydent Grevy, z zięciem swoim Wilsonem. Jednym słowem zgromadzony, tak zwany *Tout Paris*, to jest-ci wszyscy, których sławę rozgłaszają dzienniki, za którymi trop w trop chodzą reporterowie i powtarzają ich poufne zeznania ku wielkiej ucieście czytelników. Dwóch tylko osób nie spostrzegamy w tym kalejdoskopie: prezydenta Rzeczypospolitej i generała Boulanger. I jakież powód tej ich nieobecności?.. Oto na kilka dni przed otwarciem wystawy, minister spraw wewnętrznych spostrzegł, że generał Boulanger przybrany w świetny mundur, na dziarskim koniu wronym, przyćmił zupełnie postać prezydenta, jadącego w karecie, na pół ukrytego wśród tłumu. Minister zażądał zmiany, Castellani poddał się rad nie rad pod wyrok, w karecie Carnota pomieścił jakąś obojętną postać, na koniu Boulangera posadził jakiegoś innego generała. Czas naglił: nie podobna było przerabiać całego obrazu: tym sposobem, tak prezydent jak i generał Boulanger usunięci całkiem z panoramy.

Co do artystycznego wykonania, wiele tu do życzenia pozosta-

je. Portrety w ogólności mgliste, jakby zatarte, trzeba się ich domyślać. Dla paryżanów może to mieć jakąś ponętę; cudzoziemcy mniej wtajemniczeni w życie tutejsze, mogą śmiało opuścić panoramę pana Castellani. Jest od niej inna, nierównie ważniejsza, wykonana pędzlem dwóch mistrzów Gerweza i Stewensa. Ta przedstawia sto lat ubiegłych w osobach, które odgrywały w nich rolę, począwszy od Ludwika XVI i Maryi Antoniny, do prezydenta Carnot. O tej powiemy w swoim czasie.

Wystawa tegoroczna, a bardziej jeszcze związana z nią pamięć wypadków zaszłych przed stoma laty, budzi zapal w republikanach. Jeden z nich nazwiskiem Ozirys, parę lat temu, gdy projekt został zatwierdzony urzędowo, ofiarował 100,000 franków w nagrodę za utwór uznany jako najpożyteczniejszy, bez względu na wydział czy to przemysłowy, czy ekonomiczny, czy nakoniec z dziedziny sztuki lub nauk ścisłych, do jakiego będzie policzonym. I któżby to przewidział, donator ciągle napotykał trudności, ponieważ cel nie był określony dokładnie; prośba obiegała wszystkie ministerya: handlu, rolnictwa, sztuk pięknych i t. d. W ciągu trzech lat nie jeden gabinet upadł, inny po nim nastąpił. Ozirys mimo nalegań żadnej nie odbierał odpowiedzi. Nakoniec minister handlu i przemysłu odmówił wręcz przyjęcia ofiary imieniem całego gabinetu. Rozżalony donator udał się do syndykatu prasy, który bez wahania przyjął na siebie obowiązek.

Dziwne doprawdy żądanie ofiarodawcy, aby głosy ludzi niekompetentnych, mogły porównywać i sądzić użyteczność wystawionych przedmiotów, a dziwniejsza jeszcze zarozumiałość dziennikarzy, którym się zdaje, że mają prawo wyrokować o wszystkiém. Nie zdziwi nas to wcale, jeżeli prasa uzna wieżę Kiffel za rzecz najpożyteczniejszą, jaką Paryż ukazał na wystawie w 1889 roku.

Paryż dnia 14 maja 1889 r.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Androae Cricii Carmina edidit, praefatione instruxit, adnotationibus illustravit Casimirus Morawski. Cracoviae 1888. 8-o str. LXIII + 302.

W r. 1884 postanowiła Akad. Um. w Krakowie wydać „Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae Latinorum usque ad Joannem Cochanovium,“ I tom, mający obejmować poezye Klem. Janickiego i Jana Dantyszka, jeszcze nie wyszedł. W r. 1887, pojawił się tom II, obejmujący poezye Pawła z Krosna i Jana z Wislicy, wyd. prof. d-ra Br. Kruczkiewicza. ¹⁾ W r. 1888 wyszedł tom III zapowiedzianego wydawnictwa, zawierający poezye jednego z najstarszych poetów naszych, Andrzeja Krzyckiego (1482 — 1537), biskupa przemyskiego (1522, później płockiego (od r. 1527) a nareszcie arcybisk. gnieźnieńskiego (od r. 1535). Krzycki pełnił obok tego obowiązki kanclerza królowej Barbary Zapołskiej, żony Zygmunta I (od r. 1512 — 1515), a po jej śmierci sekretarza króla Zygmunta I (w r. 1516). Przeważna część poematów Krzyckiego wyszła z druku za życia poety, (między 1512 a 1537); lecz wiele dopiero w niniejszym wydaniu po raz pierwszy ogłoszonych zostało. Ponieważ z poematów, ogłoszonych za życia poety, jeden tylko doczekał się powtórnego wydania po jego śmierci, przeto z 20 drukowanych książek, zawierających poezye Krzyckiego, pozostało do naszych czasów tylko 9, wskutek czego wiele poematów już drukowanych, potrzeba było wydawać na nowo z rękopisów. Stąd nie małą pomocą służył prof. dr. K. Morawski, zgromadziwszy z rzadkich dziś druków i rękopisów zbiór poezyi Krzyckiego, który według wymagań nauki drukiem ogłosił.

P. K. M. podzielił poezye Krzyckiego według treści, na 7 ksiąg, grupujących poszczególne poematy w porządku chronolo-

¹⁾ Dr. Michał Jezienicki w „Muzoum“ (1885, z. 1—4). Z. Dembitzer w „Woehenschrift für klassische Philologie,“ (Berlin 1888 Nr. 40 str. 1253).

gicznym. Księga I zawiera oprócz a) przemowy Krz. do czytelnika, b) do Piotra Tomickiego (proza), c) Encomium P. Tomicii, Carmina sacra (26), z których dosyć dużo znanych było z wyd. krakowskiego r. 1535 p. t. „Cantica sacra carmine Sapphico.“ (Egzemplarz zaginął). Poematy 9 i 10, umieszczone są na końcu dziełka Krzyckiego: De afflictione ecclesiae (Kraków 1527), a poemat 23 na początku dziełka: De ratione et sacrificio missae. (Kraków 1529). Księga II obejmuje: „Carmina de rege Sigismundo, eius familia et aula“ (47). Ważniejsze z nich są: 1. De nuptiis Sigismundi et Barbarae. 2. Epithalamion Sigismundi et Barbarae. (Obydwa znane z ed. Krak. 1512 p. t. „In Sigismundi et Barbarae connubium Carmen.“ 11. Encomium Sigismundi post partam de Tartaris victoriam (r. 1512 pod Wiśniowcem). Kraków 1512 r., a nadto w Callimachi De bello inferendo Turcis oratio. (Egzemplarz 1-go wydania zaginął). 12. Ad Sigismundum nomine Barbarae post partam de Moscis victoriam (1514 r. pod Orszą) epistula. Poemat ten wydał arcyb. Jan Łaski w „Illustrium virorum de caede Moscorum per Sigismundum apud aras Alexandri Magni peracta Carmina.“ (Rzym 1515, egzemplarz posiada biblioteka kórnicka). Powtórnie w Callimachi De bello inferendo Turcis oratio. 19. Deplo ratio immaturae mortis Barbarae. (Kraków 1515. Egzemplarz zaginął). 23. Epithalamium Sigismundi et Bonae. (Kraków 1518; egzemplarz zaginął). 46. Ad Sigismundum Augustum — poemat umieszczony na początku Krzyckiego: „Oratio in postulando ad regnum Sigismundo II habita a 1530. (W bibliotece Ossolińskich). Nadto znajdujemy w księdze II pod nr. 41 poemat: In ~~rum~~ iudicarii processus per Sigismundum facti, ogłoszony już w Statuta Sigismundi I (Kraków 1524, str. 31). W księdze III pomieszczone są Carmina ad rempublicam et res religionis spectantia (18), z których ważniejsze są: 1. Religionis et reipublica querimonia, i 2. Dialogus in rempublicam (znane z ed. Krak. 1522, 1567 i 1606). (Egzemplarz z r. 1522 posiada biblioteka katedralna we Wrocławiu). 5. In imaginem Lutheri i 6. Condiciones boni Lutherani. (Krak. 1524 p. t. Encomia Lutheri. (Egzemplarz znajduje się w bibliotece Jagiellońskiej i Czartoryskich w Krakowie). 8. De fuga exercitus Germanici a principibus Germaniae Cruciferis in auxilium missi. (Kraków 1520; egzemplarz zaginął). 11 i 12. In ordinem militum Criciferorum—wyszło w Krzyckiego: Epistula ad Pulleonem de nogotio Pruthenico. (Kraków 1525; egzemplarz zaginął). 18. Threnodia Valachiae (po pobiciu Wołochów przez Jana Tarnowskiego pod Obertynem r. 1531),— wyszła w Krakowie 1531 r. (Egzemplarz posiada biblioteka Czartoryskich). Księga IV zawiera niedrukowane dotąd Carmina satirica (77) t. j. satyry na różne osobistości współczesne, jak: Jan Łaski, Jan Górski, Stanisław Tarło, Erazm Vitellio, Krzysztof Szydłowiecki i t. d. Księga V zawiera Epitaphia (44), z których dotychczas były drukowane

tylko 38: Epitaphium Petro Tomicio, episcopo Cracoviensi, 1535 positum (Kraków, egzemplarz zaginął) i 4, 7, 9, 35, 37 (w Starowolskiego: Monumenta Sarmatarum). Księga VI zawiera nieznane dotychczas: Carmina amatoria, a raczej z małymi wyjątkami — obscena (78). Księga VII zawiera, również dotychczas nieogłoszone, 33 krótkie poematy, które treścią swą nie nadawały się do żadnej z ksiąg poprzedzających.

Do tego dołączył prof. M. księgę VIII, w której pomieścił prozą napisane satyryczne Dialogi de Asiana diaeta, a mianowicie: 1) Dialogus de Asiana diaeta vel potius de Piotrcoviensibus comitiis 1535 in mense Dicembri habitis, który napisał Stanisław Odrowąż i Stanisław Łaski, a Krzycki tylko nieco zmienił i poprawił, i 2) In vulgatis nuper Asianam diaetam dialogus, którego autorem jest sam Krzycki. Dialogi te wyszły z druku za życia naszego poety. (Egzemplarz zaginął). Nadmieniamy jeszcze w tém miejscu, że ogłoszenie najnowsze niektórych poematów, wyprzedziły już wydane niedawno „Acta Tomiciana,” zawierające w t. II—VIII poemata wydania niniejszego: I 24, 25, II 1, 2, 12, 19, 23, 42, 43, III 11, 15, IV 2, 43, 47, 56, 70. Prof. M. poprzedził sam tekst obszernym wstępem, w którym mówi: I: De editionis Carminum Cricianorum fontibus et condicione. Autografów Krzyckiego dotychczas nie znaleziono nigdzie. Jan Janocki (Specimen catalogi codicum manuscr. Bibl. Żał. 1752 pod nr. 130), podaje, że posiadał je w swój bibliotece Józef Załuski biskup kijowski, który, jak wiadomo, w latach 1746—8 założył w Puławach bardzo obszerną bibliotekę, przewiezioną w roku 1795 do Petersburga i tam zapewne znajdują się jeszcze autografy naszego poety. Natomiast znachodzą się jeszcze po różnych bibliotekach rękopisy, przepisane częścią z autografów poety, a częścią z drukowanych dzieł jego. Zawierają one wszystkie utwory poety z wyjątkiem dwóch, które wyszły w ostatnich 2-ach latach życia Krzyckiego, mianowicie: a) De libris novis sive legendis sive conscribendis regulae pastorales (Kraków 1536) i b) De Sigismundi Augusti amoribus epigrammatum libellus (1537). Egzemplarze obydwu tych wydań zaginęły zupełnie.

Rękopisy, na których opiera się niniejsze wydanie, są: 1) Rękopis kórnicki (Corn.), obejmujący 428 folia, zawiera od fol. 270, poematy Krzyckiego zupełnie nieuporządkowane i tu i owdzie poprzedzielane listami poety, tudzież poematami innych poetów. Rękopis ten sporządził w przeważnej części Stanisław Górski (1489—1572), który był sekretarzem podkanclerzego Piotra Tomickiego, a po jego śmierci (r. 1535) sekretarzem królowej Bony. Z kancelaryi Górskiego wyszły nadto jeszcze 2 rękopisy, przepisane pod jego nadzorem, zawierające poezye Krzyckiego, już uporządkowane. Są to: 2) Rękopis warszawski (Kras.) i 3) Rękopis lwowski (Ossol. I), rękopis warszawski pochodzi z r. 1551. Ręko-

pis kórnicki powstał po r. 1550, gdyż na fol. 316 znajdujemy: Epigramma Patricii in stemma A. Zebridovii, episc. Crac., a wiadomo, że Andrzej Zebrzydowski został biskupem krakowskim w r. 1550. Leez ztąd można tylko stanowczo orzec, że f. 316 i następne zostały napisane po r. 1550, niekoniecznie zaś poprzedzające folia. Natomiast można się zgodzić na to, że rękopis ten sporządzono przed r. 1551, gdyż możemy przypuścić, że Górski nasamprzód zebrał utwory Krzyckiego i przepisał je bezładnie w rękopisie kórnickim, a dopiero następnie przystąpił do uporządkowania materiału w rękopisie warszawskim z r. 1551. 4) Rękopis Jagielloński (Jag.) napisany przez Stanisława Pudłowskiego, który był rektorem uniwersytetu Jag. w r. 1640. 5) Rękopis lwowski 2, (Oss. 2), pochodzi z XVII-go wieku.

We wszystkich tych rękopisach znajdują się objaśnienia (scholia) do poszczególnych miejsc, pochodzące niewątpliwie od Stanisława Górskiego. Rękopis Jagielloński zawiera oprócz objaśnień Górskiego jeszcze inne objaśnienia, pochodzące widocznie od Pudłowskiego.

W rozdziale II czytamy: „Biographorum Cricii conspectus,“ a w III-im Fasti Criciani, gdzie wydawca opowiada żywot Krzyckiego aż do r. 1504, od tego zaś roku daje nam tylko chronologiczny przegląd wypadków z życia poety, albowiem do obszerniejszego omówienia szczegółów znajdzie się sposobność w objaśnieniach do poszczególnych poematów. W rozdziale IV-m podana jest Vita Andreae Cricii, a Stanislao Górski enarrata.

Rozdział V mówi: „De Cricii poesis indole eiusque arte metrica.“ Podawszy tu krótką charakterystykę poezji Krzyckiego, wykazuje p. M. wpływy poetów starożytnych i współczesnych na utwory Krzyckiego. W poematach Krzyckiego znajdujemy ślady poetów łacińskich Katula, Owidego, Tybula, Propertego, Wergilego, Juwenala, Marcyalisa, Klaudyana; tu i owdzie widać ślady Plauta, Terencego i Horacego. Ze współczesnych wpływali na Krzyckiego poeci włoscy Antonius Codrus Urceus i Angelus Politianus. Następnie przechodzi p. M. do uwag gramatycznych, dotyczących morfologii i składni Krzyckiego. Na str. LIII, podaje wyrazy i formy, które zachodzą u Krzyckiego, a których nie używali poeci starożytni lub przynajmniej bardzo rzadko. Spis ten jest nieodkładny a nadto nieuporządkowany należycie. Należało bowiem przytoczyć nasamprzód te wyrazy, które wprowadzają nowe pojęcia, a następnie te, które powstały przez nieznaną tylko zmianę wyrazów klasycznych, to samo znaczenie mających. Do pierwszych należą oprócz capresco i sitibundus, które p. M. przytacza jeszcze następujące: arsenboetü (IV 9, 8) cacamen (IV. 37. 9), crissatrix (VI 78, 3), cuspidens, a, um (VI 62, 4), Felsineus, a, um (V 14, 4; 23, 4), lignipes (IV 15, 2), liturgia (I 23, 1), ophthalmia (I 20, 3), papa (III, 10, 3), papista (III 6, 15), philantius, a, um (IV

41, 36), *söbellus* (II 23, 282. III 1, 28). Do drugich należą przytoczone przez wydawcę, *luctösam* (= *luctüösam*), *mercato* (= *mercätüi*), *sorbant* (= *sorbëant*), *Stygä taetra* (= *Styga taetram*), *perdisset* (= *perdidisset*), a nadto: *Cypräe* (= *Cypriae* II 4, 15), *Eugänis* (*Eugänëa* VI 10, 28), *Hërosträtis* (= *Hërosträtüi* IV 41, 29), *Jäcöbus* (= *Jäcöb* III 1, 32), *Parnassidës* (= *Parnassis* IV 39, 3), *sarcita* (= *sarta* III 3, 13; 4, 7), *concesti* (= *concessisti* II 23, 104), *reduxti* (= *reduxisti* II 23, 162). Z takiego zestawienia tych wyrazów byłoby się okazało, że powodem do pewnych zmian wyrazów klasycznych nie była niezajomość form prawidłowych lub gonięcie za archaizmami, lecz przeważnie potrzeba metryczna, gdyż tylko 2 razy możnaby podstawić formę prawidłową (*Euganea* za *Euganis* i *Jäcöb* za *Jäcöbus*), w innych zaś miejscach nie da się to uczynić, a nadto formy prawidłowe *luctüösam*, *sorbëant* i *perdidisset* nie mogłyby wcale wejść do heksametru daktylicznego. Z tego spostrzeżenia wypływa, że formy *alio* (dat. sing.) i *poterint*, które wydawca u Krzyckiego przyjmuje, opierając się na rękopismach, należy uważać za błędy przepisujących i należy je poprawić na prawidłowe *alii* i *poterunt*, gdyż użycie błędnych form nie da się tu wcale usprawiedliwić potrzebą metryczną, a trudno przypuścić, aby Krzycki mylił się co do odmiany tak pospolitych wyrazów.

Po kilku uwagach, dotyczących składni Krzyckiego, przechodzi p. M. do kwestyj metrycznych. Na str. LIV czytamy: „*Primo igitur loco ideo est culpandus (Cricius), quod saepius in hexametri quinque primis pedibus perperam admisit trochaeum; nolimus enim adhuc graviore premere eum crimine et suspicari in tritissimis vocabulis falsam pravamque statuuisse eum prosodiam. Ubinam tamen potius origo erroris sit quaerenda, interdum decernere non ausimus.*“ Na to zdanie nie mogę się zgodzić, gdyż w obec licznych błędów, jakie się pojawiają pod względem iloczasu w poematach Krzyckiego, należy raczej przypuścić, że Krzycki znał bardzo dobrze zbyt łatwe prawa rytmiczne heksametru daktylicznego i nie chciał tu świadomie wprowadzać żadnych innowacji, natomiast zaś mylił się w iloczacie niektórych wyrazów i skutkiem tego uważał niekiedy krótką zgłoskę za długą i położył ją nieswiadomie tam, gdzie rytm wymagał długiej. P. M. przytacza 16 przykładów takich błędów, na inne zaś zwraca uwagę w stosownych miejscach komentarza (I 9, 7, IV 75, 1, V 8, 6; 31, 9; 32, 2; VII 10, 4); lecz pominął III 1, 80, 92; 18, 45, V 31, 13, VI 20, 1. Wobec tego spostrzeżenia nie należy wcale w miejscach wyżej wspomnianych poprawiać tekstu przez konjekтуры, bobyśmy zatarli właściwości metryczne Krzyckiego. Mimo to zaproponował p. M. niepotrzebnie konjekтуры do miejsc: I 9, 17, II 10, 15, III 13, 3, V 22, 10; 31, 9, VI 9, 11; 15, 17, 31, VII 10, 4, a w 2 ch miejscach wprowadził je nawet do tekstu: V, 8, 6; 32, 2.

Na str. LV wylicza p. M. te wyrazy, w których Krzycki

pobłądził co do iloczasu. Należy tu jeszcze dodać następujące wyrazy: *amico* (V 31, 13), *cervicem* (IV 32, 2), *cōmis* (V 37, 2), *dōice* (III 1, 140), *ephebum* (VII 1, 1), *exprimere* (II 23, 12), *hymenaea* (II 23, 2), *Jāsonem* (VI 10, 95), *nimirum* (II 15, 9), VI 5, 6), *scqueris* (IV 8, 1), *sūtore* (IV 43, 12), *daemōn* (IV 3, 2, 6, 8), *feris* (VI 13, 4), *Ganymedēs* (IV 4, 8), *velis* (IV 57, 10). Ostatnie 4 przykłady, gdzie skróconą została ostatnia zgłoska, pouczają dostatecznie, że i IV 16, 6 należy zatrzymać lekcją rękopiśmienną impetu, którą wydawca zmienił niepotrzebnie na impete.

Na str. LVII podaje p. M. te wyrazy, w których Krzycki zmienił iloczasy klasyczny z konieczności metrycznej, lecz zaliczył do nich tylko, *sonipede* i *adhibui*. Należało tu pomieścić i przedtem wyliczone: *cōmitas*, *conviciis*, *diligentia*, *philosophia*, *philosophus*, *gāneas*, *pensili*, *meretrīci*, *invenitur*, *convenitis*, *pāricida*, a nadto pominięte przez wydawcę: *cōpulato* (VI 58, 1), *dōliaris* (VI 63, 11), *fōverint* (II 42, 4), *sycophanta* (IV 2, 22), *umbilicem* (VI 33, 6). Powód ten należało wyraźnie zaznaczyć, gdyż on usprawiedliwia w pewnej mierze zmiany Krzyckiego; wiadomo bowiem, że i poeci starożytni z konieczności metrycznej zmieniali niekiedy zwyczajny iloczyn wyrazów, np. *gāncōnis* (zamiast *ganōnis*) u Prud. Ham. 321.

Do uwag, dotyczących iloczasu, dołączam jeszcze następujące: IV 43, 1 czyta Krzycki *Protēlus*, a VI 20, 1 nawet *Orphēi*. podczas gdy poeci starożytni czytają te formy przez synizę. Krzycki skraca często końcówkę o w abl. sing. gerundiów, jako to: *medendō* (VI 77, 13), *morīendō* (II 43, 15), *pugūandō* (III 18, 37), *reserandō* (VII 17, 8), *tacendō* (VI 29, 5), *tutandō* (V 15, 7), *videndō* (II 34, 21). Przykłady podobnego skracania spotykamy niekiedy i u późniejszych pisarzy łacińskich, jak np. *Sen. Troad.* 273 (*vīcendō*). Bardzo często, bo 88 razy znajdujemy u Krzyckiego krótką zgłoskę przed następującymi wyrazami, rozpoczynającymi się od *sc*, *sch*, *ser*, *sm*, *sp*, *spr*, *st*, *str*, *z*. Objaw ten spotykamy i u poetów klasycznych, lecz bardzo rzadko, np. u Wergilego tylko 2 razy, u Owidiego 4 razy, u Horacego 9 razy. Podobnie położył Krzycki krótką zgłoskę przed *Gdanem* (III 13, 1).

Na str. LVII podaje wydawca, jakich miar używał Krzycki w swych poematach. Dowiadujemy się stąd, że przeważna część jego poematów jest ułożona w miarach klasycznych, a mianowicie w heksametrach daktylicznych *κατα ορίζον* (I 7, 12, II 2, 19, 23, 38, III 1, 6, 18, IV 15, 56, VI 25, VII 1), we wierszach falecejskich (A. I 5, 16, 17, 23, 26, IV 41, 43, V 5, VII 15), asklepiadejskich mniejszych (V 12), w dystychach elegijnych (najliczniej), w strofach asklepiadejskich I (I 14) i saficznych mniejszych (I 4, 6, II 4, 27, VI 23), a tylko w kilku poematach (do spisu podanego

przez wydawcę należy dodać VII 31, 33) — znajdujemy miary akcentujące.

Następnie podaje wydawca niektóre właściwości rytmiczne heksametru daktylicznego. Na str. LVIII przytacza 6 heksametrow, w których brakuje cesury głównej. Liczbę tę uzupełniam jeszcze następującymi wierszami: II, 3, 5; 19, 48; 23, 83, III 1, 141, VII 19, 1, a nadto dla usprawiedliwienia Krzyckiego dodaje, że podobne heksametry—lubo bardzo rzadko—znajdują się i u najlepszych poetów łacińskich, jak Verg. Aen. XI 758, XII 144, Hor. Sat. II 3, 134, 181, Epist. II 3, 87, 263, 377. Wypada tylko dodać, że u poetów łacińskich przypada w przytoczonych wierszach na 3 stopę wyraz złożony, którego 1 część składowa tworzy arse tęjże stopy, tak że brak cesury głównej jest tylko pozorny; Krzycki zaś czyni to tylko w II 3, 5; 19, 48; 23, 83.

Na str. LVIII wylicza wydawca przykłady wzdłużenia wygłosowej krótkiej pod wpływem arsy, szczególnie przed cesurą główną. Przytoczone tam wyrazy należy uzupełnić następującymi: avertis (VI 57, 1), quod (V 30, 11), duo (VI 10, 9), nigra (VI 9, 3), bene (IV 75, 1), male (IV 43, 6, 27, V 12, 4). Tu także zaliczyć wypada: facile (I 26, 7), do którego to miejsca zaproponował wydawca niepotrzebną konjekturę. Przykłady podobnego wzdłużenia wygłosowej, zakończonej na spółgłoskę, są i w klasycznej łacinie dość częste, na co słusznie zwraca uwagę wydawca. Lecz należało dodać, że i przykłady wzdłużenia wygłosowej, zakończonej na samogłoskę, nie są innowacją Krzyckiego, lecz znajdują pewne poparcie nawet u najlepszych poetów łacińskich, jak Verg. Aen. III 464, 702, Hor. Sat. I 3, 7.

Przechodząc do tak zwanego pentametru daktylicznego, przytacza wydawca przykłady wzdłużenia wygłosowej krótkiej rozziwu przed dyesą główną. Do przykładów wzdłużenia dodać jeszcze należy: VI 10, 46 (qualis), a do przykładów rozziwu V 30, 6.

Uzupełniając wiadomości metryczne, podane przez wydawcę, dodam, że budowa wierszy logaedycznych, (Phalacius, Sapphicus minor, Glyconeus II, Asclepiadeus minor) jest bardzo prawidłowa: daktyl jest w nich zawsze poprzedzony trochejem niewymiernym; we wierszu salficznym mniejszym cesura główna przypada zawsze po arsie 3 stopy; 4 stopa wiersza faleejskiego jest zawsze wymiernym trochejem, gdyż w I 5, 8 Krzycki uważał prawdopodobnie 1 zgłoskę wyrazu Plutoni za krótką.

Tekst opatrzonej jest bieżącym komentarzem, wyjaśniającym trudniejsze miejsca przeważnie pod względem historycznym. Komentarz ten jest zupełnie dobry. Recenzja tekstu jest w ogóle staranna. Wydawca poprawił w kilku miejscach tekst rękopiśmienny własnymi konjekturami. Jednakowoż za potrzebne i dobre uważam tylko konjektury do I 11, 5; 26, 3, II 14, 220; 23, 52, III 7, 1, IV 3, 11, V 21, 13, 14; 30, 7, VI 15, 8; 53, 19, VII 19, 13; 22, 2, a nadto drugą z konjektur, zaproponowanych do VI 26, 16.

Przeciwko niektórym innym konjekturom oświadczyłem się już poprzednio, a na inne zwrócę uwagę obecnie, przechodząc poszczególne miejsca tekstu, w których mam coś do poprawienia.

I 5, 2: Totus concinnat orbis Alleluia (= $\frac{1}{1} \frac{\infty}{\infty} / \frac{1}{1} \frac{o}{o} / \frac{1}{1} \frac{o}{o} / \frac{1}{1} \frac{o}{o} / \frac{1}{1} \frac{o}{o}$) Do tego wiersza czytamy następującą uwagę: „Versus mendose compositus, quia Cricius fortasse, quod nonnulli codices exhibent „concinat“ scribebat.“ Z tej uwagi widać, że rękopisy podają: jedne concinnat, a drugie concinat. Pierwsza lekcyja jest zła pod względem myśli i miary; należało ją tedy odrzucić, a przyjąć drugą, która jest dobra pod każdym względem.

I 12, 2: Respice, mortalis, si fuit unquam passio talis. Do tego wiersza dodał wydawca następującą uwagę: „Ita mendose in omnibus codicibus exhibetur. Cod. Jag. habet; si unquam fuit, ubi fuit per synizesim esset pronuntiandum.“ Sądzę, że należało stanowczo przyjąć do tekstu lekcyję rękopisu Jagiellońskiego (Respice, | morta|lis, si unq||uam fuit passio | talis), przy czem jednak nie należy czytać fuit przez synizesę, gdyż tak Krzycki z pewnością nie czytał, lecz należy raczej przyjąć zaniechanie pozycyi, jak to ma miejsce niewątpliwie w I 14, 3 (Vernu| qui Deus de De|o = $\frac{1}{1} \frac{\infty}{\infty} / \frac{1}{1} \frac{o}{o} / \frac{1}{1} \frac{o}{o} / \frac{1}{1} \frac{o}{o}$) i VI 57o. 1 (mimquid).

I 17, O salve vene|randa pa||rens gene|trici| Jesu. Należy czytać: J|esu, gdyż czytając Jesu, otrzymalibyśmy błędny wiersz spondeiczny, którego Krzycki nigdy nie używa. Jedyne wyjątek stanowi w 5, wątpliwego co do autentyczności poematu V 31, gdzie jednak znajdujemy prawidłowy wiersz spondeiczny: Dogma|ta | qui sophi|ae no||vi se|ptem sa|cratae.

II 6, 3 i 4. Nec tamen hoc satis est aquila fertur ad astra. Praebeat| ut ter|ris|| regia | signa, lu|pus. Tak podają wszystkie rękopisy. Wydawca poprawił wiersz 3 w następujący sposób: Nec tamen hoc satis est. En aquila fertur ad astra. Konjektura ta jest błędna pod względem metrycznym, gdyż aquila ma początkową zgłoskę krótką; nadto konjektura ta daje myśl zupełnie niestosowną. Proponuję czytać: Nec tamen | hoc satis | est; aq||i||a nam| fertur ad | astra.

II 11, 44: Sed quan|do expor|gis|| lumina| solis e|runt. Tak czyta wydawca według rękopisu Kórnickiego, podczas gdy wydanie z r. 1524 i wszystkie inne rękopisy mają expo(r)rigis. Sądzę, że należy czytać: expōri|gis, przy czem zaniechanie pozycyi da się wytłumaczyć błędną pisownią (r zamiast rr), jak to ma miejsce w VII 11, 4, gdzie czytamy pāricida zamiast: parricida. Za lekcyją exporigis przemawia jeszcze i ta okoliczność, że tekst pierwszych wydań jest tak staranny, iż tylko w 2 miejscach potrzebował sprostowania błędów drukarskich (II 12, 100. Volnensis za Volnensis i III 6, 15: falsus za salsus).

II 44, 2 czytamy: Cracce, IV 52, 3: Gracci, a II 2, 5 i 82: Grāchi. Sądzę, że należało imię Kraka pisać wszędzie jednako; najlepiej: Grachus według wydania z r. 1512.

III 9, 3 i 4: Cetera | cum mu|tent, u||na com|mota cu|culla.

Pectora | non ro|bur|| dicitō, | sed foli|um.

Tak podają niektóre rękopisy. Inne mają commoti zamiast commota. Wydawca zmienił commota na est cum mota. Konjektura ta — jakkolwiek dobra — jest niepotrzebna, gdyż pierwsza lekcya rękopiśmienna jest zupełnie dobra. Należy łączyć: Cum pectora, commota una cuculla, mutent cetera, dicitō (ea) non robur sed folium.

III 18, 44 i 45: (Quaeque Valachia), pri|us tan|tos re||ges po|pu|losque potentes Vici | Tarnovio he||roa | vincor ab | uno.

Do drugiego z tych wierszy czytamy następującą uwagę: „Liber impr. habet Tarnovio heroa (sic) vincor ab uno; codd. post heroa inserunt nunc. Cricius igitur ablativum inauditum in a formasse videtur.“ Wyrazu heroa nie należy uważać za abl. sing. od heros, lecz za nom. sing. gen. fem. od herous, a, um (=bohater-ski), odnoszący się do Valachia. Poeta umyślnie zestawia wyrazy heroā vincor dla uwydatnienia przeciwieństwa. Wzdłużenie krótkiej w heroa jest dostatecznie usprawiedliwione licznymi przykładami, podanymi na str. LIV i LV, a przezemnie wyżej uzupełnionymi na str. 458. Rozchodzi się tylko o rozziew, zachodzący pomiedzy Tarnovio a heroa. Krzycki unika w ogóle dość starannie rozziewu, jednakowoż znajdujemy go czasami w jego poematach, a mianowicie oprócz dość częstych przykładów po o (np. II 23, 224), oprócz przykładów, przytoczonych na str. LIX (w niniejszej ocenie na str. 459 u dołu) i oprócz IV 3, 9 (?) 32, 2 (?)—w zupełnie analogicznym przypadku: V 17, 3; Produ|xisse tu|am meri||to, Hielronyme | vitam. Sądję, że w obec tego przykładu należy w. 45, czytać według pierwszego wydania, a odrzucić poprawkę rękopismów, dodających nunc po heroa dla uniknięcia rozziewu, zwłaszcza, że 1) to nunc psułoby piękne przeciwstawienie wyrazów heroa i vincor, a 2) rękopisy są gorszym źródłem w obec wydania sporządzonego przez wydawcę. Należy jednak uważać, że i przepisywający rękopisy nie uważali heroa za abl. sing. od heros, gdyżby byli poprawili tak rażący rozziew.

IV 33, 3: Quod est tecum pax et concordia fratrum. Tak podają rękopisy. Wydawca dla poprawienia budowy metrycznej powtórzył tecumpisząc: Quod est | tecum | pax te||cum et con|cordia| fratrum. Lecz itak pozostał błąd metryczny w 1 stopie, gdyż „quod“ jest krótkie. Proponuję: Quod pax | est te | cum, te||cum et con | cordia | fratrum.

IV 3 12: Esse ea|dem dae|mon|| tu rati|one potes. Wiersz ten zaznacza wydawca jako błędny pod względem metrycznym—niepotrzebnie, gdyż eadem można czytać przez synizesę. Por. Verg. Aen. X 487 (eadem). Por. nadto Krzyckiego IV 9, 24 (prout) VI 26, 33 (dehinc).

IV 47, 7: Et ven|dit Chri|stum, quem | nomine | portat. Tak rękopisy. Wydawca poprawił ze względów metrycznych na: Et

vendit | Christum, ven||dit quem | nomine | portat. Poprawka dobra, lecz możnaby przypuścić, że poeta nie zauważył, iż złożył heksameter, któremu brakuje całej stopy. W takim razie poprawka byłaby niekonieczna. Podobnie ma się rzecz z IV 55, 7. An supe|rare ne|quis medi|am ense | sa|gittam—który to wiersz poprawia wydawca na: An supe|rare ne|quis medi|am nunc|ense sa|gittam.

II 14, 51 należy czytać: Lithvaniam zamiast Lithuaniam, II 14, 77: Lithvanorum zamiast Lithuanorum, II 14, 90: Lithvani zamiast Lithuani. II 14, 262: Lithvanos zamiast Lithuanos II 14, 134: Pilcensis zamiast Pilcensii, IV 68, 4: Sismundi zamiast Sigismundi, IV 68, 7: isdem zamiast eisdem, IV 70, 4, 6: eu|angelium zamiast e|vangelium. Poprawek tych wymaga metrum.

II 24 1 należy czytać Hymena zamiast Hymenea | IV 8, 1: Qui zamiast Qua, V 34, 7: Felsina zamiast Felsinea, VI 10, 46: Ilios zamiast Ilion.

Kilka wierszy pozostawił wydawca niezalutowionych, zaznaczywszy je tylko jako popsute. Do niektórych z nich proponuję następujące poprawki:

IV 48, 2: Christe ca|pit nunc, cui, || die rogo|carior(es —zamiast: Christe capit; die rogo, cui carior es.

IV 49, 1: Ante qui dem fueras ter deno venditus asse.

VI 16, 1: Quid mi|rum in Lati|o sa||xis quod | dicitur|Alpis —zamiast: Quid mirum in Latio saxis quod dicitur Alpeinis.

VII 16, 7: Si huma|na valet | et di|vina lege | vo||untas —zamiast Si divina valet et humana lege voluntas.

VII 16, 9: Ergo ani|mam Christus nunc || iure hoc | sorteque| corpus —zamiast Estque animam Christus iure hoc sorteque corpus.

VII 16, 11, Vos te|stando au|tem le||ges cano|nes que si|lete.

Kończąc niniejsze sprawozdanie z poważnej pracy uczonego filologa z przyjemnością wyznajemy, że pomimo wykazanych niektórych stron ujemnych, zasługuje dzieło prof. d-ra K. Morawskiego na szczerze uznanie świata uczonego, gdyż przynosząc chlubę autorowi, jest pewnym z bogaceniem naszej literatury filologicznej.

Kraków d. 16/11 1888 r.

Marcin Sas.

Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy, jego zwyczaje, sposób życia, obrzędy... i t. d., zebrał i napisał Michał Federowski. Tom II. (Bibl. „Wisły” t. 11). Z pomocy Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1889.

W zeszytce styczniowym b. r. podaliśmy ocenę I. t. pracy p. Federowskiego, pod powyżej przytoczonym tytułem wydanej. Obecnie wyszedł tom II-gi, obejmujący drugą część tej monografii dlatego poczuwamy się w obowiązku do uwag podanych przy ocenie tomu I. nawijając jeszcze parę słów o tomie II.

Tom ten na str. 227—434 (paginowanie dalsze t. I), zawiera: g u s ł a , z a m a w i a n i a , p r e s a d y i z a b o b o n y , p r z e-

sądy, wróżby, prawa obyczajowe, zjawiska natury, podania, przysłowia, zagadki i zabawy, na koniec właściwości mowy a w dodatku 14 rozmaitych melodyi na dwu kartkach. Treść, jak widać, obfita, ale bardzo nierówno opracowana. Najlepiej wypadła część pierwsza (gusta, przesady...). Kto wie z doświadczenia na ile trudności napotyka zbieracz właśnie w tym dziale właściwości i pojęć ludu, jak prawie skrycie tylko i na uczynku trzeba chwycać zabobony, wierzenia, a zwłaszcza zamawiania i sposoby leczenia, ten zrozumie, ile starań dołożyć musiał autor, aby tak sporą wiązanek zgromadzić. Podań natomiast jest stosunkowo bardzo niewiele, zwłaszcza, że do nich zaliczył autor i klechdy. Do działu przysłowii zaliczył autor porównania, wykrzykniki, nawoływania, klątwy, i stałe frazesy, dowcipy i naśladowanie w mowie głosów zwierząt. Są to rzeczy nader interesujące i tém większa należy się za nie wdzięczność autorowi, że na nie dotąd prawie wcale nie zwracano uwagi, atoli zdaje nam się, że one prędzej należą do działu właściwości mowy. Dział ten najszerszy zawiera 1) słowniczek prowincjonalizmów, 2) wyrazy cudzoziemskie, 3) właściwości mowy, 4) nazwy rodowe chłopskie i mieszczańskie; 5) Przewiska nadawane inwentarzowi (czemu nie bydłu?) i nazwy gór, skał, łąk i t. p., wszystko w drobnych rozmiarach i z zachowaniem niedokładności miejscowej gwary, którąśmy już przy I. tomie wytknęli. A więc znowu: bacenie zam. bācenie, bis zam. biēs, bijok zam. bijāk, natunisko zam. nātōnisko, odwiecierz zam. odwiecērz i t. p. Błędne pojmowanie mowy przebija się najjaskrawiej z drugiego ustępu, gdzie autor daje dowody zupełnego braku znajomości praw głosowych języka i w ogólności jego życia, twierdząc np., że sz przechodzi w z (słysz!!), że zo przechodzi w ie, że samogł. a zamienia się na o lub (!) e (wionek, dziecięcki), że z opuszczaniem bywa (vivat sequens!) w formach: zbiercie, piermy; że j końcowe przechodzi czasem w k (!!)(dzisiak) a z w j (terraj) i t. p. W ogólności u autora w języku wszystko przechodzi, zamienia się lub opuszczoném bywa!

Po takiej próbie w pierwszych tomikach Biblioteki „Wisły“ nie bezzasadne będzie życzenie, aby szanowna redakcyja „Wisły“ nadsyłane sobie do druku w „Bibliotece“ swęj rękopisy poddawać zechciała krytyce, zwracając autorom uwagę na konieczność pewnego systemu w układzie części opisu i materiału etnograficznego, i na sposób przedstawienia właściwości gwary miejscowej. Takie uwagi gramatyczne, jak powyżej przytoczone, nie powinny bezwarunkowo pojawiać się w druku.

Roman Zawiliński.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólne położenie stosunków międzynarodowych. Usposobienie pokojowe. Wizyta króla Humberta w Berlinie.—Konferencya w sprawie wysp samoanów.—Francya: wystawa paryzka. Anglia: reorganizacya sił morskich;—widoki transakcyi z Irlandyą. Włochy:—opozycya przeciw Niemcom i polityce, opartej na trójprzymierzu; zwrot ku Francyi.—Austria.—Groźne wybryki stronnictw politycznych w Belgradzie serbskim.—Sprawa eksploatacyi Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej w obec najazdu kapitalistów belgijskich i francuzkich.—Z życia naukowego: Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 28-go maja r. b.—Sprawozdanie z dwóch posiedzeń Komisji historii sztuki w Akad. Um. w Krakowie z d. 11 kwietnia i 9-go maja r. b.—Krajoznawstwo: Posiedzenie Wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego we Lwowie dnia 18-go maja.—Z archeologii: Najnowsze wykopaliska w Rzymie.—„Z ekonomiki“: Koszta produkeyi głównych zbóż w Cesarstwie rosyjskiem.

Położenie międzynarodowych stosunków państw europejskich odznaczało się w miesiącu maju pożądanym spokojem, którego nawet agitujący nowiniarze nie zdołali na serjo zakłócić, chociaż dłuższy pobyt króla włoskiego w Berlinie nastęrczał nie mało sposobności do rozmaitego plotkarstwa. W nowej stolicy młodego cesarstwa niemieckiego, wystawiono wprawdzie manifestacyjnie ogromny aparat wojskowy w całej błyszczącej parady; ale butnych pobrzakiwań szablami nie było: oprócz demokratom socyalnym i niepoprawnym „reichsfemdom“ nie grożono nikomu, nawet Fracyi. Prace obradującej w Berlinie konferencyi w sprawie wysp samoanów nie postępują tak szybko i gładko, jak to z początku obiecywano.—Francyą pochłania prawie zupełnie powszechna wystawa międzynarodowa w Paryżu, która jakkolwiek jeszcze nie wykończona we wszystkich szczegółach, cieszy się powodzeniem znakomitęm. Wobec troski o bezpieczeństwo i spokój tego święta pracy i gieniu-

szu ludzkiego nie umilkły wprawdzie, ale przycichły namiętności stronnictw politycznych,—szukając nowych dróg i nowych sposobów zjednoczenia prawdziwych republikanów pod jednym sztandarem Rzeczypospolitej umiarkowanej, troszczącej się więcej o dobro powszechne, aniżeli o zwycięstwo doktryn abstrakcyjnych.

Anglia trzyma się wytrwale na uboczu od wszelkich kombinacji międzynarodowych; ale w przewidywaniu groźnej dla siebie przyszłości zdecydowała się wreszcie na skuteczne zreorganizowanie swojej marynarki wojennej. Gabinet Salisbury'ego, skompromitowany w wysokim stopniu w procesie Times'a z Parnellem, przygotowuje się do pewnej transakcji z Irlandyą na podstawie autonomicznej, nienaruszającej jednak w niczem jednolitości trój-jedynego królestwa.

Włochy, gnębione przez kłopotliwe nader stosunki ekonomiczne, szarpane są przez dwa prądy przeciwne, z których jeden, przypisując terażniejszą biedę wielkiej polityce ministra, bijącego czołem przed arcykapłanem t. zw. ligi pokojowej w Berlinie, pragnie odnowienia nie tylko traktatów handlowych, ale i przyjaźni z Francją; drugi zaś, spojierając na majestatyczny zawsze na całej kuli ziemskiej Watykan, przyklaskuje radośnie czołobitności tak ostentacyjnie przyjmowanej i szanowanej aż poza Alpami. Skutkiem tego nie ma rząd włoski dosyć swobody ani u siebie—ani też na polu polityki międzynarodowej.

Austrią kępują sprawy wewnętrzne i okoliczności zewnętrzne, wynikające z widnokregu ligi pokojowej i półwyspu bałkańskiego, tak, że samodzielnie nie może przedsiębrać nic takiego, coby spokojnemu rozwojowi stosunków międzynarodowych przeszkadzać mogło.

Podobne położenie rzeczy odpowiada także widokom oraz interesom Rosyi, która przy tak pomyślnej sytuacji zewnętrznej, udoskonała swoje finanse i całą ekonomikę państwową.

Wobec takich niewątpliwych warunków trwałego, jakby się zdawać mogło, pokoju, byłby i widnokrąg polityczny zupełnie czysty, gdyby od Wschodu nie nadeiwały znowu czarne chmurki w gwałtownych wybrzykach stronnictw politycznych w Serbii, które siłą wypadków mogłyby zaniepokoić Austrią.

Z pomiędzy interesów, obchodzących bliżej społeczeństwo nasze, które zwracały na siebie uwagę powszechną w tym czasie, zajmowała pierwsze miejsce sprawa eksploatacyi drogi żelaznej Warsz.-Wiedeńskiej.

Roczniki „Biblioteki Warszawskiej“ świadczą o tem, że Redakcyja Biblioteki starała się obznajmić Czytelników swoich z instytucyą tój doniosłości ekonomiczno-społecznej, jaką dzisiaj posiadają drogi żelazne. W r. 1878-ym drukowała Bibl. poważne

studjum swego Członka-Redaktora, p. Antoniego Wrotnowskiego, pod tyt.: „Drogi żelazne w Król. Polskiem. Równowaga między interesem towarzystw prywatnych, a interesem ogółu.“ Zesz. na m. maj (str. 301—311), czerwiec (str. 406—418), lipiec (str. 61—102) i sierpień (str. 216—243), w roku zaś 1879-ym rozprawę p. Jana Blocha pod tyt.: „Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rosyji.“ Zesz. na miesiąc styczeń (str. 37—58) i luty (str. 263—286).—Miesięcznik nie może mieszać się do zapalczywój walki antagonistów ścierających się z sobą interesów w chwili Zebrania walnego; to zadanie spełniła prasa codzienna jak najwszechstronniej ze stanowiska interesów instytucyi, którój roztropnie zabezpieczony rozwój odpowiada nalepij godziwym korzyściom akcyonaryuszów. W tej myśli sprawowała też Rada zarządzająca wysokie swoje zadanie, jak o tém świadczy przemówienie b. Prezesa Rady Zarządzającej, p. Leopolda Kronenberga, które przytaczamy w dosłowném brzmieniu, jako ważny dokument rozumu obywatelskiego przegłosowanych przez cudzoziemców Członków krajowych Rady Zarządzającej.

P. Leopold Kronenberg przedstawił w dniu 25 maja na walnym Posiedzeniu akcyonaryuszów D. Z. W. W. w tych słowach obraz dotychczasowój działalności Rady Zarządzającej:

„Jak panom wiadomo, w d. 11 marca roku bież. ś. p. Generał Feichtner, Prezes dróg naszych, zakończył życie.

„Ze względu na ćwierć-wiekową, gorliwą i pożyteczną działalność zmarłego dla naszej instytucyi, wnoszę, abyśmy żal swój po stracie takiego przewodnika i cześć dla jego zasług wyrazili tutaj przez powstanie.

Przy tym hołdzie, oddanym pamięci zmarłego, uważam za swój obowiązek rzucić wstecz okiem na cały ten długi okres czasu, w którym ś. p. Generał Feichtner, jako Prezes Rad Zarządzających, przewodniczył naszej instytucyi, nie będzie bowiem bez pożytku uprzytomnić sobie, w jaki sposób Rada Zarządzająca spełniała w tym czasie włożone na nią obowiązki i jakie z pracy swój osiągnąć zdołała rezultaty.

Rada Zarządzająca uważała za swój obowiązek przedewszystkiém pamiętać o tém, aby stan drogi i zasobność przewozowych jój środków licowała z ewentualnym rozwojem instytucyi i czyniła zadość ciągle zwiększającym się potrzebom ruchu. Wydatki na eksploatacyę, jak wiadomo panom, rozpadają się na rzeczowe i osobowe.

Pierwsza kategoria zależy przedewszystkiém od większych lub mniejszych w danym roku potrzeb samej linii, budynków, taboru i ruchu, oraz od ceny niezbędnych przy eksploatacyi drogi przedmiotów i materyałów.

W ostatnich latach wydatki rzeczowe zmniejszyły się znacznie, dzięki tańszym cenom wielu dostaw, a zwłaszcza węgla, który naby-

to po cenie bardzo niskiej. Za to przedmioty sprowadzane z zagranicy, z powodu cła wysokiego i upadku naszej waluty, kosztowały o wiele drożej.

Niepodobna jednak nie zaznaczyć, że pewną część osiągniętych na etacie rzeczowym oszczędności równoważą rozchody nadzwyczajne, które w ostatnich czasach wzrosły dość znacznie, jak np. marki stemplowe do duplikatów listów frachtowych, wynoszące na r. b. 50,000 rs. itp.

Wydatki na utrzymanie służby wzrosnąć musiały z powodu zwiększenia się ruchu, konieczności lepszego uposażenia służby i wreszcie z przyczyn czysto miejscowych.

Rozważmy bliżej te trzy punkty:

W miarę potęgowania się ruchu, musiała przedewszystkiemu uleść zwiększeniu służba zewnętrzna, tak ze względu na potrzeby drogi, jak i na rozporządzenia władzy. Liczba dróżników, maszynistów i konduktorów odpowiadać musi normie, przez ministerjum ustanowionej, która określiła nawet godziny pracy.

Redukcya etatu osobowego w tej gałęzi służby byłaby w niezgodności z rozporządzeniami ministerjalnymi i niemożliwą ze względu na bezpieczeństwo ruchu. Służba ekspedycyjna, przy wielkim ruchu w latach ostatnich, tylko z wysiłkiem sprostać może swym obowiązkom.

Co się tyczy służby wewnętrznej, to ta, jakkolwiek z natury rzeczy musiała być także zwiększona, przy ciągłym rozwoju instytucji, zwiększenie to jednak z tej przyczyny jest stosunkowo nieznaczne. Trzy tylko wydziały uległy znacznemu rozszerzeniu: kontrola II, z powodu wprowadzenia kontroli dochodów codziennych w miejsce miesięcznych, zgodnie z systemem istniejącym na drogach żelaznych w Cesarstwie; wydział gospodarczy, przy którym utworzony został wydział kontroli materyałów i służba sanitarna, stosownie do rozporządzeń władzy. Prócz tego w ostatnich czasach wymagania władz rządowych, co do składania raportów, wykazów i sprawozdań, niezmiernie wzrosły.

Wreszcie, ze względu na coraz cięższe warunki życia i drożyznę, rada zarządzająca uważała za swój moralny obowiązek, zwłaszcza przy wzrastających dochodach drogi, stopniowo podwyższać bardzo niskie etaty całej służby.

Jakkolwiek ustawa Towarzystwa określiła minimum funduszu zasobowego w wysokości 500,000 rs., to jednak nikt nie zaprzeczy, że suma ta w stosunku do wielkości przedsiębiorstwa jest prawie nieznaczącą. Dosyćby było jednej większej klęski, aby kapitał ten okazał się niewystarczającym. Owo zastrzeżone w ustawie minimum funduszu zasobowego było unormowane wówczas, gdy kapitał zakładowy wynosił 10 milionów rs., obecnie zaś wynosi on 12,500,000, a długu w obligacjach mamy z górą dwa razy tyle. To też nowsze ustawy dróg ruskich mają w tym względzie zupełnie inne wymaga-

nia, przy których droga nasza musiałaby mieć kapitał zasobowy, wynoszący około sześciu milionów rubli.

Z poważnych względów Rada Zarządzająca uważała za rzecz konieczną, nie tylko wzmocnić nasz fundusz zasobowy, lecz także utworzyć rezerwę nadzwyczajną, która też wynosi już dzisiaj rs. 727,844 kop. 68 $\frac{1}{2}$, stanowiąc poważne źródło do zaspokojenia wyjątkowych potrzeb przedsiębiorstwa.

Wreszcie, w przewidywaniu coraz większego rozwoju drogi, co też i nastąpiło, Rada Zarządzająca, uważając za swój najpierwszy obowiązek odpowiednio przygotować drogę, oraz zabezpieczyć środki jej przewozowe, odłożyła w tym celu od r. 1870, t. j. w przeciągu lat 18, z czystych zysków poważną sumę rs. 7,796,660 kop. 31 $\frac{1}{2}$

Z sumy tej, oprócz wytworzenia rezerwy nadzwyczajnej, od r. 1879, wydano:

Na parowozy i wagony nowe	rs. 2,190,000
Na renowacyą taboru . . . „	1,400,000
Odłożono na parowozy . . . „	332,435

razem rs. 3,922,435

Oprócz tego wydano:

Na zakup gruntu pod rozszerzenie stacyi i pod domki na linii	rs. 26,000
Na rekonstrukcyą drogi i rozszerzenie linii stacyjnych	„ 1,400,000
Na rekonstrukcyą motorów	„ 168,000
Na magazyny, domy mieszkalne i inne budynki	„ 700,000

razem rs. 2,249,000

Resztę funduszu odłożonego z czystych zysków, przeznaczono na roboty drobniejsze, bądź wykonane już, bądź też mające się wykonać w czasie najbliższym.

Jak dalece Zgromadzenia ogólne, w uznaniu motywów Rady dbającej o przyszłość instytucyi, oględnie były przy dysponowaniu czystym zyskiem, świadczy między innymi najwymowniej r. 1883, w którym pomimo zysków w sumie 2,251,541, najwyższej, jaką dotychczas na drodze naszej otrzymaliśmy, wyznaczoną została dywidenda tylko 6 rs., resztę zaś w sumie rs. 1,302,400 odłożono na zaspokojenie potrzeb naglących naszej drogi.

Dzięki właśnie takiej przezorności, Rada Zarządzająca mogła w latach następnych projektować bez krzywdy dla instytucyi, dywidendy: 7,50—8—9—9, a, dziś wystąpi z wnioskiem udzielenia rs. 13 na akcyę. Gdyby Zgromadzenia ogólne w latach poprzednich oddawały były cały zysk czysty do podziału między akcyonaryuszów, Zarząd, przy zupełnej niedostateczności środków przewozowych i niezaspokojeniu najpilniejszych potrzeb samej drogi, nie mógłby był żadną miarą sprostać ruchowi lat ostatnich i uniemożliwić dzisiaj wyznaczenie wyższej dywidendy.

A teraz przejdźmy do rezultatów eksploatacji roku sprawozdawczego.

Przedstawiają się one bardzo korzystnie. Dochód brutto wzrósł do cyfry dotychczas najwyższej rs. 9,563,765 kop. 72, w porównaniu więc z rokiem poprzedzającym zwiększył się o rs. 736,385 kop. 10¹/₂.

Na tę przewyżkę składa się dochód większy: z przewozu osób o rs. 63,287 k. 38¹/₂, z przewozu towarów o rs. 457,282 kop. 35 i z różnych źródeł rs. 215,815 kop. 37.

Co do ruchu osobowego, to ten zwiększył się we wszystkich klasach, najsilniej jednak w klasie III, która w porównaniu z r. 1887 dała przewyżkę rs. 35,602.

W ruchu towarowym wzmógł się najbardziej przewóz węgla, który dosięgnął niebywałej dotąd cyfry 101,384,987 pudów i dał przewyżkę dochodu 379,227 rs., tak, że przewóz wszystkich innych przedmiotów dał zwiększenie dochodu zaledwie o rs. 78,055. Jeżeli bowiem zwiększył się znacznie przewóz drzewa budowlanego, wapna, wyrobów żelaznych i żelaza, oleju mineralnego, nasion: jęczmienia, pszenicy, kaszy, grochu, owoców i t. p., to z drugiej strony uległ znacznemu zmniejszeniu przewóz żyta, cementu, soli, cukru, rud metalicznych, drzewa na opał, piwa, spirytusu i t. p.

Rozchód na eksploatację, pomimo tak znacznie zwiększonych dochodów brutto, wynosi sumę rs. 5,926,022 kop. 49, mniejszą o rs. 11,709 kop. 21¹/₂ od rozchodów r. 1887.

Tym sposobem przewyżka dochodów nad rozchodami wynosi sumę rs. 4,637,734, a po zaspokojeniu ciężarów obowiązkowych, jak renty, procentów, umorzenia akcyj i obligacyj, dochód czysty przedstawia się w sumie rs. 2,097,993 kop. 61.

Jak widzimy, rezultat eksploatacji za rok 1888 przedstawia się bardzo dodatnio, ale zasługi w tym względzie ani Rada cała, ani żaden z jej członków w szczególności przypisać sobie nie może. Większy dochód jest tylko wynikiem większego ruchu i tej rozumnej oględności akcyonaryuszów w dawnych latach, która się z potrzebami drogi liczyć umiała. Rada Zarządzająca rości tylko prawo do tej jedynie zasługi, którą i nadal utrzymać pragnie, że przestrzegając administracji racjonalnej, uwzględniającej zarówno interes Towarzystwa, jak dobro kraju, t. j. wszelkimi siłami starała się o to, aby nie tylko dzisiejsi akcyonaryusze mieli stosowne dywidendy, lecz aby one nie były wydzielane z uszczerbkiem solidarności i przyszłości przedsiębiorstwa. A cel ten osiągnąć można tylko przez coroczne wzbogacenie rezerw, które w wypadkach nadzwyczajnych mają być dla Towarzystwa źródłem ratunku, oraz przez utworzenie odpowiedniego funduszu renowacyjnego, dokonywane według planu racjonalnie obmyślanego. Tylko przy takiem gospodarstwie utrzymać można i nadal drogę naszą w stanie tak świetnym, jak obecnie, t. j. w stanie, czyniącym ją zdolną do sprostania

bardzo znacznym potrzebom zarówno przemysłu i handlu krajowego, jako też i wymaganiom władzy.

To właśnie gospodarstwo przewidujące, tradycyjnie na drodze naszej przestrzegane, pragniemy widzieć i w przyszłości, nie wątpiąc, iż ogół akcyonaryuszów stałych i poważnych, t. j. ludzi mających dobro Towarzystwa na widoku, uzna za słuszny ten kierunek działania Rady Zarządzającej.

Wreszcie pozwolimy sobie zwrócić przyjazną uwagę panów na ważną kwestyą emerytalną, która za chwilę będzie zgromadzeniu ogólnemu przedstawiona.

Urzednicy drogi żelaznej, ufni w trwałość kasy emerytalnej, zgodnie z umową nadzwyczajną założonej, przez długie lata wnosili do niej składki obowiązkowe. Wobec ewentualnej likwidacyi tej kasy, cały zastęp biednych urzędników, emerytów i ich sierot, byłby pozbawiony środków utrzymania, gdyby wyjątkowo dla urzędników naszych uwzględnienie przez władzę nie były dozwolone. Dla tego Rada Zarządzająca uważała za pow i n n o ś ć swoją wystąpić do zgromadzenia ogólnego z wnioskiem odpowiednim, którego przyjęcie przez Towarzystwo będzie tylko najprostszym aktem sprawiedliwości. Towarzystwo tak poważne i tak zamożne, jak nasze, ma obowiązek zabezpieczyć przyszłość swych urzędników, którzy stawili życie na jego usługach“.

Doroczne publiczne posiedzenie akademii umięjętności w Krakowie odbyło się dnia 29-go maja r. b. Uroczystość tę zagaił wobec licznie bardzo zebranej publiczności namiestnik, hr. Kuzimierz Badeni, mową, w której oddał cześć zmarłym Członkom Akademii oraz ceniom zastępcy jej protektora ś. p. Alfreda Potockiego. Prezes akademii, dr. Józef Majer, w odpowiedzi na to zwrócił uwagę na doniosłą stratę, jaką poniosła instytucya przez zgon Alfreda hr. Potockiego, zastępcy protektora Akademii. Jeneralny sekretarz Akademii Stanisław hr. Tarnowski, w odczytanem sprawozdaniu poświęcił słowa pamięci zmarłym w ubiegłym roku członkom dr. Alfredowi Biesiadeckiemu, Wawrzyńcowi Żmurce, Ignacemu Domejce, ks. Polkowskiemu, dr. Wiktorowi Kopffowi i dr. Jonatowi Warszauerowi. Ze spraw ogólniejszego znaczenia zasługuje na zaznaczenie powołana w sprawozdaniu kwestya ujednostajnienia pisowni polskiej, czego nawet w ostatnich czasach domagał się minister oświaty w Austrii, dr. Gautsch. W sprawie tej objaśnił na razie hr. Tarnowski, iż pisownia, przez Akademią używana, nie została uznana za tak dobrą, aby ją bez wahania do powszechnego użytku polecić można było. W kwestyi tej gorliwie pracują powołani do tego członkowie Akademii i profesorowie uniwersytetu krakowskiego.

Na wydawnictwo dzieł starych pisarzy polskich, których cenne prace wcale dotąd drukowane nie były lub wyczerpane zostały, uchwa-

lila Akademia zapomogę w kwocie 1,500 zlr. Na wydawnictwo zaś dzieł naukowych, dostępnych dla ogółu ludzi wykształconych, przyznano zapomogę w kwocie 1.800 zlr. Z funduszu tego wyjść ma w najbliższym czasie „Geografia handlowa“ i „Historya filozofii greckiej.“

Ks. Pawlicki wygłosił na tém posiedzeniu barwny odczyt p. t.: „Filozofia na dworze Medyceuszów.“ Jako kandydatów na członków Akademii przedstawiono: Adama Kryńskiego z Warszawy, na członka korespondenta wydziału I-go filologicznego; Alberta Sorel, sekretarza senatu w Paryżu, na członka czynnego zagranicznego i dr. Anatola Lewickiego, prof. uniwers. w Krakowie, na członka korespondenta wydz. II-go historyczno-filozoficznego; dalej dr. Henryka Kadyj, prof. szkoły weterynaryi we Lwowie, i d-ra Augusta Witkowskiego, prof. uniwersytetu w Krakowie, na członków korespondentów wydziału III-go matematyczno-przyrodniczego. Na posiedzeniu odczytano także nagrody, przyznane z funduszków konkursowych imienia Lindego i Hoffmana. Nagrody z konkursu imienia Lindego drugie (gdyż pierwszej nikt nie otrzymał) przyznane zostały p. Stefanowi Ramultowi ze Lwowa za słownik narzecza kaszubskiego i p. Cieniale ze Szlązka (Cieszyn) za słownik dyalektyczny wyrazów, używanych na Szlązku austriackim. Obie nagrody wynoszą po 375 zlr. Nagrodę z funduszu imienia Heyzmana otrzymał dr. Feliks Koneczny z Krakowa.

Dnia 11 kwietnia odbyło się w Akademii Umiejętności w Krakowie posiedzenie Komisji hist. sztuki, na którém przewodniczący prof. Łuszczkiewicz przedłożył wydany świeżo zeszyt II-gi tomu IV Sprawozdań. Kom. hist. sztuki, obejmujący prace: p. Wierzbickiego „Bóznica w Jablonowie;“ p. Lepszego „Andrzej Mastela“ złotnik krak. w: XVI, tudzież Emalierstwo krakowskie w XVI i XVII w“ p. Piekosińskiego „Inwentarze skarbcia kościoła Najśw. Panny Maryi w Krakowie z XV w.“ p. J. Korzeniowskiego „Wyprawa królowej Katarzyny austriacki z r. 1553“ i p. St. Tomkowicza „Sprawozdania z posiedzeń komisji.“ — Prof. M. Sokołowski okazał nadestane przez p. Kallenbacha 4 umyślnie dla Akademii zrobione fotografie z miniatur modlitewnika Zygmunta I, przechowywanego w British Muzeum. — P. Winc. Juliusz Wdowiszewski odczytał i złożył do użytku Komisji wypisy, poczynione częścią z ksiąg miejskich krak., częścią z ksiąg cechu murarskiego krak., a odnoszące się do niewspomnianych przez dotychczasowych badaczy nazwisk i dat z życia murarzy i kamieniarzy i budowniczych Niemców i Włochów, działających w Krakowie w XV, XVI i XVII wieku. Prof. Łuszczkiewicz złożył do zamierzonego przez Komisją, zbioru rysunki, dokonane przez p. Wyspiańskiego, z kilku celniejszych pomników grobowych z XVI w., znajdujących się w Opoczyńskim i Kielcach. Dalej podał p. Łuszczkiewicz kilka nowych przyczynków do wiadomości o rzeźbiarzu Giovanim Maria zw. Padovano i przypomniał potrzebę

wystarania się o odpisy dokumentów do biografii Jana Bapt. de Quadro Lugano (w archiwum miejskiem poznańskim), Bernadina de Gianottis zw. także Zanobii (w archiwum kapitułn. wileńskim), tudzież wywiedzenia się w zbiorach węgierskich, czy nie znajdują się tam zapiski rzucające światło na włoskich rzeźbiarzy, pracujących w Polsce w początkach XVI w., którzy częścią przez Węgry do nas przybywali, częścią ztamtąd sprowadzali sobie pomocników i materiały. P. Leonard Lepszy wreszcie czytał pracę swoją o inkrustacyi w metalach, która to technika w Polsce zdaniem jego wcześniój pojawia się niż na zachodzie i wniesioną do nas być miała ze Wschodu przez pośrednictwo ormiańskich robotników.

Dnia 9-go maja odbyło się drugie posiedzenie téjże komisji, na którym p. Leonard Lepszy zdał sprawę z oględzin naoicznych klejnotu jakoby wykopanego w Płocku, o którym relacya nadesłana komisji czytana była na jedném z dawniejszych posiedzeń. Argumenta techniczne przemawiają za tém, że przedmiot jest w głównej części fałszerstwem nowożytném. Prof. M. Sokołowski, który go téż oglądał, obstawał jednak za tém, że są niektóre części, które stylowo mogłyby być z XV w.—P. Lepszy złożył podobizny zebranych wspólnie z p. Tomkowiczem znaków kamieniarskich z XIV w., odkrytych przy obecnej restauracyi kościoła N. Panny Maryi w Krakowie. Postanowiono umieszczać takie szczegóły w sprawozdaniach kom. jako przyczynki do historii średniowiecznego kamieniarstwa i budownictwa w Polsce, a ponieważ kilka osób w Krakowie ma posiadać zbiory takich znaków z innych gmachów, przeto rozpoczną się rokowania o ich uzyskanie. P. Bartynowski zakomunikował przyczynkę do sprawy narodowości Daniela Chodowieckiego, gdańszczanina i sławnego szycharza z końca XVIII w. Wbrew dowodzeniom niemców, Bandtke wspomina o liście jego dowodzącym niezbiście pochodzenia polskiego. Niewiadomo było, gdzie się znajduje oryginał listu. Teraz odnalazł go p. Bartynowski w bibliotece Jagiell. Zawiera on genealogią czysto polską Chodowieckich od początku XVII w., dobitny protest artysty przeciw uważaniu go za Niemca. List ten w podobiznie wejdzie do sprawozdań komisji.

Prof. Łuszczkiewicz, przedstawiając rysunki kamieni rzeźbiorych renesansowych, znalezionych na Woli w pałacu i w zamku król. na Waweli, tudzież głów w sali poselskiej na zamku, zapowiedział obszerny komunikat o działalności Włochów artystów w Polsce. Przytoczył też datę z kodeksu Chigiańskiego, ogłoszonego w Monumenta Poloniae hist. na dowód, że dzisiejsza kaplica ś. Jacka u Dominikanów w Krakowie jest budowaną w r. 1581, a poprzednią, poświęcaną przez Gamrata, w r. 1545 niewątpliwie zbudowaną została. Dobry renesans trwa u nas dłużej niż na zachodzie, widocznie tradycye z początków XVI w. były w rodach kamieniarzy przechowywane. Grób błogosł. Kazimierczyka u Bożego Ciała z r. 1639 jest jeszcze w dobrym renesansie.

Towarzystwo tatrzańskie. Dnia 18 maja odbyło się posiedzenie wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego. na którym załatwiono następujące sprawy: 1) Wniosek wiceprezesa dr. Markiewicza względem zaciągnięcia 3^o/_o amortyzacyjnej pożyczki w sumie 10—20 tysięcy złr. na wybudowanie domu gościnnego przy Morskiem Oku, na budowę drogi do Morskiego Oka i na wykupno także położonej hali. Przekazano wybraną w tym celu komisji z poleceniem, aby w najkrótszym czasie przedłożyła swoje sprawozdanie. 2) Na wniosek prof. Swierza uchwalono wysłać deputacją do hr. Władysława Zamoyskiego, aby mu złożył podziękowanie za nabycie Zakopanego, a na wniosek dr. Markiewicza postanowiono, na pamiątkę wydobycia Zakopanego z rąk obcych, wystawić kaplicę przy Morskiem Oku, na który to cel Towarzystwo Tatrzańskie przyjmuje dobrowolne ofiary. 3) Uchwalono złożyć podziękowanie p. Uznańskiemu za zezwolenie wybudowania altany nad potokiem „Sucha Woda“ i postanowiono przystąpić do budowy drogi jezdnej od Jaszczurówki przez Waksmundzką na Roztokę i uprosić Wydział krajowy o polecenie inżynierowi swemu, bawiącemu obecnie w Zakopanem, przeprowadzenia trasy tej drogi. 4) Uchwalono odnieść się do gminy zakopiańskiej z wezwaniem, aby się starała poprzeć chwalebne usiłowania p. Uznańskiego względem skrócenia drogi z Zakopanego do Jaszczurówki. 5) Przyjęto do grona Towarzystwa 53 członków. 6) Tegoroczne roboty w Tatrach poruczono panu Eliaszowi.

Najnowsze wykopaliska w Rzymie. Długie sprawozdanie senatora Fiorelli'ego, dyrektora archeologicznych poszukiwań i wykopalisk, podane Akademii ostrowidzów („Lincei“), zawiera oprócz długiego spisu odkryć, jakie w tym roku nastąpiły w rozlicznych częściach Włoch, wyszczególnienie tych, które wykopano w samym Rzymie i w jego okolicach. I tak: w bliskości grobu Scypionów na początku ulicy Appia, znalazły się różne szczątki żalobnych napisów i naczyń, należące do początku cesarstwa rzymskiego. Inne ułamki lapidarnych na marmurze napisów, wyszły na jaw w robotach rozpoczętych koło willi Casali na pagórku Celiuszowym; inne znowu w robotach na ulicy Cavour'a, inne zaś jeszcze w sąsiedztwie „Castrum Praetorium“, przy ulicy dei Falegnani (stolarzy), na Lungarecie, i t. d. Na szczególną uwagę zasługują trzy marmurowe ułamki z niewielu głoskami, odgrzebane na przestrzeni dawnego Forum Augusta. W napisie tym poznano pochwałę dla Appiusza Klaudyusza Ślepego, której odpis, istniejący w Arezzo, dostarczył sposobności przywrócenia pomienionego napisu z zupełną dokładnością. Przy ulicy Laurentina odkryto liczne groby, częścią w piaskowcu wyciosane. Wiele ważnych pamiątek znaleziono w Ostii, gdzie dalej prowadzą w tej chwili od dawna rozpoczęte roboty archeologiczne.

— Departament rolnictwa przy ministeryum spraw wewnętrznych rozesał w roku zeszłym do swych korespondentów szematy dla wypełnienia ich cyframi kosztów produkcyi zboża i oznaczenia szczegółowego cen, po jakich głównejsze zboża wypadają rolnikom. Szematów powyższych nie doręczono ziemianom Królestwa Polskiego i kraju północno-zachodniego, chociaż pierwsze pod względem kultury i umiejętności eksploatacyi rolnéj stoi na pierwszém miejscu w państwie i z pewnością najciekawszych dokumentów dostarczyłoby mogło. Jeśli tedy podajemy statystykę produkcyi rolnéj gubernii Cesarstwa, robimy to w tym celu, by zainteresowani mogli mieć wzór, w jaki sposób obliczenia się te prowadzą, jakie niekiedy wypadają różnice w strefach rolniczych, kulturą, klimatem i warunkami ekonomicznymi dosyć do siebie zbliżonych, i by wzory te służyć mogły dla tutejszych ziemian, których większość na tak pożądanym materyału nie zwraca uwagi, chociaż on tylko może dać pewniejsze odpowiedzi przy ocenie popłatności produkcyi gospodarstw zbożowych. Zob. tabl. I.

Przeglądając powyższe cyfry spotykamy się z bardzo ciekawemi różnicami w dochodowości gospodarstw, chociaż należy wziąć pod uwagę, że cyfry szematów powyższych odnoszą się do pewnej ilości gospodarstw danéj gubernii i do całej gubernii stosować się nie dadzą. Nakoniec, nie należy zapominać, że wykazując do pewnego stopnia dochodowość uprawy różnych zbóż, powyżej zebrane materyały nie pozwalają wyprowadzać wniosków o dochodach całego gospodarstwa. Rzecz w tem, że ubytki w gospodarstwie połowém wynikiem, mogą być pokryte z przewyżką dochodami z łąk, hodowli i t. p. tak samo jak nadwyżkę z produkcyi zbóż mogą pochłonąć niedobory innych gałęzi gospodarstwa. To też, podając szematy zebrane przez Departament rolnictwa, widzimy w nich obraz jednéj tylko produkcyi rolniczéj, ale nie jéj całości. Chcąc wydać zdanie o dochodowości gospodarstwa w ogóle, trzeba by mieć szczegółowe wiadomości nietylko o produkcyi zbóż, lecz o wszystkich gałęziach gospodarstwa w danym majątku istniejących. Zebranie takich wiadomości u nas, na razie jest rzeczą bardzo trudną, bo mało mam majątków, w którychby rachunkowość rolnicza dobrze była prowadzona.

Prócz powyższéj statystyki Departament rolnictwa ogłosił przeciętne ceny zboża za czterolecie 1885—1888, oraz ceny inwentarza żywego od 1882 do 1888 włącznie. Tu mamy włączone Królestwo Polskie i gubernie północno-zachodnie, że zaś fluktyuacya tych cen nie jest pozbawiona interesu, podajemy ją na tabl. II.

Ceny inwentarza w większej części państwa rosyjskiego, podniosły się w 1888 r. Fakt ten dodatni świadczy o poprawie położenia ekonomicznego ludności wiejskiéj, która w ostatnich dwóch latach utrzymywała się z hodowli, czemu sprzyjały bardzo dobre urodzaje zbóż i traw. W ogóle w porównaniu z 1887 r. ceny podniosły się głównie w Kr. Polskiem, w gub. zachodnich i nadbałtyckich, zwłaszcza co do koni, bydła i trzody chlewnéj.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Pamiętnik Golliusza, Mieszczanina z Zamościa. (1650—1653). Doktor Kaulbach, docent przy uniwersytecie Jagiellońskim, wysłany do Londynu, w celu poszukiwania dawnych zabytków polskich, odkrył między innymi w British muzeum, wielki wolumin z XVII wieku, pisany w języku polskim. Jest to *Silva Rerum mieszczanina z Zamościa, Jana Golliusza lub Golli*. Rękopis ten zawiera najrozmaitsze przedmioty: wyjątki z ksiąg prawnych i historycznych, formularze przygotowanych listów, drobne paszkwile, satyry i t. p. Z tych dorywczych zapisków, największą wagę ma Pamiętnik Golliusza, obejmujący lat trzy, od 1650 do 1653 roku. Można go śmiało postawić obok pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z tą różnicą, że Pasek, krąży w kole szlachecko-rycerskiem, jako jeden z czynnych jego członków, gdy tymczasem skromny Golliusz, nie wybiega po za obręb cichego życia mieszczan naszych XVII wieku. Opisuje on podróż swoją do Lipska i pobyt na uniwersytecie, a następnie powrót do Zamościa i wycieczkę do Lwowa. Dalsze urywkowe notaty pokazują, że w roku 1665, przeniósł się do Kiejdan, gdzie pojął w małżeństwo Katarzynę Budzewiczównę. Przytaczamy tu charakterystyczny ustęp z Pamiętnika Golliusza, z wiernem zachowaniem jego pisowni.

Urywki z pamiętnika Golliusza: „Annus 1650. Naprzód tedy, pod czas przypadku tego, gdy Niemiec ieden Balwirczyk Nieboszczyka Wolskiego, powadziwszy się z nim w domu Burysowey na rogu, przy gorzałce, sztychem z światła tego zgładził, będąc w Ratuszu na dekrecie *excutorio illius homicidae*, wdziałem się z P. Hasem, który inter colloquendum powiedział mi tysz o wyiezdzie swem do Lipska.., co ia gdy P. Mateo w domu oznaymił, ona ultro domagała się tego y starała, abym zaraz przy teyże occasiey

z nim do Niemiec wyjechał. Jam tysz nie od tego był, słuchając y woli rodzicielskiej i nimając tysz tu tak dalece czym się bawić, gdysz studia pod ten czas admodum frigeabant, z onym wyprawilem się zaraz w drogę z Zamościa iakoś Prima Septembris.

W drodze tey bardzo wielkich musiałem zażyć od tego nieuważnego człowieka y prawie ingrato cuculo discommodathey, niedosyć abowiem, iże serviliter ze mną sobie poczynając, któremum wszystko musiał wysługować gorzey chłopia, naostatek kazał mi ieszcze sobie y forysować, gdzie dopiero poczuł wielki trud y bidę.

(Z pobytu w Lipsku) „In Paulino Collegio, w którym y kościół iest, zaraz przy kościele Carcer Studiosorum, który bardzo straszny iest y boją się go barzo studęci, częścią, iże tusz prawie może z niego wszystko w kościele widzić, częścią iże lemures y inne terriçalamenta nocne zwykły się tam pokazywać, a do tego ex relatione aliorum iakom słyszał, że in hoc carcere studentowi iednemu diabeł szyie urwał y do kościoła wyrzucił z iego xięgami y poduszkami, które ia sam będąc w tym kościele raz przy kącie na ustroiniu leżące widziałem. A ten Carcer iest troiaki...; którego jednak ia żadnego z łaski Bożey nie próbowałem ani nawidzałem, ale alii dosyć.”

(Z pobytu we Lwowie) „29 Mai (1653) kłaniając się od iedney Panny z Brodów imieniem Panny Zofey, znajomość wziąłem z Panią Fabianową, złotniczką, ktorey za opowiedzeniem mnie, czyichem Rodziców, przyjemnym gościem byłem. Albowiem ona znała tak nieboszczyka Rodzica, iako y nieboszczkę matkę moię, chwając y pięknie wspominając ich sobie, iak dobrzy y nieżałujący sztuki chleba ludziom byli. Których ludzkości przecie ona niedoszła była, mnie ani biedną szklanką na przywitanie nie poczęstowawszy, albo na sztukę chleba nie prosząc, quod tum fecit, ut mulier nimis avara.

10. Octobris. Dnia dziesiątego obchodzą pamiątkę zwycięstwa nad Otomanem, Cysarzem Tureckim, który z tąd 32 lat ze wszystką potęgą swoją (rachowano go na siedm kroć sto tysięcy) wyszedł na Obóz y Koronę Polską, którego na Cztyrdziesięci Tysięcy nie było. Chodzą tedy z processią, dziękując Panu Bogu, że z mocy tak srogięgo nieprzyziaciola małą garstkę ludu wybawić y Koronę Polską w cale zachować raczył.”

S. D.

Senator włoski, hr. Tullio Masaroni, upoważniony przez senatora ś. p. Cezara Correnti'ego do pośmiertnego wydania pism jego i p. Wł. Kulczycki, przyjaciel nieboszczyka, wezwania przez wdowę, przegładali pozostawioną przez nieboszczyka historię polską. Pokazało się tedy, że wiadomości o dokonaniu pierwszego, a nawet drugiego

go i trzeciego tomu zapowiadanego z takim uniesieniem dzieła nie miały żadnej podstawy. Tylko tom pierwszy jest skończony: jest to rys historii polskiej od Piasta, aż do pierwszego rozbioru, obejmujący 200 stronic pisma. Potem następują rozległe bardzo przypiski. Dalszych zaś tomów, które miały obejmować filozofią dziejów, historią ustawodawstwa, piśmiennictwa, umiejętności, sztuki itd., znajduje się tylko szkielec, to jest są stopy notatek i streszczonych myśli ś. p. Correnti'ego, tudzież wyciągów z dzieł polskich, łacińskich i zagranicznych. Są tam całe tomy przekładów z polskiego, dokonane dla autora przez Kulczyckiego i p. Malwinę Ogonowską. Niektóre z nich, jak dzieło marszałka Moltkego o Polsce, przerobione po polsku pod jego okiem przez Gustawa Karpelesa, a przełożone na włoski p. Kulczyckiego, opatrzone są na każdej stronicy przypiskami włoskiego męża stanu. Są to tylko jednak materiały, do których dodać należy całą bibliotekę najrzadszych rękopisów i dokumentów o Polsce, w części nieznanych, które ś. p. Correnti kazał przepisywać we wszystkich archiwach półwyspu i które cały pokój napełniają. Senator Massarani radził, aby pani Correnti wszystkie te wiązki notatek nieboszczyka odesłała do Krakowa, ale pani Correnti oświadczyła, że wszystkie rękopisy nieboszczyka u siebie zachowa, albowiem są własnością jedynego ich dziecięcia, osiemnastoletniej panny Adelaidy Correnti.

W bibliotece miejskiej w Bolonii stała oddawna nawpół zjedzona przez robaki szafa, pełna zakurzonych papierów. Nowy bibliotekarz Tartarini przeszukawszy ją uważnie odkrył rękopis dzieła Galwaniego, poświęcony elektryczności.

Księgarnia nakładowa H. Olawskiego rozpoczęła pod tytułem: „Siły przyrody“ wydawać zeszytami dzieło A. Guillemina „Le monde physique“, w opracowaniu polskiem pp. Józefowej Nussbaumowej, bakalaureatki nauk przyrodniczych, oraz p. Henryka Silbersteina, b. asystenta chemii przy uniwersytecie w Bernie. Dzieło Guillemina, będące popularnym wykładem najważniejszych zjawisk fizycznych, doczekało się w krótkim czasie kilku wydań francuskich, oraz przekładu na język niemiecki. Przekład polski jest staranny, a wydawnictwo okazałe. „Siły przyrody“ wychodzić będą zeszytami, w dwutygodniowych odstępach czasu, w cenie po 20 kop. za zeszyt. Całe dzieło zamkniętem zostanie w 30-tu zeszytach, a ozdobione będzie 600 drzeworytami i 20-ma tablicami chromolitograficznymi. Dotychczas opuściły prasę trzy zeszyty, zalecające się korzystnie tak co do samego wykładu, jako i co do formy zewnętrznej.

Jako osobna odbitka z „Gazety Lekarskiej“, ukazała się broszurka p. t. „Uwagi nad ustawą szpitalną dla Królestwa Polskiego z 1842 roku“, skreślona przez Józefa Tchórznickiego, lekarza szpita-

la w Sterdyni, (Warszawa, 1889). Autor, opierając się na okólniku departamentu medycznego przy ministeryum spraw wewnętrznych, rozesyłanym w celu wysłuchania zdań lekarzy: o ile wyżej wspomniana ustawa odpowiada obecnym warunkom i wymaganiom nauki, przedstawia tu swoje uwagi i wnioski. Przy każdym pojedynczym paragrafie powyższej ustawy, notuje jakim zmianom niektóre paragrafy uleść winny i wskazuje odpowiednie motywy. W konkluzji swojej pracy powiada dr. Tchórznicki, że w ogóle powinna być przyjęta następująca główna zasada: „Całkowity zarząd szpitali ma być zależnym od ministeryum zdrowia, (władzy takiej nie ma w porządku hierarhicznym), środków materyalnych winny dostarczać towarzystwa dobroczynności lub ziemstwa; administracyi zaś powinny być powierzone medyko-policyjne kwestye na ogólnopństwowych zasadach.“

Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia D-ra Józefa Mianowskiego, wydał p. dr. Witold Załęski dzieło p. t. „Zasady ekonomiki“ (Nauki gospodarstwa narodowego), Warszawa, 1889 r. 8-o str. VII + 394. Książkę p. Załęskiego możemy uważać za podręcznik praktyczny i popularny ekonomiki, dający dokładny obraz nauki na stanowisku jej obecnego rozwoju. Zawiazkiom téj pracy autora były wykłady ekonomii politycznej, które p. Załęski miewał w h. Szkole Głównej Warszawskiej w 1868 i 1869 r. Ogromne zmiany późniejsze w stosunkach społecznych i politycznych nie pozostały bez wpływu i na zasady ekonomiki najnowszéj, które musiały stać się podstawą dzieła dzisiaj na widownię występującego. W r. 1868 i 1869 panowała wszechwładnie idea *wolności* handlu i harmonii wszelkich interesów materyalnych, opierającej się na zasadzie swobodnej konkurencyi. Sądzono, że rozszerzenie i wzmocnienie produkeyi wystarczy, żeby wszystkie warstwy społeczne miały udział w zdobytem wspólnemi siłami dobrobycie. Odsobnione głosy socyalistów i komunistów wydawały się głosami zawistnych, którzy przez szerzenie waśni społecznej chcieliby dojść do dobrobytu, dostępnego dla wszystkich tylko na drodze pracy i oszczędności.— Dzisiaj pojęcie o harmonii wszystkich interesów ustąpiło przed zasadą narodowości, czyli raczej przed rozbudzonem spółzawodnictwem narodowém. Wielkie państwa dla obrony świeżo zdobytych krajów, lub świeżo zlepionych terytoryów potrzebują dużo żołnierzy a więc na razie dużo pieniędzy, których najciężłwsze nawet opodatkowanie wszystkich warstw ludności w danéj chwili dostarczyć nie mogło. Państwa musiały szukać ratunku w kredycie, który na opłacenie procentów wymagał ofiar nowych. Tymczasem polityka wolnej konkurencyi handlowej i przemysłowej wypadła na korzyść tylko małej liczby bogaczów i różnice między biednymi a bogatymi wystąpiły w tym jaskrawszém świetle, jak tego dowiodły powtarzające się peryodycznie przesilenia kredytowe i przemysłowe. Kwestya po-

działu dóbr i konieczność polepszenia trudnego położenia materialnego klasy robotniczej czyli konieczność zabezpieczenia interesów t. zw. stanu czwartego wystąpiły jako pierwszorzędne zadanie nie tylko w życiu publicznem, ale i w nauce. Z tego wytworzyło się dzisiaj pierwszorzędne zadanie ekonomiki, która powinna nauczać klasy nieposiadające, że tylko pracą i oszczędnością mogą przyjść do posiadania dóbr materialnych, niezbędnych dla zabezpieczenia sobie pewnego choćby umiarkowanego dobrobytu, że użycie w tym celu przemocy i gwałtu pociąga za sobą tylko niszczenie i ruinę dóbr materialnych, niewystarczających już i tak dla wszystkich. Klasom zaś posiadającym powinna dzisiejsza Ekonomia przypominać wciąż obowiązek przyczyniania się do podniesienia klas robotniczych, obowiązek pomagania im do osiągnięcia celów ogólnie ludzkich. Nie można się dzisiaj obwarować egoizmem stanowym i liczyć jedynie na skuteczność władzy przymusowej państwa. Klasy posiadające muszą coraz bardziej przyczyniać się do zaspakajania ogromnych potrzeb państwa nowożytnego. Z tego wynikła potrzeba ogólnej służby wojskowej, podatek dochodowy i wiele innych ciężarów publicznych, które państwo dzisiejsze, przejąwszy się ideą komunistyczną, nakłada na barki wszystkich poddanych swoich. Tu kryje się, jak sądzimy, źródło niemilknącej ani na chwilę walki idei państwa konstytucyjnego z ideą wszechwładzy państwowej, która często, nie zważając na pogwałcenie zasad prawa cywilnego, pragnie regulować najdrobniejsze interesy i stosunki między klasami robotniczymi a posiadającymi, między kapitałem a pracą. Dorywczy ten rzut oka na zasadnicze idee i poglądy autora wskazuje ważność tego poważnego — tém cenniejszego ze oryginalnego dzieła, które napisane zostało i w tém przekonaniu obywatelskiem, że jeżeli wśród danych warunków nowoczesnych nauka Ekonomiki pożyteczną być może dla każdego narodu, to tym potrzebniejszą jest dla społeczeństwa naszego, które, znajdując się w przejściowym okresie przeobrażenia tylu różnostronnych stosunków, powinno znać dokładnie trwałość gruntu, na którym ma wznosić fundamenta najnowszej swojej budowy. Od sprawiedliwego i rozumnego urządzenia podstawy materialnej społeczeństwa naszego równie w massach włociańskich, jak i w szeregach t. zw. inteligencji wiejskiej oraz różnorodnego mieszczaństwa, zależeć będzie przyszłość narodu, której nie zapewnią ani rzekomi apostołowie hasła choćby najpokazniejszych ani twórcy teoretycznych programów w choćby najdowcipniejszych; ale wzniosą ją tylko idee chrześcijańskie, oraz zdrowe zasady ekonomiczne, odpowiadające potrzebom moralnym i umysłowym całego społeczeństwa. W ubogiej naszej literaturze nauk społecznych witamy pracę prof. Załęskiego z prawdziwym ukontentowaniem, w czem i kasie Mianowskiego pewna zasługa się należy za to, że ułatwiła ogłoszenie książki pożytecznej.

N e k r o l o g i a.

† Dnia 18 maja 1889-go roku umarł w Paryżu **Alfred hr. Potocki**, zastępca protektora Akad. Um. w Krakowie, były prezes gabinetu Austro-Węgier i b. Namiestnik Galicyi, dziedziczny członek Izby Panów w Wiedniu oraz poseł w sejmie galicyjskim we Lwowie i t. d.

Ś. p. Alfred Potocki urodził się w Łancucie d. 22 lipca 1822 r. z ojca Alfreda i matki Józefy Czartoryskiej. Do 19-go roku życia spólnie z Adamem ks. Czartoryskim wychowywał się w Krakowie, studia akademickie ukończył na wydziale prawniczym w Wiedniu, potem jako attaché ambasadora austriackiego w Londynie, hr. Dietrichsteina, szwagra swego, przebywał w Anglii, zkąd powrócił r. 1848. Obrany tegoż roku do pierwszego sejmiku konstytucyjnego w Austrii, który obradował w Kromieryżu, brał bez przerwy czynny udział w życiu publicznym, mianowicie odradzając się pod względem ekonomicznym, intelektualnym i politycznym Galicyi aż do ostatniej chwili swego życia. Udział ś. p. Alfreda hr. Potockiego w odrodzeniu nie tylko Galicyi, ale i z życia konstytucyjnego w Austro-Węgrzech jest tak znakomity, że ku nauce współczesnych zasługuje na rozbiór szczegółowy, który w Zeszytach lipcowym Czytelnikom Bibl. Warsz. przedstawimy; dla tego też dzisiaj w tém miejscu na powyższych danych nekrologicznych poprzestać możemy, zaznaczając, że społeczeństwo polskie straciło w ś. p. Alfredzie hr. Potockim gorliwego, zdolnego i szlachetnego obywatela. Cześć jego pamięci!

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1889.

stron.

Sprawy społeczne.

Czém jest dziś inteligencya wiejska?	1
Kilka słów o polskiem Towarzystwie Naukowém „Sfinx,” założo- ném w Warszawie 1810 r. Napisał Mathias Bersohn.	27
Albert E. Fr. Schäfte. Podług Gustawa Schmollera przedstawił B.	42
Z wystawy paryzkiej. Korospondencya I.	442

Górnictwo.

Kopalnie klucza sławkowskiego. (Ustęp z dzieła, poświęconego po- szukiwaniom na polu historii przemysłu górniczego w dawniej Polsce). Z ma- pą Klucza Sławkowskiego w XV do XVIII wieku. Przez Kornelego Koz- łowskiego	56, 421
--	---------

Powieść.

Portret „pięknej pani.“ Opowiadanie starego warszawianina (dok.).	
Skreślił Wincenty hr. Łoś.	84
Poświęcenie Kazi. Obrazek powieściowy. Przez M. Grzymałę. .	264

Kronika zagraniczna.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Zbiór instru-
kcyi dawanych ambasadorom francuzkim w Polsce od traktatu westfalskiego
do końca XVIII wieku.“ Wstęp historyczny Ludwika Farges. — Publika-
cya z powodu stulecia rewolucyi francuzkiej. „Upadek narodu“ rozprawa
p. Poinard. Konferencya Juliusza Simon o negrach afrykańskich. Dwie
uroczystości akademickie: Przyjęcie admirała Jurien de la Gravière i p. Cla-
retie. Mowa Renana. Stan dzisiejszy powieściopisarstwa i dramatu wo
Francyi, przez profesora Darmestettera. Wspomnienie pani Chateaubriand.

„Walka o byt“ Daudot'a. Pomnik J. J. Rousseau na placu panteońskim.	
Zmarły malarz Aleksander Cabanel.	98
Z wystawy paryżkiej. Korespondencya I.	442

Historya.

Bismarck contra Fryderyk III. (Studyum z historyi współczes- nej). Przez Konrada Machczyńskiego.	161, 392
---	----------

Geografia.

W środkowej Afryce. Przez Eugeniusza Lipnickiego.	189, 374
---	----------

lingwistyka.

„Dosia“ w obec nauki. Szczałki zainka <i>si, sia, się</i> , w polszczyz- nie. Badanie językowe, poświęcone dawnym słuchaczom. Przez Józefa Przyborowskiego.	206
---	-----

Filozofia.

Metafizyka współczesna. (C. d.). Hermann Lotze: Nauka o świecie i duszy. Przez Wincentego Lutosławskiego.	218
--	-----

Filologia.

Prometeusz w okowach, tragodya Eschylosa. Przełożył z grec- kiego Kazimierz Kaszewski.	241
---	-----

Prawoznawstwo.

Kwestya lichwy w obecném prawodawstwie. Napisał Józef Okolski.	321
--	-----

Historya literatury.

Kalendarze w Polsce wieku XVIII-go. (Przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wieku XVIII-go). Przez Władysława Smoleńskiego.	351
--	-----

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Szkie historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od
awianku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześcijańskiej.

Ozdobiony przeszło 600 ilustracyami. Napisał Antoni Narkiewicz Jodko. Lwów i Warszawa 1889. T. I, II, III. Przez Kazimierza Kleczkowskiego.	122
Karol Dickens.—„Dawid Copperfield.“ Powieść, przełożyła i zyciorysem autora poprzedziła Willa Zyndram Kościalkowska. Warszawa, 1889 r. („Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej.“ Literatura Angielska). Przez M. W...l.	135
„Praca filologiczne“ wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II. Warszawa 1887—1888, str. 881. Przez R. Zawilińskiego.	280
„Rachunkowość rolnicza, ułożona na podstawie buchalteryi podwójnej.“ Opracował Konstanty Sękowski przy współudziale sił redakcyi „Rolnika i Hodowcy.“ Nakład redakcyi „Rolnika i Hodowcy“ Warszawa 1889 r. Przez C. R..	307
Andreae Cricii Carmina edidit, praefatione instruxit, adnotationibus illustravit Casimirus Morawski. Cracoviae 1888, 8-o str. LXIII—302. Napisał Marcin Sas.	453
Lud okolic Żarek Siewierza i Pilicy, jego zwyczaje, sposób życia, obrzędy... i t. d. Zebrał i napisał Michał Federowski. Tom II. (Bibl. „Wiśły“ t. II). Z zapomogi kasy imienia Mianowskiego. Warsz. 1889. Przez Romana Zawilińskiego.	462

Kronika miesięczna.

Kwiecień. — Rzut oka na stosunki międzynarodowe w Europie. Pozorna cisza na polu dyplomacyi: burzliwe objawy w zakresie polityki wewnętrznej na półwyspie bałkańskim, w Paryżu, w Pozezie, w Berlinie. Zabiegi Niemiec na polu polityki kolonialnej. Nowe ciężary wojenne w Niemczech: groźne projekta reakcyi biurokratycznej w Niemczech.—Gabinet Tirarda rehabilituje rząd republikański.—Anglia zbiorą się dla odparcia możliwego najazdu zewnętrznego.—Projekta uregulowania ostatecznego sprawy irlandzkiej.—Konferencya w Berlinie w sprawie archipelagu wysp Samoa.—Z dziedziny naukowej. Prelekye w sali ratuszowej na dochód osad rolnych: I. Jul. Ochorowicza „O hypnotyzmie.“—Posiedzenie Wydz. histor. filozof. Akad. Um. w Krakowie d. 11-go, lut.—komisyi fizyograficznej dnia 15-go lutego, komisji archeologicznej Akad. dn. 18-go lutego.—Walne posiedzenie Towarzystwa prawniczego we Lwowie dn. 18-go marca.—Z dziedziny sztuk pięknych: Walne doroczne zebranie Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Kr. Polskiem dn. 23 marca. Tegoż Towarzystwa program wystawy sztuki ornamentacyjnej i dekoracyjnej na mies. październik r. b.—sztuki rzeźbiarskiej na styczeń 1890 r. Z ruchu muzycznego: Koncerty Tow. muzycznego; koncerty symfoniczne Dyr. Teatrów warszawskich; Kompozycye: Jana Galla i P. Maszyńskiego, Wł. Żeleńskiego („Arya Aldony“ i „Pieśni żalobne“).—Archeologia. Odkrycia archeologiczne w Rzymie.—Dom Rafaela w Rzymie.

Maj. — — Ogólna sytuacja polityczna. — Powikłanie stosunków międzynarodowych utrzymuje państwa w oczekiwaniu nowych wstrząśnień politycznych. — Kłopoty ligi pokojowej. — Ucieczka Boulanger'a. — Przesilenia rządowe we Włoszech, Rumunii i Węgrzech. — Polityka gabinetu Petersburskiego. — Polityka ludów bałkańskich. — Zapowiedziany uroczysty obchód 500-letniej rocznicy bitwy na Koszowie polu. — Rzeczpospolita francuska. — Włochy w obec spraw afrykańskich. — Konferencja w Berlinie w sprawie wysp samoanckich. — Ustanowienie szkoły górniczej w Dąbrowie górniczej. — Sprawozdanie kasy imienia J. Mianowskiego. — Sprawozdanie z odczytów na dochód osad rolnych: Jawornicki „O kulturze plemion afrykańskich“. — Władysław Szajnocha: „O geologii w początkach bieżącego wieku“. — Plebiński „O naszych instytucjach fabrycznych“. — Suligowski „Jak my mieszkamy“. — H. Sienkiewicz „O powieści historycznej“, (na dochód Tow. Dobroczynności). — Posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie: a) Komisji historii sztuki dnia 21 lutego i 9 marca; b) Wydział histor. filozof. dn. 12-go marca; c) Wydz. filolog. dn. 13 marca; d) Komisji antropologicznej dn. 29 marca. — Konkurs z fundacji Franc. Kochmana, ogłoszony przez Wydział krajowy w Galicji na 2 nagrody (złr. 1,000 i 500) za dzieła polskie. — Archeologia: Wykopiska we Włoszech. — Z ekonomiki: Sprawozdanie z czynności sekcji rolnej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, (Sprawa kwestyonaryusza rolnego, głołda zbożowa; Stacya doświadczalna w Sobieszynie; Kwestya wystawy rolniczej w r. b.; znaczenie nowego prawa gorzelniczego. — Prof. Okolski „O szwedzkim systemie propinacyjnym“. — Sprawa irygowania okolicy podmiejskiej w Warszawie za pomocą ścieków kanalizacyjnych. — Wspomnienie pośmiertne: Michał Eugeniusz Chevreul; Ks. Franciszek Roemer

312

Czerwiec. — Ogólne położenie stosunków międzynarodowych. — Usposobienie pokojowe. — Wizyta króla Humberta w Berlinie. — Konferencja w sprawie wysp samoanckich. — Francja: wystawa paryzka. — Anglia: reorganizacja sił morskich; — widoki transakcyi z Irlandją. — Włochy — opozycja przeciw Niemcom i polityce, opartej na trójprzymierzu; zwrot ku Francji. — Austriya. — Groźne wybryki stronnictw politycznych w Bołgradzie serbskim. — Sprawa eksploatacyi Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej w obec najazdu kapitalistów zagranicznych. — Z życia naukowego: Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 28-go maja r. b. — Sprawozdanie z dwóch posiedzeń Komisji historii sztuki w Akademii Um. w Krakowie z dn. 11 kwietnia i 9-go maja r. b. Krajoznawstwo: Posiedzenie Wydziału Towarzystwa Tatrzńskiego we Lwowie dnia 18-go maja. — Z archeologii: Najnowszo wykopaliska w Rzymie. — „Z ekonomiki:“ Koszta produkcyi głównych zbóż w Cesarstwie rosyjskiem.

463

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień. — Edw. Pawłowicz, Katalog Muzeum ks. Lubomirskich we Lwowie. Miesięczne sprawozdania Akademii Umiejętności w Kra-

- kowie z działalności instytucji tej w językach francuskim i niemieckim.
 (str 155). Wienczesław Łoś: „Biblioteka popularna.“ „Muzeum“ Czasop.
 Tow. Naucz. szkół wyższych w Galicyi. Zesz. na m. marzec. (156). Przewodnik naukowo-literacki (dod. Gazety lwowskiej). — Zesz. na marzec
 Encyklopedyi wychowawczej Tomu IV-go Zeszyt 6-ty. (157). — Gino Loria. „Przeszość i stan obecny teorii geometrycznych“ p. S. Dicksteina. —
 Wilhelm Meyer „W państwie gwiazd.“ — Herbert Spencer „Zasady socjologii.“ — Dr. Hofbauer „O przyczynach częstych samobójstw
 w chwili współczesnej.“ (159). — Ernest de Laveleye: „Własność pierwotna.“ (160). — J. Szujski „Historji polskiej treściwie opowiedzianej“ ksiąg dwanaście. Wydanie 2-gie. Tragedyo Sofoklesa. W przekładzie
 Kazimierza Kaszowskiego. Jerzy Myriel „W walce z losem.“ Dygasiński „Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy. J. Nussbaum „Zasady ogólne rozwoju Zwierząt“ (Embryologia). 155
Maj. — Instytut bibliograficzny M. Stankiewicza w Krakowie. — (str. 316). — Lubolska biblioteka poddominikańska w Petersburgu. — Baltazara Behma Ustawy cechów krakowskich. (316). — Przygotowania do IV-go tomu pomnikowego wydania dzieł J. Kochanowskiego (317). — I-szy zeszyt „Bibl. pisarzy polskich“ wyd. p. Akad. um. w Krakowie (318). . 315
Czerwiec. — Pamiętniki Golliusza, mieszczanina z Zamościa (1650 do 1653 (475). — Ś. p. Cezar Oorrenti „Historja polska“ (476). — Nowo odkryty rękopis Galvani'ego. — A. Guillemin'a, „Siły przyrody.“ — Dr. Józef Tchórznicki: Uwagi nad ustawą szpitalną dla Królestwa Polskiego z r. 1842 (487). — Dr. Witold Załęski „Zasady ekonomiki“ (477). . 475

Nekrologia.

- Ś. p. Alfred Biesiadecki (318). — Ś. p. Roman Ignatowski. — Ś. p. Wawrzyniec Żmurko (319). — Ś. p. Marya Julia Zaleska z Perłowskich (320). — Ś. p. Witold Milewski (339). — Ś. p. Alfred hr. Potocki. (480). 480

Ogłoszenia.

Rod. „Biblioteki Warszawskiej“, „Encyklopedyi rolniczej“, „Encyklopedyi wychowawczej“, „Przeglądu katolickiego“, „Kraju“. . . .

Sprostowanie.

Str. 132 wiersz 21 od góry, zamiast Palestynie czytaj Palestynie.

W nekrologii Ś. p. Zaleskiej str. 320 w. 4 od góry trzeba usunąć wyraz *syna*, a w. 5-ty zam. pod jego kierunkiem należy czytać: samodzielnie. W wierszu 11-ym 12-ym i 13-ym usunąć zupełnie wzmiankę o „Przewodniku wychowania“, którego autorem jest H. Wernic. W. 20-y: Od lat kilkunastu drukowała prace swoje bez przerwy w „Kronice rodzinnej“, od lat kilku prowadziła i t. d. . . . —

